

BEATA KĘPIŃSKA

TANIEC

z czarownicą

ZYSKINA
CZAROWNICE



BEATA KĘPIŃSKA

TANIEC
z czarownicą

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

I. OCZYSZCZENIE

Minęło już kilka dni od powrotu męża z Anglii do domu. Krzyś z lubością korzystał z urlopu, rozkoszując się urokami lata w naszym własnym, coraz piękniejszym siedlisku. Szczerze mówiąc, mógłby jeszcze przyczynić się do podniesienia jego walorów, gdyby przyciął żywopłot, posadził kilka rododendronów w wybranym przeze mnie miejscu i powalczył z chwastami na trawniku, ale nie śmiałam mu o tym mówić. Poczucie winy sprawiało, że byłam dla niego wyjątkowo wyrozumiała. Z rozrzewnieniem patrzyłam, jak na werandzie rozkłada pudełeczka ze swoją modelarską stoczną. Jak w skupieniu wkleja milimetrowe działka na pokładzie kolejnego pancernika i robi olinowanie z czegoś, co ma średnicę cieńszą od ludzkiego włosa. Puszczął właśnie swoje ulubione płyty, kiedy przyniosłam mu kawkę i pocałowałam w czółko, na co on odpowiedział mi również czułym gestem i westchnął, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, bo ma najwspanialszą w świecie żonę. Tym stwierdzeniem mnie dobił.

Nie wytrzymałam i zdecydowałam, że muszę w końcu zrzucić z sumienia ciężar, jakim jest świadomość, iż omal go nie zdradziłam. Udając, że jadę do sklepu po chleb, którego celowo nie kupiłam rano, pobiegłam na wieczorną mszę do naszego kościoła. Z powodu urlopów odprawiał ją młodziutki ksiądz, w dodatku syn mojej koleżanki, również nauczycielki, i żaden inny ksiądz nie był niestety dostępny. Nie umiałabym wyznać temu chłopcu niewiele starszemu od mojego syna, jakie to ja mam problemy ze sobą i do czego one mnie doprowadziły. Indagowana przez niego, w jakim celu przyszłam do zakrystii, poczułam się nieswojo i zamówiłam mszę za duszę mojego całkiem niereligijnego ojca. Następnego dnia, żeby mieć wybór kościoła i spowiednika, pojechałam aż do Kielc. Mężowi nakłamałam, że muszę spotkać się z dawno niewidzianą koleżanką, która mnie wzywa, gdyż ma jakiś życiowy problem.

Krzyś zaniepokoił się i chciał jechać ze mną. Zniechęciłam go, mówiąc:

— Nic tam po tobie, to takie typowo babskie problemy. Mimo że jesteś lekarzem, Maria czułaby się skrępowana w twojej obecności. Myślisz, że nie zauważyłam, jak ona na ciebie patrzy? Podobasz jej się, więc nie chciałaby ujawniać ci pewnych rzeczy.

Krzyś taktownie się wycofał, a ja, dzwoniąc do Marysi, myślałam, ile to się człowiek musi nakręcić, żeby oczyścić z grzechu swoje sumienie, nie wzbudzając podejrzeń.

Pojechałam do naszej pięknej kieleckiej katedry i wybrałam najstarszego spowiednika. Niby chodziło mi o to, żeby miał duże doświadczenie życiowe i niczemu już się nie dziwił. Ale tak całkiem głęboko w sercu marzyłam, że może staruszek będzie głuchawy. Moje marzenia na ogół się spełniają. Tym razem też tak było. Kapłan twarz miał zmęczoną i bladą, oddech krótki i wzdychał ciężko. Wydawał się zatopiony we własnych myślach sięgających już wysokości nieba. Odczułam wyrzuty sumienia, że w tak gorący dzień będę go dręczyć i obarczać swoimi grzechami, więc zaczęłam niepewnie i cicho. Mówiłam bardzo zawile, żeby nie nazywać spraw po imieniu. Spowiednik kilkakrotnie prosił o powtórzenie jakichś kwestii, aż w końcu stracił anielską cierpliwość. Poirytowany odwrócił się do kratki i spytał:

— Więc zdradziłaś w końcu czy nie? — Jego głos nie był szeptem, o nie. Kilka osób natychmiast spojrzało w kierunku konfesjonaku. Poczulałam, że się czerwienię i ogarnęło mnie gorąco porównywalne z temperaturą lekko tylko przestygniętej piekielnej smoły.

— Nie! — zaprzeczyłam równie głośno. — Ale miałam taki zamiar — dodałam natychmiast uczciwie. — Gdyby nie to, że niespodziewanie, w środku nocy majster, który budował mój dom, przyjechał właśnie do mnie...

— Jak to majster w nocy? — zdziwił się znów bardzo głośno spowiednik.

Niepotrzebnie zagmatwałam sprawę, przywołując osobę Mariana —

pomyślałam poniewczasie. Marian przed kolejnym nagłym wyjazdem do pracy za granicą chciał cichaczem, nocą zabrać swoje narzędzia z mojego garażu i przeszkodził mi w kontynuowaniu erotycznego sam na sam z Rafałem.

— Czy z tym budowlańcem też cię coś łączy? — Teraz już wydawało mi się, że głos kapłana huczy w bocznej nawie jak trąba jerychońska.

— Nic, poza stosunkiem wykonawcy ze zleceniodawcą — pisnęłam cichutko.

— Mów głośniej, bo nie słyszę — pouczył kolejny raz staruszek. — A więc był stosunek czy nie?! — krzyknął prawie.

— Nie, nie! — zaprzeczałam coraz głośniej. — Z budowlańcem nic a nic, ale z moją młodzieńczą miłością... prawie że...

— Co prawie?!

— Prawie zdradziłam męża.

Jakaś pani przeszła do ławki w innej nawie, żeby nie słuchać moich wynurzeń, a starszy mężczyzna przeciwnie, przysunął się bliżej i nastawił ucha. A mówią, że kobiety są ciekawskie — pomyślałam, kontrolując kątem oka to, co dzieje się w świątyni. Zupełnie nie mogłam skupić się na tym, co mówi do mnie kapłan i jaką wygłasza naukę. Za to ciekawski pan wysłuchał wszystkiego w skupieniu, potakując od czasu do czasu głową na znak, że zgadza się z księdzem. Nastawiałam się już tylko na zapamiętanie, co mam odmówić za pokutę, i nie czekając nawet na komunię, wyprysnęłam z kościoła odprowadzana spojrzeniami kilku osób.

Cóż, żal za grzechy miałam szczery, ale ich wyznanie zmieniało się w groteskę. Potem jeszcze omal nie zapomniałam, że umówiłam się z koleżanką, i musiałam zawracać z obwodnicy do centrum. Wciągnęłam biedną Marię w moje kręactwa, ale opłacało się, bo u niej dopiero odbyłam spowiedź właściwą. Wygadałam się za wszystkie czasy. Przeanalizowała ze mną całokształt moich postępów i ich motywy. Maria jest psychologiem. Poznałyśmy się kilka

lat temu na kursie dotyczącym zagrożenia młodzieży różnymi uzależnieniami. Ona prowadziła ten kurs, a ja prawdopodobnie w jakiś sposób się wyróżniłam, bo nasza zaplanowana w programie zajęć dyskusja przedłużyła się na przerwy, potem przeniosła do kawiarni, aż wreszcie przerodziła w przyjacielską pogawędkę.

Chyba na zasadzie kontrastu bardzo sobie przypadłyśmy do gustu. Ona spokojna, wyważona, można powiedzieć, że dystygowana, a ja, wiadomo, niepoważna, żeby nie powiedzieć: trochę stuknięta. Maria jest tylko kilka lat ode mnie starsza, ale w jej towarzystwie czuję się jak nastolatka pod opieką starszej, mądrej i doświadczonej siostry. Poznał ją także i bardzo polubił, z wzajemnością, mój mąż. Swego czasu spotykaliśmy się we troje dość często w Kielcach na kawie lub razem chodziliśmy na jakieś ciekawe, kulturalne imprezy, które wyszukiwała Maria. Ona jest wdową, więc chętnie korzystała wieczorową porą z towarzystwa okraszonego mężczyzną. Tak w ogóle to należy do osób bardzo aktywnych zawodowo i społecznie, a w związku z tym bardzo zajętych. Dlatego pewnie jeszcze nigdy nas nie odwiedziła, chociaż wciąż obiecuje.

Ostatnio ja także byłam pochłonięta budową i tym wszystkim, co działo się w naszym domu. Poza tym w moim życiu znów pojawiła się przyjaciółka z czasów licealnych. Grażyna dziwnym zrzędzeniem losu zakochała się w projektującym nasz dom inżynierze, który jest kuzynem Mariana, majstra z naszej wsi. Porzuciła Warszawę i mieszka teraz tu w Kielcach. Perypetie burzliwego związku Grażki i Jacka przeżywałam nie mniej niż swoje własne, więc spokojna, uporządkowana Maria zniknęła gdzieś z mego horyzontu.

Kiedy prawie na jednym oddechu tłumaczyłam Marii te wszystkie powody zaniedbania przeze mnie naszej znajomości, zorientowałam się, że jest gotowa wybaczyć mi wszystko, bylebym tylko przestała, bo kręci jej się w głowie od imion i wydarzeń. Posadziła mnie na kanapie, podała doskonałą herbatę i pozwoliła raz jeszcze swobodnie się wygadać, a dopiero potem, gdy byłam już

u kresu opowieści, ale też i u kresu wytrzymałości moich nadwyrężonych, nauczycielskich strun głosowych, powiedziała spokojnie:

— No to teraz spróbujmy to uporządkować i ustalmy, kto jest kim i jaką aktualnie rolę pełni w twoim życiu.

— Daj jeszcze herbaty — jęknęłam.

Maria jak zawodowa gejsza odprawiła swoje czary nad porcelanowym imbryczkiem, podniosła elegancką filiżankę wraz z podstawkiem i wprawnym ruchem naląła wspaniałej, aromatycznej, białej herbaty.

— To tak — zaczęła resumé. — Czyli męża kochasz, a o Rafale chcesz po raz drugi w życiu zapomnieć. Czy tak?

— Tak, oczywiście — przytaknęłam skwapliwie. — Ale teraz, gdy na stałe wrócił do Polski, to będzie trudniejsze, bo czasem mogę się na niego natknąć przypadkowo — dodałam.

— No, ale masz już jasność co do wartości tego człowieka i swoich uczuć. Rozumiesz też, że posądzanie Krzysia o zdradę z jakąś tam Anią było bezsensowne i bezpodstawne?

— Tak, tak, tak — przytakiwałam jak kaczką.

— To dobrze, bo Krzyś zasługuje na zaufanie — powiedziała Maria tonem, w którym wyczułam nutkę nagany czy zazdrości, a może raczej jakiejś tęsknoty. Pomyślałam wtedy, że jestem bardzo niedelikatna, pakując się z tym moim zakreconym, pełnym wrażeń i buchającym różnorodnymi emocjami życiem w jej prawie że święty żywot samotnej wdowy. Ale Maria niczym niezrażona brnęła dalej, próbując z właściwą sobie pedanterią z wytrajkotanej przeze mnie wichury słów stworzyć użyteczną dla niej, a może bardziej dla mnie, informację.

— Jeśli Krzyś w niczym się nie orientuje, niech tak zostanie — zdecydowała.

— Tak, tak, ja nie mam zamiaru się... Moja starsza siostra Zyta... Wspominałam ci chyba już nieraz o niej. Wiesz, ona jest scenografką, praca z artystami, takie rzeczy i dużo pokus. Ale nigdy się mężowi do niczego nie

przyznała. Są doskonałym małżeństwem. Tylko teraz się u nich wszystko pozmieniało. Wiodą z mężem ascetyczne życie, pokutują właściwie, bo ich córka Wiktoria urodziła dość dziwne dziecko. To znaczy dziecko miało szczątkowe kończyny brata bliźniaka. Trzeba je było operować za granicą. W dodatku ta ich Wiktoria uciekła z domu i nikt nie wie, gdzie jest. Uciekła bez dziecka, a dzieckiem zajęli się państwo Zatoniowie. To tacy ludzie ze Stanów, których ja poznałam dzięki...

— Asiu, sorry — przerwała mi Maria. — W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Zostawmy twoją siostrę na inne spotkanie.

— Okej — zgodziłam się posłusznie.

— Czy twoje dzieci... One są już chyba po maturze, jeśli dobrze pamiętam? Czy orientują się, że z tej zabawy na Naszej Klasie wykluczo się coś niedobrego?

— Nie, no skądże. Moim dzieciom do głowy nie przyjdzie, że ich matka mogłaby... Dlatego chyba zainicjowały te kontakty, bo były pewne, że nic... Nie. Zresztą one są teraz bardzo zajęte swoimi sprawami. Dominika zdaje na Akademię Sztuk Pięknych, więc to ją pochłania całkowicie.

— Wydawało mi się, że chciała iść w ślady ojca, na medycynę. Skąd taka wolta?

— W ostatniej klasie Dominika trochę się zmieniła. To już nie ta sama rozsądna, idealna córka. Zadzurzyła się w niewłaściwym chłopaku. Tak, „zadzurzyła się” to dobre słowo, bo miłość to na pewno nie była. W takim Damianie, moim byłym uczniu, co to miał aspiracje na muzyka. Jak myślisz, czy hip-hop można naprawdę nazwać muzyką?

— Asiu, do rzeczy.

— Przyjaciółka próbowała go jej odbić, ale... wiesz, ten Damian zginął tragicznie, a wtedy okazało się, że ona jest w ciąży.

— Ojej, Dominika w ciąży?!

— Nie, nie Dominika. Ewelina, to znaczy ta niby przyjaciółka. I trzeba było

jej pomóc, żeby nie zrobiła sobie albo dziecku krzywdy.

— Chętnie zajmę się tą sprawą, wiesz przecież...

— Nie, to już jest po sprawie...

— Usunęła? Szkoda.

— Nie, urodziła. Teraz mieszka u rodziców Damiana, a u nas spędza praktycznie całe dni i niestety chyba Patryk się w niej zakochał.

— Uważasz, że to źle? Sądzisz, że nie jest to wartościowa dziewczyna? Dyskredytujesz ją z powodu dziecka?

— Nie. To nie tak. Ja jej nie dyskredytuję, broń Boże, z żadnego powodu. Ja myślę po prostu, że Patryk do niej nie pasuje. Nasz Patyczek wygląda przy niej jak syneček. Mimo wybujałego wzrostu ma bardzo dziecinną buzię i także podejście do życia. Jest jeszcze zdecydowanie bardziej chłopcem niż mężczyzną i do roli opiekuna rodziny, według mnie, zupełnie się nie nadaje. Niedawno jeszcze bawił się z Dominiką lalkami. Teraz zajmuje się małym Frankiem, synem Eweliny, jakby kontynuował dziecięcą zabawę w dom. W dzieciństwie apodyktyczna siostra zmuszała go do dziewczynskich zabaw, gdyż w RPA, gdzie ludzie żyją oddzieleni od innych wysokimi parkanami i drutem kolczastym, brakowało im towarzystwa innych dzieci. Wtedy jednak domagał się, by Domisia odrobiła to jego poświęcenie, stojąc tyle samo czasu na bramce, gdy on zapamiętałe strzelał gole. Teraz to Ewelina domaga się od niego nie tylko pomocy w zabawianiu dziecka, lecz także oznak uwielbienia dla niej samej. A ja czuję, że mój lekkomyślny, ale uczuciowy synek myli prawdziwą miłość z dobrocią i współczuciem. Sama Ewelina też może być pogubiona we własnych uczuciach i zamierzeniach. Teraz bardzo potrzebuje dowartościowania i adoracji, zwłaszcza że Dominika sprzątnęła jej sprzed nosa Łukasza.

— A co to znów za Łukasz? Nie wiem, czy ja to wszystko ogarniam, ale jak widzisz, staram się. — Maria uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Jesteś kochana, doceniam. Ja też momentami tego nie ogarniam, a czas

najwyższy, żeby mieć już wszystko uporządkowane — powiedziałam samokrytycznie. — Przecież, na dobrą sprawę, Franek mógłby być moim wnukiem. Trzeba być już gotowym psychicznie i na takie sytuacje.

— No dobrze, wróćmy do Łukasza — Maria znów przywołała mnie do porządku.

— Łukasz to chłopak z Warszawy, z którym sympatyzowała początkowo Ewelina, a Dominika jej go odbiła, pewnie z zemsty za Damiana. — Maria otworzyła szeroko oczy i zamrugła na znak, że się gubi, więc szybko pośpieszyłam z wyjaśnieniami. — Ewelina klasę maturalną robiła w Warszawie, mieszkając u mojej mamy, bo nie chciała, żeby w Kielcach ktoś wiedział o jej ciąży. Miała zamiar oddać dziecko. Byli z Łukaszem w jednej klasie. Kiedy jeszcze nie było widać ciąży...

— Już rozumiem. Czy Dominika spotyka się z tym chłopcem, czy to był tylko chwilowy kaprys?

— Łukasz to kapitalny chłopak. Mają z Dominiką pokrewne zainteresowania. On zdaje na historię sztuki na Uniwersytet Warszawski. Razem się uczą i bardzo zajadle dyskutują. Ostatnio jednak wydawało mi się, że to już kłótnie, a nie dyskusje. Ale kto się czubi... Łukasz był u nas kilka dni i wyjechał właśnie po burzliwej wymianie zdań. Potem była intensywna wymiana esemesów i Dominika podążyła za nim do Warszawy. Oni mają jeszcze egzaminacyjną nerwówkę, a Ewelina i Patryk złożyli świadectwa i tylko czekają na decyzję komisji rekrutacyjnej.

— O, Patryk też? On, zdaje się, nie przepadał za nauką? Jakie studia wybrał?

— Tu muszę przyznać Ewelinie, że wpłynęła na niego pozytywnie. Ona złożyła papiery na pielęgniarstwo, a on chce zostać ratownikiem medycznym.

— To szlachetne zawody i całkiem dojrzałe decyzje. Ty, mamusiu, nie doceniasz chyba swego synka.

— Ja sobie po prostu zdaję sprawę z tego, jak go wychowaliśmy. Miał sporo

swobody, żadnych większych obowiązków i żadnych poważnych problemów, zwłaszcza ekonomicznych. Czasami mam wrażenie, że on uważa, iż pieniądze rosną na drzewach. Konieczność zarabiania na utrzymanie własne i rodziny to dla Patolka abstrakcja większa niż algebra. Chętnie byłby filantropem, ale skąd brać fundusze na tę dobroczynność, to już się nie zastanawia. Wybrał słabo opłacany zawód ratownika medycznego i zanim zacznie cokolwiek zarabiać, upłynie jeszcze bardzo dużo czasu. A Ewelina miała od najwcześniejszych lat zupełnie inne doświadczenia. Rodzice wyjechali do pracy za granicę, gdy miała czternaście lat. Ona zawsze musiała twardo stąpać po ziemi. Patryk nie jest dla niej dobrą partią. Dziewczyna może się nim rozczarować, gdy będą musieli stanąć na własnych nogach.

— To jest bardzo prawdopodobne, ale w sprawach uczuć dorosłych pociech tak niewiele można zrobić — skonstatowała Maria, która nie ma własnych dzieci, ale opiekuje się całą masą tych najbardziej potrzebujących i pogubionych.

— Tak, wiem. Staram się być blisko i nie zrażać ich do siebie, żeby w razie czego można było pomóc czy przynajmniej służyć radą. Zresztą, na co komu moje rady, jak ja sama ze sobą nie mogę dać sobie rady — przeszłam znów do kajania się.

— Już się tak nie biczuj, bo nie mogę patrzeć na krew — Maria wreszcie zażartowała i roześmiała się szerzej. — Masz bardzo ciekawe życie. Zazdroszczę ci trochę, chociaż nie wiem, czy wytrzymałabym taki obłąd.

— Ty byś to wszystko po swojemu uporządkowała i już nie byłoby obłądu.

— Wiesz, po twoich opowieściach czuję się, jakbym dziś jednym tchem przeczytała bardzo wciągającą książkę. Nie myślałaś przypadkiem, żeby zacząć to wszystko opisywać?

— Moje życie? Nigdy w życiu! Jak czułby się Krzyś, gdyby przeczytał to, co ci dziś naopowiadałam? A Patryk, a Ewelina?

— No, może faktycznie to byłoby ryzykowne. Ale przecież ludzie piszą

pamiętniki.

— Tak, lecz wydają je pięćdziesiąt lat po śmierci, jeśli chcą zachować się przyzwoicie wobec opisywanych. Kto chciałby za pół wieku czytać pamiętniki jakiejś nieznanej wiejskiej nauczycielki?

Spojrzałam na zegar i poderwałam się w końcu z miękkiej pluszowej kanapy. Pożegnałam się z Marią i przyrzekłam nie robić już nigdy więcej tak długich przerw w naszych kontaktach, a ona, jak zwykle, obiecała przyjechać kiedyś do mnie na wieś. Wracalam do męża z dużo lżejszym sercem i mocnym postanowieniem poprawy. Ksiądz udzielił mi rozgrzeszenia, a Maria dyskretnie wypunktowała, co jest cenne w moim życiu i czego można mi zazdrościć. Krzys był na szczycie tej listy.

II. WSYPA

Piliśmy z Krzysiem poranną kawę na werandzie. Powietrze było jeszcze rześkie, choć zapowiadano falę tropikalnych upałów. Wpatrywaliśmy się w zielen, żeby podreperować umęczone komputerami oczy, i napawaliśmy się chwilowym spokojem. Patryk wciąż spał, a Ewelina z Frankiem także jeszcze się u nas nie zjawiała.

— Wiesz, najszcześliwszy to ja jestem tu, na tej naszej werandzie, kiedy jest taka cisza — odezwał się Krzyś. — Chyba nawet nie chce mi się w tym roku nigdzie wyjeżdżać i nic zwiedzać, zwłaszcza że ma być tak gorąco. W domu śpi mi się najlepiej i jedzenie najlepsze. Ja przecież tak rzadko bywam w domu.

— Gdyby tak jeszcze ten spokój chciał potrwać choć przez tydzień, a jedzenie samo się robiło, zapewne przyznałabym ci rację — powiedziałam zrzędliwie i wywołałam wilka z lasu.

Dźwięk telefonu przerwał ciszę. W słuchawce histerycznie wydzieriała się córunia, obwieszczając, że rezygnuje z kolejnych etapów egzaminu na ASP, gdyż jest beznadziejna, nie ma szans, a do tego została bezpowrotnie skompromitowana na uczelni.

— A co konkretnie się stało? — zapytałam spokojnie. Mój spokój nie wynikał z braku empatii, a raczej z wiary w talent córki. Chciałam także, by nie myślała, że na ASP świat się kończy.

— Po pierwszym etapie mam najmniejszą ilość punktów — załkała Dominika. Krzyś zorientowawszy się, że to napad przedegzaminacyjnej paniki, machnął ręką i poszedł z psami do lasu.

— Córúś, nie poznaję cię. Ty panikujesz?! Ktoś musiał być ostatni. Teraz będzie jeszcze sprawdzian z wiedzy i prezentacja, więc dasz radę — pocieszałam.

— Ale tu nie wiedza jest najważniejsza. Prawdziwemu artyście wiedza nie jest

wcale potrzebna, żeby tworzyć dzieła. Nie jestem artystką, więc to wszystko nie ma sensu. Geny dziadka rozmyły się w tym ciągłym krzyżowaniu, a jeszcze babcia...

— Nic na to nie poradzę, że dziadek skrzyżował się z babcią, żeby powstała ja i ciocia Zyta. Na Zytę przypadło wyraźnie więcej talentów plastycznych dziadka. Ja nie dostałam także baletowych zdolności mamy i jakoś z tym żyję. Przepraszam także, że skrzyżowałam się z tatą, żebyś powstała ty. Klonowanie wymyślono później.

— Ty sobie kpisz, a ja jestem w rozpacz i jeszcze ta babcia...

— Kpię sobie, bo nie ma powodów do rozpacz — powiedziałam już poważnie. — Nie panikuj przed czasem i walcz do końca. O tym, czy ktoś jest artystą, czy nie, raczej nie decyduje żadna komisja egzaminacyjna. To zweryfikuje czas i odbiorcy. Idź z Łukaszem na spacer i nie przejmuj się niczym.

— Łukasz kuje jak dzięcioł i nawet nie ma czasu pogadać przez telefon.

— No to zabierz babcię do kina — poradziłam.

— Babcię?! Z babcią to ja już nigdzie w życiu nie pójdę. Właśnie przez nią nie wejść już więcej w mury ASP, bo jestem skompromitowana.

— Co takiego zmalowała ta nieszczęsna, stara kobieta, która dałaby się za was pokroić?

— Nikt jej nie chciał kroić, za to ona chciała odwołać komisję i nagadała...

— Boże! Poszła na uczelnię?

— Sama ją zabrałam na sprawdzenie wyników, żeby mi było różnie, bo Łukasz nie miał czasu. Babcia, jak usłyszała, że ledwo się załapałam, bo tak słabo ocenili moje prace, wpadła do sekretariatu i zaczęła krzyczeć na cały głos: „Kogo to w tych czasach wybierają do komisji! To musi być zbiorowisko pętałów, skoro nie potrafią rozpoznać prawdziwego talentu. Ja im powiem, czyją ty jesteś wnuczką!”. Myślałam, że się zapadnę ze wstydu pod ziemię. Ludzie patrzyli na nas jak na nienormalne. Ledwie zdołałam ją zaciągnąć na przystanek.

W tramwaju jeszcze perorowała i postanowiła w najbliższym czasie wybrać się do rektora z misją specjalną. Skompletowała już garderobę, żeby zrobić piorunujące wrażenie, a teraz siedzi u fryzjera. Zamierza chyba jutro złożyć wizytę rektorowi. Nie wiem, czy mam ją związać i zamknąć. Ale jak długo mogę ją trzymać pod kluczem? A może lepiej spróbować umieścić ją w szpitalu psychiatrycznym, mówiąc, że biegała z nożem po ulicy i groziła całej komisji?

— To, co mówisz, jest pocieszające. Babcia odzyskała dawną formę — ucieszyłam się, puszczając mimo uszu egzaltowane sformułowania zawarte w wypowiedzi córki. — Bałam się, że po śmierci Euzebiusza babcia już się psychicznie nie podniesie. Była taka zubożniała i skołowana, że nawet podejrzewałam u niej alzheimera. Ale, jak widać, żywiołem babci jest walka.

— Mamo, ty się mną w ogóle nie przejmujesz?

— Rozumiem, że babcia nie kontaktowała się jeszcze z nikim z komisji, więc wszystko jest do uratowania. Parę osób w sekretariacie, które usłyszały jej oburzenie, to żaden problem. Każdy wie, że babcie są kopnięte na punkcie wnuków. Musisz ją wsadzić w autobus lub w pociąg i przysłać do nas.

— Ale ona tego rektora nie odpuści.

— Zadzwońię do niej i pogadam, a ty udawaj, że wszystko jest okej i jesteś pewna swego, bo inaczej babcia przeprowadzi swoją akcję.

— Dobra, mamuś. Jesteś cudowna! Może uda mi się przekonać Łukasza do wspólnej nauki, bo jak wcześniej próbowaliśmy, to babcia wciąż wchodziła, podawała tony jedzenia i nieustannie gadała.

— Dominika, ja nie zabieram babci, żebyś ty miała wolną chatę...

— Oj, nie martw się. Jesteśmy rozsądni i odpowiedzialni.

— Mam nadzieję — powiedziałam mentorskim tonem.

Oj, jeśli niedaleko pada jabłko od jabłoni, to z tym twoim rozsądkiem może być różnie, moja droga córko — pomyślałam. Ale zaraz się pocieszyłam, że przynajmniej połowa jabłoni była Krzyskowa, więc może nie będzie tak źle.

Szybciutko zajęłam się wyszukiwaniem w Internecie dogodnego połączenia z Warszawy. Na autobus do Swarowic babcia pewnie nie zdąży. Zresztą on długo jedzie i to jest męczące. Ale Dominika mogłaby wsadzić babcię w pociąg do Kielc o szesnastej dziesiąt, a my odebralibyśmy ją na dworcu. Zadzwoiłam następnie na komórkę babci i zaczęłam błagać:

— Mamo, musisz mi pomóc. Tak bardzo chciałabym wyjechać z Krzysiem choć na parę dni z domu. Należy nam się trochę urlopu. Krzyś marzy, żeby zwiedzić fortyfikacje wokół Przemyśla.

— No to jedźcie. Przecież dzieci już wam nie płaczą — odrzekła sucho mama. — Ja mam trzy światy z Dominisią.

— Właśnie o dzieci chodzi — podchwyciłam. — Zauważyłaś, że między Patrykiem a Ewelina coś zaczyna się dziać? Nie chciałabym zostawiać ich samych. Wiesz, licho nie śpi. Ona niby powinna mieć nauczkę, ale młodość ma swoje prawa. Gdybyś tu była, miałabyś oko na nich. Ewelina by się krępowała i Patryk też musiałby się trochę liczyć. Twój autorytet więcej znaczy niż moja czujność i gadanie.

— Masz rację. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dziewczyna jest jeszcze skołowana, a facet to tylko facet. Nawet mój wnuk, jak każdy mężczyzna, nie ma hamulców. — Babcia błyskawicznie chwyciła przynętę i poczuła się dowartościowana. — Załatwię tylko jutro jedną ważną sprawę w Warszawie i do was przyjadę. Szkoda, że Euzebiusza już nie ma, on by także z radością posiedział u was w ogrodzie na słoneczku.

— Tobie też się przyda trochę świeżego powietrza, więc nie zwlekaj. Nam bardzo zależy na czasie, bo Krzysiuwi już niewiele zostało do końca urlopu. A jaką to ważną sprawę masz do załatwienia? Dominika ci tego nie załatwi?

— To właśnie w sprawie Dominisi wybieram się do rektora. Oni ją tam chcą skrzywdzić. Nie docenili jej prac. Ja myślę, że nazwisko twojego ojca i Zyty w tym ich wariackim, artystycznym światku jeszcze coś znaczy. Ktoś im musi

uświadomić, z kim mają do czynienia.

— Mamo, nie możesz się do tego wtrącać. Dominika da sobie radę, a ty pokazujesz, że w nią nie wierzysz. Będzie potem lamentować, że dostała się tylko przez protekcję. A ona chce czuć, że naprawdę jest zdolna. Kompletowała teczkę w pośpiechu i może prace nie są zbyt dobre technicznie. W końcu cały czas wybierała się na medycynę. Ale na pewno się wybroni na kolejnych etapach — powiedziałam z przekonaniem.

— Może masz rację — mama, jak nigdy, zgodziła się ze mną. — Niech dziewczyna walczy. Przecież to moja krew, taka ambitna. A jakby co, to zawsze można jeszcze potem się odwoływać — dodała.

— Więc mogę liczyć, że jeszcze dziś wsiądziesz w pociąg do Kielc? — naciskałam.

— Już dziś?! — wykrzyknęła z przerażeniem.

— No tak, bo jakbyś miała jechać jutro, to nie spałabyś całą noc z powodu rajzefiber. A tak zrobisz to z zaskoczenia i nawet ciśnienie nie zdąży ci się podwyższyć — bajerowałam. — Jesteś podobno świeżo od fryzjera, a wszystkie twoje kreacje leżą porozrzucone po całym mieszkaniu, więc już ich nie chowaj do szafy, tylko włóż do walizki.

— Ach, ta pedantka Dominika, naskarżyła na babcię. No dobrze, jak jestem wam tak bardzo potrzebna, to przyjadę — zgodziła się. — Tylko żeby znów pozostawiona bez nadzoru Dominika czegoś nie zmalowała.

— Mamo! Nasza Dominisia? To wykluczone — uspokoiliam ją, choć sama nie byłam tak bardzo spokojna. — Jesteś kochana. To mogę się pakować i cieszyć na wypad do przepięknego Przemyśla? Do zobaczenia w Kielcach! — krzyknęłam i nie czekając, aż mama się rozmyśli, szybko zakończyłam rozmowę.

O nagłej potrzebie wyjazdu z domu musiałam natychmiast poinformować Krzysia, żeby się przy mamie nie zdziwił, iż jutro ma wsiąść w samochód i jechać ze mną w południowo-wschodni kraniec Polski, choć niedawno deklarował chęć

pozostania w domu. Przyzwyczajony już do moich zaskakujących pomysłów nawet nie protestował. W sumie chyba się ucieszył, że rozminie się z teściową. Między nim a moją mamą nie było wprawdzie nigdy żadnych animozji, ale jej sposób bycia trochę go drażnił, a z upływem lat stawał się dla nas wszystkich coraz bardziej uciążliwy. Zaplanowaliśmy więc z mężem trasę eskapady i zapakowaliśmy z grubsza nasze rzeczy. Krzyś był ożywiony perspektywą zwiedzania austriackich warowni, ale nie mógł się nadziwić, skąd we mnie tak nagle zrodziła się ta potrzeba. Nie było jednak zbyt wiele czasu na wyjaśnienia, gdyż należało mknąć po babcię do Kielc.

Pociąg przyjechał punktualnie. Babcia ukazała się w oknie i pomachała do nas dłonią. Patryk wskoczył do wagonu, aby wynieść jej dużą walizkę. Przywitaliśmy się na peronie bardzo serdecznie. Patryk kilkakrotnie całował babcię w policzki i spracowane ręce.

— Kiedy ten drażgal tak wyrósł, że musi się wpół składać, żeby babcię pocałować w rękę? — zawołała rozrzewniona i zmęczona podróżą w upale staruszka. — Jak ten czas leci. Niedawno z pieluchą między nogami ganiał, a teraz już mu się spodobało przewijanie dzieci i tatusiem chciałby zostać. A zastanówże się, dzieciaku, co robisz! Dopiero co ta biedna dziewczyna jedno urodziła, ledwie z połogu wyszła, a ty już ją molestujesz! Mój mąż też był taki. Nigdy nie myślał o konsekwencjach. Gdybym się zdała na niego, mielibyśmy z dziesięcioro dzieci i umarlibyśmy z głodu. Ale on był artystą, a o takich przyziemnych rzeczach zawsze ja musiałam myśleć. A to mężczyzna powinien być odpowiedzialny, żeby kobieta mogła mieć...

— Mamo! — syknęłam, ocknąwszy się z osłupienia, w które wprowadziła nas wszystkich ta błyskawiczna szarża i słowotok. — Wsiadaj do samochodu, bo krzyczysz na całą ulicę i ludzie się nam przyglądają. O tym wszystkim porozmawiamy w domu.

— Ja chyba z wami nie pojedę. — Patryk ze złością zatrzaskał bagażnik. —

Nie mam ochoty na tego typu rozmowy. Babcia przynajmniej śmiało ujawniła, co wy wszyscy o mnie i o Ewelinie myślicie. Jestem już dorosły, czas pomyśleć o usamodzielnieniu. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić i z kim wiązać swoją przyszłość. Jesteście wszyscy nieszczerzy i zakłamani. Rozumiem, że moglibyście mnie strofować, gdybym postępował nieetycznie, ale to z waszą moralnością jest coś nie tak. — Uderzył w kaznodziejski ton i mnie przynajmniej zbił z pantałyku, aż zaniemówiłam. — Poszukam jakiegoś lokum i przerzucę się na studia zaoczne — podjął błyskawiczną decyzję i ogłosił ją trzęsącym się z emocji głosem.

— Nie histeryzuj i wsiadaj do samochodu. — Krzyś na szczęście zachował zimną krew. Usiłował teraz wcisnąć wyższego od siebie syna do kabiny, naciskając na jego czubek głowy, ale nasz „maluszek” się opierał.

Otrząsnęłam się z pierwszego wrażenia i załapałam, że muszę wspomóc Krzysia. Wysunęłam więc nogę i podciąłam Patolowi kolana, a następnie wciągnęłam go do środka kabiny. Babcia już się usadowiła z przodu, więc Krzyś wskoczył szybciotko za kierownicę i ruszyliśmy z piskiem opon, jak ekipa kidnaperów. Trzymałam syna mocno za ramię, żeby nie wyskoczył z auta na jakimś skrzyżowaniu. Po Patolu można się spodziewać wszystkiego. Jednocześnie spróbowałam pojednawczo pogłaskać go, jak małego chłopczyka, po głowie. Uchylił się, ale opadł spokojnie na siedzenie i rzekł do mnie z wyrzutem:

— Nie spodziewałem się, że będziesz przeciwko nam. I jak mogłaś pleść takie bzdury babci.

— Ależ, dziecko, ja nie mam do ciebie pretensji — odezwała się babcia. — Jesteś mężczyzną, więc to nie do końca twoja wina. — Moja mama, jak widać, stworzyła sobie teorię, która z jednej strony oskarżała mężczyzn o wszelkie nieszczęścia kobiet, a z drugiej ich wyraźnie uniewinniała. — A jeszcze ta ogólna atmosfera — kontynuowała babcia. — Seks i romanse na każdym kroku,

w mediach, w szkole, w domu. Po prostu wszędzie. Jak młody człowiek ma sobie z tym radzić?

— Mamo, nie przesadzasz? Masz jakieś zastrzeżenia do atmosfery naszego domu? — odezwał się Krzyś, który też chciał uspokoić teściową.

— To chyba dobrze, że ojciec i matka okazują sobie uczucia, także wobec dzieci? Nie przekraczamy nigdy ogólnie przyjętych norm. — Chciałam wesprzeć męża, lecz zrobiłam to w złą godzinę.

— Tak dotąd było, ale teraz nie jestem już pewna, czy mania romansowania z seriali telewizyjnych nie trafiła pod wasz dach. — Mama uśmiechnęła się tajemniczo, bardzo zadowolona z siebie.

— Mamo! — westchnęłam, używając po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut formy wołacza. — Co ty znów insynuujesz?!

— Ja insynuuję?! Ja?! — zaperzyła się moja rodzicielka. — Całą drogę jechałam teraz z tym twoim byłym absztyfikantem, tym, co to kiedyś... ale mniejsza z tym. Jak on się nazywał? Rafał? Tak, Rafał Kryszel, syn tego ginekologa, co to blisko mnie mieszka. On jechał po coś do Krakowa. Aha, firmę tam otwiera. A ja myślałam, że on wciąż w Ameryce siedzi. Nie mogłam do końca zrozumieć, o co mu chodzi. Błagał mnie, żebym się za nim u ciebie wstawiła, bo on coś tam powiedział, czy to ktoś inny mówił, a ty źle rozumiałaś i nie dajesz mu szans się wytłumaczyć. Ty, Aśka, pewnie wiesz, o co chodzi, ale ja nie mogłam najpierw zorientować się, czy to jeszcze idzie o tę starą historię, czy to już coś nowego. Ale w końcu pojęłam, że wy się niedawno musieliście widzieć. Nie chciał powiedzieć, kiedy to było i w jakich okolicznościach. Tak nawijał, żeby całej prawdy nie powiedzieć. Kręcił, jak zawsze. Ale wygląda tak, że wszystkie baby się na niego gapily, i młode, i stare. A jaki był pachnący, elegancki i szarmancki... istny amant filmowy. Chyba bardzo mu zależy, żebyś go wysłuchała, lecz nie radzę ci się z nim spotykać. Można stracić dla niego głowę.

Zrobiło mi się gorąco i zimno. Chciałam się zapaść pod ziemię, ale trudno byłoby mi się wkopać, gdyż ziemia umykała nam spod kół coraz prędzej, bo właśnie wypadliśmy za miasto. Spojrzałam w lusterko. Mina mojego męża nie zwiastowała niczego dobrego. Krzyś pobladł i złowrogo zagryzał wargi. Patryk spoglądał raz na mnie, raz na babcię okrągłymi ze zdumienia oczyma, a ona ciągnęła dalej jak nakręcona.

— On jest naprawdę cholernie przystojny. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym była młodsza. Ale ty jesteś w innej niż ja sytuacji. Ty masz męża i dzieci.

— Mamo! — krzyknęłam znowu. — Nie myślisz chyba o Rafale?!

— Myślę. Spać przez niego teraz nie będę mogła.

— Babciu! — jęknął Patryk. — I ty mówisz o epidemii erotyzmu wśród młodych?! Ten świat chyba naprawdę zwariował. Ludzie, opamiętajcie się! Wszyscy jesteście popaprani, a czepiacie się mnie i Eweliny. Tylko wam jedno w głowie, a ja poważnie traktuję Ewelinę, i ona też się zmieniła.

— Widzisz, synu, a co ja mam powiedzieć? — odezwał się smutno Krzyś. — Wracam do domu z obczyzny, żona chce mi oczy z zazdrości wydrapać, choć nie ma żadnego powodu, a tu tymczasem dowiaduję się, że koło niej kręci się jakiś „cholernie przystojny” Rafał, z którym nawet moja teściowa byłaby skłonna zgrzeszyć i spać przez niego nie może. Powinienem ci zatkać uszy, żebyś tego wszystkiego nie słyszał. Ale w końcu jesteś dorosły.

— Co ty za idiotyzmy wygadujesz?! — oburzyła się mama. — Jeszcze dziecku takie rzeczy opowiadasz o babci! Ja miałabym grzeszyć z Rafałem?! — Mama z całej siły walnęła mojego męża w ramię, aż niebezpiecznie puścił kierownicę. Nagle jakby coś zajarzyła, jak to mówią dzieciaki, i zaczęła się głośno śmiać. — No tak, powiedziałam, że spać przez niego nie będę mogła, bo wciąż się zastanawiam, kiedy on się z Aśką widział. Z tego, co mówił, wynikało, że chyba był u was. Tak, tak, musiał ją odwiedzić — mama snuła na mój temat

rozważania, ignorując moją obecność. — O jakie nieporozumienie mu chodziło? Chyba nie o tę starą historię jeszcze z czasów szkolnych? Joasiu, czy on naprawdę wrócił do Polski na stałe i będzie ci teraz zawracał głowę? — zwróciła się wreszcie bezpośrednio do mnie. — A co z jego rodziną? Stary Kryszel mówił kiedyś, że Rafał ma w Stanach rodzinę. Chwalił się, jaka śliczna synowa. Zdaje się, że jakaś mieszanka rasowa. Aż się ślinił, jak o niej opowiadał. Powtarzałam ci, pamiętasz? Ten jego ojciec to stary lowelas. Zawsze do mnie zagaduje, jak się czasem mijamy na ulicy, a komplementów mi nagada. No to wyjaśnij nam, Asiu, co cię z nim znów łączy?

— Ze starym Kryszelem? Absolutnie nic — odpowiedziałam, żeby skołować mamę do reszty i jakoś się później wyłgać, że wszystko jej się pokręciło.

— Babciu, to ja założyłam mamie konto na Naszej Klasie i namawiałem, żeby z tym Rafałem tak niezobowiązująco odnowiła znajomość — zaczął Patryk. — Mama najpierw nie chciała. A Dominika mówiła nawet, że mogłby nas ten gość zaprosić na Florydę. Przysłał fotki na tle wypasionego domu i z obłądną łódką, a w takich plenerach, że dech zapierało. Siostra Michała to się prawie w nim zakochała i wysłała mu zaproszenie na Facebooka, ale nie odpowiedział.

— To tego pana zna już cała wieś?! Okazuje się, że tylko ja nie miałem jeszcze przyjemności — gorzko pokpiwał Krzyś.

— No widzisz, jak oni się zabawiają moim kosztem — podchwyciłam wątek, bo spostrzegłam w nim szansę dla siebie. — Oni mnie już traktują jak swoją własność. Doprowadzili do tego, że trochę pogadaliśmy na Skypie, a potem on, jadąc z Krakowa do Warszawy, po prostu spotkał się ze mną.

— Nie rozumiem. Umówili cię z nim? Gdzie? I dowieźli związaną? — Krzyś nadal ironizował.

— No nie. Umówiłam się z nim sama przez telefon.

— Podaaś mu numer telefonu czy sama dzwoniłaś?

— Nie, no coś ty, sama bym nie dzwoniła, w dodatku do Ameryki —

staralam się w pierwszej kolejności uspokoić węza w kieszeni Krzysia. Pomyślałam nawet, że może chodzi mu tylko o wydatki, a nie moje uczucia, i poczułam w sobie złość. — A tak właściwie, to co w tym złego, że podałam swój numer telefonu dawnemu koledze? Pochwaliłam się, że mieszkam w okolicach, gdzie przed laty rozkwitła nasza szkolna miłość. Ojej, to była taka dziecinada.

— No super, wspólne romantyczne wspomnienia. Widzę, że dawne uczucie rozkwitło na nowo. Czy przywlekleś nas w te strony, żeby wspominać tamte wzruszenia? Przyznaj się! Powinienem się usunąć? — Krzysztof mówił chyba te brednie całkiem poważnie.

— No coś ty, to przypadek, że trafiliśmy w te strony. Już nie pamiętasz, że szukaliśmy spokojnego miejsca i mieszkania, a tu gmina ogłosiła konkurs? A z Rafałem spotkałam się w Kielcach. Wołałam umówić się na mieście niż ryzykować, że zwali mi się do domu.

— Skoro podałeś mi nie tylko numer telefonu, ale i adres, to pewnie na to liczyłaś. Tylko nie mów, że takie rzeczy robi się przypadkiem. Dość długo już cię znam, żeby wiedzieć, jak potrafisz wszystko zaplanować. — Krzysztofowi chodziła szczeka.

— Rafał nie miał mojego adresu, ale pamiętał, gdzie byliśmy na rajdzie. Gdyby zapytał o nas w Swarowicach, ktoś na pewno wskazałby mu drogę. Miał właśnie taki zamiar, kiedy wracał z Krakowa do Warszawy. Gdy wjeżdżał na miejską obwodnicę, zadzwonił do mnie na komórkę, a ja byłam akurat w Kielcach na zakupach. Powiedziałam tylko, w jakiej siedzę restauracji. A właściwie i tego sam się domyślił — staralam się w skrócie przekazać to, co nadawało się dla uszu męża.

— Cóż za zdumiewająca łączność duchowa. Telepatia. To pewnie wskazuje na pokrewieństwo dusz? Nic mu nie powiedziała, a on wszystko wiedział — pastwił się nade mną Krzyś.

— Mnie to też zdziwiło — powiedziałam naiwnie i popatrzyłam na syna i mamę, jakby oczekując, że potwierdzą moje słowa. Lecz oni nie mogli przecież dać świadectwa mojej prawdomówności, a miny ich świadczyły, że także mają duże wątpliwości.

— I co było dalej, jak cię już ten amant cudownym sposobem odnalazł w miejskiej dżungli? — indagował coraz bardziej wściekły mąż.

— Nic. Zjedliśmy coś. Ja wypiałam drinka czy dwa, a potem on odwiózł mnie do domu.

— Wypiałś drinka, a raczej dwa, a potem on odwiózł cię do domu — Krzysztof bawił się w echo.

— Trochę nadłożył drogi. Ty byś też odwiózł kobietę, a nie kazał jej jechać autobusem po dwóch mocnych drinkach — wkopywałam się coraz bardziej.

— Może o reszcie porozmawiamy już sami w domu — powiedział Krzys zimno.

— O nie! — wkurzyłam się. — W ten sposób sugerujesz, że była, Bóg wie jaka, reszta. Próbujesz mi coś tu imputować wobec dziecka i mamy. A on tylko obejrzał nasz dom, o którego budowie mnóstwo mu opowiadałam, i pojechał dalej.

— Wnioskuje, że te telefoniczne czy internetowe pogaduszki trwały między wami od dłuższego czasu i nic mi o tym nie wspominałaś. Robiłaś mi stale wyrzuty o kontakty z Anią, a sama flirtowałaś w najlepsze. Czy naprawdę chcesz dalej ciągnąć ten temat?

— Nie, nie chcę, nie mam nic więcej do opowiadania. A ty nie pędź tak w obszarze zabudowanym, bo zaraz kogoś przejedziesz — powiedziałam obrażona.

— Rafała pewnie nie pouczałaś, jak cię odwoził? On z pewnością wszystko robi perfekcyjnie — dodał z przekąsem Krzys.

— Nie kłóćcie się — poprosił Patryk. — Czuję się winny, że przeze mnie to

wszystko.

— Synu, nie przejmuj się — pocieszyłam dziecko. — Co straszego się stało, że po latach spotkałam się ze szkolnym kolegą? Stwierdziłam, że owszem jest przystojny, ale nie zamieniłabym naszego taty na niego — pojednawcze zdanie poszybowało do Krzysia. Mąż mile połechtany na chwilę się udobruchał, lecz mama znów dorzuciła do ognia.

— Ale wciąż nam nie wyjaśniłaś, za co on chciał cię za moim pośrednictwem przeproszać.

— Oj tam, nic wielkiego — grałam na zwłokę, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Dobierał się do ciebie? — spytał nagle Patryk. — Powiedz prawdę, to z tatą natrzepiemy drania. Ja już nie chcę żadnej Florydy. To był naprawdę głupi pomysł.

— Coś ty, kotku, nie było w ogóle takich sytuacji — łągałam i wstydziłam się tego, ale uważałam, że tak będzie lepiej. — Mój kochany obrońca — pogłaskałam go po głowie. — Poszło o różnicę poglądów na pewne sprawy. Ja już jestem w takim wieku, że faceci wolą ze mną dyskutować niż...

— Aha, akurat — odezwał się Krzyś, w sposób, który mile mnie połechtał. — Patryk ma rację. Jeśli facet będzie jeszcze coś kombinował, dzwonił lub nachodził babcię, to mu natrzaskam.

— Ha, ha! — zaśmiałam się spontanicznie i niezwykle głupio dodałam: — Musiałbyś skorzystać z pomocy Patolka i jeszcze jego kolegów.

— Ach tak — kwaśno odrzekł Krzyś i zamilkł.

W milczeniu dojechaliśmy do domu, bo babcia trochę się zdrzemnęła. Patryk też wolał się już nie odzywać, gdyż ciążyło mu poczucie winy. Ja po minie męża wiedziałam, że ciche dni między nami są nieuniknione i mogą tym razem potrwać nieco dłużej. Ale z drugiej strony poczułam ulgę, że Krzyś już wie o wizycie Rafała i nie muszę obawiać się gadatliwości Mariana. Inne szczegóły

tego cholernego spotkania mogliby ujawnić tylko jego uczestnicy. Ja na pewno nie będę się chwalić i zadbam o to, by obaj panowie, Rafał i Krzyś, nigdy się nie spotkali.

III. WSPÓLNY WYJAZD

Było gorzej, niż myślałam. Krzyś po powrocie do domu nie odezwał się do mnie ani słowem. Mimo dość późnej pory wyniósł na werandę sprzęt muzyczny. Nie pytając, jakie są plany reszty rodziny, ogłosił, że on będzie tu słuchał muzyki i pragnie, by mu nikt nie przeszkadzał. Choć wieczór był cudownie ciepły, kolację musiałam podać w domu. Mąż wpadł do stołowego, nakładł sobie na talerz wszystkiego po trochu. Na tacy postawił butelkę czerwonego wina oraz jeden jedyny kieliszek, po czym bez słowa wrócił na werandę do swojej muzyki. Niedobrze. Jak my jutro będziemy razem podróżować? A może nasza wyprawa wcale się nie odbędzie? — pomyślałam z lękiem.

— Czy pan Krzysztof się na nas o coś gniewa? — zapytała spostrzegawcza Ewelina, która zjawiała się z Frankiem zaraz po naszym powrocie z Kielc.

— Nie zwracaj na to uwagi. To chodzi o mnie, a wam się dostało rykoszetem — powiedziałam, by nie myślała, że jej obecność wprowadza jakieś zamieszanie.

— Sądziłam, że porozmawiamy z Krzysztofem, co zrobić z tym Rafałem — odezwała się mama żądna dalszych emocji. — Tego tak nie można zostawić. Krzysztof wyjedzie do Anglii, a tu w każdej chwili może znów zawitać Rafał. Ale twój mąż, jak zwykle, zamiast rozwiązywać problemy, woli chować głowę w piasek — nadawała.

— Mamo, nie było żadnego problemu, dopóki ty go nie stworzyłaś. Bądź tak miła i nie zajmuj się już więcej tą sprawą — zasyczałam wściekła. — Ja sobie poradzę z Rafałem i z emocjami własnego męża także.

— A ze swoimi też? — zapytała mama, spoglądając mi badawczo w oczy.

Poczułam, że pod wpływem tego spojrzenia robi mi się gorąco, a moje policzki stają się szkarłatne. O Boże, kiedy ja z tego wyrosnę? — westchnęłam w duchu. Te cholerne rumieńce prześladowały mnie od najwcześniejszej młodości. A najgorzej było, gdy wiedziałam, że ktoś mnie o coś podejrzewa.

Teraz też przecież nie miałam zamiaru już więcej spotykać się z Rafałem i pragnęłam jak najszybciej wymazać z pamięci to niefortunne spotkanie, ale moje płonące lico świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym.

— Nie wiem, co sobie ubzdurzyłaś, ale mogłabyś się czasem lepiej zastanowić nad tym, co mówisz i w jakich okolicznościach — ofuknęłam mamę.

— Pewnie, teraz ja będę wszystkiemu winna? Ty flirtujesz, a rozpad rodziny ja mam wziąć na siebie — mama nie dawała za wygraną i coraz bardziej wczuwała się w rolę obrończyni mojego stadła. Swojego nie zdołała obronić, a teraz rozwali moje — pomyślałam ze złością.

— Jakiemu znów rozpadowi rodziny?! — załamalam rękę. — Naszej rodzinie nic nie grozi. — Próbowałam się uśmiechnąć, gdyż czułam na sobie badawcze spojrzenie Eweliny i przerażone Patryka. — Zjedzcie spokojnie kolację — zwróciłam się do nich. — A potem, żeby zażyć przed snem świeżego powietrza, możemy spacerkiem odprowadzić Ewelinę do domu. To będzie ze cztery kilometry w obie strony. Ty, mamó, pewnie nie dasz rady tyle przejść? Jesteś zmęczona po podróży, więc może pościelę ci łóżko? — powiedziałam w nadziei, że już się od niej uwolnię, a do jutra ona zapomni o wszystkim.

— Też pomysł! Nie jestem dzieckiem, żeby z kurami chodzić spać — prychnęła dziarsko babcia. — Chętnie się poruszam, bo się zasiedziałam w tym pociągu, a przy okazji zobaczę, w jakich warunkach żyje teraz Franuś.

— Nie będziemy o tej porze i bez zaproszenia nachodzić ludzi! — wykrzyknęłam, widząc już oczyma wyobraźni moją mamę u dziadków Franka w roli kuratora.

— Nic się nie martw. Na pewno jeszcze nie śpią — odparła niczym niezrażona mama. — Ja tak bardzo delikatnie zorientuję się, co i jak. Wybadam, jakie mają plany w stosunku do wnuczka i Ewelinki. Czy oni płacą ci alimenty? — mama zwróciła się do dziewczyny. — Dziadek Franka, zdaje się, pracuje za granicą, to chyba dobrze im się powodzi? Musisz, Ewelino, zadbać o to, żeby

wszystko było przeprowadzone formalnie przez sąd.

— Dostałam już od nich trochę pieniędzy. Nie ma powodu, żeby się z nimi sądzić. Teraz w sezonie budowlanym pan Czesław jest w Niemczech. W domu jest tylko pani Danusia — poinformowała Ewelina.

— To nawet lepiej, że starego nie ma. Mówiłyście chyba, że to raptus. Zresztą od kobiety zależy atmosfera w domu. Ja tam od razu rozpoznam, co z niej za człowiek, i dam do zrozumienia, że my cały czas czuwamy nad Frankiem i Ewelina — mama znów przybrała bojowy ton. — Powiedz mi, Ewelino, jak oni cię traktują? — ciągnęła dalej. — Tylko mów szczerze, bo jakby coś nie tak, do mnie zawsze możesz wrócić. Zmieścimy się wszystkie trzy z Dominiką. A może lepiej studiowałabyś w Warszawie? Tu ci Patryk będzie przeszkadzał, a ty...

— A co babcia znów chce ode mnie?! — odezwał się bardzo niegrzecznie milczący dotąd Patryk. — Wiecie co, niech babcia idzie spać, a mama do taty na werandę. Myślę, że powinniście pogadać. Ja sam odprowadzę Ewelinę i wpadnę jeszcze do pubu, bo wieki nie widziałem żadnego z chłopaków.

— No, tego to jeszcze nie było, żeby mnie smarkacz wyganiał do łóżka! — babcia udawała oburzenie, ale nagle złagodniała. Przygarnęła do siebie drągala i ucałowała. — Może masz rację, że powinnam iść spać — zgodziła się. — Nogi się pode mną uginają po winie i od tego upału. Wiem, jaki mam charakter. Nagadałam znów za dużo. Przecież z tym Rafałem to na pewno nic takiego — uśmiechnęła się przepraszająco pod moim adresem i jeszcze raz przytuliła wnuczka. — Ale ty trzymaj się z daleka od Ewelinki — pogroziła mu palcem. — Jej na razie niepotrzebne są romanse. Ma już swojego chłopaka, który teraz właśnie wygląda, jakby robił kupę.

Babcia nachyliła się nad wózekiem, w którym Franek, czerwieniejąc cały z wysiłku, parł na stolec. Wystarczyło, że wnuczek dał się przytulić, a ona już urocza i wyluzowana. Potrafi się uśmiechać i wszystko nagle załagodzić —

myślałam, obserwując swoją rodzicielkę. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie postawiła kropki nad i. Pochylając się nad Frankiem, dodała więc:

— O proszę, Ewelinka ma swoją zafajdaną słodką zabawkę, a ty, Patryczku, idź już lepiej do tych rapujących kumpli i nie wracaj zbyt późno.

Patryk wysłuchał jej uwag i nawet zgodnie pokiwał głową, a potem wziął przewiniętego Franka i wyszedł z Ewelina na drogę. Moje dzieci są mądrzejsze ode mnie — pomyślałam z pewną zazdrością. Potrafią patrzeć na babcię z lekkim dystansem. Mają więcej wyrozumiałości, a ja traktuję ją zbyt poważnie. Zacietrzewiam się o byle co i czuję się dotknięta. Na chłodno i z daleka pamiętam, ile ma lat, że nie oszczędzało jej życie, więc ma prawo być czasami nieznośna. Mam też świadomość, jak bardzo moja mama nas kocha, swoje córki i wnuczęta. Może to ja mam za mało dla niej ciepłych uczuć? Kiedy tylko wytknie mi błąd w postępowaniu z mężem lub w stosunku do dzieci, wnerwiam się i mam od razu ochotę z zemsty przywalić jej jakimś nieprzyjemnym wspomnieniem z mojego dzieciństwa.

Sprzątałam po kolacji i myślałam nad tym, jak skomplikowane jest nasze proste i całkiem zwyczajne życie. Miałam teraz niby błahy, a jednak problem, jak tu naturalnie podejść do zagniewanego męża, żeby nie kajać się i nie przeproszać, bo jeszcze pomyśli, że ma rację. Musiałam jednak coś zrobić, by uratować nasz zaplanowany na następny dzień wyjazd. Nalałam więc sobie lampkę białego wina, poprawiłam włosy i pociągnęłam usta błyszczkiem, pogłębiłam dekolt, odpinając jeden guziczek więcej i cichutko weszłam na werandę.

Krzyś zasłuchany w jakieś czarne, bluesowe brzmienia nawet na mnie nie spojrział. Patrzył w dal na niebo usiane gwiazdami i rytmicznie poruszał głową.

— Moje biedactwo, kiwasz się, jakbyś miał chorobę sierocą. — Przytuliłam go i ucałowałam w siwiejącą skroń. — Ja, dla odmiany, nie wiem, jak choć na trochę uwolnić się od nadmiaru rodzicielskiej troski. Myślę, że jedyną szansą jest ten nasz wyjazd. Dlatego powinniśmy, tak jak planowaliśmy, udać się jutro na

wyprawę i zostawić młodych mamie na pożarcie. Patryk da sobie radę z babcią. Już ją prawie rozbroił.

— Myślisz, że nic się nie stało, że ja mogę tak zwyczajnie przejść nad tym do porządku dziennego? Nie rozumiem, jak ty mogłaś...? — Krzyś znów zaczął swoje, lecz nie pozwoliłam mu dokończyć.

— Że co niby mogłam? Nic się nie stało. Nie wierzysz mi?

— Stało się, bo całe miesiące ukrywałam przede mną te wasze konszachty.

— Nic nie ukrywałam. Nie złożyło się po prostu. Jak byliśmy razem, to w ogóle o tym nie myślałam. A kiedy rozmawialiśmy na Skypie czy przez telefon, miałam ważniejsze sprawy. Przecież u dzieci tyle się działo i z budową trzeba było stale coś uzgadniać.

— Akurat uzgadniałam. Większość rzeczy zrobiłam po swojemu.

— Ale próbowałam cię do nich przekonywać. Nie możesz mi zarzucić, że nie konsultowałam z tobą. To ty często dawałeś mi do zrozumienia, że ci wszystko jedno, byle było tanio.

— Na pewno nigdy tak nie było — zachnął się. — Oczywiście, uważam, że powinniśmy bardzo ostrożnie wydawać pieniądze, bo teraz dopiero, gdy dzieci pójdą na studia, wzrosną nasze wydatki. A my jesteśmy już coraz starsi i wszystko się może zdarzyć.

— Co niby ma się zdarzyć? Chcesz mi teraz wmówić, że jestem stara i że stoję już nad grobem? Zastanów się, co może dziać się w duszy kobiety w moim wieku po tak krzepiących słowach męża. Reakcje mogą być dwie: depresja albo bunt i agresja. Ja mam skłonności do buntu, więc dośpiewaj sobie resztę i nie licz na moje poczucie obowiązku, przyzwoitość itepe. Ty i twoja mama wiecznie powtarzacie, że nie wyniosłam ich z domu. A potem to już na naukę było za późno, chociaż miałam u boku taki ideał do naśladowania jak ty.

Było coraz gorzej. Miałam załagodzić sytuację, a ja ją jeszcze podgrzałam. To chyba te cholerne wybuchy na słońcu. Co ja gadam? Krzyś ma rację nawet z tym

oszczędzaniem — myślałam.

— Widzę teraz, jak ty mną manipulujesz. — Mąż srożył się coraz bardziej. — Niedługo w mówisz mi, że to wszystko moja wina. Jestem taki zły, dołuję cię i ty zdesperowana zwracasz się do dawnej sympatii. Czy tak powinienem zrozumieć twoje zachowanie? Ty mnie podwójnie oszukiwałaś. Jeszcze dziś przed południem udawałaś szczęśliwą małżonkę. Ta panująca między nami w ostatnich dniach cudowna atmosfera, którą tak się cieszyłem, miała, jak się okazuje, swoje źródło w twoim i Rafała nieporozumieniu. Czy gdybyście się dogadali, rzuciłabyś mnie i rodzinę? Powiedziałabyś to szczerze czy wysyłałabyś mnie nadal do Ani, wmawiając wszystkim wokół, że mnie z nią coś łączy? Takiej cię nie znałem — powiedział Krzyś dramatycznie. — Naprawdę powinienem się zastanowić, czy nie zrobiłem największego błędu w moim życiu, ufając ci bezgranicznie. Może właśnie Ania była kobietą dla mnie. Ona przynajmniej nigdy mnie nie okłamała. Cóż, człowiek, kiedy kocha, jest ślepy i głuchy. A mama wciąż mnie ostrzegała.

Już byłam gotowa paść mu do stóp i błagać o przebaczenie, takie wrażenie zrobiła na mnie ta przemowa, lecz na wspomnienie teściowej zagotowało się we mnie. Zapragnęłam natychmiast wysłać tego maminsynka rakieta na Mazury, by padł w objęcia stęsknionej rodzicielki i wypłakał się jej na ramieniu. Moje wyrzuty sumienia nagle zmalowały o trzysta procent.

— Za zdradę na ogół odpowiadają obie strony — rzuciłam gniewnie.

— A więc przyznajesz, że była zdrada?! — Krzyś wyłączył muzykę.

— Nic takiego nie przyznaję, tylko dyskutuję. Od dawna ci nic nie pasowało, choć ja się starałam, żeby każdy twój przyjazd był dla nas świętem. A kiedy wysiadałeś z samolotu na Wyspach, oddalałeś się od moich problemów o całe lata świetlne. Ty miałeś kłopot z niedokładnym, plastikowym modelem okrętu, a mnie setny raz zgasło w cholernym trocinowym palenisku. Słuchałeś ulubionych płyt, punktując gwiazdkami poszczególne utwory, a mnie

poddawano w szkole ewaluacji. Wójt tylko na to czekał, żeby mieć powód do zesłania mnie do którejś z peryferyjnych podstawówek, które teraz będą likwidowane, ale nie było pretekstu. Kiedy Marian kolejny raz zniknął z budowy, a wiatr hulał pod pokrytym folią dachem, szarpano mi w szkole nerwy durnymi sprawozdaniami, które i tak nie poprawią wyników nauczania, bo system oświaty jest ciężko chory — wyżalałam się hurtem na wszystko. — Użerałam się z prawdziwym życiem, a ty...?

— Co ty sugerujesz... że ja się w Anglii bawię? Cały czas ciężko pracuję i wspieram cię we wszystkim.

— Pracujesz i przywozisz pieniądze. Tego nie neguję, ale nie martwisz się, jak sobie sama radzę i co w ogóle czuję. Zobojętniałam ci zupełnie. Tak to przynajmniej odbierałam. Ja jestem o ciebie zazdrosna, a ty nawet nie pomyślisz o jakimkolwiek zagrożeniu. Bo co? Bo komu mogłaby wpaść w oko kobieta w moim wieku? Tak myślisz? Fakt, że na naszej wsi nie ma żadnych pokus. Nie to co w szpitalu na dyżurach, prawda? W szkole prawie same baby. Facetów mijam czasami w centrum handlowym, jak pojedę na większe zakupy. Jasne, że są jeszcze listonosze i robotnicy budowlani. Choć trudno im odmówić męskości, u mnie nie wchodzi w grę. Mam przecież jakieś wymagania intelektualne. Jestem więc zupełnie bezpieczna. Zahukana, zarobiona, zaniedbana żona, zajęta przyziemnymi rzeczami, które prawdziwych kobiet nie interesują. Ubrana w waciak lub dres, nie mogę przecież nawet marzyć, by być obiektem pożądania. Czas, żebym pogodziła się ze swoją rolą i spokojnie wysłuchiwała relacji z wycieczek i spotkań męża z odnoszącą zawodowe sukcesy doktor Anią. Nie potrafisz zrozumieć, co ja czułam? — Gniew najwyraźniej odebrał mi rozum i klepałam bez sensu, pogrążając się coraz bardziej, ale nie byłam w stanie zatrzymać tego słowotoku.

— I Rafał okazał się tym ratunkiem, cudownym panaceum na twoją zaniżoną samoocenę? Kobieto, ja cię nie poznaję! — wykrzyknął dramatycznie Krzyś. —

Wydawało mi się, że oboje poświęcamy się dla dobra rodziny. Kiedy wyjeżdżałem, miałem wrażenie, że zostawiam kapłankę domowego ogniska. A tymczasem okazuje się, że w ciągu roku żona przemieniła mi się w rozbuchaną, ryczącą czterdziestkę. Pamiętaj, że to już czterdziestka z okładem. Cieszyłem się, że w tych zwariowanych czasach udało nam się stworzyć modelowy wręcz związek. Że w naszym domu panują spokój i harmonia. Mamy cudowne dzieci i nareszcie własne, piękne miejsce na ziemi. Co jeszcze można chcieć od losu? Nigdy bym się nie spodziewał, że teraz właśnie, po tylu latach, wydarzą się w naszym małżeństwie jakieś wstrząsy. Widzę, że powinienem jednak być stale przygotowany na najgorsze, bo w waszej rodzinie to dziedziczne.

— Nie jestem żadną kapłanką, tylko kobietą z krwi i kości. Nie ma modelowych związków. Model jest martwy, to struktura, która nie żyje. A ja jeszcze żyję i mocno wszystko odczuwam.

— Ja też nie jestem z lodu, ale nie rzucam się na kobiety. Owszem, zauważam i doceniam ich urodę, ale na tym koniec. Trzeba mieć jakieś opanowanie. A poza tym małżeństwo to zobowiązanie. Nie zawsze będą fajerwerki.

— Czy ja się na kogoś w życiu rzuciłam? Co ty sugerujesz... że to ja sprowokowałam Rafała? — obruszyłam się.

— A do czego go sprowokowałaś? — Krzyś próbował łapać mnie za słówka.

— Nie chcę już mówić o Rafale, bo to jest bez sensu. Chciałabym tylko wiedzieć, czy jesteś o mnie choć trochę zazdrosny, czy jedynie zgorszony?

— Bo co? — Krzyś wymigiwał się od odpowiedzi.

— Bo od tego wiele zależy.

— Grozisz mi rozstaniem? A może już podjęłaś taką decyzję. Rafał czeka?

— Nie pleć głupstw. Myślę, że się zagalopowaliśmy. Jak my po tym wszystkim, co tu zostało powiedziane, wsiądziemy jutro do jednego auta i pojedziemy w podróż? — nareszcie nawiązałam do tego, co było celem mojego

„ugodowego” wyjścia na werandę.

— Boję się, że jesteś tak wrogo nastawiona, iż możesz w którymś momencie podgryźć mi gardło — Krzyś zażartował kwaśno.

— Obawiam się, że jeśli zostaniemy w domu, to przy kolejnej zaczepce mamy rzucę się na kogokolwiek i zagryzę go na śmierć. — Ja również próbowałam żartem schładzać atmosferę. — Lepiej będzie zrealizować nasze małżeńskie plany i jechać zwiedzać te cholerne fortyfikacje. Doceń to, że wybór trasy jest ukłonem w twoim kierunku. Ja właśnie w taki sposób pielęgnuję nasze małżeństwo. Po prostu pragnę, abyś był zadowolony.

— Nie chcę, żebyś się poświęcała. Mogę te budowle obejrzeć sam albo...

— Nie zaczynajmy znowu — powiedziałam pojednawczo, nie chcąc słyszeć już, jakie to alternatywne towarzystwo ma na myśli. — Jedziemy jutro i nie ma gadania — zadecydowałam.

Krzyś nie odezwał się już ani słowem, a ja wstałam tak ostro, że pusty kieliszek przewrócił się na drewniany, niczym nieobleczony stół i rozpadł z brzękiem. Mam nadzieję, że to na szczęście — pomyślałam, zbierając szkło. Udałam się do łazienki. Po wyjściu spod natrysku natarłam się nowym, pięknie pachnącym balsamem do ciała. Przyglądałam się przez chwilę swej nagiej sylwetce w lustrze i stwierdziłam z zadowoleniem, że jeszcze jest całkiem dobrze. Dzięki psom i ogrodowi mam coraz więcej ruchu. Lustro lekko zaparowało, więc może nie wszystko dojrzałam, ale poczułam w sobie krzepiącą siłę. Dość agresywna wymiana zdań z Krzysiem dobrze mi zrobiła. Skończyłam wreszcie z bezproduktywnym dołowaniem się i postanowiłam mu pokazać, co to jest rycząca czterdziestka. W sypialni czekała mnie jednak niemiła niespodzianka. Krzyś zabrał pościel i powędrował spać do gościnnego pokoju.

Wczesnym rankiem usłyszałam stukanie szuflad kuchennych i brzęk naczyń. Pomyślałam, że to mama, której po wschodzie słońca trudno jest wytrzymać w łóżku, krząta się po kuchni. Podejrzane było jednak to, że ów ranny ptaszek

zachowywał się wyjątkowo cicho, a babcia na ogół pragnie, by wszyscy wraz z nią wstawali o świcie, uważa bowiem, że wczesny rozruch jest gwarancją sukcesów życiowych. Ten osobnik w kuchni coś sobie naszykował i udał się na paluszkach na górę. Nie mógł to być Patryk, który wrócił do domu po północy i bez względu na wszystko będzie próbował spać przynajmniej do południa. Nabrałam więc pewności, że to ani chybi mój mąż coś kombinuje.

Poprzewracałam się jeszcze trochę w łóżku, ale natłok myśli wirujących wokół wczorajszej wyprowadzki Krzysia ze wspólnej sypialni nie dał mi już zasnąć, wstałam więc. Sprawdziłam pod pokojem mamy, że nic się u niej nie dzieje, gdyż babcia spokojnie chrapie. Naszykowałam sobie śniadanie, potem spakowałam resztę kosmetyków i byłam już gotowa do drogi. Na górze panowała absolutna cisza.

Postanowiłam, że wyjadę stąd, choćbym miała jeździć obwodnicą wokół Kielc i noce spędzać w pobliskich motelach. A zresztą, czy to ja nie umiem sobie zorganizować ciekawych wakacji? — pomyślałam buńczucznie. Najpierw pojedę do Grażyny — planowałam. Samotne włóczenie się nie jest przyjemnie. Prawdziwa przyjaciółka powinna w tej sytuacji rzucić wszystko, w tym przygotowania do ślubu, i jechać ze mną Bóg wie dokąd. W przyjaźni tak czasem trzeba. A może Maria chciałaby popodróżować? Szkoda, że nie zapytałam, kiedy planuje urlop. To głupio wpaść tak do kogoś zniecka. Nie, to idiotyczny pomysł — dopadły mnie skrupuły.

Uświadomiłam sobie nagle, że od zamążpójścia nie wypoczywałam i nie bawiłam się nigdy bez męża. Do samotności w domu zdążyłam się przez ostatni rok przyzwyczaić, choć nie było łatwo, ale samotny urlop wcale mnie nie kręcił. Dopakowałam jednak z uporem walizkę, wytaszczyłam ją do samochodu. Zatrzasnęłam bagażnik bardzo mocno, a potem jeszcze sprawdziłam zamknięcie wszystkich drzwiczek, trzaskając przy tym z całej siły. Co ten Krzyś sobie myśli? — pomstowałam w duchu, wyprowadzając auto. Najwyżej pojedę sama

zwiedzać te austriackie twierdze, bo nie mam żadnego alternatywnego planu. Zamknęłam garaż z taką złością, że psy w popłochu pochowały się w budach. Miałam wielką ochotę wrócić do domu, lecz wewnętrzne nabuzowanie nie pozwalało mi się cofnąć. Usadowiłam się już na dobre za kierownicą, zapięłam pasy i poprawiłam lusterka, i wtedy wreszcie Krzyś ze swoim bagażem stanął na ganku. Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Śmiać mi się chciało i miałam ochotę go uściskać, że się przełamał. Kiedy pomyślałam, że gdybym celowo nie marudziła, mogłabym już przecież dawno odjechać, szlag mnie po prostu trafił na tę jego opieszłość.

— Wsiadaj! — rzuciłam, opuszczając szybkę, i nawet nie wyłączyłam silnika. Krzyś powolutku wkładał do bagażnika i na tylne siedzenie swoje manele, a mnie aż podrywało ze złości. Stanął jeszcze przed samochodem i zapytał:

— Ty będziesz prowadzić?

— Tak, ja, bo już się naszykowałam — warknęłam i ruszyłam z piskiem opon, zanim mąż zdążył zamknąć drzwi.

Ranek był piękny, słoneczny, rześki, pachnący. Jechało mi się wyśmienicie. Trochę sobie popiratowałam, a Krzyś reagował histerycznie.

— Po co tak pędzisz? Przecież nigdzie się nie śpieszymy — strofował mnie co chwilę.

— Lubię szybką jazdę — odparłam.

— Szybka jazda dobra jest na torze wyścigowym. Masz stary samochód, droga nie jest autostradą. Po co tak ryzykować? — marudził.

— Masz rację, przydałoby się kupić nowe auto.

— Myślałem o wydatkach, jakie nas czekają w najbliższym czasie, i doszedłem do wniosku, że muszę jeszcze na następny rok przedłużyć swój kontrakt — powiedział mąż poważnie. — Nie mamy już wprawdzie długu, ale też nie mamy żadnych oszczędności. Kiedy wrócę do kraju, potrzebny będzie drugi samochód. Utrzymanie dzieci na studiach sporo kosztuje. Nie mogę jeszcze

zrezygnować z Anglii.

— Miało być inaczej — zachnęłam się. — Uciekasz ode mnie?

— Bez przesady. Są poważniejsze kwestie niż sprawy damsko-męskie, nie uważasz? Pieniądze są potrzebne, a ile ja mogę zarobić w jakiejś przychodni? Trochę może bym dorobił dyżurami, ale to wszystko mało. Liczyliśmy już przed moim wyjazdem.

— Ale budowa jest właściwie skończona. Zostały naprawdę drobiazgi.

— Trzeba było bardziej się ograniczać z wydatkami. Teraz nie widzę innego wyjścia, tylko przedłużyć kontrakt — powiedział sucho mąż i zasznurował usta.

Mój Boże, tyle lat z tym człowiekiem przeżyłam, a nie wiedziałam, że potrafi być taki zawzięty — pomyślałam z rozzaleniem. A może on tylko czekał na jakiś pretekst, żeby wziąć nogi za pas? Rodzina i żona raz na trzy tygodnie prezentują się lepiej. Znów hitchcocki zaatakowały mój mózg i zaczęłam sobie wyobrażać, jaki to podły plan uknuł mój mąż z... I tu właśnie nie mogłam się zdecydować. Chwilami widziałam Krzysia tradycyjnie z Anią, a potem Ania zmieniała się w ognistą brunetkę o wyzywającej urodzie. Coś chyba dotarło do mojej świadomości, że Ania ma inne plany. Ale skąd wzięła mi się ta brunetka? Nie wiem. Może na zasadzie kontrastu ze mną? W każdym razie wyimaginowane obrazy przesłoniły mi znaki drogowe i sprawiały, że noga na gazie stawała się coraz cięższa i bardziej sztywna. Kiedy po raz kolejny na podwójnej ciągłej wyprzedziłam tira, pobladły ze strachu Krzyś zawołał:

— Zatrzymaj się natychmiast, bo wyskoczę w biegu!

Bezzwłocznie włączyłam migacz i zjechałam na pobocze.

— Coś ci się stało? — spytałam z miną niewiniątka, wychodząc z samochodu.

— To ma być urlop? Ja się mniej stresuję w czasie reanimacji, niż jadąc z tobą. Co cię opętało?

— Nerwowa jestem od wczorajszej nocy — bąknęłam pod nosem.

— Oddaj kluczyki, bo inaczej nie jadę dalej — zagroził.

— Łap! — krzyknęłam i rzuciłam kluczykami w stronę męża.

Klucze poszybowały ponad głową Krzysia, który, próbując je złapać, pośliznął się na mokrej od rosy trawie. Nie wiem, czy pierwszy upadł Krzyś, czy też kluczyki. Pełna wyrzutów sumienia pomogłam wstać mężowi, sama ześlizgując się na skraj rowu pełnego wody. Kluczyków nie było widać ani w pokrzywach, ani w wysokiej trawie. Na Krzysia nie mogłam w kwestii poszukiwania zanadto liczyć, bo złość zaciemniała mu widzenie. A poza tym nigdy nie znalazł żadnego grzyba, chociaż niedaleko domu mamy las pełen czerwonych kozaków, których kapelusze osiągają rozmiar sporej miski. Ze skruszoną miną zanurzyłam się w pokrzywach i zaczęłam po omacku szukać zguby, modląc się przy tym, by kluczyki nie odpłynęły sobie z nurtem wody przydrożnego rowu. Mąż wykazał się wielkim wyczuciem chwili i na szczęście nie komentował mojego zachowania, a jedynie nogą rozgarniał zielska i udawał, że szuka wraz ze mną.

Zupełnie cicho podjechał do nas policyjny radiowóz. Gdy policjant w białej czapce wysiadł z samochodu, już wiedziałam, o co chodzi.

— Panie kierowco, zaparkował pan w miejscu niedozwolonym — zwrócił się do Krzysia, który na szczęście zaczął się z wrażenia jąkać:

— Ja, ja nie...

— To moja wina — wpadłam mu w słowo. — Ja prowadziłam samochód, ale poczułam nagle mdłości i musiałam się zatrzymać. Mam jeszcze kłopot, bo odruchowo wyciągnęłam kluczyki ze stacyjki i w trakcie wymiotów je upuściłam. Gdzieś tu upadły.

— To pani chora prowadzi samochód? — Drugi policjant wysiadł z radiowozu i pochylił się nad rowem.

— No... to niezupełnie choroba. To tylko takie poranne mdłości. Rozumiecie, panowie? Na ogół czuję się dobrze, ale chyba zemdleł mnie zapach

wody toaletowej męża — kłamałam jak z nut.

Obaj policjanci uśmiechnęli się rozbrojeni i zaczęli poszukiwać zguby wraz ze mną. Krzyś, stojący dotąd sztywno jak uliczna latarnia, także zaangażował się w poszukiwania, bo mu inaczej nie wypadało. Po chwili wszyscy czworo byliśmy brudni i pokłuci ostem oraz pokrzywami, a kluczyków ani śladu.

— Niech pani usiądzie sobie w samochodzie. Nie powinna się pani tak męczyć w tym stanie — powiedział do mnie troskliwie młodszy policjant. — Będziemy szukać aż do skutku. Trzeba też sprawdzić w wodzie. Nurt nie jest wartki, ale dno muliste.

Głupio mi było, że tak oszukałam miłych i uczynnych ludzi. Wyprostowałam się na moment i wzrok mój padł na krzaczek po drugiej stronie rowu. Kluczyki kiwały się zawieszane na gałązce, doskonale wtopione w ciemną korę i brunatne, przegniłe od nadmiaru wody liście.

— Są! — krzyknęłam triumfalnie.

Policjant skoczył po nie usłużnie i zjechał jedną nogą w czarne, grząskie bagno. Niezrażony niczym, zabezpieczył najpierw klucze, a potem wyciągnął stopę z błota, niestety w samej skarpecie. Skłoniwszy się szarmancko na jednej nodze, podał mi nieszczęsną zgubę, a następnie wrócił po but. Był młody, przystojny, miał szczery uśmiech i mundur do wysokości łydek kompletnie uwalany czarną mazią. Poczułam się prawie jak Barbara z „Nocy i dni”, gdy Tolibowski brodził dla niej w stawie. Ucałowałam z rozrzewnieniem w oba policzki naszego wybawcę.

— Ja nie wiem, dlaczego niektórzy w tym kraju narzekają na policję — powiedziałam z uśmiechem. — Przepraszam za wszystko i dziękuję. Jakiej wysokości mandat mam zapłacić za to parkowanie?

Młody funkcjonariusz jeszcze zawstydzony moją wylewnością, spoglądając ukosem na Krzysia, zaczął się zarzekać:

— Ależ jaki tam mandat? Trzeba tylko na następny raz włączyć światła

awaryjne. Jesteśmy ludźmi i rozumiemy, że są w życiu różne sytuacje. Dobrze, że się te kluczyki znalazły. I niech się dzidzius zdrowo chowa. To państwa pierwsze?

— Trzecie — odezwał się Krzyś ze złośliwym uśmiechem.

— Trzecie to dla mojego męża, bo on ma dwoje z pierwszego małżeństwa — powiedziałam, czarując młodzieńca powłóczyстым spojrzeniem.

— No widać, że pan trochę, za przeproszeniem, już starszy — funkcjonariusz odwzajemnił uśmiech.

— Ale nie tak stary, żeby nie móc poprowadzić samochodu. — Krzyś wyrwał mi brutalnie kluczyki. — A ile panu należy się za fatygę i za pralnię? — Wyciągnął portfel.

— Nie ma mowy! — zachnął się policjant. — Jeśli nie wypisuję mandatu, nie mogę przyjąć żadnych pieniędzy. Zresztą pani mi tak pięknie podziękowała.

Miałam ochotę zrobić to jeszcze raz, ale uścisnęłam obu panom dłonie i Krzyś zrobił to samo. Wsiadliśmy do samochodu i wolniutko potoczyliśmy się w kierunku twierdzy Zamość, którą postanowiliśmy obejrzeć, zanim dotrzemy do głównego celu naszej podróży, czyli Przemyśla.

— Jacy mili policjanci, prawda? Teraz wiem, dlaczego mówi się na nich „psy”. Ludzie by się tak nie zachowali — zażartowałam, ale zmroziła mnie mina Krzysia.

— Kobieto, z jaką łatwością ty kłamiesz! — powiedział z wyrzutem. — Przerażasz mnie. Skąd ci się biorą takie pomysły?

— Nie wiem. Zacznę chyba pisać książki — próbowałam obrócić wszystko w żart.

— Przy dzieciach też tak kłamiesz? W ten sposób można zniweczyć lata tłumaczenia im, że kłamstwo jest złem.

— Nie, przy nich staram się kontrolować. Ale to było niewinne kłamstwo, a nie biblijne fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu. — Miałam już teraz dobry

humor i nie chciałam znów wdawać się z mężem w kłótnię.

— Ciekawe, czy według ciebie istnieje także zdrada niewinna? Cudzołóstwo nie jest grzechem, gdy mąż jest nieświadomy? A zaczyna być, gdy się wszystko wyda? — zapytał Krzyś z bardzo srogą miną. Wydawało mi się jednak, że w kąciku jego ust spostrzegłam cień uśmiechu. Przemilczałam więc prowokacyjną klasyfikację zdrad i ćwierkałam dalej jakby nigdy nic:

— Kiedyś byś się cieszył, że udało nam się nie zapłacić mandatu, a dziś marudzisz. A popatrz, jakie mieliśmy szczęście, że kluczyki nie wpadły do wody.

— Gdybyś nimi nie rzuciła, nie byłoby takiej sytuacji — srożył się mąż. — To było infantylne i bardzo nieodpowiedzialne zachowanie.

— Ale widzisz, miałam okazję przekonać się, że wyglądam młodziej od ciebie i robię jeszcze wrażenie na całkiem młodych facetach. — Zacierałam ręce i stroiłam miny do lusterka.

— Bo jesteś młodsza, a przede wszystkim zachowujesz się niepoważnie. Podrywałaś tego młodego, a on starał się być miły. Z tymi całusami przesadziłaś, postawiłaś mnie i jego w niezręcznej sytuacji.

— Krzysiu, nie załamuj mnie! — krzyknęłam dramatycznie. — Wyglupiasz się, czy naprawdę tak na serio bierzesz tę historię? Nie rób z siebie starego marudy i zastanów się, czy nie powinieneś zrezygnować z planów spędzenia następnego roku za granicą, bo ja mogę w końcu kogoś sobie naprawdę poderwać. — Uśmiechnęłam się zalotnie, aby wreszcie się rozchmurzył, ale afekt był wątpliwy.

— Nie wątpię, że możesz — wybuchnął. — Dziwne rzeczy dają ci satysfakcję. Czy wiesz, jak myśli facet w wieku tego policjanta? Nie powiem ci, bo nie chcę być wulgarny. Zastanawiam się, czego ty właściwie chcesz.

— Teraz to nie chcę się z tobą kłócić. Pragnę trochę odpocząć, pozwiedzać i polumpować się wieczorami w fajnych knajpkach. Może odnajdę w tej podróży swego dawnego, miłego męża, z którym znów będę mogła się śmiać i kochać —

powiedziałam, odwracając głowę w stronę okna.

IV. ŻYCIE Z PASJĄ

Wyprawa do cesarskiej twierdzy Przemyśl pod kilkoma względami okazała się całkiem interesująca. Po pierwsze stwierdziłam, że wielu „chłopców” w różnym wieku zwiedza ze swoimi żonami takie militarne zabytki, a ja dotąd myślałam, że jesteśmy z Krzysiem absolutnymi mutantami. Generalnie tłumów, jak na trasie do Morskiego Oka, tam nie ma. Obiektów jest dużo, rozciągają się na wielokilometrowej przestrzeni, poukrywane w różnych chaszczach, więc czasami można w ogóle na nikogo nie trafić i w samotności penetrować wybetonowane dziury w ziemi, resztki murków, schodów i jakichś wieżyczek. Dość często jednak widywałam analogiczne do naszego tandemu — podekscytowany mąż i człapiąca za nim z cierpiętniczą miną żona. My żony cierpliwie oganiałyśmy się od komarów, robiłyśmy naszym bohaterom zdjęcia przy kolejnym fragmencie gruzu, kiwając potakująco głowami, że: „jest super” i „to zadziwiające, że przetrwało”.

Stercząc w tych niezbyt romantycznych ruinach, zastanawiałam się, dlaczego coś takiego jak hobby dopada głównie mężczyzn. Kobiety bardzo rzadko zajmują się modelarstwem czy kolekcjonerstwem, ale za to często je zwalczają, traktując hobby partnera jako konkurencję. Doskonale rozumiem tę zazdrość, bo nigdy moja, nawet najpiękniejsza, kreacja nie wzbudziła w mężu takiego zachwyty, jak na przykład model pancernika „Prince of Wales”.

Nie zapamiętałam nazw wszystkich zwiedzonych przez nas bunkrów, choć brzmiały całkiem interesująco, ale zostało mi w głowie parę ciekawostek i mogę teraz, jakby co, błysnąć w męskim gronie. Ponieważ bardziej niż dane techniczne dział i nazwiska dowódców interesowały mnie warunki życia ludzi przebywających w takiej warowni, najmocniej wyrył mi się w pamięci widok świetnie zachowanych ubikacji. Osobnych oczywiście dla żołnierzy i osobnych dla oficerów jego cesarskiej mości. Ich zaplanowanie miało ponoć ogromne

znaczenie strategiczne. Twierdza Przemyśl nie została nigdy zdobyta przez wroga, ale chyba nie tylko za sprawą tych kibelków.

Z każdym dniem mojej militarnej pokuty między mną a Krzysiem robiło się cieplej. Wieczorami przy kolacji z rozrzewnieniem oglądaliśmy zrobione za dnia fotografie. Ruiny wyszły znakomicie, ale ja – jak prawdziwa ruina. Włos w nieładzie, oczy podkrążone ze zmęczenia i mina mówiąca: „Nie jestem drzewem, dłużej nie wystoję”.

— Jesteś świetnym kompanem — chwalił mnie Krzyś, gdy zmęczeni wracaliśmy do hotelu objęci wpeł. A potem kładł się do łóżka z mapką, wytyczając marszrutę na kolejny dzień, i zasypiał jak mały harcerzyk z rączkami na kołderce.

Nie o takie pochwały mi chodziło i nie tak wyobrażałam sobie nasz wspólny wypad. Przecież już się na mnie nie gniewał, był wyluzowany, spokojny i nie wracaliśmy ani słowem do sprawy Rafała, a jednak nic go do mnie nie ciągnęło. Ja natomiast, nie wiem, czy to z powodu chłodu męża, czy raczej gorącego słońca, dostałam istnej obsesji na tle erotycznym. „Kobiety myślą dołem” — przypominałam sobie słowa któregoś ze znanych pisarzy. Po pięciu dniach wróciliśmy do domu, ale humor dopisywał głównie Krzysiowi.

— Wiesz, zaraz po powrocie do Anglii wezmę się za sklepanie modelu pancernika z pierwszej wojny światowej. W ten sposób pozostanę jeszcze jakiś czas w tym samym klimacie — cieszył się szczerze mąż, a mnie uderzyło to, że rozstanie ze mną wcale go nie martwi. W zasadzie to dobrze, że hobby wypełnia mu czas wolny po pracy. Nie myśli o głupotach, nie szuka nowych znajomości ani ryzykownych rozrywek, pocieszałam się. Ale z drugiej strony, mógłby podczas rozstania powiedzieć, że będzie tęsknił, a nie kleił.

Ja chyba po prostu za dużo o nim myślę i mam za mało zajęć poza domem, za rzadko kontaktuję się z innymi ludźmi — analizowałam swój przypadek. Wciąż tylko szkoła, mąż, dzieci i dom. A tu dom, zanim został całkowicie

zbudowany, opustoszał. Dzieci po skończeniu szkoły średniej wydorosły w błyskawicznym tempie i już mnie prawie nie potrzebują. Dominika nawet nie miała czasu spotkać się ze mną, bo w przeddzień ostatniej fazy egzaminów załatwiła sobie jeszcze jakieś konsultacje. Tymczasem mąż na obczyźnie trochę jakby zdziecinniał. Smutne to, ale widać taka jest kolej rzeczy — myślałam, wracając po odwiezieniu Krzysia na lotnisko.

Przypomniałam sobie właśnie, że mama mówiła, iż podczas naszego krótkiego urlopu kilkakrotnie do domu przychodzili strażacy i chcieli się ze mną widzieć. Za pierwszym razem nawet ją nieźle przerazili. Tego wieczoru Patryk z kolegami robili sobie grilla na końcu ogrodu i rozpalili ognisko. Wielkie płomienie cieszyły chłopaków, ale niepokoiły babcię, która co jakiś czas ich strofowała, że sfajczą cały nasz dobytek. Wreszcie dała za wygraną i usiadła przed telewizorem. Strażacy tymczasem, jadąc do kogoś z sąsiedniej wioski z wodą, podjechali pod nasz dom wozem bojowym i użyli syreny zamiast dzwonka do drzwi. Babcia omal nie zemdląła. Sądziła bowiem, że budynek już się zajął, a ona spokojnie ogląda serial.

Domyśliłam się, że strażakom chodziło o poprowadzenie ich zespołu artystycznego, o czym informowali mnie już wcześniej. Tak, to jest to, czego właśnie potrzebuję. Będę miała zajęte wieczory. Zabawa w teatr pochłania mnie zawsze bez reszty, więc środek ciężkości moich myśli przesunie się ku górze, i jak Krzysiovi coś się odmieni, będzie żałował. Znany seksuolog w telewizyjnym programie śniadaniowym mówił niedawno, że im mniej się uprawia seksu, tym mniej się go potrzebuje. Można się po prostu odzwyczaić. Trudno, jeśli nawet uschnie w kwiecie wieku ta jakże atrakcyjna dziedzina naszego życia, pozostanie nam jeszcze kilka innych — myślałam z rezygnacją. Dręczyło mnie tylko pytanie, czy pozostałe więzi nie uschną razem z nią.

W niedzielę w kościele, bo, wybacz mi, Boże, najlepsze pomysły artystyczne, nie zawsze zresztą bogobojne, dopadają mnie podczas mszy, wymyśliłam zarys

scenariusza. Miałam takie wytyczne, że musi to być coś aktualnego, satyrycznego, a jednocześnie powiązanego w jakiś sposób z naszym regionem. Mogę przy okazji przyłożyć samorządowej klice i odegrać się za Krzysia — kombinowałam. Nie bardzo wiedziałam tylko, jak tu we współczesne realia wpleść regionalne akcenty, i nie mogłam skupić się na kazaniu. Nagle doznałam prawdziwego olśnienia. Zanim pochyliłam głowę na kończące mszę błogosławieństwo, w moim umyśle poruszały się i mówiły powołane do życia postacie z nowej sztuki.

Po mszy złapałam druha Mietka, przedstawiciela naszej Ochotniczej Straży Pożarnej. Jak zwykle zalatywało od niego lekko alkoholem. Był to stan na tyle permanentny, iż podejrzewam, że bez niewielkiej ilości procentów nie może on już w ogóle funkcjonować. Mietek był osobą najbardziej zaangażowaną w reaktywację zespołu, który z niemałymi sukcesami działał kilka lat temu, wystawiając głównie widowiska obrzędowe. Ludowy ansambl umarł jednak śmiercią naturalną wraz ze swym opiekunem, emerytowanym nauczycielem. Ja nie mam etnologicznego zacięcia i nie czułam się odpowiednio przygotowana do wystawiania takiego repertuaru.

— Panie Mietku, cieszę się, że chcecie ze mną wskrzesić swój zespół. Zaznaczam jednak od razu, że nie podejmuję się robić tych obrzędowych przedstawień. Myślę, że moglibyśmy spróbować stworzyć rodzaj kabaretu i na wesoło pokazywać gminną rzeczywistość. Musimy się spotkać wszyscy razem, to powiem, jaki mam pomysł. Niech pan do mnie zadzwoni, jak się skrzykniecie. W najbliższym tygodniu wszystkie wieczorne terminy mi pasują. Może przyniosę już gotowy scenariusz.

— Super! — wykrzyknął Mietek, ukazując bielutkie jak śnieg dwa kły. Nie znaczy to, że wyszczerzył na mnie zęby jak pies. Nie, po prostu, wobec całkowitego braku siekaczy jego białe i okazałe kły szczególnie rzucały się w oczy, nadając jego smagłej twarzy porośniętej niebieskawoczarnym,

półcentymetrowym zarostem jakiś niepokojąco diaboliczny wyraz. — Bo właśnie chcielibyśmy w tym roku znów wziąć udział w przeglądzie zespołów strażackich. Kiedyś co roku jeździliśmy do Paczkowa. Tam prezentują się zespoły z całej Polski i zawsze wracaliśmy z nagrodą — dodał.

— A kiedy ten przegląd? — zapytałam zaniepokojona, czy aby zdążę napisać i wyreżyserować spektakl.

— Spokojnie, przegląd dopiero na wiosnę, chyba w maju. Dokładną datę ustalą organizatorzy.

— Dopiero w maju?! — zdziwiłam się, bo ja lubię działać szybciej i wcześniej mieć efekty.

— Ale w zimie będą wojewódzkie eliminacje i już trzeba się odpowiednio zaprezentować, żeby zakwalifikowali na Paczków — wyjaśnił Mietek i dodał: — Z nami pracuje się trochę inaczej, wolniej. To nie dzieciaki. Zobaczysz pani. U wielu już pamięć nie ta, a i zebrać wszystkich na jeden dzień i godzinę też niełatwo. Ale najważniejsze, że jest wola.

— Myślę, że będzie dobrze. To czekam na telefon — zakończyłam rozmowę z nieco już mniejszym optymizmem. Jak to: trudno im się zebrać? — pomyślałam. To w końcu chcą mieć ten zespół czy nie? Niemożliwe, żeby zaprowadzenie dyscypliny wśród dorosłych ludzi było trudniejsze niż wśród gimnazjalistów.

Zaraz po powrocie z kościoła zabrałam się z zapalem do pisania scenariusza i wyłączyłam z domowych spraw. Mama była z tego w gruncie rzeczy zadowolona, gdyż mogła dyrygować wszystkim i wszystkimi, z wyjątkiem psów. Te okazały się wierne mnie, a przed babcią raczej uciekały do budy. Zmykał też przed nią do swoich kolegów jej jedyny, ukochany, lecz wiecznie przez nią strofowany wnuczek. W ten sposób poluzowały się nieco kontakty Patryka z Eweliną. Nie powiem, żeby mnie to nie ucieszyło, uznałam więc misję babci za udaną. Ewelina równie chętnie wymykała się z domu, zostawiając

butelkę pokarmu ściągniętego z piersi w lodówce i dziecko pod opieką mojej mamy i babci Franka, które zamiast udzielać jej świątłych rad, mogły je teraz samodzielnie wprowadzać w życie.

Ja byłam w szale twórczym i nie zwracałam już na nic uwagi. Pisałam sztukę, której akcja toczyła się w centrum fikcyjnej gminy Kłócice (nawiązanie do naszych Swarowic), rządzonej przez skorumpowaną klikę. Despotyczny wójt jest oczywiście łapownikiem nie liczącym się z prawem ani z wyborcami. Na skutek donosu staje się obiektem zainteresowania Centralnego Biura Śledczego, którego agent przybywa do Kłócic zbierać dowody przeciwko gospodarzowi gminy. Dla kamuflażu agent Romek przywdziewa świętokrzyski strój ludowy, a ze względu na kontrowersyjną urodę zostaje uznany za czarownicę. Pojawienie się legendarnej wiedźmy mieszkańcy odczytują jako zły omen. Zaangażowany w akcję proboszcz prowadzony z kropidłem przez orszak dewotek nakrywa in flagranti wójta w jego gabinecie z sekretarką, panią Niusią.

Dalej powymyślałam całą masę różnych zabawnych sytuacji obnażających nie tylko nepotyzm i arogancję władzy, ale również marazm i strach mieszkańców gminy przed jakimikolwiek zmianami. Dla zdemoralizowanych kłóciczan władza, której nie da się przekupić, jest bowiem bardziej niebezpieczna, bo nieprzewidywalna. Agent Romek ponosi klęskę, a głusi na wszystko ludzie obracają się w powolnym, jakby chocholim, tańcu.

Kiedy na zebraniu zespołu przedstawiłam gotowy już prawie scenariusz, salwy śmiechu utwierdziły mnie, że trafiłam w dziesiątkę. Schody zaczęły się przy obsadzie. Postacie z ludu poszły jak z płatka. Kumoszki z Koła Gospodyń Wiejskich zagrają sobie bez pudła. Pijacka ławeczka nie mogła pomieścić chętnych. Czarownicą, czyli agentem Romkiem, zostanie Mietek, bo z myślą o jego niebanalnej urodzie tworzyłam tę postać. Na proboszcza idealnie nada się tęgi policjant, który nie należy wprawdzie do zespołu, ale akurat wpadł po żonę i został zaangażowany. Rolę wójta schwycił, i nie chciał nikomu odstąpić, były

radny, któremu ponoć nasz wójt przyprawił swego czasu rogi. Facet upokorzony dobrowolnie zrzekł się mandatu, a potem zaczął wszelkimi sposobami ryć pod swoim byłym kumplem i tak zwanym szwagrem. Nie byłam pewna, czy podoła tej roli, ale postanowiłam dać mu szansę. Jednak roli pani Niusi nie miałam kompletnie kim obsadzić. Najmłodsze w zespole były dwie panie przed pięćdziesiątką. Można by je spróbować odmłodzić strojem i charakteryzacją, ale żadna z nich nie chciała się zgodzić na założenie miniówki i prawie erotyczne sceny. Szczerze mówiąc, nawet czarodziejskie zaklęcia nie zrobiłyby z nich nie najmłodszej, ale ponętnej Niusi. Dwie dziewczyny, które z czystej ciekawości przyszły na to spotkanie z rodzicami, były z kolei za młode. Próbowalam je namawiać na postarzającą charakteryzację, lecz chichrały się tylko głupkowato i nie wykazywały żadnych zdolności aktorskich. W końcu pani Zosia krzyknęła:

— Pani będzie najlepszą Niusią!

— Ja muszę zająć się reżyserią. Nie mam predyspozycji do występowania na scenie. Mam poza tym potworną tremę i wszystko zepsuję. Naprawdę nie tak widzę swoją rolę w zespole — wykręcałam się.

— No dobra. To niech pani spróbuje namówić jaką nauczycielkę, bo z naszych babeczek to się nic już nie wybierze — rozstrzygnął Mietek. — Za tydzień spotykamy się o tej samej porze i wszyscy już umiecie czytać — zarządził. — A ja jeszcze pomyślę nad jakąś piosenką na początek i na koniec, żeby wykorzystać kapelę.

— O, jest i kapela! — ucieszyłam się. — Ile osób? Śpiewają także czy tylko grają?

— Grają i śpiewają. Skrzypce, akordeon, flet i bęben. Wszystkie chłopcy śpiewają i mają też solistkę. Dobrze będzie dać ich jako taką oprawę sztuki. Jak się wejdzie na scenę i zacznie muzyką, zwrócimy na siebie uwagę. Na takim przeglądzie na rynku miasteczka ludzie łążą i gadają, a kapela ich uciszy. Zaczną się gapić — powiedział Mietek jako stały bywalec tego typu imprez.

— To, co pan mówi, ma sens. A da pan sobie radę z tekstem? — zapytałam, powątpiewając w literackie zdolności bezzębnego Mietka.

— Pewnie, dla mnie to nie pierwszozna, a i melodię wymyślę — odparł trochę dotknięty moim pytaniem.

— To do pracy! — zawołałam ochoczo. — A gdyby podczas czytania scenariusza wpadł państwu jakiś dobry pomysł do głowy, to zanotujcie go na marginesie. Chciałabym ożywić te dialogi, żeby brzmiały jak wasza prawdziwa, codzienna mowa, w której jest jeszcze trochę gwary i takie cudowne powiedzonka. Postarajcie się wczuć w sytuację postaci i wyobraźcie sobie, jakich zwrotów byście na jej miejscu użyli. To, co ja wymyśliłam, niech będzie tylko ramą, a ostateczny scenariusz powinien powstać z waszych słów.

— Powiedzieć, to bym powiedziała, ale zapisać będzie trudniej — odezwała się nieśmiało starsza kobieta, która miała zagrać sprzątaczkę w urzędzie.

— To proszę się tylko zastanowić, a na próbach wspólnie to zapiszemy — uśmiechnęłam się krzepiąco.

Jacy oni wszyscy są prawdziwi, jacy szczerzy — entuzjazmowałam się, wracając do domu późnym wieczorem. Już nie mogłam doczekać się następnego spotkania, tak bardzo chciałam zobaczyć ich na scenie. Śmierdziałam stęchlizną i dymem papierosowym, bo chłopcy „staropolskim” zwyczajem paliły jak lokomotywy, a do tego świetlica w remizie od dawna nie była używana, a więc także sprzątna i wietrzona. Wszystko to pryszcz — myślałam podniecona. Rozpoczęłam nową, jakże pożyteczną i mogącą dać dużo satysfakcji działalność. Dobrze, że były wakacje, bo nie byłabym w stanie skupić się na zwykłej nauczycielskiej dłubaninie. Mama wściekała się, że trudno się ze mną dogadać, że jestem roztargniona i przestałam zajmować się własnymi dziećmi. A ja planowałam ruch sceniczny i zastanawiałam się jednocześnie, jak rozwiązać kwestię dekoracji, żeby łatwo można je przewieźć do dalekiego Paczkowa, bez wielkiego wysiłku zmontować na scenie i błyskawicznie zmieniać miejsce akcji

z rynku na gabinet wójta.

Wydawałoby się, że mając w najbliższej rodzinie scenografa, nie powinnam tym sobie zaprzętać głowy. Ale nasza Zytka znów siedziała w Stanach, gdyż Pawełek miał kolejną operację. Nie odważyłam się w rozmowie telefonicznej nawet wspomnieć o mojej prośbie, bo siostra zasypała mnie mnóstwem autentycznych problemów. Nerwówka związana z zabiegiem wnuczka i ciągła niepewność, co dzieje się z córką, wykańczały ją. Każdy zabieg wykonywany na tak małym dziecku jest ryzykiem. Operacja dotyczyła kręgosłupa na wysokości mostka, a więc jakikolwiek minimalny błąd lekarzy mógł unieruchomić praktycznie większą część jego ciała, nie mówiąc już o istniejącym zagrożeniu życia.

Pojawiły się też kłopoty z finansowaniem leczenia. Firma Kazia przeżywała ostatnio poważny kryzys. Na razie państwo Zatonio wie wzięli na siebie pożyczkę w amerykańskim banku i postanowili zorganizować składkę wśród Polonii. Zyta ma straszne wyrzuty sumienia. Uważa, że jako opiekunka dla małego jest praktycznie bezużyteczna. Stara się przynajmniej odciążyć panią Zatonio w od zajęć domowych i opieki nad jej matką. Staruszka tęskni za krajem i jest szczęśliwa, gdy ktoś może z nią porozmawiać po polsku.

— Ale dlaczego nagle firma Kazia podupada? Przecież tyle lat tak dobrze mu szło. Chyba nic nie zaniedbał przez te wasze pielgrzymki? — spytałam niezbyt delikatnie siostrę, gdyż wydawało mi się, że szwagrostwo popada w dewocyjną przesadę.

— To nie pielgrzymki, ale zmiana w stylu życia i poglądy, jakie teraz mamy, decydują o braku klientów — odrzekła twardo Zyta. — Nie jest łatwo w naszym kraju być uczciwym i odważnie przyznawać się do wiary, zwłaszcza w tych kręgach, w których dotąd działaliśmy.

— Co mają poglądy do gastronomii? Jedzenie inaczej zaczęło im smakować czy co?

— Coś w tym rodzaju. Staliśmy się towarzysko podejrzani, więc lepiej nie mieć z nami żadnych, nawet biznesowych kontaktów. Na rynku jest taka konkurencja, że łatwo znaleźć inną firmę. W Warszawie istnieje się dzięki powiązaniom, a nas teraz najchętniej otoczono by kordonem sanitarnym.

— Chyba przesadzasz. Przecież w stolicy ludzie też mają różne poglądy. Im wyższa kultura, tym wyższa tolerancja, no nie? Tak mi się wydaje.

— Tak powinno być. Ale problem jest bardziej złożony. Są grupy, które więcej korzystają z życia, częściej się bawią, stać ich na restauracje i catering, a im już nie po drodze z nami.

— I myślisz, że ktoś, mając złożyć zamówienie w firmie Kazia, zastanawia się, do jakiego boga on się modlił? To jakaś bzdura. Przeszkadza ci, że kebab jest od muzułmanina, a sushi, na przykład, od buddysty? — nie przekonywały mnie argumenty siostry.

— Mnie nie przeszkadza. Ale widzisz, Kazio w związku ze zmianą światopoglądu zmienił też sposób podejścia do prowadzenia biznesu.

— No i o to mi chodzi, że firma zeszła teraz na dalszy plan.

— Nie, to nie to. Teraz on jest w każdym detalu uczciwy: w stosunku do fiskusa, pracowników, dostawców i wszelkich innych. Fajnie mieć czyściutkie sumienie, ale okazało się, że takie funkcjonowanie przy naszych przepisach, obciążeniach i różnych innych uwarunkowaniach jest praktycznie niemożliwe.

— O Boże! I co teraz?

— Na razie dzięki dobrym ludziom Pawełek będzie operowany w terminie i to jest najważniejsze, a potem będzie, co Bóg da.

Byłam pod wielkim wrażeniem zmian, jakie dokonały się w psychice i sytuacji mojej siostry i jej męża. Zaimponowali mi. Myślałam, że ograniczają się do religijnej turystyki, a oni naprawdę konsekwentnie wprowadzali w czyn Dekalog. Poza rozmową nie mogłam jednak jej zbyt wiele pomóc.

Wiedząc, że nie mogę liczyć na pomoc siostry, usiadłam na werandzie

i zaczęłam rysować coś, co miało przypominać elewację budynku urzędu gminy. Zmarnowałam dużo papieru i zachciało mi się płakać, gdy popatrzyłam na te moje gryzmoły. Gdyby był Krzyś, może stosując techniki modelarskie, skleiłby mi miniaturę takiej dekoracji, a strażacy sami spróbowaliby ją wykonać w naturalnych wymiarach — dumiałam.

— Co robisz, mamuś? — Patryk zajrzał mi przez ramię. — Takie domki, albo lepsze, to ja rysowałam w pierwszej klasie, he, he. Córka malarza, hi, hi! — zaśmiał się okrutnie.

— Nie dobijaj mnie.

— Co to ma być?

— Projekt dekoracji.

— Opisz to może słowami, będzie ci łatwiej, bo ołówkiem nie umiesz się posługiwać — drwił dalej.

— Dobra, ja ci powiem, czemu to ma służyć, a ty narysuj, jak jesteś taki mądry.

— Narysuję, wytnę i jeszcze skleję. Zrobię ci model z tektury.

— Synku, ale to trzeba jeszcze wymyślić, żeby działało.

Patryk wysłuchał mnie cierpliwie, wziął scenariusz i poleciał do sadu pokołysać Franka. Babcia i Ewelina zostawiły dziecko pod jego opieką tylko na chwilę, lecz już ze dwie godziny ich nie było i nie odbierały komórek. Skrytykowana przez syna zwinęłam bohomazy i zabrałam się za obiad. To przynajmniej wiedziałam, jak zrobić. Ziemniaczki były prawie miękkie, a ja doprawiałam sos do sałaty, gdy Patolek wpadł podniecony, trzymając pod pachą wierzgającego i zaryczanego Frania.

— Mamuś, weź tego zasańca i zrób z nim coś, bo chyba wymyśliłem. Zaraz sprawdzę to na prowizorycznym modelu.

Z konieczności zajęłam się innym sosem. Franek w sosie własnym był mniej pociągający niż zawsze. Ileż to lat minęło, jak przewijałam moje bliźniaki?

Grubiutkie nóżki i maleńkie stopki są słodkie, ale nie chciałabym w moim wieku mieć tych słodyczy na co dzień. Mój instynkt macierzyński został chyba całkowicie zaspokojony, a do babcinego jeszcze nie dojrzałam. Ciekawa jestem, jaką matką będzie Grażyna. Czy uda jej się jeszcze zająć w ciąży? — rozmyślałam, wspominając przyjaciółkę, która, planując pierwszy w życiu ślub z młodszym o osiem lat Jackiem, ma to wszystko jeszcze przed sobą. Grażka przyzwyczajona do całkowitej niezależności i skupiona na sobie i swoim wyglądzie może przeżyć trudne chwile. Ale niewykluczone, że wszystko w jej głowie ułoży się inaczej pod wpływem hormonów i instynktu macierzyńskiego — myślałam, obmywając pupkę malucha, jak to bywało za moich czasów, czyli zwyczajnie wodą.

— Co ty robisz, mamgo?! — wykrzyknął Patryk, który właśnie zbiegł na dół w poszukiwaniu linijki i przyłapał mnie na karygodnym braku kompetencji nowoczesnej niańki. — W holu jest torba, w której znajdziesz specjalnie nasączone chusteczki.

Może te nowoczesne rozwiązania są wygodne, ale dają strasznie dużo odpadów — pomyślałam. Franek wyswobodzony z plastikowych pęt pampersa też chyba był tego samego zdania. Odwdzieczył mi się precudnym uśmiechem. On na pewno nie będzie takim rozrabiaką jak jego ojciec. Na razie nie daje się swojej mamie zbytnio we znaki, dobrze śpi i je tyle, ile trzeba. Taki golutki i roześmiany jest naprawdę uroczy. A pomyśleć, że gdyby Ewelina miała łatwy dostęp do aborcji, już by go nie było.

— Jesteś więc do pewnego stopnia także mój — powiedziałam do Frania z pewnym rozrzewnieniem, a on znów się uśmiechnął. — Kim chcesz zostać w przyszłości? A jakim będziesz człowiekiem? — pytałam niemowlaka. — Może wyrośnie z ciebie artysta estradowy? — zadumałam się, a tymczasem mały kandydat na idola wyprężył się, podniósł sikawkę i zrobił mi paskudnego psikus, skrapiając obficie moczem mój fartuszek. — Niedaleko pada jabłko od

jabłoni. Ach, ty mały łobuzie, jak mogłeś? — zaśmiewałam się, pochylając się i całując miłutki brzuszek dziecka.

W tym momencie mama z Ewelina i Grażka, wywołana przeze mnie wspomnieniami jak wilk z lasu, wpadły do domu niczym horda tatarska, krzycząc jedna przez drugą:

— Jest tu kto?! Co tu tak cicho?!

— O, tu was mam! — Grażka pierwsza mnie dopadła na pieszczotach z niemowlakiem.

— No proszę, widzi pani, pani Grażynko! — Mama dreptała tuż za nią. — Mojej córce też przydałby się jeszcze taki mały berbec na odmłodzenie.

— Mnie to już tylko wnuczek może się trafić — powiedziałam sceptycznie. — Ale lepiej jeszcze nie, bo to raczej nie na odmłodzenie. Przybyłoby tylko siwych włosów ze zmartwienia.

— A daj spokój z wnuczkiem, wypłuj te słowa! — krzyknęła mama, jakbym wypowiedziała diabelskie zaklęcie. — W dzisiejszych czasach na szczęście wszystko się zmieniło. Młode dziewczyny chcą jak najdłużej korzystać z życia. No, chyba że nie mogą. — Mama współczująco spojrzała na Ewelinę i kontynuowała myśl: — A dojrzałe kobiety mogą już spokojnie przeżywać w pełni świadome, oczekiwane macierzyństwo. Czy to nie jest lepszy świat? Nade mną wciąż wisiła groźba niechcianej ciąży, bo, jak wiesz, wasz ojciec nigdy...

— Tak, wiem, że nie pamiętał o takich przyziemnych sprawach, jak prezerwatywy. Mówiłaś to już sto razy — zdenerwowałam się. — Co cię tak nagle doskonale nastawiło do nowoczesności, którą jeszcze niedawno potępiałaś?

— Ja?! — zachnęła się babcia. — Ja jeszcze nadążam za nowoczesnością i doceniam, jeśli coś zmienia się na lepsze.

— A co w tym dobrego? W ciążę zachodzą coraz młodsze dziewczynki, bo bawią się w dorosłe. Ich potomstwo często kończy w domach dziecka lub,

w drastycznych przypadkach, na śmietniku. Rodzą też panie po czterdziestce, co, jak wiadomo, niesie pewne ryzyko. A te najbardziej odpowiednie jakoś się wstrzymują, bo albo chcą korzystać z życia, albo im sytuacja w pracy na to nie pozwala.

— Ale na wejście dostałam od ciebie kubek zimnej wody na moją rozradowaną głowę — odezwała się Grażka. — Coś ty taka dzisiaj zła? To ja pędzę do ciebie prosto z Krakowa, nawet z Jackiem jeszcze nie rozmawiałam, żeby ci pierwszej powiedzieć, że profesor Szczudłowski po badaniu stwierdził, iż mam duże szanse zajść w ciążę w sposób prawie naturalny. A ty mnie tak witasz? — Grażyna śmiała się mimo wszystko serdecznie.

— Sorry, dziewczyny, wy jesteście właśnie w tej środkowej grupie — zacierałam swoją niezręczność. — Ewelina przecież nie jest już dzieckiem, a Grażka ma omyłkę w metryce. To się zdarza. Nawet ten, jak mu tam, profesor Szczudłowski właśnie to potwierdził. Czy ty przypadkiem nie urodziłaś się w Związku Radzieckim za rewolucji? Tam takie pomyłki bywały ponoć nagminne.

— Ja cię zaraz zabiję. — Grażyna rzuciła się na mnie z pięściami, ale nie zrobiła mi żadnej krzywdy, tylko ucałowała w policzek. — Taka jestem dziś szczęśliwa! — Schwyciła roznegliżowanego Franka na rękę i zakręciła się z nim wokoło. — Może za rok też będę miała takie własne cudeńko w ramionach.

— A co ten kawaler taki goły? Przecież zostawiłam Patrykowi paczkę pieluch — powiedziała cierpko Ewelina.

— To tylko chwilowa ucieczka od cywilizacji — zażartowałam. — Patryk dał mi torbę z pampersami, ale Franio był taki szczęśliwy bez tego plastiku na pupie, że pozwoliłam mu trochę pofikać. Przecież dzisiaj tak gorąco.

— Miała pani rację, że na facetach nie można polegać — Ewelina zagadała do babci jak jej doświadczona rówieśnica. — Patryk już się wykrecił i najgorszą robotę zwał na mamę. Tacy są mężczyźni. — Tym razem porozumiewawczo

spojrzała na Grażkę. Babcia natychmiast włączyła jedną ze znanych mi płyt pod tytułem: „Ja wiem najlepiej, jak to z mężczyznami bywa”, której nie miałam siły po raz kolejny wysłuchiwać. Nie podobała mi się ta wypowiedź Eweliny ani jej zachowanie. Poczułam się urażona w imieniu Patryka, a ponadto uświadomiłam sobie, że ona traktuje mojego syna jak swojego zadeklarowanego partnera, który ma już wobec niej i dziecka obowiązki.

— Aśka, zostaw te gary i zrzuć ten mokry fartuch, zapraszam was na obiad do tego nowo otwartego zajazdu — wykrzyknęła będąca wciąż w euforii Grażka.
— Zrobimy sobie takie babskie święto.

— Och, cudownie! — zawtórowała jej moja mama. — Uwielbiam panią, pani Grażyno!

— A Patryk, skoro tak sprytnie wywinął się od obowiązków, może teraz jeszcze trochę zostać z małym — zawołała ochoczo Ewelina, również skłonna świętować. A we mnie jakby piorun strzelił.

— Ja mam już gotowy obiad i nigdzie się nie wybieram — powiedziałam chłodno, nie okazując najmniejszego podniecenia. — Mogę ewentualnie postawić nalewkę z okazji tej dobrej nowiny. Ewelinko, nakryj do stołu.

Zgasiałam nieco uśmiech na twarzach rozchichotanych dziewczyn, których średnia wieku wynosiła na oko jakieś czterdzieści pięć lat, a widząc, że Ewelina stawia na stole pięć kieliszków, dodałam z naganą w głosie:

— Ty, Ewelinko, chyba nie spróbujesz mojej nalewki, przecież karmisz.

— Tak, ale już w ogóle to trzeba by z tym skończyć, bo strasznie mnie ogranicza.

Wszystkie spojrzałyśmy na nią jednocześnie i z pewnością wszystkie pomyślałyśmy w tym momencie, że panience już się znudziło być mamą i wolałaby znów wrócić do roli beztroskiej laleczki. Ewelina natychmiast uświadomiła sobie, że przesadziła w swojej szczerości, więc inteligentnie się wycofała.

— Nie... no... ja tylko tak. Wezmę sobie soku, żeby mieć czym wznieść toast.

Do końca dnia było już tylko wesoło. Potem jeszcze przyjechał Jacek, żeby odebrać swoją ululaną nieco ukochaną. Kiedy usłyszał od niej radosną nowinę, poleciał po szampana i postanowili zostać u mnie z Grażką do rana. Przydał się, bo przy okazji pomógł rozwiązać kilka technicznych problemów tworzonego przez Patryka modelu dekoracji. Chłopców pochłonęło budowanie trzyczęściowej, kartonowej elewacji urzędu gminy, która w trzech prostych ruchach, polegających na obróceniu ścian, zmieniała się w gabinet wójta. Ewelina, zorientowawszy się, że nie do końca znajduje ze starszymi paniami wspólny język, pofukała trochę na pogrążonego w pracy Patolka i poszła obrażona do domu. Mamę też ścięło nieco wcześniej, więc reszta wieczoru upłynęła mi w miłym towarzystwie ludzi dorosłych, ale jeszcze nie zdziecinniałych, szczęśliwych i kochających się. Kompletny luz i sama przyjemność.

V. UMAWIALIŚMY SIĘ NA OSIEMNASTĄ

Nie mogłam się doczekać sobotniego wieczoru i ponownego spotkania z moim zespołem. Zrzuciłam powyciągane dresy i odpicowałam się jak na imprezę. Mama przyglądała mi się z boku i dogadywała:

— Męża nie ma w domu, a ta się pindruje, nie wiadomo dla kogo.

— Dla siebie. Dla własnego dobrego samopoczucia — odpowiedziałam spokojnie, ale spirala z tuszem zamiast na rzęsach wylądowała w moim oku.

— Dla siebie to starczy się umyć i uczesać — zrzędziła dalej.

— Gdybym wyszła tak, jak stoję, ubolewałabyś nad moją abnegacją i wychwalała Grażynę, której urodę poprawia nie tylko makijaż, ale i chirurg plastyczny — odcięłam się.

— Oczywiście, że kobieta powinna być elegancka i dbać o siebie. Zawsze ci to powtarzałam, ale ty nigdy tego nie robiłaś. Ta zmiana wydaje mi się podejrzana.

— Nie cieszysz się, że twoje słowa nareszcie odniosły skutek?

— Gdyby nic się za tym nie kryło, pewnie bym się cieszyła.

— A co konkretnie podejrzewasz?

— Właśnie nie wiem, co kombinujesz. Nigdy bym się też nie spodziewała, że podczas nieobecności męża sprowadzisz sobie do domu tego Rafała i dasz mu taki wycisk, że teraz chodzi i skamle.

— Mamo, powinnaś pracować w bulwarówce. Bardzo zręcznie przekręcasz fakty. Proszę cię, skończmy z tematem Rafała, bo naprawdę przez swoją dociekliwość i konfabulacje wprowadzasz ferment w moim małżeństwie.

— Specjalnie powiedziałam o Rafale przy Krzysztofie. — Uśmiechnęła się triumfująco. — Trochę zazdrości w małżeństwie nie zaszkodzi. To jakby dodać do mdłej potrawy szczyptę pieprzu. Szkoda, że wcześniej nie korzystałam z tej

zasady.

— Nie każdemu służą ostre przyprawy. Krzyś ma najwyraźniej delikatny żołądek i teraz cierpi.

— Minę miał, jakby mu hemoroidy dokuczały. — Zaśmiała się z satysfakcją.
— Nie martw się, nic mu nie będzie. On na pewno też taki święty nie jest. Co my wiemy o jego życiu w Anglii. Myślisz, że mężczyzna długo wytrzyma, jak kręci się koło niego tyle chętnych bab?

— Skąd wiesz, że są chętne?

— Słyszałam coś na ten temat.

— Nie wiem, do czego dążysz? Powinnam się na nim mścić na podstawie domniemania?

— Nie, ale niech się stara i pamięta, że nic nie jest na zawsze.

— Małżeństwo jest.

— Mnie to mówisz?

— Tobie i tacie nie wyszło, lecz wielu się udaje. U nas trochę namieszałaś, ale wyjdziemy z tego.

— To nie ja namieszałam, tylko ty się zmieniłaś. Spójrz w lustro, świetnie wyglądasz. Jesteś samodzielna, stałaś się energiczna, rozkwitłaś podczas tej emigracji męża. Chyba nareszcie wiesz, czego ci trzeba, i potrafisz do tego dążyć. Nie jesteś już nieśmiałą, zaabsorbowaną wyłącznie dziećmi i mężem istotą, która pozwalała, by jej teściowa ciosała kołki na głowie. Mnie się taka moja córka bardzo podoba, ale nie wiem, czy twój mąż jest przygotowany, żeby taką cię zaakceptować.

Po prostu mnie zatkało. Tego się po mamie nie spodziewałam. Właśnie doszłam do wniosku, że muszę ją znów podrzucić Dominice, bo inaczej oszaleję od tej ciągłej krytyki, a tu taka niespodzianka. Mama dostrzegła pozytywne zmiany we mnie. Nie wiem tylko, czy nie powinien włączyć mi się ostrzegawczy dzwoneczek, że coś ze mną nie tak. Do tej pory stale mnie krytkowała, a ja

byłam szczęśliwą żoną i matką. Teraz moja wyemancypowana na starość matka jest ze mnie zadowolona, lecz mąż raczej przeciwnie.

— Mamo, nie przesadzaj. To tylko sukienka i makijaż — próbowałam zbagatelizować jej słowa i nie dać poznać po sobie, jak duże zrobiły na mnie wrażenie. — Przychodzi wiek, w którym urodę należałoby już poprawiać, to i owo zatuszować i tyle. Nie dorabiaj do tego psychologii.

— Na psychologii się znam, bo wystarczająco długo żyję na świecie. Zmieniłaś się i to pozytywnie. Masz jeszcze parę pięknych lat przed sobą i nie zmarnuj ich. Rób to, na co masz ochotę. Dzieci już stoją na własnych nogach, a mężowi też powinnaś pozwolić się puścić...

— Co ty mówisz?! — krzyknęłam. — Jaka z tego może być korzyść, że on by mnie zdradzał? Myślisz, że ma taką potrzebę? A może on już...? — Przez głowę galopowały mi nieposkładane i niedokończone myśli. Ta jego obojętność. Mama pewnie coś wie. Te wszystkie pochwały to osłoda, a zaraz mi wywali bez znieczulenia, że Krzyś od dawna ma kogoś. — Nie, nie i jeszcze raz nie! — wrzasnęłam histerycznie i zacisnęłam pięści, wbijając sobie w ciało świeżo wymalowane i nareszcie wyhodowane długie paznokcie.

— Poczekaj! Źle mnie zrozumiałaś. Mam już trochę kłopotów z szybkim znalezieniem właściwych słów. Ja nie o zdradzie myślałam, tylko o usamodzielnieniu. Żeby się puścił, czyli nie trzymał kurczowo twojej spódnicy — tłumaczyła zawile.

— Co ty znów chcesz od Krzysia? — Zaprzestałam wszelkich manewrów przy oczach i ustach, bo ręce mi drżały, i odwróciłam się gwałtownie od lustra. — Ty wciąż nie doceniasz swojego zięcia. On jest samodzielny. Pracuje w obcym kraju i dobrze sobie radzi. W domu też nie jest przeze mnie zdominowany. Sama mówiłaś, że to ja byłam zahukana. Jesteś niekonsekwentna.

— Cenię fachowość mojego zięcia jako lekarza i pod tym względem nie mam zastrzeżeń. Ale on życiowo wciąż jest małym syneczkiem mamusi. Mamusia go

rozpieszczała, ale starała się cały czas nim kierować. I zdaje się, że chętnie robiłaby to nadal. Mam rację?

— Do pewnego stopnia — przyznałam z ociąganiem.

— W zastępstwie mamy ty otoczyłaś męża matczynym staraniem i pozwoliłaś, żeby wszedł ci na głowę.

— Jaki tam z ciebie psycholog. Przed chwilą mówiłaś, że Krzyś jest ciapowaty, a ja nim kręcę, jak chcę. Te twoje teorie nie trzymają się kupy, sama musisz przyznać. Spóźnię się. — Spojrzałam wymownie na zegar.

— Jeszcze słowo, poczekaj, a udowodnię ci, że mam rację. Krzyś jest twoim trzecim, najstarszym i najbardziej wymagającym dzieckiem. Wciąż się starasz, żeby mu niczego nie brakowało, żeby miał wszystko, do czego się przyzwyczył, bo zaraz wpada w istną histerię. Próbujesz go ugłaskać, dobrze usposobić, zadowolić. Gdy ci się uda, on przyjmuje to oczywiście z radością. Jeśli coś jest nie po jego myśli, zaraz się obraża. W ten sposób cię stymuluje, nagradza i karze. Grażyna też to zauważyła.

— A ja zauważyłam, jak wy się dobrałyście. Z lubością roztrząsacie moje sprawy. A gadajcie o własnych. W waszych życiorysach jest więcej psychologicznych zawijasów. — Wściekłam się. — To chyba normalne, że w rodzinie ludzie dbają o siebie i starają się ze sobą porozumieć, żeby im było dobrze ze sobą. Dlatego ja i Krzyś jesteśmy szczęśliwym małżeństwem już tyle lat. Nie chcę być niedelikatna, ale akurat ty i Grażyna...

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie musisz kończyć. Ja za późno zmadrzałam, ale ty możesz jeszcze coś zmienić. Chciałam tylko zwrócić twoją uwagę na to, że ty się nim opiekujesz. A to chyba nie jest rola żony? Nawet tam w Anglii, za morzem on jest wciąż pod twoją czułą, niemalże matczyną pieczą.

— A to niby jak?

— Przywozi ci pranie? Dajesz mu wszystko czyste, poprasowane i poskładane? Pieczesz mięsa, pakujesz gotowe dania w próżniowe pojemniczki?

— Bo tam jest niesmaczne jedzenie. Co w tym nadzwyczajnego?

— Ty się nim cały czas opiekujesz. A on tobą nie. On nie myśli, czego ty potrzebujesz, czy nie jesteś zmęczona. Czy masz czas i siłę na swoje zainteresowania. Pozwala się obsługiwać i przyjmuje to z wdzięcznością. Dzisiaj mądre kobiety inaczej ustawiają swoich partnerów.

— I dlatego ich związki trwają tak krótko. Krzyś docenia moje starania, a ja znam takich mężów, co nie dość, że nie podziękują, to jeszcze potrafią żonie przyłożyć złym słowem lub po prostu pięścią. Ja w dbaniu o ukochanego mężczyznę znajduję przyjemność. A on, odgrzewając gołąbki czy pierogi, też dobrze o mnie myśli i czasem wysyła esemesy, że cudo albo że królowa Anglii takich nie jada. Przecież to bardzo miłe, no nie?

— Widzę, że patrzysz już na życie z perspektywy swojej ukochanej, prymitywnej wioski. Jak nie bije, to ideał. — Mama rozpędzała się w feministycznych wywodach, a ja musiałam wyjść na próbę, która miała być realizacją moich pasji. Nie chciałam jednak dać jej satysfakcji, że do niej należy ostatnie słowo, więc wypaliłam ze złością:

— Nie bądź taka do przodu, bo cię z tyłu zabraknie. Nie zauważyłam, żebyś wcześniej była taką zawziętą feministką. Obie z babcią otaczałyście tatę troskliwą opieką. Nie przyniosło to wprawdzie dobrych rezultatów, ale nie było także powodem rozpadu waszego małżeństwa. Za dużo oglądasz telewizji i czytasz niewłaściwą literaturę. A może Grażyna cię indoktrynuje? Ona z takimi poglądami w małżeństwie za długo się zagnieździ. Ale wydaje mi się, że u niej teraz na szczęście teoria rozmija się z praktyką. — Zakończyłam pośpiesznie spór, który wydawał mi się nierozwiązywalny, i pojechałam do remizy.

Byłam już spóźniona i zamierzałam gorąco przeprosić wszystkich aktorów oraz przyrzec solennie poprawę. Głupio mi było, że starsi ludzie na mnie czekają, ale wobec mojej mamy na ogół bywam bezbronna. Ona ma prawdziwy dar

wyprowadzania ludzi z równowagi i wciągania w jałową wymianę zdań.

Zajechałam pod remizę, wzniesając tuman kurzu, biegiem dopadłam ciężkich, obskrobanych z farby drzwi i szarpnęłam niecierpliwie klamkę. Remiza była zamknięta na głucho. No ładnie, poszli sobie — pomyślałam rozczarowana. Nie poczekali nawet piętnastu minut? Nikt z nich nie studiował, więc zwyczaj odczekania tak zwanego akademickiego kwadransa może być im obcy — tłumaczyłam sobie tę niezręczną sytuację, ale było mi okropnie głupio. Nie wiedziałam nawet, kto jest odpowiedzialny za otwarcie i zamknięcie remizy, kto trzyma klucze od świetlicy i pozostałych pomieszczeń, bo dostęp do garaży, w których stoją samochody bojowe, to całkiem inna sprawa.

Obeszłam remizę dookoła, ale nic mi nie dał ten rekonesans, poza tym, że wdepnęłam w psią kupę. Chciałam zdjąć sandałki i wytrzeć porządnie podeszwę o trawę, lecz okazało się, że mam brudną także stopę i wewnątrz buta. Byłam wściekła. Przed remizą stał zamknięty czerwony hydrant i nie dało się utoczyć z niego odrobiny wody na moje potrzeby. Przypomniałam sobie, że jakieś pięćdziesiąt metrów stąd w niewielkiej dolince płynie strumyk. Poczłapałam tam, podnosząc jak najwyżej cienką i zwiewną sukienkę, żeby nie podarły jej rosnące wokół chaszczce. Byłam pewna, że jestem tu sama i nikt mnie nie widzi, więc spódnicę trzymałam oburącz prawie na wysokości pasa. Za pagórkiem porośniętym krzakami czarnej porzeczki wpadłam niespodziewanie na obściskującą się na kocyku parkę. Dziewczyna miała rozpiętą bluzkę i spodnie, a chłopak bez koszuli leżał już prawie na niej. Od razu rozpoznałam uczennicę, która dopiero skończyła pierwszą klasę gimnazjum, i rok od niej starszego ucznia. Usłyszeli mnie, więc na chwilę przerwali amory. Dziewczyna spłoszona przywarła obnażonym torsom do koca, kryjąc twarz w ramionach, ale chłopak uśmiechnął się bez odrobiny zażenowania i spokojnie powiedział:

— Dzień dobry. A co się tu pani skrada? Przecież są wakacje i możemy robić, co chcemy.

— No niezupełnie. Macie jednak pewne ograniczenia. Mam nadzieję, że rodzice mówią wam, co wolno, a co nie. — Teraz dopiero opuściłam sukienkę. Tak mnie zaskoczyła ta scena, że kompletnie zapomniałam, iż nazbyt się obnażam.

— Super nogi — pochwalił bezczelnie chłopak.

Usiłowałam sobie przypomnieć jego imię i nazwisko, które wypadło mi z głowy. Nie uczyłam go, ale w pokoju nauczycielskim wymieniano je dość często z całą listą różnych przewinień. Od dwóch lat na końcowych radach pedagogicznych odbywały się burzliwe dyskusje, czy dać mu promocję do następnej klasy. Nauczyciele tak zwanych wiodących przedmiotów byli za tym, żeby go uwalić, a dyrektor podkreślał zasługi nieuka w sporcie i sugerował, że lepiej nie robić sobie kłopotu i wypuścić go jak najszybciej ze szkoły. W rezultacie gagatek, wagarując i kompletnie nie przykładając się do nauki, przechodził do następnej klasy, nabierając przekonania, że życie jest pasmem przyjemności, a dyscyplina i nauka to nuda. Skojarzył mi się ze świętej pamięci Damianem, ojcem Franka, który podobnie zaczynał, a tak nieszczęśliwie skończył. No właśnie, to też jest, nomen omen, Damian! — odnalazłam w mózgu zagubioną informację.

— Bez takich komentarzy, Damian — powiedziałam ostro. — Wakacje nie oznaczają zawieszenia zasad dobrego wychowania i kodeksu karnego.

— Jaki kodeks? — roześmiał mi się prosto w twarz. — Co pani myśli, że ja ją tu wbrew jej woli? Ona była bardzo chętna.

Dziewczyna poderwała się z kocyka i rzuciła do ucieczki pomiędzy rzędami porzeczek.

— Tylko że nie ma jeszcze piętnastu lat, a to...

— A o czym pani myśli, że co my tutaj robiliśmy? — Uśmiechał się w taki sposób, że najchętniej udusiłabym gówniarza. — A fe, brzydkie myśli, a my powtarzaliśmy lekcje z wychowania do życia w rodzinie. Uczyłem ją tylko, jak

się co nazywa. Nie wiedziała, co to wagina. Cha, cha! A pani wie?

Gnojek przeciągał się leniwie, leżąc w dalszym ciągu na kocu i patrząc na mnie szyderczo spod półprzymkniętych powiek. Poczulałam się nieswojo. Wokół nie było nikogo. Bóg wie, co jeszcze takiemu może strzelić do łba, żeby mnie upokorzyć — przemknęło mi przez głowę. Szybko jednak odegnałam tę myśl, bo nie ma nic gorszego w takiej sytuacji, niż dać poznać po sobie, że strach mnie obleciał.

— Słuchaj, po pierwsze, dobre wychowanie nakazuje, żeby wstać, kiedy zwracasz się do starszej osoby...

— Ale pani nie jest jeszcze taka stara. Nawet nie myślałam, że takie nogi...

— To nie myśl, wstań i posłuchaj! — ciągnęłam. — Nie biegam po polach, żeby śledzić uczniów. Nikt nie jest w stanie was upilnować i nie o to chodzi. Ale jako starsza i doświadczona osoba mogę ci poradzić, żebyś za bardzo nie śpieszył się z dorosłością. To zabawa, która może skomplikować życie tobie i innym. Poza tym możesz mi wierzyć, że miłość, która się trochę odstoi i dojrzeje, smakuje lepiej.

— Przecież ja jej nie kocham — zaprotestował gwałtownie. Wstał i zaczął powoli składać koc.

— To akurat widać i nie przynosi ci wielkiej chluby, jak z nią postępujesz i jak o niej mówisz. Jest bardzo młoda, za młoda na takie rzeczy. Byłeś z nią w intymnej sytuacji, a potem nagle wobec mnie przedstawiłeś ją w niekorzystnym świetle. Drwiłeś z czegoś, co dla niej mogło być dużym przeżyciem. Żal mi jej, wyobrażam sobie, co teraz czuje.

— A pani myśli, że ona tylko ze mną? Rozsyłała chłopakom filmiki, chwaliła się, to czemu nie skorzystać?

Jestem chyba już za stara, żeby ich zrozumieć — pomyślałam. Ja tu naiwnie bronię godności, apeluję o delikatność, boję się o psychikę, a dowiaduję się, że dziewczę reklamuje swoje wdzięki i oferuje usługi. Pora umierać. Ale póki

jeszcze żyję, a ten młokos idzie za mną i chce rozmawiać, nie mogę się poddać.

— To głupota, moda, którą nakręciły media, ujawniając kilka takich przypadków. Ale może dzisiejszy dzień sprawi, że dziewczyna się zastanowi. Tobie też by się przydało pewne rzeczy przemyśleć. Pamiętasz z ubiegłego roku wypadek i pogrzeb swojego starszego imiennika? To była głośna w gminie tragedia...

— No tak, byłem na pogrzebie i co z tego?

— Jego znałam lepiej niż ciebie, ale wydaje mi się, że trochę go przypominasz. Nie zdążył wielu rzeczy przemyśleć, a szkoda. Jego synek nigdy go nie pozna. Matka dziecka pewnie o nim nawet mu nie wspomni. Byli starsi od was, ale i tak bardzo młodzi, za młodzi. Zabawili się seksem, nie kochali się, nawet nie szanowali. Potem szaleńcza jazda i dramat. Wiesz, jak to było? — Pokiwał potakująco głową, a ja kontynuowałam. — To bardzo smutna historia, a przecież młodość powinna być radosna i beztroska. Ale beztroska nie oznacza bezmyślności.

— No wiem — powiedział już całkiem innym tonem. — A dokąd pani tędy idzie? Na skróty do moich rodziców po kielbasę? Trzeba było podjechać z tamtej strony, od ulicy. Tu płynie rzeczka, zmoczy pani nogi.

Przypomniało mi się, że koleżanki w szkole chwaliły masarskie wyroby jego rodziców, którzy, mając gospodarstwo agroturystyczne, co tydzień biją świnię i na weekend szykują świeże wędliny. Część wyrobów sprzedają wśród mieszkańców Swarowic, więc chłopak sądził, że jestem amatorką kielbasy.

— Ja właśnie zmierzam do tej rzeczki — wyjaśniłam. — Mam nagłą potrzebę umycia buta i nogi. Nie czujesz?

— Tak mi się zdawało, że coś tu strasznie wali. — Damian pociągnął nosem i zaczął się śmiać.

— To naprawdę nic śmiesznego. Chodziłam wokoło remizy i wdepnęłam. Remiza zamknięta, a ja wolałabym tego świństwa nie wnieść do samochodu,

a poza tym brzydę się — powiedziałam, spoglądając z odrazą na woniejącą stopę.

— I chce pani w naszym strumyku się obmyć?

— Tak zamierzałam.

— Od razu widać, że pani nie widziała go z bliska.

— A co, wysechł?

— Nie, ale tam jest istny śmietnik.

— A to dlaczego?

— Bo każdy wywala, co mu w domu zawadza. I popiół z pieca ludzie tu wysypują.

— W tej sytuacji psia kupa nie jest może jeszcze taka najgorsza.

— No, przynajmniej naturalna. — Damian roześmiał się szczerze i wydał mi się już dużo bardziej sympatyczny. — Zaprowadzę panią do nas na podwórko. Pokażę pani, gdzie można po kamieniach przejść na drugą stronę strumienia. Ale nie powie pani nic starym?

— Nie będę z tobą zawierać żadnych kontraktów. Wolę chodzić z tą kupą, ale zachować wolność słowa i sumienia, a ten śmierdzący problem rozwiążę jakoś inaczej — powiedziałam zdecydowanie, zawracając w kierunku remizy.

— Ale my nic takiego nie robiliśmy. Naprawdę! — zawołał za mną Damian.

Poczułam satysfakcję, bo nie było już w jego postawie śladu pierwotnej buty i bezczelności. Może coś do niego trafiło? — pomyślałam z belferską satysfakcją, a zaraz potem dopadły mnie wątpliwości, czy jestem odpowiednią osobą do takich umoralniających gadek, przecież dopiero co podejrzewałam się o seksualnego kręcka. Nie mogłam jednak udać, że nie widzę albo nie poznaję uczniów naszej szkoły. Teraz mam jeszcze jeden kłopot, będę musiała dotrzeć do dziewczyny i jej rodziców, żeby pogadać o stosowanych przez nią formach autoreklamy. Przecież wakacje nie zwalniają mnie z bycia nauczycielem.

Przy samochodzie zdjęłam but i wytarłam go jeszcze raz porządnie o trawę. Zamierzałam udać się do domu, gdy nagle na drodze pojawił się Mietek z parą starszych ludzi. Szli sobie nieśpiesznie, na tyle, na ile pozwoliła pokaźna tusza leciwej pani. Radośnie pomachali do mnie z daleka. Spojrzałam na zegarek. Była osiemnasta czterdzieści pięć. Czterdzieści pięć minut spóźnienia, a ci tacy wyluzowani? — pomyślałam zdziwiona.

— Dzień dobry! — krzyknęłam, gdy byli jeszcze dość daleko. — Nici z dzisiejszej próby! Wszyscy się rozeszli, zanim przyjechałam! Ale ja spóźniłam się tylko kilka minut.

Mietek przyśpieszył kroku.

— Ja mam klucze — odkrzyknął. — A inni idą pomału. Staszowskie, Rudziaki i Boczkowska. Wyprzedziłem ich, bo się bałem, że jeszcze pani sobie pojedzie do domu. Harpeć też mówił, że będzie.

— Pomyliłam godzinę? — nie dowierzałam już sama sobie.

— Nie. Tak było mówione, że wieczorem — potwierdził Mietek. — Dzisiaj nie pada i wszyscy zbierają porzeczeki, to się trochę opóźnili.

Mietek mówił to tak, jakby dla wszystkich było jasne, że godzina spotkania ma charakter orientacyjny. Osiemnasta to po prostu wieczór. Przyjdą, jak załatwią swoje sprawy. Jedni wcześniej, drudzy później, wiadomo przecież, że o tej porze człowiek nie powinien mieć już żadnych niecierpiących zwłoki interesów do załatwienia, mogłam spokojnie usiąść i poczekać. Jak tu się z nimi dogadać? Jak ich zdyscyplinować? — myślałam intensywnie, czując się bardziej bezradna niż wobec niesubordynowanych uczniów. Większość członków zespołu to ludzie grubo starsi ode mnie i przychodzą tu wyłącznie z własnej woli, nie mogę ich strofować ani stosować kar. Nie uśmiecha mi się jednak spędzanie pod remizą długich godzin w oczekiwaniu, aż się zbiorą. Może lepiej zawczasu się wycofać, póki próby nie są jeszcze zaawansowane? Jak zacznie się rok szkolny, będę musiała bardziej szanować swój czas — rozważałam.

— A niech nam pani powie, jak sobie pani sama radzi bez męża — zagadnęła mnie niespodziewanie starsza kobieta, która sapała jeszcze ciężko ze zmęczenia. — Żal, że doktor wyjechał. Niedługo to już wszystkie mądre ludzie od nas powyjeżdżają. Nie będzie ni lekarza, ni pielęgniarki, nie będzie młodych, wykształconych, a zostaną same takie jak my, stare, schorowane i do niczego. Nasz syn też wyjechał, a teraz jeszcze synowa z wnuczkami do niego dołączyła i my same zostali. Dobrze, żeby ten zespół jeszcze był, to się trochę z domu wyjdzie i z ludźmi pogada.

Kobieta chciała się wyzalić, ale mąż przerwał jej obcesowo:

— Dobrze, że pojechali. Doktor też dobrze zrobił. Rok dopiero minął, a dom jaki u was stoi. Józia by swojej chałupki już nie rozpoznała. Tam za granicą całkiem inne zarobki i człowieka mądrego i pracowitego uszanują. A u nas co? Dostanie to kto dobrą robotę bez znajomości? A rząd pomaga rodzinom z dziećmi? Dwadzieścia lat tej wolności, a nic się na lepsze nie zmienia. A powiem nawet, że gorzej jest pod tym względem jak za komuny. I tej nowej jakiejś głupoty pełno. Co włączę telewizję, to, psiakrew, tylko geje się czegoś domagają. A czego im jeszcze trzeba? Wyprawiają, co chcą. Pana Boga się nie boją. Wszystko na głowie chcą postawić. A właściwie to na dupie. Tfu! Za przeproszeniem pani.

— Pod tym względem to akurat zachód Europy jest bardziej do przodu. Tam geje mają już to, o co u nas dopiero walczą — wyjaśniłam. — Ale pensje są faktycznie wyższe, opłaca się tam zarabiać, a tu wydawać, zwłaszcza przy niskim kursie złotówki. Jednak takie życie z dala od rodziny jest trudne i niesie sporo problemów.

Mietek otworzył remizę. Mogłam skorzystać z łazienki, aby obmyć nieszczęsną nogę, więc przeprosiłam starsuszków. Potem nagle sala zaludniła się i nie było już okazji kontynuować tematu. Ponagliłam towarzystwo, że czas rozpocząć próbę, i wystartowaliśmy. Na razie ja czytałam partie pani Niusi, ale

zakładałam, że to sytuacja przejściowa, do czasu znalezienia odpowiedniej osoby. Ogólnie atmosfera była bardzo luźna. Co chwilę padały dowcipne komentarze do dialogów albo sposobu gry, wybuchały salwy śmiechu lub niegroźne utarczki. Trochę utrudniało mi to pracę, ale byłam pełna podziwu dla satyrycznego refleksu moich podopiecznych. Nie wiadomo kiedy minęły trzy godziny.

Spojrzałam na komórkę i przeraziłam się. Mama dzwoniła pięć razy, a ja nie słyszałam. Będę miała za swoje — pomyślałam jak mała dziewczynka i zaczęłam żegnać się z rozbawionym zespołem. Znow z podziwem popatrzyłam na tych ludzi. Od rana wielu z nich pracowało w upalnym słońcu przy zbiorze owoców, byli tacy, co wrócili z jakiejś etatowej lub dorywczej, też chyba nielekkiej pracy, a teraz mimo późnej pory bawili się w najlepsze aktorskim rzemiosłem i wzajemnym towarzystwem. Ja też nie miałam ochoty rozstawać się z nimi, ale rozsądek i niepokój o to, co w domu, nakazywał kończyć spotkanie. Umówiliśmy się za tydzień punktualnie o dziewiętnastej. Ciekawe, jak tym razem pójdzie nam z tą punktualnością?

VI. WIZYTA SZTYWNIAKA

Kanikuła w pełni, wszystko dookoła optymistyczne i rozleniwione słońcem, a u nas w rodzinie zrobiło się nerwowo. Dominika została przyjęta na ASP, ale wróciła dziwnie skwaszona. Nie była z siebie zadowolona, komisji też raczej nie zachwyciła, a jednak została przyjęta i to wydawało jej się podejrzane.

— Nie wyglądasz mi na osobę, której się powiodło — powiedziałam, patrząc z troską na bladą buzię córki.

— Bo wydaje mi się, że babcia jednak w jakiś sposób maczała palce w tym moim wątpliwym sukcesie — odpowiedziała smutno.

— Demonizujesz jej możliwości. Przecież cały czas miałam ją na oku. Zresztą, jaki ona naprawdę mogłaby mieć wpływ na decyzję komisji? To na szczęście już nie te czasy, że rektor musiał mieć zarezerwowane miejsca dla osób z poparciem. Jesteś na pewno zbyt krytyczna wobec siebie. Mnie zachwycają twoje prace, a o wiedzę jestem zupełnie spokojna — pocieszyłam malkontentkę i polecałam szykować jej kaloryczne jedzonko, bo strasznie zmarniała w tej Warszawie.

Na wszelki wypadek postanowiłam jednak przy sposobności zrobić przesłuchanie mojej mamie. Niby nie podejrzewałam jej o umiejętność bilokacji, lecz wiedziałam, że rzadko rezygnuje ze swoich planów, zwłaszcza gdy w jej mniemaniu są one związane z dobrem wnuków. To dobro może być specyficznie pojęte, ale determinacja babci zawsze ogromna. Mama, która miała niewiele czasu na zajmowanie się własnymi córkami, wraz z pojawieniem się na świecie wnuków poczuła, że dano jej drugą szansę, i postanowiła tym razem nic nie zaniedbać. Toczy więc rodzinne boje w ich obronie przed nami, to jest nieodpowiedzialnymi, okropnymi rodzicami, podważając nasz autorytet, krytykując nas na każdym kroku i opowiadając różne historie, które niekoniecznie powinny dotrzeć do uszu naszych pociech.

Nie wiem, w jakim stopniu takie zachowanie babci wpłynęło na ukształtowanie charakteru mojej siostrzenicy, Wiktorii. To babcia wpajała jej od najmłodszych lat różne kontrowersyjne teorie na temat cynizmu mężczyzn i strategii nieangażowania uczuć w relacjach z nimi. Najgorsze było chyba to, że dziewczynka stale słyszała, iż jej się absolutnie wszystko należy. Wiktoria bardzo wczesnie poczuła się dorosła i według instrukcji babci nie angażowała uczuć w relacje, nie tylko z mężczyznami, ale chyba nawet z całym światem. A gdy zmajstrowała sobie dzidziusia i problemy z kalekim dzieckiem ją przerosły, znów zapragnęła być dzieckiem. Zostawiła rodzinie swój kłopot jak zepsutą zabawkę i prysła w świat. Rozczarowana Wiktorią babcia rzuciła się wówczas ze zdwojoną energią walczyć o dobro pozostałych wnucząt. Moje dzieci są już na szczęście na tyle dorosłe i ukształtowane, że jej podyktowane najwyższą troską działania chyba nie zrobią im większej krzywdy. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Mama naturalnie wyśmiała moje podejrzenia o zdalną interwencję w sprawie Dominiki, ale minę miała dziwnie usatysfakcjonowaną. Była bardzo ożywiona wieczorem, gdy świętowaliśmy triumf Dominiki, powiedziałałabym, że znacznie bardziej niż sama bohaterka wieczoru. A potem nagle z samego rana dopadła ją troska o jej warszawskie mieszkanie opuszczone przez wnuczkę i o kwiatki na balkonie, więc postanowiła niezwłocznie wracać do siebie. Od kilku dni panowały iście afrykańskie, męczące upały i tylko w cieniu werandy dało się jakoś wytrzymać, ale dla mojej mamy nie istniały żadne przeszkody. Gdy już podjęła decyzję, spakowała walizkę.

— Ja cię teraz nie odwiozę, bo to jest niemądre — powiedziałam stanowczo.
— Poczekaj jeszcze parę dni. Pogoda ma się wkrótce zmienić. Wczoraj mówiłaś, że u nas jest ci tak cudownie.

— Wcale nie liczyłam na twój, pożał się Boże, transport. Przecież ten wasz stary gruchot nie ma nawet dobrej klimatyzacji — odparła z lekceważeniem w głosie. — Zabiorę się z Rafałem. Będzie jechał z Krakowa do Warszawy, to

zboczy trochę z trasy i mnie zabierze. Ma być tu około trzeciej. Myślę, że wypadaloby go poczęstować obiadem.

— Mamo! — krzyknęłam. — Co ty znów kombinujesz?! Jak się z nim spiknęłaś?!

— Wiadomo, za pomocą magii — odpowiedziała z sarkazmem i postukała się w czoło. — Dzieci, powiedzcie swojej matce, jak się ludzie ze sobą kontaktują w dwudziestym pierwszym wieku, bo coś jej się w głowę stało. Zadzwoiłam do niego. Kiedy jechaliśmy razem pociągiem, dał mi numer swojej komórki. Powiedział, że teraz często będzie kursował między Warszawą a Krakowem, więc gdybym się do ciebie wybierała albo wracała, mogę skorzystać z podwózki. Miałam jeszcze u was posiedzieć ze dwa dni, lecz on właśnie dzisiaj jedzie, głupotą byłoby nie skorzystać z takiej okazji. Chwalił się, że kupił opasłą limuzynę.

— Opasłą? Jaka to? — spytałam.

— Aleś ty zacofana. Twoje dzieci tak mówią. Opasła, czyli droga i z bogatym wyposażeniem — wyjaśniła mi siedemdziesięcioletnia znawczyni młodzieżowej nomenklatury.

— Aaa, wypasiona — zajarzyłam.

— Niewielka różnica. Wiesz, o co chodzi, a udajesz Greka.

— Wiem, o co jemu chodzi. Osacza mnie przy współpracy mamusi, taki z niego cwaniak — wyszeptalam przerażona perspektywą ponownego spotkania Rafała. — Ja nie mogę go tu przyjmować ze względu na Krzysia — dodałam głośnie.

— Nie przesadzaj — mama nie dawała za wygraną. — Mój zięć jest oszczędny, ale nie aż tak, żeby żałować uprzejmemu człowiekowi poczęstunku. Krzys jest przecież bardzo gościnnie.

— Wiesz, że nie o to chodzi — traciłam już cierpliwość.

— Nie rozumiem cię. Nie miałaś oporów, żeby spotkać się z Rafałem sam na

sam i zaprosić go do domu, gdy nikogo nie było. A teraz masz jakieś obiekcje, gdy chodzi o zwykły obiad w gronie rodziny? — powiedziała dobitnie.

Muszę przyznać, że nie miał z nią lekkiego życia mój świętej pamięci ojciec. Dobrze, że był z natury spokojny i wolał się wyprowadzać z domu, niż toczyć wojny. Miałam ochotę ją po prostu udusić. Moje własne dzieci, Ewelina, a także dwóch kolegów Patryka, którzy właśnie przyszedli, żeby namówić go na jakieś taneczne wygibasy w świeżo reaktywowanym zespole, byli świadkami ostatniej części tej rozmowy i przyglądali mi się z pewnym zdziwieniem. Patryk, widząc moją stropioną minę, spróbował jakoś rozładować sytuację.

— Nie przejmuj się takim gościem z drogi. Nie był przecież zaproszony, to możesz mu dać zsiadłego mleka z ziemniakami. My też chętnie na ten upał coś takiego zjemy.

— Nie widzisz, Patolu, że tu o coś innego niż jedzenie chodzi? — odezwała się moja bystra córeczka. — Coś się tu działo, o czym nie wiem?

— No, tata był zazdrosny o spotkanie mamy z tym jej byłym, znaczy z tym Rafałem — wyjaśnił prostodusznie Patryk, a chłopcy zaczęli się znacząco uśmiechać. — Były między wami jeszcze jakieś zgrzyty poza tą awanturą w aucie? — zwrócił się do mnie.

— A więc doszło nawet do awantury? Nie żartujecie? Naprawdę tata był zazdrosny? — zapytała ze śmiechem Dominika.

— No właśnie — przytaknęłam jej w tym samym tonie, sądząc, że uważa mnie za osobę poza wszelkimi podejrzeniami, a tymczasem ta mała larwa dosłownie kulała się ze śmiechu, lecz z zupełnie innego powodu i zaraz to wyjaśniła.

— A tata widział chociaż zdjęcie tego Rafała? Taki facet może mieć każdą dwudziestoletnią laskę, a miałby uganiać się za naszą mamą, z tego powodu, że kiedyś coś tam między nimi było czy raczej nie było? Ludzie, trochę więcej realizmu! — zaapelowała do naszego zgromadzenia.

Nikt nie potrafi być tak okrutny dla własnej matki jak jej córka. Ja chyba wobec mojej mamy też zachowuję się podobnie — pomyślałam. Szkoda, że przed poprzednim spotkaniem z Rafałem nie miał mnie kto sprowadzić na ziemię. W krytycznym momencie brakło mi tego bezkompromisowego realizmu mojej córki.

— Patryk ma dobry pomysł z tym mlekiem — powiedziałam. — Taki posiłek możecie przyrządzić sami, a ja chciałabym odwiedzić dziś Grażynę.

Myślałam, że znalazłam sprytne wyjście z sytuacji. Ucieknę przed tą niewygodną wizytą i już — kombinowałam. Ale mama, jak zwykle, miała jakieś obiekcje.

— Niedawno widziałas się z Grażyną, a ja już wyjeżdżam i chciałabym spędzić ostatnie chwile z tobą. Może mi się jeszcze coś ważnego przypomnieć.

— To zadzwonisz — próbowałam się bronić. — Cieszę się, że nareszcie nie masz oporów, aby korzystać z komórki.

— Dobrze, jak chcesz, to jedź. Nie będę cię zatrzymywać. Żebyś tylko nie miała do siebie pretensji, że nie chciałaś spędzić ze mną nawet tej połowy dnia. Wiesz, w moim wieku to każda godzina może być tą ostatnią — wypaliła z grubej rury i, pociągając nosem, weszła do łazienki.

— To był cios poniżej pasa — powiedziałam już do siebie. Patryk popatrzył na mnie współczująco, objął mnie ramieniem i szepnął mi do ucha:

— Nie przejmuj się, babcia jest mistrzynią manipulacji. A Dominika jest głupia jak but. Wszyscy koledzy zazdroszczą mi seksownej mamy.

— Dzięki, synku, doceniam. Skończmy z tym przedstawieniem. Wyprowadź gdzieś tych gapiów, bo gotowi sobie o nas Bóg wie co pomyśleć — powiedziałam mu również na ucho i odwzajemniłam się całusem oraz potarganiem grzywki. Nie uchylił się mimo obecności kolegów.

Chciałam w sypialni spokojnie zastanowić się nad obraniem właściwej strategii na dziś, ale już po chwili wpadła tam dziwnie podniecona Dominika.

— O, widzę, że siedzisz przed lustrem — zaczęła, jakby to miało jakieś znaczenie, że klapnęłam akurat na pufie przed toaletką i krytycznie spoglądałam w lustro.

— Bo co? W moim wieku to też już zabronione? — zapytałam zadziornie.

— No coś ty. Zrób się na bóstwo — powiedziała wspaniałomyślnie. — Jak się obrobisz, to jeszcze całkiem dobrze wyglądasz. Można się nabrać.

— A potem przeżyć szok, jak się zmyję? Biedny wasz tata, on to tak dzielnie znosi — szydziłam.

— Nie o to mi chodzi. Bez malowania też ujdzie, ale jak się postarasz, to czasem wyglądasz, jakbyś jeszcze nie przekroczyła czterdziestki — Dominika próbowała zatrzeć złe wrażenie, bo czuła widocznie, że trochę przesadziła.

— Dobra, zostawmy to. O co ci konkretnie chodzi?

— O to, żebyśmy się trochę wysiliły i zrobiły fajne przyjętko, bo ten Rafał to chyba interesujący facet. Warto mieć takiego znajomego. Przemówimy tacie do rozsądku i może się z nim zaprzyjaźni. Szkoda, że jego Ania już taka stara. Moglibyśmy ich wyswatać, wtedy ty też nie miałabyś powodów do zazdrości o tatę.

— Słuchaj, mały szachraju, twoja interesowność mnie przeraża. Kiedyś taka nie byłaś. Jak będziesz chciała jechać do Ameryki, to może zaprosić cię pani Zatoniowa. Tylko najpierw musisz zarobić na taką eskapadę. Zrozumiano?

— Eee, Zatoniowie mieszkają w Nowym Jorku, a Rafał w Miami, a to kolosalna różnica.

— Rafał teraz mieszka podobno w Polsce. Poza tym nie jest do swatania, bo w Ameryce ma żonę i dzieci.

— Skoro ją tam zostawił, to chyba tam jeszcze mieszka albo się rozstali.

— Nie wiem, jak to z nim jest, i mam nadzieję, że go nie spytasz.

— Ja nie, ale ty byś mogła, żebyśmy wiedziały, na czym stoimy.

— Ja doskonale wiem, jaki jest mój status rodzinny, i to mi wystarczy. Nie ekscytuj się tak, bo to naprawdę nie twoja rzecz. Lepiej powiedz, co u Łukasza. Jeszcze od powrotu do domu o nim nie wspomniałaś i telefonów żadnych nie było — odbiłam piłeczkę.

— Pojechał, maminsynek, z rodzicami do Egiptu — prychnęła drwiąco.

— Masz coś przeciwko?

— Pewnie, bo najpierw planował, że spędzi ze mną cały miesiąc na Mazurach, a potem, jak rodzice powiedzieli „nie”, podwinął ogon i grzecznie pojechał z nimi prażyć się na plaży. Wyobrażasz sobie Egipt o tej porze, to musi być masakra.

— Takie wyjazdy często planuje się z dużym wyprzedzeniem, więc jeśli jego rodzice już wykupili wczasy, trudno tyle pieniędzy wyrzucić w błoto. Ale nic mi nie wiadomo, że ty wybierałaś się z nim na Mazury. Uważasz, że jesteś już tak dorosła, iż nie potrzebujesz pytać nas o zgodę? Chyba nie miałaś zamiaru zjawić się z nim z zaskoczenia u dziadków?

— Nie, ja miałam zamiar, jak co roku, zainstalować się z Patolem u dziadków, a on mógłby pomieszkać na kempingu.

— Nie dziwię się, że wybrał Egipt — zakpiłam. — Ale macie jeszcze kawał wakacji, więc po powrocie z Egiptu może odwiedzić cię na Mazurach. Tylko żebyście stosownie się zachowywali, żeby babcia znów nie miała pretensji.

— Potem to on jedzie z ciotecznym bratem na wspinaczkę gdzieś w góry Ałtaj. I to na długo. Tego też podobno wcześniej nie planował. A wczasy do Egiptu były w ofercie „last minute”. Jakby chciał, toby nie pojechał. Widocznie mu nie zależy, żeby być ze mną, albo strasznie boi się starszych.

— Ja bym powiedziała, że to zaleta, jeśli chłopak liczy się ze zdaniem rodziców.

— To dlaczego tak cię zawsze wkurza, że tata słucha swojej mamy?

— Nie zawsze, tylko czasami, gdy pod jej wpływem zmienia zrobione ze

mną wcześniej ustalenia.

— No właśnie, tak było i w naszym przypadku.

— Ale jest zasadnicza różnica. Tata jest dorosły, niezależny finansowo i ma już własną rodzinę, a Łukasz na dobrą sprawę jest jeszcze dzieckiem, podobnie jak ty.

— Dlatego nie mam zamiaru zadawać się więcej z dziećmiakami — fuknęła moja dorosła córka i wyszła.

Miałam nadzieję, że Dominika nie wprowadzi natychmiast w czyn swoich infantylnych pogroźek, chociaż zaświeciła mi się jakaś lampka, że trzeba na nią uważać. Czyżby planowała zagiąć parol na Rafała? — przemknęło mi przez myśl. Jest bardzo dorosły i samodzielny finansowo, a do tego pewnie nie miałby skrupułów, żeby nie skorzystać z okazji. Ten podstarzały lowelas jeszcze unieszczęśliwił mi córkę — pomyślałam przerażona i hitchcocki jak szalone zaczęły się wyświetlać w mojej wyobraźni. Nie, nie mogę w takiej chwili dezertować. Muszę zostać w domu, żeby pilnować dziecka — mówiło moje matczyne serce. A kobieca próżność szeptała dodatkowo, żeby jednak zrobić staranny makijaż, wyszukać w szafie twarzową, niby to domową kreację i przygotować małe co nieco. Niech palant nie myśli sobie, że nie wyglądam atrakcyjnie w domowym zaciszu i nie umiem gotować. To musi być coś zwykłego, że niby obiad jak co dzień, ale powinno mieć niezapomniany smak. Niech żałuje, że nie jestem jego żoną. Ta w Ameryce na pewno robiła mu hamburgery albo odgrzewała coś z puszki, a Gośka głównie fiksowała. Takim gówniarom jak Dominika wydaje się, że do szczęścia w związku potrzebne jest jedynie młode ciało i ładna buzia partnerki.

Już wiem, zrobię placki ziemniaczane z sosem borowikowym. Wczoraj wieczorem Mietek podrzucił mi świeżo nazbierane i obrane grzybki. Miałam je jeszcze przejrzeć i zamrozić, ale teraz będą jak znalazł. Zupy nie będzie. Nie chce mi się nawet dla Rafała pichcić dwudaniowego obiadu w taki upał. Ale na deser

mogłabym podać ciepły mus malinowy z gałką lodów waniliowych. Niedawno jadłam takie cudo w restauracji w Sandomierzu. Chyba nietrudno to przyrządzić nawet bez przepisu. Już zaczęły się późne maliny, więc wysłę dziewczyny, żeby nazbierały koszyczek czy dwa. Babcia też, skoro ma podwodę pod sam dom, chętnie wzięłaby sobie parę słoiczków zasypanych cukrem.

— Dominiczko! — zawołałam przymilnie. — Skocz, słonko, i nazbieraj mi łubiankę malin. Ewelinka też mogłaby iść z tobą, a ja popilnuję Frania.

— W taki upał?! — odkrzyknęła z góry córka. — Spocę się i nos mi się opali na czerwono, a chciałabym ładnie wyglądać.

— Chętnie pójde sama — powiedziała Ewelina, która ostatnio szukała okazji, by zająć się czymś innym niż dziecko. — Ja szybko zbieram i bardzo to lubię.

Dominika jednak zeszła na dół z białym od grubej warstwy kremu nosem i ze złością wzięła łubiankę.

— No to chodź! — rzuciła oschle do koleżanki. — Jak Alina z Balladyną, co? Może zrobimy konkurs, która szybciej? — zaśmiała się nieprzyjemnie, a mnie aż dreszcz przeszedł po plecach.

— Masz makabryczne poczucie humoru — zgańłam córkę. — Na szczęście brak Kirkora.

— Rafał mi pasuje na hrabiego Kirkora — śmiała się dalej Dominika.

— Ja w takich konkurencjach już nie startuję — powiedziała smutno Ewelina. — Wystarczy mi, że pani będzie zadowolona.

— Sama się wyeliminowałam, moja droga — stwierdziła jadowicie Dominika. — Ale niezupełnie jest tak, jak mówisz. Znowu się stroisz i pacykujesz. Dla kogo tym razem?

— To mam chodzić w worku, czy co? — podniosła głos Ewelina. — Mama Damiana kupiła mi parę fajnych rzeczy. Nie mieszczę się w te sprzed ciąży. Nie wiem, co ty chcesz ode mnie, Łukasza masz już przecież całkiem dla siebie. Ja się tu z nikim nie widuję. A teraz też nazbieram malin i pójde zaraz do domu, żebyś

mnie o nic nie podejrzewała. — Ewelina z lękiem patrzyła na niedawną przyjaciółkę.

— A mój brat to nikt? — Dominika bez ogródek wypaliła to, co mnie nurtowało od jakiegoś czasu.

— Dość tego! Dziewczyny, oddajcie noże! — Próbowałam tę nieprzyjemną sytuację obrócić w żart. — To, że masz zły humor, Dominiko, nie znaczy, że możesz wyżywać się na innych. Lepiej zrezygnuję z tego deseru, bo coś fatalnego widać jest w malinach, a wy rozejdźcie się w pokoju — zakończyłam.

Dominika natychmiast skorzystała z okazji i zniknęła za drzwiami swego pokoju, a Ewelina wzięła dwie łubianki i poszła zbierać owoce. Ja zaś błyskawicznie zabrałam się do pracy, zapomniawszy o konieczności podreperowania urody. Smażyłam placki, dusiłam grzybki i zaglądałam do leżącego na werandzie Franka. Ten przynajmniej na razie był mężczyzną idealnym. Spał jak suseł i uśmiechał się do aniołka.

Gdy babcia z wnuczką po czternastej wpadły do kuchni, wszystko było gotowe, tylko ja spocona, zmęczona i potargana.

— Jak ty wyglądasz?! — zatrwożyła się na mój widok mama. — On już jest w Kielcach!

— Mamo, ogarnij się! Zawołaj Patryka, żeby posprzątał w kuchni. Strasznie tu napaprałaś — ganiła mnie córka. — Jeszcze Rafał pomyśli sobie, że jesteśmy brudasami.

— Dlaczego mam wołać Patryka? — spytałam, opadając ciężko na stołek. — Zetrzyj z blatów. A kuchenkę możesz potraktować cifem.

— Ja?! — krzyknęła Dominika, jakbym kazała jej oczyścić stajnię Augiasza. — Jestem już ubrana i mam polakierowane paznokcie. — Zagoń do roboty synalka. Jak go teraz nie wychowasz, to potem unieszczęśliwi jakąś kobietę. Będzie oczekiwał, że mu żona wszystko naszykuje i poda, jak ty tacie.

— Tak, tak — przytaknęła wnuczce babcia.

— A dajcie wy mi święty spokój! — wrzasnęłam wyczerpana. — Mogłam dzisiaj leżeć do góry brzuchem, to babcia wpakowała mnie w gotowanie. Teraz będą mi tu obie rządzić. A ta smarkula próbuje mnie wychowywać. Patrzcie ją, jajo mądrzejsze od kury. Co się z tobą porobiło w tej Warszawie. Jeszcze nie zaczęłaś studiować, a już ci się w głowie przewróciło? A co to będzie, gdy poczujesz się artystką całą gębą? — Teraz dopiero przyjrzałam się Dominice, która wymalowała oczy i usta tak, że mogłaby zagrać w jakiejś sadze o wampirach. — Ja wchodzę pod prysznic, żeby się ochłodzić, a ty, dziecko, stań przy głównej drodze.

— Po co mam lecieć aż do głównej drogi? To już byłaby gruba przesada. Przecież on tu był, to trafi. Na pewno ma nawigację. — Dominika wzruszyła ramionami.

— Miałam na myśli taki test. Jak zaczną przystawać koło ciebie tiry, to może się zastanowisz nad swoim wyglądem — wypaliłam i zamknęłam drzwi łazienki.

Kiedy wyszłam odświeżona, kuchnia była prawie sprzątnięta. Patryk zmywał jeszcze mopem podłogę. W stołowym babcia przecierała sztućce, a Dominika w swoim pokoju trzaskała nerwowo szufladami. Zdążyłam leciutko się podmalować i wysuszyć włosy, gdy biały lexus stanął przed domem. Nie będę w popłochu zakładać jakiejś sukienki — pomyślałam. Ta czarno-biała podomka z seksownym długim dekoltem świetnie podkreśla talię i jest w sam raz. Przecież jestem zaskoczona — zdecydowałam. Mama ze zręcznością nastolatki wyskoczyła przed dom i jęła usilnie zapraszać do środka gościa, który zresztą zbytnio się nie wzbraniał.

— Musisz, Rafałku, wejść na chwilę, bo ja jeszcze jestem bez obiadu. Asia tak się od rana guzdrała, że dopiero teraz będziemy siadać. — Usłyszałam ćwierkanie mojej rodzicielki i z miejsca trafił mnie szlag. — Aśka, zaprosz gościa, niech spróbuje twojego wiejskiego gotowania — krzyczała podekscytowana babcia. — To nie amerykańskie specjały, ale wszystko jest świeże i zdrowe.

Proszę, proszę, dalej. Asia zaraz wyjdzie, tylko się pewnie ubiera, bo chodziła tak po domowemu. — Babcia skakała przed Rafałem, jakby jej dwadzieścia lat ubyło.

— Proszę, wejdz. — Stałam w drzwiach z miną mordercy i sztywno wyciągnęłam rękę na powitanie. — Zapraszam z nami do stołu. Mam nadzieję, że nie jadłeś jeszcze obiadu.

— Nie byłem dotąd głodny. W taki upał traci się apetyt, ale ten zapach sprawił, że z przyjemnością rzucę się wręcz na cudo, które przygotowały twoje rączki.

Rafał zrobił gest, jakby chciał mnie pocałować na powitanie, ale się uchyliłam. On jest bezczelny — pomyślałam, spojrzawszy, czy Patryk kontroluje przebieg wydarzeń. I nie pomyliłam się. Patolek z chmurną miną spoglądał spod łba na przybysza.

— Poznaj, to jest mój syn.

— Starszy? — spytał Rafał na widok równego mu wzrostem drągala i popełnił pierwszą gafę.

— Nie mówiłam ci, że mam bliźnięta? — zdziwiłam się nieszczerze.

— Chyba mówiłaś, ale widocznie mam już sklerozę. — Rafał klepnął Patryka w ramię, bo ten wciąż trzymał w rękach wiadro i mopa.

— Dzień dobry panu — usłyszałam za plecami. Na schodach ukazała się Dominika ubrana w białą bluzeczkę i króciutką plisowaną spódniczkę, którą nosiła chyba jeszcze w gimnazjum. Tak schudła w czasie tych egzaminów, że znów mogła ją założyć — pomyślałam ze współczuciem. Ale zaraz potem skonstatowałam ze złością, że smarkula wystroiła się jak lolitka, aby wykonać demonstrację wymierzoną przeciwko mnie. Włosy miała uczesane w duże kity, na których zawiązała kokardy. Dygnęła wdzięcznie nóżką przed Rafałem. — Czy mogę mówić do pana wujku? — spytała z miną niewiniątka.

— Tak, oczywiście, będzie mi bardzo, bardzo miło — bąkał zdumiony gość

i zwróciwszy się do mnie, zapytał: — Jesteś pewna, że twoje dzieci są bliźniętami?

— Nie rozśmieszaj mnie — odparłam.

— To zdumiewające, jak młodo wyglądają wszystkie kobiety w tej rodzinie. — Rafał wykazał podziwu godną przytomność umysłu i galanterię. — Babcia mogłaby uchodzić za matkę tego młodzieńca. Mama pasuje bardziej na jego siostrę bliźniaczkę, a siostra jakby dopiero zaczynała podstawówkę. To chyba kwestia wyjątkowych genów?

— Niech się pan nie da nabrać. Dominika normalnie tak się nie ubiera, wygłupiła się na złość mamie — powiedział w dobrej wierze prostoduszny Patolek. Teraz Rafał będzie kombinował, jaka to scena rozegrała się w naszym domu przed jego przybyciem — pomyślałam. Jeszcze gotów sobie pomyśleć, że ja boję się konkurencji dorosłej córki. Nie będę mu jednak niczego wyjaśniać, bo wyszłoby jeszcze gorzej.

— Siadajmy do stołu — zaprosiłam. — Mam nadzieję, że nie masz problemów z wątrobą? Nasze dzisiejsze menu jest smaczne, ale cokolwiek ciężkie. Mogę ci dać boldaloin. Nie krępuj się, mama też go zażywa przed jedzeniem grzybów. Mój mąż zawsze serwuje teściowej takie wsparcie trawienia.

— Dziękuję, nie ma potrzeby. — Rafał był zakłopotany moją dziwną troską o stan jego narządów trawiennych, ale dzielnie brnął dalej w panegirycznym stylu. — Z twoich rąk strawię nawet truciznę — zadeklarował ochoczo.

— To mogła być zbyt pochopna decyzja, zwłaszcza że mamy dziś grzybki, więc zawsze istnieje pewne ryzyko — postraszył Patryk z ponurą miną.

Nie odebrało to jednak Rafałowi apetytu. W ogóle wszyscy pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Rafał po kilku następnych peanach umilkł, a wtedy babcia zaczęła rozpływać się nade mną.

— Joanna jest wspaniałą kucharką, prawda? W ogóle gospodynią. Dbą o dom, dzieci, a najbardziej o męża. Dzisiaj już prawie nie zdarzają się takie żony.

— Mamo, przestań. Rafał i tak mnie nie kupi — syknęłam jej, zbierając talerze.

— Dobrze, że wyjeżdżam, bo ciągle masz do mnie o coś pretensje. Jak sobie nie życzysz, już się nie odezwę — powiedziała dotknięta do żywego moją niewdzięcznością i słowa dotrzymała. Zapadła kłopotliwa cisza. Dominika spoglądała w okno, a Patryk skubał obrus. Wreszcie Rafał zdecydował się podziękować za gościnę.

— Ale drętwy facet — stwierdziła po jego wyjściu Dominika.

— Widzisz, że uroda to nie wszystko — podchwyciłam ochoczo.

— A on zawsze taki był? — dopytywał się Patol.

— Być może. To było tak dawno, że nie pamiętam — ucięłam, mając nadzieję, że skończył się już temat Rafała, przynajmniej wśród moich dzieci.

Późnym wieczorem połączyłam się z mężem na Skypie i od razu usłyszałam:

— To co, masz trochę luzu, babcia wyjechała? Podobno uruchomiła nową luksusową linię na trasie Kraków—Warszawa via Zalewice. Będę musiał kupić groźniejsze psy, bo tymi nie da się nikogo poszczuć — żartował rozbawiony.

— A ty skąd wiesz o wszystkim? — zdziwiłam się.

— Dominika przysłała maila z relacją. Zdaje się, że jesteście w stanie wojny?

— Jest na mnie wściekła, więc raport może być tendencyjny.

— O Rafale pisze bardzo pozytywnie. Może nawet mógłbym się zaprzyjaźnić z tym facetem.

— Dziwne. A co takiego napisała?

— Cytuję: „...do porzygania poprawny, blee...”.

Pośmialiśmy się trochę i w ten sposób Dominika niechęć rozładowała napiętą sytuację w rodzinie. Znów byliśmy z Krzysiem zgodni, a nawet w kwestii ostrzejszego dobrania się do naszej pannicy jednomyślni. Zasypiałam z cudownym spokojem w sercu.

VII. WAKACYJNY „ODPOCZYNEK”

Tak bym chciała choć w jedne wakacje trochę się ponudzić. Nuda wydłużyłaby pozornie dni i czas nie uciekałby jak głupi. Lubię szkołę, ale wakacje jeszcze bardziej, chociaż nie mogę powiedzieć, że jest to dla mnie czas odpoczynku.

Olałam Mariana, który chyba już na stałe zainstalował się w Norwegii. Do wykończenia pokoiów na górze wzięłam faceta z ogłoszenia w Internecie. Przyjechał na umówioną godzinę, był grzeczniutki i nie stawiał żadnych wymagań poza słonym wynagrodzeniem. Ale jak sobie przypomniałam te wszystkie kawki, obiadki i nieustanne czekanie na ekipę Mariana, zaakceptowałam cenę. Swoją drogą ciekawa jestem, jak Marian radzi sobie za granicą bez tych swoich rytuałów. Nie przypuszczam bowiem, żeby w Norwegii znalazł pracodawcę, który byłby skłonny go tak dopieszczać. Internetowy majster zadrećza mnie dla odmiany opowieściami o poprzednich miejscach, w których miał okazję wykazać cały swój kunszt, podkreślając jednocześnie, że moje zlecenie jest grubo poniżej jego poziomu. Wkurza mnie, rzucając ciągle fachowe terminy i każąc mi się zastanawiać nad wyborem rodzaju kleju lub proponując listwy z jakiegoś horrendalnie drogiego drewna. Zanudza mnie tysiącem pytań i zmusza do nieustannego podejmowania decyzji w zupełnie nieistotnych kwestiach.

— Niech pan sam zadecyduje, jaki klej lepiej będzie trzymać. To pan się na tym zna — mówię w końcu znieczierpliwiona i już zaczynam tęsknić do Mariana, który z kolei miał zwyczaj zawsze robić wszystko po swojemu i rzadko pytać o cokolwiek.

— Proszę pani, ja muszę się zabezpieczyć, żeby w razie czego, jak pani się nie spodoba, nie było na mnie — odpowiada facet i wyciąga z kieszeni dyktafon.
— Mogę oczywiście zrobić zlecenie od nowa, ale to kosztuje. Wszystko mam

nagrane, więc nie będzie pani mogła zaprzeczyć.

Koszmar. W co ja się wpakowałam? Może i mam do czynienia z profesjonalistą, ale spod znaku ABW lub CBS. Najchętniej wygoniłabym go na cztery wiatry, tylko że cwaniak ma już mnie nagraną i wziął sporą zaliczkę. Ale ja też postanowiłam się zabezpieczyć, sporządziłam propozycję umowy, gdzie zawarłam, czego od niego oczekuję, za jaką cenę i w jakim terminie. Podałam mu i mówię:

— Jak to podpiszemy, może pan wyłączyć sprzęt nagrywający, bo nieswojo się czuję, gdy korzystam za ścianą z toalety. Zrobię panu kawy, a pan niech spokojnie przeczyta umowę i trochę wyluzuje. Nie grozi nam chyba procesowanie się w tak błahych sprawach? Nie każę panu malować złotem tych krokwi, tylko zwykłą bejcą albo czymś takim. Proszę wybierać dobre materiały za rozsądną cenę.

— Robię nagrania również dla pani bezpieczeństwa. A pani ma drugą toaletę na dole, stamtąd mikrofon nie zbiera — odpowiedział chłodno i udowodnił przy okazji, że brak mu całkowicie poczucia humoru.

— Pracował pan w biurze obsługi klientów w telekomunikacji czy w firmie detektywistycznej? — spytałam.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził wymijająco. — Przepracowałem piętnaście lat w instytucji, która nauczyła mnie ostrożności wobec ludzi. To była bardzo stresująca praca, ale teraz potrafię być przewidujący i bardzo asertywny. Przepraszam, muszę już nakładać masę, bo tężeje.

No to wszystko jasne. Coś mu siadło w psychice i z agenta zmienił się w maniaka — pomyślałam sobie i poleciałam z psami na spacer, żeby mieć jak najmniej nagrań. Bałam się nawet zastanawiać, co by było, gdyby facet schrzanił tę robotę. Nie chciałabym się z nim dochodzić, a Marian pewnie nie zechciałby poprawiać po nim za żadne pieniądze, bo honor by mu nie pozwolił.

Lato mija w zastraszającym tempie i trzeba na gwałt robić przetwory, a tu

nagle wszystkich wymiotło z domu i zostałam sama na gospodarstwie. Gdyby było nas więcej, można by jakoś się podzielić robotą. Dzieci by zbierały, babcia przebierała, a ja zajęłabym się już dalszą obróbką. A tak sama muszę zrobić wszystko, a jeść potem będzie cała gromada. To niesprawiedliwe. Ja też mam potrzeby towarzyskie i kulturalne. Chciałabym sobie w wakacje coś poczytać, nie mówiąc już o tym, że budowałam werandę z myślą o pracy twórczej. Zawsze marzyło mi się, że w wiejskim zaciszu, w małym domku będę pisać powieści. Domek wyszedł mi trochę za duży, a więc mocno absorbujący. Cicho jest w nim wtedy, kiedy właśnie potrzebuję pomocników. Na razie zamiast bestsellerowej powieści napisałam śmieszny scenariusz na Przegląd Zespołów Straży Pożarnej w Paczkowie. Nic dziwnego, że mam wątpliwości, czy moje marzenia się spełniły, czy raczej przepoczwarzyły.

Nadal chcę mieć spizarnię pełną domowych soków, słoików konfitury i nalewek, lecz jak trzeba to wszystko zebrać, przebrać, obrać, usmażyć, wypasteryzować, wycisnąć, precyzyjnie i wysuszyć, ogarnia mnie zwątpienie, czy dam radę. A poza tym coraz częściej nawiedzają mnie takie bardziej egzystencjalne wątpliwości, czy aby na pewno wiem, czego chcę od życia. Może nie warto wciąż mieszać w garnkach, ganiać po domu ze ścierką i mopem? Właśnie teraz powinnam zająć się pisaniem książek. Tematy godne literatury leżą na wyciągnięcie ręki, ale nie są tak namolne, jak widok opadających, gnijących owoców, kurzu na meblach, upstrzonych przez muchy szyb i brudnych plam na podłodze, więc wciąż je odsuwam na nieokreślone „później” i zanurzam się w codzienności. Widocznie za dużo marzeń urzeczywistniło mi się naraz i nie mogę się w tej nawałnicy połapać.

Mama wciąż siedzi w Warszawie i twierdzi, że teraz lepiej czuje się w mieście, gdzie prowadzi ciekawe życie towarzyskie i kulturalne. Tylko pozazdrościć. Na moje bardziej szczegółowe pytania odpowiada wymijająco. Niebawem pewnie się dowiem, co to za atrakcje tak ubarwiają jej życie. Aż się boję.

Dominika z Patrykiem wyjechali do dziadków na Mazury. Patryk nie chciał ruszyć się z domu ze względu na Ewelinę. Ale zupełnie niespodziewanie wrócił do kraju jej ojciec i zabrał córkę do domu, czym ułatwił mojemu synkowi trudną decyzję. Otóż pomiędzy rodzicami Eweliny doszło w Niemczech do jakiejś dużej awantury. Ojciec wrócił do kraju z postanowieniem, iż rozwiedzie się z małżonką. Szczęśliwie się złożyło, że ich mieszkanie, wynajęte w tamtym roku studentom, stało w wakacje puste, bo nie miałyby gdzie się podziać. Zaraz po powrocie do kraju przypomniał sobie, że ma córkę, a nawet wnuczka. Wcześniej, kiedy jego żona tuż przed porodem pozbawiła Ewelinę mieszkania i zerwała z nią wszelkie kontakty, jakoś się w nim instynkt ojcowski nie odzywał. Teraz dobry tatuś zadzwonił i zaproponował córce powrót do domu. Byłam nieco zdziwiona, że dziewczyna tak szybko zapomniała rodzinie urazę, wymiksowała się z gościny u rodziców Damiana, spakowała swoje manatki i przysłała się do mnie pożegnać.

Siedzialiśmy kilka godzin same, czekając na przyjazd jej ojca, który najwyraźniej czas traktuje podobnie jak moi podopieczni z zespołu Swarowiacy. Dziewczyna zdążyła mi opowiedzieć, co wydarzyło się między jej rodzicami w Niemczech. Znała oczywiście tylko wersję jednej strony, ale uważała, że jest bardzo prawdopodobna.

— Mama zawsze robiła tatę w konia — stwierdziła. — W Polsce też przeważnie miała kogoś na boku. Jak już byłam trochę większa, przekupywała mnie, żebym nie mówiła tacie, że jakiś „wujek” u niej bywał. Musiałam długie godziny siedzieć na podwórku albo u koleżanek. Wątpię, żeby tata nic o tym nie wiedział. Zawsze znajdują się przecież jacyś usłużni ludzie, którzy doniosą. Ale tata chyba wolał udawać, że o niczym nie wie.

— Może tylko tak ci się wydaje, a on naprawdę jej ufał — wtrąciłam.

— Mój tata nie jest zaradny życiowo, z wyrachowania trzymał się spódnicy mamy — dodała. — Nie ma jakiegoś konkretnego zawodu. Zrobił maturę i podobno chciał studiować historię, ale wcześniej zadał się z dziewczyną

z gastronomika, czyli moją mamuszką. Jeszcze przed ukończeniem szkoły dowiedział się, że jestem już w drodze. Jego rodzice byli wściekli i chcieli jakoś to załatwić, lecz on się ujął honorem i ożenił. Podobno zrobił to dla mnie, bo matka groziła, że mnie usunie. Łapał potem różne doraźne roboty, lecz forsy wciąż było mało. Mama narzekała, ale na własne potrzeby zawsze skądś kasę miała. Lubiła się modnie ubrać i mocno malować.

— To mama znalazła tę pracę za granicą? — spytałam. — Gdyby było tak, jak mówisz, nie pojechałaby z nim, tylko sama.

— Chciała mieć spokój i najpierw wysłała go samego, ale słabo sobie radził. Znajomi wracali z forszą, a on nigdzie nie mógł zagrzać dłużej miejsca. Stracił pracę, którą mu załatwiła, i nie chcąc się przyznać do porażki, pozaciągał masę długów. Trochę popijał. Mama zostawiła mnie pod opieką sąsiadów i pojechała do niego, żeby szybciej i więcej zarobić i pooddawać ludziom pieniądze.

— Widzisz więc, że twoja mama też nie miała łatwo.

— Zawsze była bardziej zaradna i bystra. Szybko nauczyła się języka i zorientowała w tamtejszych układach. Tata robił to, co mu kazała, wygodnie mu tak było. Ostatnie trzy lata było super. Zgodnie zajmowali się posiadłością jakiegoś bogatego biznesmena. Dobrze zarabiali, praca była lekka i, co najważniejsze, nie mieli prawie żadnych kontaktów z innymi Polakami. Nie było pokus. Niemiec, który ich zatrudniał, często wyjeżdżał. Mama mówiła, że to przystojny facet w średnim wieku. Jej się bardzo podobał, ale tacy patrzą na dużo młodsze, ładniejsze i takie z klasą. A moja mama... Sama pani widziała.

— Może więc to tylko jakieś nieporozumienie, a twojemu tacie się coś zdawało — powiedziałam w nadziei, że rzeczywistość okaże się lepsza.

— To nie z pracodawcą ojciec ją nakrył. — Ewelina roześmiała się, jakbym powiedziała coś zabawnego. — Do tego ich Niemca przyjechał jego ojciec, taki stary playboy po siedemdziesiątce. Dla niego matka okazała się wystarczająco atrakcyjna i do tego chętna. Tylko dlaczego ojciec zrobił z tego aferę?

W młodości mu nie przeszkadzało, a teraz raptem zazdrosny o jakiegoś starego dziada, z którego można byłoby nieźle pożyc.

Nie podobał mi się sposób, w jaki Ewelina mówiła o tej sprawie.

— Wiesz, Ewelino, nie mogę uwierzyć, że tak naprawdę myślisz — odezwałam się zszokowana. — Chciałabyś, żeby mama w pewnym sensie uprawiała prostytutkę, a tata czerpał z tego korzyści? Nie jest przecież sutenerem. Poczuł się zraniony, więc może jednak ci się zdaje, że wcześniej były podobne sytuacje? A może twoja mama chciała w nim tylko wzbudzić zazdrość? Nie osądzaj ich, dopóki nie dowiesz się wszystkiego, jeśli w ogóle do tego kiedyś dojdzie. To są ich sprawy, a dorośli też często zachowują się niemądrze.

— Nie wierzę. Wcześniej widocznie chciało mu się udawać, a teraz coś się zmieniło — odparła cynicznie. — Mam nadzieję, że on nie liczy na mnie. Może mu się zdaje, że skoro jakoś sobie bez nich radzę, to teraz do mnie się podłączy.

Byłam porażona jej rozumowaniem, ale kontynuowałam rozmowę.

— Skoro masz takie wątpliwości, to czy zbyt pochopnie nie zrezygnowałaś z gościny u dziadków Franka? Oni przecież są bardzo serdeczni i nieba by tobie i Frankowi przychyliłi. Czy się mylę?

— Niby tak, ale między nimi też jest niedobrze. Ojciec Damiana, jak jest za granicą, podobno nie pije. Pewnie tak jest, bo by go przecież wyrzucili z budowy. Ale coraz częściej bierze wolne i wpada do domu i to tak bez zapowiedzi, jakby chciał nas zaskoczyć. W domu chleje co dzień i o wszystko kłóci się z żoną. Chyba też ją bije, bo pani Danusia chodzi często w dużych ciemnych okularach i tak mocno się maluje. Ona bardzo się stara, żebym ja nic nie słyszała. Zamyka się z nim takim wściekłym w sypialni i nawet się nie odezwie, jak on ją zwie od najgorszych.

— A nie próbowałaś jakoś jej pomóc albo przynajmniej przemówić do rozsądku, żeby zgłosiła się na policję?

— Ja też się go boję. Mnie na razie się nie czepia. Ale jakbym się wtrąciła, to

kto wie?

— A policja?

— Pani Danusia mówi, że to w ogóle odpada, u nas na posterunku pracują jego kumple. Twierdzi, że nie jest tak źle, czasem ją pchnie albo wyszarpie za włosy. Już się przyzwyczaiła, a jak jest potulna, to on się wykrzyczy, rozładuje i zasypia. Ona go tłumaczy, że ma takie nerwy po śmierci Damiana.

— Tak, ona też zawsze znajdowała milion usprawiedliwień dla wybryków Damiana. Musi jej być bardzo ciężko. Trudno zmierzyć, które z rodziców bardziej kochało, ale to ona właściwie wychowywała tego trudnego chłopaka.

— No i o to wychowanie stary tak się wścieka, że gdyby go inaczej wychowała, to może by wcale nie było tego wypadku.

— Nie wiem, czy bita i poniżana przez męża kobieta ma szansę wychować dobrze syna. Na pewno brak autorytetu w oczach dziecka i zły przykład ojca jej w tym nie pomagał.

— To on wcześniej też ją grzmocił? Ale cham.

— Tak przynajmniej plotkowano w szkole, ale ja nie wiem tego od niej ani od Damiana. Oni zawsze udawali, że wszystko jest w porządku.

— Jak ja się od nich wyprowadzę, to pani Danusia będzie swobodna. Będzie mogła też mu przywalić albo uciekać, a teraz wszystko bierze na siebie, żebym ja nie słyszała. Zresztą to nie moje sprawy. Lepiej, żeby Franek nie oglądał takich scen, jak już zacznie coś rozumieć — Ewelina zakończyła rozmowę, bo właśnie zdezelowany passat zajechał przed nasz dom.

Ojciec Eweliny wydał mi się dużo bardziej sympatyczny niż jego żona, chociaż faktycznie, robił wrażenie, delikatnie mówiąc, mało kontaktowego i nierozgarniętego. Trudno zresztą oczekiwać, żeby człowiek po mocnych, bądź co bądź, przeżyciach tryskał energią. Na Franka nawet nie spojrzął. Do mnie bąknął coś jakby dziękuję, zapakował córkę i wnuka, dziwiąc się, że trzeba dziecko posadzić w foteliku, i wszyscy odjechali do Kielc.

Późnym wieczorem zadzwoniły moje dzieci, że szczęśliwie dotarły do dziadków. Trochę się denerwowałam, gdyż dałam im swoją starą corsę. Nie chodziło mi o auto, tylko o to, że to pierwsza taka długa trasa Patryka. Pokonał ją ponoć bez zmęczenia i dziękował stokrotnie, że po wszystkim, co niegdyś narozrabiał, powierzyłam mu swój jedyny samochód. Ciekawe, dlaczego nie powiedział mi tego jeszcze w domu, tylko szczebiotał słodko przez telefon — zastanawiałam się. Może na odległość łatwiej mu być czułym i wylewnym.

— Pamiętajcie, nie kápacie się na niestrzeżonej plaży. Nie wypływajcie na łódkach zbyt daleko. Tyle się teraz słyszy o gwałtownych burzach — zaczęłam swoją litanię, którą w domu powtarzałam im już wielokrotnie. Opamiętałam się, gdy po drugiej stronie usłyszałam głośnie westchnienie Patryka. — Ucałujcie ode mnie babcię i dziadka — kończyłam rozmowę. W tym momencie teściowa wzięła słuchawkę z ręki wnuczka i niespodziewanie zagadała ze słodyczą w głosie:

— Dobry wieczór, kochana. Szkoda, że musisz tkwić teraz w tej waszej dziurze i pilnować dobytku, lecz sama tego chciałaś. Chętnie bym się z tobą zobaczyła. Ile to już lat nie miałyśmy okazji szczerze ze sobą pogadać? Musi ci być ciężko tak samej ze wszystkim. Ale masz podobno naprawdę powody do dumy. Krzyś nachwalić się ciebie nie może, jak wszystko urządziłaś. A i dzieci odnoszą sukcesy. No, pogratulować, naprawdę. Nawet Patryk zdał maturę. Tego nigdy bym się nie spodziewała. — Zatrzęsło mną, lecz nic się nie odezwałam, a ona zasuwała dalej: — Ja wiem, że Krzyś cię wspiera. Ale, bądźmy szczerzy, co on tam może z daleka? To na twoich barkach codzienny trud. Uśmiełam się, jak dzieci opowiadały o twoich przeprawach z robotnikami. Jesteś naprawdę dzielną kobietą. Takie rzeczy najlepiej może ocenić druga kobieta. Wiesz, ja chętnie bym was odwiedziła i obejrzała ten twój wymarzony domek, ale już jestem za stara na poniewierkę pociągami i autobusami. Żeby to chociaż jednym środkiem lokomocji można było dojechać na miejsce.

Oniemiałam, słuchając tego monologu zawierającego masę pochwał i różnych przymilań pod moim adresem. Nie wiedziałam, czy śnię, czy ktoś zaczarował mi teściową, a ona kontynuowała:

— Mieliśmy jechać do was z tatą samochodem już w zeszłym roku, lecz wiesz, że tata wciąż pracował na pół etatu w przychodni i brał jeszcze dyżury w okresie urlopowym. Aż wreszcie powiedzieli mu, że jest za stary. Tak mu podziękowali. Strasznie to przeżył, zamiast się cieszyć, że będziemy mogli nareszcie razem gdzieś wyjechać na trochę dłużej. Ale chyba mieli rację w szpitalu, że tata jest już dziecienniaki i może być nieodpowiedzialny. Ty wyobrażasz sobie, na jaki pomysł wpadł? Postanowił odbyć jakąś idiotyczną, sentymentalną podróż po Europie, w dodatku samotną.

— Ach tak, to ciekawe — zainteresowałam się. — A gdzie tata jedzie? Na długo?

— Nie chce mi się nawet mówić o tych jego wariacjach — krzyknęła histerycznie teściowa. — Człowiek żyje z kimś tyle lat. Wydaje ci się, że go znasz, bo to najbliższa ci osoba, że się rozumiecie bez słów, a tu nagle taka historia. Ty wiesz, że on poszukał w Internecie jakieś swoje byłe sympatie, które rozjechały się po świecie, i teraz chce je po kolei odwiedzać. Ja mu powiedziałam, że nie piszę się na taką eskapadę. A on, że nie zamierzał mnie ciągnąć ze sobą, bo po półwiecznym siedzeniu pod moim pantoflem chce się nareszcie przed śmiercią na trochę wyprostować. On pod moim pantoflem?! Czy ty też uważasz, że ja jestem jakąś megierą?!

— Nie... nie... no... no... aż tak, to nie — zaczęłam się jąkać. Nie chciałam wypalić całej prawdy, ale zanadto kłamać też nie.

— Ja zawsze tylko dbałam o jego dobro. Jego i Krzysia oczywiście. Proszę bardzo, niech sobie jedzie, niech szuka przygód i guza. Przecież on nie jest już młodzieniaszkiem. Może zasłabnąć lub zasnąć za kierownicą, jak będzie jechał sam. A te jakieś tam panie muszą być bez żadnych zobowiązań i chyba bez

wychowania, skoro mogą sobie pozwolić na takie spotkania i żadna nawet się nie zająknęła w sprawie małżonki. Tam na Zachodzie to baby mają poprzewracane w głowach, na starość romansów im się zachciewa.

— Mamo, niech się mamusia nie denerwuje, o jakich tam romansach w taty wieku można mówić — usiłowałam ją pocieszyć.

— Oho, nie będę się tu rozgadywać, bo dzieci są w pobliżu — powiedziała szeptem. — Jeszcze byś się zdziwiła.

Zdziwiłam się i to bardzo, a najbardziej zaskoczyła mnie nagła otwartość teściowej i jej chęć zwierzenia się z takich spraw. Moja wyniosła teściowa musiała naprawdę przeżyć ostatnio wielką traumę, że się tak odmieniła.

— Może mamusia zabrać się z dziećmi i do nas przyjechać. Będzie mi bardzo miło — powiedziałam prawie szczerze, bo zrobiło mi się jej żal.

— Teraz żałuję, że nie miałam córki. Kobieta kobietę prędzej zrozumie. Mówiłam Krzysiovi, że jako syn powinien tacie wyperswadować tę podróż i jako lekarz także. Ale on zbagatelizował sprawę i obaj z ojcem śmiali się, że jestem zazdrosna. Wiem już teraz, jak się czuć, kiedy Krzys wciąż wspominał o spotkaniach z Anią. Ania też bardzo mnie rozczarowała. Nie przypuszczałam, że mimo całej swojej kariery zawodowej wykaże taki brak szacunku dla siebie samej. Ty wiesz, co ona zrobiła?

— Zdaje się, że ma kogoś. Pewnie wyszła za mąż i nikogo nie zaprosiła.

— Żeby. Zamieszkała bez ślubu z jakimś Pakistańczykiem. To trzeba już całkiem rozum stracić! Bez ślubu, wyobrażasz sobie? A poza tym inna kultura, inna religia. A może on ma trzy żony? Mało to takich przypadków.

— Jest dorosła. Chyba wie, co robi.

— Chyba jej na głowę padło! — teściowa poleciała tekstem, który też wcześniej nie przeszedłby jej przez usta. — Ludzie mnie wciąż zaskakują. Dobrze choć, że u was wszystko w porządku. Nie myślę się? — zagadnęła.

— Oczywiście, że u nas jest okej — potwierdziłam gorliwie i zaraz

pożałowałam.

— Tak, wybiorę się do was na pewno, żeby pooddychać atmosferą normalnej, zdrowej rodziny. Dobrze, że choć syna udało mi się wychować na porządnego człowieka, bo na mężu zawiodłam się na całej linii.

— Tak, Krzyś jest bardzo dobrze wychowany — przytaknęłam szczerze. — I bardzo z mamusią związany.

— O nie, nie tak jak dawniej. Ty już dla niego jesteś najważniejsza. A teraz jeszcze trzyma sztamę z ojcem. Proszę cię, wpłyni na niego, żeby przyjechał na część urlopu do mnie. Dasz sobie jakoś radę bez niego, a mnie, starą kobietę, tylko on może podnieść na duchu. Mam ostatnio takie kołatania serca i nie mogę spać. Chciałabym, żeby mnie zbadał, bo tylko jemu ufam. Te tutejsze konowały, co nosa nie wyściubiły poza swoje województwo, nie znają się na bardziej skomplikowanych chorobach. Patrzą w ekrany komputerów i nie widzą człowieka. Jak można w ten sposób badać serce?

— Dobrze, mamo, ja nie mam nic przeciwko. Oczywiście, że Krzyś jako syn powinien was częściej odwiedzać. Tylko zdaje się, że miał inne plany, a on jest coraz mniej elastyczny — bąknęłam niepotrzebnie.

— Mogłam się tego spodziewać, że nikt dla mnie nie będzie miał czasu ani cierpliwości. Tylko ja nie liczyłam godzin i nie szcędziłam sił. Poświęciłam im życie. Jaki ojciec, taki syn! — wybuchła szlochem i rzuciła słuchawkę.

Niedobrze — pomyślałam. Jutro może Dominika zadzwoni z komórki i naświetli lepiej sprawę. Będę musiała chyba namówić Krzysia na wizytę u rodziców, bo z teściową dzieje się coś naprawdę niepokojącego. Mieliśmy wyrwać się z mężem jeszcze na tydzień w Góry Sowie i znów pozwiedzać między innymi okoliczne warownie i poniemieckie podziemne tunele, ale widać nie było nam to pisane. Niech już lepiej Krzyś ukoi mamuszkę, bo jeszcze naprawdę zapakuje się z Patrykiem i Dominiką i do mnie przyjedzie. Moje zaproszenie nie było jednak całkiem szczerze, co nie świadczy o mnie zbyt dobrze.

Ale czy szczerść zawsze jest lepsza od grzecznościowego kłamstwa? Czy gdybym powiedziała, że jej wizyty boję się bardziej niż awarii wszystkich urządzeń wodno-kanalizacyjnych naraz, miałabym powody czuć się komfortowo w swoim sumieniu?

Teoretycznie mogłabym, będąc sama, odpoczywać, leżąc do góry brzuchem. Mam przecież wakacje i nawet nie muszę dla siebie obiadów gotować. Podobno najlepiej jeść wszystko nieprzetworzone, wtedy się nie tyje. Na dobrą sprawę mogłabym się także nie ubierać, bo ludziom Mariana udało się tak inteligentnie przetrzebić gąszcz starego sadu, że nadal boki działki pozostają zarośnięte. Można mnie podejrzec, tylko stojąc przy bramie, gdzie psy ostrzegą przed każdym intruzem, lub po przeciwległej stronie u szczytu działki. Ciągną się tam jeszcze dwa hektary mojej nieogrodzonej, leżącej odłogiem ziemi, po której w zasadzie nikt nie chodzi. Przemykają za to czasami wczesnym rankiem zgrabne sarenki, wzlatują z furkotem skrzydeł ciężkie, kolorowe bażanty, biegają szare kuropatwy, a nocą pewnie buszują dziki. Nikt z sąsiadów nie chce tego poletka dla siebie uprawiać, bo podobno się nie opłaca. Zarasta więc wysoką trawą, ostem, krzewami kaliny i jedliny oraz brzózkami samosiejkami. Trochę szkoda, bo to ziemia drugiej klasy, ale wokół coraz więcej takich pól. Unia sprawiła, że w naturalny sposób uwiędły małe gospodarstwa produkujące jedynie na własny użytek, które nie dały nam umrzeć z głodu w czasach komuny, gdy w sklepach był tylko ocet.

Tak sobie socjofilozofuję, bo głowę mam zupełnie wolną, za to ręce w tym wypoczynku pełne roboty. W pośpiechu obrywam ostatnie porzeczki. Potem je przebieram i smażę albo przy pomocy blendera rozdrabnam na miazgę, która połączona w odpowiedniej proporcji z cukrem daje galaretkę doskonale przechowującą się na surowo. Ładuję też czarną porzeczkę do butelek i zalewam spirytusem. To moja i Krzysia ulubiona nalewka. Żadna tak pięknie nie pachnie. Najmniej urodziwe owoce ładują w gąsiorze na wino. Dokładam do nich

wymięknięte maliny, z których zlałam już sok, i zeszłoroczną aronię wygarniętą z zamrażarki. Przemrożona aronia lepiej nadaje się na przetwory, jest bardziej słodka i miękka. Tegoroczna będzie dojrzała za jakieś dwa tygodnie, więc trzeba jej zrobić miejsce. Takie wieloowocowe, deserowe wino z lekką nutką goryczy, jaką daje aronia, jest ulubionym trunkiem mojej mamy. Ja podlewam nim pieczonego indyka i indyk też to uwielbia.

Wieczorami mam teraz jeszcze jeden obowiązek — podlewanie trawnika. Chwasty nic sobie nie robią z braku deszczu i rosną jak głupie, a trawka żółknie w oczach. Dodatkowym utrudnieniem jest to, że także poziom wody w studni bardzo się obniżył. Pompa wariuje, krany prychną, a woda cieknie z nich z przerwami. Ogrodziliśmy spory kawał gruntu, żeby uszczęśliwić psy, więc podlewanie zajmuje mi mnóstwo czasu. Na ogół noc zastaje mnie pośrodku trawnika. Gryzą wtedy różne owady i nietoperze latają nisko nad głową, popiskując nieprzyjemnie. Wiem, że to moi sprzymierzeńcy w walce z komarami, ale się boję, że któryś wplącze mi się we włosy.

Taki lęk wpoila we mnie jeszcze w dzieciństwie babcia, kiedy wyjeżdżała ze mną i Zytą na letniska. Nie wiem, czy naprawdę nietoperze obdarzone wspaniałym narządem nawigacyjnym mylą ludzką fryzurę z ławicą owadów, czy też babcia w ten sprytny sposób dyscyplinowała wnuczki, żeby nie włóczyły się po wsi po zapadnięciu zmroku. Lęk pozostał mi do dziś, ale poczucie obowiązku wobec dopiero co wyhodowanej trawki jest silniejsze. Tkwią więc na posterunku z gumowym węzem w ręku, który potem muszę jeszcze każdorazowo zwijać. Pozostawienie go bowiem moim pracowitym berneńczykom na noc byłoby jednoznaczne z jego unicestwieniem. Grażyna, próbując mi któregoś dnia pomóc w tych zmaganiach z przyrodą i badziewnym sprzętem ogrodniczym, zauważyła:

— To katorżnicza robota. Powinnaś mieć tu zraszacze.

— Aż tak nie możemy szaleć z kasą i wodą. Krzyś ma tylko pensję lekarza, którą wprawdzie zwiększa niski kurs złotówki, ale zmniejsza konieczność

comiesięcznych przelotów i prowadzenia właściwie dwóch gospodarstw. Teraz, jak dzieci pójdą na studia, to już nic nie zostanie na inwestycje.

— Ale nie jest u was aż tak źle, żeby kupować najtańszy wąż, jaki był na stoisku ogrodniczym? Ja bym dostała szalę przy takim podlewaniu, wąż się stale zagina, a bęben się rozpada.

— To prawda, ale Krzyś jest oszczędny.

— A kiedy ty zaczniesz oszczędzać siebie? — przyjaciółka rzuciła retoryczne pytanie w stylu mojej mamy, które nie rozwiązało mojego problemu, tylko mnie zdołowało.

Ona jest inaczej ukształtowana przez lata mieszkania w dużym mieście, miała pracę w korporacji i wysokie zarobki, które mogła przeznaczać na własne potrzeby — pomyślałam. Dla wygody jest w stanie zaangażować największe środki. Dlatego nie chciała zamieszkać w prawie nowym, przestronnym wiejskim domu Jacka. Jej podmiejski domek jest niewielki. O otoczenie dbają specjalne służby osiedlowe. W środku domu wszystkie powierzchnie są maksymalnie gładkie i łatwo dostępne do czyszczenia. Nie ma niezamkniętych półek, wszystkie szafki wpuszczono w ściany i w ten sposób do minimum ograniczono możliwość osiadania kurzu. Koncepcja bardzo mi się podoba, ale dom wydaje się zimny i, jak na mój gust, zbyt nowoczesny. Koty na pewno by stąd uciekły, berneńczyki ze swoimi kudłami zostałyby natychmiast eksmitowane, a ja nie napisałabym tam ani jednego wiersza.

Teraz też wiersze pisuję raczej sporadycznie. Głównie wyrabiam sobie tężyznę fizyczną poprzez codzienną harówkę, przynajmniej nie muszę spalać kalorii na siłowni. Będę w ten sposób „wypoczywać” do końca wakacji, sama, bo Krzyś pojedzie na resztę urlopu do mamy. Nie, nie jestem samotna. Mam coraz lepsze porozumienie z sąsiadami. Przyjrzeni się z bliska moim zmaganiom z budowlanką i przyrodą i nabrali ufności. Opieka nad dziećmiakami Kity i udana akcja rozbrojenia wściekłego i pijanego ojca Damiana także przysporzyły mi

sympatyków. Jeżdżę teraz z braku samochodu na rowerze, co sprzyja wymianie ukłonów, uprzejmości i ucinaniu pogawędek z każdym, kto na mój widok podejdzie do płotu albo starym wiejskim zwyczajem siedzi sobie przed domem na ławeczce.

Jestem sama i mam cudowny, błogi spokój, którym się wprost delectuję. Prawie przestałam oglądać telewizję, szukać wiadomości w Internecie i czytać codzienną prasę. Wyciągnęłam stare książki, które powinnam przeczytać jeszcze na studiach, ale z braku czasu lub chęci, jak moi uczniowie, posłużyłam się wówczas brykami. Zatopiłam się w lekturze i tak odpłynęłam od rzeczywistości, że przez moment zapomniałam, iż jestem już starą nauczycielką, a wkrótce znów przyjdzie mi stanąć przed uczniami. Myślałam sobie o czasach studenckich, o śmiesznoścach profesorów, których się troszeczkę bujało, ale i szanowało. Z nostalgią wspominałam nawet tamtą siermiężną peerelowską rzeczywistość. Spokój zakłócił mi i ściągnął z powrotem na ziemię telefon mojego dyrektora.

— Mam coś dla ciebie! Kurs na instruktora amatorskich zespołów teatralnych! — krzyknął w słuchawkę.

— Interesująco się zaczyna — odpowiedziałam.

— Wiedziałem, że w lot uchwycisz tę szansę.

— Jaką szansę? — zdziwiłam się.

— Przeczuwasz chyba, że wójt zechce cię powoli wyeliminować. Wiesz, jaką batalię musiałem stoczyć o każdą twoją godzinę? W przyszłym roku już mi się nie uda, bo ubędzie nam nauczania indywidualnego, a dodatkowo trzeba podobno w gminie zlikwidować trzy małe szkoły.

— I co, myślisz, że jak wywali mnie ze szkoły, to zatrudni w Domu Kultury?

— On nie, ale może w którejś z sąsiednich gmin będzie wakat albo nawet w Kielcach.

— Wszędzie tak samo trudno o pracę. Nie robię sobie nadziei, zresztą nie mam zamiaru znów zmieniać zawodu. Już za późno na to, nie uważasz?

— Coś ty, Aśka? Mamy przed sobą jeszcze tyle lat pracy, że może trzeba będzie nie raz zmienić profesję. A ty nie mów o starości, bo nikt ci nie uwierzy. Widziałem cię parę dni temu, jak śmigłaś na rowerku. Dobrze, że radaru tam nie było.

— Pewnie z tej dużej góry? — zaśmiałam się. — Dobra, pomyślę o tym kursie, bo to może być coś ciekawego.

— Ale decyzja musi być już. Dzisiaj kończą nabór. Sorry, od początku wakacji nie zaglądałem do komputera, a sekretarka myślała, że nikt od nas nie będzie zainteresowany. Opłata za semestr jest dość wysoka. Ty masz szczęście, że mąż za granicą.

— Bo ja wiem, czy to takie szczęście? Wolalabym go mieć w domu — powiedziałam z przekąsem.

— No to jak, chcesz? Prześlę ci to pismo mailem i możesz się zgłosić lub nie. Ja już się zmywam ze szkoły na dziś. Tyle spraw, że głowa mi pęka. Jadę na ryby do Rakowa.

Odłożył słuchawkę, a za chwilę w mojej poczcie miałam pełną informację o programie kursu, uprawnieniach, jakie daje jego ukończenie, i niestety dość wygórowanej cenie. Mimo pewnych oporów po pięciominutowej wewnętrznej walce wysłałam do organizatora mail zgłaszający chęć uczestnictwa w szkoleniu. Odpowiedź, że zostałam przyjęta, nadeszła natychmiast. Widać nie było nadmiaru chętnych.

Wieczorem od tej informacji zaczęłam skypową rozmowę z Krzysiem.

— Wiesz, że może dziś jednym kliknięciem myszki zapoczątkowałam pewne zmiany w moim życiu? Myślę, że nie nadwyreży to zanadto naszego domowego budżetu...

Mąż przerwał mi natychmiast.

— Nie ma mowy, nigdzie się nie przeprowadzam! — wykrzyknął, nie czekając, co mam mu do powiedzenia.

— Ja też nie. Jestem przecież teraz jak chłop pańszczyźniany przywiązana do naszej ziemi — uspokoiłam go. — Myślałam o zawodowym rozwoju, a może o jakimś drobnym przeprofilowaniu.

— Przecież zrobiłaś już te wasze stopnie awansu zawodowego. Nie chcesz chyba zostać dyrektorem szkoły? Ha, ha! — zaśmiał się głośno i nieprzyjemnie, co mnie trochę ubodło.

— A co, ja się na dyrektora nie nadaję? — zapytałam zadziornie. — Oczywiście, że nie chcę zostać dyrektorem. Przy tym wójcie to zresztą byłoby niemożliwe. Wojewódzki Dom Kultury organizuje kurs teatrologiczny, po którym otrzymuje się uprawnienia instruktorskie.

— Po co ci to? Przecież bez żadnych kursów świetnie sobie radzisz i twoi uczniowie zdobywają nagrody. Chyba nie zamierzasz rzucić pracy w szkole, gdzie masz już jakiś dorobek?

— Nie myślę na razie o zmianie pracy, tylko o poszerzeniu wiedzy i, jak sądzę, spędzaniu interesująco co drugiego weekendu przez najbliższe dwa lata.

— Aż tak długo będzie trwał ten kurs?! Czy dobrze to przemyślałaś? W tym czasie mogą zajść nieprzewidziane sytuacje, możesz być niezbędna w domu albo mamie w Warszawie. A co będzie, jeśli mój przyjazd wypadnie akurat w czasie twojego kursu? Będę siedział sam w domu? A kto mi naszykuje ubrania i żywność?

Tego właśnie mój rozpieszczony mąż obawiał się najbardziej. Nie chciałam już się jednak z nim handryczyć i udowadniać mu, że czas nauczyć się samodzielności, więc powiedziałam uspokajająco:

— Myślę, że można tak zaplanować twoje pobyty w domu, iż nie będzie takich sytuacji.

— Boję się tylko, że zbyt wiele bierzesz sobie na głowę, a potem będziesz narzekać, że nie możesz się wyrobić.

— A ja się boję powiedzieć ci, ile ten kurs kosztuje — przyznałam niepewnie

i zamilkłam. Rozmowy z Krzysiem o wydatkach nigdy nie należały do najłatwiejszych, ale tym razem mnie zaskoczył.

— Widzę, że już podjęłaś decyzję. Jeśli to dla ciebie takie ważne, a dasz sobie radę z domem, nie ma sensu dyskutować o kilku tysiącach złotych. Wiem, jak uwielbiasz przygotowywać przedstawienia i ile serca w to wkładasz. Będzie ci pewnie łatwiej, gdy dostaniesz trochę wskazówek od profesjonalistów. Korzystaj z tego, że ja pracuję w Anglii. Jestem tu po to, żeby nam wszystkim żyło się lepiej.

Wzruszyłam się.

VIII. KONFLIKTY I KOMPROMISY

Krzyś w połowie sierpnia odwiedził rodziców na Mazurach i przez tydzień próbował z umiarkowanym powodzeniem załagodzić ich konflikt. Nie miał raczej powodów do satysfakcji. Nie udało mu się odwieść taty od sentymentalnej eskapady, bo między Bogiem a prawdą, za bardzo się nie starał. Nie przekonał też mamy, że żonaty mężczyzna ma prawo do odrobiny wolności. Zacietrzewienie staruszków jest gorsze niż upór całego stada osłów. Ukochany synek zdołał jednak wyperswadować tatusiowi pomysł jazdy samochodem przez całą Europę. Niecnie wykorzystał fakt, że ojciec pogubił się w Warszawie, gdy odbierał go z lotniska. Myślę, że nie był to argument fair, takie bowiem rozkopy i utrudnienia, jakie mamy teraz w naszej stolicy, mogą zdarzyć się tylko w kraju ogarniętym wojną lub jakimś straszliwym kataklizmem, a nic takiego w ostatnim czasie nie miało miejsca w zachodniej Europie.

Teść mimo podeszłego wieku nadal świetnie się czuje, ma dobry wzrok i bystry umysł. Ja akurat uważam, że poradziłby sobie nawet jako pilot samolotu. Kiedy jednak ojciec zorientował się, że zostawiając auto w domu, zostawia w nim również swoją małżonkę, sam zaczął opowiadać o swoich różnych wpadkach na drodze. Dla mojej teściowej tłuczenie się po obcych krajach pociągami i autobusami wydawało się koszmarem, więc całkowicie porzuciła myśl o towarzyszeniu w eskapadzie mężowi. Zadowolony z obrotu sprawy dziadek mógł więc spokojnie zająć się planowaniem trasy. Krzyś zrobił tacie długą listę obiektów godnych zwiedzenia. Nie było tam oczywiście Luwru czy Wersalu. Znalazły się za to fortyfikacje Linii Maginota, i to zarówno tej właściwej, jak i tej położonej na granicy włosko-francuskiej zwanej „małą”. Patryk zaangażował się w ściąganie z Internetu wszelkich informacji na temat możliwości dojazdu, środków komunikacji oraz cen biletów i tanich hoteli w pobliżu.

Chłopcy siedzieli nad mapkami i byli w swoim żywiole, a babcia krzyczała,

że otaczają ją zdrajcy. W mig zorientowała się, że w jej własnym domu powstał męski szowinistyczny spisek i obraziła się na wszystkich trzech. Ostentacyjnie rozmawiała tylko z Dominiką i zaczęła już nawet pakować walizkę, żeby jechać do mnie. Krzyś wykazał się w tym momencie wyjątkowym refleksem i na poczekaniu wymyślił mój wyjazd do Anglii. Ponieważ jest człowiekiem prawdomównym, więc zaraz też zakupił bilety i zawiadomił mnie o niespodziance, że zaprasza mnie do siebie w odwiedziny. W ten sposób oddalił wiszące nade mną niebezpieczeństwo i zrobił mi wielką frajdę.

Tak to skorzystałam na konflikcie w idealnym związku moich teściów, lecz przez ową misję mediacyjną nie pojechaliliśmy z mężem w Dolinę Kłodzką. W zasadzie więc Krzysiovi należała się jakaś nagroda za to, że dzielnie próbował godzić rodziców, rezygnując z wyprawy w Góry Sowie. To on marzył o eksploracji poniemieckich twierdz i bunkrów drażonych w skałach przez więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, a zyskałam ja. Bardzo ucieszyła mnie ta zmiana wakacyjnego harmonogramu, bo przecież zakupy są atrakcją dla każdej prawdziwej kobiety. Dla mojego męża dreptanie po marketach jest tak męczące, jak dla mnie wielogodzinne łożenie po zimnych, ciemnych i oślizgłych tunelach. Krzyś jednak okazał się dzielny. Biedak zamykał tylko oczy, gdy płaciłam jego kartą. Musiało go to sporo kosztować, wzięwszy pod uwagę jego oszczędną naturę.

Za to podczas zwiedzania Manchesteru i Liverpoolu oraz okolic tych miast był po prostu w siódmym niebie, mógł bowiem wystąpić w roli mojego cicerone. Zwłaszcza w Liverpoolu miał pole do popisu jako wielbiciel muzyki lat sześćdziesiątych. Zaprowadził mnie do Cavern, gdzie The Beatles grali jako jeszcze całkiem nieznany zespół. Dałam się też mężowi oprowadzić po liverpoolskim porcie i mieszczącym się tam muzeum niewolnictwa. Wysłuchałam cierpliwie masę wiadomości z historii żeglugi i o rozwoju handlu, a przede wszystkim o bitwach morskich, które także są konikiem Krzysia. Nie wszystko

mnie interesowało, zwłaszcza dane techniczne okrętów, których mi nie szczędził. Ale co tam, trochę wiedzy jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a liczy się dobra atmosfera. Na tym polega dyplomacja w małżeństwie.

Odwiedziliśmy także kilka stylowych knajpek. Piliśmy w pubie ale, które niespecjalnie mi smakowało, za to mocno zakręciło w głowie. Mąż tak się rozochocił, że chciał mnie zaciągnąć jeszcze do muzeum wojny. Przesada w żadnej dziedzinie nie jest dobra, więc się wymigałam. Nie starczyłoby mi w końcu czasu i siły na zakupy. W każdym razie pusta w jedną stronę walizka stała się w drodze powrotnej prawie tak ciężka, jak kamienne bagaże na chodniku przed uniwersytetem w Liverpoolu. Trzeba było na lotnisku dopłacić za nadbagaż. Nawet to Krzyś zniósł bohatersko i bez szemrania. Słowem, wróciłam do domu z kolekcją świetnych ciuchów i kosmetyków, szczęśliwa i zakochana we własnym mężu.

Dzieciaki przyjechały od dziadków ubawione po pachy ich wojną, opalone, odżywione i wymoczone w zimnej wodzie mazurskich jezior. Miło na nie popatrzeć, bo jakby mniej się ze sobą kłóć i jeszcze wyładniały. Patryk zrobił mnóstwo bardzo dobrych zdjęć. Nie przejawiał dotąd takich zainteresowań i zdolności, więc nas mile zaskoczył. Dominika, jako już prawie artystka, oceniła ich profesjonalizm na pięć z plusem. Widziałam jednak, że chwali go z odrobiną zazdrości.

— Temu obibokowi wszystko przychodzi łatwo. To niesprawiedliwe — żaliła się. — Ja muszę tyrać długie tygodnie nad głupim pejzażykiem i nigdy nie jestem całkowicie zadowolona, a ten pstryk i już.

— Jesteś dla siebie zbyt surowa. Łatwiej zrobić zdjęcie niż namalować obraz — tłumaczyłam. — Dobra fotografia może wyjść przypadkiem nawet szympansovi — próbowałam podnieść ją na duchu.

— Dzięki, mamuś — zaśmiał się szczerze Patolek. — Masz rację, nie mam pojęcia o fotografii, to fuks.

— Fuksem może udać się jedno czy dwa zdjęcia, ale nie tyle. Przecież widzę, jak operujesz światłem, jakie tu są niebanalne ujęcia i tematy — chwaliła z goryczą Dominika. — Przyznaj, że obczytałeś się jakiejś literatury na ten temat. To nie może być całkowicie samorodne.

— Dobrze sobie, ja i czytanie. Chyba sama w to nie wierzysz? — wyznał rozbijając. — No po prostu, jak już dostałem na gwiazdkę taki dobry aparat, to mnie trochę wciągnęło. Poszperałem w Internecie, ale tylko trochę.

— Widzisz, ośle, jaki jesteś zdolny. Szkoda cię na noszowego do pogotowia. Zdawaj jeszcze raz maturę i podciągnij sobie punktację. Będziemy studiować na jednej uczelni — namawiała brata Dominika, a ten uśmiechał się tylko i kręcił przecząco głową.

— Nie będę noszowym, tylko ratownikiem. Już jest wszystko zaklepane i ja zdania nie zmienię. Zaczynamy z Ewelina w październiku w Kielcach i bardzo się z tego cieszę.

— Ty mu lepiej nie przewracaj w głowie — powiedziałam do Dominiki, ale też nie byłam zachwycona, że najważniejsze dla niego jest, iż będzie blisko Eweliny. — Ratownik to bardzo potrzebny i szlachetny zawód — próbowałam dowartościować syna. — Nadmiar artystów w jednej rodzinie może być szkodliwy. Ty tam na tej akademii, mam nadzieję, będziesz zajmować się, jak dotąd, głównie nauką.

— Jasne, tylko i wyłącznie — Dominika przytaknęła z wyraźną ironią i zaczęli oboje z Patrykiem kulać się ze śmiechu. Poczulałam się trochę dotknięta tym rechotem.

— A, nie będę wam już dzisiaj robić kazań, ale wiecie, że najważniejsza jest nauka, a na inne rzeczy macie jeszcze czas — odezwał się we mnie mentor.

— Mamo, a co u Eweliny? — Patryk nagle spowaźniał i zmienił temat. — Jak się jej mieszka razem z tatą?

— Chyba dobrze, skoro nie przyjeżdża i nie dzwoni — odpowiedziałam po

pewnym namyśle. — Ja z Anglii do niej nie dzwoniłam, a po powrocie wzięłam się zaraz za przygotowania do szkoły. Wczoraj mieliśmy radę. Mam dużo swoich rzeczy na głowie. Zresztą to dorosła dziewczyna, nie potrzebuję jej już pilnować, zwłaszcza że ma teraz wsparcie ojca. Myślę, że złapała równowagę psychiczną i będzie realizowała swój życiowy plan. A ty nie masz z nią stałego kontaktu? — zdziwiłam się.

— Właściwie do niedawna miałem. Ale ostatnio, jak do niej dzwoniłem, odniosłem wrażenie, że mnie zbywa, że się gdzieś śpieszy albo nie chce, żeby ktoś słyszał, co mówi.

— A co mówiła?

— Nic specjalnego, że jest w porzo, że mały rośnie i że nie muszę już się o nią martwić.

— To chyba dobrze?

— Ale niedawno bardzo jej zależało, żebym się o nią i małego troszczył. Może się obraziła, że pojechałem bez niej na wakacje?

— Nie jesteście małżeństwem. Dlaczego miałbyś rezygnować z wypoczynku?

— Znalazła sobie naiwniaka i teraz chciałaby szybko zaprowadzić Patolka do ołtarza, a potem rzucić na nas cały ten kłopot z dzieciakiem — Dominika wtrąciła się do rozmowy. — Już ja ją dobrze znam.

— Zbyt łatwo przychodzi ci ocenianie innych — powiedziałam z naganą. — Znasz ją, bo byłaś z nią zaprzyjaźniona. Jakoś wcześniej nie przeszkadzały ci cechy jej charakteru, które teraz wyolbrzymiasz. Dość długo i myślę, że szczerze, Ewelina rozmawiała ze mną po waszym wyjeździe. Jej pobyt u rodziców Damiana to nie była sielanka. Ojciec Damiana to cham i brutal. Śmierć syna sprawiła, że więcej pije i łatwiej usprawiedliwia swój brak opanowania. Biedna pani Danusia znosi to wszystko i nawet się nie poskarży.

— Boję się, że z ojcem Eweliny też może być różnie po tych jego przeżyciach — powiedział Patryk. — Tyle że on nigdy nie był agresywny.

Nawet głosu podobno nie podnosił, bo bał się matki. Ale teraz, kto wie, mogło mu się w główce poprzestawiać.

— To zadzwoń do niej i spytaj. Też jestem ciekawa, jak jej się z nim mieszka — ponaglałam syna.

— Dzwonię i dzwonię, ale ona od trzech dni nie odbiera telefonu.

— Znalazła sobie jakiegoś i nie jesteś jej potrzebny. Proste? Ja tam jej już w życiu nie zaufam. — Dominika nadal ziała nienawiścią.

— Trzeba by jechać do Kielc i zobaczyć, co się dzieje. Dziewczyna może znów potrzebować naszej pomocy — zdecydowałam. — Tylko że ja nie mogę dzisiaj, bo mam próbę zespołu.

— Ja pojedę zaraz, tylko daj mi samochód. — Moment i Patryk był już gotowy do drogi, trzymał w ręku kluczyki.

— Dominiko, jedź z nim. Możesz się przydać.

— A ja tam po co? — Dominika wzruszyła pogardliwie ramionami i wyduła wargi. — Nic jej nie jest. Dziadek pilnuje wnuka, a ona już gdzieś dobrze się bawi. Zresztą, jeśli nie jest tak, jak mówię, Patolek na pewno woli być sam na sam ze swoją barokową nimfą, a raczej nimfomanką. Tylko uważaj, braciszku, żebyś nie wpadł, ona jest bardzo płodna.

— Nie pryskaj jadem, bo oślepiasz. To do ciebie nie pasuje. Na Mazurach było tak fajnie, a teraz znów diabeł w ciebie wstąpił? Nie potrafisz wybaczać? — Patryk patrzył na siostrę ze smutkiem.

— Patryk ma rację — odezwałam się do córki, gdy syn już wyszedł. — Wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy. Kiedy byłaś ostatnio u spowiedzi?

— U spowiedzi?! — prychnęła i roześmiała się nieprzyjemnie. — Śmieszna jesteś. Ja akurat nie mam nawet okazji do grzechu.

— A ja bardzo martwię się o ciebie. Zrobiłaś się przemądrzała i niesympatyczna, a przecież zawsze byłaś naszym promyczkiem.

— Staram się po prostu być asertywna i nie dać się już nikomu podejść

i oszukać. Takim trzeba być w dzisiejszym świecie, żeby dawać sobie radę i nie płakać potem po kątach. Powinnaś się cieszyć, że nie dopuszczam nikogo bliżej do siebie. Jakbym się tak bardziej zaangażowała z Łukaszem, teraz bym tęskniła i przeżywała rozłąkę. Myślała, gdzie on jest, z kim i czy mu się nic złego nie stało. A tak, mam to w nosie, że na tę wspinaczkę pojechały z nimi jakieś dziewczyny z klubu. Ja tam za nim nie będę łązić nad przepaściami, bo mam lęk wysokości.

— To, co teraz powiedziałaś, mnie uspokoiło. Nie wychowałam emocjonalnej kaleki, tylko zazdrośnicę, która świetnie się maskuje. — Uśmiechnęłam się do córki. — Mnie także znane jest uczucie zazdrości, które zawsze towarzyszy miłości i niestety nie ulatnia się z wiekiem. Biedna babcia Zalewska będzie teraz też przeżywała piekło, jak dziadek wyjedzie. A u was będzie dobrze, a nawet lepiej, jak Łukasz wróci stęskniony. Tobie natomiast nie zaszkodzi, jeśli zazdrość cię troszkę pomęczy.

— Na pewno nie będzie lepiej — upierała się Dominika. — A babcią miota nie zazdrość, lecz złość, że dziadek wybił się na niepodległość.

— Fajnie to ujęłaś i miło się z tobą gada, ale muszę lecieć do moich strażaków — powiedziałam, podrywając się z miejsca.

Z braku auta potrzebowałam więcej czasu, aby dotrzeć do remizy, bo do Swarowic trzeba wszak pedałować pod niezłą górę. Przedtem musiałam jeszcze dostosować strój do panujących warunków atmosferycznych. Właśnie zaczynało kropić i zrywał się nieprzyjemny, zimny wiatr, który był zwiastunem zbliżającej się nieuchronnie jesieni. Chyba naprawdę będzie nam potrzebny jeszcze jeden samochód — pomyślałam.

Deszcz spowodował, że moi artyści wcześniej porzucili prace w polu i obejściu i zjawili się na próbie dość licznie, co nie znaczy, że w stu procentach. Za każdym razem kogoś brakuje i jeszcze nie było tak dobrze, żebym obejrzała wszystkich naraz w swoich rolach. Najgorsze, że nadal nie wiadomo, kto będzie

grał panią Niusię. Czytam jej kwestie i niedługo będę znała jej rolę na pamięć. Tak się wciągnęłam w tę postać, że wychodzę na scenę i właściwie gram. Ale tylko po to, żeby innym było łatwiej. Życzyłabym sobie, żeby Nusia miała tu i ówdzie więcej ciała niż ja. Żeby była taką kluchowatą, marzycielską i zdesperowaną w pogoni za facetem starą panną. Niby pojęcie to wychodzi już z użycia, ale minie jeszcze na pewno jedno pokolenie, zanim zniknie z umysłów wielu kobiet dotkniętych samotnością, której nie wybierały. Tak więc ja nie widzę siebie w tej roli, ale niektórzy z zespołu zwracają się do mnie: „pani Niusiu”, i to nawet jak się przypadkowo spotkamy na rynku czy w sklepie.

Próby wprowadzają mnie zawsze w dobry humor, bo członkowie zespołu są ludźmi pogodnymi i dowcipnymi. Co chwilę ktoś komuś żartobliwie dogaduje, śmiejemy się z zabawnych przeinaczeń i odpalanych z dużym refleksem dowcipów. Atmosfera jest naprawdę świetna. Psuje ją trochę nadęty Harpeć, który uparł się grać wójta. Zaproponował też, że może dać mi listę konkretnych przekrętów, które zostały zrobione w naszej gminie, żebym je wplotła do scenariusza zamiast tych wymyślonych. Wydaje mi się to trochę ryzykowne.

— Jeśli pan wie o tych nieprawidłowościach, powinien pan zawiadomić prokuraturę — powiedziałam.

— Taki głupi to ja nie jestem — odparł, rozglądając się na boki, czy ktoś nas nie podsłuchuje. — Wójt i jego rodzina mają wszędzie swoje wtyki. Wie pani, to są układy jeszcze z poprzedniego systemu. Wtedy wójt był czerwony, dopiero jak komuniści z kretelem przegrali wybory, zmienił kolor. A teraz podobno myśli, żeby znów się przemalować — ściszył głos i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Nie chcę bawić się w takie rzeczy, jeszcze zespół ucierpi — odparłam.

— Ale to dla dobra całej gminy — przekonywał Harpeć. — Przecież na przyszły rok będą wybory i ten ciemny naród gotów znowu na niego głosować. A jak im tu odsłonimy kulisy pewnych decyzji, może się ockną. Trzeba zacząć

głośno mówić i pokazać, że jest ktoś, kto się go nie boi.

— I tym kimś mam być akurat ja? Powiem panu szczerze, że się boję.

— Jak pani chce. Ja pani dostarczę kilka ciekawych historii, a pani zdecyduje.

Facet zabił mi klina. Wróciłam do domu i nie mogłam przestać myśleć o tym, co powiedział. Jeśli materiał będzie dobrze udokumentowany, powinno się zawiadomić prokuraturę. Nie bardzo miałam ochotę do tego stopnia angażować się w sprawy gminy. Z drugiej strony, skoro już tu mieszkam, może powinnam?

Poczułam, jak cała przyjemność z prowadzenia zespołu i ta wesoła beztraska ulatują, a przytłacza mnie poczucie obowiązku. Facet sam się boi, ale mnie podpuszcza. W ogóle jest denerwujący. Cały czas stara się podkreślać, że jest kimś lepszym i ważniejszym niż reszta. Na nasze spotkania przychodzi pod krawatem i w garniturze. Posługuje się dziwnym językiem, który jest mieszaniną komunistycznej nowomowy i prawniczo-urzędniczych sformułowań. Na pewno chce mnie wciągnąć w rozgłaszanie plotek. Zresztą jego rewelacje nie będą miały żadnego znaczenia dla publiczności w Opatowie, a tym bardziej w dalekim Paczkowie. Muszę się zdecydowanie zdystansować od tych jego materiałów i nie dać się wciągnąć w żadną intrygę — postanowiłam, z trudem zasypiając.

Rano wstałam dość późno. Patryk siedział już w kuchni przy śniadaniu.

— No i co tam u Eweliny? — zagadnęłam. — Nic nie mówisz, a wiesz, że jestem ciekawa.

— Nie mówię, bo nie mam nic do powiedzenia — odparł ponuro.

— Jak to?

— Eweliny nie zastałem.

— Nie było nikogo?

— Otworzył kompletnie pijany stary i bełkotał coś, że... Sorry, mamuś, ale tak bełkotał, to zacytuję: „Córka, kurwa, jak matka, obiadu nawet ugotować nie potrafi. Żadnego z niej pożytku, dobrze, że obie spierdoliły”.

— No tak, Ewelina podejrzewała, że ojciec nie kieruje się miłością

rodzicielską, proponując jej powrót do domu. Ale gdzie ona się podziła z Frankiem? Może jest znów u pani Danusi?

— Sprawdzalem jeszcze wczoraj wieczorem. Nie ma jej tam i z nia tez sie nie kontaktowala.

— Moze nie mogla wytrzymac z tata, skoro sie upijal. Biedna dziewczyna. Taki zapijaczony facet moze byc zagrozeniem dla niej i dziecka. Ale dlaczego nie skontaktowala sie z nami, jak jej bylo zle?

— Mowie ci, ze obrazila sie na mnie za wyjazd na Mazury i nie odbiera ode mnie telefonu.

— Daj moja komorkę. Na mnie sie nie gniewa, bo za co.

Kilkakrotnie włączyla sie poczta głosowa. Odložyla telefon na polke i wtedy wlasnie sie odezwal. Dzwonil jakis nieznany mi numer. Uslyszalam głos Eweliny.

— Przepraszam, ze nie skontaktowalam sie z pania wczesniej, ale mialam taki obled z pakowaniem i roznymi sprawami...

— A gdzie ty jesteś, kochanie? Martwimy się o ciebie. Franus jest z tobą? — zapytalam na jednym oddechu.

— Jestem u mamy w Kolonii, a wlasnie pod Kolonia.

— Co sie stalo, ze tak nagle?...

— Mama przyjechala, zeby sie rozmowic z tata. Chce sprzedac mieszkanie. Troche mi go zal, bo on nic nie ma. Nie wiem, gdzie sie podzieje, ale to juz nie moja sprawa. Scignal mnie do domu, bo chcial, zebym go obslugiwala, i mial nadzieje, ze mama nie sprzedac mieszkania, jak ja i Franek tam bedziemy. Nie byl trzezwly ani jednego dnia. A potem juz sie tylko dopytywal, skad ja biorę forse na zycie.

— A czy mama?... — nie zdazyłam nawet skonczyc pytania.

— Nie, mama juz nie myśli o oddaniu Franka. Wtedy tak tylko mowila, bo byla zdenerwowana i zaskoczona. Ja bym sie na to nie zgodzila. Jest nam tu

bardzo dobrze. Mamy do dyspozycji mały domek, ten, w którym mama mieszkała z tatą, i wielki ogród, a właściwie park. Możemy też korzystać z basenu i kortów. Ale na razie nie mam z kim grać. Szkoda, że nie ma tutaj Patryka.

— To masz tam teraz cudowne wakacje, a co potem?

— Pracodawcy mamy, pana Hesse, jeszcze nie widziałam. Powiedział nam przez telefon, że mogę mieszkać z mamą, jak długo zechcę.

— Ale miałaś studiować. Czy to już nieaktualne? A może tam...?

— Teraz jeszcze nie wiem. Nie chce mi się o tym myśleć. Zależy, co będzie z naszym kieleckim mieszkaniem i forszą. Za jakiś czas zadzwonię.

— Może chcesz pogadać z Patrykiem? On cię szukał w Kielcach i dzwonił.

— Tak, wiem, ale wolałabym nie. — I rozmowa gwałtownie się urwała.

— Słyszałeś? — zapytałam syna.

— Piąte przez dziesiąte, ale już wiem, że Ewelina dogadała się z mamuszką. Dominika chyba najlepiej z nas ją zna.

— Łatwo nam wszystkim ją oceniać, ale spróbuj wczuć się w jej sytuację. Ona właściwie nie ma gdzie się podziać. Nie dziw się, że w trudnej sytuacji, w jakiej znów się znalazła, postanowiła zaufać matce.

— Potwornej babie, która chciała sprzedać swojego wnuka i pozwalała na takie rzeczy, że nie chce mi to przejść przez gardło.

— W złości ludzie wygadują różne rzeczy. Myślę, że odnosi się to zarówno do wypowiedzi Eweliny, jak i jej matki.

— Ewelina opowiadała mi o swojej matce takie rzeczy, że... To nie mogło być zmyślane, a teraz jakby nigdy nic pojechała do niej. Nie rozumiem kobiet.

— Nie wrzucaj wszystkich kobiet do jednego worka, bo każda jest inna. Z ludźmi, którzy mieli skomplikowaną sytuację rodzinną w dzieciństwie, często trudniej się porozumieć, bo ich reakcje bywają dla nas zdumiewające. Postarajmy się o niczym nie przesądzać w przypadku Eweliny. Poczekajmy, co z tego

wyniknie.

— Ale to nie jest w porządku, że nawet nie chciała ze mną rozmawiać.

— Jest doświadczona przez los, wydaje się dojrzała, ale dziecinnie unika rozmowy, w której musiałaby coś wyjaśniać i odpowiedzieć na twoje pytania. Albo boi się ciebie urazić, albo obawia się twojej natarczywości. Ja też nie wiem, co nią kieruje. Mam jednak dla niej dużo współczucia.

— Ludzie sami komplikują sobie życie, a potem się dziwią, że im się nie układa. — Patryk machnął ręką i wyszedł z domu.

Dominika, dowiedziawszy się, że Ewelina jest już u matki w Niemczech, powiedziała z triumfującym uśmiechem:

— Wiedziałam, że ona zbyt długo nie wytrwa na drodze cnoty. Powinnaś się cieszyć, bo jeden problem mamy już z głowy. Patolek szybko się pocieszy, niech no tylko zacznie się rok akademicki. Mój braciszek robi się coraz przystojniejszy. Żeby tylko na siłowni zrobił trochę masy, to byłby zabójczy. Chociaż on chyba musi być taki chudy, bo inaczej nie byłby aż tak giętki. Widziałaś te wygibasy, które wyczynia do wtóru nagranych przez Damiana piosenek? Nie przypuszczałam, że z Patola jest taki akrobata. To fakt, że babcia nas rozciągała od małego. Ale on musiał jeszcze gdzieś ćwiczyć na boku.

— O jakich wygibasach mówisz?

— No z zespołem. Nasz Patol nie tańczy break dance, ale coś zupełnie innego. Chłopaki znają się na tych różnych stylach i twierdzą, że jest absolutnie oryginalny, kompletny free style.

— I co, ma zamiar zastąpić Damiana?

— Nie, Patryk przecież ryczy, a nie śpiewa i rapować też chyba nie umie, ale ze swoim ciałem robi naprawdę niesamowite rzeczy.

Poczułam się okropnie. Jak ja mogłam przegapić talent mojego dziecka? Uwielbiał grać w piłkę i tyle. Żaden nauczyciel wuefu nigdy nic nie wspominał o jego zdolnościach. Często natomiast skarżyli się, że Patryk zwiewa z lekcji i nie

nosi kostiumu. Dominika pewnie przesadza — pomyślałam i postanowiłam przy okazji wprosić się na próbę do chłopaków.

Teraz był już najwyższy czas naszykować sobie rozkłady materiału i wszystko do szkoły, a przede wszystkim poczytać trochę o autyzmie. W ramach indywidualnego nauczania miałam w tym roku chodzić do piętnastoletniego chłopca z autyzmem. Szczerze mówiąc, nigdy nie zetknęłam się z kimś dotkniętym tym schorzeniem. Lektura artykułów o autyzmie wciągnęła mnie niespodziewanie mocno. Wciąż jednak nie znalazłam odpowiedzi, jak konkretnie postępować z takim dzieckiem i czego je uczyć. Niemożliwe jest bowiem rutynowe postępowanie, gdyż paleta objawów autyzmu jest duża, a i nasilenie ich występowania bywa bardzo różne.

To, co zobaczyłam przy pierwszym spotkaniu z Kubą, przeszło moje wszelkie wyobrażenie. Obawiałam się, że nie znajdę w sobie dość siły i odwagi, by iść tam ponownie. Kiedy rozmawiałam w kuchni z matką o tym, co chłopiec jest w stanie zrobić, a czego na pewno nie mogę oczekiwać, mama, jak to mama, używała wciąż słowa „dziecko” i zdrobniałej formy imienia. Weszliśmy w końcu do pokoju syna i wtedy na tle okna zobaczyłam siedzącą w fotelu ogromną postać. To właśnie miał być mój uczeń.

Wstał na prośbę matki i wyciągnął do mnie na powitanie dłoń, odwracając jednocześnie spojrzenie. Miałam wrażenie, jakbym dotknęła nadmuchanej rękawiczki, gdyż tłusciutkie palce chłopaka nie zgięły się przy uścisku ani trochę. Poczułam się przy nim malutka, choć wzrost mam raczej słuszny. Jego oceniłam na sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, a wagę na jakieś sto trzydzieści kilogramów. Odwracał ode mnie twarz w charakterystycznym dla autystyków geście. Buzia, bo była to ładna, jakby dziecięca jeszcze twarzyczka, nie pasowała do ogromnej reszty. Natura obdarzyła Kubę cudnymi, czarnymi loczkami, ogromnymi, niebieskimi oczami i wydatnymi, pięknie wykrojonymi ustami. Istny amerek — pomyślałam.

Fotel, na który ten przerośnięty amerek znów opadł, jęknął pod jego ciężarem jak żywa istota. Kuba zapatrzył się w sufit i zaczął gwałtownie machać rękami. Spróbowałam nawiązać z nim kontakt, odezwałam się, lecz on zatkał sobie uszy i podbiegł do odtwarzacza CD, żeby na cały regulator włączyć muzykę. W pokoju zapanował nieopisany hałas, gdyż już wcześniej równie głośno jazgotał telewizor.

Matka podeszła do konsoli i nieco ściszyła oba aparaty. Spotkało się to z gwałtownym sprzeciwem chłopca. Podjęła próbę wyłączenia telewizora. Kuba miotał się coraz bardziej na fotelu, pokrzykiwał coś ze złością, bił się po głowie i nie wiadomo kiedy rozdrapał sobie do krwi strupek na ręce. Telewizor znów został włączony.

— Może potem sam wyłączy — krzyknęła w moim kierunku pani Aleksandra. — Musi się z panią trochę oswoić. On to robi ze strachu.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową i usiadłam cichutko na brzeżku wskazanego mi fotela. Co ja mogę zrobić w takim hałasie? Jak tu nawiązać z nim jakikolwiek kontakt? — zastanawiałam się gorączkowo. Przypomniało mi się, że mam w torbie parę czekoladowych cukierków, którymi w klasie poczęstowała mnie dzisiejsza solenizantka. Wyciągnęłam dłoń ze słodyczami w stronę Kuby. Nie spojrzał na mnie i nie przestał wymachiwać rękami, a cukierki jakimś sposobem z prędkością światła znalazły się w jego pulchnych łapkach. Niestety nie potrafił ich odpakować, więc podał mamie, która zrobiła to popędzana jego gniewnym pomrukiwaniem. Każdy rozpakowany cukierek zniknął natychmiast w ustach chłopaka.

— Zostaw jednego dla pani — poprosiła mama, trzymając ostatni cukierek w papierku. Kuba zamarł z otwartą buzią i taką rozpaczą w pięknych niebieskich oczach, że musiałabym być potworem, żeby zjeść darowanego mu już cukierka. — Staramy się ograniczać mu jedzenie, a zwłaszcza słodycze — wyjaśniła mi pani Ola, podając jednocześnie synowi i tę ostatnią czekoladkę. — Ma straszliwy

apetyt. Jedzenie trzeba przed nim chować.

— Przepraszam, powinnam się domyślić, że ze względu na jego tuszę nie jest to właściwy sposób nawiązania kontaktu — powiedziałam zawstydzona.

— Kubusiu, pokaż pani swoje ulubione książki — poprosiła matka. Ku mojemu zdziwieniu, chłopiec podszedł do regału i wyciągnął z półki kilka sztywno oprawionych i bogato ilustrowanych książek. Usiadł obok mnie i zaczął niezdarnie przewracać strony. Przy niektórych obrazkach zatrzymywał się dłużej i wydawał jakieś dźwięki, które mama tłumaczyła raczej na podstawie tego, co przedstawiały obrazki, niż co miałyby przypominać jego okrzyki. Książki dotyczyły budowy statków wodnych i powietrznych. Było to ujęcie historyczne przeznaczone dla kilkunastoletnich dzieci.

— On sam w księgarni wybiera takie książki i naprawdę wiele z tego rozumie — powiedziała matka. — Potrafi też, posługując się gazetą, znaleźć interesujący go program telewizyjny.

— To znaczy, że umie czytać? — zdziwiłam się.

— Nie wiem, jak to robi, bo przecież nie mówi.

— A potrafi przyporządkować podpis do obrazka?

— Różnie z tym bywa. On robi tylko to, co go interesuje, i wtedy potrafi świetnie sobie poradzić. Znakomicie zna się na sprzęcie elektronicznym, bezbłędnie wybierze pożądaną płytę, choć na identycznych pudełkach są tylko napisy.

W tym momencie Kuba, jakby chcąc zaprezentować swoje umiejętności, puścił film o balonach, który był uzupełnieniem oglądanej przez nas książki. Jednocześnie ściszył muzykę i telewizor. Coraz bardziej zaciekawiał mnie jego przypadek. Nie miałam jednak pomysłu na prowadzenie z nim lekcji. Matka tymczasem wyjęła z szuflady pudła z różnymi klockami i układankami.

— Z takich pomocy korzystają rehabilitanci w specjalistycznych ośrodkach — powiedziała.

Ucieszyłam się, gdyż w zasadzie te przedmioty rozwiązywały mój problem. Będę powtarzać ćwiczenia znane Kubie z czasów, gdy jeździł jeszcze na zajęcia do Kielc. Może w trakcie wymyślę jakieś modyfikacje — planowałam. Miałam jednak wątpliwości, czy jako kompletny laik w tej dziedzinie powinnam cokolwiek dodawać od siebie. Poprosiłam Kubę, żeby dopasował drewniany owoc do odpowiedniego otworu w deseczce. Chłopiec nie spojrzał nawet na planszę. Dziwnym wzrokiem wpatrywał się w przeciwległą ścianę i sprawiał wrażenie, że rozprawia w sobie tylko znanym języku z kimś dla nas niewidzialnym, kogo widzi na tle owej ściany. Nagle zamachał gwałtownie rękami i z dużą siłą rzucił drewnianym owocem w kierunku mojej głowy. Cudem zdołam się uchylić. Nie zaryzykowałam już podania mu następnego owocu.

— Przepraszam — wyszeptała przerażona matka. — On czasami nie wie, co robi. Niech się pani nie gniewa, ale lepiej, żeby pani już poszła. Na dziś starczy mu stresu. Następnym razem będzie lepiej — pocieszyła mnie.

Oj, naprawdę potrzebowałam pocieszenia. Nie wyobrażałam sobie następnych lekcji i miałam ochotę stanowczo zaprotestować. Jaki sens ma moja obecność jako polonistki u boku tego nieszczęsnego chłopca? On powinien mieć fachowego terapeute, ale to możliwe jest tylko w specjalistycznej placówce. Gdyby jego matka mieszkała w dużym mieście, mogłaby go tam dowozić na kilka godzin dziennie. Ale u nas była zupełnie sama ze swoim problemem. Wielu lekarzy namawia ją do oddania chłopca do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego. Ona jednak, póki jeszcze starcza jej sił, nie zgadza się na takie rozwiązanie. Wie, że nikt nie zajmie się jej dzieckiem z taką miłością i oddaniem jak ona sama. Współczucie dla miłej pani Oleńki kazało mi uśmiechać się i utwierdzać ją w przekonaniu, że wierzę, iż następnym razem wszystko pójdzie dobrze.

Po tej lekcji naprawdę strasznie chciałam zmienić pracę i zostać instruktorem

teatralnym. Nie mogłam się już doczekać najbliższego weekendu i rozpoczęcia kursu.

IX. WAGARY

Pierwszy dzień kursu i od razu wielka niespodzianka. Jechałam do Kielc z mieszanymi uczuciami, a okazało się całkiem ciekawie. Gdy rozejrzałam się po pięknej sali kominkowej, w której rozpoczynały się nasze zajęcia, miałam ochotę uciec. Siedzieli tam sami młodzi ludzie. W przytłaczającej większości były to atrakcyjne dziewczyny w przedziale wiekowym między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. No cóż, należało się spodziewać, że w moim wieku ludzie nie myślą już raczej o zdobywaniu zawodu, a zwłaszcza zawodu instruktora teatralnego. Nie uciekłam, bo skoro już tyle zapłaciłam, to niech mnie edukują. Krzyś by mi chyba natarł uszu, gdybym stchórzyła.

Usiadłam skromnie w pierwszym rzędzie, na pierwszym krześle od drzwi. Dziewczyny rozmawiały ze sobą, gromadząc się w niewielkich grupkach po trzy, cztery. Na samym końcu zauważyłam czterech panów głośno dyskutujących o ostatnim meczu Korony Kielce. Byli to jedyni przedstawiciele płci brzydkiej w tej grupie liczącej około trzydziestu osób. Mocno zbudowana i ostro wymalowana młoda kobieta, która usiadła tuż za mną, poprawiała sobie jeszcze i tak za mocny makijaż. W pewnym momencie upuściła kosmetyczkę i pomadka do ust oraz spirala do rzęs potoczyły się po podłodze na środek sali. Wstałam i podałam jej malowidła.

— Dzięki. Jestem Renata — wyciągnęła do mnie dłoń.

— Miło mi, Joanna Zalewska — powiedziałam oficjalnie.

— Widziałś na tablicy ogłoszeń nazwisko tego wykładowcy od reżyserii? — Renata bez ceregieli przeszła ze mną na ty. Pomyślałam więc, że może dzieląca nas różnica wieku nie rzuca się tak bardzo w oczy. — To może być jakiś Latynos — kontynuowała. — On jest koordynatorem naszego kursu. Jak my się z nim dogadamy?

— Nie, nie patrzyłam na tablicę informacyjną. Śpieszyłam się, bo myślałam,

że jestem już spóźniona. Kto to ma być? — spytałam z ciekawością.

— Pablo Corsuniarrez. Znasz takiego?

— Nie słyszałam tego nazwiska. Ale to, że ja go nie znam, nie oznacza, iż nie jest to ktoś znany w branży. Nie jestem zbyt dobrze zorientowana — powiedziałam z pewnym zażenowaniem, uświadamiając sobie, że właściwie od skończenia studiów coraz mniej śledzę to, co dzieje się w kulturze. Znam tylko nazwiska tych, którzy wymieniani są w serwisach informacyjnych, bo otrzymali jakieś prestiżowe nagrody lub mieli udział w głośnych skandalach. Co gorsze, nie zawsze potrafię połączyć nazwisko twórcy z tytułem dzieła. Coraz rzadziej chodzę też do kina. Po pierwsze, mam dość daleko, a po drugie, parę razy nacięłam się na beznadziejny film bardzo chwalony przez recenzentów.

— Fajnie by było, żeby nas szkolilo pełne temperamentu, cudne ciacho. Uwielbiam brunetów o spalonej słońcem, brązowej skórze — marzyła Renata.

— Jak dla mnie, może być blondynem lub nawet łysym mięśniakiem, byle był fajny i młody, nie jakiś zgred — do rozmowy włączyła się także sąsiadka Renaty, ognście ruda i korpulentna dziewczyna.

— Musi być kimś ważnym, bo się spóźnia, jak gwiazda — zaśmiała się Renata.

W tym momencie ciężkie, rzeźbione drzwi otworzyły się i oczom naszym ukazał się oczekiwany od przeszło kwadransa tajemniczy Pablo Corsuniarrez. Był zupełnym zaprzeczeniem stereotypu latynoskiej urody. Raczej blondyn, mocno wyleniasty i gdzieś tam także posiwiasty. Omal nie parsknęłam śmiechem, gdy spojrzałam na zawiedzione miny moich rozmówczyń. Kajał się z powodu spóźnienia i zwał winę na PKP, używając przy tym nienagannej pod każdym względem polszczyzny. Wychował się z pewnością w naszym kraju — pomyślałam. Zarówno sylwetka jak i rysy oraz głos wydały mi się dziwnie znajome. Pewnie z telewizji — pomyślałam i przyjrzałam się lepiej wykładowcy. Nagle nie tylko fizjonomia, ale nawet jego zagraniczne nazwisko zaczęło mi się

kojarzyć.

— Paweł Korsuń?! Chyba mnie wzrok nie myli? — wypaliłam. Byłam już pewna, że znam osobiście tego wysokiego szczupłego faceta. Przygarbił się i jakby trochę przysechł przez lata, ale na pewno był moim kolegą ze studiów, a nie jakimś tam Pablo Corsuniarrezem.

Paweł powiódł roztargnionym wzrokiem po obecnych, przyjrzał mi się przenikliwie, zdejmując i zakładając dwukrotnie okulary, a wreszcie rozwarł szeroko ramiona i wykrzyknął:

— Aśka! Aśka Zalewska! Co ty tu robisz?!

Padłam w te serdeczne objęcia, bo inaczej chyba nie wypadało, chociaż nigdy nie łączyła mnie z Pawłem żadna bliższa zażyłość, a nawet po prostu go nie lubiłam.

— Ja mieszkam tu na wsi, pod Kielcami — wyjaśniłam szybko i przeszłam do pytań. — Ale co ty takiego przeskrobałeś, że musiałeś zmienić nazwisko? — wyszeptalam. — Byłeś świadkiem koronnym?

— Ale masz bujną wyobraźnię — roześmiał się i wypuścił mnie z objęć. Skłoniwszy się przepaszająco, znów zwrócił się do sali: — Państwo wybaczą tę prywatę, ale to wzruszające spotkać koleżankę ze studiów, z którą nie widziałem się chyba z ćwierć wieku.

— Pan nas wkręca, czy to jest jakaś wyreżyserowana scenka? — zawołał młody człowiek z końca sali. — Pan nie pasuje do nazwiska na rozkładzie zajęć, a ta pani do pana wspomnień. Dwadzieścia pięć lat temu ta pani mogła być w przedszkolu, a nie na studiach.

— Miłe to, co pan mówi, lecz prawda jest, jaka jest. — Uśmiechnęłam się najpiękniej, jak potrafiłam do chłopaka.

— Zaraz zaczniemy zajęcia, tylko wyjaśnię jeszcze sprawę mojego nazwiska — mitygował się Paweł, a ja usiadłam na swoim miejscu. — Otóż, jak już państwo słyszeli, zasadniczo nazywam się Paweł Korsuń. Z tym nazwiskiem

łączą się moje wczesne dokonania, głównie w dziedzinie reżyserii teatralnej. Może ktoś z państwa kojarzy? — Rozejrzył się po słuchaczach, lecz zorientowawszy się, że w czasach, o których on myśli, ci młodzi ludzie byli jeszcze zbyt mali, żeby interesować się teatrem, nie drażył tematu. — Pablo Corsuniarrez to mój pseudonim artystyczny, który po pewnym czasie został oficjalnie wpisany do mojego paszportu. Producent zasugerował, że mógłbym nadać swojemu nazwisku bardziej latynoskie brzmienie, kiedy reżyserowałem filmy w Ameryce Południowej. Zgodziłem się, a teraz powrót do dawnego nazwiska byłby dla mnie już zbyt kłopotliwy.

— A jakie filmy pan reżyserował? — wyrwała się Renata.

— Dumny naprawdę jestem z tego, co zrobiłem w teatrze przed wyjazdem z Polski, jeszcze pod nazwiskiem Korsuń. Ale praca za granicą była dobrą szkołą rzemiosła, zwłaszcza że dwa lata pracowałem także w „fabryce snów” w Hollywood — odparł Paweł, cedząc słowa. — Kręciłem głównie dla telewizji, a moje filmy miały i nadal mają ogromną oglądalność. Czas jednak przejść już do zagadnień związanych z państwa kształceniem. — Pablo się wymigał. Najwidoczniej nie chciał się chwalić zagranicznymi dokonaniem i nie był to z pewnością objaw skromności, którą nigdy nie grzeszył.

Kiedy w latach osiemdziesiątych jako Paweł Korsuń studiował ze mną polonistykę, nosił głowę bardzo wysoko. Należał bowiem do tak zwanej bohemy. Była to grupka ludzi z kilku roczników filologii, których łączyły artystyczne ciągoty i pogarda dla studiowanego kierunku produkującego głównie nauczycieli języka polskiego. Ta samozwańcza elita miała głęboko zakorzenione poczucie własnej wyjątkowości. Co roku składali egzaminy na różne uczelnie artystyczne, gdzie na ogół nie dostrzegano ich potencjału. Zwłaszcza panowie, którzy przeważali w tej grupie, musieli zatem po klęsce wracać do nas na uniwersytet i dalej parać się czytaniem potwornie nudnego kanonu lektur i, co gorsze, wkuwaniem gramatyki, bo inaczej wojsko wyciągnęłoby po nich łapy.

Ci niespełnieni artyści czuli złość do całego świata za brak uznania. Zatem nieustannie wszystko krytykowali: program studiów, zbyt niski, jak na ich potrzeby, poziom wykładowców, a przede wszystkim pozostałych studentów. Ostentacyjnie okazywali znudzenie cudzymi referatami, ziewając głośno, a próby polemiki z ich zdaniem były po prostu wyszydzane. Nie przysiadali się do zajmowanych przez nas stolików w bibliotecznej kafejce i niezwykle rzadko zaszczytali kogoś z nas rozmową. Byliśmy w ich oczach rodzajem podludzi.

O ile wiem, z tej gromady tylko Pawłowi udało się zaistnieć w świecie sztuki. Pozostali wciąż kręcą się gdzieś na jej obrzeżach, recenzując co najwyżej cudze dzieła lub nimi handlując. A kilkoro po latach niepowodzeń do tego stopnia straciło wiarę w siebie, iż zatrudnili się w pogardzanym zawodzie nauczyciela. Muszę przyznać, że Paweł zachowywał się trochę bardziej przyzwoicie niż reszta. Był od początku skazany na ukończenie przed docelową dla niego reżyserią jakiegokolwiek innego kierunku studiów, bo takie niegdyś były wymogi. Może więc dlatego odzywał się czasem do kogoś z nas „ludzkim” głosem.

Pamiętałam, że w okolicy ramienia Pawła widywałam prawie zawsze wystylizowaną na zmilitaryzowanego wampa czarną, kudłatą studentkę psychologii. Jej drobną sylwetkę okrywały zawsze stroje, które prawdopodobnie noszą żołnierki izraelskie na poligonie. Kontrast w wyglądzie i zachowaniu tej pary zwracał powszechną uwagę, a często też prowokował kpiące komentarze. Osoby bliżej powiązane z „artystami” plotkowały, że ta niezbyt atrakcyjna, kędzierzawa brunetka fascynuje Pawła swoimi erotycznymi wyczynami i skłonnościami sado-maso. Twarz miała bladą, oczy podkrążone i mocno wymalowane. Utkwiły mi w pamięci jej długie, niezbyt zadbane paznokcie. Podobno któregoś dnia nasz przyszły reżyser pokazywał swoim kolegom porane owymi pazurami plecy, zaznaczając z dumą, że to efekt przeżywanej ekstatycznie przez psycholożkę rozkoszy.

Zabawnie było obserwować Pawła i jego ukochaną podczas uczonych

dyskusji toczonych w elitarnym kręgu artystów w kafejce. Dziewczyna sprawiała wrażenie niemej. Zagadnięta przez kogoś otwierała bowiem tylko usta i spoglądała na Pawła, który natychmiast odzywał się w jej imieniu. Na pewno nie była głucha, bo wsłuchiwała się zawsze bardzo pilnie w słowa ukochanego i jego rozmówców, aby recenzować je wyłącznie mimiką. Oczywiście, gdy Paweł wygłaszał swoje sądy, w jej oczach zapalały się ognie uwielbienia, a kiedy odzywał się ktoś inny, na przezroczystej niemalże twarzyczce pojawiał się grymas potwornego znudzenia.

Teraz nagle przypomniało mi się to wszystko i nieźle rozbawiło, zwłaszcza w zestawieniu z pretensjonalnie brzmiącym nazwiskiem i sylwetką nieco podniszczonego, pewnie przez intensywny tryb życia, ale bardzo przeciętnie i nobliwie wyglądającego mojego byłego kolegi. Zdziwiłam się, że Paweł mnie rozpoznał i pamięta także moje imię i nazwisko, a serdeczność powitania mile mnie połaskotała.

Początki wykładu były dla Pawła trudne. Widać było, że nie ma doświadczenia w prowadzeniu tego typu zajęć i jest mocno skrupowany. Moja obecność chyba dodatkowo go deprimowała. Mówił zawile, odwoływał się do znaczących dokonań w historii teatru i filmu. Powoływał się na przykłady, o których większa część słuchaczy nie miała pojęcia. Dziewczyny przestały się prężyć i strzelać oczami. U jednych na kolanach pojawiły się kolorowe pisemka, inne oczyszczały komórki ze zbędnych wiadomości i esemesowały zawzięcie. Siedzący na końcu sali panowie jak mali chłopcy grali w okręty. Tak ich ta stara, szkolna gra wciągnęła, że od czasu do czasu słychać było niewystarczająco cicho wyszeptane: „Pudło!”, „Trafiony” albo „Puff!”.

Paweł wyniosłe udawał częściową głuchotę i heroicznie ciągnął swe napuszone wywody. A dobrze mu tak — pomyślałam mściwie. Niech posmakuje losu nauczycieli, którymi tak gardził od młodości. I tak jest w lepszej sytuacji niż my na lekcji. Jego słuchacze bowiem słono za ten kurs zapłacili, więc

będą tu trwać, choćby nie wiem co, żeby otrzymać świadectwo. A poza tym jest to grono na tyle cywilizowane (czytaj: obłudne), że nikt mu głośno nie powie, gdzie ma takie nudne gędzenie. W szkole mógłby liczyć na bardziej szczerych recenzentów.

Od śmierci z nudów uratowali nas palacze, którzy dręczeni brakiem nikotyny w organizmie odważyli się zażądać przerwy. Paweł powoli składał swoje notatki, przecierał okulary i z nieśmiałym uśmiechem spoglądał w moją stronę. Gdy sala prawie opustoszała, a ja nie mogłam się zdecydować, czy wyjść na korytarz, czy też zagadać do niego, on podszedł do mnie i konspiracyjnym szeptem zaczął:

— Teraz macie zajęcia z fonetyki. To są rzeczy, które przecież dobrze znasz, więc może byśmy się urwali? To, o czym mówiłem, też było dla ciebie znane i nudne, prawda? Pamiętam, że wybrałaś, jak ja, specjalizację z teatrologii.

— Ależ nie, wcale się nie nudziłam — zaprzeczyłam litościwie. — Minęło tyle lat. Mało już pamiętam z wiedzy o teatrze, a filmem, wstyd się przyznać, nigdy zbytnio się nie interesowałam. Myślę tylko, że powinieneś nieco zmienić sposób przekazywania wiedzy, a może i zakres. Mam wrażenie, że jesteś za ambitny i zanadto akademicki, a kandydaci na instruktorów oczekują konkretów.

— Na pewno masz wiele racji, ale teoretyczna podbudowa wydaje mi się nieodzowna. Nie chciałbym nauczyć ich tylko kilku sztuczek reżyserskich, ale dać materiał do przemyśleń, otworzyć wyobraźnię, zachęcić do własnych poszukiwań.

— Bardzo szczerne i słuszne założenia, lecz trzeba się do tego chyba trochę inaczej zabrać. Obserwowałam tych ludzi i myślę, że musisz ich potraktować jak ja moich uczniów, czyli przemycać teorię. Sprowokować ich do działania, a potem obudować to komentarzami.

— To jest ciekawe, co mówisz. Chętnie posłucham praktyka. Urwiemy się do jakiejś knajpki? Ja mam już na dziś wolne.

— No, ale ja powinnam tu tkwić. Mąż by mnie udusił, gdybym nie

otrzymała zaliczenia z powodu nieobecności. Pamiętam, co się działo, gdy na studiach groziło mi niezaliczenie łaciny. Opuszczałam lektorat, żeby zarabiać w reklamie. Tak się jakoś składało, że w tym samym czasie co łacina wypadały mi zdjęcia do katalogu.

— Tak, pamiętam, że zadzierałaś nosa, bo byłaś modelką.

— Ja zadzierałam nosa? — oburzyłam się do żywego. — I kto to mówi? Czasem obawiałam się, że spadniesz ze schodów, tak wysoko nosiłeś głowę.

— Tak ci się tylko zdawało. Za tobą zawsze się oglądałem, ale nie zwracałaś uwagi na takiego gówniarza jak ja. À propos, masz wciąż tego starego męża?

— Nie jest wcale stary, a w dodatku dobrze się trzyma. — Chciałam mu dociąć, że lepiej od niego, bo poczułam się dotknięta w imieniu Krzysia, ale wstrzymałam się od napastliwości.

— Jeśli mamy zwiać, to trzeba to zrobić teraz, bo zaraz koniec przerwy — powiedział Paweł, widząc kroczącego korytarzem swojego zmiennika. — Spotkajmy się przed wejściem.

Zarzuciłam torbę na ramię i chyłkiem opuściłam budynek ścigana karcącymi spojrzeniami kilku kursantek. Poczulałam się jak nastolatka. Odrobina adrenaliny i przyjemność robienia czegoś zakazanego uczyniły mój krok lżejszym, a spojrzenie bardziej zalotnym. Przypomniały mi się lata szkolne i wagary z Rafałem.

— Mówisz więc, że wciąż masz tego samego męża? Tyle lat z jednym człowiekiem, to już prawie kazirodztwo — zażartował Paweł, gdy siedzieliśmy przy kawiamianym stoiku.

Żadne z nas nie było tego dnia kierowcą, mogliśmy zatem zamówić sobie do kawy po lampce koniaku. Wprawdzie pora, jak na alkohol, była nieprzyzwoicie wczesna, ale przy stoliku obok siedział znany mi kielecki plastik i też się już od rana kurował, więc nie czuliśmy się odosobnieni. Plastik przyglądał się przez chwilę mnie i Pawłowi, a potem się uklonił.

— Nie patrz w jego kierunku, bo się przysiądzie i będzie chciał, żeby mu postawić — szepnęłam konspiracyjnie.

— O, widzę, że znasz zwyczaje tutejszej bohemy. — Paweł uśmiechał się prowokacyjnie. — To co z tym twoim mężem? Ogranicza cię czy raczej daje swobodę? Naprawdę można z kimś wytrzymać tyle lat?

— Mąż to nie sukienka, żeby go zmieniać co sezon — powiedziałam mentorskim tonem. — Małżeństwo w swoim założeniu jest trwałym związkiem, no nie?

— To wcale nie jest takie oczywiste. Ja żeniłem się, jak dotąd, trzy razy i być może nie koniec na tym. Co ja zrobię, że zakochuję się w nieodpowiednich kobietach? A ten twój stary mąż jest o ciebie jeszcze zazdrosny? — Paweł używał wciąż epitetu „stary”, czym zaczął mnie wkurzać.

— Nie jest stary — powiedziałam z naciskiem. — Bywa zazdrosny, ale rzadko, bo ja nie daję mu powodów do zazdrości — skłamałam troszeczkę. — Owszem, jest poważny i zasadniczy, a to raczej zaleta, a nie wada, prawda?

— Może być strasznie nudny z tymi zaletami. To jak, nudzisz się z nim? — Paweł uśmiechał się wyzywająco.

— A ty uważasz, że posiadanie trzech żon świadczy o twojej barwności? — zapytałam.

— Nie jestem Arabem, żeby mieć harem — zaśmiał się wesoło. — Miałem po kolei trzy żony.

— To coś z tobą nie tak. Nie umiesz się zaangażować?

— Ja się bardzo angażowałem. Kochałem je z całych sił. — Uśmiechnął się perwersyjnie, chcąc zaznaczyć dwuznaczność tej wypowiedzi, ale mnie to specjalnie nie rozśmieszyło. — Kobiety, z którymi dotąd się wiązałem, były zimne i wyrachowane.

— Więc nie ożeniłeś się z tą psycholożką, która była oddana ci całym sercem i nie tylko? Z boku robiliście wrażenie takich szczęśliwych.

— Niestety ożeniłem się. Zaraz, jak tylko dostałem się na reżyserię. Ona była bardziej wampiryczna niż heroiny modnej dziś krwistej i mrocznej serii filmów o wampirach. Już kiedy się żeniłem, miałem lekki przesyt jej seksualnych ekscesów. Czułem się jak drapak dla kota. Po ślubie nagle się uspokoiła, a ja naiwnie myślałem, że weszliśmy w nowy, dojrzały etap naszego związku. Sam potrzebowałem więcej spokoju i wyciszenia, bo pochłonęła mnie nowa szkoła i nowe środowisko. Ale życzliwa osoba kazała mi zwrócić uwagę na charakterystyczne ślady na plecach wielu moich kolegów. Ona po prostu czuła podniecenie na dźwięk słowa reżyser lub aktor i chciała ich wszystkich pozaliczać.

— I co?

— Uwolniłem się. Nie masz pojęcia, jaki byłem wdzięczny moim podrapanym kolegom, że mnie wybawili. Tyrałem potem jak głupi, zyskałem przychylność recenzentów i piąłem się w górę. Dyrektorowałem jakiś czas w Łodzi.

— Wyjechałam z kraju, ale słyszałam coś niecoś o twoich sukcesach — powiedziałam, żeby jakoś usprawiedliwić swój brak orientacji w jego karierze. — Siostra mi donosiła, bo wiesz, że ona...

— Tak, poznałem Zytę, nawet dość blisko — przerwał mi bezczelnie. Chciał chyba zasugerować, że łączyło ich coś więcej. — Jest zupełnie inna niż ty. Umawialiśmy się potem jeszcze na wspólną pracę przy „Łysej śpiewaczce” Ionesco, ale w sumie nigdy tej sztuki nie wystawiłem, bo, jak wiesz, wyjechałem do Brazylii.

— Co ci przyszło do głowy, żeby porzucić tak pięknie rozwijającą się karierę? — zapytałam, udając, że nie rozumiem, co znaczy to „blisko”.

— Wszystkim moim upadkom winne są kobiety. — Paweł rozparł się w fotelu i nastawił na zwierzenia. — Byłem w przededniu rozwodu, gdy do Polski przyjechała młoda i piękna gwiazda brazylijskich seriali. Jakimś sposobem

znaleźliśmy się na jednym bankiecie. Ja z naszym polskim kinem miałem niewiele wspólnego. Lepiej czułem się w teatrze, ale filmowcom zazdrościłem pieniędzy. Udało mi się zdobyć jaki taki rozgłos w środowisku dzięki paru nowatorskim spektaklom, lecz kasy z tego było niewiele. Nie dysponowałem nawet własnym mieszkaniem, bo wyprowadziłem się z lokum, które zostawiłem wspaniałomyślnie Kamie, a sam zająłem taką kanciapę na zapleczu teatru.

— Ta twoja wampirzyca to Kama? Chyba skleroza już mnie łapie, często nie mogę przypomnieć sobie imion lub nazwisk. Ale wracając do czasów naszej młodości, to jeszcze wtedy przynajmniej cyganeria była cyganerią, a teraz mamy jakichś celebrytów, których Bóg wie kto mianuje gwiazdami. To już jest zupełnie inny świat — powiedziała z nutką nostalgii, jakbym wspominała przeszłość sprzed stu lat.

— Mówisz tak, jakbyśmy byli strasznie starzy. Wspominasz chyba rzeczy znane ci z literatury. Mnie się wydaje, że to właśnie nasze pokolenie dokonało tych wszystkich zmian. Poczuliśmy powiew „zgniłego” Zachodu i chcieliśmy szybko być tacy sami. Właśnie szybkość zaczęła się liczyć. Szybko zabłysnąć, nawet byle czym, wyprzedzić innych, choćby po trupach. Sam się w tym trochę pogubiłem. Nie trzeba było już walczyć o swobody. Symboliczne, zakamuflowane przedstawianie rzeczywistości straciło sens. Wszyscy wokół robili tylko kasę i ja też chciałem.

— Nie uczestniczyłam w tym, bo właśnie wyjechaliśmy do RPA.

— Tylko ci się zdaje, że cię ominęła ta pogoń za dobrobytem, który nareszcie mógł być także dla nas. Dlaczego wyjechałaś akurat do kraju, który był istnym eldorado dla białych? Pieniążki, pieniążki, kochane pieniążki. Wszyscy wtedy chcieli szybko mieć pieniążki. Mam rację?

— W jakimś stopniu na pewno tak, ale sprawa jest bardziej złożona. Ja infantylnie marzyłam o przygodach na Czarnym Łądzie i niesieniu pomocy takim słodkim Murzynkom Bambo. Chyba jestem strasznie naiwna albo

opóźniona w rozwoju, tak mówi moja mama. Urodziłam tam dzieci, ale wciąż czułam się małą dziewczynką i pragnęłam przygód w stylu Stasia i Nel. Dopiero gdy kraj zaczął się destabilizować, a o złą przygodę było naprawdę nietrudno, poczułam brzemień odpowiedzialności za siebie i dzieci. Stchórzyłam i jak najpierw namówiłam męża do wyjazdu z kraju, tak potem wręcz zmusiłam go do powrotu. Lepiej czuję się jednak wśród swoich, gdy wokół wszystko jest znane i swojskie — wyjaśniłam w skrócie swój punkt widzenia bez wdawania się w nieistotne dla Pawła szczegóły.

— Widzisz, ja też wyjechałam nie tylko po to, żeby zarabiać większe pieniądze. Zakochałem się w przepięknej kobiecie. Ona żyła w autentycznym luksusie. Była gwiazdą filmów, którymi w głębi duszy gardziłem, ale o niej marzyłem jak nastolatek. Wtedy byłem pewien, że dla niej potrafię zdobyć fortunę. Miałem zaufanie do swoich zdolności. Ja po prostu wierzyłem, że mam talent, który za granicą natychmiast zostanie dostrzeżony. Byłem pewien, że wyrwę swoją ukochaną ze świata szmiry i uczynię ją gwiazdą prawdziwej sztuki. Potem musiałem ten plan zweryfikować, żeby jakoś utrzymać się na powierzchni.

— Przecież ci się udało. Tylu filmów byś tu nie nakręcił.

— Nie bądź śmieszna, co to za filmy. To jest telewizyjny chłam. Sprzedałem się i najlepszy mój czas przeleciał bezpowrotnie. Ludzie z branży uśmiechają się teraz ironicznie na mój widok. Pewnych rzeczy już się nie nadrobi.

— Taki jest ten świat — odezwałam się jak filozofujący pijak, bo poczułam już lekki zawrót głowy. — Kręci się to, co ludzie masowo chcą oglądać. A u nas też pieniądze robi się na reklamie i na serialach. Są też tacy co, jak za czasów komuny, robią filmy na polityczne zamówienie. Nie rozumiem, czemu twoje środowisko tak brzydzi się brazylijskimi serialami? Większość naszych produkcji, zwłaszcza tych na zachodnich licencjach, to też koszmarnie bzdury. Ale powiedz, co z tą gwiazdą. Zdobyłeś ją?

— Była od początku poza moim zasięgiem, chociaż to ona namówiła mnie

do tego szaleństwa. Po pierwszym szoku rozczarowania, jakie tam przeżyłem, nawet nie narzekałem. Nikogo nie interesowały moje innowacyjne przemyślenia ani ambicje, potrzebowali rzemieślnika, a raczej wyrobnika, który będzie trzepał kadr po kadrze prawie jednakowe ujęcia. Ale forsa przychodziła stosunkowo łatwo, a piękne dziewczyny same pchały się do łóżka. Tylko że jak coś zbyt łatwo przychodzi, to się tego nie ceni.

— Mówisz teraz o forsie czy o kobietach?

— O jednym i drugim — odrzekł i kontynuował swój życiorys: — Pojechałem do Stanów. Kręciłem się trochę po „fabryce marzeń”. Załapałem się parę razy na asystę reżysera. Forsy miałem dzięki poprzednim produkcjom więcej niż niejeden, któremu asystowałem. Szastałem nią nieprzyzwoicie, żeby zagłuszyć kompleksy. Zwróciła na mnie uwagę wschodząca wówczas gwiazdeczka i zaciągnęła mnie do ołtarza. Ja głupi romantyk wychowany jeszcze w peerelowskiej rzeczywistości nie pomyślałem nawet o intercyzie. Wkrótce zażądała rozwodu i jeszcze znalazła świadków, że ją zdradzałem.

— A to była prawda?

— Może coś tam było, jak popiłem, bo wtedy jakoś tak straciłem miarę. Ale wydaje mi się, że to ona podstawiała mi tę młodziutką statystkę. W takich cipkach w ogóle nie gustuję. To musiała być intryga. Obie się w ten sposób ustawiły.

— I co, po forsie?

— Trochę uratowałem. Na szczęście nie o wszystkim wiedziała.

— Ale to dopiero drugi ślub. A potem pewnie takiego biednego i sponiewieranego przygarnęła jakaś samarytanka, żeby ci pokazać, że są na świecie bezinteresowne kobiety. Mam rację? — zakpiłam.

— Niestety nie masz. Ja w ogóle nigdy nie powinienem się żenić. Ludzie żyją razem, potem się rozstają i mają z głowy, a ja widocznie jestem starej daty i daję sobie szybko narzucić małżeńskie okowy.

— No to co z tą trzecią?

— Nie wiem, czy powinienem ci się tak wywewnętrzzać. Ty jeszcze nic o sobie nie powiedziałaś, a ja już streściłem ci całe życie.

— Czasem dobrze się tak przed kimś wygadać. Możesz to potraktować jako spowiedź lub wizytę u psychoanalityka. Nie jestem z twojej branży, nikomu nie powiem. Wal śmiało.

— Ale jeszcze jeden koniaczek.

— No dobrze, niech będzie jeszcze jeden — zgodziłam się, choć czułam, że po tej dawce mogę mieć kłopoty z artykulacją.

Kelnerka, uśmiechając się, podała następne lampeczki i zabrała puste szkło. Powinnam stawiać sobie na serwetce kreseczki, żeby nie stracić rachuby — pomyślałam przezornie, ale nie wprowadziłam tego w czyn.

— Tak się cieszę, że ciebie spotkałem — wyszeptał niespodziewanie Paweł, chwytając mnie za rękę. Widać i jemu uderzyło już do głowy. Wyszarpnęłam dłoń i spiekłam raka jak pensjonarka. — Ale cudowny rumieniec! Ty jesteś...

— Mówiłam ci, że opóźniona w rozwoju. A może przeciwnie, to klimakterium i mam uderzenia gorąca po alkoholu. Myśl sobie, co chcesz, ale spróbuj się powstrzymać od takich sztuczek.

— A wiesz, z kim niedawno o tobie rozmawiałem?

— Ty o mnie? — zdziwiłam się. — Przy jakiej okazji?

— Wspominaliśmy cię niedawno z Maćkiem Chodakowskim. Pamiętasz Chodaka?

— Jasne, że pamiętam. On po filologii skończył operatorski i jest teraz krytykiem filmowym. Widziałam go parę razy w telewizji.

— Tak, miał niedawno okres większej popularności i stał się rozpoznawalny, ale zdaje się, że ma to już za sobą. Maciek ma prawicowe poglądy i tego nie ukrywa, więc kiedyś w programie na żywo wychylił się z czymś takim i teraz zaczynają go traktować jak trędowatego. Ja się z jego poglądami nie zgadzam, on z moimi też nie, ale to zupełnie inna sprawa. W przyjaźni nam to nie przeszkadza.

Cenię jego fachowość i dobre pióro. Poza tym nie jest koniunkturalistą. On jeden przywitał mnie serdecznie na lotnisku, choć zawiadaniałem parę osób z dawnej paki o swoim powrocie.

— Dobrze mieć takiego przyjaciela. Ja nie utrzymuję kontaktów z nikim ze studiów, bo jakoś tak byłam z boku naszego studenckiego życia, czego żałuję. Mam jednak przyjaciółkę ze szkoły średniej. Ale co z tą twoją trzecią żoną? Dokończ, bo jestem bardzo ciekawa — drażylałam temat w obawie, że wypijemy trzeci kieliszek koniaku, a on mi wciąż nie opowie dalszego ciągu swego życiorysu. Byłam pewna, że czwartej lampki mój organizm już nie przyjmie.

— A nie jesteś ciekawa, co o tobie z Maćkiem mówiliśmy? — Paweł wciąż odwlekał dalsze zwierzenia.

— A co wy mogliście o mnie mówić? Ledwie zauważaliście, że ktoś taki z wami studiuje, chodzi po tych samych korytarzach i siada na wykładach gdzieś tam w końcu auli.

— O, mylisz się. Zawsze obcinaliśmy cię łakomym wzrokiem. Nikt nie miał takich nóg i cudownych, pszenicznych, długich, prostych włosów w czasach panującej wszechwładnie koszarnej, tandetnej afro. To ty chodziłaś z głową zadartą wysoko i rzadko można było zamienić z tobą słówko. Wielka modelka i dziana pani doktorowa. Ale muszę przyznać, że nadal trzymasz się dobrze. Masz klasę, bo niektóre nasze koleżanki to już... szkoda gadać. A jak dajesz sobie radę z tymi sprawami? — rzucił nagle pytanie, które natychmiast mnie otrzeźwiło. Nie byłam pewna, czy dobrze go zrozumiałam, więc naiwnie spytałam:

— Z jakimi sprawami? Co masz na myśli?

— No... seks oczywiście — odparł obojętnie.

— Teraz to przesadziłaś — prychnęłam i z oburzeniem odsunęłam krzesło. — Do czego zmierzasz takimi pytaniami?

— Ale się spłoszyłaś — zaczął krztusić się ze śmiechu. — Jak pensjonarka, słowo daję. A wiesz, że to jest urocze? Nie gniewaj się, sorry. Chodzi mi o to, jak

od strony atrakcyjnej jeszcze kobiety wygląda związek ze znacznie starszym partnerem. Mnie pociągają takie babeczki do trzydziestki, ale na dłuższą metę to może być ryzykowne, prawda? Bo jak ona będzie w twoim wieku, to ja już... No wiesz...

— Masz rację. Sam wiesz, że trzeba się dobierać również wiekowo, więc po co pytasz? Powtarzam ci, że mój mąż jest starszy ode mnie o pięć lat, a to nie jest tak dużo.

— Tak? A ja sądziłem, że ze dwadzieścia. Dziewczyny na roku gadały, że wyszłaś za starego doktora, bo poleciałaś na kasę. Były zazdrosne o twoją urodę i ten modeling. Chociaż na filologii było dużo ładnych lasek. Jednak przez to, że ty byłaś zawsze taka zdystansowana, wydawałaś nam się niedosiężnym ideałem. Ale jak to się stało, że mieszkasz tu gdzieś na prowincji, przecież jesteś z Warszawy? Twój mąż jest stąd?

— Nie, mąż pochodzi z Mazur. Jakiś czas tam nawet mieszkaliśmy u teściów. Potem wyemigrowaliśmy do Afryki, aż w końcu osiedliśmy tu w Świętokrzyskiem. Mój mąż aktualnie pracuje za granicą. Potrzebujemy trochę więcej pieniędzy. Postawiliśmy dom i dzieci właśnie idą na studia. A mąż jest przystojnym, pełnosprawnym pod każdym względem i interesującym facetem. Mam nadzieję, że będziesz miał okazję się o tym przekonać, jeśli kiedyś zbiegną się terminy naszych zajęć i jego przyjazd do domu. Możesz wówczas przenocować u nas z soboty na niedzielę — powiedziałam, uśmiechając się nieco wyniośle. — Nie można ufać temu, co mówią ludzie. Gdy się pobieraliśmy, mój mąż nie był starym, ustawionym w zawodzie konowalem, tylko studentem ostatniego roku medycyny. Potem robił staż i specjalizację, ciężko pracując i biegając z dyżuru na dyżur, żeby zarobić na wynajęcie mieszkania i na życie. Ja miałam w domu dwoje ciężko chorych ludzi i odwieczne kłopoty finansowe, dlatego nie uczestniczyłam w wesołym życiu studenckim i dorabiałam jako modelka. Siostra załatwiła mi tę pracę i pilnowała, żebym nie zaprzyjaźniła się ze

specyficznym środowiskiem fotografów i modelek traktowanych przez nich dość instrumentalnie. Nie było zresztą potrzeby roztaczać nade mną kurateli, bo byłam zakochaną w mężu, świeżutką mężatką. A trudność nawiązania ze mną bliższego kontaktu wynikała zapewne z mojej nieśmiałości, kompleksów i notorycznego braku czasu. Aktualnie żyjemy na wsi z dwójką dzieci i parą psów oraz kotów. Takie było moje marzenie, które udało mi się teraz dopiero zrealizować. Mąż trzyma się świetnie, a ja trzymam się jego i dzieci. I tak w skrócie wygląda moje szczęśliwe życie rodzinne.

— Więc masz dzieci? — Paweł kręcił głową z niedowierzaniem. — Nie wyglądasz.

— A jak ty na pierwszy rzut oka odróżniasz kobiety bezdzietne od tych dzieciatych? — Zaśmiałam się trochę chyba za głośno, ale trzecia lampka właśnie ukazała puste dno.

— Dzieciate są na ogół grubsze niż ty, a poza tym już po chwili rozmowy wyciągają zdjęcia swoich słodkich bobasów i potrafią mówić godzinami, jakie to ich pociechy są niezwykle, a zarazem kłopotliwe. Nie cierpię dzieci i ich kopniętych rodziców.

— Moje dzieci nie są bobasami, więc okres pokazywania zdjęć mam już za sobą. Domyślam się, że ty nie masz dzieci?

— Myślę, że nie mam. Nic o tym w każdym razie nie wiem. A ty masz dużo tego potomstwa?

— Jedną parę bliźniąt, chłopca i dziewczynkę — powiedziałam z dumą.

— Zawsze wszystko zestawiasz parami? Psy, koty... — zażartował.

— Coś w tym jest, nie zastanawiałam się nad tym — ubawiłam się jego spostrzeżeniem. — Ale nie jestem nowoczesna, bo jakoś pary jednopłciowe nie znajdują schronienia pod moim dachem. — Śmiałam się coraz głośniej i czułam, że wyparowuje ze mnie wcześniejsze uprzedzenie do Pawła.

— Jak ty to wytrzymałaś, gdy twoje bliźniaki razem wrzeszczały, razem

chciały jeść albo trzeba je było równocześnie przewijać? Nie mów tylko, że idealny mąż ci we wszystkim pomagał, bo nie uwierzę.

— Trochę musiał pomagać. To było w RPA, więc sprzątaniami i gotowaniem zajmowała się czarna maid, a i tak czasami bywało strasznie. Nie takie rzeczy da się wytrzymać. Zresztą opłacało się, ich obecność daje więcej szczęścia, niż wymagały trudu.

— No, no, bliźnięta, kto by przypuszczał. — Paweł patrzył na mnie z uznaniem i niedowierzaniem, jakbym mu powiedziała, że zdobyłam koronę Himalajów albo spenetrowałam Rów Mariański. — A wiesz, że to podnosi twoją ocenę w moich oczach, chociaż skóra na brzuchu pewnie już nie ta? Żadna z kobiet, z którymi byłem, nie odważyłaby się na taki wyczyn. Kazałyby usunąć sobie przynajmniej jedno z bliźnięt, żeby nie rozciągać zanadto brzucha.

— Przesadzasz. Kobietom wszystko inaczej ustawia się w głowie, gdy dowiadują się, że są w ciąży. Myślę oczywiście o normalnych kobietach w normalnych warunkach, czyli w odpowiednim wieku i z jakimś zapleczem ekonomicznym. Desperacja może zaburzyć uczucia.

— Mówisz to, co naprawdę myślisz, czy tak myślisz, bo tak wypada? Pewnie Kościół cię zindoktrynował? Jak się żyje na wsi, to trzeba przecież chodzić do kościółka co niedzielę, no nie? — Paweł powiedział to z takim jadem, że przeszła mi ochota na dalszą z nim rozmowę.

— Widzę, że należysz do wojujących ateistów i wydaje ci się, że jesteś wolny od wszelkich wpływów. A dawno tak radykalnie zmieniłeś swoje myślenie? Pamiętam, że w czasie studiów, kiedy zależało ci na etykietce opozycyjności, głosiłeś zupełnie inne poglądy i chyba wystawiałeś jakieś patriotyczne widowiska w kościele. Baliśmy się nawet, że cię przymkną albo esbecy wleją ci gdzieś w ciemnej bramie. Ja byłam akurat w tym czasie raczej obojętna religijnie, ale twoja odwaga w obronie wartości bardzo mi imponowała. Teraz mogę o sobie powiedzieć, że jestem wierząca, ale nie mam misjonarskiego zacięcia, więc nie bój

się, nie będę cię nawracać.

Nasza dyskusja niespodziewanie zeszła na poważne tematy. Nie lubię metafizycznych wynurzeń u ludzi mających w czubie, więc uznałam, że czas już kończyć to spotkanie.

— Obawiam się, że moje dzieci dadzą mi wycisk. Są w Kielcach i mamy razem wrócić do domu — powiedziałam, wyciągając z torebki komórkę. — Na śmierć zapomniałam, że mieliśmy się zdzwonić, a ja podczas twojego wykładu wyciszyłam komórkę. Od godziny mój telefon jest bombardowany na zmianę przez moje bliźniaki.

Przeprosiłam Pawła i wybrałam szybko numer Patryka. Wołałam usłyszeć w słuchawce wymówki syna niż wściekły atak Dominiki, ale źle wykalkulowałam, bo Patryk z miejsca zaczął wrzeszczeć, a jego tubalny, męski głos poniosło na pół lokalu:

— Co się z tobą dzieje?! Gdzie ty jesteś?! Wiesz, jak się martwimy? Gdyby któreś z nas wycięło taki numer, to...

— Co za histeria? — przerwałam mu. — Przecież wiecie, że mam zajęcia.

— Właśnie o to chodzi, że nie masz zajęć. Nawalił ktoś, z kim mieliście mieć ostatnie dwie godziny, i wszyscy się rozeszli. — Patryk miał satysfakcję w głosie, w końcu przyłapał własną matkę na wagarach i oszustwie. Mnie jednak po tak pokaźnej dawce alkoholu niełatwo było zdenerwować. Nawet nie przyszło mi do głowy zapytać, skąd oni wiedzą, że jakiś tam wykładowca nie przyszedł, tylko ciągnęłam flegmatycznie, z trudem pokonując bardziej skomplikowane połączenia spółgłoskowe:

— Właściwie to dobrze, że dzwonisz, bo chciałam was komuś przedstawić. Jestem wyrodną matką i nie noszę waszych fotografii, ale bardzo, bardzo jestem z was dumna.

— To ty do mnie dzwonisz — przypomniał przytomnie Patryk. — Dziwnie mówisz. Czy nic ci się nie stało? — zaniepokoił się.

— Nie, wszystko w porządku — uspokoiłam go. — Przyjedźcie do Czterech Pór Roku, bo właśnie siedzę tu z jednym z naszych wykładowców.

— Brawo, mamuś, widzę, że nie marnujesz czasu! — Dominika, która podczas mojej rozmowy z Patrykiem nastawiała ucha, wrzasnęła teraz w słuchawkę. — Ładnie zaczęłaś kurs!

— Wiem już, po kim mam te geny, które kazały mi uciekać z lekcji. Jestem niewinny, to twoja wina! — przekrzykiwał ją Patryk.

Hałas ze słuchawki dobiegał nie tylko do uszu Pawła. Kelnerka spojrzała wymownie w moim kierunku, a Paweł miał w oczach lękliwe zdumienie.

— Widzę, że z dorosłymi dziećmi nie jest wcale łatwiej. Kto kogo u was wychowuje? — zapytał z ironicznym uśmiechem.

— To jest obopólny proces — odparłam. — Jakbyś miał dzieci, tobyś wiedział.

— Dziękuję, nie skorzystam, wolę nie mieć tego szczęścia i pozostać już taki nie całkiem wychowany.

Dzieciaczki uwinęły się błyskawicznie i w chwilę później stanęły z uprzejmymi, choć pełnymi nagany uśmiechami za moim krzesłem.

— To Dominika i Patryk, a to mój kolega ze studiów, a obecnie znany w Polsce, a jeszcze bardziej za granicą, reżyser Pablo Co... Cocorssu — próbowałam elegancko dokonać prezentacji, maksymalnie koncentrując się na artykulacji, lecz utknęłam na ksywie mojego towarzysza.

— Paweł Korsuń, bardzo mi miło — niewymawialny Pablo poderwał się z krzesła i skłonił nisko przed Dominiką. Krótко uściskał dłoń Patrykowi, a następnie powiedział z niekłamanym zachwytem: — Zdjęcia takich dzieci to ja bym nosił i pokazywał wszędzie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o planach życiowych bliźniaków i tak w ogóle o życiu, a Paweł nie spuszczał oczu z mojej córki.

— Będzie pani studiować w Warszawie, to świetnie. Nie myślała pani

o aktorstwie? Gdyby miała pani ochotę na flirt z kamerą, to bardzo proszę o kontakt. Mogę też okazać się pomocny w wielu innych sprawach — wyszeptał jej w pewnym momencie do ucha.

Chociaż z mową miałam lekkie kłopoty, to słuch i czujność matczyna raczej mi się wyostrzyły, więc zaraz zainterweniowałam:

— Wybij sobie z głowy podrywanie mojej córki, stary satyrze. Ona nie potrzebuje niczyjej pomocy. Starczy jej atrakcji na kierunku, który sobie wybrała. A poza tym, na szczęście, w Warszawie czuwa nad nią babcia, a z nią nie chciałbyś mieć do czynienia, zapewniam cię — powiedziałam otrzeźwiona zachowaniem mojego kolegi. Przy lekkiej pomocy Patryka podniosłam się od stolika i pożegnałam z Pawłem.

Już w wieczornej rozmowie z tatusiem na Skypie Dominika wysypała wszystko. Znosiłam uprane ręczniki do łazienki, która sąsiaduje z jej pokojem, i nagle usłyszałam:

— Wiesz, tato, nawet nie przypuszczałam, że nasza mama ma takich interesujących znajomych. Nigdy nie wspominała, że studiowała ze sławnym reżyserem.

— Bo wtedy nie był przecież jeszcze reżyserem — zauważył przytomnie mąż.
— A co on takiego wyreżyserował?

— Nie znam tytułów, ale on jest ponoć znany na świecie, w tym swoim gatunku oczywiście.

— A jaki to gatunek? — dążył nadal Krzysztof.

— No, mydlana opera, ale...

— I ty się tym tak ekscytujesz?

— Nie tym. Ten facet miał już uznanie wśród reżyserów u nas w kraju, a potem wyjechał. Te opery mydlane miały być tylko chwilowym zajęciem, a zrobiło się z tego ładnych parę lat. Wiesz, czasem trzeba zejść na ziemię, żeby zarobić. Ale teraz znów próbuje chwycić coś ambitnego.

— Mniej obchodzą mnie poglądy i działania tego pana, ale ty, córko, bardzo się zmieniłaś. Twoje konformistyczne podejście do życia nie najlepiej wróży twojej przyszłej twórczości. — Krzyś wyraźnie sobie z niej pokpiwał, lecz zmiany w zachowaniu Dominiki i jej zapatrywania już od jakiegoś czasu naprawdę mnie niepokoiły.

— Długo z nim rozmawiałaś, że tak dużo o nim wiesz? — zapytał po chwili.

— Ja tylko minutkę, ale był mną oczarowany i nawet to powiedział mamie — zaszcebiotała. — Bo wiesz, musieliśmy z Patolkiem odebrać mamę z kawiarni, gdzie odbywała swoje zajęcia z tym Pablo Corsuniarrezem. To jej się zwierzał przy koniaczku ze swoich rozterek i ambitnych planów. Ja nie miałam nawet szansy dłużej z nim pogadać, bo mama na niego naskoczyła, żeby mnie nie podrywał.

— A Patryk mu się nie podobał przypadkiem?

— Jeśli masz na myśli, że może to gej, to raczej nie. Mama może być zagrożona. Wypili chyba trochę za dużo, jak na jej możliwości, bo do wieczora miała kaca i bolała ją głowa.

— A on to jakiś Latynos? Nikt taki, o ile wiem, u nich nie studiował. Skąd takie nazwisko?

— Bo te seriale kręcił w Ameryce Południowej, ale to Polak, blondyn w typie nordyckim. Zupełne przeciwieństwo Rafała. Jak ktoś w takich gustuje, może się nawet podobać. Rafał jest przystojniejszy, ale nie jest w połowie nawet tak interesujący, to sztywniak. A Pablo był bardzo uprzejmy i obiecał mi wszelką pomoc na studiach, bo przecież na co dzień mieszka w Warszawie. Dobrze mieć takie znajomości, nie uważasz?

— Córeczko, zalecam daleko posuniętą ostrożność. W czym on miałby ci pomagać? To nie jego dziedzina, a poza tym wierzę, że nie potrzebujesz żadnej pomocy, a zwłaszcza od podtatusiałych dobroczyńców. Jesteś dla takich łąkowym kąskiem. — Krzyś się wyraźnie rozsierdził i dał jeszcze długi wykład

Dominice.

Byłam mu wdzięczna za te nauki. Z jego ust córka mogła przyjąć tego typu przestrogi z większą powagą. Mnie, co nie daj Boże, posądziłaby jeszcze o zazdrość. Wiedziałam jednak, że czeka mnie w najbliższym czasie niełatwa rozmowa z mężem na temat rozrywkowego rozpoczęcia słono opłaconego kursu dla instruktorów kulturalnych.

IX. SPRAWKI NOWAKOWEJ

Ostatnio wokół mnie strasznie nerwowo. Mąż nadąsany i podejrzliwy. Robi jakieś złośliwe uwagi na temat mojego zapału do „kursowania”, bo kształceniem trudno według niego nazwać moje weekendowe nauki. Szczegółowo i po wielokroć wypytuje o każde zajęcia, jakby chciał mnie złapać na jakiejś nieściskości. Wkurza mnie ten brak zaufania, lecz z drugiej strony myślę sobie, że tak, jak mówiła mama, odrobinka niepewności dodaje pieprzu związkowi. Niech się więc pomęczą.

Pawła od tamtej pory już nie widziałam, bo na kolejnych zajęciach były głównie ćwiczenia ruchowe i układy choreograficzne. Zaskoczyłam młodsze koleżanki elastycznością i znajomością baletowej terminologii. Jednak lata pastwienia się nade mną rodzicielki baletnicy nie poszły tak całkiem na marne. Mama pewnie by mnie ostro skrytykowała, a dzieci się uśmieły, ale na kursie zebrałam mnóstwo pochwał.

Natomiast moja działalność reżyserska napotyka pewne przeszkody. Próba zespołu Swarowiaczy nie odbyła się z powodu obecności tylko trzech aktorów. Powinnam wiedzieć, że jak ładna pogoda we wrześniowy weekend, to będą wykopki. Nikt oczywiście mnie nie zawiadamiał, że nie przyjdzie. Jak dzieci, słowo daję, ręce opadają.

A moje dzieci też jakby się wściekły. Dominika oćwicza Łukasza, który wrócił z ekstremalnych wojaży i chciałby nadrobić stracony czas. Nie wpuściła go nawet do domu. Chciała odesłać z kwitkiem spod drzwi chłopaka, który jechał dwieście kilometrów, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje, gdyż nie odbierała telefonów. Musiałam interweniować i zaprosić biedaka na obiad, który, nawiasem mówiąc, przywiozłam ze szkoły. Coś tam doprawiłam, dołożyłam do surówki z marchewki granat, udekorowałam i wyszło całkiem dobrze. Ale Dominika była niemą. Opowiadała głupoty, że jeszcze nie wie, czy nadal chce

studiować malarstwo. Ma pewien plan, lecz uważa, że za wcześnie o tym mówić. Przy Łukaszu nie chciałam jej wypytywać, czy to aby nie Pablo Corsuniarrez natchnął ją do poszukiwania szczęścia w innej dziedzinie.

Zaraz po wyjeździe chłopaka przycisnęłam ją jednak do muru. Prychała tylko jak kot, że wtrącam się w jej sprawy i nieustannie ją dołuję. W końcu wytknęła mi, że sama pcham się na scenę, a o niej zawsze myślę jako o brzydkim kaczątku.

— A czy ja nie mogłaby zostać aktorką? Myślisz, że musiałabym korzystać z czyjejs pomocy, żeby dostać się do szkoły teatralnej? Uważasz zapewne, że mnie by tam nawet nie zauważyli? Nie mam urody ani predyspozycji, prawda?! — wykrzykiwała, gestykulując. — Ewelina to by się nadawała. Ma odpowiednie warunki, co?

— Dominisiu! — zaczęłam jak do małego dziecka. — Ty masz kompleks Eweliny, bo wciąż przeżywasz tę zdradę Damiana? On sięgnął po Ewelinę jak po kanapkę. Nie zastanawiał się nad jej atrakcyjnością. Nasycił głód i przestał myśleć jak o jedzeniu, a nawet miał pretensje do kanapki, że mu się odbija. Sorry, kotku, za te porównania. Damian był istotą raczej nieskomplikowaną, bezrefleksyjną i nienawykłą do odmawiania sobie czegośkolwiek oraz hamowania swoich popędów, dlatego wciąż pakował się w jakieś tarapaty. Może to nieładnie mówić tak o zmarłym, ale on by zdradził nawet miss świata, gdyby akurat były sprzyjające warunki.

— Nieprawda, nie myślę wcale o Damianie! — zaprzeczyła gwałtownie. — Dla Łukasza też nie jestem pociągająca. On uciekł na całe wakacje, bo wyczuł, że ja czekam na jakiś poważniejszy gest z jego strony.

— To i tak dobrze, że czekałaś, a nie przeszłaś do ataku, bo dopiero czułabyś się fatalnie, gdyby uciekł. Stare sprawdzone metody naszych babek zalecające kobietom powściągliwość są naprawdę mądre. I nie mówię tego tylko dlatego, że jestem twoją matką. A Łukasz to mądry i wrażliwy chłopak, więc mógł się zorientować, że nie kierujesz się prawdziwym uczuciem, a testujesz tylko swoją

atrakcyjność.

— To nieprawda. Ciekawe, że używacie podobnych sformułowań. Rozmawiałaś z nim na mój temat? — zdziwiła się.

— Nie, oczywiście, że nie. Ale to tylko potwierdza, że mam rację. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Poczekaj, nie śpiesz się tak. Poznaj najpierw samą siebie.

— Jestem młoda, ale nie jestem już dzieckiem. Wkurza mnie mój dziecinny wygląd i stan, do którego wstyd się przyznać, gdy jest się już studentką. Mogłam to zrobić z Damianem, miałabym przynajmniej jedno z głowy. Ale ty mi tak nakładłaś do czaszki, że nie byłam w stanie się zapamiętać.

— Naprawdę? I całe szczęście. Widzisz, jak to dobrze słuchać mamy? — ucieszyłam się trochę za bardzo ze swojego rodzicielskiego sukcesu i wywołałam dalsze gorzkie wyrzuty.

— I to cię tak cieszy, że wychowałaś dziwadło? Stłumiłaś we mnie seksapil. Mam teraz kompleksy i fobie. A nawet jakbym się przełamała, to i tak nikt mnie nie chce. Nawet brat się śmieje, że muszę znaleźć sobie pedofila. A ty mnie jeszcze krytykujesz, jak dodam sobie trochę lat strojem i makijażem. Ludzie myślą, że chodzę do gimnazjum. Wina nie chcieli mi podać w kawiarni. Jestem aseksualna dla moich kolegów. Z Tomkiem było to samo, nawet porządnie mnie nigdy nie pocałował.

— Bo może nie był pewien, jak zareagujesz, a niewykluczone, że miał tremę. Nie pomyślałaś o tym? Ale nie przypuszczałam, córuś, że marzysz o tym, żeby każdy osobnik rodzaju męskiego rzucał się na ciebie. Dałaś się ogłupić idiotyzmowi mediów, gdzie wszystko ma się sprowadzać do tego, czy ktoś jest sexy czy nie. Czy jego tyłek jest wystarczająco wypukły, czy go trzeba trochę napompować. Są przecież w życiu ważniejsze rzeczy niż pożądanie — powiedziała trochę niepewnie, bo przypomniałam sobie swoje niedawne zmagania z własnym erotyzmem. Dominika natychmiast wychwyciła ten fałsz.

— Jasne, tak się mówi córkom, a mamusie chcą być sexy do setki. Ty też

ostatnio zaczęłaś się bardziej stroić. O, widzę, że tipsy sobie zrobiłaś i u kosmetyczki bywasz częściej. Pewnie żeby uczniom lepiej polski wchodził do głowy? — żądliła jak osa.

— Wiesz, im bardziej jesteś złośliwa, tym gorzej wyglądasz, chudniesz i biust ci się zmniejsza — odcięłam się.

— Ty to wiesz, jak człowieka podnieść na duchu. Ale ja się nie dam tak łatwo zniechęcić i spróbuję dostać się do szkoły teatralnej. Najwyżej poproszę tatę, to zafunduje mi silikonowy biust.

— Prędzej możesz się spodziewać implantów w mózgu — warknęłam. — Biust ci urośnie, jak przestaniesz się odchudzać. Z czego on ma ci się uformować? Weź się, dziecko, porządnie do pracy i studiuj pilnie malarstwo, którego nikt za ciebie nie wybierał. A tak przy okazji, mój kolega Pablo może pedofilem nie jest, ale strasznym kobieciarzem i chętnie zabrałby się za leczenie twoich kompleksów, więc trzymaj go na dystans, bo po jego kuracji mogłabyś mieć więcej problemów. Paweł już dawno osiągnął wiek dojrzały, ale jakoś do tej pory nie zdążył dojrzeć emocjonalnie. Nikomu raczej w niczym nie pomógł, a wiele pań już pewnie żałuje, że zajmował się ich karierą. Swoją zresztą też nie najszcześliwiej pokierował.

— Dobrze, już dobrze. Załóżcie mi powyżej uda bransoletkę elektroniczną, żeby śledzić, czy nie spotykam się z kimś nieodpowiednim. A najlepiej pas cnoty z gilotynką. Jak będę miała czterdziestkę, wystawię moją cnotę na Allegro, a potem się utopię, jak jej nikt nie kupi. Będziesz wtedy ze mnie całkowicie zadowolona?

Dominika zawsze była pyskata, ale teraz jej bezczelność przekraczała już granice mojej tolerancji. Miałam naprawdę ochotę się na nią obrazić i nie odzywać do smarkuli, póki się nie zorientuje że przesadziła, i nie przeprosi, ale następne jej zdanie sprawiło, iż moje myśli pełne lęku pobiegły w stronę Patryka.

— Syneczka jakoś tak nie pilnujesz. Dla facetów są oczywiście inne

standardy. Dobrze ci radzę, poobserwuj go, bo to jest z cicha pęk. Nie wydaje ci się podejrzane, że nasz leser taki pracowity i od rana do nocy haruje w warsztacie brata Michała?

— A co w tym podejrzanego? — spytałam niby obojętnie, lecz hitchcocki już zaczynały harcować w moim mózgu. — Chłopak chce sobie zarobić, żeby mieć trochę forsy, jak zacznie studiować. Obiecał przy okazji zrobić dokładny przegląd naszego samochodu. Już się przymierza do naszej corsy. Słyszałam, jak podpuszczał tatę, żeby kupił mi nowe auto. Fakt, że przydałby mu się samochód, żeby dojeżdżać na zajęcia. A ja też nie mam ochoty podczas jesiennej pluchy zasuwać rowerkiem do szkoły, bo jak znam życie, Patolek znajdzie milion powodów, dla których samochód okaże mu się niezbędny.

— Już ja widzę te jego zajęcia — sarknęła Dominika.

— Sugerujesz, że będzie wagarował, jak w szkole?

— Nic nie sugeruję, tylko radzę ci na niego uważać.

— Jak nie będzie się uczył, to go wyleją. Ma chyba świadomość tego, że do tej szkoły nie pójdę świecić za niego oczami. Zobaczysz, że kiedy wróci Ewelina, to on nabierze ochoty na studiowanie. — Próbowałam optymistycznymi wypowiedziami zaklinać rzeczywistość, ale czułam w środku pewien niepokój, który Dominika jeszcze rozniecała.

— No właśnie, żeby przyjechała, ale, jak ją znam, to nie przyjedzie. — Dominika sprytnie przerzuciła moje matczyne zainteresowanie na brata i wyszła do swojego pokoju, zamykając głośno drzwi.

Głowę miałam teraz pełną złych przeczuć. Natychmiast zapragnęłam, żeby Krzyś był tu ze mną, bym mogła z nim o wszystkim porozmawiać tak jak niegdyś, bez boczenia się, bez wzajemnego obarczania odpowiedzialnością. Dzieląca nas odległość sprawiała, że rozmijały się nasze potrzeby, nastroje, a co gorsze, także oceny rzeczywistości. Przez jakiś czas było już trochę lepiej, a teraz ostatnio znów w powietrzu wyczuwało się niedomówienia, podejrzliwość

i pretensje.

Za mało czasu poświęcam dzieciom — pomyślałam. Co z tego, że mają już dowody osobiste i mogą kupować alkohol. Właściwie to jeszcze gorzej. Stali się bardziej buńczuczni, zwłaszcza Dominika. Są tak naprawdę jeszcze dziećmi i powinnam wciąż nad nimi czuwać. Ale to właśnie teraz, gdy otrzymali do ręki certyfikat dorosłości, stało się dużo trudniejsze. Niepotrzebnie zapisywałam się na ten kurs. Głupotą także było słuchać przy alkoholu wynurzeń Pawła i w ogóle pokazywać mu moje dzieci. Sama jestem niepoważna i stąd moje problemy — biczowałam się wewnątrz.

Przechadzki z psami dobrze robią mi na nerwy i sprzyjają przemyśleniom. Wzięłam więc smycze i gwizdnęłam na berneńczyki, które ostatnio także miały prawo czuć się zaniedbywane. Psiska zachwycone w podskokach przybiegły do mnie i w podzięcie za dobroć obsłiniły mnie dokładnie i sponiewierały wielkimi łapskami. Chętnie poszłabym do lasu z dziećmi, jak to jeszcze niedawno czyniłam, ale dzieci odkąd poczuły się dorosłe, nie chcą już ze mną spacerować. Po drodze porozmawialibyśmy o ich kłopotach, udzieliłabym im wskazówek, jak mogą rozwiązać swoje problemy. Byłoby w tym trochę smrodku dydaktycznego, ale też pośmialibyśmy się i podokazywali. Zauważyłam, że tęsknię do czasów, kiedy Patryk i Dominika byli jeszcze mali. Pojęcie „niedawno” jest bardzo względne — pomyślałam. To, co dla mnie było niemalże wczoraj, dla młodych jest już prehistorią.

Co oni teraz robią, gdy ich matka samotnie włóczy się po ciemnym już niemalże lesie, ryzykując spotkanie ze stadem dzików? — zastanawiałam się, trochę użalając się nad sobą. Patryk zapewne usmarowany towotem leży pod samochodem. Wróci do domu późno, naszykuje sobie gigantyczną porcję kanapek i usiądzie z nimi przed komputerem. Posurfuje po Internecie i pogada z kimś na Skypie. A oprócz tego nakruszy wszędzie wokoło, zostawi na biurku kubek po herbacie i opakowanie po jogurcie i pójdzie spać. Dominika pewnie

zabrała się za jakąś lekturę. Ona na szczęście woli książki niż komputer i telewizję. Po rozmowie z Pablem wyciągnęła opasłe tomiska dzieł zebranych Szekspira. Marzy o roli Julii, do której predestynuje ją jej młodzieńczy wygląd. Ja też śniłam kiedyś, żeby zatańczyć Julię w balecie Sergiusza Prokofiewa, lecz wciąż obsadzano mnie w rolach chłopców. W balecie na ogół jest więcej dziewcząt, więc mama, jak długo się dało, korzystała z mojej płaskiej klatki piersiowej i strzygła mnie na zapałkę, żeby mieć jednego „chłopca” więcej. Nie zostałam lesbijką ani transwestytką z tego powodu, a jedynie zniechęciłam balet. Kiedy wybiłam się na niepodległość, zapuściłam długie włosy, które hoduję do tej pory, i uwielbiam zwiewne kobiece sukienki.

Co ja właściwie chcę od moich dzieci? Zachowują się normalnie. Dominika bywa arogancka, ale powinnam docenić jej szczerość. Zawsze była zazdrosna o brata. Nie może się przyzwyczaić, że gdy on nie stwarza większych problemów, ona nie jest nieustannie chwalona, bo przestała działać zasada kontrastu. Dominika chciałaby podświadomie, żeby Patryk znów coś przeskrobał, i dlatego jego pozytywne zachowanie wydaje jej się podejrzanе — stwierdziłam uspokojona. Mogłam wracać, wszystko sobie wyjaśniłam, cztery kilometry szybkiego marszu odniosły już swój skutek.

Było prawie zupełnie ciemno, gdy dotarłam do domu. Przechodząc przez drogę, dokładnie w miejscu, gdzie przeszło rok temu Damian wpadł na ciągnik prowadzony przez pijanego Kite, zauważyłam nieoświetlony samochód stojący na poboczu. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam auto pani Danusi, matki Damiana, ale jej samej nigdzie nie było. Przed krzyżem, który postawiła w miesiąc po śmierci syna, leżały świeże kwiaty i palił się znicz. Rozejrzałam się zaniepokojona. Może poszła do mnie? — pomyślałam, przyśpieszając kroku. Wpuściłam psy na podwórko i weszłam do domu. Usłyszałam głos Dominiki, która w swoim pokoju na górze coś głośno mówiła po angielsku. W tle słychać było także angielskie dialogi. Chyba leciał jakiś film. Nastawiłam ucha i po

chwili rozpoznałam znajomą muzykę. Domyśliłam się, że córka jest sama i ćwiczy rolę Julii w obcym języku. Puszczając sobie filmową adaptację dramatu Szekspira w reżyserii Franco Zeffirellego i powtarzała za aktorką partię Julii. No nieźle, Dominika jak zawsze ambitna, od razu planuje światową karierę — pomyślałam z rozczuleniem i rozbawieniem. Zajął się kolacją, potem sprawdziłam jeszcze kilka wypracowań i całkiem zapomniałam o pani Danusi. Lecz za kilka dni to ona przypomniała mi o sobie.

Siedziałam nad zeszytami i sprawdzałam wypracowania pierwszej klasy. Tym razem Dominika wzięła psy i pobiegła z nimi do lasu. Patola również nie było. Nagle usłyszałam głośne łomotanie do tylnych drzwi domu. Pomyślałam, że to wraca Dominika, o którą zaczęłam się już niepokoić, gdyż zapadał zmierzch. Była wprowadzić z dwoma wielkimi psami, ale z berneńczyków są bardzo wątpliwi obrońcy.

— Dlaczego wali w tylne drzwi, jak ma klucze od frontu? — mruknęłam, wstając od biurka. A może to nie Dominika? Ona nie waliłaby tak mocno. Przezorność kazała mi się zatrzymać na chwilę i pomyśleć, zanim otworzę.

Przypomniała mi się głośna swego czasu w okolicy historia pewnej staruszki, do której złodzieje dostali się tylnym wejściem, czy nawet sama ich wpuściła. Torturowali ją w okrutny sposób, żeby wyjawiała, gdzie ukrywa gotówkę. Pożałowałam nawet, że nie mam w domu jakiegóż sumki, żeby w razie czego wykupić się od tortur, i zawołałam bardzo nierozsądnie:

— Dominika, to ty?

Nikt nie odpowiedział, a kołatanie stało się jeszcze bardziej natarczywe. Cofnęłam się więc spod drzwi, żeby zadzwonić na policję. Przypomniałam sobie, że o tej porze na naszym komisariacie nie ma już nikogo, bo państwo jest za biedne na całodobową ochronę obywateli. Wołanie na pomoc kieleckiego patrolu nie miało sensu.

— Proszę odejść stąd! Policja już jest w drodze! — zaszczowałam. Wtedy

dobiegł mnie znajomy szept kobiecy:

— Pani Zalewska, nie trzeba było. Jezus Maria, niech pani otworzy! Szybko! Niech się pani nie boi, to tylko ja, Danka.

Na mojej werandzie stała zasapana i zaczerwieniona matka Damiana. Długie włosy, które na ogół spinała w kok lub nosiła związane z tyłu, spływały jej jasnobrązową falą i zakrywały pół pleców. Makijaż miała staranny, ubrana była raczej elegancko, a nawet seksownie. Żeby dostać się na tył mojego domu, musiała pewnie skorzystać z małej furteczki w końcu ogrodu. Widać było, że w pośpiechu pokonała spory kawał ugoru otaczającego naszą posesję, porośniętego ostami, łopianami, głógami i tym podobnymi chaszczami, bo jej modne buty na wysokich obcasach pokryte były warstwą szarej ziemi, a podarte rajstopy zawierały koszyczki łopianów. W ręku trzymała modną, krótką skórzaną kurtkę, chociaż wieczór był raczej chłodny.

— Skąd się pani tutaj wzięła?! — zapytałam, nic nie rozumiejąc z całej sytuacji.

— Zaraz pani wytłumaczę, ale niech mnie pani wpuści, żeby mnie mój tu nie widział w tym stanie.

Odsunęłam się, a ona, rozglądając się trwożliwie dookoła, wskoczyła do środka. Błyskawicznie ściągnęła rajstopy, wytarła nimi zakurzone buty, powiesiła swoją kurtkę na wieszaku i niezapraszana pobiegła do salonu. Usadowiwszy się na kanapie, zawołała:

— Ma pani jakieś nieumyte filiżanki, to niech pani da, żebyśmy udawały, że wypiliśmy już kawę czy herbatę.

Ponieważ stałam jak niemota, ona sama poderwała się z kanapy, wparowała do kuchni, otworzyła zmywarkę i, wyciągnąwszy dwa brudne kubki, postawiła je na ławie. Byłam w szoku.

— A niech będzie tak swojsko. W końcu, co się pani ma wysilać, przecież ja zwykła wiejska baba jestem. Siadaj pani, bo on może najpierw podglądać przez

okno. O Jezus, zasłon pani nie ma! A jak tu przyjdzie, to, błagam, niech pani powie, że my się tak dość często spotykamy i rozmawiamy o Damianie i Franusiu. Dobrze? Ja tu przyjeżdżam, bo to miejsce, co wie pani. A potem przylatuję do pani. Zagra pani przed nim? Bo inaczej on mnie zabije. A z tą policją, to tak tylko, prawda?

Potwierdziłam skinieniem głowy, że z policją to był bluff. Nie musiałam pytać, kogo się obawia, bo znałam już trochę obyczaje jej męża, ale nie wiedziałam, dlaczego mam kłamać. Nie zdążyła mi nic więcej wyjaśnić, gdyż niemal natychmiast usłyszałyśmy łomotanie, tym razem do frontowych drzwi mojego domu.

— To on! Błagam, niech pani powie, jak mówiłam — wyszeptała pobladłymi ze strachu wargami.

Co miałam robić? Otworzyłam i możliwie najnaturalniej zawołałam w kierunku salonu:

— Och, Danusiu, to twój mąż! Zasiedziałyśmy się, a pan pewnie z drogi i denerwuje się, co z żoną?

Gbur nie powiedział nawet dzień dobry, odsunął mnie bezceremonialnie i wparował do pokoju. Był niezłe wypity, gdyż z trudem utrzymywał równowagę, ale widok dwóch kubków na ławie i spokojnie siedzącej żony oraz moje słowa zrobiły na nim wrażenie.

— O, przepraszam za najście — zaczął kurtuazyjnie, ale zaraz czknął nieprzyzwoicie. — Ale moja żona... Moja żona tu jest?

— No jest, jak pan widzi. Może pan też się napije kawy albo herbaty? — grałam swoją rolę, choć głos mi się chyba trochę trząsł ze zdenerwowania.

— I dawno ona tu siedzi? — przesłuchiwał mnie, chwając się i rozsiewając dokoła woń potu, papierosów i przetrawionego alkoholu. Popatrzyłam na nią, ładną, apetyczną, zadbaną i jego, zapijaczzonego, niemilego gbura i nie mogłam pojąć, dlaczego ona to wszystko znosi.

— Już idę, Czesiu. Tak się zasiedziałam, a tu już ciemno się zrobiło. — Pani Danusia poderwała się z kanapy i uwiesiła ramienia męża. — Nie będziemy się rozsiadać. W domu zrobię ci kolację. Chodźmy już. — Pociągała go delikatnie w stronę drzwi.

W tym momencie do domu weszła Dominika. Trochę ją ta niespodziewana wizyta zdumiała. Chciała szybko wyminąć w holu rozkołysaną parę, ale ojciec Damiana chwycił ją za rękę i zapytał:

— Często moja żona tu do was przychodzi? Tylko mów prawdę.

Dominika wykazała się dużą asertywnością i inteligencją.

— A co mnie pan tu szarpie?! — krzyknęła. — Co to, przesłuchanie jakiegoś?! Żona jest wolnym człowiekiem i chodzi, gdzie chce. Pan jest nietrzeźwy! Niech pan mnie nie dotyka! — Facet stracił rezon i zaczął wycofywać się w stronę drzwi. — Mamo, dlaczego wpuściłaś tego człowieka w tym stanie? — rugnęła mnie z kolei. — Pani Danusiu, niech pani nie wraca z nim do domu. My panią przenocujemy. Damian mi opowiadał, co pani musi znosić — zwróciła się do kobiety.

— Nie wiem, co on ci tam nagadał. Pewnie po jakiejś naszej sprzeczce. Jak to w małżeństwie, czasem się kłóciliśmy. Ale w naszym domu nic złego się nie dzieje — powiedziała cicho matka Damiana. — To my już idziemy. Dziękuję za herbatkę i przepraszam za zamieszanie. My sobie wszystko w domu wyjaśnimy. A Damian przesadzał. Chodź, Czesiek, i na drugi raz nie słuchaj, jak ci ludzie głupoty opowiadają. — Ciągnęła męża coraz mocniej.

Wyszli, a my obie z Dominiką jeszcze przez chwilę patrzyłyśmy przez okno za nimi. Pani Danusia prawie niosła swego ślaniającego się na nogach męża, który wrywał jej się, pluł pod nogi, szeroko gestykułował, a nawet próbował się na nią zamachnąć. W końcu zniknęli nam z pola widzenia.

— Co to było? — zapytała Dominika.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparłam. — Pani Danusia ma jakąś

tajemnicę, ukrywa coś przed mężem. Chciała, żebym dała jej alibi.

— I dałaś?

— Pewnie. Z takim pijanym narwańcem nie ma żartów. Nie darowałabym sobie, gdybym nie potwierdziła jej słów z powodu jakichś zasad, a on by jej coś zrobił. W każdym razie, jakby co, to od pewnego czasu jesteśmy z panią Danusią przyjaciółkami. Ale ty lepiej na ten temat nic nikomu nie mów. Nie chcę cię wciągać. Dobrze, że na niego wsiadłaś.

— Myślisz, że ona jest bezpieczna?

— Nie wiem, lecz nic nie możemy zrobić, dopóki ona nie zechce się przyznać, że jest bita.

Męczyła mnie jakiś czas ta historia. Miałam nadzieję, że Nowakowa zadzwoni do mnie lub przyjdzie, by wyjaśnić sytuację, ale tak się nie stało. Kiedyś widziałam ją z daleka w Swarowicach. Odniosłam wrażenie, że ona też mnie dostrzegła i dlatego zrezygnowała z zakupów na straganie. Wsiadła śpiesznie do auta i odjechała. Nie próbowałam się z nią kontaktować z obawy, że trafię na jej Czesia i będę zmuszona dalej błąć w kłamstwa, w których wreszcie się pogubię. Z pewnym niepokojem odnotowałam jednak, że jej samochód często stoi na poboczu naszej drogi, a właścicielki w nim nie ma.

Zaczęłam mieć wątpliwości, czy nie nadużyto mojej nieuleczalnej ufności i nie zostałam w coś wciągnięta, czego nie miałam zamiaru popierać. Teraz już wiedziałam, że dbałość o upamiętniający tragedię krzyż jest tylko zasłoną dymną. Ta kobieta naprawdę przebywała w jakimś miejscu, w którym ktoś mógł docenić jej urodę i ubiór, dlatego wpadła do mnie taka wystrojona. Zachodziłam w głowę, gdzie ona znika. W najbliższej okolicy stał tylko mój dom, chałupinka staruszki Bzymkowej i gospodarstwo Kity, więc na randkę musi chodzić dość daleko piechotą lub ktoś ją z tego miejsca zabiera samochodem — dedukowałam. Druga ewentualność wydawała mi się bardziej prawdopodobna, bo podczas tej niesamowitej wizyty u mnie miała na nogach buty na wysokich obcasach,

w których trudno byłoby jej pokonać kilka kilometrów fatalnej, nierównej drogi.

Któregoś dnia kręciłam się nawet dłuższy czas koło jej volkswagena w nadziei, że może właśnie nadejdzie i uda mi się z nią porozmawiać, ale zapadł już kompletny mrok, a Nowakowa wciąż nie wracała. Z domu Kity za to wyszedł Szymek z latarką i zapytał, czy czegoś nie zgubiłam, bo od dłuższego czasu całą rodziną obserwują mnie przez okno i widzą, że krążę w tym jednym miejscu. Zawstydziałam się trochę, ale przytomnie odparłam:

— Zobaczyłam samochód pani Nowakowej i niepokoję się o nią.

— Niepotrzebnie się pani martwi. Ona niedługo wróci. Nic jej się nie stało — powiedział.

— A skąd ty wiesz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić.

— Widziałeś ją z kimś? — zapytałam, sądząc, że chłopak mógł być przypadkowym świadkiem jakichś erotycznych scen w plenerze lub w samochodzie. — Nie pytam po to, żeby roznosić plotki.

— Tak, wiem, że pani nie jest bajcarą — użył popularnego określenia plotkary. — Ale przysięgnie pani, że nikomu ani słowa? Bo mąż by panią Dankę zabił.

— To dorosła osoba. Wiesz, ludzie czasem dziwnie się zachowują, gdy nie radzą sobie z jakąś sytuacją. Cieszę się, że ty nie robisz sensacji z tego, co widziałeś. Masz rację, trzeba zachować dyskrecję. To nie nasza sprawa, chociaż chciałabym z nią porozmawiać.

— Ale co pani ma na myśli? — Szymek patrzył na mnie zdziwiony.

— A co ty widziałeś? — zapytałam kompletnie zdezorientowana.

— Jak Nowak jest za granicą, to widuję panią Dankę co dzień.

— W jakich okolicznościach? — postanowiłam wyciągnąć z niego pełne zeznanie.

— No, jak przychodzi do nas i...

— Do was?! — po prostu mnie zatkało. — Po co?

— Pomaga tacie. Tata teraz nie pije i pracuje, bo na razie zawiesili mu odbywanie kary. U nas w domu jest prawie tak jak wtedy, gdy mama żyła. Pani Danka nam sprząta, pierze, prasuje, a często i gotuje. Nawet ciasto mamy co niedzielę.

— To dlatego Paulinka prowadzi teraz takie czyste te wasze maluchy, aż się zdziwiłam. A jak pytałam, czy czegoś nie potrzebujecie, odpowiedziała króciutko „nie” i uciekła — zaczynałam kojarzyć fakty. — To cudownie! — krzyknęłam z entuzjazmem i poczułam, jak kamień spada mi z serca, a rośnie wiara w człowieka.

— A o co pani chodziło? — Szymon dalej mnie dręczył, żebym wyjawiała, co mi się zdawało.

— Nic, nic. O mały włos nie doszło do nieporozumienia. Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że może zostawiać samochód u mnie na podwórku. — Niemalże skakałam wewnątrz z radości.

Wróciłam do domu rozcwierkana, co nie umknęło Dominice. Teraz ona z kolei zaczęła indagować mnie, gdzie tak długo byłam i co wprowiło mnie w tak dobry nastrój. Z ogromnym trudem wykręciłam się od odpowiedzi, bo im mniej osób zna tajemnicę, tym lepiej. Cierpiałam srodze, nie mogąc wykorzystać w celach dydaktycznych tej pięknej i umoralniającej historii. Może kiedyś opiszę ją w swojej powieści, bo to naprawdę przykład budującej, głęboko chrześcijańskiej postawy — pomyślałam przed snem.

Byłam dumna teraz także z siebie, że nie zawahałam się przed kłamstwem w tak szlachetnej sprawie. Wyrzucałam sobie jednak łatwość, z jaką posądzałam tę kobietę o erotyczne ekscesy. Każdy sądzi według siebie — smagnęłam się po sumieniu. Nie zagłębiałam się jednak w swój cokolwiek już zapomniany kazus, tylko zaczęłam się znów martwić, jak Danusia poradzi sobie ze swoją sytuacją

rodziną. Co będzie, gdy mąż wytropi w końcu, że jego żona pomaga sprawcy śmierci ich syna? Choć Nowak został ochrzczony i jakby go zapytać o wiarę, na pewno uznałby się za wyznawcę Chrystusa, to jednak nie zna on uczucia miłosierdzia i ani jego żona, ani wróg, Kita, nie będą mogli na nie liczyć.

X. UCIECZKA

Jesienią miałam tak dużo pracy w domu i ogrodzie, że odniosłam wrażenie, iż tegoroczny wrzesień składał się najwyżej z dwóch tygodni. Dopiero co się zaczął, a już się kończy. Tydzień spędzony przez Krzysia w domu minął w zawrotnym tempie, nie mieliśmy chwili wytchnienia. Mąż się trochę ciskał, że Patryk nie angażuje się w nasze sprawy, tylko nagle dostał hopla na punkcie motoryzacji.

— W warsztacie możesz pracować w każdym terminie przez okrągły rok, a nam potrzebna jest twoja pomoc teraz! — krzyczał na syna. — Masz skopać warzywniak i koniec!

— Teraz nie mogę. Mam terminową robotę — tłumaczył Patryk. — Umówiłem się z bratem Michała, że zastąpię jego pomocnika, dlatego puścił go na urlop. Nie mogę zawieść człowieka. Mamy na kanale auto, po które facet przyjedzie aż z Gdańska, więc nie może być żadnej obsuwy.

Krzyś pomamrotał pod nosem coś o tym, że zobowiązania wobec rodziny są najważniejsze, i machnął ręką na Patykową pomoc. Ubrał się w stare dresy i gumki, wcisnął na głowę czapkę z dużym daszkiem, w której wyglądał jak kurczak Płyś z dawnej Dobranocki i poczłapał ze szpadlem do ogrodu. Ja zaś ujęta Patolkową obowiązkowością zrobiłam mu do pracy ogromną wałówkę. Podając mu ją, uśmiechnęłam się porozumiewawczo, że nic się nie stanie, jak warzywniak trochę poczeka. Jeszcze nie wszystkie jarzyny wykopałam, a mrozów się nie spodziewam. Patryk cmoknął mnie w policzek i szepnął:

— Mamo, pośpieszcie się z kupnem nowego samochodu. Ja ci ten spłcę w ratach. On mi będzie wkrótce bardzo potrzebny.

— Do Kielc kursują busy — powiedziałam z uśmiechem i odwzajemniłam całusa. — Strasznie wygodne to młode pokolenie. Tylko nie mów, że wszyscy studenci mają auta i ty wpadniesz w kompleksy, bo na to nie dam się nabrać. Na tupanie i rzucanie się na podłogę też jestem odporna — dodałam, robiąc aluzję do

zajścia z dzieciństwa, kiedy to wyklepałam Patolkowi z głowy, a dokładniej z pupy, takie terroryzowanie matki.

— Tak, pamiętam tego klapsa pod sklepem. Jeszcze do dziś mnie tyłek piecze na jego wspomnienie. Byłaś okrutną matką i stosowałaś zabronione metody wychowawcze. — Patryk pociągnął nosem, udając, że płacze.

— Ale były skuteczne. Już nigdy nie poniewierałeś się po chodnikach, gdy spodobał ci się jakiś przedmiot.

— Teraz za bicie dziecka mogłabyś stracić prawa rodzicielskie.

— A ty byłbyś oddany do pogotowia opiekuńczego, a potem może jakaś bezdzietna rodzina zechciałaby cię przygarnąć. Ciekawe, czy by cię lepiej wychowali?

— Nie, to ja już wolę tak, jak było — przyznał syn. — Czasami nawet mogłaś mi mocniej przylać, zwłaszcza po pierwszych wagarach.

— Tata chciał, ale ja miałam obiekcje, że jesteś już za duży i powinny poskutkować inne metody.

— I zastosowaliście perswazję, która obrzydziła mi kontakty z wami, ale nie zniechęciła do wagarów. — Patryk pokiwał głową. Rozmowa niby miała charakter żartobliwy, ale w gruncie rzeczy była poważna. Świadczyła bowiem o tym, że Patolek pluje sobie w brodę, iż przebumelował lata szkolne, czym bardzo ograniczył swoje życiowe możliwości.

Patryk wyszedł, a ja postanowiłam zaprząć do pracy naszą kandydatkę na Helenę Modrzejewską i Matejkę w jednej osobie. W końcu mamy równouprawnienie.

— Dominika, skosisz trawnik i wykombinuj coś na obiad! — wrzasnęłam gotowa do wyjścia do pracy. — Krzysiu, rzuć to kopanie, Patryk to kiedyś zrobi, a ty ułóż drewno pod wiatą, tak z głową, żeby się jeszcze to rozpałkowe zmieściło — komenderowałam. — Do pierwszej postaraj się skończyć, żebyś był już czysty, ogolony i ubrany, jak wrócę z pracy. Pojedziemy dziś do miasta

kupić nowy samochód.

— Dziś?! Ale dlaczego już dziś? — zapytał mąż, który wydatki zawsze lubi odkładać na dalszy termin. Ucieszyłam się, że nie ma żadnych zastrzeżeń do samej idei zakupu, więc pozostało tylko mocną postawą nie dopuścić do zwłoki.

— Nie ma sensu tego odkładać, jak już się zdecydowaliśmy.

— A zdecydowaliśmy? — zapytał niepewnie Krzyś.

— No, jak to? Już dawno! Nie ociągaj się, bo może zajść taka sytuacja, że drugi samochód okaże się nagle niezbędny i ja zostanę sama z tym zakupem. Wiesz, jak nie cierpię załatwiać poważnych spraw. Pogubię pieniądze albo jakieś kwity, zapomnę o opłatach. Ty ze swoim spokojem i pedanterią zapewniasz mi komfort psychiczny.

Krzyś był już prawie obezwładniony moją dyplomacją, ale jeszcze próbował się bronić.

— Ja nie rozumiem, dlaczego ten drugi samochód jest ci niezbędny? Czy taki młody człowiek nie może jeździć autobusami?

— Może. Jasne, że on może. Ale mając samochód, może mnie w wielu sprawach wyręczyć. Teraz na przykład zawiezie ciebie na lotnisko, bo ja będę na kursie. A zaraz potem trzeba będzie wyekspediować Dominikę do Warszawy i znów on może jechać. Wiesz, ile czasu zyskam? — perswadowałam i chciałam, żeby Krzyś kojarzył, iż mniej wizyt w Warszawie oznacza mniej okazji do spotkania Rafała.

Po południu wszyscy troje, to znaczy ja, Krzyś i Dominika, napawaliśmy się jedyną w swoim rodzaju atmosferą salonu Toyoty w Kielcach. Obsłużono nas po królewsku, jak byśmy kupowali najdroższy model, a nie zwykłą yarisę. Byłam trochę rozczarowana, że nie wrócę do domu nowym samochodem, gdyż na egzemplarz w moim wymarzonej żółtej kolorze trzeba było poczekać. Ale i tak nie odmówiliśmy sobie przyjemności uczczenia zakupu kolacyjką w knajpcie. Pierwszy raz piłam wino z moją dorosłą córką. Tacie musiała

wystarczyć radość bycia fundatorem samochodu i wina, oczywiście, oraz szklaneczka wody mineralnej do wzniesienia toastu.

Dominice w tej miłej atmosferze rozwiązał się nieco język i znów stała się bliską, serdeczną córeczką. Z tego, co mówiła, wywnioskowałam, że jest samotna i pogubiona. Straciła poczucie pewności siebie i ufność, jaką miała w stosunku do rówieśników. Krzywda wyrządzona jej przez Damiana i Ewelinę zachwiała jej psychiką. W dodatku w ostatniej klasie liceum ograniczyła kontakty z koleżankami ze szkoły, bo wszyscy chroniliśmy tajemnicę Eweliny.

Gdy na horyzoncie pojawił się Łukasz, rzuciła się wręcz na niego, by udowodnić sobie, że jest w stanie konkurować z byłą przyjaciółką. Ale zwycięstwo nie dało jej oczekiwanej satysfakcji. Odmienny stan Eweliny dawał Dominice zbyt dużą przewagę. A w dodatku Łukasz okazał się młodzieńcem rozsądnym i asertywnym. Chciał spotykać się z Dominiką, lecz nie zwariował na jej punkcie, a ona oczekiwała historii na miarę Romea i Julii. Nawiasem mówiąc, rolę Szekspirowskiej heroiny szlifuje po to, by sobie udowodnić, że scena też jest w jej zasięgu, bo Damian ją krytykował.

Nie jest jeszcze pewna, czy odważy się w przyszłym roku pójść na ten egzamin do szkoły teatralnej. Potrzebuje mocnej zachęty i liczy na nas. Przed rozpoczęciem studiów na malarstwie ma nieprzyjemną treść, a nawet rozstrój żołądka, gdy o tym pomyśli. Najchętniej by się wycofała. Uważa, że nie ma prawdziwego talentu plastycznego, a jedynie pewne zdolności. Poza tym czuje się za zwyczajna na prawdziwą artystkę, ma kompleks mało atrakcyjnej dziewczyny z prowincji, która nie ma za sobą ważnych doświadczeń.

— A o jakie doświadczenia konkretnie ci chodzi? — zagadnął Krzyś.

— No takie, które na ogół dziewczyny w moim wieku mają już za sobą. Mogę przez to mieć problem ze zrozumieniem pewnych obszarów sztuki, a także z wyrażaniem samej siebie — klepała zasłyszane gdzieś napuszone komunały, a chodziło o to, że wstydy się swego dziewictwa, które widocznie uznała za

przeterminowane.

Dobrze, że Krzyś nie słuchał jej dość uważnie i nie zareagował, bo mogliśmy zrobić w tej knajpcie niezłe przedstawienie. Ja zaś czułam, że ona się po prostu boi zetknięcia z nowym środowiskiem, a bredzenie o kompleksach wypływających z braku doświadczeń seksualnych to chyba jakiś test, badanie granic naszej rodzicielskiej tolerancji. Nie chciałam zanadto skupiać się nad nieistniejącym problemem, żeby jej nie spłoszyć. Niech się wygada, żebym wiedziała, co się dzieje w tej jej główce, tak jeszcze do niedawna mądrej.

— A tak w ogóle, to może ja posiedzę rok w domu i złożę papiery na medycynę? Co? — Dominika popatrzyła na nas wyczekująco, lecz nie doszukawszy się cienia akceptacji w naszych twarzach, kontynuowała: — Teraz postaram się o wolontariat w hospicjum, żeby się sprawdzić, czy się nadaję. Bo ja już się może do niczego nie nadaję. Tak chyba będzie najlepiej. Co sądzicie? Czemu tak zaniemówiliście? — pytała natarczywie, wpatrując się w nas szeroko otwartymi, wielkimi oczami, a głos i broda trzęsły jej się ze zdenerwowania.

Trzeba było jeszcze trochę tego wina wypić i przepracować całą traumę naszej córeczki, ale warunki nie sprzyjały. Krzyś podsumował jej szczerze wyznania jako kompletne bzdury. Był zgorszony, że chciałam zamówić drugą butelkę. On tego nie rozumie, że całkiem trzeźwy człowiek nie nadaje się do takich rozmów.

— Zawsze uważałem, że powinnaś studiować medycynę — podsumował krótko z nieukrywaną satysfakcją. — Tam miałabyś tyle nauki, że nie starczyłoby ci czasu na bezproduktywne zajmowanie się analizą własnych nastrojów. Co to, następna Wiktoria wyrosła nam w rodzinie? Jeszcze nie zaczęłaś pierwszego roku ASP, a już fiksujesz. Ja nie popieram siedzenia w domu. Sama wybrałaś, zdałaś egzamin, to studiuj, żebyś potem nie narzekała, że zmarnowałaś talent. Przekonasz się, że ci to naprawdę nie pasuje, to idź na lekarski. A o aktorstwie nawet mi nie wspominaj, bo to znów tylko przejściowa zachcianka. Chodźmy już, mam dość siedzenia w tej knajpie. Chcę trochę pomieszkać w domu, przecież

zaraz znów wyjeżdżam.

Wieczór się skończył, Krzyś wyjechał, a moje problemy z dziećmi dopiero się zaczęły. Smutna jak nieszczęście Dominika pakowała swoje rzeczy i nad każdą przeżywała rozterkę. Kiedyś taka zdecydowana i dobrze zorganizowana wzdychała teraz nad walizką.

— Wezmę tę bluzkę, bo mi w niej ładnie. Tylko że ona jest właściwie letnia. Ale na imprezę się nadaje — mówiła, wkładając śliczne, zwiewne, przezroczyste cudeńko, by za chwilę wrzucić je na dno szafy ze słowami: — A bo to ja będę tam chodzić na jakieś imprezy? Nawet gdyby mnie ktoś zaprosił, to babcia mnie nie puści. Nie ma sensu tego brać. Wszystko nie ma sensu. Po co ja tam w ogóle jadę?

Nie mogłam już tego słuchać. Patryk za to biegał po schodach w te i z powrotem i wciąż zaglądał do garażu. Był jakiś dziwnie ożywiony, wydzwaniał do kogoś, wynosił coś w torbie i sprawiał wrażenie bardzo tajemniczego. Co on tak lata jak w ukropie? Perspektywa jazdy do Warszawy chyba go nie stresuje? — zastanawiałam się. A może on coś kombinuje w związku z Ewelina, z którą kontakt znów się urwał? — pomyślałam przez moment, lecz zbyt byłam zajęta wyprawieniem Dominiki, by się nad tym zastanawiać. Postawiłam w kuchni na blacie karton tegorocznych przetworów z sadu i kazałam Patrykowi załadować je do auta.

— Wątpię, czy to się zmieści — burknął Patol.

— Jak to miałoby się nie zmieścić? Kpisz sobie ze mnie? — rozsierdziłam się.

— Oj, no dobra, najwyżej poutykam luzem, bez kartonu.

— Dominika, ile wzięłaś walizek? Zapełniłaś cały samochód swoimi ciuchami? A tak jęczałaś, że ci nic nie potrzeba. Opuszczasz nas na zawsze? Chcesz odciąć się od wiochy? — zażartowałam.

— Tak właśnie myślałam, ale w końcu wzięłam tę małą walizkę. Mam tę wiochę w sercu i będę tu jak najczęściej przyjeżdżać! — odkrzyknęła mi

z łazienki.

— To czym załadowałeś cały samochód? — zwróciłam się do Patryka i chciałam lecieć do garażu sprawdzić.

— No dobra, dobra! Mówiłem, że to wezmę. Tylko jak się potłuką to nie moja wina.

— Dawaj kluczyki i bierz te ciężary — krzyknęłam zła. — Ja ci to zapakuję.

— Oj, nie rób afery. Mam w aucie trochę rzeczy, które brat Michała pożyczył od jednego faceta z Warszawy i prosił, żeby mu oddać. Nie wypadało odmówić. Wiesz, że naprawdę dobrze mi zapłacił za ten miesiąc harówki.

Byłam wściekła i chciałam powyrzucać jakieś miliony toreb i różnych zawiniątek z mojego wciąż samochodu, ale Patryk trzymał mnie za ręce, całował i żegnał się czule, jakby to on wyjeżdżał na dłuższy czas, a nie Dominika.

— Już się nie denerwuj i nic nie ruszaj. Najważniejsze, że weszło. Wszystko będzie dobrze. I jeszcze raz proszę cię, nie denerwuj się — mówił dziwnie, ale ja nie zwróciłam na to uwagi, tak byłam pochłonięta bezpieczeństwem dżemów i soków.

— Jedź ostrożnie i zaraz, jak przyjedziecie, to...

— Tak, esemes. Trzymaj się! — Patryk zatrzasnął mi drzwiczki przed nosem.

— Dominika, nie smuć się. Każdy dzień jest piękny w twoim wieku. Będziesz omnibusem i skończysz te wszystkie studia naraz. Osiągniesz wszystko, co zechcesz, bo jesteś mądra i pracowita! — wykrzykiwałam entuzjastycznie, podskakując obok auta.

— A może ja bym w Kielcach jeszcze jakiś kierunek dla siebie znalazła? — Dominika patrzyła na mnie z nadzieją, że ją zatrzymam, ale ja, wyrodna matka, pokręciłam głową i z uśmiechem pomachałam jej ręką na pożegnanie.

Myślałam o niej potem i martwiłam się jej stanem, ale nie przyszło mi do głowy, że powinnam zacząć modlić się o powrót do rozumu mojego syna. Nic nie wyczułam, chociaż chwalę się wyjątkową intuicją. A wcześniej Dominika

nawet sugerowała mi, żebym obserwowała Patryka, bo on tak szybko Ewelinie nie odpuści. Nie wiem, jak mnie zdołał zabajerować, że nie zajrzałam, co kryją te tajemnicze torby i torebki. Moje hitchcocki też mnie zawiodły.

Czekałam na jego powrót, ale nie wracał. Dominika dotarła do babci pięć godzin temu. Droga powrotna mnie na ogół zajmuje połowę tego czasu. Jeśli nawet były jakieś korki czy wstąpił gdzieś po drodze, powinien już dawno być. Gdyby miał awarię samochodu, to przecież by zadzwonił. Dlaczego nie odbiera komórki — myślałam, spacerując po mieszkaniu, w którym wygasiałam światła, żeby było od razu widać przez okno, czy nie zajeżdża przed dom. Ale za oknem tylko wichura szarpała gałęzie i deszcz siekł szyby. Wreszcie podskoczyłam do góry na ostry dźwięk komórki.

— Mamo, wiem, że będziesz się denerwować, ale nie panikuj — zaczął idiotycznie, a ja rozdygotana natychmiast pomyślałam o wypadku. Poczułam znów te kleszcze ściskające mi klatkę piersiową i niewidzialną rękę, walącą w mostek. Nie pomyślałam nawet, że skoro go słyszę, to nie jest tak źle. Kolana mi drżały i nie mogłam skupić się na tym, co do mnie mówi.

— W jakim jesteś stanie?! Jest pomoc?

— Nic się nie stało! Słyszysz?! Jestem cały i zdrowy! — krzyczał. — Nie bądź zła na mnie, że nic wcześniej nie powiedziałem, ale byś mnie nie puściła.

— Gdzie jesteś? Wracaj zaraz. Ja sobie z tobą jutro pogadam — odgrażałam się szczęśliwa, że nie miał żadnego wypadku, a zła, że gdzieś się zasiedział i nie pomyślał nawet o moich nerwach.

— Jutro też nie czekaj. Nie wiem, kiedy wrócę.

— Co za głupoty?! Coś ty narozrabiał? Aresztowali cię? Pojutrze inauguracja!

— Posłuchaj, jestem na autostradzie, zaraz minę granicę. Jadę po Ewelinę. Sorry, że tak wszystko w konspiracji. Muszę sprawdzić, co się z nią dzieje i dlaczego nie można się z nią skontaktować. Nie dowierzam jej matce.

— A swoją wykończysz! — krzyknęłam dramatycznie. — A ja już myślałam, że spoważniałeś, wydorostałeś, a tobie tylko przybyło kilka centymetrów wzrostu i może trochę mięśni, a rozumu za grosz.

— Nie mów tak. Jesteśmy wszyscy w pewnym stopniu odpowiedzialni za Ewelinę i Franka, a was już przestało obchodzić, co się z nimi dzieje.

— Powiedziała nam, gdzie mieszka, w jakich warunkach i że jest zadowolona? Czego jeszcze oczekujesz?

— Muszę to zobaczyć na własne oczy, bo może ktoś jej kazał tak mówić. Jej ojciec twierdzi, że matka się puszcza z byle kim i Ewelinę może do tego nakłaniać.

— Facet ma żal do żony i wygaduje takie rzeczy. Ewelina jest dorosła, zaradna, zna język i na pewno nie da sobie zrobić krzywdy. Zawracaj, ty głupi donkiszocie.

— Muszę jechać, zrozum. Jeśli Ewelina zechce ze mną wracać, za trzy dni możemy być z powrotem. Najwyżej opuścimy trochę zajęć organizacyjnych. Nie martw się.

— A jak nie zechce?

— To się jeszcze zobaczy, co zrobię. A samochód spłacę ci w ratach. Będę pracował.

— Gdzie? Przecież zamierzasz studiować. Czy to już nieaktualne?

— Trzymaj się i pomódl się, żeby mi się udało — zakończył.

Zrozum, pomódl się. A co ja innego robię? Z Panem Bogiem rozmowy idą mi nieźle, ale z mężem coraz gorzej. Krzyś znów będzie miał do mnie pretensje, że dałam się omotać synkowi i wyprowadził mnie w pole, a do tego wszystkiego bez pytania zabrał samochód, który nie jest jeszcze jego własnością. Na pewno jest w tym dużo racji, ale jak tu upilnować chłopaka w tym wieku? Czy gdybym sama zawiozła Dominikę i nie dała mu samochodu, zrezygnowałby z tej wyprawy? Wątpię. Pewnie jechałby pociągami, autobusami albo, co nie daj

Boże, stopem. Dopiero bym się zamartwiała. Ale z drugiej strony, gdybym poświęciła mu więcej czasu i uwagi, może powiedziałby mi, co planuje, i mogłabym spróbować mu to wyperswadować.

Tej nocy nie miałam już szans na sen. Serce biło nierówno, oddychanie wydawało się mało skuteczne i zaczynało mnie mdlić. Znałam już te objawy. Gdyby Krzyś był ze mną — pomyślałam i poczułam się strasznie samotna i nieszczęśliwa. Pogoda za oknem odzwierciedlała stan mojej duszy, a zachodni wiatr i niskie ciśnienie stanowiły zagrożenie dla mojego serca. No tak, zapowiadali rozległy niż z centrum nad Niemcami — przypomniałam sobie prognozę pogody. Wyjątkowo niekorzystny dla mnie układ atmosferyczny. Ale i dla jadącego nocą Patryka ta pogoda była także fatalna. Wyobraziłam sobie, jak on czuje się teraz samotny w małym, starym autku na wielopasmowej autostradzie, w obcym kraju i wśród obcych ludzi.

Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność, po północy bowiem w ramach oszczędności w całej gminie wygaszano latarnie przy drogach. W okolicznych domach najwyraźniej wszyscy spali, gdyż nie świeciło się w ani jednym oknie. Chmury wisiały tak nisko, że zakryły wierzchołek Łysej Góry i nie docierało do mnie nawet czerwone światełko z wieży radiowo-telewizyjnej. Morze mroku i sztormowa pogoda — pomyślałam. Jestem w mojej arce bezpieczna, lecz bardzo nieszczęśliwa.

W tym momencie na blacie kuchennym znów błysnęła komórka i rozległ się wesoły, głośny sygnał. Zawrócił! — radosna myśl zatrzepotała sercem. Ale to dzwoniła Dominika.

— Mamuś, jak się czujesz?

— Czemu nie śpisz o tej porze? Wiedziałaś, co on knuje?

— Przysięgam, że nic mi nie mówił. Wysłał mi teraz dopiero esemesa, więc pomyślałam, że tobie też. Ale nic ci nie jest? Jak serce?

— Chyba dobrze — skłamałam.

— Nie lekceważ żadnych oznak. To głupi dupek, wie, że jesteś sama i już raz przez niego wylądowałaś w szpitalu.

— Dzwonił do mnie i rozmawialiśmy. On się boi, że matka mogła Ewelinę wpakować w jakąś podejrzaną sytuację. Ojciec Eweliny mu nagadał, że jego żona to osoba zdolna do wszystkiego, a Patolek pewnie po mnie ma wrodzone hitchcocki, więc sobie domalował jakąś historyjkę. Łatwiej mu widocznie uwierzyć, że Ewelina została zniewolona, niż że dobrze się urządziła i on nie jest jej do niczego potrzebny.

— A widzisz, teraz sama przyznajesz mi rację, że Ewelina jest wredna.

— Nie mam zamiaru jej oceniać. Dużo przeżyła w tak młodym wieku. Mam za mało danych, żeby wypowiadać się o jej wyborach. Mnie interesuje najbardziej, co z tego wszystkiego wyniknie dla Patryka.

— A nic. Przejedzie się i wróci z podkulonym ogonem. Nie martw się, da sobie radę. Jest dobrym kierowcą, na pewno starannie przygotował się do drogi. To nie wyprawa przez pustynię.

— Ale zajęcia opuści i już się będą za nim wlekle zaległości. Zaczyna jak w szkole, a to nic dobrego nie wróży. On sam nie przysiadzie i nie nadrobi zaległości.

— No wiem. Teraz, jak Eweliny nie będzie, to już zniknie jego jedyna motywacja. Nie chcę cię martwić, ale czarno widzę to jego studiowanie.

— Już mnie dzisiaj bardziej zmartwić nie sposób. Śpij, dziecko, miło, że zadzwoniłaś. Dobrze mi ta rozmowa zrobiła.

— A jednak masz jakieś dolegliwości? Zadzwoń po pogotowie. Albo przynajmniej do taty.

— Bez przesady. Jak każdy, kto poczuje ucisk w klatce, chciałby wzywać karetkę, to wiesz, co by było? A tata nie wiadomo, czy śpi, czy ma jakąś akcję w szpitalu i kogoś naprawdę chorego ratuje.

— Ciekawe, czy Patol wysłał do taty esemesa, czy zadzwonił, jak do ciebie.

— Myślę, że ani jedno, ani drugie.

— To ja do niego zadzwonię i mu nagadam, żeby nie zrzucił tego na ciebie, tylko sam się tacie wytłumaczył.

— Cenna inicjatywa, ale dziś daj już spokój. Babcia śpi?

— Tak. Jeszcze nic nie wie. Dobra, ja też się kładę. A ty na pewno...

— Na pewno jest ze mną okej. Całuję cię mocno.

Ta rozmowa była naprawdę lepsza niż wszystkie lekarstwa świata. Miły świergoczący głosik mojej córki rozerwał żelazne kleszcze, ściskające mi serce. Moja kochana dziewczynka myślała o mnie, o bracie i ojcu. Nie jestem jednak samotna, chociaż sama w dużym, pustym, domu. Po co nam właściwie taki duży dom, skoro dzieci już w zasadzie wyfrunęły. Wszystko zawsze osiągam za późno. Teraz tylko trzeba się nauwijać, żeby posprzątać te wszystkie pokoje, łazienki i hole. I znów będę musiała do wiosny palić w centralnym, bo zimno się zrobiło — marudziłam w myślach, kładąc się do łóżka, co było oznaką dochodzenia do siebie. Dominika ma rację, nie ma powodu do paniki i rozpacz. Patryk jest dorosły, inteligentny i na pewno z boską pomocą da sobie radę. Okręciłam się kołdrą, wzięłam różaniec do ręki i zaczęłam prosić o tę Bożą opiekę. Tylko tyle mogłam teraz dla niego zrobić.

XI. ODROBINA PERWERSJI

Jestem jednak mało odporna psychicznie. Zawaliłam kurs. Powinnam bardzo wcześniej rano biec do autobusu. Ledwie się rozwidniło, spojrzałam na zegar i zostałam w łóżku. Nie spałam, ale wstać mi się też nie chciało. Po prostu nic mi się nie chciało. Dobrze, że to sobota i nie trzeba iść do pracy. Do poniedziałku coś się wyjaśni. Może Patryk będzie już w drodze do domu. Teraz najlepiej byłoby przespać ten weekend. Ale sen nie miał już zamiaru przyjść do mnie, gdy światło dzienne zadziało na przysadkę. Mózg pracowicie produkował tysiące myśli lub tylko ich fragmenty, które tłukły się bezładnie w mojej głowie jak ślepe nietoperze pozbawione narządu nawigacji.

Zwlekłam się z łóżka, machnęłam parę razy ramionami, chcąc się zmusić do porannej gimnastyki. Ruch jest dobry na wszystko — powiedziałam do przeciągającego się kota i podobnie jak on klapnęłam na kanapie. Przejrzałam komórkę i znalazłam w niej trzy identyczne, lakoniczne komunikaty od Patryka: „Jest OK”.

Jakie mam dobre dziecko, ucieka z domu w przeddzień inauguracji roku akademickiego, bezczelnie zabiera sobie mój samochód, a teraz myśli, żeby mamusia się nie denerwowała. Wkurzyłam się i to mnie trochę ożywiło. Poczulałam potrzebę pogadania z kimś bliskim, lecz wolałam, żeby to nie był Krzysztof ani tym bardziej moja mama. Zadzwoiłam do Grażyny.

— Cześć. Co słyhać? — zaczęłam.

— Siedzę w domu i mam doła — odpowiedziała.

— To zupełnie jak ja — prawie się ucieszyłam.

— A nie powinnaś dzisiaj być na kursie? — zapytała przytomnie.

— Powinnam, ale mam doła — powtórzyłam za nią jak echo.

— Ja bym chętnie wyrwała się na jakiś kurs czy w ogóle gdzieś do ludzi, ale

czuję się okropnie i wyglądam jeszcze gorzej.

— Z tym wyglądem nie za bardzo wierzę. Może przyjeźdź do mnie, podołujemy się przy czymś mocniejszym.

— Nie mogę mieszać z lekami. A poza tym nie mam się w co ubrać i wolę nie wsiadać za kierownicę, bo tak mnie nerw telepie, że mogłabym jeszcze kogoś zabić, gdyby na przykład zajechał mi drogę.

— Ojej! — przestraszyłam się. — Z tym ubraniem to oczywiście żart, ale reszta mnie niepokoi. Co z tobą?

— Zaaplikowano mi ostrą stymulację hormonalną i gwałtownie utylam albo tylko napęczniałam od nadmiaru wody. A humory mam takie, że jak już będę gotowa na poczęcie, to Jacek na pewno nie odważy się nawet podejść do takiej zołzy, a co dopiero się z nią kochać.

— O Jacka jestem spokojna, ale ciebie mi żal. Mam nadzieję, że twoje poświęcenie zaowocuje.

— Ja mam wciąż skrajnie różne odczucia, czy to ma sens. Uszczęśliwię Jacka tym dzieckiem, a siebie doprowadzę do ruiny. Dziecko będzie miało starą, schorowaną matkę. Będę się babrać w mleku i pieluchach, a mąż nagle odkryje, że jestem stara, nieatrakcyjna i nudna, więc ucieknie do młodszej. Wszystko należy robić w odpowiednim czasie. Ty urodziłaś w młodości i masz już te rzeczy z głowy. Figura szybko wróciła do normy, skóra też. W dodatku możesz teraz rozwijać swoje pasje. Nawet na scenie cię niedługo zobaczymy piękną i triumfującą. A gdybyś tak musiała teraz po kilka razy w nocy wstawać do dziecka i nie dosypiać, to chciałoby ci się grać młodą panią Niusię, a w ogóle cokolwiek? Miałabyś wory pod oczami i uczucie, że dźwigasz worek ziemniaków na plecach.

— Z tą sceną to kpisz sobie. Ale poza tym ze mną jest dokładnie tak, jak mówisz. Właśnie przez dziecko nie spałam tej nocy. Mam wory pod oczami i olałam kurs, za który słono płacę, bo nie mam na nic siły.

— A co się stało?! — Grażka szczerze się zaniepokoiła.

— Mam nadzieję, że nic się jeszcze nie stało, ale wyczyny Patryka doprowadzają mnie do rozpacz. — I rozwinęłam temat.

— Wiesz, ja chyba przerwę to leczenie. Poczęcie jest trudne, rodzenie jeszcze gorsze, a wychowanie to katorgia. Po co się dobrowolnie pakować w coś takiego? — powiedziała Grażka po wysłuchaniu wszystkiego. — Mogę się nastawić na dwa, trzy lata trudów i wyrzeczeń, ale nie dwadzieścia.

— Nie przesadzaj. Macierzyństwo przynosi więcej radości niż zgryzot — zreflektowałam się poniewczasie. — Jestem głupią, że zadzwoniłam pobiadolić właśnie do ciebie. Zobaczysz, będziesz szczęśliwą i piękną mamusią. Wszystko minie i będziesz się czuć cudownie spełniona. A Jacka możesz być pewna.

— Wiem. Ja też naprawdę chcę mieć własne dziecko. Lubię tylko, żeby ktoś się nade mną pouzalał. Jacek rozkręca firmę i nie ma czasu wysłuchiwać moich utyskiwań. Gdyby pozwolił mi w tym uczestniczyć, zajęłabym się, wciągnęła i nie myślała tylko o własnym samopoczuciu. Ale dobrze, że chociaż mogłam ci się wyzalić.

— Jasne. Rozumiem. Zadzwoniłam, bo miałam taką samą potrzebę.

— A ty Patrykiem nie przejmuj — Grażka zmieniła ton. — To fajny chłopak i da sobie radę. A swoją drogą, jakie to romantyczne. Ja na miejscu tej dziewczyny wróciłabym z nim natychmiast.

— Ale ona na szczęście jest twardą realistką.

— Czy mi się zdaje, czy wolałabyś, żeby tam została?

— Jeśli ani jej, ani dziecku nie dzieje się krzywda, to szczerze mówiąc, tak.

— A jeśli to złamie Patrykowi serce?

— Serca się zrastają. Wiem to po sobie.

Serca się zblźniają, a potem potrafią znów krwawić — pomyślałam. Najgorzej jednak czują się serca matek zatroskanych o los niesfornych dzieci. Moje biło jak ranny ptak. To zwalniało, to przyspieszało i jakby zawisało

w нефизјологічної позыці. Нібы ніч страшнаго зе мна́ сія не діяло, лещ почыце дыскомфору не даło мнн normally взяць сія за домową роботę і в тен спосіб прыгониць непокój. Лекн можа зліквідоваўбы ўціск в клатце, але мам по ннх страшне бóле гóлы, внеч не хчяь нн браць. Крзысь залека мн в такіх прыпадках алкохол в маўлых іло́сцнх, ктóry розшыра нaczynнн крвнно́сне і ўспокaja. Взнєłam затем лампечкє коннaku і по́лозыłam сія з часопнsmамн. Гднєсь так в порзе обнadowej прысьдєл кóлєjnн esemes: „Jestem juź straszne zmęczone. Teraz idę spać. Jutro spróbuję ją odszukać”. То была цenna інформacja, ктóra натыхчмнast замкнєла мн очы і спrowadзла на мннє, запевне wraz з конннaczкнєм, cudownн, regenerujący sen.

Kiedy otworzyłam oczy, за окнем пановаў пółmrok. Zastanawnєłam сія, czy то juź wczesny, niedzielny poranek, czy wcnєaż jeszcze sobota. Poczulan сія bardzo głodna, ale на дворзе ўслышалам гóлśny brzęк pustych psich misek. То Eros і Psyche даваў мн наганę. Jak mogłam zaniedbać wobec ннх моje obowiązкн? Co one winne temu, że мам chandrę? — pomysłałam і zerwałaм сія з wyrzutамн sumnennn z łóźka. Byłam rozgrzana і trochę spocona, wнеч nнzбыt mądrze byloby так wychodznć. Futrzакн jeszcze trochę poczekaјą — postanownєłam і zrzucnєłam з себе pнzame, aby wznєać przysznć і ubrać сія normally в swój domowy dresik.

Nie zdążyłam jeszcze odkręcnć wody, а dobiegło мннє żalśne miauczenie. Koty podobno в ramach ewolucнн nabyły umnєjętność wydawannn dźwnęków, на ктóre reaguje ucho і serce kobiety, бо nнmнtuјą płacz nнemowlęcнa. Mam pewnнє nнє całkнєм zaspokojony nнstнnkt macnєrzyńskн, gdyź bez wahannn zawrócnєłam з łaznєnkn і narzucnєwszy на голе cнało jedynнє szlafrok, pobiegłam на podwórkо ўcнszыć моje głodomory. На pнєrwszy ognєń poszły koty, ктóre в podzнєcє poocnєrały сія о моje голе łыdkн. Bardzo mнє uczucie і warto było nawet ryzykować przezнєbnєnнє. Potem nabrałam pełne mнchy suchej karmн і wybnєgłam з werandy do nнєcierplнwє przebnєraјących łapамн bernєńcyków.

W pierwszym momencie oba rzuciły się na jedzenie. Spostrzegłszy jednak, że ja zamarłam na trawniku w bezruchu i wpatruję się w Łysą Górę niezwykle malowniczo wyglądającą w czepcu z chmur, porzuciły karmę i przywarły do mnie, przepychając się nawzajem, aby dostać jak najwięcej głasków i mojej uwagi. Góra parowała po niedawnym deszczu, a resztki zachodzącego słońca poróżowiły i pozłociły tę unoszącą się nad nią mgłę. Nie wiem dlaczego, poczułam się prawie euforycznie, choć kilka godzin temu gotowa byłam utopić się w studni albo „się pochlastać”, jak to mówią moi uczniowie. Zimne powietrze orzeźwiło mnie doskonale, serce przestało fiksować, a widok zachwycał. U moich nóg kłębiły się dwie kochające istoty, które mimo głodu przedkładały moje towarzystwo nad pełną michę. To jest prawdziwe uczucie. Lepiej hodować psy, niż użerać się z dziećmi — skonstatowałam i zaraz pomyślałam o Grażynie, której niedawno wmawiałam coś zupełnie innego. Pochyliłam się nad czarnymi wielkimi łbami, zanurzyłam dłonie w mokre jeszcze od wczorajszego deszczu futra i poczułam, że łzy same lecą mi po policzkach. Zdziwiłam się tą swoją histeryczną reakcją. Ciekawe, czy tak manifestuje się niepokój o potomka, niedostatek seksu, czy też jest to już klimakterium? — rozważałam.

Berneńczyki zawsze gotowe do adoracji popatrzyły mi w oczy i widocznie wyczuły, że mogą sobie pozwolić na całkowite ujawnienie swoich gorących uczuć. Pierwsza gwałtownie podskoczyła szalona Psyche. Udało jej się całkowicie mnie zaskoczyć. Straciłam równowagę na śliskim podłożu i klapnęłam na zimny, mokry trawnik. Eros zrobił kilka ewolucji w powietrzu i przywarował na rozpostartym polu mojego kremowego szlafroka, liżąc mnie po twarzy. Zazdrosna Psyche zawarczała na niego i z impetem wpakowała się na nas, próbując odseparować go ode mnie. Zazdrość to jednak bardzo pierwotne uczucie, jeśli znają ją tak dobrze zwierzęta. Olbrzymie łapy Psyche i Erosa niebezpiecznie śmigają mi nad głową, uzbrojone w bielutkie zębiska mordy warczały, poszczekiwały i kłapały na siebie ostrzegawczo, różowe jęzory

chlastały śliną na oślep. Nie mogłam się podnieść, bo oba psiska, ważące już w sumie około stu kilogramów, walczyły w stylu wolnym o moją miłość i bliskość, przewalając się po mnie i moim milutkim, jaśniutkim, polarowym szlafroku. Nie było innego wyjścia, z trudem wysunęłam ręce z obszernych rękawów i naga jak święty turecki, a właściwie przyobleczona nieco w błoto i kępy powyrywanej trawy poderwałam się, by skryć się w domu.

— Poszły, sukinsyny! Do budy! — usłyszałam i zdreptałam. Mietek ubrany w polowe moro już przesadził płot i doskoczył do szalejących ze szlafrokiem psów. Kopnął jednego z nich, więc oba ze skowytami uciekły do swojej zagrody. Od tego kopniaka mnie zabolęło serce, lecz, nie oglądając się na nic, podbiegłam do tylnych drzwi domu i skryłam się za nie. Usłyszawszy jednak znów przeraźliwy skowyt mojego psa, wychyliłam tylko głowę i krzyknęłam:

— Niech je pan zostawi w spokoju! To tylko zabawa!

Nie zastanowiłam się nawet, jakie skojarzenia może wywołać w tej sytuacji słowo „zabawa” z moim negliżem i tym kotłowaniem się na trawniku. Ale Mietek na szczęście nie miał żadnych kudłatych myśli. Sądził, że zostałam zaatakowana przez własne psy. On jako strażak był w każdej sytuacji gotowy do niesienia pomocy, więc nie bacząc na niebezpieczeństwo, wkroczył do akcji. Teraz zaś, stojąc z drugiej strony drzwi, pytał:

— Jest pani ranna?! Wołać pogotowie? Ładna mi zabawa. Psu i babie się nie wierzy. O, przepraszam panią.

Schwyciłam robocze ubranie męża, które wisiało przy drzwiach, i naciągnęłam na ubłocone ciało. Nie miałam jednak odwagi wyjść do mojego samozwańczego wybawcy i wytłumaczyć nieporozumienia. Było mi głupio, że facet widział mnie nagą. Kiedy jednak usłyszałam, że Mietek nadal ponieważ moje pupile i jeszcze gada z kimś innym, zaciekawiona wyjrzałam na werandę.

— Panie Mietku, proszę zostawić psy w spokoju — powiedziałam zdecydowanie. — One mnie nie zaatakowały. One nikogo nie atakują,

w przeciwnym wypadku nie wyszedłby pan cało z konfrontacji z nimi.

— Ja? Ja? — zaperzył się Mietek. — Trzeba tylko...

— Niech mi pan nie mówi, co by pan zrobił, bo stracę sympatię dla pana. Widzi pan, jak potulnie siedzą w budach.

— Halo! Czy już można wejść? — usłyszałam znajomy głos dochodzący z drugiej strony domu.

— Zara, panie, bo tu pani nie za bardzo tego... ubrana — odkrzyknął Mietek.

— Kto to? — Spojrzałam pytająco na Mietka. Byłam pewna, że znam ten głos, ale nie mogłam skojarzyć z nikim ze wsi.

— Gościa pani przyprowadziłem. Jakiś facet, taki elegancki, rozpytywał o panią. A my, jak raz, właśnie skończyliśmy ciąć drzewo, co po wichurze zatarasowało drogę, więc myślę sobie, pokażę człowiekowi, bo tu numery domów różnie idą, więc znaleźć trudno.

— Joanno! Co się dzieje? Mogę wejść? — dopytywał gość, stojąc za ogrodzeniem.

Teraz dopiero poznałam. To był Paweł Korsuń. Ale co on tu, na miłość boską, robi? — pomyślałam przerażona. Choć nigdy nie był mężczyzną, na którego widok falowała mi pierś, to jednak nie chciałam, aby widział mnie w takim stanie. Nie chciałam, żeby ktokolwiek widział mnie w tym stanie. Błyskawiczne przypudrowanie nosa i przyczesanie włosów nie wchodziło w grę, gdyż trzeba było najpierw zeszkrobać z siebie kilogramy błota, a mój nieoczekiwany gość stał za płotem i skrzeczał niecierpliwie, żeby go wpuścić do domu. Dom też był w opłakanym stanie po chaotycznym pakowaniu się Patryka i Dominiki oraz moim własnym chwilowym niżu psychicznym.

— To ja wyjdę, jak wszłem, żeby nie brudzić w domu. A pani niech otworzy temu panu od frontu — dyrygował mną Mietek. — I niech się doktor za nie weźmie, bo pies i baba powinny znać mores.

Już nie przeprosił za swe seksistowskie poglądy, tylko znów sprawnie przesadził ogrodzenie. Zagadał coś jeszcze do oczekującego po drugiej stronie przybysza i odszedł w stronę drogi do przerwanej roboty. Paweł zaś zaczął dzwonić do drzwi, jakby się paliło. Machnęłam ręką na mój oplakany wygląd i przebiegłam przez dom, aby go wpuścić, zostawiając wszędzie brudne ślady.

— Ale to była super scena! Sam bym lepiej tego nie wyreżyserował — pochwalił Pablo. — Fajnie się zabawiasz. — Uśmiechał się perwersyjnie.

— Uspokój się. Pośliznęłam się, a to młode, rozbrykane psy. Co cię tak bez uprzedzenia sprowadza w moje progi? — spytałam niezbyt uprzejmie.

— Troska, ciekawość, kaprys. Wybieraj, co chcesz. No i intuicja mnie nie zawiodła. Żałuję, że nie miałem kamery przy sobie. Ale ty jesteś pewna, że z ich strony to nie był atak?

— Więc też uważasz, że one mnie napadły? To dlaczego nie znalazłeś się wraz z dzielnym strażakiem po drugiej stronie ogrodzenia, tylko żałujesz, że nie miałeś kamery? Psy rozszarpałyby mnie na strzępy, a ty byś to filmował?!

— Facet był jak Spiderman. Nie potrzebował mojej pomocy. Zanim ja bym pokonał to ogrodzenie, to... A poza tym mam złe wspomnienia z dzieciństwa. Ugryzł mnie pekińczyk ciotki.

— Och, rozumiem. Bałeś się. To oczywiste, takich bestii można się przestraszyć — ironizowałam.

— Ale facet mi zaimponował. Patrzyłem, jak bez wahania wkracza do akcji i ze zdecydowaniem...

— Tak, zdecydowanie skopał mi mojego kochanego Erosa za niewinność. Jak ja teraz odbuduję w tym wrażliwym piaseczku zaufanie do ludzi? Może pomogę ci przezwyciężyć twoją fobię, a ty pokażesz moim psom, że nie każdy obcy to brutal? Pozwolisz im się polizać, dobrze? — kpiłam sobie, widząc przerażoną minę Pabla. — Pójdziemy na podwórko, póki jeszcze nie zmyłam błota, i pogłaszczesz Erosa i Psyche. Jednej i drugiej stronie to dobrze zrobi.

— Żartujesz sobie ze mnie? Jak chcesz, żebym sobie poszedł, nie musisz mnie straszyć psami. Zaraz znikam, samochód mam przy głównej drodze. — Paweł obruszył się i już miał zamiar odejść spod drzwi, ale mnie się jakoś głupio zrobiło, że tak go potraktowałam. Gość to gość, chociaż nie w porę, jednak jakieś zasady obowiązują — pomyślałam i powiedziałam: — Dobra, już nie będę się wyzłośliwiać. Wejdz, rozgość się i poczekaj chwilkę, aż się doprowadzę do porządku.

— Mogę ci zaoferować umycie pleców pod prysznicem — Pawełek wyraźnie odzyskał rezon.

— Uspokój się, bo zaproszę pieski, żeby cię popilnowały — postraszyłam z uśmiechem i zamknęłam się w łazience. — Włącz sobie telewizor albo muzykę, bo to trochę potrwa. Możesz też zrobić sobie drinka. Coś tam chyba znajdziesz w barku — wrzeszczałam przez zamknięte drzwi, ściągając brudne ubranie.

Przelotnie zerknęłam w lustro i się przeraziłam. Na rozpuszczonych włosach wisały mi sople błota. Twarz miałam umorusaną, szyję podrapaną do krwi, a plecy i dalej, to już lepiej nie mówić. Muszę oduczyć moje psy tej żywiołowej radości, bo w końcu zrobią komuś krzywdę. Teraz jesienią, kiedy często ziemia jest mokra i śliska, każde wyjście do nich zaczyna być ryzykowne. One skaczą, nie zdając sobie sprawy z własnego ciężaru. Nie sposób stale chodzić po podwórku w kombinezonie ochronnym. Od jutra zaczynamy ćwiczenia na opanowanie. Postanowienie w kwestii berneńczyków przyszło mi łatwo, ale nie miałam pojęcia, co mam robić z nieproszonym gościem.

Z lubością oblewałam przemarznięte ciało strumieniem gorącej wody, gdy z pokoju dobiegły mnie dźwięki koncertu Diany Krall, której muzykę bardzo oboje z Krzysiem lubimy. Pawełek dobrze się u mnie czuje, skoro znalazł w regale płytę i uruchomił wideo — zauważyłam. Ciekawe, czy pije whisky, czy raczej koniak? Że w ogóle coś pije, nie miałam wątpliwości. Mnie też przyda się coś na rozgrzewkę — pomyślałam. Nie obawiałam się ze strony Pawła żadnych

zalotów, więc nie zastanawiałam się, jak może on odebrać moje takie czy inne zachowanie. Naciągnęłam czarne legginsy i obszerny sweter Krzysia, bo to było pod ręką. Nie robiłam żadnego makijażu, tylko usta pociągnęłam lekko błyszcznikiem i, żeby nie przedłużyć, weszłam do salonu z mokrymi włosami zawiniętymi w ręcznikowy wysoki turban.

Paweł siedział rozparty w fotelu i sączył, jak mi się zdawało, szkocką whisky bez żadnych dodatków.

— Miło tu u ciebie, pominąwszy te bestie oczywiście — powiedział rozanielony trunkiem.

— Czasami miło, a czasami mniej. Ale i tak bilans w stosunku do dużych miast wypada na plus. A co, chciałbyś może pokosztować życia na wsi? — zagadnęłam, żeby znów nie powtórzyć pytania o cel wizyty.

— Wiesz, że coś takiego chodzi mi po głowie.

— No, ale chyba gdzieś pod Warszawą? Dojeżdżać dwieście kilometrów do pracy to lekka przesada.

— Nie pracuję przecież na etacie — zachnął się Paweł. — Chciałbym mieć taką dyskretną norkę, do której mógłbym uciekać przed wszystkimi.

— Paparazzi za tobą chyba nie biegają?

— Paparazzi nie, ale kilka pań, które wciąż mi wypominają grzechy młodości, a właściwie bardziej zachęcają do kontynuacji tych grzechów.

— A ty ślubowałaś czystość i chcesz się skryć przed uciechami tego świata w cieniu Świętego Krzyża? — nabijałam się z najpoważniejszą w świecie miną.

— Może bardziej nie mam ochoty na odgrzewane potrawy.

— Aha, czyli ten adres będą znały tylko nowe sztuki?

— Ten adres będzie zastrzeżony tylko dla sztuki. Tu bym wypoczywał i obmyślał kolejne projekty.

— Dlaczego tu? Bardziej trendy jest udać się na przykład na Mazury.

— Dlatego tu nikt mnie nie będzie szukał. Poza tym dobrze jest mieć jednak kogoś zaufanego w pobliżu, a ty się świetnie do tej roli nadajesz.

— Mam rozumieć, że dostałam posadę stróża? Może psy stróżujące by starczyły?

— Oj, czemu tak trywialnie? Opiekun świątyni sztuki brzmi lepiej i dokładniej określa zadania.

— A mogę nie przyjąć tej nominacji?

— O córkę się nie martw, obiecuję jej nie podrywać. Jest naprawdę dla mnie za młoda. Ja potrzebuję już nie tylko seksu, ale także rozmowy. Jak cię zobaczyłem pomykającą przez podwórko, w tej sielskiej scenerii, to mówię ci, że ... — Zrobił minę, jakby doznał bólu jąder, wykonał kilka dziwacznych gestów i kontynuował: — Uświadomiłem sobie, że ja wcale nie potrzebuję co tydzień innej siksy, która nie odróżnia Erwina Axera od łyżwiarskiego axla. Kobiety w moim wieku też bywają piękne.

— Słuchaj, spróbujmy zapomnieć o tej scenie. Wytnij ją po prostu z pamięci, żeby łatwiej było nam rozmawiać, i skup się na meritum sprawy. W jakim celu pofatygowałeś się do mnie? — musiałam jednak znów wrócić do tego pytania.

— Byłem zaniepokojony twoją nieobecnością na zajęciach — powiedział, mrużąc oczy.

Pokręciłam głową, dając mu do zrozumienia, że nie kupuję tego kłamstewka, zatem wyznał otwarcie:

— Nie chciało mi się wracać do Warszawy, bo jutro znowu wykładam. Nie przepadam za pokojami hotelowymi, więc spisałem twój adres ze zgłoszenia i postanowiłem po wykładzie tak sobie pozwiedzać Góry Świętokrzyskie, a przy okazji sprawdzić, co z tobą. Wyruszyłem bez określonych zamiarów, ale powłóczyłem się po okolicy i zaświtała mi w głowie właśnie myśl, z której ci się przed chwilą zwierzyłem, czyli może by tak kupić tu jakąś chatkę. A wracając do kilku uroczych kadrów, które niestety uchwyciło tylko moje nieuzbrojone oko,

to wycięcie ich z mojej pamięci nie jest już możliwe. — Paweł uniósł się nieco z fotela i schwycił moją dłoń. — Masz strasznie zimne ręce. Chodź, rozgrzeję cię. — Pociągnął mnie w swoją stronę, ale się wyrwałam. Mój ręcznikowy turban rozsunał się i mokre włosy opadły na plecy.

— Uroczą nimfa — szepnął Pablo, zmrużywszy oczy, i podążył w moją stronę.

Okrążyłam ławę, żeby uniknąć kontaktu z nim i stanęłam obok kominka.

— Paweł, zmień płytę. Nie jestem materiałem na podryw. Albo się uspokoisz i spędzimy miły, przyjacielski wieczór, albo poszczuję cię psami. Zrozumiano? — powiedziałam możliwie najbardziej ostrym tonem. Paweł zrobił jakąś minę przedrzeźniającą moje nastroszenie, lecz nie zwracałam na to uwagi, tylko rzeczowo kontynuowałam: — Wieczory są już bardzo zimne, dobrze byłoby rozpalić ogień. Mam nadzieję, że sobie z tym poradzisz, a ja przygotuję coś na ząb. Potem pomyślimy o noclegu.

— Proponując mi alkohol, sama przesądziłaś sprawę. Nie mogę już nigdzie jeździć — uśmiechnął się uradowany.

— Oczywiście, nie ma problemu, jest gdzie spać.

— Jesteś bardzo konkretna i to mi się podoba.

— Ale, żeby nie było nieporozumień, ja cię nie zapraszam do swojego łóżka i od razu wybij sobie takie rzeczy z głowy. Prawie po sąsiedzku mamy agroturystykę. O tej porze roku na pewno wszystkie pokoje będą wolne. Nie będę piła do kolacji wina, to zajmę się twoim samochodem. Lepiej nie zostawiać go na noc przy głównej drodze.

— Jesteś przerażająco konkretna i zimna jak lód. Wypij trochę wina, to cię rozluźni. Mamy takie cudowne warunki, cała noc przed nami. Zostaw to jedzenie. Ja to w ogóle nie potrzebuję jeść. Ogień, jeśli chcesz, mogę rozpalić, chociaż nigdy tego nie robiłem. Nie uciekaj przede mną jak dzierlatka. — Chciał znów podejść do mnie, lecz zaczepił nogą o naszą „czarcia skórkę” i omal nie

upadł. Wylał trochę whisky na futrzaka, ukląkł obok i zaczął go wycierać papierową serwetką. — O, jaka fajna podkładka — docenił od razu mój zakup. — Figlujesz tu z mężem? Z kimś obcym zawsze jest lepiej. Działa efekt świeżej skóry. Odwiedza cię tu ktoś, jak mąż wyjeżdża? Przyznaj się. — Uśmiechał się, jakby już był pijany, a przecież nie wypił nawet jednej szklaneczki. — Chodź do mnie, pokażę ci, jak to jest po brazylijsku. — Klęczał na skórcie przede mną, więc wyglądało, jakby mnie błagał.

— Uspokój się natychmiast, bo wpuszczę psy — zagroziłam znowu. Powinnam chyba wezwać na pomoc jakiegoś Mariana albo Mietka. — Chyba nie jesteś jeszcze na tyle pijany, żeby nie rozumieć, co do ciebie mówię? — zeżliłam się. — Czy jesteś w stanie się opanować i normalnie rozmawiać, czy muszę cię wyrzucić z domu?

— Nie jestem pijany. To dopiero druga whisky — odpowiedział urażony i podniósł się z kolan.

Zrozumiałam, że pierwszą szklaneczkę wypił niemalże duszkiem, kiedy ja byłam w łazience. Ciekawe, czy zrobił to, bo chciał dodać sobie odwagi, czy też jest alkoholikiem? — zastanowiłam się. Tak czy siak powinnam się go jak najprędzej pozbyć — pomyślałam. W tym momencie zadzwonił telefon. To Krzyś, nie mogąc doczekać się mnie na Skype, telefonował, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje.

— Zapomniałaś o mnie? — zaczął z wyrzutem. — O, słyszę ulubioną muzyczkę w tle. Czyżbyś była jeszcze sama? A gdzie Patryk?— zasypał mnie pytaniami, a ja nie wiedziałam, w którym momencie mu przerwać.

— Patryka nie ma, ale nie jestem sama, bo mam gościa — powiedziałam cicho.

— Co, znów ten Rafał?! — Krzyś wykrzyknął tak głośno, że chyba Paweł dokładnie usłyszał jego pytanie. Uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

— To nie Rafał — zaprzeczyłam gwałtownie. — Odwiedził mnie mój

wykładowca z kursu.

— Po co? Mówiłaś przecież, że to jakiś pajac. Pawło czy Pablo!? — krzyczał nadal do słuchawki. Wyszłam szybko do holu, żeby ów pajac nie mógł go usłyszeć.

— Tak, to mój sławny kolega ze studiów. Dobrze pamiętasz — powiedziałaś dobitnie. — Poszukuje dla siebie siedliska w naszej okolicy i wpadł przy okazji.

— Ale on nie zostanie u nas na noc?

— Oczywiście, że nie! Skąd taki pomysł? Zaraz po kolacji Paweł pójdzie do Piotrowskich i tam wynajmie pokój.

— A Patryk to pewnie gdzieś się włóczy? Zarobił trochę forsy, to wróci w nocy albo dopiero rano. Mam nadzieję, że na inaugurację zdąży — mąż gadał dalej, a ja zrozumiałam, że Patrykowi nie starczyło odwagi na rozmowę z ojcem.

— Coś ci powiem o Patryku, tylko się nie denerwuj — wystartowałam. Poczułam na odległość, że na zwrot: „tylko się nie denerwuj”, Krzysioowi skacze ciśnienie.

— Samochód?! Rozwalił znowu samochód?! — krzyknął. — Ale jemu nic? Bo byś przecież dała znać natychmiast. Nic mu nie jest, prawda? On jest cały i zdrowy, tylko samochód? — pytał Krzyś zdenerwowany.

— Nie o to chodzi — zdołałam mu przerwać.

— Na litość boską, mów!

— Patryk po kryjomu zapakował swoje rzeczy i z Warszawy pociągnął za Ewelinę do Kolonii. Już esemesował, że przejechał kawał Niemiec, a aktualnie poszedł spać.

— To wstrętny gnojek! Kompletnie się z nami nie liczy! — Krzyś, któremu przed chwilą trząsał się głos z obawy o syna, rozsierdził się na dobre. — Jak on może tak postępować? A studia? A jakieś ustalenia? Powinnaś zgłosić na policję, że ukradł samochód. Niechby go złapali i potrzyimali w pace, może by miał

nauczkę. Za poprzedni wygłup nie został porządnie ukarany i to są skutki. Zawsze mówiłem, że za mało dyscypliny...

— Daj spokój. Chciałbyś, żeby nam syna poniewierali, a może zgwałcili gdzieś w więzieniu? Nauczkę by miał wtedy na pewno, ale nie o takie nauki nam chodzi. Przecież ten samochód miał już obiecany. A że się zaangażował? Jest młody, to się zdarza w jego wieku. Pamiętasz jeszcze?

— Jak zwykle go tłumaczysz. On jest taki właśnie dlatego, że zawsze znajdujesz dla niego usprawiedliwienie. Serce nie sługa i tym podobne rzeczy.

— Bo to prawda.

— A ty pewnie miałaś znów przez niego bóle serca? Kiedy się dowiedziałaś?

— Wczoraj w nocy.

— Już wczoraj?! Dlaczego mnie nikt nie poinformował?! Mój syn zasuwa małym, starym autkiem po Europie w czasie wyjątkowo burzliwego niżu i huraganowych wiatrów, a ja żyję w nieświadomości.

— Chciałam ci oszczędzić nerwów. A on pewnie się bał z tobą rozmawiać. Ja zresztą też trochę się bałam właśnie takiej reakcji.

— Myślałby kto, że tyrana mają w domu. Powinienem być ostrzejszy, bo widzę, że brakuje wam silnej ręki. — Krzyś rozsierdził się na dobre i odgrażał się, jak to wróci i przeorganizuje nasze życie rodzinne. Nie przerywałam mu, czując, że w ten sposób koi swój lęk o syna. W czasie tej perory obserwowałam w lustrze zachowanie mojego gościa. Paweł znudzony długą samotnością znów nalał sobie whisky do szklanki, ale tym razem rozcieńczył wodą. Z kieszeni marynarki wyciągnął jakiegoś grubego papierosa. Zastanawiałam się, czy to cygaro, czy raczej niezgrabny skręt. Długo obracał go w palcach, wahał, jakby się zastanawiał lub walczył ze sobą. Rozejrzał się za popielniczką, lecz nie znalazłszy śladu czegoś takiego w salonie, schował ponownie papierosa do papierośnicy.

Skończyłam rozmowę z mężem i weszłam od razu do kuchni, żeby szykować kolację.

— Z waszej rozmowy wywnioskowałem, że macie jakieś problemy z synem.
— Paweł lekko chwiejnym krokiem wszedł do kuchni. — Nie będę ci dzisiaj więcej zwracał głowy. Nic nie szykuj. Na dziś spożyłem już swoją dawkę kalorii.

— Właśnie widzę. W tym stanie nie możesz się pokazać u moich sąsiadów.

— To znaczy, że mogę tutaj?

— Wykluczone. Może wyda ci się to śmieszne, ale muszę dbać o opinię.

— Mąż jest ostry, słyszałem.

— To tylko pozory. Zadzwoń teraz i uprzedzę tych ludzi, że przyjdiesz, a ty zjesz grzecznie kolację i nie będziesz już więcej pił.

— Miałbym ochotę zapalić, ale to chyba też u ciebie nie przejdzie.

Nie zgodziłam się na żadne palenie i nie wnikałam w szczegóły jego nałogu. Odgrzałam mu coś niecoś z obiadu i załatwiłam pokój. Nie próbował już mnie na szczęście podrywać. Potruł o swoich najbliższych mocno enigmatycznych planach artystycznych i złym klimacie dla ambitnych. Wreszcie uznałam, że doszedł już trochę do siebie i z psami odprowadziłam go do Piotrowskich. Oddałam go w ręce tęgiej, zażywej gospodyni. Kobieta, usłyszawszy, że pod jej dachem będzie nocował prawdziwy reżyser brazylijskich seriali, chciała mu w nocy gotować rosół. Była bardzo rozczarowana, gdy stwierdził, że jest tak najedzony, iż nie byłby w stanie przełknąć nawet łyżeczki kawioru. Obiecała rano go odpowiednio ugościć i pobiegła do pokoju dołożyć jeszcze kilka poduszek, żeby tylko panu artyście było wygodnie.

— Zapamiętaj sen. To ważne, gdy się śpi na nowym miejscu — powiedziała z powagą, a Piotrowska przytaknęła skwapliwie.

Pan reżyser nie okazał się na tyle szarmancki, żeby mnie odprowadzić do domu. Widocznie uznał, że z „bestiami” i na swoim terenie mogę się bez obawy samotnie poruszać nocą. Dogonił mnie już na ganku i wręczył swoje kluczyki, mówiąc:

— Mówiłaś, że możesz zająć się moim autem. Będę ci bardzo wdzięczny. Wiesz, jak w niemieckich samochodach wrzuca się wsteczny?

Przyprowadziłam auto na swoje podwórko i wjechałam do opustoszałego garażu. W domu czekały na mnie trzy esemesy — od Dominiki: „Co się z Tobą dzieje? Dlaczego nie ma Cię w domu?”, od Patryka: „Przewracam się na drugi bok. Wszystko OK” i od Krzysia: „Jeśli za bardzo nawrzeszczałem, to przepraszam. Wyobrażam sobie, co przeżyłaś. A tego gacha, mam nadzieję, już u nas nie ma?”.

XII. JESIENNE IMPRESJE

W niedzielę postanowiłam jechać już normalnie na kurs. Nie ma co tkwić w domu i zawałać swoich zajęć z powodu szaleństw syna — pomyślałam całkiem rozsądnie. Powoli oswajałam się z tym, że nie mam żadnego wpływu na to, co się z nim teraz dzieje. Zgodnie z wczorajszą umową, jaką zawarłam z Pawłem, o ósmej rano świeżutka i wyspana zajeżdżałam po niego przed dom Piotrowskich jego własnym samochodem. Ale mojego wykładowcy ani widu, ani słychu. Nie chciałam wchodzić do środka, więc zadzwoniłam. Komórkę odebrał dopiero za czwartym razem i był niezbyt przytomny.

— Natychmiast się ubieraj! — wrzasnęłam władczo. — Powiedz gospodyni, żeby zrobiła ci mocną kawę. Czekaam na ciebie już pod domem.

Czekałam, czekałam, aż w końcu szlag mnie trafił i wpadłam do Piotrowskich, nawet bez pukania. Pawełek siedział w podkoszulku i gatkach przy kuchennym stole, popijając wolniutko kawę, a gospodyni smażyła mu jajecznicę chyba z kopy jaj. Zdziwił mnie trochę jego spokój, bo wczoraj mówił, że nie może się spóźnić, gdyż on rozpoczyna poranne zajęcia.

— Spóźnisz się! — krzyknęłam jak na syna. — Ja mogę tam nawet nie dotrzeć, ale ty przecież musisz. Ludzie czekają! To niepoważne! — łajałam.

— Dobra, zaraz pojedziemy. Nic się nie stanie, jak trochę poczekają. — Paweł skrobał się po chudej, zarośniętej łydce i ani myślał się pośpieszyć.

— Pan przecież nie może iść bez śniadania do pracy na cały dzień — zgaśniła mnie Piotrowska. — Taki mizerny, widać, że pewno kawaler albo może wdowiec?

— Tak, kawaler z wielokrotnego odzysku — mruknęłam pod nosem.

— Ja właściwie jestem prawie kawalerem — podchwycił Paweł.

— Tylko to „prawie” robi dużą różnicę — powtórzyłam część hasła

popularnej reklamy.

— A może nawet prawie wdowiec? — snuł dalej spokojnie swoje rozważania. — Wielokrotny wdowiec. Tak właśnie można mnie określić. Śmierć każdej miłości przeżywałem jak żałobę po osobie. To było straszne, gdy odkrywałem któregoś dnia, że kochałem kobietę zimną i okrutną, że wcale jej nie znałem — wciskał mydlany kit wzruszonej gospodyni. — Teraz wiem, że szukałem miłości wśród zepsutych kobiet show-biznesu, a tam liczą się tylko pieniądze i wpływy. Prawdziwe skarby kryją się w takich miejscach jak to. Powinienem poszukać tu nie tylko domu, ale i jakiejś pięknej, troskliwej kobiety, która o mnie zadba.

— Pani Piotrowska, niech się pani nie da nabrać na takie ckliwe gadki, bo to specjalista od wyciskania łez. Starczy tych jajek, tyle cholesterolu może zaszkodzić twórczym zdolnościom pana reżysera.

— Co pani taka nerwowa? Właściwie to nie dziwota, chłopa w domu już drugi rok nie ma. Licho pani wygląda. Niech pani spokojnie zje troszkę i panu pozwoli. Kobieta w latach, bo dzieci przecież już dorosłe, a ani na czym usiąść, ani, za przeproszeniem, za co złapać. Jak te porciny na pani wiszą, aż przykro patrzeć. — Piotrowska uchwyciła na biodrach moje faktycznie trochę za luźne spodnie i potrząsnęła mną tak, że straciłam równowagę. Klapnęłam na narożnej ławie wprost nad misą pełną dymiącej jajecznicy z aromatycznymi skwarkami. Przełknęłam ślinkę, co nie umknęło uwagi gospodyni. Zaraz też podała mi widelec oraz podsunęła koszyczek ze świeżutkim pachnącym razowym chlebem obficie posypanym różnorakim ziarnem. — Wczoraj wieczorem upiekłam, jak tylko usłyszałam, że gościa z Warszawy będę miała — pochwaliła się. — Pani to zanadto ruchliwa jest i dlatego nie może przybrać — kontynuowała moją charakterystykę, a Pawełek w tym momencie parsknął śmiechem i wtrącił idiotyczny komentarz:

— No, nie znałem cię od tej strony. A nigdy... — nie dokończył, bo

kopnęłam go pod stołem i zgromiłam wzrokiem, żeby odpuścił sobie głupie gierki słowne, których na szczęście Piotrowska chyba nie uchwyciła.

— Do szkoły na rowerze, z psami do lasu co dzień leci — wyliczała przejawy mojej aktywności ruchowej. — A potem jeszcze do strażaków na próby i tam podobno jakieś kabarety ćwiczy. Nawet w niedzielę nie odpocznie, tylko od rana na kursy. A kto by to tak wytrzymał? A przecie jeszcze w domu robota i w ogrodzie, a i cudzymi dziećmi się zajmie. — Piotrowska mówiła o mnie, jakby mnie tu nie było. Zwróciłam uwagę, że jest znakomicie poinformowana, co i kiedy robię. I jak ja mogłabym tu mieć jakiś romans? — przemknęło mi przez myśl, tak całkiem abstrakcyjnie. — To za dużo na tyłą babę jak ja, a co dopiero na taką lichorotę. O sobie pomyśleć, o mężu, żeby tam za granicą jakiej powabniejszej, jak to mówią, bardziej sexy, nie znalazł — zwróciła się bezpośrednio do mnie z radami, ale już w następnym zdaniu znów zastosowała trzecią osobę. — Na twarzy całkiem jeszcze niczego, ale w sobie za chuda. Prawdę mówię, panie reżyserze? — zagadnęła Pawła. — Mój chłop to mówi, że ja jestem babka energetyczna. Przy mnie węgla w zimie zaoszczędzi, bo go pod pierzyną lepiej od pieca grzeję. Kobieta musi mieć wszystko co potrzeba. Pan też tak myśli, panie reżyserze, prawda? — Zaśmiewając się głośno i szczerze, zafalowała rozłożystymi biodrami, eksponując obfite wdzięki.

Paweł przetarł oczy, popatrzył na jej olbrzymią sylwetkę powiększoną jeszcze pikowanym, różowym szlafrokiem, z którego troszkę już jakby „wyrosła”, gdyż nie domykał się na monstrualnym biuście i nie okrywał trzęsących się przy każdym wybuchu wesołości fałdów tłuszczu na brzuchu. Nagle spostrzegłam w jego oczach coś jakby strach. Może jego artystyczna wyobraźnia podsunęła mu jakąś scenę erotyczną z udziałem własnym i Piotrowskiej? A gdy kobieta schyliła się, aby podnieść łyżkę, która wypadła jej z ręki, i wyeksponowała jeszcze bardziej swój imponujący tył, Paweł przechylił energiczniej kubek z kawą, zamiótł skórka od chleba ostatki jajecznicy i pobiegł wreszcie pośpiesznie na górę

się ubierać.

Spóźniliśmy się więcej niż pół godziny. Popiratowałam sobie Pawełkowym autem, korzystając z małego ruchu na drogach. Chętnie przystał na to, żebym poprowadziła samochód, bo obawiał się, iż może mieć jeszcze jakieś promile alkoholu we krwi. Kiedy podjechałam pod samo wejście domu kultury, część kursantów stała już na parkingu. Popatrzyli na nas wymownie i wrócili do sali. Nagle wszyscy jakoś tak usiedli, że ja zostałam sama. A co tam, przecież nie będę się tłumaczyć — pomyślałam i wyciągnęłam notatnik. Niewiele się jednak nanotowałam, gdyż Paweł zarządził pracę w grupach. Złośliwiec podzielił nas tak, że byłam zmuszona współpracować z trzema najbardziej wścibskimi i niesympatycznymi dziewczynami. Projekt jednak wciągnął nas na tyle, że nie było czasu na żadne rozmowy. Po dwóch godzinach Paweł pożegnał się ze słuchaczami, a do mnie powiedział szeptem:

— A to, co mówiłem o siedlisku, potraktuj poważnie i daj mi znać, jakbyś miała coś ciekawego na oku. Pozdrów męża. Spotkamy się dopiero za miesiąc. Wyjeżdżam na trochę. Mam nadzieję, że do tego czasu już coś dla mnie upatrzysz.

Szept chyba był zbyt głośny, gdyż wszystkie trzy siedzące ze mną przy stole dziewczyny po jego wyjściu z sali rzuciły się na mnie z pytaniami. Usiłowały wyciągnąć ze mnie, czy Pablo ma zamiar osobiście osiąść w Świętokrzyskiem, czy może szuka czegoś dla znajomych. Były mocno podekscytowane i chciały zabić mnie wzrokiem, gdy odpowiedziałam, że nie jestem upoważniona, by informować kogokolwiek o prywatnych planach mojego sławnego kolegi. Odeszły urażone i szeptały coś jeszcze na boku. Znowu zostałam sama, a mieliśmy teraz trochę dłuższą przerwę w zajęciach, więc miło byłoby iść z kimś na kawę.

W tym momencie, jakby zgadując moje myśli, podszedł do mnie jeden z czwórki naszych kursantów i zaprosił w imieniu swoim i kolegów do bufetu. Zdziwiło mnie to trochę, bo nasi panowie trzymali się dotąd razem i na uboczu,

jakby przerażała ich ponadpięciokrotna przewaga kobiet. Dodatkowo wszyscy byli sporo młodszy ode mnie. Propozycję jednak przyjąłem z wdzięcznością, choć wkrótce okazało się, że nie była całkiem bezinteresowna. Chłopcy urwali się dwa razy z tańca klasycznego i mieli luki. Ktoś im podpowiedział, że jestem w tym trochę lepiej od reszty zorientowana, więc poprosili o korepetycje.

Zagadaliśmy się przy tej kawie na amen. Jeden z nich, Maciek, cudownie opowiada kawały. Drugi, Robert, ma zdolności imitatorskie, a trzeci, najmłodszy, Kamil, ma już trójkę dzieci, którymi się zajmuje na co dzień, gdyż jest na urlopie wychowawczym. Wychodne ma tylko w weekendy, więc robi uprawnienia instruktorskie, a poza tym gra i śpiewa w zespole muzycznym. Ostatni z nich, Bartek, jest chyba trochę nieśmiały i jakby nieobecny. Robi sympatyczne wrażenie, jest delikatny, kulturalny i oczytany. To może być gej — pomyślałam, przyglądając się jego wypiełgnowanym paznokciom i barwnemu szaliczkowi fantazyjnie zapętanemu wokół szyi. Od czasu, jak geje tak nachalnie obnoszą się ze swoim gejostwem, na takich ludzi jak Bartek patrzę nieco podejrzliwie. Ale nasz młody kolega równie dobrze może być lekko zniewieściałym hetero — dumalam, gdy mówił coś, rozciągając śmiesznie samogłoski. A niech sobie będzie, kim chce. Nic mnie to właściwie nie obchodzi, póki nie mówi o rzekomych prześladowaniach i nie domaga się nadzwyczajnego traktowania. Agresywnym homofobem staję się dopiero, gdy słyszę działaczy przewrotnie łączących w jeden pakiet swoje intymne, bądź co bądź, sprawy z problemami osób niepełnosprawnych oraz maltretowanych kobiet i dzieci. Ale nasz Bartuś z niczym takim się nie wychylał. Było tak sympatycznie i wesoło, że spóźniliśmy się na taniec właśnie. Jedna z dziewczyn parsknęła szyderczo na nasz widok i skomentowała:

— Pani to dziś przez mężczyznę nigdzie zdążyć nie może. A wy, chłopaki, też pozdrowienia dla męża prześlecie?

Nic nie odpowiedziałam na te złośliwości, a chłopcy uśmiechnęli się do mnie

porozumiewawczo.

Przez cały dzień nie miałam żadnej wiadomości od Patryka. Po powrocie do domu próbowałam się z nim połączyć, ale odzywała się tylko poczta głosowa. Znow zaczęłam myśleć o nim i się denerwować. Zadzwoiłam do Dominiki. Wiedziała tyle co ja. Zasiadłam przed komputerem i zaczęłam przez Skype'a przyzywać męża w nadziei, że może Krzyś ma świeże wiadomości od syna. I nie pomyliłam się.

— Musi oszczędzać, więc wyłączył telefon. Będzie załatwiał jakieś nowe taryfy. Nie zrozumiałem, czy u naszego operatora, czy też załatwia już coś na miejscu. Ja się w tym gubię.

— Jak to, to on nie planuje powrotu, tylko miejscową umowę na telefon?! — krzyknęłam. Spokój, z jakim Krzyś mówił o poczynaniach naszego zbiegłego syna, był dla mnie nie do pojęcia. A jeszcze wczoraj w rozmowie ze mną tak się ciskał. — Nie kazałeś mu natychmiast wracać, tylko rozprawiasz z nim o telefonach? Jak ma problem z kasą, to prześlij mu coś. Albo może ja mu poślę? Niech tylko poda jakieś namiary, gdzie można go znaleźć. A może on nie ma już na paliwo i wstydzi się prosić? Nigdy nie był dobry w rachunkach, ma to po mnie. A może jest głodny?

— O, nie! Co to, to nie! — wykrzyknął Krzysztof. — Już mną manipulujesz: „A może jest głodny?”. Kategorycznie zabraniam wysyłania mu jakichkolwiek pieniędzy! Niech wraca pieszo, jeśli się przeliczył. On nigdy nie dojrzeje, jeśli my mu wciąż będziemy ratować tyłek. Zachciało mu się romantycznych wypraw, niech kombinuje.

— A jak wpadnie w jakieś tarapaty, bo nie będzie miał co jeść?

— Niech pracuje.

— A żeby to było takie proste. Pewnie sprzeda nasz samochód. Wyląduje jeszcze na ulicy. Żeby go tylko nie napadli i nie okradli.

— Jak wróci, to ja już z niego wycisnę każdą złotówkę za ten samochód.

Będzie musiał zwrócić równowartość ceny rynkowej tego opla w Polsce, bez względu na to, za ile go sprzeda — odgrażał się Krzyś, a ja nienawidziałam w tej chwili jego paskudnej, zimnej małostkowości, choć z drugiej strony czułam, że tylko takie restrykcyjne działanie może czegoś nauczyć naszego lekkomyślnego dzieciaka, któremu się wydaje, że jest dorosły.

— Akurat go sprzeda — powiedziałam z powątpiewaniem. — Tam lepsze stoją na złomowiskach.

— To mnie nie interesuje. Proszę cię tylko o jedno, żebyś nie zepsuła dydaktycznych efektów tej wyprawy. Dzieci w jego wieku najlepiej wychowuje się poprzez nieubłagane prawa ekonomii.

— A ty skąd o tym wiesz?

— A myślisz, że dostałem od rodziców choćby złotówkę od momentu, gdy ciebie im przedstawiłem? — wypomniał mi, że nie byłam wymarzoną przez teściów partią dla ich jedynaczka.

— I co, nic nie pomogło.

— Ale nasza miłość została sprawdzona, a ja nauczyłem się myć okna i sprzątać tak zwane powierzchnie płaskie.

Wiedziałałam, że Krzyś ma całkowitą rację, ale bałam się, że ja nie wytrzymam tej próby. Na wszelki wypadek więc powiedziałam:

— Przekaż mu, że od tej chwili tylko ty podejmujesz wszelkie decyzje w jego sprawie, a mnie wystarczy od czasu do czasu komunikat, że żyje. No może trochę częściej niż od czasu do czasu i trochę dokładniejszy raport, jak żyje.

— Pierwsza wersja się liczy — podchwycił Krzyś zadowolony. — To świetna okazja, żeby przeciąć pępowinę.

Po kilku dniach naprawdę odczułam ulgę. Przestałam kombinować, co teraz robi i jak się czuje mój syneczek, a zajęłam się swoimi sprawami, których miałam aż za dużo. Co wieczór Krzyś zapewniał mnie, że nasz Patyczek sobie radzi i jeszcze nie wraca do kraju, ale nie zdradzał żadnych szczegółów. A może sam

ich nie znał, bo w stosunku do niego Patryk nigdy nie był zbyt otwarty. Zresztą nieindagowanie go pytaniami Krzyś uznał za część strategii.

Dominika także utrzymywała, że nie wie, co porabia jej brat, bo ponoć się na nią obraził, gdy mu wygarnęła, co myśli o jego postępowaniu. Nie chciało mi się w to wierzyć, podejrzewałam raczej, że jest w zмовie z ojcem. Z nią kontakt też ostatnio miałam taki, jakby wyjechała na drugą półkulę, a nie na studia do Warszawy. Trudno ją było zastać w domu. Stale gdzieś pędziła lub przebywała na zajęciach, gdzie naturalnie trzeba było wyłączać telefon. Potem oczywiście zapominała o jego włączeniu i praktycznie całymi dniami była niedostępna. Ja z kolei unikałam telefonów mojej mamy i teściowej, bo znudziło mi się słuchać, jaką to jestem wyrodną matką, że syn ode mnie uciekł i teraz jeszcze nie interesuję się jego losem. W ten sposób minął prawie cały październik i umarła we mnie nadzieja, że Patryk rozpocznie jeszcze w tym roku studia.

Próby ze strażakami odbywały się po kilka razy w tygodniu. Nareszcie wszyscy przychodzili wcześniej ode mnie i najchętniej siedzieliby do północy, bo dobrze im było razem i zawsze coś ciekawego się dowiedzieli o innych albo pośmiali z zaistniałych na scenie niezamierzonych komicznych sytuacji. Ja też bawiłam się z nimi kapitalnie, ale w domu na biurku czekały na mnie rosnące wciąż sterty zeszytów, które niestety psuły mi nieco humor. Te częste spotkania z zespołem stały się teraz nieodzowne, bo przegląd był tuż-tuż, a my wciąż wprowadzaliśmy jeszcze zmiany w scenariuszu. Uczniowie podrzucili mi fajne dialogi podsłuchane pod wiejskim sklepem. Trzeba też było uwzględnić reklamacje leciwych aktorów, którzy nie mogli zapamiętać jakichś sformułowań lub szybko wypowiedzieć trudniejszej zbitki spółgłosek. Pod koniec miesiąca jedna z najstarszych aktorek dostała zapalenia płuc i niestety byłam zmuszona wyciąć jej kwestię, więc znów powstało niezłe zamieszanie.

Zżyłam się z moimi Swarowiakami, bo spędzałam z nimi teraz więcej czasu niż w domu. Poznałam ich dzieci i wnuki oraz ciekawe koleje losów. Kiedy po

próbach wolniutko wracałam rowerkiem do domu i zaglądałam do oświetlonych okien, w których nikt nie zaciągał zasłon, prawie wszędzie widać było siedzące na fotelach i kanapach postacie zapatrzone w migające na ekranie telewizora sceny. Byłam wdzięczna losowi, że zetknął mnie z ludźmi, którzy chcą czegoś więcej niż oglądanie seriali, którzy teraz razem ze mną tworzą coś, co może nie ma wielkiej wartości dla kultury w ogóle, ale jest wartością samą w sobie, na pewno zaś wzbogaca ich i mnie. Chociaż nasz pierwszy występ odbędzie się w niewielkim domu kultury, przeżywamy prawdopodobnie takie same emocje jak, na przykład, Krystyna Janda czy Janusz Gajos przed premierą.

Mam teraz wielką rodzinę i nie czuję się już samotna, chociaż mąż i syn są za granicą, a córka nie ma czasu i ochoty, żeby opowiedzieć o swoich sukcesach bądź trudnościach na uczelni. Nie mam do niej żalu. Może kiedyś to jeszcze nadrobimy. Nie wymyślam też hitchcocków na temat męża, a telefony Rafała, który nie odpuścił, zbywam wesołym: „U mnie fantastycznie, czego i tobie życzę”.

W szkole wszystko idzie swoim trybem — sprawdziany, wywiadówki i normalne użeranie się. Chociaż wciągnięcie paru rozrabiaków w zbieranie dla mnie zabawnych, ale niewulgarnych dialogów wpłynęło chyba łagodząco na nasze wzajemne relacje. Oni poczuli się dowartościowani, a ja dostrzegłam ich wrodzoną inteligencję, którą wcześniej skrzętnie przede mną skrywali. Żeby tak jeszcze zechcieli ją nieco rozwinąć, to może... Rozmarzyłam się.

Lekcje z Kubusiem, którego inteligencja jest zupełnie inna od standardowej i dużo trudniej jest ją wykorzystać, idą mi jednak chyba coraz lepiej. Przyzwyczał się do mnie, a to dla autystyków ma ogromne znaczenie. Już się go nie obawiam. Mama twierdzi, że mnie polubił, ale to na pewno tylko uprzejmość z jej strony. Fakt, że bez ociągania siada ze mną do stołu i czasami współpracuje. Nie denerwuje się z byle powodu i nie robi sobie krzywdy, a to najważniejsze. Powiedział nawet kilka słów, nazywając przedstawione na obrazku smakołyki.

Oczekiwał, że je natychmiast otrzyma. Dobrze, że miałam w torebce jakiegoś cukierka, więc na chwilę uśmierzyłam ból spowodowany rozczarowaniem. Chłopak uwielbia lody i powtarza to słowo bezbłędnie. Gdyby jednak za każdym razem dostawał porcję zimnych kalorii, nie zmieściłby się nawet na kanapie. I tak fotel, w którym siedzi, kiwając się i machając intensywnie rękami, wytrzymuje jego ciężar tylko kilka miesięcy, a potem musi być naprawiany.

Mimo ciasnoty w mieszkaniu robimy też trochę ćwiczeń fizycznych, które bardzo lubi. Do tańca zapalił się tak bardzo, że mama musiała go wyhamowywać, obawiając się jakiejś nieobliczalnej ekspresji. Nie dyskutuję z nią, co i kiedy należy robić, ona to wie najlepiej, wyczuwa jego nastroje. Wie, kiedy może stać się groźny przede wszystkim dla siebie. Bez jej obecności nie dałabym sobie rady. Podziwiam ją w ogóle, jak ona wytrzymuje ten stres spowodowany dwudziestoczterogodzinną opieką nad nieprzewidywalnym synem. Całe jej życie kręci się wokół niego, a ona nigdy słowem nie wspomni, że ma już tego dość.

Ciekawe, co sprawia, że jedne matki potrafią tak kochać swoje dzieci, iż drżą o ich zdrowie i bezpieczeństwo, choć macierzyństwo nie dało im nawet cienia radości, a tylko wieczną udrękę, podczas gdy inne pozbywają się swoich zdrowych, normalnych dzieci? Pół biedy, jeśli decydują się na oddane dziecka do adopcji, pozostawienie go w szpitalu lub oknie życia. Gorzej, gdy je okrutnie mordują. Ostatnio całą okolicą wstrząsnęło takie właśnie wydarzenie. Nasza była uczennica, już pełnoletnia, urodziła dziecko i pozbawiła je życia, zakopując w przydrożnym rowie. Podobno nikt z jej najbliższych o tej ciąży nie wiedział, bo ją znakomicie maskowała.

Mnie ta sprawa dotknęła jakoś szczególnie, gdyż uczyłam tę morderczynię najpierw w podstawówce, a potem w gimnazjum. To była miła, spokojna dziewczyna, która chętnie brała udział w moich przedstawieniach i często wyjeżdżała z naszym teatrykiem na różne przeglądy. Miałam więc okazję

przyrzeć jej się w różnych sytuacjach.

XIII. UCZUCIA I UPRZEDZENIA

Mam wreszcie nowy samochód. W samą porę, bo meteorolodzy zapowiadają wczesną zimę i śniegi. Pojechałam po męża na lotnisko, a przy okazji, niemalże gwałtem, zabrałam do Zalewic Dominikę i mamę. Nie wiem, czy już w nich całkiem zanikają więzi rodzinne, bo piętrzyły problemy, żeby tylko nie jechać. Przy stole oczywiście zaczęliśmy rozmawiać o Patryku.

— Ja nie rozumiem, co to znaczy, że wy nie wiecie, co on tam robi i jak się utrzymuje — zaczęła mama z wyrzutem.

— Nie, no wiemy, że łapie dorywcze zajęcia, ale to się zmienia z dnia na dzień — odpowiedział wykrętnie Krzyś.

— W tamtym miesiącu sprzątał kible publiczne — poinformowała Dominika, która jednak kontaktowała się z bratem.

— Kiedy ty ostatnio, Joasiu, z nim rozmawiałaś? Próbowiałaś mu przemówić do rozsądku? Przecież to nie są zajęcia dla niego — wierciła mi dziurę w brzuchu mama.

— Ja z nim w ogóle nie rozmawiam — odparłam szczerze, licząc się z tym, że informacja wywoła silne wzburzenie i słowotok mojej rodzicielki. Nie pomyliłam się.

— Krzysztof, ja cię proszę, ty jesteś mądrzejszy od tej mojej stukniętej córki — zaczęła mama. — Zadzwoń do niego, czy zmuś go jakoś, żeby do nas zadzwonił. Ja z nim pomówię. On potrzebuje rozmowy z kimś serdecznym, rozsądnym i doświadczonego, komu na nim zależy. Ja się z nim na pewno dogadam. Co za bezsens, żeby uganiać się za dziewczyną, która go nie chce. Jej się nie dziwię, że wybrała dostatnią, spokojną przyszłość dla siebie i dziecka, a nie szalonego nastolatka. Dominika ją potępia i uważa, że jest interesowna, ale ja ją chwalebę. Ona jest już dojrzała i odpowiedzialna. Gdybym to ja miała tyle rozumu, co Ewelina, nigdy nie wyszłabym za męża za tego, pożał się Boże,

mojego artystę. Pociąg seksualny, miłość, zauroczenie to wszystko mija szybciej, niż myślicie, gdy człowiek grzęźnie w codziennych kłopotach. Ubóstwo nie sprzyja uczuciom. Kiedyś kobiety wybierały najlepszych myśliwych, a teraz tych, co mają najgrubsze portfele. Tak nas ukształtowała ewolucja dla dobra naszych genów, dla bezpieczeństwa potomstwa — wyklądała w natchnieniu.

— Mamo, daj spokój — jęknęłam. — Ja na szczęście wiem, że zawsze postępowałaś inaczej, niż teraz głosisz, ale Dominika może wziąć na poważnie twoje teorie.

— Właśnie mówię, że głupio postępowałam. Już byliście na świecie, ty i Zyta, gdy mogłam jeszcze coś zmienić w swoim życiu. Ale wciąż jeszcze byłam głupia. Do samej śmierci go kochałam, a on nawet nie podziękował i umarł. — Mama potrafi mieć pretensje także do nieboszczyka.

— Coś u ciebie, babciu, z ewolucją poszło nie tak? — wtrąciła, krztusząc się ze śmiechu, Dominika.

— Nie śmieję się ze starszej osoby — skarciła ją babcia, która nigdy nie mogła się zdecydować, czy chce być traktowana przez wnuki jak kumpelka czy jak matrona. — Ja miałam zasady, nie zdradzałam męża i nie chciałam rozbijać niczyjej rodziny. Teraz młode kobiety takich rzeczy nie traktują poważnie. Ale być może los dał mi jeszcze drugą szansę i teraz już bez żadnych skrupułów mogę z niej skorzystać.

— Babciu, wychodzisz za mąż?! — wykrzyknęła entuzjastycznie Dominika, a mnie i Krzysia zatkało.

— Bez przesady, za mąż to ja już nie zamierzam wychodzić, ale odświeżyłam pewną znajomość. — Babcia uśmiechnęła się tajemniczo i powiodła po nas triumfującym wzrokiem.

— Kto to? — zapytaliśmy jednocześnie.

— Na razie to tajemnica.

— Dominiko, ty też nic nie wiesz? — zdziwiłam się.

— Babcia często wychodzi wystrojona, ale mówi, że umówiła się z koleżanką albo że wybiera się do czytelnicy — sypała Dominika. — Nie wiedziałam, że ściemnia. A u nas nikt nie bywał.

— Mamo, powiedz tylko, czy go znam — dopytywałam.

— Nic na razie nie powiem, a wy mnie nie męczcie, zajmijcie się swoimi sprawami. Krzysztof, co będzie z tym telefonem do Patryka? — mama powróciła do swego żądania. Zauważyłam, że zdecydowanie poprawiła jej się pamięć i znów jest pełna werwy.

Miłość jest dobra na wszystko, nawet na sklerozę. Szkoda, że nie można tego specyfiku kupować w aptece — pomyślałam i przyjrzałam się swojemu mężowi. Znów posiwiął, ale sylwetkę nadal ma dobrą. Może nawet schudł trochę. Skóra na szyi mu zwiotczała albo krawat ma za mocno zawiązany. Po co on w ogóle w domu nosi ten krawat? Może Krzyś męczy się w krawacie dla mnie? On zawsze uważał, że dobrze dobrany krawat dodaje facetowi uroku. Intencje może miał dobre, ale efekt taki sobie. Siedzi sztywny jak u cioci na imieninach i wpływa usztywniająco na nas wszystkich. Ja też nie jestem dziś w dresach, tylko w obcisłych, wzorzystych legginsach i zwiewnej tuniczce. Przemyślałam, w co się ubrać, żeby było po domowemu, a jednocześnie zmysłowo. Będziemy się przecież dzisiaj witać. Krzyś pewnie nie wie, że znacznie więcej punktów zyskał u mnie zdecydowaną postawą wobec syna niż tym ubiorem sztywniaka. Facet nie może być mięczakiem, a on niestety często bywa ciapowaty. Może teraz na obczyźnie odrobinę dorósł i stał się bardziej męski. A może to tylko kilkutygodniowa tęsknota tak mi go retuszuje? Żeby tylko nie przesadził i nie poczuł się męski jak Arab, który chce o wszystkim decydować, bo tego bym na pewno nie zniosła. Chyba w końcu sama pogubiłam się w tym, czego oczekuję od mojego męża.

Moje rozmyślenia przerwał tradycyjny dzwonek Krzysiowej komórki.

— Co za larum robicie o tej porze? Przecież niedawno kontaktowałam się

z tatą — usłyszeliśmy zaspany głos Patryka, gdyż mąż włączył głośne mówienie.

— A ty co? Nie bujaj, że już śpisz — zaśmiała się Dominika. — A może jeszcze nie wstałeś po wczorajszej balandze? O której wyruszasz w miasto?

— Oszalałaś czy co? Muszę wstać o świcie, bo karmię zwierzęta — odpowiedział Patryk, ziewając. — Mówcie szybko, o co chodzi. Wysłałem rano tacie esemesa, że jest w porzo i haruję.

— Jakie zwierzęta? Pracujesz na farmie? — dopytywała Dominika.

— Nie, w cyrku.

— Bujasz! Karmisz lwy? — Dominika aż podskoczyła z emocji.

— Nie. Konie i psy.

— Dużo płacą? — drażyła temat.

— Obleci. No to o co chodzi? — niecierpliwił się nieuprzejmie Patryk.

— Ty się chyba tam nie wybierasz? — Babcia odsunęła Dominikę i przejęła rozmowę. — Patryczku, dziecko, wracaj do domu! — zawołała płaczkliwie. — Zrozum, że jesteś za młody, żeby jakaś jedna dziewczyna zawiązała ci świat. Ją też spróbuj zrozumieć. Jeśli nawet cię kocha, to zrobiła rozsądnie, że kieruje się dobrem dziecka. Kłopoty dnia codziennego zabiły już niejedno wielkie uczucie. Daj jej spokój, bo potem będzie miała do ciebie pretensje o zmarnowane życie. — Babcia była tego dnia patetyczna do przesady.

— Babciu, buźka! — krzyknął już przytomniej Patol. — Nie martw się o mnie, ten temat nieaktualny. Jestem już we Francji. A Ewelina niech robi, co uważa za stosowne. Ostrzegałem ją, że może stracić dzieciaka, bo ona chce, żeby ten Niemiec, jak się z nią ożeni, zaadoptował Franka.

— A on chce go adoptować? — zdziwiła się Dominika.

— Jak to jesteś we Francji? — włączyłam się do rozmowy, bo najbardziej interesowały mnie losy mojego syna.

— Skoczyliśmy z takim drugim Polakiem, co go tu poznałem, do Francji na

winobranie. A teraz nawinął nam się ten cyrk, więc się załapaliśmy. On jest studentem z Lublina i występował w tym słynnym zespole Scena Plastyczna KUL. Ciekawy gość, szuka swojego powołania. Na wiele spraw mamy podobne poglądy. A ja też może będę występować — pochwalił się.

— W tym lubelskim teatrze? To wracasz? — ucieszyłam się naiwnie.

— Nie, tutaj w cyrku jako klaun albo nawet akrobata. Pokazałem, że jestem dobrze rozciągnięty i trochę tańczę. Powiedziałem oczywiście, że to dzięki babci. No nie? Że moja babcia to słynna polska primadonna sprzed lat. A co? Nie znają jej na świecie, bo wtedy była żelazna kurtyna. Ale gdyby to były inne czasy, na pewno występowałyby w najlepszych baletach świata.

— Mój kochany, pamięta nawet na obczyźnie o stojącej nad grobem staruszce i potrafi być wdzięczny babci za naukę. — Mama pociągnęła nosem ze wzruszenia. Popatrzyłam na nią zdziwiona. Znow to rozdwojenie jaźni. Raz zakochana, uwodzicielska kobieta, a zaraz potem staruszka stojąca nad grobem. Zwariować można. Czy ja mam to samo? — zastanowiłam się i przez chwilę straciłam wątek.

— No tyle u mnie — Patryk chciał już skończyć i spać dalej. Zawsze był śpiochem.

— Ale kiedy wracasz?! — krzyknęłam w ostatniej chwili.

— Na razie nie planuję. Jest ciekawie. Mamo, masz wreszcie ten nowy samochód? U was już pewnie zimno, a u nas całkiem miło. — Ziewnął znowu. — Dobrze was wszystkich słyszeć.

— To trzymaj się, synu, i nie zapominaj o pryncypiach. W każdym miejscu na ziemi trzeba być uczciwym człowiekiem — tą moralną nauką Krzyś zakończył rozmowę z synem.

— Po co się wyłączyłeś? — krzyknęła Dominka. — Można było go jeszcze wypytać o ten cyrk, zwierzęta i tego chłopaka z Lublina.

— Słyszałaś, że musi wcześniej wstać — zgasił ją ojciec. — A na nas też

najwyższy czas — powiedział, uśmiechając się w moim kierunku.

— Sorry, rozumiem, że wam się śpieszy do łóżka, ale ja jeszcze pooglądałabym telewizję — powiedziała bezceremonialnie córka. — W Warszawie nie mam czasu na takie bzdury i babcia ma beznadziejne kanały.

— Dobrze, weź sobie telewizor na górę. Mogę ci pomóc zanieść i podłączyć — zaoferował się Krzysztof i w podskokach pobiegł z wielkim, płaskim telewizorem do pokoju córki, choć na ogół zwalczał nocne oglądanie telewizji. Zrozumiałam jego gest i też byłam zadowolona, że w domu nie będzie całkowitej ciszy. Mama po wyjęciu aparatu z ucha nie stanowiła problemu.

Zasypiałam szczęśliwa w ramionach kochanego męża. Nie miałam właściwie powodów do większych zmartwień. Córka była radosna, wyglądała pięknie i zapewniła mnie wielokrotnie, że daje sobie radę na uczelni, a z babcią też jakoś wytrzymuje. Mama miała znów błysk w oku i chęć do życia. Nie jest nastolatką, żebym musiała wiedzieć, kto jest tego powodem. Wieści od Patryka też były raczej pozytywne. Chłopak nie zebrał, tylko pracował i być może naprawdę dał sobie spokój z Ewelina.

Jednak jeszcze przed świtem obudził mnie jakiś bliżej niesprecyzowany niepokój. Patryk chce być akrobatą. To jest niebezpieczne. Jest giętki, ale akrobacji ludzie uczą się od najmłodszych lat. To trzeba robić pod nadzorem kogoś odpowiedzialnego. Ten wariat wlezie gdzieś pod sufit i spadnie albo, co gorsza, poplączą mu się liny. O Boże, przypomniała mi się historia siostrzeńca mojej babci, który próbował naśladować akrobatów i przez przypadek powiesił się na trzepaku, bo mu się lina zacisnęła na szyi. Dlaczego Patryk musiał trafić akurat do cyrku? Spanie diabli wzięli, a ja wygrzebywałam niewesołe wspomnienia z młodości.

Od dzieciństwa nienawidziłam tej namiotowej rozrywki. Ludzie cyrku po prostu źle mi się kojarzyli. Pamiętam, że w oficynie naszej kamienicy na Mokotowie mieszkała dziwaczna starsza pani, która była dawną artystką

cyrkową. Mówiliśmy o niej bez szacunku „babka-cyrkówka”. Do jej mieszkania stale przyłazili jacyś menele, a babka-cyrkówka często miała kłopoty z utrzymaniem równowagi na schodach, chociaż niegdyś ponoć tańczyła na linie. Ta kobieta wychowywała wnuczkę, której rodzice, też cyrkowcy, wędrowali wciąż ze swoją trupą po świecie. Nie cierpiałam także tej czarnej, drobnej i niezwykle wygimnastykowanej Gizeli, bo tak na imię miało dziecię cyrkowców. Wtedy jeszcze marzyła mi się kariera baletowa i na podwórku przed oczyma oczarowanych rówieśników odtwarzałam różne taneczne figury. Gizela, która była trochę starsza ode mnie, choć sporo niższa, kpiła z moich umiejętności i pokazywała dzieciakom takie sztuczki, że mieliśmy wątpliwości, czy ona w ogóle ma normalny szkielet. Gizela jako pierwsza posiała w moim sercu niewiarę w mój baletowy talent i zniechęciła mnie do morderczych ćwiczeń, bez których nie ma w tej dziedzinie sukcesów.

Po latach od Krzysia dowiedziałam się, że taką niespotykaną elastyczność stawów Gizela mogła zawdzięczać poważnej wadzie genetycznej, która uniemożliwiła jej kontynuację rodzinnych cyrkowych tradycji. Jej babcia wypłakiwała się do sąsiadek, że dziecko jest ciężko chore i może niedługo umrzeć. Co jakiś czas wymuszała na sąsiadach składki na lekarstwa, doktorów i tym podobne, lecz podejrzewam, że użebране w ten sposób pieniądze przeznaczała wyłącznie na alkohol. Błada Gizelka jednak żyła, a kiedy dojrzała, nie dbała zupełnie o swoje chore serce. Już jako czternastolatka stale wystawała na klatce schodowej z papierosem w ustach i na lekkim rauszu z ładnym i dobrze wychowanym chłopakiem z sąsiedniej kamienicy. Matka Januszka, tego właśnie chłopca, cicha, kulturalna pani, którą kilka lat wcześniej porzucił mąż, patrzyła w swego jedynaka jak w obraz. Nic dziwnego, że była załamana fatalnym zauroczeniem syna. Wszelkimi siłami próbowała go odciągnąć od Gizeli, ale chłopak był jak zahipnotyzowany. Chciał imponować ukochanej, zdobywać dla niej fundusze na alkohol i papierosy, więc zaczął okradać, najpierw matkę,

a potem zdarzały mu się inne drobne kradzieże. Wreszcie trafił do poprawczaka.

Mieszkańcy kamienicy odetchnęli z ulgą, bo nasze piwnice stały się bezpieczne i można było puszczać dzieci na podwórko bez obawy, że natkną się na kopulującą w korytarzu parkę. Gizela znalazła sobie starszego kawalera, który posiadał własne lokum i jakieś zarobki. Uciekła od babki i przeniosła się do niego. Januszek w poprawczaku dobrze się sprawował, więc dość szybko otrzymał przepustkę. Dowiedział się oczywiście o niewierności swojej dziewczyny. Kiedy matka wyszła do pracy, odkręcił gaz.

Rozpacz jego matki zapamiętałam na całe życie. Biedna kobieta zmarła kilka lat później na raka. A chorowita Gizela żyła nadal. Porzuciła swego narzeczonego, wróciła do babci i została striptizerką. Ubierała się i malowała niezwykle wyzywająco, podjeżdżali po nią faceci samochodami, które w PRL uchodziły za niezwykle eleganckie. Staruszkę babcię zamykała podobno w szafie, gdy miała klientów, a kiedy ta się skarżyła, biła ją. Któregoś dnia Gizela zniknęła, zostawiając w domu zamkniętą babkę-cyrkówkę. Od głodowej śmierci uratowało staruszkę zainteresowanie sąsiadów. Trafiła potem do domu starców, a kwaterunek wprowadził do jej mieszkania spokojne, starsze małżeństwo. Ani Gizela, ani jej rodzice nigdy się już pod tym adresem nie pojawili.

Historię tę nagle nad ranem wygrzebał z pamięci mój mózg i wszystkie zapomniane już osoby stanęły przede mną jak żywe. Miałam teraz wrażenie, że mój syn, pracując w cyrku, nurza się w takim dziadostwie. Z drugiej strony byłam świadoma, że są to niesprawiedliwe stereotypy i krzywdzę nimi masę ludzi tworzących sztukę cyrkową. Niech już tam oporządza te zwierzaki, niech występuje jako klaun, ale niech nie włązi gdzieś wysoko pod kopułę cyrku, bo... Bo właśnie ja mam okropny lęk wysokości i teraz będę o tym nieustannie myśleć.

Po wyjeździe Krzysia zadzwoniła do mnie teściowa. Była znakomicie o wszystkim poinformowana, gdyż niedawno rozmawiała ze swoim synem.

Najwyraźniej chciała mnie po prostu dobić, bo nie miała żadnej innej sprawy.

— Nie wiem, skąd u tego dziecka takie szalone pomysły — zaczęła na temat Patryka. Wkrótce okazało się, że jednak wie doskonale skąd. — W naszej rodzinie nie było nigdy żadnych ekstrawagancji, ale w tej waszej, pełnej artystów, to wiadomo. No, Dominika, to jeszcze rozumiem. Jeśli ma talent plastyczny, powinna go rozwijać. Na studiach zetknie się ze środowiskiem różnych ekscentryków i pozerów, ale ona ma po Krzysiu wyważony charakter i nie pociągnie jej ta cała bohema. Ale Patryk to Patryk. Z nim zawsze były kłopoty i będą, bo ma twoje geny. I to nie jest nawet jego wina, że tak się miota. Ten chłopak w gruncie rzeczy ma dobre serce. Gdyby tak ktoś odpowiedzialny we właściwym czasie zajął się jego wychowaniem, można by go naprowadzić na właściwe tory.

Dość długo słuchałam w milczeniu tej tyrady, aż zorientowałam się, że jeśli jej nie przerwę, teściowa gotowa jest się tak mądrować w nieskończoność, więc słodziutko zadałam cios:

— A wie mamusia, że Patryk podobno robi dla dziadka rozeznanie w sprawie tej planowanej podróży? Szukał już tych pań, co je tata planuje odwiedzić. — Coś takiego obilo mi się o uszy. Nie byłam pewna, czy tak jest naprawdę, ale szarżowałam, bo mnie wkurzyła. Mam z wiekiem coraz gorszy charakter albo coraz mniejszą tolerancję na teściową. — Mógł sprawdzić w Internecie, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zrobi to osobiście. Jedna to ponoć milionerka, świeżo po liftingu.

— A co ty opowiadasz? Tata się nigdzie nie wybiera. Miał taki chwilowy brak równowagi po całkowitym przejściu na emeryturę. Teraz już jest spokojny i proszę mu nawet nie wspominać o żadnych eskapadach. Po co stary człowiek miałby włóczyć się po obcych krajach? A ten smarkacz też niech wraca do domu i nie udaje, że chodzi mu o dziadka. Powinien się uczyć, a nie podróżować

— A kiedyś arystokracja wysyłała swoje dzieci, żeby się otarły w świecie, i to

też była część edukacji — pokpiwałam sobie.

— Widzę, że żarty się ciebie trzymają i nie martwi cię wcale, że syn może się stoczyć. Czy ty pomyślałaś, jak niebezpieczny jest dziś świat dla młodego, nierozsądnego człowieka?

— Stoczyć można się wszędzie — powiedziałam już poważniej. — Krzyś uważa, że taka podróż to świetna lekcja życia. Chłopak zobaczy, jak trudno zarabia się pieniądze, pozna ciekawe miejsca i ciekawych ludzi, a dyscypliny już go życie nauczyło. Mamusia wie, że ten nocny marek chodzi spać z kurami, bo musi wstać o świcie do pracy? — Ku własnemu zaskoczeniu stałam się rzecznikiem Patryka.

— Daleko musiał po te nauki jechać — powiedziała sarkastycznie teściowa. — I co to za praca, gnój wyrzuca ze stajni i błazna z siebie robi. Trzeba było go krótko trzymać... — Teściowa już się rozpędzała, aby znów powtórzyć, że dyscyplina jest remedium na wszystko, ale jej niezbyt grzecznie przerwałam:

— Cieszę się, że swoim wychowaniem nie zabiłam w nim ciekawości świata i indywidualności. Będę go wspierać w każdej dziedzinie i w każdym zakątku Ziemi. — Wydawało mi się, że zakończę w ten sposób rozmowę, ale teściowa musiała mieć ostatnie słowo, więc dodała:

— Żebyś tylko tego nie żałowała. Czasem dla dobra najbliższych trzeba podjąć nawet drastyczne działania. A taty w żadną samotną podróż nie puszczę, choćbym miała zamknąć go w szpitalu psychiatrycznym i ubezwłasnowolnić.

Moja zazdrość to małe piwo. Oto do czego zdolna jest moja teściowa. Metody zaczerpnięte od komunistycznego reżimu w Związku Radzieckim — pomyślałam wstrząśnięta tym oświadczeniem. Poczułam wielkie współczucie dla teścia.

XIV. CZY BÓG IM SPRZYJA?

Hura! Zakwalifikowaliśmy się na przegląd do Paczkowa. Były wprawdzie w Opatowie dramatyczne chwile, gdy pani Aniela nagle zapomniała swojej kwestii i w dodatku upuściła ze sceny karteluski, którymi miała się w razie czego podeprzeć jako ściągą. Biedna kobiecina złapała się za głowę i zaczęła lamentować:

— Jezu, Jezu! Co to się narobiło?! Ja już za stara jestem i nie daję rady tego pojąć. Ludzie, pomósta, bo to so moje papiry, te co to tam latajo! — zabrzmiała ze sceny autentyczna skarga i gwara.

Wypowiedź przez przypadek pasowała do sytuacji w sztuce, w której właśnie akta pewnych sprawek wójta i jego kamaryli wydostały się na rynek. Boczkowska pierwsza zorientowała się w sytuacji, podskoczyła do panikującej Anieli i doradziła:

— Idź, kochana, do lekarza po coś na nerwy, bo tu jeszcze grubsze sprawy wyjdą. Ponoć koniec świata ma się w naszej gminie zacząć i trzeba będzie jakoś to wytrzymać — powiedziała improwizowanym tekstem, po czym odprowadziła kobiecinę za kulisy. Dalej już jakoś poszło i wszystko się udało.

Wróciliśmy dumni, radośni i trochę podpici miodówką na spirytusie, którą przygotowano podobno z myślą o mojej tremie, bo w końcu musiałam sama zagrać tę sekretarkę wójta, panią Niusię. Dostałam kieliszeczek przed wyjściem na scenę i chyba pomogło. No. Po występie zrobiliśmy sobie wesołą biesiadę ze śpiewaniem ludowych piosenek. Kapela cięła od ucha i od czasu do czasu nawet niektórzy podrywali się do tańca. Przyśpiewki miały oczywiście bardzo pikantne zabarwienie. Najwięcej takich pieprznych kawałków znał skrzypek Jasiu. Nasz Janko Muzykant z daleka wygląda jak chłopczyk. Jest niskiego wzrostu i bardzo drobnej budowy ciała. Oczy ma żywe i wesołe, a usta wydatne i mocno czerwone. Mały, zadarty nosek i burza siwych loków nadają mu wygląd

zadziornego chłopca. Twarz ma jednak mocno pomarszczoną, co stanowi dziwny kontrast z zachowaniem i całą fizjonomią.

Jego całkowitym przeciwieństwem jest akordeonista Józef — wysoki, barczysty, o twarzy pociągłej i smutnej. Śpiewał on również intonowane przez Jasia pioseneczki, lecz po każdej z nich uśmiechał się jakoś tak wstydliwie i przeprasząco. Trzeci i najstarszy z muzykantów gra na wielu instrumentach dętych. W zależności od potrzeby wyciągał z futerałów a to flet, a to trąbkę, a to jakąś tam piszczałkę, której nazwy nie znam. W domu posiada także saksofon i grywa nie tylko w tej ludowej kapeli, ale także w weselnej orkiestrze, która musi znać najnowsze przeboje. Ten starszy, szczupły, siwy pan jest chyba szefem naszych grajków i bardziej pasowałby do jazzowych bandów niż do ludowych, szerokich zielonych portek, kamizeli z samodziału i kaszkietu z czerwonym chwaścikiem.

W sumie bardzo miło spędziłam wolną od kursu sobotę. Wróciłam do domu późną nocą pijana sukcesem. Mąż otworzył mi drzwi wściekły, gdyż w niedzielę w południe wylatywał już do Anglii i rankiem trzeba było wyjechać z domu. Kapela zagrała jeszcze pod domem i cały zespół zaśpiewał „Sto lat”. U sąsiadów zapaliły się w oknach światła. Rozbawione towarzystwo wyciągnęło mojego męża w piżamie przed dom i zaczęło wokół niego podrygiwać w jakimś obertacie, a on próbował im uciec, tłumacząc się skłonnością do przeziębień. Faktycznie na dworze panowała prawdziwa, listopadowa noc, ale nam, rozgrzanym sukcesem i miodówką, specjalnie to nie przeszkadzało. Zarzuciłam na Krzysia moją kurtkę. Mąż zdołał się wreszcie przedrzeć przez roztańczony korowód, stanął na ganku i z wysokości trzech schodków popatrzył ze zgrozą na leciwych balangowiczów, a do niedawna jeszcze jego pacjentów, i zawołał:

— Pani Anielu, niech pani włoży płaszcz i czapkę, bo potem znów będzie zapalenie płuc. A panu, panie Eugeniuszu, nie wolno pić! Kiedy to ostatnio był pan umiarawiany? Powinien się pan zdecydować na rozrusznik. Żegnam państwa

i proszę o niezakłócanie ciszy nocnej. Słyszać was chyba w klasztorze na Świętym Krzyżu.

Kiedy wreszcie po ablucjach w łazience znalazłam się w wygrzanym przez Krzysia łóżku, byłam pewna, że już śpi. Mąż jednak dał wyraz swemu zgorzeniu i powiedział:

— Gratuluję sukcesu, ale jesteś nieodpowiedzialna. Jak ty jutro, a właściwie dziś poprowadzisz samochód?

— Ja wcale nie wypiałam dużo, tylko jestem szczęśliwa i opadło ze mnie to wielkie napięcie. W drodze na lotnisko ty będziesz prowadził, a ja z powrotem — uspokołam go.

Usiłowałam zasnąć, ale nadmiar wrażeń nie pozwalał mi się tak nagle wyciszyć. Uniemożliwiał mi to także wiercący się i wzdychający w łóżku Krzyś. Po wykonaniu setnego obrotu przez lewe ramię podparł się na prawym łokciu i zagadał:

— Myślałem, że wrócisz zaraz po przeglądzie, że uczymy razem twój sukces, którego byłem pewien. Naszykowałem kolację i zamroziłem szampana. Miałem nadzieję, że miło razem spędzimy ten ostatni wieczór — poskarżył się.

— I gdzie ten szampan?! — zawołałam, wyskakując spod kołdry.

— W zamrażalniku. Myślisz, że butelka może pęknąć? — zaniepokoił się.

— Na pewno pęknie za chwilę! — krzyknęłam i pognałam do kuchni.

Szampan był cudownym zwieńczeniem tego dnia, a jeszcze wspanialsze były nasze małżeńskie fajerwerki, po których tak zgłodniałam, że wyciągnęłam z lodówki skrzętnie już zapakowane przez męża pojemniczki z pokrojoną wędliną i sałatką. Krzyś wstrzymał się od jedzenia. Jego stać na wstrzemięźliwość, bo bardzo uważa na swoją figurę. Patrzył tylko ze zgrozą na mnie pochłaniającą kolejne porcje.

— Jesteś bardzo nierozsądna — zaczął złowrogo. — Robisz rzeczy, których często nie pochwalam, a czasem po prostu ich nie cierpię. Ale wszystko razem,

gdy się w tobie wymiesza, jest cudowne. Uwielbiam cię. Jestem taki szczęśliwy, że los pozwolił nam się spotkać. Nie wyobrażam sobie obok mnie innej kobiety.

Ło! — jak mówią Anglicy. Takie wyznanie może powalić na plecy, zwłaszcza jeśli się przedtem tyle przeżyło i wypiło, więc padłam. Już prawie zasypiając, przytuliłam się do Krzysia i powiedziałam:

— Chciałabym, żebyś wiosną pojechał z nami na przegląd do Paczkowa. Mój zespół to są kapitalni ludzie. Pośpiewamy z kapelą. Na pewno będzie bardzo wesoło — zachęcałam.

— Wiesz, że nie przepadam za kulturą ludową, ale ze względu na ciebie chętnie pojedę, jeśli tylko termin będzie mi pasował. Zresztą do takiej ekipy lekarz powinien być przypisany na stałe. Znam schorzenia większości tych twoich amatorów aktorstwa i alkoholu — rzekł z przekąsem, ziewając szeroko. Ja także nareszcie zrobiłam się śpiąca.

Rano trudno było się podnieść z łóżka, ale mus to mus. Podrzemałam jeszcze trochę w drodze na lotnisko. Tym razem Krzyś wylatywał z Katowic, więc nie miałam okazji zajrzeć do mamy i Dominiki. Myślałam jednak o nich całą powrotną drogę, gdy zostałam sama. Bardzo dawno też nie widziałam się z siostrą, a ona właśnie wróciła od państwa Zatoniów i jest w Warszawie. Zyta bardzo zaprzyjaźniła się z panią Basią i jej mamą. Doktor Zatoń też jest ponoć uroczym człowiekiem. Pawełek po świętach ma mieć kolejny ważny zabieg. Mały zaczyna już mówić i choć ruchowo nie jest jeszcze sprawny, to intelektualnie wydaje się nad wiek rozwinięty. Garnie się do swych opiekunów i widać, jak wyjątkowa łączy go z nimi więź. Po ostatnim zabiegu będzie trzeba podjąć jakąś decyzję, czy dziecko wraca do kraju do dziadków, których prawie nie zna, czy też zostaje w Ameryce. Jest to sprawa bardzo skomplikowana psychologicznie i prawnie. Nie zazdroszczę Zycie i Kazikowi konieczności podejmowania takiej decyzji.

Marzyłam o tym, żeby zaraz po powrocie do domu wsunąć się do łóżeczka

pod kołderkę i odespać zarwaną noc. Musiałam jednak pójść jeszcze do kościoła na popołudniową mszę. Za filarem spostrzegłam klęczącą Danusię, która ukrywając twarz w dłoniach, modliła się zapamiętale, nawet gdy wszyscy już wychodzili z kościoła. Postanowiłam poczekać na nią, żeby dowiedzieć się, czy miała ostatnio jakieś wiadomości od Eweliny. Stałam tak długo, że zaczynałam już tracić cierpliwość. Danusia wyszła dopiero, gdy plac przed świątynią całkowicie opustoszał.

Nie miała kontaktu z Ewelina, co bardzo ją smuciło. Mnie natomiast zaniepokoił wygląd Danusi. Znowu na jej twarzy zobaczyłam grubą warstwę fluidu i pudru, a na oczach duże słoneczne okulary. Dowiedziałam się, że prostuje właśnie swoje zabagnione sprawy rodzinne i ma nadzieję na normalny dom i rodzinę. Domyśliłam się, że ma na myśli Kitów, których ostatnio nie odwiedzałam. Opuściłam sobie, usłyszawszy od Szymka, że Danusia chętnie się nimi zajmuje. Nie chciałam, by ona czuła się skrepowana, bo miałam także pewność, że sympatyzuje z ojcem dzieci.

Tragiczna śmierć żony sprawiła, że porządny mąż i ojciec rodziny, jakim był Andrzej Kita, pograżył się w apatii i alkoholizmie. Stracił pracę i niewiele go obchodził cały świat wokół, łącznie z czwórką osieroconych dzieci. Gospodarstwo, którym przedtem zajmowała się głównie energiczna i przedsiębiorcza żona, szło w ruinę. Dopiero następna tragedia, spowodowanie po pijanemu wypadku, w którym zginął Damian, syn Danusi, i szok z tym związany przywrócił Andrzeja rodzinie i społeczeństwu.

Danusia, przyzwyczajona do tego, że mężczyźni dużo się wybacza, potrafiła rozpatrywać tragedię syna w kategoriach nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Rozumiała powody, dla których Andrzej nie trzeźwiał praktycznie od dwóch lat. Nie wytrzeźwiał też całkiem, gdy usiadł na traktor, bo czas naglił. Inni rolnicy dawno zebrali z pola, a niektórzy nawet już zaorali i obsiali oziminą.

— On miał tylko przeciąć szosę — tłumaczyła. — Wyjazd od nich jest

fatalny. Wypada się nie dość, że z górki, to jeszcze jakby z wąwozu. Najbezpieczniej jest, jeśli druga osoba wyjdzie na szosę i da znak, kiedy droga jest wolna, ale Szymka akurat nie było.

— Danusiu, ja nie uważam Andrzeja Kity za złego człowieka. Ja mu naprawdę z całego serca współczuję i trzymam kciuki, żeby udało mu się wyrwać z nałogu — powiedziałam. — Ale jesteś pewna, że śmierć syna nie będzie zawsze stała między wami?

— Damian też nie był bez winy — przekonywała mnie, a może bardziej siebie. — Pędził na oślep. Często tak jeździł i nie słuchał, jak błagałam, żeby uważał. To wyjątkowy pech, że trafił na Andrzeja, a mógł równie dobrze nie wyrobić na zakręcie albo walnąć w drzewo. Wtedy nic nie wypił, bo był u Dominiki, ale wcześniej przecież wiem, że różnie bywało. A u Andrzeja małe dzieci, sieroty bez matki. Co one winne temu wszystkiemu? Andrzej to całkiem inny charakter niż ten mój oprych i teraz naprawdę nie pije. On zresztą nawet po pijaku nie bywał chamski ani do bicia nie ma skłonności. Wiem, bo jego żona była moją koleżanką z klasy.

Faktycznie Kita bardzo się zmienił. Trudno było poznać w czystym, ogolonym i porządnie ubranym, przystojnym mężczyźnie dawnego opoja. Miło było słyszeć, że człowiek ten wychodził na prostą. Wisi jednak nad nim, jak miecz Damoklesa, przerwana chwilowo odsiadka. Za to całkiem wolny i bez zarzutów chodził sobie po wsi mąż Danusi i jej kat.

Padał deszcz i wiatr szarpał moim parasolem, a Danusia opowiadała mi pod kościołem, jak doszło do tego, że podjęła decyzję o rozstaniu z mężem i uporządkowaniu swego życia. Spała w domu Kitów, bo prosiły ją o to dzieci, gdy Andrzej jechał do pracy na nocną zmianę. Nie spodziewała się wcale tego dnia powrotu męża z Niemiec. Ale został przyłapany na pijaństwie i zwolniony w trybie nagłym z budowy. Nie zawiadomił jej, że wraca, bo chciał sprawdzić, czy plotki, jakie słyszał na jej temat, są prawdziwe. Porywczy i zawsze skłonny

do awantur małżonek wyszedł w końcu, nie bez podszeptów usłużnych ludzi, gdzie spędziła noc jego żona. Wczesnym rankiem wpadł do Kitów i na oczach przerażonych dzieci wyciągnął Danusię z domu za włosy. Tym razem katował ją okrutniej niż zwykle, bo chciał się odegrać za całokształt — za syna, za utratę pracy, no i zdradę, oczywiście.

— Dobrze, że Andrzej jeszcze nie wrócił do domu, a Szymek już wyszedł do szkoły — mówiła Danka. — Jakby który stanął w mojej obronie, to by mogło dojść do jeszcze jednej tragedii.

Tak więc Nowak bez przeszkód bił swoją żonę. Nie wiadomo, jak by się ta awantura dla Danusi skończyła, lecz Paulinka zadzwoniła na policję.

— Na trochę go musieli przymknąć, ale już wyszedł — kończyła swą przejmującą relację. — Teraz jestem mądrzejsza. Nie dotknie mnie już ten bandyta. Załatwiłam sobie niebieską kartę i on ma zakaz zbliżania się do mnie. Nie dam mu się poniewierać. Występuję o rozwód z jego winy. Dom trzeba będzie sprzedać. Moja jest działka, jeszcze po rodzicach, i nie mam zamiaru mu nic podarować. Ja mam się gdzie podziać, a on niech weźmie swoją część i idzie jak najdalej stąd. Wstyd, że się wcześniej nie zdobyłam na odwagę i dopiero Paulinka mnie wybawiła. Może gdybym się z nim wcześniej rozeszła, to sama wychowałabym syna na innego człowieka. — Danusia rozplakała się na dobre. Ogromne łzy ciekły jej spod bajeranckich, ciemnych okularów w opalizującej oprawie, które wyglądały na jej nosie dość niesamowicie w dżdżysty, ponury jesienny wieczór.

Całkowicie się z nią zgadzałam i byłam dla niej pełna podziwu. Chciałam to wyrazić bez słów i mocno uścisnęłam jej, jak mi się zdawało, wyciągniętą do mnie dłoń. Biedna kobieta syknęła z bólu i znów po jej policzkach potoczyły się łzy. Domyśliłam się poniewczasie, że tym razem ich powodem była wyrażana przeze mnie solidarność. Chwyciłam bowiem zwichniętą i silnie stłuczoną rękę biedaczki zawieszoną na ukrytym pod płaszczem temblaku.

— Przepraszam — wyszeptałam przerażona swoją niezręcznością.

— To nic. Ja jestem przyzwyczajona do bólu — pocieszyła. — Mogę podać cię na świadka? — zapytała.

— Oczywiście — odparłam skwapliwie.

— Jakbyś się obawiała mojego starego, to zrozumiem. Ja wiem, że on jest zdolny do wszystkiego, a ty stale sama — dodała.

— „O mnie się nie martw. O mnie się nie martw, ja sobie radę dam” — zaśpiewałam fragment starego przeboju i pożegnałam się z nią serdecznie.

Dzielna, wspaniała kobieta — pomyślałam o niej z podziwem, wracając do domu. To cudownie, że skończy się jej udreka i że znalazła kogoś, kto ją docenił. Ona zasługuje na miłość, bo naprawdę potrafi nią obdarzać w sposób niemalże ewangeliczny i tak samo przebaczać. Jako katoliczka nie powinnam popierać rozwodów, a już na pewno nie kibicować jej związkowi z Andrzejem. Kita jest wprawdzie wdowcem, lecz ona nawet po cywilnym rozwodzie nie będzie przecież wolna. Jakie to wszystko skomplikowane — westchnęłam. Nie mogę jednak uwierzyć, że Bóg, który jest miłością, nie jest po ich stronie.

XV. „BESTIE” NA STRAŻY CZCI

Paweł męczył mnie podczas spotkań na kursie i telefonami z Warszawy o wypatrzenie dla niego jakiegoś siedliska, a ja nie bardzo miałam czas i ochotę się w to angażować. Bałam się też, że zawrócę ludziom głowę, zrobię im nadzieję na korzystną transakcję, a potem się okaże, że panu reżyserowi kaprys minął, a wtedy ja przed tutejszymi będę musiała świecić oczami. Lecz kiedy pod kościołem dopadł mnie Marian, który właśnie wrócił z Norwegii i przypomniał sobie o niedokończonej u mnie robocie, to żeby jakoś osłodzić mu zdradę, czyli zaangażowanie innego fachowca, chlapnęłam:

— U mnie to już nie ma nic do zrobienia. Góra została wykończona. Ale mam dla pana interesujące zadanie.

— Jak to wykończona? Kto wykończył? — Marian nie mógł uwierzyć, że ktoś śmiał mu wejść w szkodę.

— Czy to takie ważne kto? Przyszedł człowiek i zrobił, co było trzeba.

— A ciekawy jestem, czy ktoś z okolicy. Pewnie spieprzył robotę?

— Przeciwnie. Jestem bardzo zadowolona, bo zrobił porządnie i w terminie.

— Ale zdarł też solidnie? — dopytywał Marian w nadziei, że jednak coś było źle.

— Panie Marianie, interesuje pana ta nowa robota, czy zamierza pan najpierw uśmiercić tego, co wszedł panu w drogę?

— No dobra, przy okazji zobaczę, jak to wygląda, i nawet gratis poprawię — rzekł wspaniałomyślnie. — To co teraz budujemy? Dom dla córki czy synka? Zmieści się jeszcze jeden na tej działce, a i z tyłu można stawiać trzeci.

— Ale się pan rozpędził. Moje dzieci teraz wyleciały z gniazda i wątpliwe, czy będą tu w przyszłości mieszkać. Ja mam dla pana wyjątkowe zadanie. Trzeba znaleźć ładnie położony stary, drewniany dom w dobrym stanie i urządzić go

ciekawie w środku dla pewnego sławnego artysty.

— Żartuje pani?

— Nie, skądże znowu.

— Sławny artysta będzie chciał w starej chałupie mieszkać? Ja mu zbuduję nową taką, żeby wyglądała jak stara.

— On nie chce tu mieszkać, tylko mieć taką kryjówkę, gdzie mógłby obmyślać koncepcje kolejnych filmów czy przedstawień teatralnych, bo jest reżyserem.

— O, super! — Marian wyraźnie nabierał ochoty na pracę u filmowca. — Może o nas coś nakręci i będziemy sławni.

— Wszystko możliwe — potwierdziłam. — Warto więc się postarać. Jak pan coś takiego upoluje, proszę do mnie zadzwonić.

— Ja już mogę pani podać namiary na trzy domy do sprzedania. Jestem lepszy od agencji nieruchomości, chociaż tyle czasu mnie nie było w kraju — przechwalał się, zadzierając głowę.

— Wszystkie trzy są drewniane? — zdziwiłam się, bo takich ładnych drewnianych domków z rzeźbionym ganeczkiem jest już w okolicy naprawdę niewiele.

— No nie, ale jeden jest. A może murowany mu spasuje. Łatwiej będzie go przerabiać. Można zrobić coś tak, jak u pani.

— Panie Marianie, szczegóły omówi pan z moim znajomym. Mogę podać koledze pana telefon?

— Jasne — zgodził się z entuzjazmem i swoim zwyczajem zatarł ręce.

— Ale teraz odbiera już pan komórkę? — spytałam pomna na kłopoty, jakie miałam w komunikacji z moim majstrem.

— Pewnie. Teraz, jak mam iPhone'a, to zawsze noszę przy sobie. — Wyciągnął zza pazuchy wypasiony model i z dumą mignął mi nim przed oczami.

— Puszczę pani strzałkę z moim nowym numerem. Niech ten reżyser śmiało dzwoni. Na razie jestem na miejscu i może już tak zostanie.

— Pewnie będzie pan pracował u kuzyna? Firma Jacka działa pełną parą. Mają podobno sporo zamówień.

— Jeszcze nie zgłupiałem, żeby na kogoś pracować. Za granicą to co innego. Inne zarobki i jeszcze różnice w kursach, ale tu u nas mi się nie opłaca. A Jacek, jak zmadrzeje, to wróci do urzędu. Stała pensja, premie, kontakty i dostęp do informacji, a to jest bezcenne. Ja mu mogę tę firmę poprowadzić, a on niech robi to, co robił, i wtedy obaj wyjdziemy na swoje.

Marian miał przekonanie, że wszystkiemu podoła, na wszystkim się zna i nie ma żadnych ograniczeń. Nie chciałam z nim dyskutować, że zakres robót i skala zamówień firmy Jacka mogą przekraczać jego kompetencje, więc postanowiłam szybko się pożegnać.

— To niech się pan spodziewa tego telefonu.

— Tak jest, mam już koncepcję przebudowy tego domu Górskich. Wie pani, gdzie oni mieszkali? Od pani to rzut beretem. Zobaczysz pani, zrobimy pałac dla reżysera.

— Niech pan poczeka na wytyczne klienta. Jestem pewna, że jemu nie chodzi o pałac.

Skostniałam z zimna, a Marian roztaczał przede mną koncepcje rozbudowy trzech domów, którymi nie byłam osobiście zainteresowana i nie miałam pojęcia, jak wyglądają. Podobał mi się jednak jego zapał, energia i optymizm. A szczerze mówiąc, zazdroszczę mu także tej pewności siebie. Może nie potrzebowałabym jej aż tyle, ile ma Marian, takiej dawki moje otoczenie mogłoby nie znieść, ale jakieś trzydzieści procent wcale by mi nie zaszkodziło.

Gdy w następną sobotę zobaczyłam się z Pawłem na kursie, był on już po rozmowie z Marianem. Zauważyłam, że jest bardzo podniecony i gotów natychmiast jechać i oglądać domy, ale miał jeszcze zajęcia. Słuchał swoich

kursantów bez większego zaangażowania, widać było, że myślami jest gdzie indziej. Chciał mnie znów namówić na węgry. Stanowczo odmówiłam (ćwiczę stanowczość), więc pojechał wcześniej sam i zapowiedział, że wpadnie do mnie po oględzinach.

Wieczorem czekałam na niego z niecierpliwością, bo bardzo chciałam wiedzieć, czy któraś z propozycji Mariana przypadła mu do gustu i jak bliskimi sąsiadami ewentualnie będziemy. Naszykowałam kolację, podgrzewałam ją kilka razy, a Pawła wciąż nie było. W końcu wkurzyłam się i zadzwoniłam do niego.

— Mogłeś zawiadomić, że zmieniłeś plany i nie przyjdiesz. Naszykowałam kolację i czekam jak głupia — rugnęłam go jak spóźniającego się męża.

— Ależ nie denerwuj się, ja już do ciebie jadę — usłyszałam w słuchawce rozradowany głos Pawła. — Mam jeszcze ze dwadzieścia kilometrów i zaraz ci wszystko opowiem. Marian jest cudowny! To człowiek czynu, jakiego teraz mi trzeba! — wykrzykiwał podekscytowany.

Żebyś mnie tylko za jakiś czas nie przeklinał, jak cię ten człowiek czynu zostawi z rozbabraną robotą i skoczy czynić coś w Norwegii — pomyślałam. Wkrótce Paweł zajechał z fasonem przed mój dom. Wyskoczył z samochodu z butelką szampana w rękę, krzyząc:

— Kupuję! Cudo i półdarmo! Kocham cię!

— Ciszej! Oszalałeś? Takie okrzyki o tak późnej porze przed domem słomianej wdówki? Czy ty wiesz, jakie konsekwencje może mieć dla mnie twoje podniecenie? — palnęłam.

— Na ogół wiem, jakie są tego konsekwencje. Ale jeśli chcesz, możemy sprawdzić, jak będzie tym razem. — Paweł uśmiechnął się dwuznacznie, objął mnie ramieniem i starał się pocałować, ale go ostro odepchnęłam.

— Chcesz pobudzić wyobraźnię sąsiadów? Nie powstaną z tego zbyt oryginalne scenariusze. Orzekną po prostu, że się puszczam i tyle, a to nie jest dla mnie zabawne. Ja tu mieszkam, a ty będziesz tylko czasami bywał, to zasadnicza

różnica — powiedziałam poważnie.

— To mogę wejść, czy będziemy tego szampana pili na podwórku, żeby sobie nikt nic nie pomyślał? — Paweł wciąż był rozbawiony.

— Właż, bo zimno, ale na przyszłość się nie wygłupiaj. — Rozchmurzyłam się odrobinę. — Masz kieliszki, nalewaj i opowiadaj.

— Działka z domem, a właściwie z dwoma, jest bardzo blisko domu Mariana. To fantastyczny układ — entuzjazmował się. — Jego rodzina wszystkiego mi dopilnuje. Jacy to mili i serdeczni ludzie. Tutaj chyba wszyscy tacy?

— Wielu, ale nie wszyscy — odparłam, wyhamowując nieco ten afekt. — Ty zresztą zawsze będziesz miał status gościa, więc może będą cię kochać. Jeśli uznano by cię za miejscowego, zdziwiłbyś się, ilu nagle znalazłoby się twoich wrogów. Ale to nieważne. Rodzina Mariana jest serdeczna, lecz on sam cierpi na nadmierną przedsiębiorczość i samodzielność. Trzeba go kontrolować, studzić mu głowę od czasu do czasu oraz twardo domagać się wypełniania ustaleń, bo gotów wszystko zrobić po swojemu. No, trzeba się naturalnie liczyć z tym, że słowność i terminowość to pojęcia mu nieznane. Mówię to jako doświadczona inwestorka po przejściach. Ale po co ci aż dwa domy?

— Bo są po prostu w pakiecie. Z przodu drewniany, z rzeźbieniami i oszklonym ganeczkiem, a z tyłu koszmarny klocek z szarych pustaków. Właściciele uważają, że ten murowany strup jest domem właściwym, a drewniak traktują jako coś do rozbiórki.

— Znam ten układ — podchwyciłam. — Dzieci budują sobie tuż za starym domem rodziców. Oszczędzają każdy metr działki, bo planują wziąć rodziców do siebie, a drewniak szybko rozebrać. Ale staruszkowie wolą jak najdłużej pozostawać niezależni i takie tandemy stoją całymi latami. I co zamierzasz zrobić z pustakowym budynkiem na zapleczu?

— Na pewno częściowo rozebrać. Niepotrzebne mi jest piętro, bo z tyłu

planuję mieć tylko sypialnie i sanitariaty.

— A w drewniak?

— Salon z aneksem jadalnym i antresolą na strychu. Jakaś toaleta też się przyda. Wszystkie ściany wyburzam i otrzymuję prawie sto metrów cudownej przestrzeni.

— A można tak? Nic ci się nie zawali?

— To już sprawa fachowców. Niech zostawią jakieś belki, filary czy coś w tym rodzaju. Ten betonowy bunkier z tyłu obłoży się z wierzchu drewnem, żeby pasował do reszty i może szarpnę się na taką strzechę jak u ciebie. Marian obiecał, że załatwi.

— No, to już masz ją jak w banku. Tylko przygotuj się, że trzcina wyhodowana na naszych polach może trafić do ciebie z któregoś z państw unijnych.

— Z którego i dlaczego? — spytał Paweł zaskoczony.

— Nie wiem z którego. To zależy, gdzie akurat jeden z licznych kuzynów Mariana lub on sam będzie coś takiego kładł. Do mnie daleko nie jechała, bo tylko z Niemiec.

— Marian ma pracować teraz u mnie, już się dogadaliśmy.

— Jedna robota dla Mariana to mało. Ale wszystko będzie dobrze, na pewno. Ty masz gdzie mieszkać, to nagłe ucieczki ekipy z placu budowy nie będą dla ciebie zbyt uciążliwe.

— Co ty mówisz, przy tym bezrobociu oni pozwalają sobie na takie numery? Najwyżej ich pogonię i poszukam nowej ekipy. Ślubu z nimi nie brałem — odgrażał się Paweł.

— Radzę przyjąć postawę stoika i spokojnie czekać. Wrócą z wyrzutami sumienia i ze zdwojoną energią wezmą się do pracy. Zadzieranie z Marianem jest ryzykowne. On jest jak mafia, wszędzie ma krewnych i powinowatych. Inne ekipy boją się wchodzić mu w drogę.

— Bo co?

— Bo może ktoś podstawiony posolić zaprawę albo zamurować gdzieś coś bardzo śmierdzącego.

— Co na przykład? — Paweł był coraz bardziej przerażony, a ja nadal tworzyłam atmosferę strachu.

— Na przykład rozkładające się ciało...

— Ciało?! Czyje ciało?! — Paweł aż podskoczył na kanapie. — W co ty mnie wpakowałaś?

— Uspokój się — roześmiałam się nareszcie. — Miałam na myśli padlinę, a ty co myślałeś?

— Padlina też mnie nie uspokaja. Naprawdę tak robią?

— Tak przynajmniej straszą. Ja w sumie jestem z rezultatów ich pracy zadowolona, ale nie obyło się bez komplikacji.

— Tak mnie nastraszyłaś, że muszę jeszcze się napić, ale wolałbym coś mocniejszego. — Paweł obejrzał się na znany mu już barek. — Twój mąż ma dobrą whisky, a ty możesz skończyć tego szampana — powiedział wspaniałomyślnie i sam się obsłużył, nie czekając na moją zachętę.

— Ci ludzie, od których kupujesz dom, a właściwie domy, to pewnie też krewni Mariana? — spytałam.

— Nie wiem, ale widać było, że są w znakomitej komitywie. Marian robił wrażenie, że targuje się w moim imieniu, a pewnie wszystko wcześniej ustalili i naciągnęli naiwniaka z miasta. — Paweł stał się teraz zanadto podejrzliwy. Chciałam sobie z niego trochę pożartować, lecz nie było moją intencją psuć Marianowi opinii.

— Nie zrobiłeś wcześniej rozeznania, ile kosztują w naszym regionie takie nieruchomości?

— Popytałem znajomych, ale mówiliśmy o okolicach Warszawy.

— No, nie wiem, co ci powiedzieć. Myślałam, że jesteś dużym i samodzielny chłopcem.

— Ja nie mam głowy do takich rzeczy. Moje kobiety wiedziały o tym i zawsze mnie wykorzystywały.

— A co to za ludzie, ci sprzedający? Gdzie teraz mieszkają?

— Wygląda na to, że bardzo biedni. Mają niepełnosprawne dziecko, które potrzebuje stałej, specjalistycznej rehabilitacji, dlatego mieszkają w Kielcach w pobliżu szpitala w wynajętym pokoju z kuchnią.

— I ty się jeszcze z nimi targowałeś?! Kupiłeś za bezcen, jak sam powiedziałeś, dwa domy i jeszcze boisz się, że cię nabrali? Wstydź się! — huknęłam na niego. — Zapytaj lepiej, czy mógłbyś im w czymś pomóc. Może przyda się im jakiś sprzęt, może potrzebne są lekarstwa. Obracasz się w środowisku ludzi bogatych, którzy mogą zrzucić się na taką konkretną pomoc.

— Wiesz, nie pomyślałem o tym. Taka akcja mogłaby pomóc także i mnie.

— Zwłaszcza w zbawieniu. Ale chyba nie to miałeś na myśli? — zakpiłam. — Nie martw się, Marian cię nie oszuka. Jeśli zawyży cenę materiałów, to na robociźnie opuści. Bez najmniejszych skrupułów robi on w konia tylko skarb państwa. Ja osobiście nie mam mu tego za złe, a nawet czuję pewną satysfakcję, jakby odgrywał się za mnie i innych, którzy nic nie mogą zataić i których bez litości łupi bandyckie państwo opiekuńcze.

Jak to na ogół wśród Polaków bywa, alkohol zagrzewał nas do coraz bardziej zajadłej dyskusji polityczno-moralnej. Okazało się, że oboje w pewnych dziedzinach jesteśmy liberałami, ale są to zupełnie różne dziedziny i w sumie w niewielu rzeczach jesteśmy w stanie znaleźć konsensus. Paweł, jak na artystę przystało, żąda absolutnej wolności twórczej, bez żadnych ograniczeń nawet w sferze moralnej i religijnej, czego nie jestem w stanie zaakceptować. Ja natomiast uważam, że państwa europejskie pod pretekstem humanitaryzmu i opieki socjalnej zwalniają ludzi z odpowiedzialności za siebie, a w wielu

przypadkach po prostu ubezwłasnowolniają swoich obywateli.

— Ludzi traktuje się jak przygłupów pozbawionych inteligencji, których każdy ruch powinien być obłożony odpowiednimi przepisami i ustawami. Niedługo wysrać się, za przeproszeniem, nie będzie można bez zapoznania z instrukcją. A ekspansja seksualnych instruktorów, którzy niedługo wkroczą już do żłobków? — pytałam prowokacyjnie. Szampan i dyskusja podniosły mi ciśnienie, a ja podnosiłam głos, bo wkurzał mnie ten facet ze swoimi poglądami. Przez moment byłam już nawet skłonna uznać go za dość sympatycznego, ale teraz musiałam powstrzymać się, by nie wbić mu widelca w udo.

Lepiej było zakończyć na dziś niebezpieczne rozmowy, zwłaszcza że mój gość wysączył już resztki whisky i zaczął się rozglądać za jakąś następną butelką mocnego alkoholu.

— Myślę, że pora rozejść się w pokoju — zakomunikowałam zdecydowanie i w tym momencie uświadomiłam sobie, że nie zamówiłam Pawłowi pokoju. — Boże, zapomniałam na śmierć zadzwonić do Piotrowskich i nie masz gdzie spać! — powiedziałam ze skruszoną miną. — O tej porze nie wypada budzić ludzi. Agroturystyka to nie hotel.

— Nie przesadzaj, masz tyle miejsca. Daj chociaż koc, a prześpię się na tej kanapie. Za zimno, żebym miał spędzić noc w samochodzie. — Paweł czochrał się po wyleniałej czuprynce i ziewał szeroko. Widać było, że on znacznie mniej emocji zaangażował w tę ideologiczną dyskusję. Teraz uznał, że jeśli nie dają pić, to trzeba iść spać.

— Ale nie możesz tutaj zostać. Chyba to rozumiesz? Ja się ciebie nie obawiam, tylko...

— Wiem, wiem, konwenanse. Nie uważasz, że to śmieszne? I tak już podpadłaś. Mój samochód od wielu godzin stoi przed twoim domem i tak już zostanie, bo po pijaku staram się nie jeździć. Gdyby nasze spotkanie było miłosną schadzką, moglibyśmy być już w połowie Kamasutry. Więc po co teraz

jeszcze robić jakieś halo?

Już miałam na końcu języka, że z tą połową Kamasutry to się mocno przechwała, ale w porę pomyślałam, że mogłoby to zabrzmieć jak wyzwanie, więc ugryzłam się w język. Nie było wyjścia i musiałam naszykować mu spanie. Nie chciałam aż tak strasznie się certować, żeby nie popaść w śmieszność, bo Paweł nie nastawał raczej na moją cześć niewieścią.

— Dobra, chodź, zaprowadzę cię do pokoju gościnnego. — Poprowadziłam go schodami na górę. Pościel była świeża i ręczniki też, bo miałam nadzieję, że mama przyjedzie na weekend. — Tam w końcu korytarza masz łazienkę. Możesz jeszcze zejść teraz ze mną na dół po wodę mineralną. Ale potem bądź już raczej na górze — poprosiłam.

— Czujesz z mojej strony jakieś zagrożenie? — Paweł uśmiechnął się z zadowoleniem. — Przecież ja...

Nie chciałam usłyszeć, co miał do powiedzenia, więc szybko wyjaśniłam:

— Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo. Niby berneńczyki są łagodne, lecz jeśli pies wyczuwa, że ktoś się go boi, może być różnie — postraszyłam. — W zimne noce wpuszczam psy do domu. Temperatura spadła już poniżej zera, a one wciąż na dworze, biedactwa. Jestem złą panią, wystarczyło trochę szampana i już zapomniałam o swoich pieseczkach — łągałam jak z nut i skierowałam się do tylnego wyjścia.

— Nie przesadzasz? — zdziwił się Paweł. — One mają taką długą puszystą sierść. W domu będzie im za ciepło.

Otwarcie drzwi i moje gwizdnięcie przerwało tę bezprzedmiotową dyskusję. Zdziwione nieco i zaspane berneńczyki z pasmami słomy w kudłach i błotem na potężnych łapskach wbiegły do holu. Usłyszałam tylko trzask zamykanych na górze drzwi. Dość długo jeszcze układałam wybudzone ze snu i gotowe natychmiast do zabawy psy. Nie obyło się bez skakania na mnie i na ściany, na których odbiły się potworne ślady brudnych łap. Powkładałam naczynia do

zmywarki i wreszcie sama się umyłam. Nie usłyszałam jednak, żeby otwierały się jakiegokolwiek drzwi na górze. Pawełek najwidoczniej bojąc się, że bestie, usłyszawszy jakiś ruch, pognają po schodach na górę, poszedł do łóżka nieumyty.

XVI. CUD BOŻEGO NARODZENIA

W tym roku Święta Bożego Narodzenia zapowiadały się w naszym domu ciche i smutne. Przy wigilijnym stole miały zasiąść tylko trzy osoby: Krzyś, Dominika i ja. Zawsze narzekałam na zmęczenie przedświątecznymi przygotowaniami, które odbierało mi dużą część radości ze wspólnego spotkania z rodziną. Moje skupienie na porządkach i jedzeniu spłycało przeżycia religijne niemalże do minimum, to jest spowiedzi i rekolekcji, na których siedziałam jak na szpilkach, planując w trakcie kazania zakupy prezentów i kolejność prac w ciągu najbliższych dni. Powinnam więc być zadowolona, że raz przynajmniej nie napracuję się jak bury osioł i może odczuję metafizyczny charakter tych dni. Będę mogła się zrelaksować, coś poczytać, pochodzić na spacer i co mi tam jeszcze miłego wpadnie do głowy, a nie tylko podawać do stołu i z niego sprzątać. Powinnam być zadowolona, ale nie byłam.

Cierpię na syndrom konia, który chodził długie lata w kieracie i potem, pasąc się wolno na zielonej łące, wciąż tęskni za znaną, powtarzalną czynnością, czyli swoim kieratem. Nie wiem, czy zdiagnozowano już taki syndrom u gospodyń domowych, ale ja go na pewno posiadam. Kiedy pomyślałam sobie o tych skromnych trzech talerzykach na stole, robiło mi się przykro i w ogóle nie chciało mi się nic szykować.

— To już lepiej wyjedźmy gdzieś na wczasy i wszystko będziemy mieli gotowe i podane — powiedziałam do Krzysia bez przekonania, że podchwyci tę myśl, bo znam jego zasady. Mój mąż nie wyobraża sobie spędzania świąt poza domem.

— Co ty znów wymyślasz?! Wiesz, że nie wyobrażam sobie...

— A ja sobie wyobrażam — nie dałam mu dokończyć. — Moja wyobraźnia nie ma jakichś takich dziwaczných ograniczeń — warknęłam ze złością. — Nie zauważyłeś, że świat się zmienia? My powinniśmy zmieniać się z nim. Patryk

spędzi święta w cyrkowej stajni, można więc powiedzieć, że jakby ewangelicznie. Moja mama ma ponoć inne plany, których nie chce na razie ujawniać. Nie będę z nią dyskutować, skoro nie chce jak co roku być z nami. A siostra ze szwagrem jadą do Jerozolimy, żeby, jak mówi Zyta: „na miejscu poczuć, jak wyglądał cud zejścia Boga na ziemię”. Oni akurat w swej ekstrawagancji idą pod prąd społecznych przemian, czego nie mogę powiedzieć nawet o twoich rodzicach. Twoja mama powiedziała, że załatwiła hotel ze spa w Mrągowie. Chce przekonać tatę, iż nie musi szukać atrakcji za granicą, bo ona także potrafi mu je zapewnić. Ja też mogłabym w Wigilię zjeść pizzę wegetariańską i pospacerować nad brzegiem morza, gdyby nie psy i koty.

Mój słowotok zadziwił Krzysia, a podsumowanie zbiło trochę z pantałyku. Nareszcie poznał wszystkie powody naszego tegorocznego osierocenia. Najbardziej zaszokowała go informacja o jego własnych rodzicach, których zawsze stawiał mi za wzór. Pomyślał chwilę i odrzekł:

— Jak to dobrze, że mamy zwierzęta. Muszę im kupić prezenty za to, że uratowały moje święta. — Tym rymowanym stwierdzeniem zupełnie mnie rozbroił.

Nagotowałam wszystkiego, jak zwykle, w wielkich garach, inaczej po prostu nie umiem. Byliśmy już w połowie kameralnej wieczerzy wigilijnej, gdy nagle zadzwoniła moja komórka. Trochę się zdziwiłam. Kilka godzin wcześniej składaliśmy sobie życzenia z rodziną i znajomymi. Zaniepokoiłam się, sądząc, że może to być jakaś zła wiadomość. Zanim jednak odnalazłam w kieszeni podwórkowej kurtki swój telefon, sygnał umilkł. Okazało się, że dzwoniła Grażka. Serce zbiło mi mocniej z niepokoju. Dokładnie dwa tygodnie wcześniej zakomunikowała nam radosną nowinę, że jest w ciąży. Była w euforii. Rodzinę Jacka mieli poinformować właśnie w święta. Szykowała się na Wigilię do przyszłej teściowej.

— Co się stało?! — zapytałam, oddzwaniając natychmiast.

— Możemy do was wpaść teraz i zostać do jutra? — spytała zapłakana Grażyna.

— Jasne! — wykrzyknęłam. — Czemu płaczesz? Czy coś z dzieckiem?

— Nie. Powiem ci, jak przyjedziemy. Przepraszam, że z naszymi problemami pchamy się do was w taki czas, ale ja mam tylko ciebie. Ty jesteś teraz moją rodziną. — Szlochała jak nie ona. Cięża jednak zmienia charakter — pomyślałam.

— Cieszymy się, że przyjdziecie. Było nam bardzo smutno tylko we troje. Czekamy! — zakończyłam.

Krzyś i Dominika patrzyli na mnie zdziwieni.

— No co? Chyba się cieszyacie, że będziemy mieli gości? — powiedziałam.

— Tak, jasne — odparła Dominika. — Tylko trochę dziwne, nie? Jacek ma taką liczną i zżyłą rodzinę, a oni do nas i to akurat teraz, gdy...

— Czy Jacek jest z Grażyną? — spytał szczerze zaniepokojony Krzyś.

— Chyba tak, używała liczby mnogiej — odpowiedziałam po namyśle.

— To jeszcze nie jest tak źle. Z ciążą też nic się nie dzieje, bo jechaliby do szpitala, a nie do nas na wieś — dedukował mój mąż, gdy ja tymczasem dokładałam talerzy i sztućców i wstawiłam na gaz garnek z zupą grzybową, która już zdążyła wystygnąć.

Grażyna i Jacek dosłownie po kwadransie byli już przed naszym domem.

— Lecielście samolotem czy co? W piętnaście minut z Kielc, to niemożliwe — powitałam ich w drzwiach osłupiała ze zdziwienia.

— Jedziemy od rodziny Jacka. Nie wytrzymałam, wstałam od stołu i wyszłam, a Jacek za mną — wyjaśniała pośpiesznie Grażka, zdejmując okrycie. Jacek rozbierał się w milczeniu i minę miał nietęgą.

Kiedy usiedli przy stole, sięgnęłam po opłatek i podałam im, mówiąc:

— O żalach i pretensjach będziemy mieli jeszcze czas porozmawiać, a teraz

przełammy się opłatkiem. Dobre myśli i dobre życzenia są tego wieczoru najważniejsze. — Jacek spojrzał na mnie z wdzięcznością, bo nabuzowanie Grażyny nieco osłabło, gdy wszyscy rzuciliśmy się ją całować i życzyć szczęśliwego rozwiązania.

— Jak dobrze, że tu przyjechaliśmy — westchnęła Grażka, ocierając znowu kapiące jej po policzkach łzy. — Tutaj jestem przynajmniej akceptowana i nikt mnie nie poucza, jak mam żyć.

Na te słowa ukochanej Jacek się zasepił. Krzyś wyciągnął z barku wino, a ja podałam kieliszki, wszystkim oprócz Grażyny oczywiście. Jacuś łapczywie wychylił od razu cały kieliszek, więc Krzyś nalał mu następny. Zawsze pogodny chłopak próbował jakoś rozładować stres. Zdawałam sobie sprawę z jego trudnego położenia. Dla niego rodzina miała wielkie znaczenie i bardzo mu zależało, żeby jak najlepiej ułożyły się stosunki pomiędzy jego wybranką a rodzicami, których był oczkiem w głowie jako ich najmłodsze i najlepiej radzące sobie w życiu dziecko.

Pierwszym problemem dla rodziny mógł być wiek Grażyny, ale jej młodzięńczy wygląd i wysoka pozycja społeczna jakoś to zrekompensowały. Następnym zgrzytem stała się wyprowadzka synka do miasta. Grażyna nie chciała mieszkać w bezpośredniej bliskości teściów, ciotek, wujków, szwagrów i bratowych. Nie podobał jej się poza tym ogromny i według niej mało funkcjonalny dom. Rodzinka pewnie komentowała kaprysy Grażki, ale w końcu przyjęli argument, że tak Jacuniowi będzie wygodniej, bo bliżej do pracy. Teraz wieść o ciąży Grażynki miała wymazać wszelkie żale i przybliżyć ją do rodziny. Jacek w głębi duszy liczył na łzy wzruszenia, a nie złość i obrazę. Jego rodzice i rodzeństwo byli już nauczeni nie komentować tego, co dzieje się w jego związku, oby tylko on był szczęśliwy. Nie przewidzieli jednak, że zaproszona na Wigilię stara ciotka powie szczerze, bez żadnych tam eufemizmów czy peryfraz, co myśli o związkach „na kocią łapę”.

— Grażka, nie powinnaś mieć jej za złe. Ona spełniła obowiązek dobrej chrześcijanki, napomniała was — powiedziałam, wprawiając przyjaciółkę w osłupienie. Grażyna zachnęła się i może miała nawet zamiar poderwać się od naszego stołu, lecz ja, stojąc za jej krzesłem i gładząc ją po plecach, spokojnie mówiłam dalej: — Szkoda, że latem, tak jak planowaliście, nie wzięliście ślubu. Wesele można było zorganizować tak, żeby rodzina była zadowolona, bo przecież to im najbardziej zależało. Zresztą ciotce na pewno nie o wesele chodziło. Wszystko byłoby łatwiejsze dla nich i dla Jacka, gdybyście mieli ślub. Taka zwarta, tradycyjna rodzina jest wielką wartością i ty, Grażynko, nie wbijaj w nią klina. Co innego, gdybyś nie była wierząca. Wtedy zrozumiałabym, że dyktat rodziny może być dla ciebie uciążliwy. Jeśli jednak odwlekacie ślub i wesele na jakiś bardziej sprzyjający czas, bez istotnych powodów, to ciotka miała rację. Przecież ona swoimi słowami nie chciała cię wykluczyć z rodziny, a wręcz przeciwnie, domagała się związania ciebie i twojego dziecka jedynymi liczącymi się dla niej więzami, czyli sakramentem. — Skończyłam i zaczerwieniłam się, bo poczułam skupione na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Mąż klasnął parę razy w rękę, co miało znaczyć, że mu się moje kazanie podobało. Jacek kiwał głową z aprobatą, tylko Grażka i Dominika miały jakieś dziwne miny. Z córką będę musiała porozmawiać w najbliższym czasie o pryncypiach, a w postawie przyjaciółki ucieszyło mnie to, że już się nie oburzała i nie rzucała do wyjścia, tylko zażartowała:

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie? Dobra, pojedziemy jutro do rodziców i pogadamy z nimi. Nie chcę, żeby to dziecko było jakimś złoślikiem i kłótnikiem.

— Zaśpiewajmy kolędę — zaproponował Krzyś.

— A kiedy będzie Mikołaj? — upomniało się nasze dziecko.

Dalszy ciąg wieczery był już bardzo przyjemny. Mikołaj podrzucił do salonu, w okolice kominka, prezenty w worze z poszewki. Ukradkiem zdążył je

chwile wcześniej sprawiedliwie podzielić między wszystkich obecnych, doczepiając nowe karteczki z imieniem obdarowanego. Potem podałam kompot z suszonych owoców i ciasto. Zastanawialiśmy się, czy pojedziemy na pasterkę, ale nie bardzo miał kto prowadzić samochód. Grażyna migiała się zmęczeniem i postanowiła pójść do łóżka, a my wszyscy piliśmy do kolacji wino. W tym momencie, jakby odgadując nasze myśli, zadzwonił Szymek Kita z pytaniem, czy chcemy skorzystać z ich środka transportu do kościoła.

— Jasne. A czym jedziecie, wozem drabiniastym? — zażartowałam. — Na tyle ludzi to trzeba by autobus. My mamy jeszcze dwoje gości.

— To niech się pani i reszta ciepło ubiera i wygląda przez okno — powiedział zagadkowo Szymek i się wyłączył.

Nie minął nawet kwadrans, gdy za oknem usłyszeliśmy dzwonki.

— Teraz dopiero przybył prawdziwy Mikołaj! — krzyknęła z dziecięcą radością Dominika i bez żadnego okrycia wybiegła przed dom.

Ogromne sanie zaprzężone w parę krępych kosmatych koników zajęchały przed ganek. Powoził Kita, a obok siedział Szymek. Dalej pomiędzy Paulinką i Danusią połyskiwały jedynie oczy najmłodszych Kiciątek, których buzie zasłaniały jednakowe wełniane szaliki, a reszta była przykryta baraním błamem.

— Zapraszam państwa! — krzyczał podekscytowany Kita, a Danusia mościła nam miejsca pod baranicą. — Wszyscy się zmieściecie, spokojnie.

— A może ty byś się jednak położyła? — Jacek zwrócił się do Grażki.

— Nie, nie jestem już zmęczona. — Grażyna odzyskała werwę i dobry humor.

Zapakowaliśmy się na sanie i ruszyliśmy. Jechaliśmy okrężnymi, nieodśnieżanymi drogami. Świecił ostry księżyc, niebo było rozgwieżdżone, powietrze krystaliczne i mroźne. Ze Świętego Krzyża dotarł do nas dźwięk nowych, milenijnych dzwonów. Niektórzy ludzie od nas co roku chodzą nocą tam przez las na pasterkę. Też bym kiedyś chciała, ale na ogół nie mam siły po

przygotowaniu i podaniu wieczerzy.

Spojrzałam na szczyt. Szacowne mury klasztoru były znakomicie widoczne na tle czarnego nieba dzięki oświetleniu, jakie zainstalowano po remoncie. Nareszcie świeci się nie tylko wieża radiowo-telewizyjna, betonowy koszmar pochodzący z czasów głębokiego PRL — pomyślałam z pewną satysfakcją.

Dzwoneczki przy uprząży huculskich koników cienkimi głosikami jakby odpowiadały poważnym dzwonom kościelnym. Mijaliśmy rozświetlone kolorowymi lampkami, pięknie udekorowane domy i ogródki. Drzew przydrożnych nikt nie ubierał, a miały pobielone pnie i gałęzie. Na choinkach zupełnie niezmiernie prezentowały się czapy śniegu, których powierzchnia w świetle latarni rozbłyskiwała tysiącem diamentowych kryształków. Było cudownie, po prostu cudownie.

Błyszczały także oczy dzieci i wydatne, pociągnięte ciemnoczerwoną szminką usta uśmiechniętej Danusi. Oparłam głowę o ramię Krzysia i wypatrywałam spadających gwiazd.

— Sanie miałem jeszcze po dziadku, a uprząż musiałem kupić, bo stare chomąta i szory nie pasowały do tych konusów — dotarły do nas słowa Kity. — Okazyjnie to wszystko kupiłem, od takiego miastowego, co to sprawił sobie siedlisko i chciał hodować konie, a nie wiedział jak. Myślał, że do konia wystarczy raz na tydzień zaglądnąć. Zabiedził je sukinsyn. Trzeba je będzie trochę podtuczyć i o kopyta zadbać. U mnie będą miały dobrze. A kobyła jest żrebna.

— I po co panu te zwierzęta? — zapytał Krzyś. — Do prac polowych ma pan przecież traktor.

— Jeszcze nie mam dokładnego planu — przyznał Kita. — Może jaką agroturystykę otworzę? Tu u nas w okolicy tyle teraz pól odłogiem leży, można by wydzierżawić i chociaż konie na nich wypasać. Moda jest na hipoterapię, no nie? Ja teraz, doktorze, jak nie piję, czuję w sobie taką energię, że góry mógłbym

przenosić. I pomysłów mam dużo. Tylko boję się coś rozpoczynać, bo wisi nade mną przerwana odsiadka. Adwokat robi, co może, żebyśmy mógł ze względu na dzieci jak najdłużej pozostawać w domu. Na razie decyduje o tym jakaś kobieta, co wczuwa się w sytuację dzieci, ale to w każdej chwili może się zmienić.

— A ile ma pan jeszcze tego wyroku? — spytał Krzyś.

— Prawie dwa lata — odparł Kita.

— Sporo, jak spojrzeć na to z pańskiej perspektywy. Ale chłopak zginął i pana wina była ewidentna — powiedział poważnie mój mąż.

— Ja się na ten wyrok nie skarżę. Co to jest dwa lata za czyjeś życie, i dwadzieścia byłoby mało. Sam bym takiemu sukinsynowi, co pijany na drogę wyjeżdża, kazał kamienie tłuc. Ale najbardziej mi żal dzieci. Co one winne, że na nich los się tak mści?

— Dobrze, że pan teraz tak to widzi. Może pan zmienić ich los. A wyrok jest już prawomocny?

— Tak. Czekam tylko na wezwanie do odbycia kary. Chyba już bym chciał, żeby przyszło. Adwokat mówił, że będzie występował o skrócenie. Jakby się udało, to może na przyszły sezon bym coś z tymi końmi zaczął. Danusia się dziećmi zajmie i jakoś zleci, a potem wezmę się do roboty i wszystko odpracuję. Dzieciom krzywdy wynagrodzę, przyrzekłem sobie i Bogu. Takie prywatne śluby zrobiłem. — Głos mu się załamał, ale odchrząknął, splunął w bok i ciągnął dalej: — Przecież kiedy jeszcze moja żona żyła, niczego nam nie brakowało. Mieliśmy truskawek, malin, czarnej porzeczki najwięcej w gminie. I skup działał od czerwca do jesieni. Nawozami i środkami ochrony roślin trochę jeszcze handlowałem. Mojej żonie to się robota w rękach paliła i tak zarządzać umiała jak chłop. Przecież ludzi trzeba było najmować, z Ukrainy nawet przyjeżdżali do nas na sezon. A potem tak nagle, jak to mówią, grom z jasnego nieba.

— Tak, pamiętam. Miałem wtedy dyżur w pogotowiu. To straszna tragedia. Zostałem ją leżącą jeszcze pod tym drzewem i przerażone dzieci kryjące się

w krzakach.

— Jak sobie pomyślę, że dzieci też mogły być z nią pod tym drzewem, to mi się aż coś robi. Na szczęście Anka chyba wcześniej je wysłała do domu, jak tylko zaczęło grzmieć, a sama pewnie chciała dozbierać koszyczek. Jak nagle lunęło, dzieciaki były blisko domu, koło porzeczek i tam się schowały, a Anka z truskawek wyskoczyła pod drzewo. No i walnęło. Paulinka to się jeszcze czasem w nocy budzi i krzyczy.

— A te najmłodsze? One chyba tego nie pamiętają?

— Nie, bliźniaki to były małe, dopiero ledwo co łążyły. Ciotka Bzymkowa z nimi siedziała w domu. One tego nie widziały. Boję się tylko, że mogły zapamiętać na zawsze widok zapijaczzonego ojca, co się nad sobą użalał, a o nie wcale nie dbał.

Dojechaliśmy wreszcie do Swarowic. Kita zatrzymał konie na ulicy prowadzącej do rynku pięknie świątecznie udekorowanego i całkiem niedawno przebudowanego w miejskim stylu. Trzeba było uwiązać hucuły i przygotować do dłuższego postoju. Kita z synem powycierali je z potu i poprzykrywali pieczołowicie derkami.

— Przecież one mają taką długą sierść i mówiłeś, że się mrozu nie boją — wypomniała tacie Paulinka, głaszcząc jednego z koni po chrapach.

— Nie są jeszcze w dobrej kondycji, a poza tym zgrzały się — odpowiedział Kita. — Ty też spocona nigdy nie wychodź na mróz — dodał.

— Zobacz, on mnie chyba lubi — ucieszyła się dziewczynka, gdyż koń przytulił duży łeb do jej małej główki.

W kościele było już pełno ludzi, ale moi uczniowie zrobili miejsce dla mnie i Danki. Wzięłyśmy na kolana śpiące bliźniaki i usiadłyśmy tak zwanym „półgębkiem”, żeby Grażka także się zmieściła. Panowie z Dominiką, Szymkiem i Paulinką musieli stanąć pod filarami. Wszyscy w kościele jeszcze kokosili się i mościli, jakby przyszli na występy, a nie do świątyni. Każdy się rozglądał,

szukał w tłumie znajomych albo obcinał wzrokiem co bardziej wystrojone osoby. Młodzież chichotała, a babki szeptały coś sobie nawzajem na ucho.

Zauważyłam, że kilka osób było nadmiernie zainteresowanych Danusią i Andrzejem. Plotki w naszej gminie mamy szybsze niż Internet i w dodatku całkowicie gratis. Zastanawiałam się, czy na miejscu Danki miałabym tyle odwagi, żeby afiszować się akurat w święta w kościele z tak kontrowersyjnym związkiem. A ciekawe, co się dzieje z jej mężem? — pomyślałam. Czyba nie trzymają go w areszcie? U nas mordercy i gwałciciele czekają na wolności na rozprawy i zastraszają ofiary, a co dopiero „zwykły” domowy oprawca. Wątpliwe, żeby dostał wyrok bez zawiasów. Podziwiam odwagę Danki albo jej naiwność. Czy to możliwe, że ona wierzy, iż jej mąż w pijackim amoku będzie przestrzegał sądowego zakazu zbliżania się do niej? Ja w to wątpię.

Moje myśli krążyły z dala od żłóbka, od cudu Bożego Narodzenia, nie mogłam się skupić i zmówić nawet prostej modlitwy. Tyle rzeczy miałam do przemyślenia. Tyle poważnych pytań do samego Boga.

Nagle ustał gwar ściszonych rozmów, odgłosy kaszlu, chrząknięć i szurania nogami, bo odezwał się głos sygnaturki. Ludzie wstali i cały kościół wypełnił śpiew i muzyka organów. Tak głośno, tak pięknie, że aż mnie coś schwyliło za gardło, rozbrzmiała kolęda „Bóg się rodzi”. Wtedy poczułam się zjednoczona z tą wspólnotą, z tą parafią. Kocham tych wszystkich ludzi z ich wadami, śmiesznościami i niewątpliwymi zaletami. Uczucie wszechogarniającej nas wszystkich miłości i wdzięczności to był właśnie cud Bożego Narodzenia.

XVII. NAJDŁUŻSZY DZIEŃ

Sylwestra miałam spędzać już samotnie w domu, bo Krzyś musiał być w pracy drugiego stycznia, a nie znalazł taniego lotu z najbliższych lotnisk do Liverpoolu w Nowy Rok. Było nam bardzo przykro rozstawać się w dniu, w którym większość ludzi razem tańczy, pije szampana i składa sobie o północy życzenia.

— My już się w życiu natańczyliśmy, możemy raz, każde z osobna, pogapić się w telewizor, a potem wypić toast przed ekranem komputera, życząc sobie szczęśliwego Nowego Roku za pośrednictwem Skype'a — pocieszałam męża pakującego w przeddzień wieczorem swoje manatki.

Rankiem do Warszawy zabrała się z nami również Dominika. Twierdziła, że spędzi sylwestra z koleżankami i kolegami z uczelni. Trochę mnie zastanawiało to, że nie biegała w ferie po sklepach, nie szukała nowej sukienki, z włosami też nie robiła żadnych eksperymentów. Indagowana przeze mnie na temat Łukasza, powiedziała wymijająco:

— Nie zerwaliśmy ze sobą, bo nie było co zrywać. Jeśli zechce, to mnie znajdzie.

Nie miałam wątpliwości, że Łukasz to już przeszłość w jej króciutkim życiorysie.

Gdy wyjeżdżaliśmy z domu, lekko prószył śnieg. Na trasie opady wyraźnie się nasiliły. Pod samą Warszawą było już tragicznie. Gdyby nie konieczność dowiezienia męża na lotnisko, zawróciłabym z drogi jeszcze przed Radomiem.

Na Okęciu panował ogromny bałagan. Skoro świt wystartowało tylko kilka samolotów, a potem zarządzono przerwę do odwołania. Nikt nam nie umiał powiedzieć, kiedy jest szansa na wznowienie lotów. Krzyś się upierał, żebym go zostawiła i jechała do mamy. Ja chciałam zabrać go z powrotem do domu i raczej próbować zawiadomić jego pracodawcę, że nie dotrze na czas do pracy.

— Przecież muszą być przygotowani na zorganizowanie błyskawicznego zastępstwa, skoro zatrudniają ludzi z zagranicy. Zadzwoń do szpitala — przekonywałam.

Połączenie ze szpitalem okazało się jednak niewykonalne, gdyż trzydziestego pierwszego grudnia placówka była jeszcze nieczynna z powodu przerwy świątecznej. Mąż ostatecznie zdecydował się koczować na lotnisku aż do wznowienia lotów. Nie pragnął też mojego towarzystwa, bo wprowadzałam ponoć nerwową atmosferę, wymyślając rozwiązania w stylu: „Jedź pociągiem do Szczecina, tam jest zupełnie inna pogoda”. Ja po prostu ciężko znoszę bezczynność w takich sytuacjach. A Krzyś wyciągnął sobie nowy numer „Modelarstwa Okrętowego” i nie mógł się doczekać, kiedy obie z Dominiką przestaniemy go namawiać na jakieś bezsensowne ruchy, by mógł się wreszcie oddać ulubionej lekturze.

Znając oszczędność mojego męża, podejrzewałam, że boi się, iż przypadnie mu forsa za bilet, jeśli wznowią loty, a jego nie będzie na miejscu. Od tanich linii wyrwać pieniądze jest niezwykle trudno. Dominika wspaniałomyślnie zaproponowała, że weźmie taksówkę lub pojedzie autobusem z Okęcia do babci, żebym ja nie wjeżdżała już w miasto, tylko szybko puła do domu, bo może być jeszcze gorzej na drogach. Krzyś miał w tej kwestii inne zdanie i usilnie mnie przekonywał:

— Jedź do mamy i nie ryzykuj. Nie musisz przecież dzisiaj wracać do Zalewic. Jutro może wszystko stopnieć. Zapowiadali ocieplenie — męczył.

— A psy? — zapytała Dominika, gdy już siedzieliśmy w aucie. — A koty? Rano chciały wyjść, to je wypuściłam. Wpuszczałaś je z powrotem?

— Ja? Nie przyszłoby mi do głowy, że są na zewnątrz. Po co wychodziły, one tak nie lubią zimna i śniegu — dziwiłam się. — A czemu ich nie zawołałaś przed wyjazdem z domu?

— Zapomniałam na śmierć. Biedne kiciusie, takie nieprzyzwyczajone do

mrozu. — Dominika, która normalnie nie zwracała na nasze koty uwagi, teraz rozczulała się nad ich losem.

Niby się już zgodziłam z Krzysiem, że pojedę do mamy, ale nagle na Żwirki i Wigury, łamiąc przepisy, zatrzymałam się na przystanku.

— No to zasuway autobusem do babci, bo mi te koty nie dadzą spokoju — powiedziałam.

Dominika wyskoczyła jak z procy, uśmiechnęła się do mnie i pomachała ręką. Musiałam szybko zmiatać, gdyż nadjeżdżał autobus. Na rondzie zawróciłam, by znaną mi już na pamięć siódmką podążyć do moich marzących kotów.

Po minięciu Białobrzegów miałam dość podróży i żałowałam gorzko, że nie posłuchałam Krzysia. Zadymka przeszła w marznący deszcz, który zamienił jezdnię w istną ślizgawkę. Jak lukrem oblepiał on lodem szyby, psując widoczność. Wycieraczki nie były w stanie tego zeskrobać. Co jakiś czas musiałam się zatrzymywać i używać odmrażacza oraz ostrej skrobaczki, żeby w ogóle coś widzieć. Samochodów osobowych na trasie zrobiło się nieco mniej, tylko tiry pręły normalnie, jakby panowała wiosenna pogoda, wyrzucając spod kół na moje małe autko kilogramy brudnej brei.

Początkowo miałam chyba rozsądny plan, żeby nadłóżyc nieco drogi i pojechać przez Kielce. Potem jednak stwierdziłam, że im więcej samochodów, tym większa szansa jakiejś kolizji i w Suchedniowie zjechałam z ekspresówki. Teraz dopiero zaczęła się bonanza. Zaraz za miasteczkiem droga prowadzi przez las, gdzie od rana nie było chyba żadnego sychacza ani piaskarki. Zresztą zadymka stała się tak gęsta, że odśnieżanie niewiele by dało. Koła mojej małej toyotki grzęzły w śniegu lub ślizgały się na odsłoniętym przez wiatr lodzie. Bałam się, że w każdej chwili mogę utknąć w śniegu lub, co nie daj Boże, ześliznąć się do rowu. Nagle przed maskę samochodu nie wiadomo skąd wyskoczyły dwa psy. Odruchowo nacisnęłam hamulec. Puściłam go

natychmiast, uświadomiwszy sobie, że zrobiłam najgłupszy błąd. Usłyszałam chrobot ABS-u, lecz mimo to przód auta zarył w zaspie. Kto mnie stąd wyciągnie? — pomyślałam w popłochu i chwyciłam torbę, aby poszukać komórki. Wyrzuciłam wszystko z torebki na siedzenie, ale telefonu nie znalazłam. No tak, włączyłam go do ładowania w nietypowym miejscu i tam pozostał. Leży teraz na kuchennym parapecie i nadal się ładuje, a ja będę tu tkwić być może do następnego roku.

Byłam załamana głównie swoją bezdenną głupotą. Wyszłam z auta i od razu klapnęłam na ziemię. Zimowe opony mojej yariski i tak dużo lepiej radzą sobie na lodzie niż moje kozaki — pomyślałam. Buty zrobiono z myślą o paniusiach, które zimą chodzą jedynie po centrach handlowych i wprost z parkingu windą wjeżdżają do swoich apartamentów. Mąż coś tam burczał, gdy zakładałam je rankiem, po co mi takie szpile, ale nie zamierzałam przecież chodzić po zaspach. Na Okęciu z parkingu do hali odlotów idzie się cały czas pod dachem, więc co za problem. Gdzie mam się ubierać elegancko, jak nie w takie właśnie miejsca. Na międzynarodowym lotnisku w pewnym sensie reprezentuje się swój kraj. Krzyś także, patrząc na żonę przed odlotem, powinien widzieć kobietę atrakcyjną, za którą oglądają się inni mężczyźni, i taki mój obraz przechować w głowie co najmniej do następnego spotkania. Był jeszcze jeden, skrywany trochę przed mężem powód. Otóż gdyby pogoda nie spletała mi figła, odwiozłabym Dominikę do mamy, a w okolicy jej domu zawsze mogę natknąć się na Rafała. To, że nie mam zamiaru dać mu się podrywać, nie znaczy, iż nie chcę mu się nadal podobać.

Trzymając się samochodu, obejrzałam miejsce zetknięcia karoserii ze zlodowaciałą masą śniegu. Reflektor był cały, ale dalej trochę się wgniotło. Moje nowiutkie autko zostało już naznaczone. Było mi bardzo przykro. Gorzej, bo kiedy spróbowałam kilkakrotnie cofnąć i wyjechać z zasy, koła wykopały bardzo głęboką rynnę. Nie mam szans wydostać się stąd o własnych siłach. Nie

jestem jednak na Syberii, a ten las to nie tajga. Na szczęście to zupełnie inna skala — pocieszałam się już w następnej sekundzie. Pół godziny drogi, no może w tych warunkach godzinka, i pieszo będę w Michniowie. Tam na pewno będę mogła poprosić kogoś o pomoc.

Ruszyłam więc dzielnie naprzód. Wiatr rozwiewał mi włosy, śnieg oblepiał twarz i głowę, wsypywał się za kołnierz. Czapki i szalika też nie miałam, bo zawsze okazywały się niepotrzebne w samochodzie. Postawiłam dziarsko kołnierz cieniutkiej, króciutkiej imitacji kozuszką i parłam dalej przez zawieję. Za chwilę z obolałą kością ogonową znów leżałam na ziemi. Ciekawe, jak długo może trwać czołganie się do Michniowa? — pomyślałam, ocierając łzawiące od wiatru oczy i uświadamiając sobie równocześnie, że tym sposobem rozmazuję starannie wymalowane rano rzęsy. Gramoliłam się w śniegu i jeszcze kilkakrotnie bohatercko puszczałam w drogę. Wreszcie skapitulowałam. Obita jak spadłe jabłko, prawie na czworakach, z poczuciem klęski wróciłam do auta. Wtedy z za zakrętu wyłoniła się moja szansa — stary, poczciwy polonez caro.

Chciałam pomachać, żeby kierowca się zatrzymał. Wyskoczyłam z samochodu, zachwiałam się i pięknym ślizgiem na plecach wjechałam na bardzo zwężoną w tym miejscu jezdnię. Facet zareagował na mnie dokładnie tak, jak ja na owe psy. Hamując, zsunął się do rowu. I tak miałam szczęście, że mnie po prostu nie przejechał. Wysiadł z wielkim trudem, bo od jego strony koło sterczało wysoko w górze, i od razu zaczął głośno przeklinać:

— Co pani, kurwa, wyrabia? Jest pani ranna, kurwa? — Poczułam od niego woń alkoholu. — Ale mnie pani, kurwa, wystraszyła — tytułował mnie nadal. — O mało co, a bym, kurwa, przejechał! — wrzeszczał. Oj, nie jest to idealny wybawca — pomyślałam. Żadnego innego nie było jednak na podorędziu, więc postanowiłam, mimo wszystko, skorzystać z tego, co dał los.

— Niech mnie pan wypchnie z tej zasy — poprosiłam.

— Kurwa, przez panią mam zjebany cały bok! — Wskoczył do rowu, żeby

lepiej obejrzyć karoserię, i zapadł się prawie po pas w śniegu. Musiałam pomóc mu się stamtąd wykaraskać, a on nie przestawał wyliczać strat: — Karoseria raz, a i w zawieszeniu, kurwa, pewnie coś poszło. Jak będę, kurwa, wyciągać, to się też, kurwa, może coś urwać. Pani, kurwa, wie, ile to może mnie do kupy kosztować? Do kupy, jak nic, trzeba będzie włożyć ze dwa tysiące.

— Nie wiem, ile zamierza pan włożyć do kupy. To pewnie wie pani kurwa — żartowałam bez sensu, bo facet i tak nie miał poczucia humoru, a poza tym chyba w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, jak mówi. — Orientuję się natomiast, że cały pana samochód jest wart nie więcej niż te dwa tysiące — ciągnęłam. — Nie obciąży mnie pan jego naprawą, gdyż jest pan pod wpływem alkoholu i nie powinien w ogóle siadać za kółko. Zgadza się czy wzywamy policję? — szarżowałam, bo jak niby miałabym wezwać tę policję.

— Kawalek tylko miałem, kurwa, do szwagra. Zaraz tam za przejazdem, kurwa, mieszka. — Zauważyłam, że zmiękł. — Komórki, kurwa, nie mam. Podam pani numer, dzwoń, pani, kurwa, do mojego szwagra, a nie po policję. Kurwa, przyjedzie ciągnikiem, to nam, kurwa, co pomoże.

Miałam ochotę znów się ponabijać z tej kurwy, co ciągnikiem przyjedzie, lecz już odpuściłam.

— Niestety, ja też nie mam komórki, inaczej bym tu nie stała. Musimy wypchnąć mój samochód z zasy. Jest lżejszy i nie wpadł tak głęboko. Popchnie mnie pan, a ja spróbuję wyjechać. Zawrócę do Suchedniowa i postaram się dotrzeć do tego szwagra. Powiem mu, żeby tu po pana przyjechał ciągnikiem — zaproponowałam. Popatrzył na mnie spode łba. Nie wiedział, czy może mi zaufać.

— A ja tam, kurwa, wiem, gdzie pani, kurwa, pojedzie? A tu mi się, kurwa, coś należy, tak czy nie? — nadal próbował się ze mną targować.

— Dobra, możemy tu jeszcze trochę postać. Na pewno w końcu ktoś będzie tędy przejeżdżał. Jak nie dziś, to jutro. Wezwiemy pomoc drogową i policję —

powiedziałam obojętnie i obrałam kierunek na moje auto. Poruszałam się w tempie ślimaka, a i tak wycinałam hołubce i wyciągałam dramatycznie ramiona, łapiąc równowagę.

— Dobra, kurwa, niech pani, kurwa, wsiada — zgodził się wreszcie.

Był niewielkiego wzrostu, ale krępy i silny. Najpierw odgrzebał trochę tylne koła mojego samochodu, potem wskoczył w zaspę przed maską, zaparł się na swoich pałkowatych krótkich nogach i pchnął z całej siły, gdy ja równocześnie dałam wsteczny. Toyotka wyskoczyła na drogę jak z procy. Z dużym trudem zawróciłam na wąziutkiej jezdni i pojechałam do Suchedniowa szukać owego szwagra z ciągnikiem. Wskazany adres znalazłam bez trudu. Przekazałam błaganie o pomoc żonie szwagra, która burczała coś bardzo niezadowolona. Tym razem usłyszałam chyba coś o rodowodzie mojego niefortunnego wybawcy:

— A co sobie ten sukinsyn myśli, że mój chłop to u niego na posyłki? Co sobotę go z rowu wyciągaj!

— Ja tylko jestem posłańcem — powiedziałam, rozkładając ręce w geście bezradności, wsiadłam do auta i znów wjechałam na ekspresówkę.

Udało mi się jeszcze przed zachodem słońca przez Kielce dotrzeć do domu. Koty leniwie leżały na ogrzewanym przez kaloryfer parapecie i zdziwione patrzyły na psy baraszkujące w śniegu. Kto je wpuścił? — pomyślałam. Co ta Dominika nawymyślała?

Marzyłam przede wszystkim o ciepłej kąpieli. Zrobiłam sobie wannę pełną aromatycznej piany i zanurzyłam się w niej z prawdziwą rozkoszą. Przyjemność spokojnego relaksu została jednak wkrótce zakłócona. Najpierw kilkakrotnie zajazgotała komórka. Oddzwonię potem — pomyślałam z irytacją i pławiłam się dalej. Za jakiś czas zadzwonił stacjonarny i długo nie odpuszczał. Już się wkurzyłam, ale nie wyszłam z wanny. Gdy się wycierałam, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Chciałam, żeby ten ktoś, kimkolwiek był, odszedł sobie, gdyż nie uśmiechało mi się wcale prosto z ciepłutkiej łazienki z mokrą głową lecieć do

lodowatego ganku, żeby otworzyć drzwi na syberyjskie wręcz warunki panujące na zewnątrz. Ganek mam nieogrzewany i w zimie służy mi za dużą spizarnię.

Intruz jednak nie ustępował. Kiedy naciskany nieustannie gong zaczął wydawać jakieś żałosne jęki, rozległo się jeszcze dodatkowo mocne walenie do drzwi. Może to dramatyczne wołanie o pomoc? — przemknęło mi nagle przez myśl. Ja tu się guzdrzę, a tam ktoś kona na moich schodkach. Dawno nieużywane hitchcocki ujawniły się gwałtownie. Zarzuciłam szlafrok i stanęłam w otwartych drzwiach, ryzykując przeziębienie. Wiatr szarpnął połami mojego szlafroka, lodowate zimno jakby kleszczami ścisnęło mi głowę, a mroźne tchnienie liznęło nie tylko stopy, ale także kolana i uda. Zadymka cisnęła mi w twarz garść drobinek zmrożonego śniegu z rosnącego obok schodków cyprysika. Dwadzieścia pięć lat po śmierci babci wyraźnie usłyszałam jej ostrzeżenie: „Paraliż cię pokręci i dostaniesz zapalenia płuc albo, co gorsza, będziesz sikać w majtki”.

Mogłam ryzykować paraliż dla ludzkiego czy nawet zwierzęcego życia, lecz nie dla uciechy jakichś dwóch pajaców — oburzyłam się wewnętrznie, gdy zobaczyłam na schodkach uśmiechniętych od ucha do ucha narciarzy wystrojonych w eleganckie, markowe kombinezony. Jeden z nich stał odwrócony do mnie tyłem i opierał o mur domu narty biegówki oraz kijki. Drugi pajac z rozanieloną w szerokim uśmiechu i okropnie czerwoną od mrozu gębą kiwał się na boki na wprost mnie. Miał czapkę wciśniętą do linii oszroniałych brwi. Pod nosem wisiały mu równie bielutkie, oblodzone wąsy. W sumie wyglądał jak święty Mikołaj. Ów Mikołaj nagle rzucił się na mnie z rozwartymi ramionami i zamoczył mi twarz mokrym, zimnym zarostem, całując mnie z dubeltówki i wmawiając mi rzeczy niemożliwe.

— Poznajesz? Na pewno poznajesz. Zrób mi tę przyjemność i powiedz, że się nie zmieniłem. Ja bym cię wszędzie od razu rozpoznał.

— Już mieliśmy sobie iść, ale zauważyłem światło — usłyszałam głos Pawła.

To on mozolił się z nartami, które wywraçał mocny wiatr. — No wiesz już, kogo ci przyprowadziłem? Schowaj się! Szybko! Jeszcze się przeziębisz! — krzyknął, wkładając okulary. — A ty, jak zawsze, rozebrana witasz gości. Mówiłem ci, Maćku, że nasza koleżanka z wiekiem nic nie straciła na seksapilu, a może nawet zyskała — zwrócił się teraz do kolegi.

Wtedy wreszcie mnie olśniło. Ten wysoki, barczysty facet to przecież Maciej Chodakowski. Mogłam się właściwie domyślić, że jemu Paweł zechce pokazać nowo zakupioną nieruchomość. Maciek studiował z nami na polonistyce, a potem skończył jeszcze operatorski w łódzkiej filmówce. Teraz jest znanym krytykiem filmowym oraz, jak twierdzi Paweł, jedynym prawdziwym przyjacielem, jaki mu pozostał.

Pobiegłam do łazienki, aby się kompletnie ubrać i przy okazji machnęłam sobie nawet całkiem staranny makijaż. Świeżo wysuszonych włosów nie upinałam. Kiedy wreszcie wyskoczyłam do gości, Pawełek buszował już w barku i płytach mojego męża. Bez śmiesznej czapki i szronu na zaroście Maciek wyglądał już normalnie. Powiedziałam mu, że niedawno widziałam go w telewizji i bardzo mi się podobało to, co mówił. Chodak po moich słowach znów rozwarł szeroko swe ogromne ramiona, a jako że jest człowiekiem koszykarskiego wzrostu, to ściskając mnie serdecznie, podniósł do góry jak piórko, okręcił się ze mną kilkakrotnie wokół swojej osi i wreszcie postawił na ziemi. Wydawało mi się, że odzyskuję grunt pod nogami, a ja go dopiero miałam tego wieczoru stracić.

— Mówiłeś, że nadal jest śliczna, ale nie wyobrażałem sobie, że aż tak — Maciek zwrócił się do Pawła. — Dziewczyno, znasz przepis na eliksir młodości? — To było już raczej do mnie.

— Znam — powiedziała pewnie. — To znany jeszcze w starożytności sposób, kąpiel w oślim mleku. Właśnie skończyłam.

— A skąd bierzesz tyle oślego mleka? — zapytał, przyglądając mi się jak

typowy dalekowidz, czyli odsunąwszy się dla zwiększenia dystansu.

— A mało to osłów po tym świecie chodzi? — żartowałam

— No tak, a my także jesteśmy osły. Dziewczyna szykuje się na sylwestra, a tu dwóch pierników, co już im się nie chce tańczyć, przyszło jej głowę zawracać. Mówiłem Pawłowi, że to nie jest dobry czas — mitygował się Maciek.

— Chciałem zadzwonić, spytać, kiedy można wpaść. Ty chyba nie popłaciłaś rachunków i wyłączyli ci wszystkie telefony? — tłumaczył się Paweł. — Ale przyznaj, miło ci zobaczyć Chodaka po tylu latach.

— Jasne — przytaknęłam. — Ojej, komórka! Zupełnie o niej zapomniałam! Od rana nie miałam jej przy sobie, a byłam w podróży. — Staralam się streścić w kilku słowach mój szalony dzień. — Zapraszam was serdecznie, nie mam żadnych balowych planów. Rozgoście się, a ja, przepraszam, tylko przejrzę komórkę, bo może dzwonił mój mąż, którego zostawiłam na zaśnieżonym lotnisku bez szans na podróż do Anglii.

Pomna na kilka nieodebranych podczas kąpieli połączeń, przeglądałam nerwowo komórkę. Mąż zasypywał mnie w ciągu dnia esemesami. Denerwował się brakiem kontaktu ze mną, a wreszcie, dowiedziawszy się, że nigdzie dziś z Warszawy nie poleci, postanowił udać się jednak na nocleg do teściowej. Na koniec zostawił mi na poczcie wiadomość głosową następującej treści: „Na litość boską, wyślij chociaż esemesa, że żyjesz. Mam nadzieję, że to tylko problemy z łącznością, a ty jesteś już bezpieczna w domu. U twojej mamy wielka niespodzianka, zdziwisz się, jak ja. Wkrótce wszystkiego się dowiesz, jak się zobaczymy. Całuję”.

Wkrótce to my się zobaczymy najwyżej na ekranie komputera — zauważyłam przytomnie. Trzy tygodnie bez męża to nie taka znów chwilka, ale trzy tygodnie czekania na wyjaśnienie tajemnicy mojej rodzicielki to przecież cała wieczność — pomyślałam, odpisując mężowi i potwierdzając jego domniemanie, że nadal żyję.

— Chłopaki, czujcie się jak u siebie w domu! — krzyknęłam w stronę salonu. — Bierzcie, co chcecie z barku i lodówki. Ja zaraz do was dołączę. Mam jeszcze trochę rodzinnych spraw do załatwienia, sorry.

— Nie kępaj się nami, dajemy sobie radę! — wesoło odkrzyknął Paweł.

Złapałam za słuchawkę telefonu stacjonarnego, bo mama nie lubi rozmawiać przez komórkę, i zadzwoniłam, ale z drugiej strony było głucho. Może faktycznie są jakieś problemy techniczne. Popękały oblodzone przewody albo wiatr powalił zmurszałe słupy — pomyślałam, żeby się nie nakręcać. Gdy jednak nie odpowiedziała również komórka Krzysia, zadzwoniłam do Dominiki. Córka rozmawiała ze mną niechętnie i wydawała mi się dziwnie zmieszana, a chwilami nawet napastliwa i nieprzyjemna.

— Nie wiem, co u babci. Wcale do niej nie pojechałam — odpowiedziała chłodno. — Teraz się bawię i nic mnie to nie obchodzi.

— Jak to cię nie obchodzi?! — oburzyłam się. — Dlaczego do niej nie pojechałaś?

— Bo trochę was obujałam. Babci powiedziałam, że spędzam sylwestra w domu, żeby się mnie nie czepiała. A wam nie powiedziałam, że babcia wyjeżdża.

— Co znaczy, żeby się ciebie nie czepiała? Co to za sformułowanie? Gdzie babcia wyjeżdża?

— Bo babcia chce mnie sprawdzić, gdzie ja chodzę, a sama się spotyka z kimś, kogo przed nami ukrywa.

— To dobrze, że cię babcia pilnuje. Co masz do ukrycia, że cię pytania babci denerwują? Kogo babcia ukrywa i gdzie wyjeżdża? — zasypałam ją pytaniami.

— Ja się boję, że ona wtargnie kiedyś tu, gdzie jestem, i narobi mi obciachu. Mówiłam, że nie wiem, gdzie jedzie i z kim. Daj mi wreszcie spokój z tą babcią, ja się bawię, a jej nie musisz kontrolować.

— Nie słychać, żebyś była na jakiejś imprezie. U kogo właściwie jesteś? Jak

się ta koleżanka nazywa i gdzie mieszka? Czy to jest daleko od babci?

— Druga babcia, nic, tylko gdzie jesteś i gdzie jesteś! Co to za różnica, gdzie mieszka? Ja jestem już dorosła! — Dominika wydzierała się wręcz na mnie.

— Ton ciszej, moje dziecko — powiedziałam z naciskiem na „dziecko”. — Tata pojechał do babci, bo chciał u niej przenocować. Nie wiem, dlaczego nie można się tam teraz dodzwonić. Jeśli babcia wyjechała, to gdzie się tata podziewa? Jak rano wrócisz do babci, to daj znać co i jak — powiedziałam polubownie.

— Nie zamierzam wracać rano. Będę tu kilka dni — odparła.

— Dlaczego? U kogo ty w końcu jesteś? — Byłam coraz bardziej poirytowana tą rozmową i moja córka również.

— Myślisz, że zadaję się z niewłaściwym elementem? Nie martw się. Niedługo ci przedstawię moje towarzystwo. O mnie możesz być wyjątkowo spokojna. Nie włóczę się po Europie z cyrkiem. Nie wyjeżdżam też z dnia na dzień na wczasy Bóg wie z kim. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku. Cześć! — Dominika obcesowo skończyła rozmowę.

Co się w tej mojej rodzinie dzieje? Gdzie ona jest? Nie słyszałam w tle żadnej zabawy. Gdyby tam naprawdę młodzi ludzie imprezowali, byłaby muzyka i gwar. Nie wiem, z kim Dominika teraz się przyjaźni i spotyka. Niewiele o sobie mówi. Twierdzi, że studia bardzo ją absorbują, bo jest mniej zdolna i musi nadrabiać intensywną pracą. Fascynują ją wykłady z malarstwa jakiegoś tam faceta, który przyjechał do Polski na dwa lata z Kanady.

Właściwie to ostatnio mówiła tylko o tym profesorze — uświadomiłam sobie. Że ma polskie korzenie i pamięta mojego ojca, czy nawet że był jego uczniem. Może naprawdę tylko jej nauka w głowie, a my się czepiamy? Jest jednak coś, co mnie w zachowaniu Dominiki niepokoi. Czemu zaczęła kłamać?

Znów podjęłam kilka nieudanych prób połączenia się z mężem i mamą. Krzys nie zginie w zamieci śnieżnej w centrum Warszawy, jeśli nawet nie

dogadał się z mamą i nie zastał jej w domu. Ale czy on, taki oszczędny, zrukuje się na hotel bądź taksówkę? Pewnie nie. Będzie tak jeździł po Warszawie w tę i z powrotem, raczej miejską komunikacją, a potem siedział w poczekalni pełnej przeciągów, aż się w końcu zaziębi — martwiłam się i wciąż szturmowałam jego komórkę.

Dałam wreszcie za wygraną i postanowiłam zająć się gośćmi. Byłam ciekawa Maćka, jego życia rodzinnego i poglądów. Z wypowiedzi telewizyjnych i tego, co mówił o nim Paweł, jawił mi się jako wartościowy i bardzo poważnie myślący człowiek. Zresztą taki chyba był zawsze. Na studiach nie byliśmy zbyt blisko, ale robił na mnie duże wrażenie jako facet. Był naprawdę bardzo męski i przystojny, co wśród filologów zdarza się nieczęsto. Dziewczyny się w nim kochały, lecz nie otaczał się nimi, trzymał raczej wszystkie na dystans. Mnie onieśmiała jego dojrzałość, powaga i to, jak uważnie słuchał rozmówcy.

Jako studentka, zwłaszcza na pierwszym i drugim roku, byłam bardzo nieśmiała i niepewna swojej wiedzy oraz trafności sądów. Rzadko zgłaszałam się sama do odpowiedzi podczas zajęć. Bywało jednak, że wywiązała się jakaś dyskusja i mnie poniosło. Pamiętam, że Maciek wówczas odwracał się i dokładnie wsłuchiwał w każde zdanie. Czasem nawet po zajęciach chciał jeszcze kontynuować ze mną wymianę zdań. Reagowałam na niego dziewczęcym pąsem, co mnie jeszcze bardziej deprymowało, więc wołałam go unikać. Na szczęście miałam swojego Krzysia, więc tak bardzo nie przeżywałam faktu, że jeden z najciekawszych kolegów z roku może mnie uważać za głąba i kompletną niemotę.

A potem zaraz gruchnęła wieść, że Chodak, bo tak go u nas w skrócie nazywano, ożenił się ze starszą od siebie asystentką z politechniki, której brak urody złośliwie podkreślały zazdrosne o Maćka dziewczyny. Nie wiem, ile w tym było prawdy, bo nigdy nie widziałam go z żoną. Zdziwiłam się, że witał się ze mną tak serdecznie, jak z niewidzianą przez lata przyjaciółką, ale też, nie

powiem, sprawiło mi to przyjemność. Miałam nadzieję, że nie pamiętał już moich pąsowych policzków i jeszcze gorszych wypowiedzi.

Mógł za to pamiętać pewną sesję zdjęciową, w której ja wystąpiłam jako modelka, a on chałturzył w roli fotografa. Siostra załatwiła mi te zdjęcia, na których można było nieźle zarobić, bo miały wisieć w Domach Handlowych Centrum. Trzeba było się nieco rozebrać, a ściślej mówiąc, ubrać w reklamowaną bieliznę. Foty wyszły rewelacyjnie i do końca trwania PRL wisały w domach towarowych moje rozneglizowane, ogromnych rozmiarów, podświetlane podobizny. Niestety, niewtajemniczeni nie mogli mnie na nich rozpoznać, twarz bowiem skutecznie zakrywały mi rozwiewane wentylatorem włosy.

— Chłopcy, zróbcie mi porządnego drinka, bo ja dzisiaj chyba z tą moją rodzinką zwariuję! — zawołałam, rzucając w kąt bezużyteczne zupełnie telefony. — Zapraszam was ze szklaneczkami do kuchni. Jeśli mi pomożecie, to szybko przygotujemy coś do jedzenia. Umieram z głodu. Ostatnio jadłam o szóstej rano — powiedziała, wyciągając z lodówki kolejne artykuły spożywcze. — O, mam jeszcze trochę indyka, można go dać do sałatki z ananasem. Maćku, pokrój go, z łaski swojej, w kostkę. Paweł, poskub sałatę na mniejsze kawałki, a ja zrobię sos. Maciek, weź sobie ten nóż, jest ostrzejszy — dyrygowałam.

Przerwałam na chwilę, żeby wziąć łyk tajemniczego drinka, który podał mi Paweł, i dosłownie mnie zatkało.

— O matko, jaki mocny! — wykrztusiłam. — Coś ty tam namieszał? Zaraz się tym na głodniaka upiję. Nawet smaczne, ale może być niebezpieczne.

Już po pierwszym łyku poczułam błogie ciepło w puściutkim żołądku i przyjemne rozluźnienie nerwowe. Alkohol zaczął działać, a ja przestałam protestować.

— Powiedziałaś, że chcesz porządnego drinka, to masz. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. — Paweł uśmiechnął się diabolicznie, albo mi się tylko tak zdawało, bo na trzeźwo nie dostrzegłam w nim nic z demona. — Właśnie

chodziło o to, żebyś nadrobiła zaległości w stosunku do nas, zanim zaczniemy prawdziwą zabawę — kontynuował.

— Nie strasz naszej gospodyni — mitygował się Maciek. — Paweł żartuje, tylko dopijemy tego drinka i lecimy. Nie będziemy robić ci kłopotu. Wpadliśmy tak nieoczekiwanie. Paweł zaprosił mnie do siebie i zaproponował trochę ruchu na nartach. Ale przy tej pogodzie to był prawdziwy koszmar. Musimy jeszcze napalić w piecu i jakoś się tam zagospodarować. Jego sadyba nie jest przygotowana do zamieszkania.

— To nie zatrzymaliście się u Piotrowskiej? Jesteście na własnym wikcie w nowym domu Pawła? — zdziwiłam się.

— Tak mamy więcej swobody — powiedział Paweł. — Obaj potrzebujemy trochę wyciszenia, może nawet jakiegoś pijackiego, męskiego odmóżdzenia.

— Takie prymitywne warunki też mają swój urok — odezwał się Chodak.

— Nie ma mowy, teraz was nie wypuszczę — zdecydowałam. — Musicie zjeść ze mną kolację. Pogadamy, a potem razem powitamy Nowy Rok.

— Ale tak? W tych strojach? — Maciek chciał się za wszelką cenę wycofać.

— Co za różnica w jakich strojach? Możecie być nawet bez strojów — gadałam już od rzeczy, bo drink się kończył, a ja przegryzłam od wczesnego śniadania tylko kawałek skórki indyka, mocno przypieczonej i pikantnej.

— Nie marudź, Chodak, nigdzie nie idę po tak interesującej propozycji — podpalił się Pablo. — Życie jest jednak nieprzewidywalne! No to się rozbieramy! — wykrzyknął i ściągnął przez głowę ciepły sweter z golfem, zrzucając przy tym gwałtownym ruchu ze swego nosa okulary. Szklą poszybowały wysoko i wylądowały głośno na ceramicznych płytkach kuchennej podłogi, rozpadając się dokładnie na dwa kawałki.

Paweł w dramatycznym geście padł przed rozpołowionymi okularami na kolana i załkał:

— O Boże, nie mam zapasowych! Chodak, musisz być moim psem

przewodnikiem. Ja bez szkieł nie widzę nawet czubka własnych butów.

Maciek też chyba miał już w czubie, bo nagle padł obok Pawła na kolana i głośno szczekając, zaczął udawać psa. W tym samym momencie na podwórku strasznie rozszczękały się moje psiska. Śmiałyśmy się, że odpowiadają na ujadanie Maćka. Nie przyszło mi do głowy sprawdzić, co dzieje się za oknem. Śmiałam się do rozpuku na widok potężnego Chodaka obwąchującego wszystko wokół i zabawnie sugerującego, że podnosząc nogę jak psy podczas spaceru, moczem zaznacza swój teren. Tymczasem berneńczyki obwieszczały, że przed dom prawie bezgłośnie zajechała luksusowa, biała limuzyna, z której wytoczyły się cztery osoby: moja mama, mój mąż, Rafał i jego ojciec. Cały ten odchodzący rok był niezwykły, ale jego końcówka po prostu zwała mnie z nóg.

XVIII. CHŁOPCY

To była naprawdę upojna noc, w przenośni i dosłownie. Ale zacznijmy od początku, czyli od momentu, gdy mój małżonek zjawił się u swojej teściowej, żeby przechować się do czasu wznowienia lotów na Okęciu. Spodziewał się tam zastać jeszcze naszą córkę i poznać być może młodzieńca, który przyjdzie, by zabrać ją na prywatkę, czyli, według nowej nomenklatury, domówkę. Miał również nadzieję zostać ugoszczony przez zachwyconą jego wizytą teściową. Niestety jego nadzieje spełżyły na niczym.

Dominiki nie było, a babcia nie miała w ogóle pojęcia, że wnuczka przyjechała do Warszawy. Zawiódł się także na teściowej, oczekując entuzjastycznego przyjęcia. Nie tylko nie było euforii, ale moja mama nie miała zamiaru wpuścić go za próg. Zdumiał się wielce, gdyż ujrawszy go w drzwiach, nie otworzyła ich na oścież, tylko sama wyszła na klatkę schodową i zapytała, co go sprowadza. Wyłuszczył więc pokrótce sprawę, a wówczas mama zaskoczyła go propozycją, żeby poszedł pospacerować i wrócił za jakieś pół godziny. Odbierze sobie wówczas od sąsiadki klucz, który ona mu zostawi. Jej już wprawdzie w domu nie zostanie, ponieważ właśnie wyjeżdża z koleżanką na wczasy, ale niech się rozgości.

Krzyś wielce oszołomiony tym wszystkim już miał postąpić według instrukcji, lecz zastanowił się chwilę i zwrócił teściowej uwagę, że to nie ma żadnego sensu.

— Dlaczego mam spacerować podczas zadymki po ulicach? Ledwie tu dotarłem, jestem zziębnięty i głodny — skarżył się, lecz teściowa pozostawała dziwnie głucha na te żale. Zaczął więc udowadniać swoją przydatność: — Nie będę mamusi przeszkadzał w przygotowaniach, a mogę się przydać, na przykład do zniesienia walizki — zapewniał.

Stali tak dłuższy czas na korytarzu, gdyż mama jak cerber broniła mu wejścia,

a on niezrażony pytał o szczegóły wyjazdu. Mama myliła się w zeznaniach i Krzyś zaczął ją już podejrzewać o początki starczej psychozy manifestującej się różnymi urojeniami. W końcu nabrał przekonania, że nie powinien ustąpić i pozostawić starej kobiety ogarniętej jakimś dziwnym lękiem samej, a tym bardziej dopuścić, by wybrała się w wyimaginowaną podróż z nieistniejącą przyjaciółką. Wówczas usłyszał w korytarzu na dole pośpieszne kroki i rozmowę dwóch mężczyzn. Mama zbladła i wbiegła do wnętrza mieszkania, pozostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi. Zdumiony Krzyś podążył za nią. Teściowa ciężko opadła na krzesło i, podparwszy się łokciem o stół, zasłoniła twarz dłonią.

— Trudno, wszystko się wydało — jęknęła. — Co ty sobie o mnie teraz pomyślisz?

A on właśnie nie miał pojęcia, co powinien o tym wszystkim myśleć.

Sytuacja wyjaśniła się, gdy po chwili do otwartego wciąż mieszkania weszli dwaj panowie. W jednym z nich Krzyś rozpoznał natychmiast Rafała, którego zdjęcia oglądał na Naszej Klasie tak dokładnie, że miał je dosłownie zeskanowane w mózgu. Drugi okazał się ojcem Rafała. Z nim to moja mama nawiązała ostatnio tak bliskie kontakty, że nawet wybierała się na wczasy. Krzyś poczuł się bardzo niekomfortowo, spotkawszy niespodziewanie, oko w oko, dwóch Kryszeli. W pierwszym odruchu chciał im ustąpić pola i jechać znów na zaśnieżone lotnisko. Teraz jednak teściowa za nic w świecie nie chciała go wypuścić. Parzyła herbatkę, częstowała kanapeczkami i co chwilę z czułością zaglądała mu w oczy.

Jako ludzie cywilizowani goście mamy zaproszeni do stołu zaczęli rozmowę w angielskim stylu, czyli o pogodzie. Temat wydawał się bardzo bezpieczny, lecz napięcie między Rafałem a Krzysiem sprawiło, że nawet w temacie zimowej aury pojawiły się wyładowania elektryczne. Kiedy Krzyś stanowczo odradzał podejmowanie niekoniecznej podróży w taką zawieję, uznając ją za niepotrzebną brawurę, Rafał śmiał się lekceważąco z jego przestróg i po prostu przed nim

szpanował. Przechwalał się, jakim to jest niezawodnym kierowcą. Mówił, że jeszcze w Stanach uczestniczył w kursach jazdy w ekstremalnych warunkach. Dał poza tym do zrozumienia, że nie można porównywać jazdy tanim, małym samochodem i jego cudowną maszyną. Nie omieszkał naturalnie zaznaczyć, iż jako biznesmen i pracodawca wielu osób nie może sobie pozwolić na świętowanie, zabawy i usprawiedliwianie się złą pogodą. Otóż właśnie w Nowy Rok, bez względu na wszystko, musi stawić się w Krakowie, gdyż wieczorem jest umówiony z pewnym milionerem z Austrii. Przy okazji zamierza podrzucić jeszcze swego ojca z moją mamą na dwutygodniowy wypoczynek w góry.

Krzyś opowiadał mi potem, że z miejsca poczuł niechęć do chwalipięty, ale postanowił zachować spokój i nie dać się sprowokować dla dobra rodzinnych układów, które mocno się w tej sytuacji komplikowały. Moja mama jednak zupełnie inaczej odebrała reakcje i intencje zięcia.

— Mówię ci, jakie wrażenie Rafał zrobił na Krzysztofie — szeptała mi później na osobności. — Widać było, że mu ten facet wszystkim imponuje, rzutkością, zaradnością i samodzielnością. Krzyś mierzył Rafała od dołu do góry, jakby chciał dokładnie zapamiętać, jak jest ubrany, jak się rusza. Bo Rafał to ma prezencję, musisz przyznać — zachwycała się. — Twój mąż dosłownie z otwartymi ustami słuchał o jego sukcesach w biznesie i w jakich kręgach się Rafał obraca. Dobrze, że się wreszcie poznali. Może Krzyś się też zmobilizuje i rozpocznie działalność medyczną na większą skalę. Mógłby przecież, jak zarobi w tej Anglii, otworzyć w Warszawie własną klinikę.

— Tak, mógłby. Musiałby tylko pracować tam jakieś sto lat, żeby mu starczyło — zażartowałam, a mama się zachnęła:

— Krzyś jest taki, bo ty w niego nie wierzysz i podcinasz mu skrzydła. Ja popełniałam ten sam błąd w stosunku do twojego taty. Krzyś mógłby wiele osiągnąć, gdyby miał inną żonę. Jego trzeba stymulować na różne sposoby.

Zapewne właśnie w ramach stymulacji mojego męża mama, kiedy tak

siedziała z nim i z Kryszelami u siebie w domu, wymyśliła nagle:

— Wiesz, Krzysiu, my, jadąc do Krakowa, wstąpimy chyba do Joanny i przenocujemy w Zalewicach. Przecież nam się tak bardzo nie śpieszy — powiedziała, wyraźnie zaskakując tym pomysłem Rafała i jego ojca, którzy nie zgłosili jednak żadnych zastrzeżeń do jej koncepcji. W mojego Krzysia ponoć jakby piorun strzelił, bez zastanowienia zdecydował, że w takim razie chętnie się z nimi zabierze.

— Takim go jeszcze nie widziałam — relacjonowała mi potem zachwycona mama. — Zdecydował po mężku. Nie zastanawiał się, co z lotem, co z pieniędzmi za bilet. Zaryzykował, że nie zdąży na czas do pracy. A podróż bez wcześniejszej rezerwacji może go słono kosztować. Widzisz, do jakich rzeczy zdolny jest twój mąż, gdy wzbudzić w nim zazdrość? — powiedziała triumfująco.

W ten sposób dowiedziałam się, co zdecydowało, że biały lexus, niewidoczny prawie w śnieżnej zawiei, którego cichy pomruk silnika zagłuszył wyjący wiatr i szczekanie psów, przywiózł mi w najmniej spodziewanym momencie wycieczkę o bardzo dziwnym składzie.

Krzyś otworzył drzwi swoim kluczem i wprowadził towarzyszy podróży do środka w chwili, gdy w mojej kuchni panował śmiech, hałas i wielkie zamieszanie, bo mnie i kolegów opanowała istna głupawka. Oczom przybyłym ukazał się dość zaskakujący widok. Ja stałam pośrodku, chichocząc na całego, a u moich stóp czołgało się dwóch mężczyzn w średnim wieku. Jeden z nich, w białym, bieliźnianym podkoszulku i narciarskich spodniach wykonywał gesty podobne do skłonów rozmodlonego muzułmanina, podczas gdy drugi, szczekając, zastygł na klęczkach z nogą podniesioną, jakby miał zamiar podlać narożnik naszego kaflowego pieca.

Chciałam coś powiedzieć, wyjaśnić zaistniałą sytuację, lecz nagle poczułam dotkliwy ból w dole brzucha i nieodpartą potrzebę oddania moczu. Przemknęłam

więc bez słowa obok znieruchomiałych ze zdumienia przybyszy i zamknęłam się w łazience. Przekonałam się wówczas, jak wielka jest złośliwość przedmiotów martwych. Szarpnięty nerwowo suwak spodni zaciął się. Im mocniej szarpałam, tym głębiej kawałek materiału wchodził między ząbki. Hektolitry płynów w postaci kubków gorącej herbaty, drinka alkoholowego w wysokiej szklance, moczopędnej kawy na orzeźwienie oraz paroksyzmy śmiechu, a przede wszystkim przemarznięcie moich dolnych części ciała spowodowały, iż rozerwanie suwaka nastąpiło już za późno. Znów usłyszałam głos babci wypowiadający srogą przepowiednię ograniczoną już do ostatniego zdania: „Będziesz sikać w majtki”, i stało się.

Nie wiem, jak oni się tam wszyscy ze sobą dogadali i jak wyglądała prezentacja, kto kogo i komu przedstawiał. W każdym razie do żadnych rękoczynów ani ekscesów nie doszło. Ja musiałam się umyć i wypłukać ubranie. Zajęło mi to sporo czasu. Włożyłam szlafrok i chciałam dostać się do sypialni po zmianę odzienia. Zależało mi, żeby nie spotkać nikogo na swojej drodze i unikać wszelkich tłumaczeń. Gdy ja nasłuchiwałam, w którym momencie będę mogła niepostrzeżenie opuścić łazienkę, moja mama podeszła na palcach pod drzwi z drugiej strony i czatowała na mnie, by uzyskać z pierwszej ręki wyjaśnienie mojego dość niezwykłego zachowania.

Kiedy męskie głosy przeniosły się z holu w głąb salonu, wyskoczyłam z toalety jak przysłowiowy diabeł z pudełka. Otwierając gwałtownie drzwi, walnęłam z całej siły w nos moją nieszczęsną rodzicielkę. Mama padła pod drzwiami jak długa, z jej nosa połała się krew, a na czole zaczął rosnąć ogromny guz. Usta, które tak często wyrażały się krytycznie o zięciu, teraz wzywały go na równi z całą galerią świętych, nawiasem mówiąc, też na co dzień przez nią niedocenianych.

— Jakie to szczęście, że mamy cię w rodzinie — mówiła z wdzięcznością kwadrans później opatrzona już i zbadana przez Krzysia. — Własna córka omal

mnie nie zabiła. Jak ja teraz wyglądam? — narzekała. — Nie pojedę chyba na te wczasy. Zostanę u Joanny te dwa tygodnie, a ty mnie, Zygmuncie, zabierzesz w drodze powrotnej do Warszawy.

Powiało grozą. Perspektywa spędzenia dwóch tygodni z mamą, której udaremniłam wczasy, zmobilizowała mnie do działania na najwyższych obrotach. Wygrzebałam dla mamy z szuflady homeopatyczne, bardzo skuteczne w takich razach specyfiki, naszykowałam wiaderko lodu do kompresów i obiecałam najlepszy korektor do makijażu. Sama zaś bez konsultacji z moim lekarzem zażyłam tabletki na zapalenie pęcherza, które znalazłam w domowej apteczce, i uwijałam się wokół gości jak w ukropie. Szykowałam kolejne półmiski wędlin, serów i improwizowanych sałatek. Bardzo bałam się spięć, jakie mogą nastąpić w tym przypadkowo skojarzonym towarzystwie. Okazało się jednak, że dzięki magii sylwestrowej nocy z każdą dawką alkoholu grupa integrowała się coraz lepiej. Nie ryzykowałam łączenia lekarstw z alkoholem, więc całkiem przytomnie obserwowałam, jak w tym niewielkim gronie tworzyły się i rozpadały koalicje oraz jakie sprawy mogą łączyć i dzielić ludzi, którzy dopiero co się poznali.

Pablo i Rafał ze względu na wieloletnią znajomość Ameryki oraz podobny status majątkowy od razu znaleźli wspólny język. Mój mąż od pierwszego wejrzenia zapalał przyjaźnią do Maćka. A już gdy ten napomknął coś niecoś o swojej tragicznej sytuacji rodzinnej i o tym, jak poważnie traktuje instytucję małżeństwa, patrzył na niego wręcz z uwielbieniem. Dotarło do mnie, że żona Chodaka po jakimś wypadku, który zdarzył się na nadzorowanej przez nią budowie, jest od dziesięciu niemalże lat w stanie wegetatywnym. Do mojego męża z drugiej strony wyraźnie garnał się doktor Kryszel, który również pracował swego czasu za granicą. Medycy zaczęli dyskutować o organizacji służby zdrowia w znanych im krajach. W tym czasie Maciek odnalazł bratnią duszę w Rafale, gdyż obaj okazali się wielbicielami gry w golfa. Wymieniali najlepszych graczy i pamiętne mecze, uzupełniając się nawzajem. Między

lekarzami wtedy poważnie zgrzytnęło, bo rozmowa zesłała na temat aborcji. Szczęśliwie wybiła północ i panowie nie zdążyli się pokłócić.

Strzeliły korki szampanów, zaczęliśmy się ścisnąć i całować. Najtrudniej było upodobnionej nieco do nosorożca i obolałej mamie. Rafał stanął z kieliszkiem nieco na uboczu i przyglądał się uważnie, jak długo i serdecznie obściskują mnie poszczególne osoby. Chyba mierzył czas, bo gdy dotarł do mnie z życzeniami, najpierw wypomnił mi, że najwięcej słów wypowiedziałam do Maćka, a z mężem całowałam się raczej chłodno, z czego on wnioskuje, że nie jestem, jak twierdzą, tak wierna Krzysiovi, tylko pewnie jeszcze niezdecydowana. Miałam ochotę walnąć go w nos mocniej, niż to zrobiłam mamie, zwłaszcza po tym, jak wpił się w moje usta niczym wampir, aż musiałam kopnąć go w kostkę, żeby się od niego uwolnić. Stary Kryszel pozostawił na fotelu moją opuchniętą mamę i poleciał za mną aż do kuchni, niby to pod pozorem życzeń chcąc mi wyjaśnić rozkwitłą nagle między nim a moją rodzicielką zażyłość. Zaczął jednak mnie obejmować i przytulać wcale nie po ojcowsku, cholerny babiarsz.

Panowie musieli mieć już dobrze w czubie, bo nagle wzięła ich ochota na tańce. Patrząc z perspektywy kanapy na męskie płaśnięcie, czułyśmy się z mamą jak na islamskim weselu. Krzyś, Rafał i Paweł bawili się jak przedszkolaki w kółeczko, w pociąg, a potem jeszcze w węża, zupełnie nie zważając na to, czy do ich zabawy pasuje akurat podkład muzyczny.

— Muszę ratować honor mężczyzn. Taka piękna kobieta siedzi sama, a faceci bawią się jak dzieci! — zakrzyknął doktor Kryszel i wystartował do mnie na swoich krótkich nóżkach. Mama, która miała na niego cały czas oko, szybko zawróciła swego adonisa z drogi i z obitym, lecz podniesionym czołem próbowała tańczyć z nim tango.

Mnie pozostał więc jako partner coraz smutniejszy Chodak, z którym obracałam się powolutku, przestępując z nogi na nogę i rozmawiając o różnych poważnych sprawach. Tańcem trudno byłoby to nazwać, ale dowiedziałam się,

jak doszło do wypadku żony. Opowiedział mi, w jaki sposób zorganizował nad nią opiekę. Choć on sam dawno stracił już nadzieję, że jej stan się poprawi, to ze względu na córkę szuka wciąż sposobów na wybudzenie żony i wydaje większość zarobionych pieniędzy na jej rehabilitację. Córka Maćka, Julka, w tym roku robi maturę i postanowiła, że będzie studiować medycynę.

— Moja córka też miała iść na lekarski — powiedziałam z pewnym żalem. — W ostatniej chwili zdecydowała się na ASP. Mam teraz mnóstwo niepokojów z nią związanych. Dziwnie się zachowuje. Może ma niewłaściwe towarzystwo? Złapałam ją wczoraj na kłamstwie. Mieszka teraz w Warszawie z moją mamą i w duchu liczyłam, że będą się wzajemnie wspierać, a mama przypilnuje trochę wnuczkę, z którą wcześniej nie było żadnych problemów wychowawczych. Ale babcia i wnuczka okłamują się nawzajem. Z synem jest jeszcze gorzej. Uciekł z domu i włóczy się z cyrkiem po świecie — marudziłam.

Zamilkłam w końcu, bo wstyd mi się zrobiło narzekać na takie drobiazgi do człowieka, którego życie dziesięć lat temu wywróciło się do góry nogami i dotąd pozostało w tej pozycji. Objęliśmy się z Maciejem w przyjacielskim uścisku i tak trwaliśmy bez słów dłuższą chwilę, a potem on pocałował mnie w dłoń i powiedział:

— Prawie się przez te lata nie zmieniłaś. Wciąż jesteś jak wiosna i taka pozostań. Paweł ostatnio tylko o tobie opowiada. Jest zafascynowany twoją żywiołowością i naturalnością. Stałaś się dla niego wyrocznią w wielu dziedzinach. Mówił, że dzięki tobie odkrył nowe, prawdziwsze życie, które jest bardzo dalekie od światka, w którym my się poruszamy. W tej swojej chacie w Zalewicach Paweł ma nadzieję także posmakować tej normalności. Chce zatem żyć w dwóch równoległych światach, bo nie porzuci przecież tych swoich gwiazd i gwiazdeczek. Będzie przeskakiwać z jednego świata do drugiego.

— Ciekawe, jak długo będzie go to bawić? Podejrzewam, że szybko mu się znudzi przyjeżdżanie do Zalewic. A może się mylę? Może wsiąknie tu tak jak

my?

Zaniepokojona szeptaniem Rafała z moim mężem oraz złośliwymi uwagami tego pierwszego kierowanymi pod moim i Maćka adresem odeszłam od Macieja. Kiedy posłuchałam, co wygadują, zdecydowałam, że czas kończyć imprezę. Zazdrość i kompletna niemoc intelektualna spowodowana ilością wypitych trunków była cementem ostatniej koalicji, jaka powstała tej nocy.

Miałam nadzieję, że uda mi się w jakim takim porządku odesłać towarzystwo do przeznaczonych dla nich łóżek, lecz mama znów namieszała. Po szalonym tangu źle się poczuła, padła więc w mojej małżeńskiej alkwie. Tam bowiem znajdowało się najbliżej położone od kanapy łóżko. W tej sytuacji Rafała i jego ojca umieściłam w pokoju gościnnym, w którym również znajduje się podwójne małżeńskie łóżko. Maćkowi dostał się pokój Patryka, a Pawłowi Dominiki. Nie mogłam położyć zięcia obok teściowej, więc Krzyś podreptał potulnie za mną do „regionalnej izby pamięci”, czyli pokoiku wciąż czekającego na ewentualny przyjazd pani Józki.

Dźwięki, które wydobywały się z gardła mojej mamy, mającej całkowicie niedrożny nos, rozchodziły się po całym domu. Jednakże zdecydowana większość uczestników tej upojonej nocy była w stanie dużego zobojętnienia na bodźce zewnętrzne i wcale im to nie przeszkadzało, a wkrótce nawet kilka innych osób dołączyło swój głos do chóru chrapaczy. Ja, dzięki Bogu, słuch mam bardzo czuły, więc nie wyobrażałam sobie spania w jednym łóżu z mamą. Posprzątałam z grubsza po imprezie, naszykowałam naczynia na śniadanie i zwinęłam się na niewygodnej, zimnej, skórzanej kanapie stojącej w salonie.

Byłam nieprawdopodobnie zmęczona, lecz nie mogłam zasnąć. Wciąż odczuwałam dolegliwości ze strony pęcherza, do tego w głowie miałam kompletny zamęt. Tłoczyło mi się mnóstwo chaotycznych myśli. Nawracały jakieś strzępki rozmów, a najbardziej namolny był dialog suto okraszony słowem „kurwa” z facetem z lasu. Czy ja mu jednak nie powinnam zrekompensować strat

poniesionych w wyniku zaparkowania w rowie? — zastanawiałam się poniewczasie. Ciekawe, co powie Krzyś, jak zobaczy wgniecenie nieskazitelnego boczku naszej yariski? — martwiłam się. Ale najbardziej niepokoiłam się o jutrzejszą, a właściwie dzisiejszą podróż Krzysia.

Miło było dowiedzieć się, że mąż z zazdrości gotów był do pewnej desperacji, ale teraz trzeba go bezawaryjnie i na czas wysłać z Zalewic do Wielkiej Brytanii. Kiedy ci faceci przetrzeźwieją i będą się nadawali do prowadzenia samochodów? — myślałam z troską. Są gorsi od dzieci. A co się teraz dzieje z moimi dziećmi? To pytanie, jeśli nie mam moich bliźniaków w zasięgu wzroku, zawsze powoduje we mnie wewnętrzny niepokój. Myśli zataczały kółka i ósemki, a wygięcia kanapy i potworne odgłosy wydobywające się z gardła mamy nie pozwalały mi zasnąć nawet w salonie. W końcu opuściłam kanapę i ulokowałam się na czarnej skórcie przed kominkiem, głowę nakryłam poduszką i po pewnym czasie odpłynęłam w ramiona morfeusza.

Słońce już dawno wzeszło, a dzień wstał piękny, mroźny i pogodny, lecz w moim domu panował wciąż mrok, bo od dwóch dni nikt nie otwierał okiennic. Paweł obudził się pierwszy z niezłym kacem. Postanowił poszukać na dole czegoś na wzmocnienie. Skrzypnięcie drzwi jego pokoju natychmiast obudziło mojego męża. Potem w holu ukazał się Rafał. Ciekawe, że po takim picciu obaj spali czujnie jak na warcie. Paweł pozbawiony okularów schodził w mrocznym korytarzu niezwykle wolno, wyciągając przed siebie ręce, jak to czynią osoby niewidome. Rafał i Krzyś podążyli na palcach za nim. Zatrzymali się jednak, widząc, że Paweł zdąża najkrótszą drogą do salonu, czytaj: barku. Pablo zniknął im za drzwiami i wtedy usłyszeli mój okropny wrzask oraz kilka niecenzuralnych słów wybluzganych z ust Pawła. Wpadli razem do pokoju i wylądowali na mnie i na Pawle.

Właściwie to ja miałam najwięcej powodów, żeby słać im wszystkim wiązanki, gdyż zostałam gwałtownie obudzona z najlepszego snu, boleśnie

skopana i zwały się na mnie trzy ciała przepitych facetów.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknął zdumiony Krzyś, widząc mnie zbierającą się niemrawo z czarnej skórki. Rafał zaś szybko obleciał wokół kuchni i stołowy, jakby się spodziewał, że ktoś mi na tej skórcie towarzyszył.

— Spałam tu i jako kapłanka domowego ogniska pilnowałam ognia — odparłam z przekąsem. — Ale co wy wyprawiacie? Mało wam jeszcze alkoholu? — huknęłam, sądząc, że wszyscy trzej lecieli po trunki. — Odpowiedzialni, poważni faceci. Jeden ma biznesowe spotkanie, a drugi śpieszy się do pracy. Tylko nie wyobrażajcie sobie, że któryś z was usiądzie dziś za kierownicą. Kluczyki już schowane — blefowałam. — A ty zostaw tę whisky. — Pogroziłam palcem Pawłowi, który drżącymi rękami próbował nalać sobie szklaneczkę ciemnozłotego trunku. — To najkrótsza droga do nałogu.

Wszyscy trzej zareagowali jak skarceni chłopcy. Paweł grzecznie odstawił whisky i sięgnął po wodę, a Rafał i Krzyś spuścili głowy i tylko coś między sobą mamrotali.

— Co tam jeszcze szemracie? — zapytałam jak groźna nauczycielka.

— Nic, tylko próbujemy ustalić, ile wypiliśmy, żeby obliczyć, kiedy spalimy — wyjaśnił mąż.

— Ja już z grubsza policzyłam. Przyjmując optymistyczny wariant, najwcześniej będziecie całkowicie trzeźwi o północy — powiedziałam ostro.

Popatrzyli na siebie bezradnie i obaj, jak na komendę, padli przede mną na kolana. W ostatniej dobie po raz drugi miałam u swych stóp klęczących mężczyzn. Nieźle — pomyślałam z dumą.

— Musisz mnie ratować! — wykrzyknął dramatycznie Krzyś. — Z Krakowa mam szansę odlecieć do Manchesteru. A potem wsiądę w pociąg. Zawieziesz mnie, prawda?

— Jak to tylko ciebie? — obruszył się Rafał. — Dla mnie pozyskanie tego inwestora to być albo nie być firmy. Przeinwestowałam trochę — wyznał

szczerze. — A mama, a tata, a wczasy? — wyliczał.

— A właściwie to dlaczego ty wczoraj nic nie piłaś? Obserwowałem cię... do pewnego momentu, oczywiście. Coś ci dolega? — zainteresował się mną rychło w czas mój domowy medyk.

— Wypiłam drinka, zanim przyjechaliście, a potem okazało się, że mam paskudną infekcję pęcherza, więc zaordynowałam sobie leki, których chyba lepiej nie łączyć z alkoholem.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — zachnął się Krzys. —

— Nie było kiedy — odparłam zgodnie z prawdą.

— Co my teraz zrobimy? — Rafał załamał ręce. — Chora nie może jechać. Znajdzie się tu jakiś kierowca do wynajęcia?

— O trzeźwego będzie dzisiaj ciężko. Nic mi już nie dolega. Leki pomogły. Zawiozę was — pocieszyłam strapionych. — Ale musisz, Krzysiu, coś wiedzieć. Toyotka ma wgnieciony przód. Zaryłam w zaspie — wyznałam cicho i natychmiast zepsułam cały efekt twardej, silnej kobiety, przed którą tak ładnie czołgali się mężczyźni. Zupełnie niepotrzebnie zrobiłam to wyznanie, bo i tak nawet nie wyciągałam z garażu naszego samochodu. Musiałam zdecydować się na jazdę lexusem, gdyż w yarisce nie miały szans zmieścić się bagaże, Krzysia, babci i doktora Kryszela. I tak było bardzo ciasno, ale jakoś się upchaliśmy.

Ruszyliśmy i się zaczęło. Rafał umierał ze strachu o swoje drogocenne auto. Ja wściekałam się ze zdenerwowania, że trzech facetów nieustannie mnie poucza, a beze mnie byliby ugotowani przez swój brak odpowiedzialności. Mama cały czas wpatrywała się w swoje odbicie w lusterku i nakładała kolejne warstwy pudru na nos, który z czerwonego stawał się coraz bardziej niebieski. Moje ciężkie doświadczenia tylko w pewnym stopniu rekompensował samochód. Niby martwa maszyna, a porozumieliśmy się natychmiast bez słów. Sunął, cudownie dostosowując się do mnie. Słuchał mnie jak dobrze ujeżdżony rumak.

Krzysia wyprawiliśmy z Balic do Manchesteru. Mamę z doktorem Kryszelem

zameldowaliśmy na dobę w hotelu Qubus. Rafał przysiągł, że na pewno odwiezie ich do Bukowiny następnego dnia. Teraz najważniejsze było dla niego spotkanie z inwestorem, na które poszłam z nim w charakterze osoby towarzyszącej. Zgodziłam się na to szaleństwo trochę z konieczności. Co niby miałabym robić w oczekiwaniu na Rafała? Wcale mi się nie uśmiechało siedzieć w pokoju hotelowym z mamą i erotomanem starym Kryszel. Poza tym byłam ciekawa, jak z bliska wygląda ktoś tak piekielnie bogaty.

Karl był dystyngowanym wiedeńczykiem po pięćdziesiątce, bardzo sympatycznym, o miłej, lecz raczej przeciętnej powierzchowności. Rozmowa toczyła się po angielsku, więc mogłam się od czasu do czasu włączyć. Zostałam przedstawiona jako przyjaciółka Rafała, co zabrzmiało dość dwuznacznie. Nie chciałam, żeby facet uważał mnie za kochankę swego ewentualnego współnika, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, zaznaczyłam, iż z Rafałem łączą mnie jedynie układy rodzinno-towarzyskie. Zdaje się, że to moje tłumaczenie Karl zrozumiał jako przyzwolenie, że może mnie podrywać. Robił to na szczęście dość taktownie. Za to Rafał był coraz bardziej nerwowy i niewiele brakowało, a przerwałyby negocjacje, gdybym go nieco nie uspokoiła.

— Jeszcze trochę, a uległabym uwodzicielskiemu urokowi Karla i zakochała się w nim bez pamięci — zażartowałam sobie już później, kiedy mknęliśmy z powrotem do Zalewic. — Najbardziej ujęła mnie propozycja podrzucenia awionetką do domu.

— Właśnie widziałem, że należy już skończyć spotkanie, bo jeszcze trochę, a zamiast zakładać spółkę, musiałbym z nim walczyć — powiedział Rafał. — Jesteś pewna, że oczarowała cię osoba Karla, a nie otaczająca go atmosfera luksusu?

— Naprawdę trudno byłoby mi to rozgraniczyć. Musiałabym pokosztować jednego i drugiego z osobna. — Roześmiałam się. — Ty masz na przykład wspaniały samochód, ale to nie to, co samolot.

— No tak, samolotu na razie nie mam, lecz to jest do nadrobienia. Wbrew pozorom awionetka nie kosztuje drożej niż ten model lexusa — napuszył się.

Chwalił się, a ja myślałam, że jest wyjątkowo nierozsądny. Zanim dobrze rozkręcił interes, już ulokował tyle kasy w coś, co w każdej chwili mogą mu ukraść lub, co nie daj Bóg, może zostać rozbite na drodze. Krzyś nigdy by tak głupio nie postąpił.

— Mojego luksusowego auta już popróbowałaś, a mnie jeszcze nie. Teraz nadarza się świetna okazja, nie uważasz? — Rafał uśmiechnął się i łypnął na mnie w mroku tymi swoimi lśniącymi, czarnymi ślepiami, aż zrobiło mi się gorąco. Jakie to szczęście, że mam ten okropny dyskomfort z powodu zapalenia pęcherza i rano muszę wstać do pracy oraz pamiętam jeszcze, iż z niego jest zwykła szuja — pomyślałam. Jakiś dobry aniołek pilnował dziś mojego rozsądku. Chociaż te piekielne oczy i cudowny zapach nowej skórzanej tapicerki pomieszany ze zmysłowym aromatem drogich perfum trochę jeszcze kusily.

— Czy ty znasz takie pojęcie jak „przyzwoitość”? — zapytałam. — Dopiero co udawałeś przyjaciela mojego męża, potem byłeś gotowy sprzedać mnie Karlowi, a teraz znów ciągniesz mnie do łóżka? To byłoby już prawie kazirodztwo, bo jeśli moja mama i twój tata... no wiesz, będziemy jak przyrodnie rodzeństwo. — Zaśmiałam się głośno, udając kompletną swobodę, żeby nie dostrzegł, iż wciąż mam do niego słabość. — I wybij sobie z głowy, że zostaniesz u mnie na noc.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Zalewic, byłam już potwornie zmęczona. Chciałam odprawić Rafała przed domu do najbliższego zajazdu na nocleg, bo też ziewał straszliwie, ale przez zamknięte wciąż okiennice dostrzegłam światło w salonie. To Paweł i Maciek nadal rezydowali w moim domu. Oni, jako ludzie wolnych zawodów, mogli sobie na to pozwolić. Zostawiliśmy ich niezbyt jeszcze pobieranych, aby spokojnie się wyspali, najedli i oporządziли w cywilizowanych warunkach. Umówiliśmy się, że jak będą wychodzić, zostawią klucze od tylnych

drzwi pod wycieraczką na werandzie. Ale oni podobno nie wyszli, gdyż bali się kontaktu z naszymi „groźnymi” psami. Podejrzewam jednak, że spodobało im się uctowanie w naszym domu. Było tu ciepło, czysto i przytulnie, a w nowo nabytej chałupinie Pawła głodno i chłodno. Puszczali Krzysiowe płyty, wyjadając resztę zapasów z lodówki i zapijając się trunkami z barku.

Poczułam się trochę jak wierna Penelopa, której zalotnicy podczas nieobecności Odysa pustoszyli królestwo. W tych okolicznościach pozwoliłam Rafałowi zostać i ponownie skorzystać z gościnnego pokoju. Jeszcze jeden zalotnik nie zrobi różnicy — pomyślałam, zamykając na wszelki wypadek na klucz drzwi swojej sypialni. Jakie to szczęście, że nie musiałam, jak Penelopa, pruć jakichś tam kilimów i tkać ich na nowo. Padłam jak nieżywa do łóżka na kilka krótkich godzin, które mi zostały do rana.

XIX. DZIWNY GUST

Rozpoczęty w nietypowy i szalony sposób rok dosłownie z dnia na dzień wyhamował. Zaczęła się znów praca i cała rutyna dnia powszedniego. Sylwestrowa noc pozostawiła jednak pewne ślady w psychice mojego męża. Wydzwaniał do mnie niekiedy po dwa razy dziennie i wypytywał, czy nie ma u nas znów jakichś gości. Nie zwracałam uwagi na jego zaczepki, myśląc z satysfakcją, że teraz na niego przeszły moje hitchcocki. Zazdrość Krzysia to pół biedy, jest nawet sympatyczna. Miło się z nim tak przekomarzać, a potem godzić. Zawsze przecież w końcu dochodzimy do porozumienia. Za wiele nas łączy, żeby byle co nas miało poróżnić. Lecz z pozostałymi członkami rodziny bywa niestety różnie.

Przede wszystkim sen z powiek spędzały mi ostatnio zmiany w zachowaniu Dominiki. Chciałam dowiedzieć się, dlaczego stała się taka skryta, a nawet posuwa się do kłamstwa. Zaproponowałam więc, by przywiozła swoje nowe towarzystwo na weekend, żebym jak niegdyś mogła poznać jej znajomych.

— Ja się przecież nie upieram przy Łukaszu — tłumaczyłam. — To ty mówiłaś niedawno, że jest interesujący, dobrze wychowany i wyjątkowo miły. Ale jeśli zmieniłaś zdanie i znalazłaś kogoś miłszego, będę się cieszyć razem z tobą. To twoje życie i twoje wybory. Jest dużo fajnych ludzi na świecie, a ty jesteś młoda i masz prawo szukać swojej połówki. Będę po prostu spokojniejsza, jeśli zobaczę twoje nowe grono znajomych, a przynajmniej tego najważniejszego z nich.

Dominika pomilczała chwilę, a w końcu odparła:

— Dobrze, postaram się. Może uda mi się go namówić. Chociaż do babci nie chciał ze mną iść, mimo że ją zna. A może właśnie dlatego...? — urwała nagle.

— Kto to jest? — Teraz moja ciekawość sięgnęła zenitu. — Powiedz coś więcej. Jest synem kogoś z naszych znajomych? Mów, bo nie wytrzymam.

— Oj, nie powiem ci jeszcze. Trochę się zdziwisz, że mi się podoba. Na razie to on chyba nie będzie miał czasu, ale może w przerwie semestralnej albo zaraz potem uda mi się go namówić. Tylko wolałabym, żeby taty nie było.

— Dlaczego? — Uspokojona początkowo jej wypowiedziami, teraz znów się zaniepokoiłam. — Przecież ja nie będę nic przed tatą ukrywać. A jest coś w ogóle do ukrycia? Przestań się zgrywać i powiedz, o co chodzi.

— No widzisz, już się denerwujesz — zachnęła się. — Nie mówmy na razie o nim, dopóki nie dowiesz się, kto to jest i co mu zawdzięczam.

— Zawdzięczasz? Komu ty coś zawdzięczasz, nie licząc najbliższej rodziny i siebie samej? — spytałam niezmiernie zdumiona.

— Oj, mam, nie wyciągaj ze mnie. Mam nadzieję, że egzaminy zdam w pierwszym podejściu, to się niedługo zobaczymy, a wtedy zrozumiesz, co miałam na myśli — powiedziała niezwykle tajemniczo i zakończyła rozmowę.

Przy następnych kontaktach Dominika konsekwentnie odmawiała rozmowy na temat swojej nowej sympatii, tłumacząc, że nie chce osłabić efektu niespodzianki. Miałam nadzieję, że babcia będzie wiedziała coś więcej o wnuczce, której obiecała strzec jak źrenicy oka, ale niestety okazała się zupełnie bezwartościowym źródłem informacji.

— Jak ktoś znajomy, to dobrze — zlekceważyła moje obawy. — Nie mamy żadnych szemranych znajomych. Powinnaś mieć więcej zaufania do swojej córki. Czasem człowiek potrzebuje trochę tajemnicy. Ja też nie lubię, żeby za dużo ingerować w moje sprawy — dodała, mając na myśli zdumiewającą dla mnie znajomość ze starym erotomanem Kryszel.

Pomyślałam, że może mama ma rację, powinnam zaufać Dominice i przestać drażnić.

Teraz bardzo mocno absorbowowała mnie szkoła. Kończył się semestr i, jak zwykle, nagle okazało się, że moi uczniowie to w większości bardzo ambitni młodzi ludzie. Wszyscy chcą mieć lepsze oceny, tylko ocknęli się za pięć

dwunasta, żeby je poprawiać. Rodzice molestują mnie, opowiadając łązawe historyjki na usprawiedliwienie lenistwa i ewidentnych wagarów swych pociech. Przekonują o niezwykłych zdolnościach, których oczywiście z mojej winy ich genialne dzieci nie zdołały dotąd ujawnić na lekcjach. Ogólnie szukają mojego słabego punktu i starają się wywierać presję lub wręcz szantażować: „Bo on może sobie coś zrobić”.

Najgorsza jednak jest bezproduktywna pisanina podyktowana biurokratycznymi wymogami. Trzeba powypełniać wszelkie rubryki w dziennikach i w arkuszach ocen, uzupełnić dzienniczki zajęć pozalekcyjnych. Kolejny raz scharakteryzować uczniów indywidualnych, jakby co semestr ulegali kompletnej metamorfozie. Papiery należy mieć w porządku, zwłaszcza jeśli na przekór ogólnej tendencji do pobłażania, chce się w paru wypadkach obstawać przy ocenie niedostatecznej. Trzeba się w takim wypadku przygotować na kontrole i wizytacje spowodowane skargami rodziców. Coraz rzadziej zdarza się bowiem, że rodzice wysłuchawszy listy zarzutów wobec swego beniaminka, biorą go w karby, a coraz częściej szukają sposobów na krnąbrnego nauczyciela, który utrudnia życie ich pociesze.

Mam ostatnio przerwę w lekcjach z Kubusiem. Boję się, że może nastąpić regres w naszych kontaktach, a już tak dobrze szło. Chłopak mnie zaakceptował i były postępy w wykonywaniu ćwiczeń i wzajemnym porozumieniu, aż tu nagle wszystko się urwało. Padaczka, która wydawała się względnie opanowana, zaatakowała chłopaka z niesłychanym nasileniem. Napady występują po kilka razy dziennie. Wykańcza to Kubę, a bardziej jeszcze jego matkę. To ona musi zapewnić mu bezpieczeństwo podczas ataku i jak najszybciej podać w doodbytniczym wlewie środek uspokajający. Nie wiem, jak ta krucha, niewysoka kobieta daje sobie radę z jego ogromnym, ciężkim i wstrząsanym drgawkami ciałem. Lekarze twierdzą, że dojrzewanie i związana z tym burza hormonalna sprawiły, iż dobrze ustawione w dzieciństwie leczenie epilepsji już

się nie sprawdza. Ponowne badania, dopasowanie dawek leków może potrwać jeszcze dość długo.

Podziwiam panią Olę za tyle hartu ducha. Ona ma także kłopoty ze zdrowiem, lecz nawet nie rozważa możliwości pójścia do szpitala. To niesłychane, jak często uśmiech gości na twarzy tej kobiety. Może dzieje się tak dlatego, że angażuje się ona także społecznie i pomaga innym. Prowadzi bloga, opisując swoje codzienne zmagania, i daje rady rodzicom innych dzieci dotkniętych autyzmem. Ostatnio w dowód wielkiego zaufania dała mi przeczytać swoje wiersze. Są naprawdę dobre, powinna je opublikować. Widać w nich jej wrażliwość i erudycję, bo pani Ola bardzo dużo czyta. Zdziwiłam się, że tak mało znalazłam w nich skarg na los. To niesprawiedliwe, że jej zdrowie, bogata osobowość, zdolności — wszystko zostało złożone na ołtarzu trudnego macierzyństwa. Ciekawe, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie choroba syna?

Chwilowo zawieszono zostały spotkania naszego strażackiego kabaretu. Grozi nam eksmisja z remizy, ponieważ wójt zamierza przeprowadzić remont budynku. Boczkowska twierdzi, że pewnie skądś dowiedział się, iż przygotowujemy ośmieszające go przedstawienie, i chce nas stamtąd wykurzyć. Strażacy domagają się od wójta jakichś zaległych wypłat za wykonane dla gminy prace i udowadniają, że remiza nie należy do majątku gminy. Planują się w razie czego zabarykadować w świetlicy. Jednego możemy być absolutnie pewni: że pieniędzy na działalność zespołu od gminy nie będzie. Mamy już dług w hurtowni materiałów budowlanych, gdzie dano nam na „krechę” płytę wiórową i farby do budowy scenografii. Nikt z nas nie liczył na honoraria, ale mieliśmy nadzieję, że przynajmniej na dekoracje i ewentualne dojazdy oraz udział w przeglądach dostaniemy od gminy pieniądze. Trzeba będzie więc poszukać sponsorów, a może i nowego miejsca do prób.

Zatopiona w codziennych kłopotach coraz mniej myślę o tym, co porabia w Anglii mój mąż, kiedy nie pracuje. Podobno jego przyjaciółka, doktor Ania,

usiłnie zaprasza go na wyspę Man, której atmosferą jest oczarowana. Ania chciałaby się zapewne wypłakać na piersi Krzysia, bo partner, który miał być długo wyczekiwaną miłością życia, okazał się wielkim rozczarowaniem. Pani doktor naiwnie wierzyła, że pięćdziesięcioletni Pakistańczyk pod jej wpływem wyzbędzie się swych starych nawyków i głęboko zakorzenionych przekonań. Skarży się teraz bidula, że trochę inaczej wyobrażała sobie partnerstwo w związku. Ania podobno oczekuje od Krzysia jedynie przyjacielskich rad, ale Krzyś wcale się do tego nie kwapi. Na wszelki wypadek postraszyłam go, że taki facet ze wschodnimi genami może okazać się nieobliczalny, jeśli Krzyś wzbudzi w nim zazdrość. Mąż potraktował moją przestrożę bardzo poważnie, więc mogę spokojnie wyłączyć hitchcocki.

A swoją drogą, to mężczyźni są okropni, mój Krzyś także. Myślał o Ani i gadał mi o jej sukcesach bez przerwy, gdy była szczęśliwa, niezależna i zainteresowana kim innym. Teraz, gdy jest zdołowana i potrzebuje pocieszenia, nie zajmuje go już zbytnio i nie ma on zamiaru się dla niej narażać. Znowu ja dużo bardziej angażuję jego myśli, bo nagle na naszej głuchej wsi w moim otoczeniu pojawiło się kilku nietuzinkowych facetów. Podsycam ten jego stan, donosząc mężowi o prawie każdym kontakcie z którymkolwiek z moich interesujących znajomych. A co?

Po trochu też oswajam się z koczowniczym żywotem mojego syna. Skoro praca w cyrku go cieszy, a o Ewelinie nawet nie wspomina, dlaczego miałabym mieć coś przeciwko? Patryk uczy się postępować ze zwierzętami i robi postępy w woltyżerce. Kontaktuje się z nami dość regularnie, żeby nie dostarczać mi powodów do palpacji serca. Chwalił się nawet ostatnio tacie, że zaczął odkładać pieniądze, żeby po powrocie kupić parę koni i hodować je u nas. Podpalił się tym bardziej, gdy usłyszał o zbieżności jego zamiarów z planami i zakupami Kity. Wygląda na to, że powinniśmy dokupić ziemi, bo syn zechce zająć się rolnictwem. W każdym razie chłopak sobie radzi i, przynajmniej z rozmów, nie

widać, żeby groził mu upadek moralny, jak to, muszę przyznać ze wstydem, wieściłam na początku.

Na kursie błysnęłam zaliczeniowym scenariuszem wieczoru poetyckiego opartego na mojej własnej twórczości. Odważyłam się na taki pomysł, bo strasznie chciałam poznać opinię na temat moich wierszy grona innego niż własna rodzina i uczniowie. A tu nadarzyła się świetna okazja. Już przy pierwszym czytaniu nawet moje antagonistki biły brawo. Grupa wybrała właśnie mój scenariusz do realizacji. Będę miała przyjemność posłuchać własnych utworów w wykonaniu ludzi, którzy trochę czują sztukę i mają też jakieś zdolności sceniczne. Stwierdzono, że ten spektakl muszę wyreżyserować sama, bez żadnych podpowiedzi ze strony prowadzącego kurs. Tak się cieszę.

Nie zapomniałam też o ciężarnej przyjaciółce. Odwiedzam Grażkę w szpitalu, gdzie ostatnio wylądowała, bo jednak pojawiły się pewne problemy. Lekarze pocieszają, że w następnym trymestrze powinno być lepiej. Grażyna nie jest jednak w dobrej kondycji psychicznej. Źle znosi szpital, ma kłopoty ze snem i złe przecucia, że dziecko będzie miało jakieś wady. Jeszcze trochę, a zrobią jej badania prenatalne, wtedy będzie wiadomo, czy jej przecucia się potwierdzą. Jacek stara się być radosny za dwoje, lecz po wyjściu z sali, gdy Grażyna na niego nie patrzy, także zdaje się przygnębiony. Żałuje, że dał się namówić na odłożenie ślubu na później. Jako człowiek wierzący ma teraz dodatkowe obawy i wyrzuty sumienia.

— Ślub to możecie wziąć w każdej chwili, nawet tam w szpitalu — powiedziałam po wysłuchaniu jego wynurzeń.

— Teraz to trzeba unikać wszelkich wzruszeń. A zresztą nie wiadomo, co by sobie Grażynka pomyślała, jakbym zaczął nalegać na taką pośpieszną ceremonię. Rodzina też byłaby niepokieszona, że ślub bez wesela. To właściwie ze względu na rodzinę przełożyliśmy imprezę, bo mama i ciotki za dużo się wtrącały. Wiesz, Grażynka jest dość apodyktyczna, a mojej mamie też nic nie brakuje. W końcu

dla świętego spokoju zabajerowałem, że to Sanepid miał jakieś zastrzeżenia do domu weselnego, który wybrała mama.

— Jacku, nie myśl już o tym, co było. Odsuń na razie rodzinę i wspieraj Grażynkę. Trzeba mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze — pocieszałam go, nie chcąc powiedzieć tego, co myślałam w duszy. A myślałam, że jeśli Najwyższy zdecyduje, iż u mojej przyjaciółki jest zbyt późno na dziecko, i organizm, mimo wszystkich zabiegów podtrzymujących, odrzuci ciężę, trzeba będzie i taki wyrok przyjąć z pokorą.

Zimę mieliśmy śnieżną i ciężką pod wieloma względami. Zaczęłam już wypatrywać wiosny i jakichś zmian na lepsze. Z wiosną przylatują ptaki, a z nimi może i mój synek wróci, żeby rozpocząć naukę — myślałam. Będzie więcej słońca, to poprawi się także nastrój Grażynie. Mniej nerwów, mniejsze zagrożenie poronieniem — kombinowałam. Zrobi się ciepło i nie będę musiała palić w centralnym — przemawiał przeze mnie leń. Wszystko wokoło się zazieleni i córunia może namówi swojego miłego na malowanie w plenerze naszych świętokrzyskich pejzaży — marzyłam.

Chyba na początku marca dosłownie w ciągu dwóch dni stopniały ogromne masy brudnego śniegu zalegające przy drogach. Na polach biała, śniegowa pościel zaczęła gwałtownie jakby drzeć się i kurczyć, odsłaniając zieloniutkie puszyste łąty ozimin. Poczulałam powiew nadchodzącej wiosny i dałam się nabrać błękitowi nieba oraz promieniom słońca. Ubrana w lekką kurtkę wyszłam rankiem na podwórko z wiaderkiem i łopatką, żeby zebrać, mówiąc elegancko, produkty przemiany materii moich ukochanych berneńczyków. Choć gdzieś ukazała się już trawa, w zacienionych miejscach leżała jeszcze gruba warstwa zlodowaciałego po wierzchu śniegu. Lśnił przepięknie w ostrym słońcu. Wiatr był zimny, nieprzyjemny, ale w sadzie na oszroniałych drzewach baraszkowały wesoło ptaki, strząsając rozmigotane, białe drobinki szadzi. One też miały nadzieję na wiosenne ocieplenie.

Spojrzałam w stronę naszej Łysej Góry, a tam panowała zupełnie inna aura. Błękitne niebo nad moją głową, nad górą było ciemnognatowe. Na tym tle wspaniale rysowały się ośnieżone budynki klasztoru. Nawet ohydna wieża radiowo-telewizyjna w zimowej szacie wyglądała z dala jakoś szlachetniej. Drzewa Puszczy Jodłowej porastające stoki góry wszystkie miały piękne, białe, puszyste futerka. Prezentowały je z gracją, jakby wywyższając się wobec drżących z zimna, nagich, mizernych brzózek, które porosły położone niżej nieuprawiane od kilku lat pola. Samosiejki o chudych i rudawych o tej porze roku gałązkach wyglądały przy pysznych jodłach i rozłożystych bukach jak ubogie krewne wypędzone z lasu.

Ani skromne brzózki, ani strojne jodły nie wiedziały, że dosłownie za chwilę znikną z moich oczu. Mroźny wiatr wyganiał bowiem zza Łyśca kłęby szarych, ciężkich chmur i tumany białej mgły, która szybko pochłaniała zachwycające obrazy. Najpierw rozplynęły się klasztor i wieża. Potem chowały się kolejne piętra drzew. Aż wreszcie przepadła gdzieś cała góra i miałam wrażenie, że stoję na kompletnej równinie. Niebo nade mną poszarzało, a rozćwierkane ptaki gdzieś się pochowały. W powietrzu zaczęły unosić się duże płaty śniegu. Nadzieja na rychłe nadejście wiosny umarła.

— Tak też jest ślicznie, prawda? — powiedziałam do psów, które mają zwyczaj towarzyszyć mi w każdej czynności, więc teraz także wpatrywały się w niebo, jakby również dziwiły się tym błyskawicznym zmianom krajobrazu.

Z rozczuleniem przyjrzałam się zamyślanej Psyche i skromnie stojącemu za nią Erosowi. Psyche powinna być już o wiele grubsza, przecież wkrótce będzie rodzić — uświadomiłam sobie. Kiedy ona dokładnie miała tę cieczkę? — usiłowałam sobie przypomnieć. Miałam to zapisać, ale jakoś mi umknęło. Moja suka nie wyglądała jednak na ciężarną. Nie woziałam jej do weterynarza i nie robiłam USG. Pozostawiłam wszystko naturze, a tu chyba natura coś zawiodła. Co ze mnie za hodowca? — pomyślałam z poczuciem winy, że znów z czegoś

nie wywiązałam się jak należy. Pobiegłam do domu, żeby z kalendarzem w ręku spróbować przypomnieć sobie dni i daty, kiedy mogło dojść do zapłodnienia.

W domu dzwonił telefon. To Dominika wesołym głosem donosiła:

— Możemy przyjechać, jeśli naprawdę chcesz go poznać. Tylko nie wyciągaj od razu pochopnych wniosków. A w ogóle postaraj się, jeśli to możliwe, wstrzymać się od uwag na jego temat — instruowała mnie ostro.

— Córeczko, nie podoba mi się twój ton. Jeśli uważasz, że nie potrafię się zachować, to bardzo mi przykro, ale... — zaczęłam.

— Nie, to nie tak — zreflektowała się trochę. — Tylko ty czasami szybciej mówisz niż myślisz, a potem niektórych rzeczy nie da się już wymazać i cofnąć, a mnie bardzo zależy.

— To może powiedz mi o tej osobie coś więcej. Chcesz działać z zaskoczenia, a jednocześnie się boisz, że wyjdzie coś nie tak. Nie wiem, czego się obawiasz. Nie jestem rasistką, antysemitką, wydaje mi się, że stać mnie na tolerancję religijną, wyłączając sekty oczywiście, więc o co chodzi? — pytałam coraz bardziej zaniepokojona.

— Nie, o nic. Jak go bliżej poznasz, zobaczysz, ile ma uroku i jak pięknie potrafi mówić. — Dominika aż westchnęła na wspomnienie swego lubego. — Postaraj się, żeby obiad był wyjątkowy. Chwaliłam cię, że jesteś taka twórcza w kuchni, więc chciałabym, żeby mógł tego doświadczyć. I może starczy jeszcze tych przetrzebionych rosenthali, żeby nakryć do obiadu i deseru.

Podpuszczona umiejętnie przez córkę zapomniałam o niezapłodnionej suce i całym świecie i rzuciłam się w wir przygotowań. Dysponowałam okazałą pierśią z indyka, którą właśnie miałam zwyczajnie upiec w całości w naczyniu żaroodpornym i podzielić na mniejsze kawałki do zamrożenia, żeby już w tygodniu nie poświęcać zbyt dużo czasu na przygotowanie posiłków. Teraz jednak weszłam do Internetu i przez godzinę czytałam przepisy na indyka. Nic mi tak dokładnie nie pasowało, więc zaczęłam kombinować po swojemu.

Najpierw było moczenie w solance, potem nacieranie ziołami i marynowanie w oliwce. Tak przygotowane mięso poleżało do następnego dnia w lodówce. W sobotę zostało pocięte na długie paski, z których po spięciu wykałaczką uplotłam piękne warkocze. Obsmażone szybko na patelni, na maśle klarowanym warkocze poprzątkowałam, jedne suszonymi morelami, a drugie śliwkami. Ułożyłam je delikatnie w ogromnej, szklanej gęsiarce i podlane sownicie winem aroniowym wsadziłam do piekarnika. Sos wykombinowałam z rozmiksowanego ananasa z dodatkiem kiwi i tego, co wyleciało spod mięsa. Do pełni smaku brakowało mi jeszcze trochę czosnku i curry. Danie wyglądało pięknie, pachniało bosko i równie doskonale smakowało. Obiad ten okazał się jednak jedną wielką porażką i to nie ze względu na menu.

Omam nie upuściłam ciężkiej gęsiarki, którą właśnie wyjęłam z piekarnika, słysząc podjeżdżający pod dom samochód, tak byłam podekscytowana i zaintrygowana tym, co zaraz zobaczę. Nastawiałam się na widok pięknego, wysokiego młodzieńca, który w dodatku miał mnie olśnić swoją erudycją, darem oracji i galanterią. Tymczasem, wyglądając dyskretnie zza firanki przez okno, ujrzałam wysiadające z luksusowego, dużego auta uwijające się obok mojej Dominiki jakieś dziwne indywiduum. Dominika wyciągnęła z bagażnika bukiet kwiatów. Indywiduum niechętnie przejęło go od niej, czyniąc przy tym gesty wyrażające rozdrażnienie. Pokicało szybko na stopnie ganku, podrygując z zimna. Ubrane bowiem było jedynie w pomarańczową bluzo-marynarkę z modnymi, lecz idiotycznymi łatami na łokciach i w obcisłe, trawiastozielone porcięta oraz żółte trampki.

W facecie towarzyszącym Dominice nie zaskoczyło mnie bijące po oczach zestawienie kolorów ani krój jego ubrania, bo po plastykach nie takich rzeczy można się spodziewać, ale bardzo nieefektowna, żeby nie powiedzieć, pokracczna fizjonomia. Ten mocno szczupły, a właściwie wychudzony gość już z daleka nie wydał mi się młodzieńcem. Kiedy wszedł, nie miałam wątpliwości, że jest sporo

starszy ode mnie. Włosy miał wprawdzie bez siwizny, ale ich specyficzna ruda barwa rozjaśniająca się tuż przy głowie zdradzała, że jest z całą pewnością dziełem fryzjera. Słowo „włosy” zostało przeze mnie użyte trochę na wyrost. Marchewkowe kłaczki miał zebrane z tyłu głowy w mizerny kucyk. Jego twarz, obciągnięta skórą pomarszczoną od tropikalnego słońca lub nałogowego korzystania z solarium, miała barwę ciemnej brzoskwini i prawie nie odbijała się od włosów i marynarki. O Boże, skąd Dominika wytrzasnęła to paskudztwo? — pomyślałam, rozwiązując troki fartucha.

Minę musiałam mieć nieszczęśliwą, gdy potrząsał moją ręką, a Dominika dumnie go przedstawiała, kładąc nacisk na tytuł naukowy przed nazwiskiem.

— Profesor Henryk Gawęł. Mówiłam ci, że będziesz miała dużą niespodziankę. I co, nie spodziewałaś się, prawda?— szczebiotała radośnie.

— Tak. Bardzo duża niespodzianka. Bardzo mi miło gościć u nas pana profesora — mówiłam powoli, żeby zebrać myśli.

Nie znam żadnego Gawęła, poza bohaterem Fredry, co to „najdziwsze wyprawiał swawole”. Mam zapewne do czynienia z ważną w świecie sztuki osobą, ale z kim? — myślałam, goniąc w piętę. Ja właściwie wolę latać z psami po lesie niż śledzić, co dzieje się w tak zwanej wysokiej kulturze, która zresztą od pewnego czasu wydaje mi się dziwnie skoncentrowana na rzeczach niskich. Teraz mam za swoje, stoję czerwona jak burak i się kompromituję, bo nie wiem, kim jest ten ohydny Gawęł. Ale dlaczego ta wstrętna wydra, Dominika, znęca się nade mną i nie pomoże mi jakąś podpowiedzią. Skąd ja mogę znać wszystkich współczesnych malarzy, rzeźbiarzy czy jakichś tam instalatorów, od których aż się roi wśród plastyków? A może to jest ojciec jej chłopaka i profesor w zupełnie innej dziedzinie? — nadzieja umiera ostatnia. Ale ten ubiór? I gdzie w takim razie jest ten chłopak? Muszę się opanować i o wszystko wypytać — postanowiłam i natychmiast wypaliłam jak z armaty:

— Bardzo mi miło, doprawdy. Ale czy chłopiec, którego miałaś mi,

Dominiko, przedstawić, zjawi się jeszcze dziś?

— Jaki znów chłopiec? — syknęła córka.

— No wiesz, ten twój nowy kolega.

Indywidualność uśmiechnęło się kwaśno, a jego twarz stała się bardziej pomarańczowa niż włosy. Dominika za to zbladła i odwróciła się ode mnie jak od zdechłego padalca.

— Moja mama coś sobie, jak zwykle, sama dokomponowała. Jak nie dosłyszysz albo źle zrozumie, resztę wykombinuje. Powinna pisać powieści, może miałyby sukcesy, ale w życiu, jak widzisz, to bywa kłopotliwe — rugała mnie pośrednio, zwracając się na ty do profesora. — Wchodzimy dalej, czy lepiej będzie zaraz wracać do Warszawy? — zapytała oschle.

— Przepraszam, panie profesorze, nie wiem, co wstąpiło w moją córkę, że od progu urządza nieprzyjemne dla pana awantury. Jest mi bardzo miło pana gościć — powtarzałam w kółko. — I kwiaty są piękne, ale naprawdę nie trzeba było.

— Mamo, to jest Henryk Gaweł. Powinnaś go znać. Nie kojarzysz czy udajesz? — irytowała się córka.

Zrobiłam chyba wystarczająco głupkowaną minę, bo nareszcie profesor zlitował się nade mną i podjął próbę wyjaśnienia, czemu powinnam go znać.

— Miałem zaszczyt być uczniem pani ojca — powiedział. — Dużo mu zawdzięczam. Znam pani mamę i panią też widziałem kilka razy — Myślałem, że mama pani...

— Ach tak! Już sobie przypominam. Henio z Częstochowy! — krzyknęłam odkrywczco.

Odsunęłam się na bok, wykonując zapraszający gest w stronę jadalni. Nic nie mówiłam, bo bałam się chlapanąć znów coś niestosownego, a w głowie wciąż miałam kompletny mętlik. Dominika ma rację, że się denerwuje, przyprowadziła mi dawnego ucznia dziadka i pewnie jej profesora, a ja go wzięłam za jej sympatię. Dziś taka moda, że wykładowcy są na ty ze studentami. Chłopaka

zapewne przywiezie innym razem. Jestem roztrzępana i nie wysłuchałam dokładnie, co do mnie mówiła — myślałam z głębokim poczuciem winy.

— Porozmawiamy przy obiedzie. Proszę siadać do stołu, bo za chwilę całkiem niezłe danie ulegnie kompletnej degradacji — powiedziałam i zaczęłam uwijać się przy kuchni. Z ukosa obserwowałam, jak moja córka idzie do barku i bez pytania nalewa gościowi szklaneczkę whisky.

— Przygotować ci coś do picia, mamo? — zawołała z salonu.

— Nie, dziękuję! — odkrzyknęłam. — Chłodzę białe wino w lodówce. Kieliszki stoją przy nakryciach.

Powoli zaczynałam sobie przypominać sierotę Heńka, którego talent odkrył mój tato, gdy przez krótki czas uczył go w Szkole Rzemiosł Artystycznych w Częstochowie. W tym czasie w Warszawie nie wolno było zatrudniać taty ze względu na niewłaściwe poglądy polityczne. Heniek studiował potem na akademii i bywał częstym gościem w taty pracowni. Chyba nawet jakiś czas tata pozwolił mu tam mieszkać. Nie znałam jednak nawet nazwiska tego chłopaka, bo ojciec, mówiąc o nim, zawsze używał tylko imienia. Nie pamiętam też, czy go kiedykolwiek widziałam na oczy.

— Tak, na pewno moja mama lepiej pana pamięta. Imię sobie przypominałam i to, że rodzice organizowali jakieś formy pomocy dla pana — powiedziałam, siedząc już przy stole.

Twarz profesora znów zmieniła nieco odcień na bardziej intensywny oranż. Wywnioskowałam z tego, że palnęłam następną gafę, wypominając profesorowi ubogie pochodzenie.

— Tak, pani ojciec wynajmował mi jakiś czas swoją pracownię — wycedził Gaweł, spoglądając na Dominikę.

Niech ci będzie, że wynajmowałeś tę pracownię — pomyślałam. Nie każdy lubi przyznawać się, że korzystał z filantropii, zwłaszcza gdy zdobędzie pieniądze i pozycję. Nam w tamtych czasach też nie było lekko, ale mama szykowała dla

Heńka wałówki, które tata mu zanosił do pracowni, i ubrania też, zdaje się, że mu kupowali, gdy zaczął studia. Ale tego już nie będę mu przypominać.

— Mama nie pozwalała nam chodzić bez zapowiedzi do pracowni taty, lecz sama od czasu do czasu robiła tam inspekcje — powiedziałam, wspominając awantury, jakie czasami się po takiej inspekcji odbywały.

— Doświadczyłem takiej wizytacji na własnej skórze, gdy pani matka wpadła tam kiedyś wczesnym rankiem. Spałem w pracowni pierwszą noc. Pani ojciec nie uprzedził żony o tym, a sam spędzał noc poza domem. Pracownia miała szklany dach, więc już o świcie robiło się bardzo widno. Żeby pospać dłużej, owinąłem sobie głowę kocem. Z wersalki wystawały mi tylko stopy. Pani mama uznała, że to nogi kobiety, i zaatakowała mnie zniecacka, okładając jakąś drewnianą listwą, która akurat nawinęła jej się pod rękę. Była szczupłą i kruchą osobą, a siłę uderzenia miała taką, jakby całe życie młóciła cepami zboże — powiedział Gawęł, śmiejąc się, i wydał mi się w tym momencie nieco sympatyczniejszy.

— A byłeś tam wtedy sam? — zapytała Dominika, przypatrując mu się badawczo.

Po tym pytaniu i po sposobie, w jaki je zadała, nie miałam już wątpliwości, że profesor Gawęł jest nie tylko dawnym uczniem mojego taty, ale także jej nowym „chłopakiem”. Ten stary, paskudny pokurcz, farbowana ryża małpa, pajac na krzywych nogach odważył się poderwać moją młodziutką, głupiutką córeczkę. Na pewno nie ujdzie mu to na sucho, choćby był nie wiem kim na tej akademii — przysięgałam sobie w duchu. Zastanawiałam się intensywnie, co powinnam zrobić, żeby ten gach zniknął z życia mojej córki. Słuchając jej szczebiotu, wiedziałam, że będzie to bardzo trudne, bo przecież Dominika jest pełnoletnia i może zniknąć wraz z nim z mojego życia. O, jakże chciałam mieć teraz obok siebie mądrego, rozważnego i pryncypialnego Krzysia. Na razie postanowiłam udawać ślepa, głucha i niedomyślną i nie zauważać afektu Dominiki do pokurcza. Trzeba go wypytać, co robi i jakie ma plany na

przyszłość. Może się ten Henio sierota z czymś odsłoni przede mną i będę mogła zadać mu śmiertelny cios — myślałam jak bohaterka kryminału.

Wkrótce atmosfera przy stole stała się bardziej wyluzowana. Gaweł wypił swoją whisky i winem też nie pogardził. Przejął funkcję podczaszego i ochoczo podlewał mnie oraz Dominice, która uznała, że pierwsze lody już zostały przełamane, a tępawa mamusia wreszcie zajarzyła, jakie to szczęście spotkało jej córkę. Dowiedziałam się, że Henryk wiele lat mieszkał w Stanach, ale już dekadę temu przeprowadził się do Kanady. W Polsce podpisał umowę na dwuletni cykl wykładów. Teraz właśnie leci mu już drugi rok i po zakończeniu roku akademickiego wraca za ocean.

Może więc wytrzymać jeszcze te parę miesięcy? — kombinowałam. Co się miało stać, to już się stało. Otworzyć oczy zakochanej nastolatce to beznadziejne zadanie, a łatwo jest doprowadzić ją do jakichś desperackich kroków. Potem on sobie pojedzie i obieca, że ją zabierze, jak ona skończy studia. Nigdy tego nie dotrzyma, bo tam pewnie ma żonę i dzieci — pocieszałam się. Popatrzyłam na niego z dystansu i zwątpiłam, czy naprawdę jakaś kobieta chciałaby czekać na takie indywiduum dwa lata, chyba tylko nastolatka z zaćmą na oczach. Łudziłam się, iż Dominika umożliwi mi udawanie, że nie zauważam, co ich łączy, ale już w chwilę potem córka odebrała mi tę nadzieję.

— Wiesz, mamó, uczę się właśnie francuskiego, bo w Kanadzie dobrze jest znać nie tylko angielski.

— To dobrze, że się uczysz. Znajomość dodatkowego języka zawsze ci się przyda, jak nie tu, to gdzie indziej. — Wstałam od stołu, żeby podać deser i przy okazji skończyć temat Kanady.

— Ale ja jadę z Henrykiem! — krzyknęła za mną.

Nie skomentowałam tego. Szykowałam deser, a ręce mi drżały ze zdenerwowania. Widziałam w matowej szybce szafki odbicie Dominiki i rudzielca. Córka szeptała mu coś na ucho, a potem cmoknęła go w wysmażony

polik, aż mi się mdło zrobiło.

— Nie słyszałaś? Jadę do Kanady. Tam skończę studia — powiedziała, patrząc na mnie zaczepnie, gdy wróciłam do stołu.

— No cóż, jesteś dorosła — odrzekłam, nie patrząc na nią. — Tu możesz rozwijać swój talent, bo my zapewniamy ci utrzymanie. Jak sobie wyobrażasz swoje życie i studia w Kanadzie?

— Wyjeżdżam z Henrykiem — prychnęła oburzona na moją niedomyślność.

— Moi rodzice tylko trochę pomogli panu profesorowi i nie możemy przyjąć od niego takiego rewanżu, jak utrzymywanie ciebie na studiach. To wykluczone — grałam dalej swoją rolę.

— Mamo, Henryk uważa, że jestem jego muzą! On dzięki mnie maluje teraz jak szalony — wrzeszczała z ogniem w oku.

— Takim kociakom to się mówi różne rzeczy. Prawda, panie profesorze? Wolałabym, żeby pan zaprzeczył wszystkim tym rewelacjom. Ja chętnie uwierzę, że jej się coś zdawało, a pan nigdy by się nie posunął do tego, żeby nadużyć zaufania takiego dziecka. Nie sądzę, żeby tak się pan odwdzięczał mojej rodzinie.

— Wiedziałam, że ten twój spokój jest podejrzany! — krzyknęła Dominika. — Ty oczywiście nie jesteś w stanie zaakceptować naszego związku. I tata na pewno też się sprzeciwi. Nie rozumiecie artystów. A dziadek to miał młodszą...

— Zostaw umarłych i ich sprawy w spokoju — powiedziałam kategorycznie. — Dobrze, że wiesz, czego się możesz po swoich rodzicach spodziewać, bo ja na przykład nie miałam takiego luksusu. A pan profesor, jeśli nie ureguluje z powrotem rozstrojonej psychiki tego dziewczątka, może się spodziewać nieprzyjemności na uczelni. — Uśmiechnęłam się jadowniczo. — Ja wiem, że pan stąd już wkrótce wyjedzie i niewiele pana obchodzą ewentualne sankcje naszej polskiej uczelni. Ale teraz świat zrobił się taki malutki dzięki Internetowi i mediom, po prostu jedna elektroniczna globalna wioska. Nieprawdaż?

— Pani mi grozi? — odezwało się w końcu ciekim ze wzburzenia głosem

milczące od pewnego czasu rude indywiduum. — Ja nie jestem niewdzięczny. Ja dla Dominiki zrobiłem wiele i mogę się zająć jej dalszą edukacją i karierą, ale groźby sobie wypraszam. To pani matka przysłała do mnie list i prosiła...

— Kto?! O co?! — krzyknęłyśmy obie, ja i Dominika, równocześnie.

— Pani matka, a babka Dominiki zwróciła się do mnie listownie, żebym pomógł dostać się wnuczce mojego nauczyciela na studia i pokierował jej karierą — wyjaśniał Gawęł. — Gdyby nie ten list, nie wiedziałbym o istnieniu takiej dziewczyny. Nazwisko Zalewska nic by mi nie powiedziało. Ja musiałem w czasie wakacji pofatygować się na uczelnię, szukać dojścia do profesorów z komisji, bo ja jako kontraktowy nie mam wpływu na rekrutację. I pani mówi, że wykazałem się niewdzięcznością? — sapał ze wzburzenia.

— Dziękujemy, że pan się pofatygował, ale więcej już niech pan się nie fatyguje, dobrze? — ironizowałam. — I zapomnijmy o całej sprawie. A nie mógłby pan z wdzięczności dla oddania mojej córki skrócić swojego pobytu w Polsce? A ona zapomni o wszystkim i spokojnie ukończy studia.

— Pani nie rozumie — profesor cedził przez pożółkłe zęby. — Dominika jest inteligentna i urocza, ale nie ma talentu do malarstwa. Ma najwyżej zdolności, z którymi od biedy mogłaby startować na jakieś nauczycielskie studia. Pani od rysunków to szczyt, który mogłaby bez mojej pomocy osiągnąć. Studiuje dzięki mnie i dzięki mnie przy swojej bystrości i smaku może zostać na przykład znakomitym marszandem. Nie nauczę jej malować, bo to jest niemożliwe w jej wypadku, ale wprowadzę ją w świat sztuki, w którym trzeba umieć się poruszać. Może zarobić fortunę, jeśli będzie miała szczęście i będzie mądra, a państwo nie będziecie jej rzucać kłód pod nogi.

— Moja babcia? — szeptała Dominika pobladłymi wargami. — Ja marszandem? Nie umiem malować? Dlaczego...? — zwróciła się do niego z oczami pełnymi łez. — Dlaczego nigdy mi tego nie mówiłeś?

— Bo jestem subtelny — powiedział z zadowoleniem Gawęł. — Chciałem

mieć pewność, że kochasz mnie dla moich zalet, a nie dla zasług. Nigdy bym tego nie powiedział, gdybym nie został sprowokowany.

— I wszyscy na uczelni uważają, że nie mam talentu? A te zaliczenia to...?

Usteczka Dominisi wykrzywiły się w podkówkę, a z wymalowanych „smokie eyes” popłynęły strugi czarnych łez. Była znów moją małą dziewczynką, którą zapragnęłam natychmiast przytulić do siebie. W jej krótkim życiu przeżywała już drugie rozczarowanie. Co takiego pchało tę energiczną i bystrą dziewczynę w beznadziejne związki z mężczyznami, którzy nie zasługiwali w ogóle na miłość? Dlaczego nie zauważała uczuć spokojnych, oddanych jej chłopaków, takich jak Tomek czy Łukasz? Wyciągnęłam ramię w jej kierunku i chciałam ją objąć, ale odsunęła się i krzyknęła:

— Nienawidzę was wszystkich, wszystkich! Słyszysz? Ciebie też — zwróciła się do stojącego z rozdziawionymi ustami Gawła. — Dajcie mi wszyscy święty spokój! Nie chcę was znać! Wyjadę stąd do... do... do Patola... albo nie wiem gdzie. — Odepchnęła z całej siły chucherkowatego ukochanego, aż zatoczył się i opadł na krzesło. Pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

— Nie zatrzymuję pana — powiedziałam do Gawła.

— Ale ja piłem, jak ja się stąd wydostanę? — zapytał bezczelnie, sądząc widocznie, że ja mu w tych warunkach zaproponuję jeszcze nocleg. Można mieć tytuły i pozostać do końca zwykłym kmiotem bez honoru — pomyślałam z nienawiścią.

— Trzy domy stąd są pokoje gościnne, a w Swarowicach też jest motel przy stacji benzynowej — poinformowałam. — Może pan tu zostawić samochód. Ja go panu nie zdemoluję, ale za Dominikę nie ręczę — zażartowałam.

Henio Gawęł pokicał jednak do auta, bo mróz chwycił na noc siarczysty, a on w samej marynareczce daleko by nie zaszedł. Wsiadł i wolno ruszył z podjazdu. Wkrótce zniknął w mroku jego samochód, ale on sam jeszcze nie wyparował z naszego życia.

XX. TEST CIAŻOWY

Dominika wyszła ze swojego pokoju dopiero następnego dnia. Już nie płakała. Ubrana była w dres i normalnie uczesana. Od wczorajszego popołudnia zewnętrznie odmłodziła o dziesięć lat, a psychicznie postarzała się dwa razy tyle.

— Jestem beznadziejna, wiem — zaczęła samokrytykę. — Dałam ciąża.

— Daruj mi wszelkie szczegóły w tym względzie — powiedziałam z uśmiechem igrającym na wargach.

Nie mogłam się powstrzymać i zażartowałam, wykorzystując dwuznaczność tego młodzieżowego zwrotu. Śmiech nie raz pomógł mi w trudnych sytuacjach i teraz także. Dominika poczuła, że nie traktuję jej wpadki jako wielkiej rodzinnej tragedii, skoro stać mnie na kpiny. Usiadła na stołku pośrodku kuchni i zaczęła się głośno śmiać. Przyłączyłam się do niej i jak dwie głupie rechotałyśmy chyba przez kwadrans.

— Co sobie pomyślałaś, cha, cha, jak nas zobaczyłaś, cha, cha? — zaśmiewała się córka.

— Że z jakiegoś ogródka wyrwałaś stracha na wróble, cha, cha — wtórowałam jej, trzymając się za brzuch.

— Czy Henryk jest naprawdę taki okropny?

— Naprawdę, naprawdę, cha, cha. Nie wiem, jak z twoim talentem, ale gustu nie masz za grosz — odparłam.

— Przecież ja z nim nie dla jego urody, tylko... — Urwała, bo pewnie uświadomiła sobie, że inne przymioty Gawła też okazały się wątpliwe. — Czy ty się na mnie nie gniewasz? — Podniosła na mnie wzrok i spytała poważnie, a w jej oczach znów zobaczyłam łzy.

— Babcia zrobiła to w najlepszej wierze, ale właściwie wystawiła cię temu łachmycie. Pan Bóg ci rozum odebrał, a ja mam się jeszcze na ciebie gniewać?

Mam żal, że nie powiedziałaś mi od razu, że cię ten przebieraniec emabluje. Co ci się w nim podobało? — spytałam, obejmując ją i całując serdecznie.

— Mamo, ty wiesz, ile dziewczyn do niego wzdycha i pcha się do jego pracowni po każdym wykładzie? Ja się czułam wyróżniona, on na żadną inną w tym roku nie patrzył. Bo w tamtym roku to się podobno z kilkoma prowadzał.

— Nie wiem, co myśleć o współczesnych dziewczynach. Czy jesteście gotowe na wszystko, żeby ułatwić sobie karierę, czy to aura tytułu tak na was działa? — pytałam.

— On naprawdę ma niesamowitą wiedzę i talent, a do tego bywa wszędzie, gdzie się coś wyjątkowego dzieje i zna tylu sławnych ludzi.

— Masz na myśli te celebryckie eventy?

— No tak. Ja już też poznałam parę osób z telewizji i Henryk mi obiecał...

— Słuchaj, dziecko — przerwałam jej. — Jestem w stanie pośmiać się z tobą z wczorajszego dnia i nie robię, jak to ty powiedziałaś, tragedii z całej sprawy, ale to nie znaczy, że to pochwalam — powiedziałam poważnie.

— Tak, wiem — zgodziła się ze mną natychmiast. — To jest beznadzieja. Proszę cię, tylko nie mów nikomu, a zwłaszcza tacie.

— Nie mogę trzymać takich rzeczy w tajemnicy. Nie wiemy jeszcze, jak ten pan będzie się zachowywał w stosunku do ciebie na uczelni. Myślę, że przydałoby się zawiadomić władze akademii.

— Mamo, błagam, tylko nie to. Musiałabym opowiadać, co między nami było. Umarłabym ze wstydu.

— On powinien się wstydzić, ale na to nie ma co liczyć. Powinien jednak ponieść karę.

— Nie zmuszał mnie do niczego, jestem pełnoletnia i...

— To nie zmienia faktu, że wykorzystał układ twojej zależności...

— Daj spokój z tym wszystkim. Ja już nigdy nie zjawię się na tej uczelni.

— Nie przejmuj się tym, co mówił o twoich zdolnościach. Ja mu nie wierzę.

— A ja mu akurat w tej kwestii wierzę. Czułam to sama, gdy porównywałam prace swoje i kolegów. Ostatnio Henryk mi dużo pomagał.

— Nie mówmy już o nim. Zastanów się, czy naprawdę nie chcesz kontynuować tych studiów, ale jego w ogóle nie bierz pod uwagę. A ja jeszcze z babcią muszę porozmawiać.

— Może lepiej nie. — Dominika spojrzała błagalnie. — Babcia chciała mi pomóc. Skąd mogła wiedzieć, co wyrosło z Henia, którego znała tak dawno temu, jakim teraz jest człowiekiem.

— Jeśli nie wierzyła w twoje zdolności, mogła ci to od razu powiedzieć.

— Podejrzewam, że ona nie dowierzała komisji. Myślała, że bezpieczniej jest mieć jakieś układy. To wszystko nie ma już żadnego znaczenia, bo ja złożyłam papiery na medycynę. Widać tak było mi pisane. Tata się ucieszy.

— Nie chodzi o to, żeby nas zadowalać, bo to twoje życie i ty musisz być przekonana do tego, co zamierzasz studiować. Zastanów się dobrze, czy naprawdę chcesz opuścić akademię. Myśl tak, jakby tej całej historii nie było. Mogę nawet wziąć wolne, żeby odwieźć cię do Warszawy. Pójdę narozrabiać w dziekanacie albo u samego rektora. Jestem pewna, że wykurzymy pana profesora z powrotem do Kanady, a ty będziesz mogła nadal spokojnie studiować.

— Nie, dzięki. Przemyślę swoje zachowanie, przyrzekam. Raczej nastawiam się na medycynę, ale mam jeszcze taką jedną pokusę. — Dominika podniosła oczy ku górze i westchnęła.

— No to mów, córuś, co ci chodzi po głowie. — Wpatrywałam się w nią zachęcająco.

— A może ja bym poszła do klasztoru? W habicie też mogę studiować. A potem bym wyjechała jako lekarz i zakonnica w jednym na misję do Afryki? Przydałabym się tam, prawda? Ja i tak już się nigdy nie zakocham w żadnym

mężczyźnie, więc mogę zostać zakonnica — powiedziała rozbijając głupio.

— A ja już przez chwilę dałam się nabrać na to, że zmądrzałaś i jesteś dojrzała. — Pokiwałam z politowaniem głową. — Zakon to nie miejsce dla zawiedzionych pań. Tam trzeba mieć szczególne powołanie. Habit nie chroni przed strzałami amora, a w Afryce, zwłaszcza północnej, często przyciąga prawdziwe strzały. Ubierz się, pójdziemy do kościoła pomodlić się o rozum dla nas obojgu.

— To ty też coś masz na sumieniu? — zainteresowała się natychmiast.

— Nie, potrzebna mi tylko większa rozwaga, żeby wiedzieć, jak wami pokierować, takimi dorosłymi i dojrzałymi — odparłam z przekąsem.

— Ale ja po tym wszystkim tak zaraz mam iść do kościoła?

— Kościół nie jest dla świętych, tylko dla grzeszników. Idziemy, a potem odwiedzimy Grażynę, która odcięła się od świata i nie odbiera telefonów — powiedziałam zdecydowanie, gdyż czułam, że powinnam normalnym postępowaniem, a nie roztkliwianiem się nad psychicznymi i moralnymi stratami mojej córki wstawić ją na właściwe tory, z których nieopatrznie się obsunęła, i dopilnować, żeby nic głupiego nie przychodziło jej do głowy.

Gdy dotarliśmy do Grażyny, było już dobrze po południu. Dzień był szary, pochmurny i mokry, ale wyraźnie już się wydłużył. Zaplanowałam, że wypijemy tu kawę, pogadamy z ciężarną i wrócimy jeszcze przed zmrokiem do domu, gdzie czekała mnie sterta klasówek do sprawdzenia. Nacisnęłam dzwonek, lecz nikt nie otwierał. Przez okno w garażu zobaczyłam samochód Grażki. Nacisnęłam klawisz dzwonka raz, drugi i trzeci. Nadal nikt nie śpieszył do drzwi.

— Może oni gdzieś wyjechali. Bez uprzedzenia telefonicznego taka jazda nie miała sensu — powiedziała Dominika.

— Próbowałam zadzwonić, napisałam esemesa, że przyjadę, i bez odzewu — wyjaśniłam.

— A co z Jackiem?

— Dzwonił do mnie parę dni temu i powiedział, że Grażyna mnie potrzebuje. Dodał jeszcze, że on musi wyjechać na parę dni do Włoch po jakieś marmury dla wyjątkowego klienta. Zaznaczył, żebym się niczym nie zrażała. Gdyby nie ten twój Gawęł, pojechałabym od razu wczoraj. Postukajmy jeszcze trochę do drzwi — zaproponowałam i zaczęłyśmy obie łomotać.

— Może pani Grażyna jest w szpitalu? — odezwała się Dominika.

— Od Jacka wiem, że nie. Poślę do niego esemesa, że stoję pod drzwiami i co mam robić.

Wysłałam dwie identyczne wiadomości do Grażyny i jej męża. Przyszła odpowiedź tylko od Jacka:

„Nie odpuszczaj, bo Grażynka jest w domu”.

— Nie odpuszczaj to nie odpuszczaj. Ty, Dominiko, dzwoń do drzwi, a ja będę walić do okien i wrzeszczeć — zdecydowałam. — Grażyna tego nie wytrzyma i otworzy, choćby ze względu na sąsiadów.

— Ale czy to tak wypada? Może ona potrzebuje spokoju i samotności? — Dominika miała wątpliwości. — Jak myślisz, chyba poroniła, no nie? Zostawmy ją w spokoju.

— Po tego typu traumach człowiek nie powinien zostawać sam, nawet jeśli mu się wydaje, że inni ludzie go drażnią. No dalej, działamy! — krzyknęłam ochoczo.

Miałam rację. Już po minucie moich wrzasków w zamku zgrzytnął klucz i w drzwiach ukazała się blada, nieumalowana i wyraźnie udręczona Grażyna.

— Każdy ciężar niesiony z innymi do spółki jest lżejszy, to oczywiste, więc dlaczego się zamykasz? — powiedziałam, obejmując ją mocno i wpychając się równocześnie do środka. — Dominika może wejść, czy raczej niech poczeka w samochodzie? — spytałam, bo teraz dopiero przyszło mi do głowy, że Grażka może czuć się skrepowana obecnością tak młodej dziewczyny. — Moja córka jest już w zasadzie dorosła, a do tego ostatnio przeszła przyśpieszony kurs

dojrzewania. Ale o tym potem. Teraz ty jesteś najważniejsza.

— Chodźcie obie, jak już jesteście — odparła Grażyna niezbyt zachęcająco i wprowadziła nas do salonu. — Może to dobrze, że Dominika jest z tobą, bo moja historia powinna być przestrożą dla młodych i ambitnych, co odkładają urodzenie dziecka na później. Później to można przeczytać jakąś książkę, zwiedzić muzeum, a dzieci trzeba rodzić wtedy, kiedy natura tego od nas chce.

— Grażynko, nie miej do siebie pretensji — zaczęłam przekonana, że moja przyjaciółka jest pogrążona w smutku po poronieniu. — Tak ci się życie ułożyło, że dopiero teraz znalazłaś właściwego mężczyznę. Próboweś, a Pan Bóg zabrał, trudno, trzeba się z tym pogodzić. Nie każdemu pisane jest zostać rodzicem własnego dziecka, ale może wychować dziecko, którego rodzice nie dorośli do swojej roli, albo działać tak, żeby dać coś od siebie wielu potrzebującym dzieciom. Może tak zrobisz więcej dobrego... — klepałam na jednym oddechu.

— Nie poroniłam! — Grażyna przerwała niecierpliwie moją słodkomdłą przemowę. — O to chodzi, że nie poroniłam, chociaż organizm bronił się przed tym płodem. Lekarze zrobili wszystko, żeby nie doszło do samoistnego poronienia, i nadal jest ciąża, trzyma się dobrze od jakichś trzech tygodni, żadnych problemów.

— No to cudownie! — krzyknęłam entuzjastycznie, lecz ponowne spojrzenie na Grażynę sprawiło, że zapytałam cicho: — O co chodzi?

— Będę miała downa. Downa! Słyszysz i rozumiesz, co to znaczy?

Tak, wszystko słyszałam, ale nie byłam pewna, czy potrafię zrozumieć, co czuje ciężarna matka, która dowiaduje się o niepełnosprawności nienarodzonego jeszcze dziecka. Jeśli to wada serca czy coś w tym rodzaju, najważniejszą sprawą jest ustalić, co można zrobić jeszcze w życiu płodowym, żeby naprawić błąd natury. Ale w tym wypadku nie da się już zmienić liczby chromosomów. Można tylko przygotować się psychicznie i czekać — myślałam i milczałam, bo naprawdę odebrało mi mowę.

Jak tu się przygotować na coś takiego? Wolałabym jednak dowiedzieć się dopiero po porodzie, że moje dziecko jest dotknięte tego typu kalectwem. Ale właściwie dlaczego? Czy obawiałabym się samej siebie? Czy w ten sposób uniknęłabym pokusy, żeby to dziecko unicestwić? Te pytania zrodziły się we mnie gdzieś bardzo głęboko, jakby pod powierzchnią tego, co nakazywała mi myśleć religia i zwykła ludzka przyzwoitość. Wyobraziłam sobie lęk, jaki odczuwa Grażyna, ile musi mieć wątpliwości, nie mając mocnego oparcia w wierze. Dzisiejszy świat z kultem pięknych, zdrowych i silnych podsuwa łatwe rozwiązania i jeszcze je całkiem logicznie usprawiedliwia. Po co dopuszczać, by na świat przyszła istota uzależniona od innych? Na pewno będzie nieszczęśliwa, więc odeślijmy ją w niebyt. Nikogo nie będziemy zabijać. Przerwiemy tylko ciążę. To tylko płód, który teraz wprawdzie żyje i rusza się, ale jak dostanie długą igłą zastrzyk w główkę, przestanie. Na pewno przestanie i wtedy go wyciągniemy. To przecież powrót do pogańskiej Sparty, a nie postęp.

Grażyna może nie za bardzo przejmuje się nauką Kościoła, ale też nigdy nie zadeklarowała się jako ateistka, nie zanegowała Dekalogu. Jest poza tym dobrym człowiekiem i kobietą, która pragnie spełnić swoje powołanie do macierzyństwa, więc nie usunie chyba tego dziecka — rozważałam. Po porodzie każdy noworodek potrzebuje bliskości matki, jej mleka i miłości. Ta miłość zjawia się wraz z hormonami. Grażyna na pewno pokocha swoje dziecko. Teraz jest załamana, ale potem wszystko będzie dobrze — przekonywałam samą siebie.

— Pani Grażynko, a więc udało się pani? Wciąż jest pani w ciąży, a my już tam pod drzwiami myślałyśmy, że przepadły pani starania — usłyszałam za sobą całkiem radosny głos Dominiki. Przerazona nieco spojrzałam gromiąco na nią, a potem zaraz na przyjaciółkę.

— No, jestem, jestem niestety — odparła z sarkazmem Grażka. — Chciałam mieć się kim opiekować, to teraz będę musiała robić to do usranej śmierci. A co będzie, jak mnie i Jacka zabraknie?

— Pani Grażynko, ale to nie są gorsze dzieci, tylko trochę inne — Dominika ćwierkała radośnie. — To na pewno nie jest tragedia ani koniec świata. Moja koleżanka ma siostrę z zespołem Downa i bardzo ją kocha. A ta siostra to dopiero wszystkich ich kocha, całą rodzinę. Alina, ta moja koleżanka, długo była jedynaczką, a jej rodzice mieli hopla na punkcie kariery, stale byli w pracy. Mieli się już nawet rozejść i wtedy urodziła się Malwinka, i wszystko się u nich zmieniło. Opieka nad tym dzieckiem bardzo scementowała całą rodzinę. Oni teraz potrafią być naprawdę razem, bawią się, śmieją i nie myślą o Malwinie jak o ciężarze.

— Tak, ale sama widzisz, że w tamtej rodzinie jest inna sytuacja — Grażka podjęła dyskusję. — Tamto dziecko, jeśli ma nawet starszych rodziców, to ma jeszcze siostrę, która się nim zajmie, jakby co. Nie myślcie sobie, że ja tu ubolewam tylko nad tym, że diametralnie zmieni się moje życie i to nie na trzy lata czy pięć, ale już na zawsze. Ja się boję, co będzie za czterdzieści lat, kiedy to ja będę potrzebować opieki.

— A kto z nas zna swoją przyszłość? — dołączyłam do dyskusji. — Twoje dziecko ma szczęście, że mamusia świetnie się trzyma i tak będzie jeszcze długo. A w dodatku tatuś jest młodszy od mamusi i pełen wigoru. Jest jeszcze duża rodzina Jacka, która wydaje się bardzo zacna i zżyta. Dobra sytuacja finansowa pozwoli wam doskonale zorganizować dziecku opiekę i naukę.

— Jak was słucham, to można by sądzić, że właściwie nie spotkało mnie żadne nieszczęście — sarknęła Grażka. — I może jeszcze mam się z czego cieszyć?

— Jeśli wziąć pod uwagę to, że masz słabe szanse na następne ciążę i dzieci, to ci powiem, że coś w tym jest — przeszłam na lekki ton, udając, że nie zauważyłam ironii w pytaniu przyjaciółki. — Twój mąż ma instynktu rodzicielskiego na dziesiątkę małych Gaików, a to dziecko nigdy nie znudzi się jego opiekuńczością i nie zechce wyrwać się spod kontroli, jak moje na przykład

— dodałam, patrząc znacząco na Dominikę.

— Oj, wie pani, z tymi na pozór normalnymi dziećmi to dopiero można zwariować — odezwała się wywołana moim spojrzeniem córka. — Jaki ja ostatnio numer wycięłam. Jeszcze wczoraj chciałam lecieć do Kanady z takim jednym. Wstyd mi nawet mówić z kim. Ale jestem beznadziejna. I mama to jakoś wytrzymała. Teraz zmadrzałam. Rzucam studia i chyba pojedę do Patola. Może znajdzie się i dla mnie jakaś robota w tym jego cyrku. Patol odzyskał równowagę psychiczną przy wyrzucaniu gnoju, to może i mnie się coś takiego uda. Albo pójdę do klasztoru, chociaż mama...

— Zaraz, zaraz — przerwała jej ożywiona nagle Grażka. — Ty mówisz, że zmadrzałaś? Rzucasz studia i chcesz jak twój brat włóczyć się z cyrkiem po świecie? O drugim pomysle nie dyskutuję, bo to inna sprawa.

— No widzisz, co ja muszę znosić? Kryterium normalności jest bardzo zwodnicze — westchnęłam ciężko.

— Ale co się nagle stało? Nie zaliczyłaś sesji? A ten profesor z Kanady nie mógł ci pomóc? Babcia nie próbowała z nim znowu czegoś załatwić?

Grażyna w czasie dyskusji odzyskała odrobinę energii, a teraz jeszcze także zainteresowanie światem zewnętrznym, co dobrze rokowało i świadczyło, że nasza misja może skończyć się sukcesem. Ale też zachowywała się jak medium w stanie hipnozy, bo mówiła o rzeczach, o których nie mogła mieć pojęcia.

— A skąd ty wiesz o jakimś profesorze z Kanady? — Popatrzyłam na Grażkę oczyma okrągłymi jak spodki. — Ja się o nim dowiedziałam dopiero wczoraj. Wczoraj zobaczyłam go na własne oczy.

— Znała go pani wcześniej?! — Dominika była nie mniej zdziwiona niż ja.

— Ja tylko na prośbę babci wyszukałam w Internecie namiary na tego waszego Gawła, który był wychowankiem twojego dziadka.

— To ty spiskowałaś z mamą za naszymi plecami?! — wrzasnęłam, podrywając się z kanapy. — Gdyby nie twój stan, chybabym cię sprąła. Cholerne

załatwiaczki.

— Jak to spiskowałam? — Grażyna wciąż udawała, że nie rozumie, o co mi chodzi. — W Kanadzie dowiedziałam się, że on jest akurat w Polsce. A tu zdobyć jego adres to była bułka z masłem. Dałam twojej mamie i tyle. Wiem, że babcia chciała początkowo tylko załatwić Dominice u niego konsultacje. Przynajmniej tak mi mówiła. Ale facet się migał, że nie ma czasu i nie prowadzi tego typu zajęć. Potem podobno obiecał zaopiekować się wnuczką.

— No i się zaopiekował. Niech go... — Miałam już posłać mu wiązanek najgorszych życzeń, ale przypomniałam sobie, że przed komunią obiecałam odpuścić swemu winowajcy, skoro taka wola samej Dominiki.

— Jesteś w ciąży? — Grażka zadała wprost mojej córce pytanie, które mnie nie przeszło dotąd przez gardło.

— Nie, myślę, że nie — odpowiedziała jakoś niepewnie Dominika, a mnie ciarki przeszły po plecach. Oj, nie będzie mógł liczyć na moje chrześcijańskie miłosierdzie ten ryży przykurcz, jeśli zostawił swoje plugawe nasienie w łonie mojej małej córeczki. Ja go chyba zabiję — pomyślałam przerażona swoją niechrześcijańską postawą.

— Jak to, to ty się nie zabezpieczasz? Tyle lat was uczą różnych metod w szkole, a ty wciąż nie wiesz, że trzeba...? — gorączkowała się Grażyna. — A mama nie zaprowadziła cię do lekarza? Tatuś mógł przecież sam wypisać tabletki.

— Tata mówi, że tabletki są bardzo szkodliwe i najlepsza w tym wieku jest szklanka wody zamiast — wyszeptała Dominika.

— Dziewczyna poszła na studia, a oni jej nie zabezpieczyli! Naprawdę nie sądziłam, że reprezentujecie taki ciemnogród — łajała mnie przyjaciółka.

— Ja nie miałam potrzeby się zabezpieczać, bo wcale nie zamierzałam... — Dominika krępowała się nazwać rzeczy po imieniu, ale mimo wszystko ciągnęła dalej. — Zawsze tak sobie planowałam, że dopiero jak już będę całkowicie

pewna, że to jest ten chłopak na całe życie, i że jakby coś, to się najwyżej pobierzemy...

— Tak większość planuje, a życie potem toczy się inaczej — przerwała jej Grażyna.

— I byłaś pewna, że właśnie z nim chcesz być na zawsze? A sprawdziłaś, czy on nie ma rodziny? — włączyłam się.

— Mówił, że miał żonę, z którą się rozwiódł, bo piła.

— I uwierzyłaś tak od razu? — indagowała ostro Grażka.

— No tak. Nie, nie wiem. Nie wiem, dlaczego doszło do tego. — Dominika bezradnie popatrzyła na nas jak zaszczute zwierzątko. — Przyszłam do niego, bo miał mnie uczyć rysunku. Najpierw powiedział, że świętuje duży sukces, bo sprzedał na aukcji obraz za dużą sumę. Piliśmy szampana, potem namówił mnie na jointa i chyba nie byłam całkiem sobą. Na drugi dzień mówił, że byłam taka fantastyczna, że...

— Dobrze, dajmy temu spokój — próbowałam przerwać ten wieczór zwierzeń, ale Grażyna była bardzo konkretna.

— Zabezpieczał się?

— Ja nie wiem. Ja w ogóle niewiele pamiętam z naszych zbliżeń, bo zawsze paliliśmy i trochę piliśmy, a może jeszcze coś mi dodawał. Czułam się wspaniale. On mnie wyleczył z kompleksów.

— Ja nie wiem, czy jemu jeszcze jakikolwiek doktor pomoże, jak ja go dorwę — powiedziałam, kasując całkowicie wcześniejsze postanowienia o wybaczeniu.

— Ten skurwiel narkotyzował dziewczynę. To jest sprawa dla prokuratury. Tego nie można tak zostawić. — Grażyna całkiem zapomniała o własnym nieszczęściu. — Powiemy Jackowi, to go rozniesie.

— Grażka, uspokój się — przemówiłam rozsądnie. — Nic nikomu nie mów, a zwłaszcza Jackowi. Chcesz, żeby twoje dziecko miało ojca w więzieniu?

— Mamo, ale ja nie będę zeznawać. Ja się w życiu nie przyznam. Tak mi wstyd, że was zawiodłam — rozpaczła Dominika. — Dajmy temu wszystkiemu spokój — błagała. — On wyjedzie. Na pewno nie jestem w ciąży. Zrobię test. Kupimy po drodze.

— I zrób sobie wszelkie inne badania, kto wie, co taki dupek ma jeszcze na sumieniu — dorzuciła Grażyna.

— Tak, tak. Pojadę do Warszawy i tam anonimowo porobię badania — przyrzekała Dominika. — Ale babci też nic nie mówcie, przecież ona nie chciała.

— Babcia by go naprawdę zabiła — stwierdziłam z przekonaniem. — Ja, chociaż z trudem, jeszcze potrafię się opanować, ale mojej mamy nikt by nie powstrzymał od zemsty.

— Wiecie, dziewczyny, że jakoś jest mi źlej — powiedziała nagle Grażyna, wstając z fotela. — Życie jest takie skomplikowane. Nigdy nie wiadomo, co nas czeka za rogiem. Jestem ciekawa, jakie będzie to moje dziecko. Chciałabym, żeby się dużo śmiało i było szczęśliwe.

— Tak na pewno będzie — powiedziała Dominika.

— Dobrze, że udało mi się utrzymać tę ciążę. To nieprawda, że byłam szczęśliwa w swoim wygodnym świecie, żyjąc tylko dla siebie. Zaszłam w ciążę głównie dla Jacka i myślę, że te doświadczenia nas połączą jeszcze mocniej. — Grażyna wytarła łzy rękawem swetra i zapaliła światło, gdyż teraz zrobiło się już całkiem ciemno na dworze. — Dziewczyny, zostańcie na kolacji. Zaraz pewnie wróci Jacek. Nie było go parę dni, więc powinnam pokazać mu, że za nim tęskniłam. Pomożecie mi przygotować szybko coś pysznego? Asia, zajrzyj do lodówki, co tam można wykombinować. A ja się trochę podmaluję i przebiorę. Mam młodego męża, a przestałam się starać. Zobaczycie, jak się Jacek ucieszy, gdy zobaczy mnie w innym nastroju, ozłoci was.

Grażyna pobiegła do łazienki, a ja z Dominiką uwijałyśmy się jak frygi, żeby Jacek zastał żonę i dom inne, niż je opuszczał. Spoglądałam spod oka na córkę

i widziałam, że jest zgnębiona. Jako nieuleczalna optymistka miałam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze i ta pokraka, choćby chciała, nie mogłaby już nikogo zapłodnić. Jeśli opala się na golasa w solarium, to pewnie jądra ma jak skwarki i nieżywe z przegrzania plemniki — myślałam, szarpiąc sałatę z taką pasją, jakbym rozdzierała na strzępy pomarańczową, pomarszczoną skórę Gawła. Ale dlaczego moja rozsądna córka, która nigdy w szkole nie sięgnęła po narkotyki i nawet zdemoralizowanego Damiana potrafiła wyciągnąć z dealerki, dała się tak omotać tej wstrętnej kreaturze? — pytałam samą siebie i nie mogłam znaleźć odpowiedzi.

— Dominika, dlaczego zapaliłaś skręta? Wiedziałaś, co ci ten dupek daje? — zapytałam, gdy już po sympatycznej kolacji z rozradowanym Jackiem i z testem zakupionym w dyżurującej aptece w Kielcach wróciliśmy do domu.

— Częstoowali mnie wcześniej w szkole i już tu na akademii na imprezach, ale dla mnie to było oczywiste, że nie sięgam po takie rzeczy. A z nim czułam się zupełnie inaczej. Najpierw traktowałam go trochę jak ojca. Był autorytetem na uczelni i nagle pokazał mi, że pragnie być dla mnie też kimś bliskim. Imponowało mi to. Nie myślałam w ogóle o seksie, jak szłam do niego. Czułam się bezpieczna i jakoś tak mu zaufałam, że tylko raz albo dwa zapalimy. Przekonywał mnie, że inaczej odbiorę barwy, że zwiększy się moja wrażliwość.

— Przecież to droga donikąd. I co, przy każdym obrazku byś paliła? — zaczęłam się irytować.

— Mamo, ja teraz to wiem, a i wcześniej też wiedziałam, że potem chce się więcej i mocniejsze... — mówiła Dominika. — Ale w tamtym momencie chciałam podążać za nim do niezwykłej krainy sztuki, która tylko przed niektórymi otwiera swe wnętrza. Tłumaczył mi, że ze sztuką jest jak z kochanką, trzeba się poświęcać i natrudzić, żeby otworzyła swe łono i żeby trafić w punkt G.

— O rany, co to za język! — zajęczałam.

— To jego słowa.

— Ale tandetny kit.

— Nie śmiej się ze mnie!

Dominika schwyciła test ciążowy i pobiegła do łazienki. Czekałam w kuchni, odmawiając na kolanach kolejne zdrowaśki. Nigdy jeszcze kilka minut nie trwało tak długo. Mina Dominiki wychodzącej z łazienki mówiła wszystko. Nie była w ciąży.

XXI. INTERWENCJA

W poniedziałek nie mogłam uwierzyć, że mam już wstawać, gdy usłyszałam charakterystyczną melodię budzika w komórce. Po obejrzeniu testu obie z córką poczułyśmy taką ulgę, że przegadałyśmy jeszcze pół nocy. Straciła cnotę, pal sześć, na szczęście nie żyjemy w kraju muzułmańskim. Mój niepokój wzbudza jednak to, że pierwsze seksualne doznania mojej córki są związane z narkotycznymi odlotami. Czy aby skojarzenie seksu z narkotykiem nie utrwaliło jej się przypadkiem jako połączenie niezbędne? Czy seks bez wspomagania wyda jej się wystarczająco atrakcyjny? — myślałam i starałam się uświadomić jej zagrożenia z tym związane. Ona twierdzi, że nie pamięta samego aktu płciowego, nie poczuła nawet, że traci cnotę, nie odnotowała żadnego krwawienia. Może to i dobrze, bo nie jest to najprzyjemniejszy moment. Ale tak na dobrą sprawę Dominika nie wie nawet, co ten cały Gawęł z nią wyprawiał i czy, gdyby była świadoma, godziłaby się na to.

Teraz córunia smacznie chrapie, a ja muszę zasuwać do pracy. O Boże! Wyłączyłam budzik i zamknęłam na chwilę oczy, a tu, nie wiadomo kiedy, minęło pół godziny. Maluję tylko usta, piję łyk kefiru, włosy zwiążuję w kitkę i już siedzę w samochodzie. Dobry Boże, niech nikt nie wybiega gwałtownie na jezdnię, bo muszę przekroczyć tę nieżyciową pięćdziesiątkę na godzinę w terenie zabudowanym. O tej porze na szczęście dzieci w wieku szkolnym powinny być już na lekcjach, a młodsze nie włączą się same po drodze.

Gwałtownie hamuję dopiero przed samą szkołą, żeby nie rozjechać kilku amatorów palenia papierosów, wyskakujących z krzaków koło szkolnego parkingu.

— Krystian, Maciek i Piotrek! — wrzeszczę za nimi. — Na pojutrze referat o szkodliwości palenia z opracowaniem ankiety, którą przeprowadzicie wśród uczniów waszej klasy.

— Ojej, a nie da się bez tej ankiety? — jęczy Piotrek.

— Nie. I tylko nie próbujcie zrzywać z Internetu. Ma być własnymi słowami. Wskazane przykłady schorzeń, na które cierpią wasi znajomi palacze — mówię zdecydowanie, ale do pokoju nauczycielskiego wchodzę niepewnie.

Wszyscy już wyszli na lekcje. Nie widziałam też stojącej pod pracownią młodzieży. Ktoś ich pewnie wpuścił. Może dyrektor czeka na mnie w sali? Trochę głupio się spóźnić. Biorę dziennik i idę. Klasa siedzi sama i nawet zbytnio nie hałasuje. Większość odpisuje od kolegów zadania domowe. Jednak druga klasa to już są trochę poważniejsi uczniowie — myślę zaskoczona ciszą i względnym porządkiem.

— Kto wam dał klucz? — pytam, żeby wiedzieć, która to dobra dusza kryje mnie przed dyrektorem.

— Sami wzięliśmy — odpowiada siedząca w pierwszej ławce Magda.

— Jak to sami? — dziwię się.

— Magda powiedziała pani od biologii, że pani prosi o klucz, bo przyniosła pani coś ciężkiego do pracowni i stoi pod drzwiami — drobniutka Elizka z zadowoloną miną sypie koleżankę.

— A czy to ładnie tak kłamać? — pytam Magdę z naganą w głosie.

— Po co miał się dyrektor dowiedzieć, że pani jeszcze nie ma, i kogoś do nas wysłać. Zresztą wiedzieliśmy, że pani tylko trochę się spóźni — odpowiada energiczna Madzia.

— A skąd wiedzieliście? Przecież mogłam w ogóle nie przyjść do pracy.

— Sebastian widział, jak pani pruje — informuje piegowaty Kamil.

— A gdzie Sebastian? — Rozglądam się wokoło i nie widzę wszędobylskiego łobuziaka. Gdyby był w klasie, na pewno nie panowałaby tu taka cisza. — Jakim sposobem mógł mnie widzieć? Nie rozumiem, o co tu chodzi.

— Sebastian, proszę pani, wyszedł przez okno z korytarza na dach sali

gimnastycznej. Stamtąd widać dokładnie całą drogę do Zalewic. Mówił nam przez komórkę, ile jeszcze pani zostało. — Madzia szczerze naświetla sytuację.

— O Boże! — Włos mi się jeży z przerażenia na głowie. — I gdzie on teraz jest?!

— Spoko, nic mu się nie stało, tylko woźna zamknęła okno — wyjaśnia Kamil. — Przysłał esemesa, żeby go wpuścić. Mogę wyjść?

Poszłam osobiście ściągnąć piekielnego Sebastiana z jego bocianiego gniazda i nagadać mu do słuchu. Miałam jednak wrażenie, że moja przemowa odbija się od niego jak groch od ściany. Czuł się bohaterem chwili i za nic miał wszelkie niebezpieczeństwo. Tacy jak on przecież nie spadają z dachu, nawet jeśli jest mokry i śliski. Tacy jak on wyobrażają sobie, że mają podobnie jak postaci z gier po kilka żyć. A potem wsiadają na motor i gnają na łeb na szyję. Przypomniał mi się Damian, którego również stać było na tego typu pomysły. Coraz więcej jest takich Damianów i Sebastianów w szkołach. Nie można sobie pozwolić na żaden błąd, bo konsekwencje mogą być opłakane. Zweryfikowałam swoje mniemanie o dojrzałości uczniów drugiej klasy gimnazjum, podziękowałam Opatrzności, że nic się nie stało, i przyrzekłam sobie, że nigdy więcej nie spóźnię się na lekcję.

Ledwie włączyłam po lekcjach telefon, natychmiast dopadła mnie mama.

— Co z Dominiką? Dlaczego nie przyjechała? Mówiła, że właśnie dziś musi być na uczelni. Może chora? Nie dajecie znaku życia, a ja tu umieram z niepokoju — zasypała mnie pytaniami i pretensjami.

— Przepraszam, jakoś tak wyszło. Wczoraj późno wróciłyśmy od Grażyny, nie chciałam cię budzić. A dziś ja nie miałam jeszcze czasu, ale myślałam, że Dominika się z tobą skontaktuje i wszystko ci powie.

— Co mi powie? Czy ona w ogóle jest w domu? Nikt u was nie odbiera — mama ściszyła nagle głos, jakby ktoś mógł ją podsłuchać. — Bo ja to podejrzewam, że ona ma kogoś i to już tak poważnie, to znaczy, że ma romans. Nie chciałam cię wcześniej denerwować, ale parę razy nie wróciła na noc.

Mówiła, że się uczyła u koleżanki, potem była senna i wykończona, ale jakoś tak inaczej. Coś niebezpiecznego widzę też w jej spojrzeniu. Jest taka nieobecna. Chyba zakochana?

— Szkoda, że dopiero teraz mi to mówisz, bo z Dominiką naprawdę coś złego się działo i to do pewnego stopnia za twoją sprawą.

— Jak to za moją sprawą?! — oburzyła się mama i zaczęła trajkotać jak karabin maszynowy, że nie mogłam jej przerwać. — Co, skarżyła się na mnie, że ją wypytuję? Zrobiłam awanturę o te noce, bo nie chciała dać adresu koleżanki, u której rzekomo była. Powiedziała, że jest dorosła, a moja nadopiekuńczość ją ośmiesza i takie tam. Strasznie mi dorosła. Gówniara. Musisz jej nagadać, bo pyskuje, zrobiła się niegrzeczna. Ma chyba złe towarzystwo. Tak się przez nią zdenerwowałam, że zapomniałam, gdzie położyłam protezę. Myślałam, że ją straciłam na dobre. A potem Dominika nie chciała mi pomagać w jej szukaniu. Ja nie wiem, co się z tą dziewczyną stało. W ogóle jej nie poznaję. Ma na pewno jakiegoś niewłaściwego chłopaka. Musisz się dowiedzieć, kto to, zanim będzie za późno. Ja nie mogę wszystkiego za ciebie załatwiać. Zabawiasz się jakimś wiejskim teatrykiem, a twoja rodzina cierpi.

— Mamo! — wrzasnęłam dramatycznie, czując, jak grzeje mi się ucho i mózg od komórki i jej nadawania. Pogubiłam się w tych jej zagubionych protezach. — Posłuchaj! Ja wiem, że ty zawsze chcesz jak najlepiej. Błagam, nie rób już niczego sama bez porozumienia z nami w sprawach moich dzieci. One muszą iść przez życie bez żadnych ułatwień i... — Zrobiłam za długi wstęp, więc mama nie wytrzymała i znów dorwała się do głosu.

— Aha, Grażyna powiedziała ci, że zdobyła dla mnie ten adres? A tak ją prosiłam o dyskrecję. No, ale popatrz, czy to nie było istne zrządzenie losu? Wiesz, jak już Dominika miała zdawać te egzaminy, to ja kiedyś, przechodząc koło akademii, wstąpiłam tam. Ach, pomyślałam sobie, że poczytam tabliczki na drzwiach, może jakieś nazwiska jeszcze kojarzę. Nałaziłam się i już straciłam

nadzieję, bo wszystko nowi, aż tu nagle plakat. Reklamowali wykłady tego Gawła, jak jakieś występy. Kojarzysz tego Henia sierotkę, co mu wałówki robiłam? A twoja babcia jeszcze mu portki cerowała, pamiętasz?

— Mamo! — krzyknęłam błagalnie, czując, że jeszcze trochę, a nie wytrzymam. — Mamo, to właśnie ten Henio sierotka i nasza Dominika...

— Pomógł jej, wiem. Sama go poprosiłam. — Nic do niej nie docierało. — Po to był mi potrzebny adres. Bo szczerze mówiąc, Dominisia nie miała dobrej tej swojej teki. Tyle lat przeżyłam z malarzem, to jeszcze oko mam na takie rzeczy. Najważniejsze, że się dostała. Ona jest zdolna i bystra, da sobie radę, podciągnie się. A ten Henio Gawł jej pomoże. On podobno zrobił dużą karierę i jeszcze większe pieniądze.

— Mamo, on ją wykorzystał i jeszcze faszerował narkotykami. Gdyby to potrwało dłużej, to mogłoby dojść do tragedii. Dominika chciała wyjechać z nim do Kanady.

— Co ty za głupoty wygadujesz? Kto ci takich rzeczy naopowiadał? To nie może być prawda. Ja bym coś zauważyła. — Mama była zdruzgotana. Głos jej się załamał i chyba się rozplakała.

— No, już nie rozpaczaj. Na szczęście go do mnie przywiozła i wszystko się wydało. Zrozumiała, że ma do czynienia z szubrawcem. Dominika postanowiła, że nie wróci już na akademię. Chce złożyć papiery na medycynę, tak jak planowała od zawsze.

— Ale tego tak nie można zostawić! Musisz zgłosić do prokuratury przestępstwo! — gorączkowała się mama.

— Nie mogę nic zrobić wbrew Dominice. Ona sobie nie życzy i musimy to uszanować. Bez jej zeznań nic się nie zrobi. Błagam cię, tylko ty już się do tego nie mieszaj.

— O mój Boże, teraz wszystko będzie na mnie — zaszlochała.

— Nie mogłaś wiedzieć, że to taka kanalia i że Dominika okaże się głupiutką

gąską. Zaliczyła wpadkę, trudno. Dobrze, że sama zrozumiała. Nie zadrećzaj się i tylko nic nie rób w tej sprawie.

— Wpadła?! Jest z nim w ciąży?! Ja go zabiję! Mnie nie zależy, jestem stara. Może nawet do więzienia mnie nie wezmą z tym moim ciśnieniem. Kiedyś go zbiłam. Pamiętasz? Opowiadałam w domu, jak dostał przez pomyłkę. Wzięłam go za jakąś lafiryndę. A teraz zabiję — powtórzyła zdecydowanie swoje postanowienie.

— Na miłość boską, uspokój się! Dominika nie jest w ciąży.

— Była u lekarza? A może Zygmunt by...?

— Nie. Sprawdzała testem — przerwałam jej. — Zabraniam ci działania i wypowiedania się do kogokolwiek w tej sprawie. Zrozum, że w razie rozgłosu ucierpi tylko twoja wnuczka. Taki już ten świat jest. Cześć.

Najchętniej zabrałabym mamę teraz do siebie, żeby mieć ją na oku, bo nie do końca wierzyłam, iż będzie w stanie powstrzymać się od wendety. Nie mogłam też prosić doktora Kryszela, żeby w ramach ich nowej, gorącej przyjaźni ją wyhamował, bo musiałabym powiedzieć, o co chodzi. Bałam się o psychikę córki. Jest taka młoda, ledwie weszła w świat dorosłych, a posypały się na nią istne plagi nieszczęść.

Wracałam do domu z obawą, co w nim zastanę. Bałam się, że kiedy Dominika zostanie sama i zacznie wszystko analizować, może się załamać. Ale w domu czekał na mnie obiad z trzech dań i posprzątana na błysk kuchnia.

— Nie wiedziałam, że odkąd nas nie ma w domu, to stałaś się straszną bałaganiarą — napadła na mnie od progu. — Do płyty kuchennej można było się przylepić. Przyprawy porozrzucane, porozsypywane i ogólnie w szafkach burdel.

— Mała, nie pozwalaj sobie — skarciłam ją z uśmiechem. — Tak nerwowo gotowałam w sobotę. Ręce mi się trzęsły, jakbym coś przeczuwała. Ale cieszę się, że teraz będę miała pomoc domową. Zbliżają się święta, trzeba myć okna, prać dywany i w ogóle zrobić dom na wysoki połysk. Poznasz na własnej skórze, co

znaczy być dorosłą kobietą.

— Chętnie popracuję fizycznie — powiedziała krótko Dominika i wcale nie potraktowała mojego gadania w kategoriach żartu. — I od razu biorę się za naukę. Chyba uda mi się jeszcze wrócić na właściwe tory.

— Już wróciłaś. Zawsze byłaś pracowitą, rozsądną, naszą kochaną i jedyną córeczką i tak zostanie. To był zły sen, a teraz już wszystko będzie dobrze — powiedziała i objęłyśmy się serdecznie. — Ale powiedz mi jeszcze tylko jedną rzecz, dlaczego nie chciałaś pomóc babci szukać protezy? Jak mogłaś odmówić staruszce takiej drobnej przysługi?

— Nieprawda — oburzyła się Dominika. — Szukałam jej z latarką po omacku w śniegu pod balkonem chyba z godzinę. Ale babcia chciała, żebym przetrząsnęła jeszcze stojący na podwórku pojemnik ze śmieciami. Powiedziałam, żeby zrobiła sobie nowe zęby, bo i tak takich znalezionych w śmietniku nie będzie przecież wkładać do ust.

— Ojej, a co się tam u was działo, że zęby babci mogły wylądować pod balkonem albo w śmieciach? — zapytałam przerażona nie na żarty. Nawet moje usługowe hitchcocki nie były mi w stanie nic podpowiedzieć.

— Bo babcia podobno, jak nie wróciłam na noc, czekała na mnie cała w nerwach i zajadała różne słodycze: kruche ciasteczka, orzeszki, krakersy i takie tam. Nawchodziło jej okruszków pod protezę i ją uwierały. Zapatrzona w telewizję wyciągnęła z ust uwierające zęby i gdzieś rzuciła. Następnego dnia, żeby sobie ułatwić sprzątanie, złapała pełen okruszków obrus i strzasnęła go z balkonu, a opakowania od ciastek wyrzuciła do kubła ze śmieciami, które wyniosła później na podwórko do ogólnego śmietnika. Wieczorem umówiła się z doktorem Kryszalem na randkę i dopiero przed wyjściem zaczęła szukać zębów. Doszła do wniosku, że wyrzuciła je z balkonu z okruskami lub wyniosła ze śmieciami. Oczywiście wszystko było przeze mnie, bo ze zdenerwowania podobno nie wiedziała, co robi.

— I jak to się skończyło? Ma babcia zęby, czy zerwała znajomość do czasu zrobienia nowej protezy? — zapytałam, śmiejąc się.

— Znalazły się w cukiernicze.

— W cukiernicze? — powtórzyłam za nią jak echo. — A jakim sposobem?

— Nie wiem, nie było mnie przy tym.

— Ale to jest życie, komedia i dramat na przemian. Taki przekładaniec — stwierdziłam filozoficznie. — Swoją drogą ciekawe, czy nasza higieniczna babcia włożyłaby do ust protezę znalezioną na śmietniku?

— Jak znam życie, na pewno by ją solidnie wygotowała i włożyła. Czego to my kobiety nie zrobimy, żeby się podobać mężczyznom — stwierdziła Dominika jako dojrzała w przyspieszonym tempie znawczyni życia.

Pośmiałyśmy się trochę, ale trzeba było jeszcze odbyć poważną internetową rozmowę z tatą. Uparłam się, że Dominika musi tego dokonać osobiście. Nie będę za nią tłumaczyć się w tak krępujących kwestiach i odpowiadać na pytania, na które najprawdopodobniej nie znam odpowiedzi. Nie potrafię bowiem w żaden sposób zrozumieć, co spowodowało, że wyłączyła w swoim mózgu wszelkie systemy ostrzegawcze i poszła do tego pajaca, a następnie złamała podstawową zasadę panującą w naszej rodzinie, że nie sięga się po żadne narkotyki, nawet te zachwalane przez niektórych celebrytów jako najbardziej „miękkie”.

Wyobrażałam sobie, jakim ciosem musiała być dla mojego biednego męża rozmowa z córką. Dominika to przecież jego oczko w głowie. Zawsze uważał, że odziedziczyła po nim wszystkie zalety. Miał ogromne zaufanie do jej rozsądku, a tu taki numer. Wydaje mi się, że ja byłam wobec niej bardziej krytyczna, zwłaszcza od czasu, gdy zadurzyła się w Damianie, dlatego łatwiej przyjąłam do wiadomości, że i ona mogła się pogubić. Jedynym pocieszeniem dla Krzysia może być wiadomość, że córunia nawróciła się na medycynę.

Dominika wyspowiadała się tacie i wyraziła żal za grzechy. Słyszałam

w pewnym momencie fragment ich rozmowy i pomyślałam, że ona umiejętnie gra na jego uczuciach. Już miałam wkroczyć i ostrzec Krzysia przed manipulatką, ale się powstrzymałam, bo może Dominika mówiła to, co naprawdę czuje.

— Brakuje mi ciebie — wyznała ojcu. — Kiedy byłeś blisko, pokrzyczałeś, jak coś robiłam nie tak, i musiałam wrócić do pionu. Zawsze jasno mówisz, co jest złe, a co dobre.

A ja niby nie mówię i nie krzyczę? — pomyślałam ze złością. Kiedy się rozłączyli, nie wytrzymałam i zagadnęłam Dominikę, jakie ma zastrzeżenia do moich nauk umoralniających i tak w ogóle do wychowywania, wytykając jej przy okazji, że zagrała na czulej strunie ojca.

— Twoje gadanie robi mniejsze wrażenie, bo pokrzykujesz na nas cały czas — odrzekła z porażającą szczerością. — Ustawiasz nas w sprawach ważnych i nieważnych, w których mogłabyś już czasem sobie darować. Poza tym tata w postępowaniu jest bardziej pryncypialny. Ty trochę tak jak babcia, uważasz, że cel uświęca środki. Teraz też, szczerze mówiąc, spodziewałam się ostrzejszej reakcji z twojej strony. Ojciec powiedział mi dwa zdania, ale były tak gorzkie, że chyba nigdy ich nie zapomnę.

Byłam bardzo ciekawa, jakie to zdania, ale Dominika zacisnęła usta oraz pełne łez powieki i uciekła do swojego pokoju. No i masz babo placek! Ja tu delikatnie do niej, gdyż wyobrażam sobie, że cierpi, bo jest wrażliwą i inteligentną istotą. Drzę o to, żeby sobie czegoś nie zrobiła. Ciągłe się słyszy, że młodzi ludzie w desperacji odbierają sobie życie. A okazuje się, że moja córeczka wolałaby dostać lanie, które zdjęłoby z niej poczucie winy. Gdyby miała trzy latka, może trzepanie tyłka dobrze by jej zrobiło na oczyszczenie atmosfery i przypomnienie, kto jest rodzicem, a kto dzieckiem, ale teraz już niestety za późno. Muszę jednak wziąć sobie do serca uwagi o moim nieustannym pokrzykiwaniu.

Z córką jako tako doszłam do ładu, ale z mamą nie poszło tak łatwo. Och, jakaż byłam naiwna, sądząc, że są takie słowa, które uspokoją jej nieustanną gotowość do działania, że są argumenty, które przemówią jej do rozsądku, że na moje usilne prośby jest ona w stanie poskromić swój temperament. Powinnam o tym wiedzieć, że takie cuda się nie zdarzają. Dyskrecja też nigdy nie należała do zalet mojej rodzicielki. W intymne sprawy Dominiki został natychmiast wtajemniczony doktor Kryszel. Oczywiście w ramach przyjacielskiej pomocy wyraził chęć gruntownego przebadania ginekologicznego mojej córki. Na szczęście nie miał tej możliwości, bo Dominika siedziała w domu. Natomiast mama dała mu okazję, aby wykazał się zaangażowaniem w jej sprawy i godną podziwu w jego wieku krewkością.

Znając telefon i adres profesora, mama wraz z adoratorem bez trudu trafiła do atelier Gawła. Przezornie nie pokazała się do razu, tylko wystawiła Kryszela. Doktor, dzwoniąc, udał znawcę sztuki zainteresowanego dziełami artysty. Gawęł chwycił przynętę i otworzył drzwi pracowni, zapraszając gościa do środka. Wówczas zza węgła wyskoczyła moja mama z parasolką i zaczęło się regularne grzmocenie chudego profesorskiego grzbietu. Napaść dwojga zażywnych staruszków mogła być naprawdę groźna dla chuchrowatego Henia sierotki. Mama ma nadal lekkość i zwinność ruchów baletnicy, ale też wielką siłę w utrzymywanych wciąż w dobrej kondycji mięśniach. Kryszelowi, zdaje się, także służy zdrowie i krzepa.

Przed definitywnym zlinchowaniem niefortunnego podrywacza oraz konsekwencjami prawnymi z tym związanymi uchronili moją mamę i jej przyjaciela wrażliwi na ludzką krzywdę sąsiedzi, zamieszkujący poniżej pracowni profesora. Słyszając jakąś głośną awanturę, wezwali policję. Gawęł, gdyby mógł wybierać, pewnie by wolał mieć głuchych sąsiadów i w samotności po ataku lizać swoje rany, niż dopuścić do tego, co stało się później.

Wezwany na interwencję patrol chciał oczywiście aresztować napastników,

ale wówczas otworzyły się szybkostrzelne usta mojej mamy i funkcjonariusze dowiedzieli się, że: „Ten łachudra narkotyzuje młode, niewinne studentki i wykorzystuje je seksualnie”. Panowie mniej przejęli się wątkiem erotycznym, ale narkotyki ich zainteresowały, tym bardziej że w pracowni unosił się specyficzny zapach maryhy, a obity profesor miał podejrzenie uśmiechnięte oblicze i dziwnie spowolniałe ruchy.

Już otwarcie pierwszej z brzegu szafki wiszącej nad brudnym zlewem profesora ujawniło całą masę różnych narkotycznych mieszanek i medykamentów. Moja mama na własną rękę dokonała również bardzo ciekawego odkrycia. Korzystając z zaabsorbowania stróżów prawa sporządzających długi katalog znalezisk, zaczęła węszyć w pracowni i wyciągnęła zza szafy płótna autorstwa swego, nieżyjącego już od ćwierćwiecza, męża. Najciekawsze było to, że na każdym z nich w lewym dolnym rogu zamiast nazwiska jej wiarołomnego męża widniał zamaszty podpis Henryka Gawła. Mama natychmiast zgłosiła funkcjonariuszom następne przestępstwo.

— Czy będzie pani w stanie to udowodnić? — zapytał coraz bardziej zdumiony obrotem sprawy starszy stopniem policjant.

— Oczywiście — powiedziała z dumą mama. — Posiadam katalog prac mego męża. Osobiście fotografował każdy ukończony obraz. Swego czasu jego żona wszystkie te prace ukradła, ale przy porzuconym w pracowni chorym został katalog.

Trudno się dziwić, że funkcjonariusz nie od razu zrozumiał, o co chodzi z tymi żonami i obrazami, które zmieniały właścicieli, a jak się później okazało i kontynenty, więc zabrał całe towarzystwo do suki i powiózł na komisariat. Gdy w piątek wieczorem pomknęłam do Warszawy, żeby rankiem w sobotę odebrać Krzysia z lotniska, w osłupieniu wysłuchałam tych wszystkich rewelacji. Mleko się rozlało. Będzie proces i Dominika będzie musiała składać zeznania. Najchętniej spakowałabym manatki i razem z nią i Krzysiem, zabierając po

drodze Patryka, uciekła z powrotem do RPA albo jeszcze gdzieś dalej. Po co ja w ogóle do tej wariackiej rodziny wracałam?

Krzyś nie pojechał ze mną do domu. Zawiozłam go prosto z lotniska na dworzec, gdyż tuż przed wylotem z Liverpoolu odebrał dramatyczny telefon od swojej mamy. Była w skrajnej rozpacz. Mój teść, wykorzystując jej wyjazd na pielgrzymkę do Lichenia, po prostu uciekł z domu. Podobno od pewnego czasu udawał, że zrezygnował z planowanej wcześniej eskapady po Europie, żeby uspić czujność żony, a tymczasem nadal się przygotowywał. Gdy tylko nadarzyła się okazja, prysnął z niewielkim bagażem, zostawiając na stole karteczkę, że nie wie dokładnie, kiedy wróci. Postanowił bowiem od teraz cieszyć się spontanicznością i nic w swoim życiu nie planować.

Tak więc w chwili gdy na Mazury przyleciały pierwsze bociany, mój teść obrał odwrotny kierunek i wybrał się poszaleć na południe Europy.

XXII. WSZYSTKO SIĘ UKŁADA

Coś niedobrego dzieje się na świecie. Nikt nie ma dziś czasu, począwszy od bizneswomen do emerytek, i ja skromna, wiejska nauczycielka także znalazłam się w tym gronie. Przecież po to osiedliłam się na wsi, żeby mieć czas na czytanie, na spotkania z przyjaciółmi, na celebrowanie rozmów i posiłków z rodziną, na spacerzy z psami i mruczenie z zadowolenia w towarzystwie kotów oraz kontemplowanie piękna przyrody. Jeszcze niedawno jakoś udawało mi się to wszystko połączyć z pracą i nawet z budową domu, a teraz doba stała się za krótka.

Ponieważ obecnie panuje moda na teorie spiskowe, więc na swój użytek wymyśliłam w tej kwestii następującą. Ziemia obraca się coraz szybciej wokół własnej osi i jej obrot wokół Słońca też trwa krócej, doba składa się z coraz krótszych godzin, a i w związku z tym pory roku zmieniają się błyskawicznie. Uczeni o tym już od dawna wiedzą, ale nas maluczkich nie informują, żeby nie straszyć. Cóż z tego, że będziemy średnio żyli po dziewięćdziesiąt lat albo i więcej, jeśli będą to lata coraz krótsze i krótsze. Dzień ledwie się zacznie, a już nadejdzie noc. Ledwie oczy zamkniemy i już obudzi nas świt. Jesteśmy bardzo powierzchowni, wszystko robimy coraz mniej dokładnie, bo brak nam czasu. Czasu jest niby tyle samo, ale naprawdę coraz mniej. I będzie coraz gorzej, aż do wyzerowania wszystkiego. Trzeba przyznać, że to porażająca perspektywa.

W szkole i bez żadnej teorii spiskowej coraz gorszy galimatias. Wszyscy na siebie warczą i patrzą wilkiem. Uczniów coraz mniej, klas także, a więc i godzin do podziału będzie jeszcze mniej. Należałoby sądzić, że w tej sytuacji edukacja może wznieść się na wyższy poziom. Konkurencja sprawi, że w szkołach pozostaną najlepsi nauczyciele i będą mieli do dyspozycji wspaniale urządzone pracownie i garstkę uczniów do obsłużenia, a więc mnóstwo czasu dla każdego z nich. Nic bardziej mylnego. Zostaną ci, co mają najlepsze układy z władzą

i najlepiej wypełnione papiery. Tak to u nas w kraju było, jest i niestety będzie. A ja u władzy mam przechłapanie, a ponadto nienawidzę właśnie prowadzenia tej uciążliwej dokumentacji, która często zmusza mnie do naciągania pewnych faktów i kombinowania. Mój entuzjazm do pracy z uczniami po lekcjach jest zarzynany przez konieczność usystematyzowania wszystkiego i wtłoczenia w tabelki opracowane przez ministerstwo. Opisanie tego, co robię i jaki cel mi przyświeca, zajmuje mnóstwo czasu i zupełnie nie informuje o efektach, które są często odłożone w czasie, ale przecież najistotniejsze.

Nigdy nie byłam nauczycielką, która wychodzi do domu po odbębnienu swoich godzin. Kiedy przygotowuję przedstawienie, poświęcam mu tyle czasu, ile trzeba. Uczniowie na ogół podchodzą do tych spraw podobnie. Ale nie jest to praca systematycznie rozłożona na cały rok. To kalendarz imprez narzuca mi tempo i intensywność przygotowań. Są dni, kiedy moi aktorzy harują po wiele godzin dziennie. Takie zagęszczenie zajęć jest niezbędne, aby stworzyć odpowiedni klimat, napięcie, pobudzenie wyobraźni i aby premiera czy prezentacja konkursowa stała się swoistym misterium. Nie można czasu tak przepracowanego podzielić na cały rok po jednej godzinie w tygodniu i zapisać w bezdusznych tabelkach.

U nas w szkole nie istnieje coś takiego jak stały zespół teatralny. Do każdej sztuki staram się angażować nowych aktorów, żeby dać szansę posmakowania teatru jak największej liczbie uczniów. Szukam zawsze osób, których warunki zewnętrzne, a jeszcze bardziej osobowość pasują do roli. Spośród tych najbardziej zaangażowanych wyławiam najzdolniejszych i ich indywidualnie przygotowuję do konkursów recytatorskich lub miniatur teatralnych.

Kiedy kończyłam studia, zarzekałam się, że nie będę nigdy nauczycielką. Teraz też nie uważam, że wtłaczanie do głów dzieciaków wiedzy, przed którą one na ogół mocno się bronią, jest fascynujące. Nie mam także większego talentu do poskramiania bezczelnych, rozwydrzonych wyrostków, co jest jedną z bardziej

pożądanych umiejętności dla nauczyciela gimnazjum. Ale za to kocham zajęcia w niewielkich grupach, na które przychodzą jedynie osoby zainteresowane konkretnym projektem. Należy do nich właśnie teatr lub redagowanie szkolnej gazety. Wtedy to uświadamiam sobie, jak piękny i szlachetny zawód uprawiam, choć chwilami serdecznie go nienawidzę.

Redagowanie gazety nauczyło kilku moich wychowanków naprawdę dobrze operować piórem. A dzięki udanym występom wielu uczniów odzyskało poczucie własnej wartości i pogodziło się z nauką oraz szkołą jako instytucją. Najbardziej spektakularna była jednak sprawa rozbrojenia damskiego gangu grasującego kilka lat temu w naszej szkole.

Trzy uczennice terroryzowały młodsze dziewczęta z pierwszych klas. Dochodziło do wyłudzenia pieniędzy i cennych przedmiotów, poniżania i zastraszania nowicjuszek. Byłam wówczas wychowawczynią pierwszej klasy i to moje uczennice doświadczały przemocy ze strony starszych koleżanek. Wiedziałam, kto to robi, ale nie mogłam nic im udowodnić, bo zastraszane dziewczęta wszystkiemu zaprzeczały.

Przywódczynią grupy była gburowata i niezbyt atrakcyjna, ale inteligentna i pyskata Monika, uczennica drugiej klasy. Jej obstawę stanowiło kilka wysokich i dobrze zbudowanych dziewczyn z ostatniej klasy. Monika pochodziła z rodziny, w której ojciec alkoholik stosował przemoc wobec matki i dzieci. Zastraszona i bita w domu, poza nim zapragnęła poczuć, co znaczy mieć nad kimś przewagę, być w pozycji silniejszego, spowodować, by ktoś inny drżał ze strachu.

Zbliżał się termin konkursu na najlepszą miniaturę teatralną, który co roku organizował Dom Kultury w Małogoszczu. Postanowiłam sztukę zaprząć do celów wychowawczych i zaproponowałam Monice przygotowanie takiej miniatury. Początkowo była bardzo zaskoczona. Nigdy nie występowała w moich przedstawieniach, w ogóle nie udzielała się w życiu szkoły. Zapytała,

dlatego ona. Odpowiedziałam, szarżując nieco, że widzę w niej duży potencjał aktorski, a poza tym potrzebuję kogoś niezwykle odważnego, kto nie zawaha się zagrać brawurowo, pokazując maksymalne emocje.

— Żadna z naszych uczennic nie zechce grać starej, brzydkiej baby, która najpierw morduje podróżnego dla zdobycia jego kuferka z domniemanymi dolarami, a potem ryczy z bólu, bo dowiaduje się, że zabiła własnego syna. Wydaje mi się, że ciebie stać na taki występ — zarzuciłam haczyk, myśląc o końcowym fragmencie „Niespodzianki” Roztworowskiego.

— Przeczytam tę sztukę i odpowiem pani — powiedziała poważnie dziewczyna, biorąc z moich rąk książkę.

Już następnego dnia pracowałyśmy nad monologiem. W szkole nie było warunków do ćwiczenia tak dramatycznej sceny pełnej krzyków i szlochów, więc przywoziłam Monikę do siebie do domu, a po skończonej próbie odwoziłam ją z powrotem do Swarowic. Dziewczyna analizowała graną postać, podkreślając, że jest jednocześnie zabójczynią i ofiarą. Musiała nazwać wszystkie uczucia i oddać je na scenie. Obie wymyśliłyśmy niesamowitą scenografię. Składanego z dwóch części wypchanego i pokrwawionego trupa zrobiliśmy po mistrzowsku. Dominika omal nie umarła z wrażenia, gdy znalazła go w drewnianym kuferku w naszej garderobie.

Mniej więcej w połowie przygotowań do konkursu Monika nagle pękła. Opowiedziała mi o swojej rodzinie i o tym, że mści się za to wszystko na innych. Że lubi, gdy ją ktoś błaga o litość, bo wtedy czuje się ważna.

Jurorów konkursu występ Moniki po prostu zaszokował. Komisja uznała, że wykonanie jest rewelacyjne, ale zastanawiała się, czy przyznać pierwszą nagrodę, gdyż sztuka wydała się zasiadającym w niej osobom niestosowna do wieku odtwórczyni. Wyjaśniłam, nie wdając się w szczegóły, że to rodzaj psychoterapii. Monice przyznano pierwsze miejsce. Wróciła do szkoły w glorii chwały. Zaprezentowała swój występ przed całą szkołą i znów osiągnęła niebywały

sukces. Sama rozwiązała swoją bandę i jak lew broniła każdego, z kogo w szkole się wyśmiewano lub w jakikolwiek sposób poniżano. Bywało, że potrafiła wytknąć nauczycielom niesprawiedliwość czy lekceważenie ucznia. Ja zaś zyskałam bardzo dobrą polonistkę. Monika zawsze była przygotowana do lekcji, jako jedyna w klasie przeczytała wszystkie lektury. W naszej szkolnej gazecie pisywała artykuły piętnujące przemoc i wszelkie patologie wśród młodzieży. Schudła, zadbała o siebie i bardzo wyładniała. Teraz studiuje dziennikarstwo.

Wspominanie takich przypadków pozwala przetrwać ciężkie chwile w szkolnej rzeczywistości, których jest niestety więcej niż tych chwalebnych. Podobną satysfakcję daje mi nauczanie indywidualne. I co z tego, że Dorotka z porażeniem mózgowym, którą uczę już drugi rok, nigdy nie napisze samodzielnie wypracowania? Przykurcze rąk nie pozwolą jej trzymać długopisu ani nawet wcelować paluszką w klawisz komputera. Czyta jednak książki, potrafi wczuć się w sytuacje bohaterów. Coraz lepiej mówi, wykazuje większą dojrzałość intelektualną. Jest wrażliwa na poezję, więc zachęcam ją, żeby sama próbowała tworzyć. Udało mi się załatwić jej dyktafon. Mówienie do mikrofonu sprawia, że dziewczyna stara się lepiej artykułować wyrazy. Oczywiście przy jej niepełnosprawności nie może sama obsłużyć dyktafonu, matka włącza i wyłącza urządzenie, przepisuje utwory córki i obie mają poczucie, że dokonują czegoś niezwykłego. Zresztą wiersz pod tytułem „Kocia miłość”, który Dorotka ułożyła, po mojej niewielkiej kosmetyce jest naprawdę wspaniałą i niezwykle wzruszającą. Wyciska łzy z każdego.

Kocia miłość grzeje mi nogi.
Ciepło łagodzi ból pokurczonych mięśni,
Mruczando kołysze do snu.
We śnie też mam takie miękkie futerko
I cztery zwinne łapki.

Sama się najem i umyję.
Moje ciało pręży się w tanecznych podskokach.
Przesadziłam już rów z wodą
I trzy schodki przed domem.
Mama biegnie z pustym wózkiem
I śmieje się, klaszcząc w dłonie ze szczęścia.
Czemu z jej oczu kapią łzy?
Zwinę się w kłębuszek i ogrzeję jej serce.

Nie ma takiego dyplomu, takiego tytułu, awansu, który dałby mi choć promil tej radości, którą odczuwam, gdy czytam ten wiersz. Czytałam więc go już z tysiąc razy.

Na lekcje do Jurka, od kiedy nabrał apetytu na naukę i życie, też lecę jak na skrzydłach. Wraz ze zmianami w jego nastawieniu do świata nastąpiły zmiany w jego rodzinie. Rodzice także uwierzyli, że utrata wzroku to jeszcze nie koniec świata. Wstąpił w nich nowy duch, pomagają chłopcu w wyborze przyszłego zawodu i wyszukaniu odpowiedniej szkoły. Ojciec przestał topić smutek w alkoholu. Któregoś dnia Jurek ostro mu powiedział, żeby go nie obciążał dodatkowo i nie usprawiedliwiał nałogu rzekomym nieszczęściem w rodzinie. On wprawdzie nie widzi, jest niepełnosprawny, ale nie jest nieszczęśliwy. Kalectwo otworzyło przed nim świat, do którego nigdy by nie aspirował. Opowiadała mi niedawno o tym wszystkim matka Jurka, płacząc ze szczęścia.

Tylko u autystycznego Kubusia na razie nie ma powodów do radości. Udręczona matka szuka pomocy u lekarzy psychiatrów i neurologów, którzy wydają się bezradni wobec wykańczających jej syna ataków epilepsji. Teraz doszedł jeszcze problem leczenia zębów. Uwielbiający słodczyce chłopak ma kilka ubytków i prawdopodobnie cierpi także z powodu bólu zepsutych zębów. Do jedyne go w województwie gabinetu, który w narkozie wykonuje w ramach

umowy z Narodowym Funduszem Zdrowia zabiegi stomatologiczne specyficznym pacjentom, trzeba czekać kilka miesięcy. Kuba nafaszerowany środkami uspokajającymi i przeciwbólowymi nie uczestniczy w zajęciach. Jest mi tak źle, gdy patrzę na jego matkę i nie potrafię jej w żaden sposób pomóc.

Grażyna też potrzebowała pomocy. Skontaktowałam ją z Marią. Spotkały się kilkakrotnie i wydawało się, że dobra jak balsam i kompetentna psycholog uspokoiła ją i pomogła zaakceptować niepełnosprawność dziecka. Grażka wyglądała na pogodzoną z losem. Okazało się, że to jednak nie takie proste. Moja przyjaciółka udawała spokój w oczekiwaniu na potwierdzenie wyników badań. Miała po prostu nadzieję, że to pomyłka, że następne badanie wszystko zmieni. Kiedy tak się nie stało, popadła w prawdziwą rozpacz. Wymyślała, że powinna się usunąć z życia Jacka, bo to jej wiek jest powodem tego nieszczęścia. Spędzam u niej ostatnio mnóstwo czasu. Rozmawiamy o mojej pracy z niepełnosprawnymi dziećmi. Mówiłam jej o niezwyklej więzi, jaka łączy je z rodzicami. Zapewniałam, że przeżywają oni radość i dumę z osiągnięć swych dzieci. Przeczytałam wiersz Dorotki i pokazałam z niezwykle smakiem skomponowaną przez Jurka wiązanekę z suchych kwiatów. Wszystko to niewiele pomogło.

— Nie chcę tego słuchać i oglądać! — krzyknęła zniecierpliwiona Grażyna. — Jeszcze niedawno usunęłabym taki felemy plód i nie zawracała sobie nim głowy. Ale od kiedy jestem z Jackiem, zadałam się z wami i widziałam, jak walczyliście o Franka, już nie mogę tego zrobić. Nie umiem jednak zaakceptować takiego dziecka. Ja chciałam dać Jackowi szczęście, a nie obciążenie na całe życie.

— Grażyna, jesteś okrutna wobec dziecka, które jest w tobie. A jeśli ono czuje tę twoją niechęć? Krzywdzisz istotę już raz pokrzywdzoną. Nie masz dla niej żadnego uczucia?

— Ja nie myślę o nim, ja nienawidzę siebie — odparła ostro. — Aśka, nie obraż się za szczerość, ale nie przyjeżdżaj do mnie przez jakiś czas. Mnie się nie

chce o tym już gadać. Doceniam to, co robisz, ale nie zajmuj się mną. Masz dużo swoich zajęć i problemów. Nie pomożesz mi, mówiąc, co się we mnie obudzi. Chcę usłyszeć w ciszy, co ja sama czuję i myślę. A jakby ci się nie podobały moje decyzje, to po prostu zapomnij, że cię odnalazłam, i wspominaj mnie wyłącznie z czasów szkolnych.

Oj, nie brzmiało to dobrze i wróżyło kłopoty, ale cóż mogłam zrobić na takie dictum. Usunęłam się w cień, lecz powtórzyłam Jackowi całą moją rozmowę z Grażyną, żeby był czujny. On też bał się, że Grażka może coś sobie zrobić. Zwoził do domu psychologów i psychoterapeutów, ale stan Grażyny raczej się pogarszał, a nie poprawiał. Któregoś dnia odkręciła nawet gaz. Na szczęście Jacek wiedziony złymi przeczuciami wrócił wcześniej z pracy. Nie mógł jednak pilnować jej bez przerwy, więc przywiózł w końcu do domu swoją mamę. Ta prosta kobieta, która urodziła siedmioro dzieci, z czego szczęśliwie wychowało się pięcioro, podzieliła się ze swoją prawie synową przeżyciami. Z tych dwojga, które zmarły w dzieciństwie, jedno było chore na mukowiscydozę, a drugie miało zespół Downa, oprócz tego jego serce wymagało operacji, której nikt u nas w kraju nie chciał się w tym czasie podjąć.

— Bóg dał mi dzieci piękne i zdolne i te biedactwa. Kochałam je chyba mocniej niż te zdrowe, bo takie były nieporadne — wyznała. — A jak się urodził Jacek, to ja już też nie byłam młoda. Krakali, że ten na pewno będzie z tym downem, czy jak mu tam. A położna, co go odbierała, zobaczyła, że taki czarny i śniady, i powiedziała o nim: „Mongol”. Ja się już przy tamtym naczytałam o różnych wadach i myślałam, że znowu. Nie płakałam, nie rozpaczałam, tylko chciałam się upewnić, że wszystko inne ma zdrowe. Doktorka, ta od noworodków, jak się dowiedziała, co ja sobie ubzdurałam, śmiała się potem ze mnie, a te położną opieprzyła jak się patrzy.

Grażka zadzwoniła do mnie zaraz po tej rozmowie i dokładnie mi ją zrelacjonowała. Wstąpił w nią inny duch.

— Skoro w ich rodzinie już tak było, to może nie jest to moja wina — zaczęła, ale jej przerwałam.

— Grażka, posłuchaj. O jakiej winie ty znów mówisz? Teraz będziesz Jackowi udowadniać, że to jego plemniki mogły być felerne? Winy nie ma w takich przypadkach. Gdybyś, będąc w ciąży, zażywała narkotyki i dziecko urodziło się uszkodzone, to byłaby twoja wina. Nie prowadź już więcej śledztwa w sprawie wadliwych genów, a spróbuj zrobić wszystko, co możliwe, żeby twoje dziecko, z tymi warunkami, jakie otrzymało od natury, osiągnęło możliwie najwięcej.

— To samo powiedziała mi mama Jacka. Nie certowała się ze mną i nawtykała mi za wszystko.

— I co, zerwiesz teraz stosunki z jego rodziną? To unieszczęśliwi Jacka — powiedziałam zaniepokojona.

— Nie, broń Boże. Jego matka uświadomiła mi, że właśnie teraz rodzina jest nam bardzo potrzebna. Moje dziecko będzie jedynakiem, więc rodzeństwo cioteczne i stryjeczne powinno być z nim blisko związane uczuciowo.

— To naprawdę bardzo mądra kobieta — pochwaliłam.

— Zwymyślała mnie od rozpieszczonego sobka, co to widzi tylko czubek własnego nosa, a nie zauważa, że mąż ze zgryzoty nie jest w stanie zajmować się nową firmą. Jak tak dalej pójdzie, to wszystko stracimy i do tych zmartwień dojdzie jeszcze bieda.

— Mnie też się wydawało, że Jacek sobie nie radzi. Żalił się któregoś dnia Krzysiówi, że paru rzeczy nie dopilnował i teraz będzie płacił kary. A poza tym, przyjrzyj mu się, jak on wygląda. To cień dawnego Jacka. Kiedy on się ostatnio śmiał?

— Tak, wiem, to jest moja wina. Ale już wszystko się zmieni, przyrzekłam teściowej i dotrzymam. A przede wszystkim weźmiemy wreszcie ślub.

— Bierzecie cichy ślub?! — wykrzyknęłam.

— Wcale nie cichy — zaśmiała się Grażka. — W maju będzie weselisko.

— I zdążycie załatwić salę i wszystko? — zdziwiłam się.

— Teraz nie mam już takich dumnych wymagań. Będzie prawdziwe wiejskie wesele. Wynajmiemy namiot i postawimy u teściowej na polu. Wszystko zaplanowałyśmy.

— To świetnie, że się tak dogadujecie z mamą Jacka. On się musi cieszyć.

— A co się miałam nie dogadać. Przecież ja tak jak ona jestem ze wsi — przypomniała mi Grażyna. — Moja mama, gdyby żyła, takiego właśnie wesela chciałyby dla mnie.

— Twój tata to byłby zachwycony takim zięciem jak Jacek, pełnym energii i pomysłów.

— Wiesz, dobrze sobie uświadomić, jakie się ma korzenie. Moja mama nie pozwoliłaby mi nawet myśleć o aborcji, tak samo jak teściowa.

— Więc nie myśl o tym już nigdy. A w ogóle nie ma powodu, żebyś tkwiła w domu, jeśli ciąża nie jest zagrożona.

— Jasne. Zaraz biorę się za naszą firmę, żeby Jacek jej nie stracił. Zajmę się marketingiem i finansami. W końcu na tym zęby zjadłam.

— To dlatego masz teraz nowiutkie i takie piękne? — zażartowałam może nie najzręczniejsz, ale Grażyna śmiała się radośnie razem ze mną, jakby chciała nadrobić cały ten czas wielkiego smutku i płaczu.

Jaka ulga. Grażka jakby narodziła się na nowo. Urzęduje teraz w firmie i energia z niej tryska. Dumnie wypina niewielki jeszcze brzusek i dyryguje kilkoma brygadami robotników naraz. Ujarzmiła nawet Mariana, który jako podwykonawca jej firmy buduje w Zalewicach siedzibę Pawła. Okazało się, że w ten sposób ma taniej materiały z tak zwanej wyższej półki. A Paweł też na tym zyskał, Marian bowiem jest dzięki zręcznie skonstruowanej umowie bardziej przewidywalny. Nie może już porzucać rozbabranej roboty, gdy mu w Belgii czy we Francji kuzynkowie narają fajny samochód, bo będzie płacił karę.

Jacek prawdopodobnie nie dałby sobie rady z Marianem, ale Grażyny w firmie słuchają wszyscy. Okazuje się, że, jak trzeba, potrafi też „rzucić mięsem” i to nie gorzej niż sam mistrz Marian. Widziałam ją w takiej scenie. Puściła soczystą wiązanekę facetowi, który mocno pijany ładował się do kabiny koparki, a potem pogłaskała się po brzuchu i przemówiła do nienarodzonego:

— Sorry, maluszk, zatkaj uszy, ale mama musiała ryknąć na tego prawdziwego debila.

Grażkę mam więc chwilowo z głowy, ale masę czasu zajmują mi wznowione próby strażackiego kabaretu. Wójt nie odważył się zabrać nam świetlicy. Uląkł się bojowych strażaków i zaczął z nimi pertraktacje, wypytując jednocześnie o sztukę. Wyparli się, jakoby w scenariuszu miały być wymieniane konkretne osoby i ich sprawy. Mamy więc miejsce do prób i trenujemy zapamiętałe, bo wszak szykujemy się na ogólnopolski przegląd. Zaangażowanie członków wzrosło wraz z rangą imprezy. Czasem bywa to uciążliwe, bo każdy w najlepszej wierze chce coś poprawić, ulepszyć, ale na ogół w grze partnera. Kłóć się, a potem często obrażają na siebie wzajemnie i nie sposób w takich warunkach pracować. Tylko nasz grajek Józio siedzi zawsze cichy i smutny z akordeonem na kolanach. Uśmiecha się z wyrozumiałością, czekając, aż będzie śpiewana początkowa i końcowa piosenka, żeby dać nam podkład muzyczny. Ja postępuję podobnie jak Józio i spokojnie przeczekuję falę wzajemnych pretensji i dosadnych epitetów, które płyną z ust moich aktorów spierających się, bądź co bądź, o sztukę.

Na kursie też ferment twórczy. Paweł miał zastrzeżenia do nadmiernej egzaltacji, z jaką niektóre panie podają lekki i raczej żartobliwy tekst moich wierszy, więc teraz podobno zaczęły narzekać po kątach, że im nie pasuje moja poezja. Mówią, że trzeba było wziąć uznanego poetę, bo tak to wszyscy się napracują, a nie wiadomo, czy to ma jakąś wartość. Ano nie wiadomo, nie mam żadnego certyfikatu poety. Trzeba było być szczerym i od razu tak postawić

sprawę, a nie klaskać, myśląc, że schlebiając mnie, można przypodobać się wykładowcy. Paweł każe mi się nie przejmować i twierdzi, że moja poezja i koncepcja sztuki są świetne i zasługują na prawdziwy spektakl w prawdziwym teatrze.

Jak więc widać, zawodowo żyję na pełnych obrotach i pewnie wszystko inne byłoby zaniedbane (z powodu zbyt krótkiej doby), ale moja córeczka w ramach odkupienia win wysprzątała cały dom i pojechała do Warszawy, żeby zrobić przedświąteczne porządki u babci. Już rozplanowała naukę fizyki, biologii i chemii, które to przedmioty będzie musiała zdawać ponownie na maturze, teraz jako rozszerzone. Właściwie od podstawówki myślała o medycynie i chodziła do klasy o profilu biologiczno-chemicznym, więc chyba naprawdę nie będzie miała z tym zbyt wiele roboty. Babcia dość szybko wybaczyła wnuczce romans z Henrykiem Gawłem i winę za wszystko przypisała podłemu i niewdzięcznemu oszustowi. Co do Gawła, mam na jego temat podobne zdanie, lecz nie rozgrzeszam Dominiki z palenia trawki. Sięgnęła po to świństwo całkowicie świadomie i dobrowolnie. Do tego przecież nikt nie mógł jej zmusić. Krzyś jest mocno na swoją ukochaną córeczkę obrażony za całokształt i nie wygląda na to, żeby szybko mu przeszło. Ma do tego prawo i dobrze, że tak jest, bo Dominika powinna odczuć, że postąpiła źle.

Z Patrykiem gadam wieczorami już bez pośrednictwa męża, czyli osobiście za pomocą Skype'a. Kupił sobie laptop i ma Internet. Mieszka w cyrkowej przyczepie, ale ma tam całkiem fajne warunki. Obszedł z laptopem przyczepę i wszystko mi pokazał. Nadal jest bardzo zadowolony z pracy. Dostał nawet niewielką podwyżkę, więc chyba naprawdę dobrze się spisuje. Strasznie mu się zmienił charakter. Stał się istnym liczykrupą. Ma cel i odkłada pieniądze. W Wielkanoc postanowił jednak poszaleć i jechać do Paryża, gdzie umówił się z dziadkiem. Widać z tego, że ani jeden, ani drugi nie planuje przyjechać na święta do domu. Co najgorsze, nie przyjedzie też mój mąż. W okresie od Wigilii

do Nowego Roku szpital, w którym pracuje, robi sobie przerwę. Nie wykonuje się wtedy żadnych operacji. Ale na Wielkanoc praktycznie mają tylko dwa dni wolnego. W Anglii Wielki Piątek jest dniem wolnym od pracy, a w poniedziałek, czyli nasze drugie święto, ludzie już normalnie pracują.

Pomyślałam sobie, że wobec tego przygotuję trochę świątecznych smakołyków i wyślę Dominikę z nimi do ojca. Będzie mu przyjemniej, że nie jest sam w święta na obczyźnie. Niech sobie dłużej pogadają bez świadków, niech ją tam Krzyś zbeszta, ile zechce, ale w końcu atmosfera się oczyści. Ja planuję poprosić Szymka, żeby w święta nakarmił nasze psy i koty, a sama pojedę chyba do Warszawy. Dawno nie widziałam się z mamą i siostrą. A jakby one miały inne plany, to po prostu odpocznę sobie i będę robiła wszystko to, na co teraz nie mam czasu. Ale przyrzekłam sobie, że nie sprawdzę ani jednego zeszytu.

To na razie tylko takie luźne plany, bo u mnie nigdy nie wiadomo, co tam jeszcze w ostatniej chwili wypadnie. Właściwie zima jeszcze za oknem i nie dalej jak wczoraj prószył śnieg, a ja już wyczekuję Wielkanocy i wiosny. Drzewa też chyba czują zmianę powietrza, bo las porastający pasmo świętokrzyskie od tygodnia zmienił kolor. Na tulipanowcu rosnącym na wprost okna mojej sypialni od dwóch dni zapamiętałe kopulują ptaki. Kogut u sąsiadów pieje bardzo zawadiacko. Ja wolę się nie zastanawiać w tym kontekście, co czuję. W tamtym roku omal mnie takie myślenie nie zawiodło na manowce. Paweł, z którym ostatnio często przebywam, na szczęście nie działa na mnie tak, jak Rafał. Nie powiem, że nie próbuje robić jakichś erotycznych aluzji, ale na niego jestem odporna. Zresztą sposób, w jaki się do tego zabiera, sprawia, że u mnie nie ma żadnych szans. Z racji swojego zawodu jest chyba tak rozpaskudzony powodzeniem u dziewczyn marzących o najmniejszej choćby rólce w filmie, że nawet nie stwarza pozorów, iż podrywa kobietę, nie próbuje mnie w sobie rozkochać, tylko od razu przedstawia ofertę erotyczno-rozrywkową. Ja jestem

starej daty, więc takie rzeczy mnie nie interesują, a raczej szokują.

Rafała nie widziałam od sylwestra, ale za to słyszę o nim stale od mamy. Jej związek z doktorem Kryszelem, który początkowo wydawał mi się dziwny, rozwija się znakomicie. Staruszkowie chyba mają kompatybilne temperamenty. Ojciec Rafała jest, podobnie jak moja mama, człowiekiem czynu. Ma mnóstwo energii, interesuje się sztuką, teatrem, sportem i wciąż ogląda się za kobietami. Nie daje się starości, a to najważniejsze. Rafał twierdzi, że jego ojciec pod wpływem mojej mamy odmłodził. Ja też muszę przyznać, że mama znów jest pełną radości i kokieterii kobietą.

XXIII. POCAŁUNEK

Tak jak przewidywałam, wszystkie moje plany związane ze Świątami Wielkiej Nocy wzięły w łeb. Krzyś oczywiście zgodził się na przyjazd córki do Anglii, a ściślej mówiąc, przyjął ten mój pomysł z wyraźną wdzięcznością. Zadowolony, pomyślał więc od razu o losie dwóch pozostałych w ojczyźnie bliskich mu kobiet, które będą spędzały święta samotnie, i wymyślił genialne według niego rozwiązanie. Od tego momentu powinnam mu zabronić myśleć w ogóle. Najpierw zadzwonił do swojej mamy i przekonał ją do przyjazdu do Zalewic, a potem dopiero z promienną miną oznajmił mi, jaki to odniósł sukces, bo mama zgodziła się nas odwiedzić.

— Jak to nas? — zapytałam zdziwiona. — Przecież ciebie nie będzie.

— Na święta nie, ale przyjadę dwa tygodnie później, to się zobaczymy. Mama nie będzie się śpieszyć do pustego domu — odpowiedział radośnie. — Skoro tata nie ma zamiaru wrócić na święta, nie możemy przecież pozwolić, żeby biedna staruszka została sama. Tobie też byłoby smutno usiąść samej przy świątecznym stole, prawda? — zapytał, ale nie dał mi szansy na odpowiedź, tylko kontynuował: — Przepraszam, że cię tak obciążam, lecz wiesz, że mamę trzeba będzie przywieźć. Ale ty lubisz jeździć, więc nie sprawi ci to większego kłopotu, że po pracy w środę skoczysz na Mazury. Drogi teraz są dobre. Pogodę podobno macie świetną, nie to co u nas. A jak już mama się z domu ruszy, to nie po to, żeby zaraz po świętach wracać, prawda? Może wytrzymacie razem do wakacji.

Mogłam powiedzieć: „Wypchaj się ze swoją mamusią”, lecz oczywiście nie powiedziałam. Ale aż do wakacji? Nie wiem, czy mój mąż się dobrze czuje. A może on się chce na mnie za coś zemścić? — kombinowałam. Krzyś też ma często z moją mamą istny krzyż Pański, ale dzielnie to znosi i nigdy nie dał mi odczuć, że jest zmęczony jej gadaniem i nieustannym musztrowaniem

wszystkich. Różnica jest jedynie taka, że moja mama ma po prostu taki charakter i wszystkim się od niej dostaje po równo, a Krzysiovi to jeszcze najmniej. Natomiast jego kulturalna, dystygowana mamusia ma wybiórczo zawsze i o wszystko pretensje tylko do mnie. Tak więc wątpię, żeby w tym roku życzenia wesołych świąt kierowane pod moim adresem miały szansę się spełnić.

W Wielką Środę po skończonych lekcjach ogarnęłam jeszcze trochę dom, naszykowałam psom ogromne miski suchej karmy oraz kilka wiader wody na zapas. Nie mogłam bowiem poprosić nikogo z Kitów o zaopiekowanie się moimi pupilami, bo Danusia z dziećmi wyjeżdżała z domu dokładnie tego samego dnia, co ja, tylko w odwrotnym kierunku. Andrzej od paru tygodni był już w więzieniu, a ona postanowiła jechać na święta do siostry mieszkającej w Krakowie. Mówiła, że nie chce się bez Andrzeja pokazywać z jego dziećmi w naszym kościele, gdyż złośliwi ludzie czasami głośno to komentują. Wolałaby też uniknąć przypadkowych spotkań z własnym mężem, który w święta na pewno zdrowo popije i może być agresywny. Bała się również swoich emocji i reakcji. Wiadomo, że ona ma gołębie serce, więc jakby go zobaczyła takiego samotnego i opuszczonego, mogłaby zrobić jakiś nieopatrzny krok i skomplikować dodatkowo i tak dość trudne starania o rozwód.

Rozumiałam ją i popierałam jej decyzję. Obiecałam, że jak tylko wrócę z Mazur, co wieczór będę robiła z psami inspekcję ich obejścia, żeby nikt się tam nie kręcił. Własnego psa, kota i kury Danusia przeniosła do zagrody pani Bzymkowej, a reszta inwentarza już w momencie wyjazdu Andrzeja trafiła na przechowanie do kuzyna tej poczciwej staruszki. Złożyłyśmy sobie z Danusią życzenia, pożegnałyśmy się serdecznie i każda ruszyła w swoją stronę.

Pogoda była wymarzona do jazdy. Od trzech dni świeciło ostre słońce i ziemia osuszyła się dokładnie. Trawa pięknie się już zazieleniła i gdzieś tam rozkwitały pierwsze kwiaty. Pączki na drzewach były nabrzmiące i gotowe do eksplozji. Bezchmurne cały dzień niebo zaczęło teraz troszeczkę szarzeć na

horyzoncie. Delikatna, liliowa mgiełka pojawiła się z trzech stron, a na zachodzie wokół czerwonej kuli słońca rozlała się ognista zorza. Był to nieomylny znak, że ostry wiatr nie ustanie także jutro. Bardzo długo grzebałam się z tym wyjazdem i teraz musiałam się śpieszyć, żeby dotrzeć przed zmrokiem do mamy, gdzie zaplanowałam nocleg. Ostatnio nie lubię jeździć po ciemku. Pewnie wzrok mi się psuje.

Kiedy wjeżdżałam do Janek, na ulicach właśnie zapaliły się latarnie. Najwięcej czasu zabrało mi pokonanie odcinka od Ikei do lotniska. Przedświąteczne nasilenie ruchu spowodowało, że istniejące zawsze w tym miejscu korki jeszcze się wydłużyły. Zjeżdżając z Trasy Łazienkowskiej na Mokotów, byłam szczęśliwa, że za chwilę dotrę do domu i odpocznę, ale spotkała mnie niemiła niespodzianka. Drzwi mieszkania mamy zastałam zamknięte.

Przecież wiedziała, że do niej jadę, nie mogła odłożyć swojej randki do jutra? — myślałam wściekła, szukając komórki. Okazało się, że mama i siostra dzwoniły do mnie wielokrotnie, a ja nie tylko ślepnę, ale pewnie i głuchnę na stare lata. Wsadziłam telefon do torby i puszczałam sobie w drodze dość głośno muzykę, więc nic nie słyszałam. Znalazłam esemesa od Zyty: „Przyjedź do mnie, musimy pogadać”. Teraz dla odmiany ja nie mogłam się do żadnej z nich dodzwonić. Usiadłam więc znów za kierownicą i mocno wkurzona ruszyłam z podwórka. Jak szalona wypadłam z bramy wprost na piękny, biały samochód. Moja toyotka prawie wcale nie ucierpiała, a z lampy luksusowego auta z brzękiem posypało się szkło. Zamknęłam oczy i pomyślałam sobie, że jeśli kierowca mnie udusi, nie powinnam czuć do niego urazy. Na jego miejscu pastwiłabym się nad taką głupią babą w najbardziej wyszukany sposób. Ale domniemany oprawca otworzył drzwi mojego auta i zawołał wesoło:

— Mój lexsus dostał buzi od twojej yariski, a teraz kolej, żebym i ja dostał całusa na pocieszenie.

Tak, to był Rafał. Właśnie dał migacz i chciał wjechać do naszej bramy, gdy ja wyskoczyłam z niej jak z procy. Po ciemku wpadłam na wysoki krawężnik. Odbiło mi kierownicę i dlatego walnęłam w reflektor.

— O Boże, Rafał! Przepraszam! Przepraszam! — kajałam się. — Śpieszyłam się i jestem wściekła, bo po całym dniu w pracy i jeszcze tej jeździe w korkach padam ze zmęczenia, a mamy nie ma i siostra wzywa mnie tajemniczym esemesem do siebie. Boję się, że coś się tam u nich stało. Tobie nic nie wiadomo na ten temat? — trajkotałam.

— Nie mam pojęcia — Rafał rozłożył ręce w geście bezradności. — Właśnie wróciłem z Krakowa i szukam ojca. Myślałem, że jest u twojej mamy. On też nie odbiera komórki. Stale zapomina ją naładować albo zabrać ze sobą. Ale co tam tata, znajdzie się. Cieszę się, że cię widzę — Rafał powiedział to z tak promiennym uśmiechem, jakbym mu uratowała życie, a nie rozbiła drogie, nowiutkie auto. Wyobrażam sobie mojego spokojnego na co dzień Krzysia w takiej sytuacji. Może nie rzucałby łaciną kuchenną, bo to nie w jego stylu, ale usłyszałabym miażdżącą diagnozę stanu mojego intelektu i umiejętności kierowania samochodem, a może nawet propozycję zmiany pojazdu na juczne zwierzę. Tymczasem Rafał szczyrzył te swoje cudne zęby, błyska w mroku gorącymi oczami i nachyla się nade mną, rozsiewając wokół zniewalający zapach perfum, w których firma zamknęła wszelkie dostępne na rynku feromony.

— Pięknie wyglądasz taka podniecona. Przywitaj się ze mną czule, jak na rodzinę przystało. — Znow błysnął w uśmiechu zębami i wpił się w moje usta, które bezwstydnie i posłusznie się rozchyliły, aby poddać się temu „famiarnemu” powitaniu. Poczułam w całym ciele ciepło i dreszcze równocześnie. Obezwładniająca siła przygwoździła mnie do miejsca i wywołała kompletny zawrót głowy.

Byłam pewna, że problem z Rafałem mam już definitywnie za sobą, a tu taki numer. Ciekawe, do czego bylibyśmy w stanie się posunąć, gdyby dane nam

było jeszcze chwilę trwać w tym pocałunku. Dla pikanterii dodam, że oba samochody stały w bramie kamienicy w środku miasta we wczesnych godzinach wieczornych, kiedy to panuje wzmożony ruch pieszych i pojazdów. Lexus Rafała miał włączone awaryjne migacze i pootwierane na oścież drzwi. Zaiste dziwną istotą może się stać kobieta po czterdziestce, której mąż dawno nie był w domu. Okazało się jednak, że wraz z utratą samokontroli otrzymałam wzmożoną ochronę Opatrzności. W chwili największego upojenia, jak głos trąb archanielskich dotarł do mnie klakson obcego samochodu. To sąsiad mojej mamy chciał wjechać na swoje podwórze. Rafał nieśpiesznie oderwał się od moich warg i najspokojniej w świecie odezwał do nerwowego gościa wciskającego raz za razem klakson:

— Nie widzi pan, że mieliśmy stłuczkę i załatwiamy formalności związane z odszkodowaniem? Chwila i zaraz odjeżdżam.

— Pan to chyba odszkodowanie odbiera już sobie w naturze — sarknął poirytowany gość, który widział nas znakomicie w świetle jedyne go całego reflektora Rafałowego lexusa.

Przez chwilę miałam jeszcze nadzieję, że może chociaż mnie nie rozpoznał. Cofnęłam swoją yarisę, żeby Rafał mógł wjechać do bramy. Sąsiad wjechał zaraz za nim i zaparkował tuż obok mnie. Wychodząc z samochodu, skłonił się w moją stronę.

— Dobry wieczór, pani Joasiu — powiedział z kpiącym uśmiechem, a ja myślałam, że zapadnę się pod ziemię.

Zmieszana próbowałam jak najgłośniej rozmawiać z Rafałem o wypadku i ewentualnym odszkodowaniu, gdyż wydawało mi się, że sąsiad stał na klatce schodowej i nam się przyglądał jeszcze przez chwilę. Nalegałam, żeby Rafał z grubsza wycenił tę szkodę, lecz on nie miał zamiaru zachowywać się poważnie. Zaśmiał się jakoś tak diabolicznie, że znowu ciarki przeszły mi po plecach, i rzekł rozbawiony:

— Och, nie wypłacisz mi się do końca życia. Najgorsze te straty moralne. Gdybyś wiedziała, co ja teraz czuję, patrząc na takiego biednego, okaleczonego... No wiesz, jak mężczyźni traktują swoje samochody?

— To zależy jacy mężczyźni — udawałam, że nie chwytam aluzji. — Nie nakręcaj się — fuknęłam. — Zaskoczyłeś mnie tym pocałunkiem, ale proszę cię, żebyś sobie więcej nie pozwalał.

— Świetnie reagujesz na niespodzianki. — Rafał dotknął kosmyka moich włosów, który wymknął się spod czapki i zwisał w okolicy ucha i okręcił go na swoim palcu. O Boże, jak pragnęłam następnego takiego pocałunku, ale Rafał wpatrywał się tylko w moje wargi i mówił do mnie tym swoim niskim, upajającym głosem słowa bez większego znaczenia: — To ty mnie zaskoczyłaś, wyskakując tak gwałtownie z bramy. Ale cała przyjemność po mojej stronie, więc nie myśl już o tej małej słuczce.

— Wylicz wszystko dokładnie albo właściwie to najlepiej zostawić tę sprawę ubezpieczycielowi. Dowiem się, co tam u siostry, i skontaktuję się z tobą — powiedziałam twardo i wsiałam do samochodu, energicznie zatrzaskując drzwi.

Mam wieczne problemy przez tego cholernego Rafała — pomyślałam zgnębiona. Co będzie, jeśli sąsiad opowie mojej mamie całe zajście? Jak ją znam, to wcześniej czy później coś jej się wymsknie i to oczywiście w najmniej odpowiednim momencie, czyli przy dzieciach lub nawet przy Krzysiu. Potem będzie mi jeszcze wmawiała, że kierowała się dobrem moim i całej naszej rodziny. Rozważałam to wszystko, wyjeżdżając znów na Trasę Łazienkowską, tym razem w kierunku Anina.

A u mojej siostry zastałam naradę rodzinną. Wielkie poruszenie spowodowane było wiadomością o niespodziewanym pojawieniu się u państwa Zatoniów w Nowym Jorku mojej lekkomyślnej siostrzenicy Wiktorii. Podobno wczoraj ta stracona już dla świata rozsądnych ludzi istota, podejrzewana o błąkanie się gdzieś na Wschodzie wśród buddystów, nagle zadzwoniła do

drzwi tej zacnej rodziny i poprosiła o pokazanie jej synka. Zatoniova zdrętwiała ze strachu, że niezrównoważona matka zechce zabrać małego teraz, kiedy jest on właściwie w połowie leczenia i każdego dnia potrzebna jest mu fachowa rehabilitacja. Ale Wiktoria ponoć popatrzyła tylko na śpiącego Pawelka, przytuliła się do jego obnażonych nóżek i rozplakała jak dziecko. Kiedy Zatoniova relacjonowała jej, jakie zabiegi zostały już wykonane, a co jeszcze i w jakim terminie go czeka, Wiktoria cały czas głośno szlochała i nie była w stanie wymówić ani słowa. A gdy mały się obudził i wyciągnął rączki do swej opiekunki, Wiki pocałowała dłoń zaskoczonej Zatoniovej i uciekła, nie zostawiając swojego adresu ani telefonu.

— Skąd ona się tam wzięła? — Zdenerwowana Zytka biegała po pokoju jak lampart w klatce. — Ja muszę natychmiast jechać do Nowego Jorku. Ona nie może zabrać Pawelka. Ja jej na to nie pozwolę, choćbym miała ją...

— Zytka, oszczędzaj swoje zdrowie. Nie denerwuj się. Zygmunt, zmierz jej ciśnienie — moja mama instruowała swoją starszą córkę i obecnego tu również doktora Kryszela.

— Wiktoria nie może teraz zabrać dziecka, ale jak zakończy się proces leczenia, ma do tego pełne prawo — bronił interesów córki Kazio.

— Słuchajcie, ta relacja Zatoniovej wskazuje, że Wiktoria chyba coś zrozumiała — powiedziałam. — Ja jej nie widziałam płaczącej od czasu, jak skończyła zerówkę. Ona tylko na was wrzeszczała i wydawała wam polecenia, nigdy o nic nie prosiła, nie przeproszała i nie dziękowała, a tu nagle tak zmiana. I ten symboliczny gest wobec Zatoniovej. W niej coś pękło.

— Obyś miała rację! — zawołała Zytka, wznosząc ręce ku niebu. — Moglibyśmy w tym roku świętować podwójne zmartwychwstanie.

— Ale ciekawe, co ona robi w Nowym Jorku? Z czego żyje? I z kim? — zastanawiała się najbardziej praktyczna z nas babcia.

— Ja tam muszę natychmiast jechać — upierała się siostra. — Ją trzeba

odszukać. Ona na pewno potrzebuje pomocy.

— Znaleźć kogoś w Nowym Jorku nie będzie łatwo. Poczekaj, może znów się pojawi i coś powie o sobie — doradzałam.

— Powinienem jechać z tobą. Może być ci potrzebny silny mężczyzna, bo niewykluczone, że trzeba ją będzie znów uwolnić z jakiejś sekty — powiedział Kazio, któremu się wydaje, że jest supermanem. — Ona zawsze miała takie skłonności. Ale skończył mi się termin ważności wizy i mam trochę zamówień, z których muszę się wywiązać. Po świętach spróbuję to jak najszybciej załatwić i...

— Ja bym zalecał większy spokój i opanowanie — odezwał się bardzo rozsądnie ojciec Rafała. — Następne dni mogą wiele wyjaśnić. A teraz, jeśli pani pozwoli, zmierzę pani ciśnienie, bo nie podobają mi się te wypieki i czerwone plamy na pani szyi.

Okazało się, że Zyta ma bardzo wysokie ciśnienie. Doktor Kryszel sugerował, żeby wezwać karetkę i zawieźć ją do szpitala, ale siostra stanowczo odmówiła, więc pan Zygmunt sam podjął się leczenia. Zyta na szczęście miała w szufladzie potrzebne lekarstwa. Po godzinie nastąpiła wyraźna poprawa. Uspokoili się też emocje, bo wszyscy zgodnie twierdziliśmy, że są raczej powody do radości, a zachowanie Wiktorii świadczy o pozytywnych zmianach. Zbyt szybka ingerencja rodziców mogłaby ją spłoszyć i wpłynąć niekorzystnie na tok sprawy, gdyż Wiki ma przekorną naturę.

Późną nocą wracałam z mamą i doktorem Kryszelem z Anina. Ojciec Rafała ma jeszcze bardzo bystry wzrok. Już z daleka spostrzegł, że stojące pod jego domem cudne auto syna jest uszkodzone.

— To jakiś baran, idiota, niedzielny kierowca! — pomstował. — A Rafał tak dbał o ten samochód, tak na niego chuchał i dmuchał. Jeżdżą napici i naćpani, a policja łapie tylko tych, co trochę przekroczą prędkość.

— Skąd wiesz, że to ktoś inny zawinił? — przerwała mu moja mama. —

Przecież Rafał mógł sam gdzieś stuknąć.

— Nie wierzę, on tak uważał, a poza tym jest świetnym kierowcą — stwierdził pewnie. — W tym kraju niedługo nie da się już wcale jeździć. Podobno teraz kupuje się prawo jazdy na Ukrainie. To prostu skandal. A ile teraz kobiet jeździ po drogach, za przeproszeniem pani Joanny! Przecież wiadomo, że kobiety z natury mają gorsze wyczucie odległości.

Normalnie polemizowałabym do upadłego z seksistowskimi teoriami starego ginekologa, mimo że ja sama mam bardzo liche wyczucie odległości i zawsze mi się wydaje, że drzwi garażu są za wąskie, lecz w tej sytuacji podwinęłam ogon pod siebie i nic się nie odezwałam. Zaparkowałam bardzo ostrożnie obok poharatanego lexusa i wyciągnęłam z torebki komórkę. Kiedy staruszkowie zegnali się serdecznie, kokosząc się przy tym dobre kilka minut, wysłałam do Rafała esemesa następującej treści: „Błagam, nie mów nikomu, a zwłaszcza ojcu, że to ja cię tak urządziłam. Będę twoją dozgonną dłużniczką”.

Mimo że w oknach mieszkania Kryszelów już nie paliło się żadne światło, odpowiedź przyszła błyskawicznie. „Już się cieszę na odbieranie długu. Od pierwszej chwili wiedziałem, że ten samochód będzie szczęśliwym wyborem”.

— Daj spokój temu swojemu mężowi — usłyszałam za sobą karcącą uwagę mamy. — O tej porze pisać esemesy to tylko moja córka potrafi. Nawet za granicą nie da się wyspać biednemu chłopakowi.

Od bloku Kryszelów do naszej bramy mama cały czas nadawała na temat mojej idiotycznej potrzeby dzielenia się z mężem, nawet w nocy, wszystkimi wydarzeniami. Uświadomiła mi tym sposobem, że właśnie powinnam to zrobić, bo całkiem przypadkiem może się wydać, że wysyłam w nocy esemesy zupełnie gdzie indziej. Kończąc w łazience krótkie sprawozdanie z dzisiejszych rewelacji i wysyłając je do męża, spojrzałam na zegarek. Była druga trzydzieści. Pomyślałam, że popadam już w istną paranoję. Jak tak dalej pójdzie, należałoby zgładzić sąsiada, który był świadkiem mojego pozamałżeńskiego pocałunku.

Zgładzić to ja powinnam przede wszystkim Rafała, bo on jest dla mnie najgroźniejszy — myślałam już w łóżku, w którym, mimo wielkiego zmęczenia, wierciłam się wciąż bezsennie. Co zamknęłam oczy, to znów czułam na ustach jego gorące wargi. Serce podlatywało mi w górę, a za nim także inne organy pozornie dość od niego odległe. Czułam się, jakby winda gwałtownie ruszyła ze mną w dół.

XXIV. NABOŻNE ŚWIĘTOWANIE

Musiałam trochę odespać, więc do teściowej dotarłam dopiero po południu. Chyba naprawdę się ucieszyła. Przywitała mnie bardzo serdecznie i w zasadzie była gotowa do drogi. Ale ja postanowiłam skorzystać z okazji, że po latach znów jestem na Mazurach, by odwiedzić znajome mi niegdyś miejsca i ludzi. Dużo się zmieniło. Miasto wypiękniało, lecz mnie ogarnął jakiś nieokreślony smutek. Z krajobrazu zniknęło bowiem wiele obiektów i ubyło też kilka osób, z którymi wiązały się moje wspomnienia sprzed lat. Redaktor naczelny mojej byłej gazety już nie żyje, a inni się rozjechali po świecie.

Spotkałam znajomego lekarza, kolegę Krzysia, który akurat śpieszył się na dyżur. Pogadaliśmy tylko przez chwilę, strasznie narzekał, że szpital zadłużony i cały personel żyje w niepewności, bo lada dzień ludzie mogą stracić miejsca pracy. Powiedział, że bardzo zazdrości mojemu mężowi pracy za granicą. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma — pomyślałam. Nie ma co zazdrościć, można samemu spróbować. „Gazeta Lekarska” pełna jest ogłoszeń. Niech sobie zobaczy, jak to rozkosznie jest siedzieć pięć dni w tygodniu dzień i noc w szpitalu na dyżurze i widzieć rodzinę raz na miesiąc.

Zapoznałam go pokrótce z ujemną stroną tego naszego eldorado, zatajając jedną z ważniejszych kwestii, że małżonce, jak mnie, może odbijać. Tego, jeśli jest inteligentny, powinien domyślić się sam. Zresztą — przypomniałam sobie — jego małżonce akurat obecność męża w domu nie pomagała zbytnio w utrzymaniu w ryzach temperamentu. Po mieście krążyły różne plotki o jej romansach, więc nieobecność małżonka wiele by nie zmieniła.

Do ulubionej zatoczki naszego jeziora, gdzie w ustroniu można było zażywać kąpieli nawet nago, nie miałam szansy teraz ani dojechać, ani nawet dojść. Wszystko zostało zagrodzone. Dawne pegeerowskie włości rozprzedano. Stoją tam teraz piękne dacje z monitoringiem, na podjazdach wypasione SUV-y,

a przy pomostach łódzie. Niby dobrze, że mamy w kraju zamożnych ludzi, ale jakoś tak szarpnął mną żal za tamtą prostotą sprzed lat, gdy kto chciał, walił prosto do jeziora w dowolnie wybranym przez siebie miejscu. Nie znaczy to, że tęsknię za PRL-em i PGR-ami, uchowaj Boże.

Następnego dnia wydawało mi się, że wstaję wczesnym rankiem, bo była ósma. Teściową zastałam w kuchni znów kompletnie wyszykowaną do wyjazdu. Siedziała na krześle, a obok niej leżał płaszcz, kapelusz, rękawiczki i torebka. Nie mogły te rzeczy spokojnie czekać na wieszaku? — pomyślałam gniewnie. Widać podróże bardzo ją stresują. A może tylko ta podróż ze mną i do mnie? Trochę zrobiło mi się jej żal. Pierwszy raz spojrzałam na nią jako na staruszkę, której należy się pewna taryfa ulgowa. Kuchnia była wyprzątana, a wszelkie produkty żywnościowe, które mogłyby się zepsuć, usunięte. Rozejrzałam się bezradnie i stwierdziłam, że napiję się tylko kawy na drogę, choć zawsze jem duże i pożywne śniadania.

— Nie mogłam tak długo na ciebie czekać — powiedziała teściowa. — Musiałam już wszystko powyrzucać i rozmrozić lodówkę.

— A mamusia coś jadła? — spytałam zaniepokojona.

— Wczoraj skończyłam chleb i masło. Nie opłacało się kupować nowego — odpowiedziała. — Ale zejdź do piwnicy, bo ja już nie mam siły, tam w chłodzie stoją pojemniki, które wystawiłam z lodówki. To wszystko musisz zapakować do samochodu. Ja od tygodnia żyję tymi przygotowaniami. To już nie na moje stare lata takie wyjazdy. Mówiłam Krzysiovi, ale on się uparł, że nie mogę być w święta sama — skarżyła się.

Popatrzyłam na nią. Faktycznie nie wyglądała najlepiej.

— A co takiego jest w tych pojemnikach? — spytałam zaintrygowana.

— Wszystko, co powinno znaleźć się na świątecznym stole — odparła z dumą.

— Och, to fantastycznie! Ja miałam dopiero jutro po powrocie do domu

zabrać się za szykowanie świąt, a tu już wszystko gotowe — powiedziałam, udając wesołość. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy chciała mi ulżyć w pracy, czy też bała się, że ją otruję albo może być głodna w moim domu. Fakt, że kiedy w końcu lat osiemdziesiątych u niej mieszkałam, zupełnie nie umiałam gotować.

W piwnicy czekały na mnie kartonowe pudła, w których poukładane były próżniowe pojemniki różnych wielkości, a w nich zapewne gotowe potrawy. Zamrożone wkłady utrzymywały w kartonach odpowiednio niską temperaturę. Wszystko przemyślane, zaplanowane i precyzyjnie wykonane. Od razu widać, że to dzieło osoby spod znaku Panny. Moja teściowa, tak samo jak jej jedynaczek, urodziła się we wrześniu i podobnie jak on jest pedantką. Jak ona ze mną wytrzyma tyle czasu? — zastanawiałam się, wynosząc kolejne kartony z piwnicy. Współczułam jej i sobie. Ja jestem bałaganiarą. Nie znoszę brudu, ale artystyczny nieład jest mi potrzebny do normalnego funkcjonowania. Kiedyś, gdy mieszkaliśmy pod jednym dachem, w domu teściów zatrudniona była gosposia, ona odpowiadała za porządek i gotowała. Obie z teściową pracowałyśmy. Ja zamknięta w pokoju pisałam artykuły, a ona sprawdzała zeszyty. Jak mogłyśmy, tak starałyśmy się omijać siebie nawzajem, a i tak nie obeszło się bez konfliktów.

Miałam wielką pokusę otworzyć któryś z pojemniczków i wtrząchnąć porządne śniadanie, lecz uświadomiłam sobie, że to Wielki Piątek. Postanowiłam przeżyć go o chlebie i wodzie, ofiarowując swoją ascezę w intencji bezkonfliktowego pobytu teściowej w moim domu. Przypomniało mi się jednak, że w pobliżu znajduje się piekarnia pani Wiśniewskiej, której pieczywo wspominałam nawet na innym kontynencie. Już z daleka poczułam zapach, któremu nie sposób się oprzeć. Kupiłam razowca i przepyszne drożdżoweczki dla siebie i teściowej. W ten sposób zaprzepąściłam swoje szczytne postanowienie umartwienia. Mam strasznie słaby charakter. Teściowa nawet nie spojrzała na pieczywo wypełniające boskim aromatem cały samochód. Na pewno ze starości straciła węch.

Moja pasażerka przespała prawie całą drogę, co, nie powiem, było mi na rękę, gdyż nie musiałam zabawiać jej rozmową. Puszczalam cichutko Deana Martina i Franka Sinatrę, żeby kołysali ją do jak najdłuższego snu, i oddałam się własnym rozmyślaniom. Miałam również w drodze powrotnej wstąpić do mojej mamy, ale okrążyłam Warszawę od wschodu i gnałam na Kielce, ile się dało. Pogoda niestety się zepsuła. Siąpił drobniutki deszczyk, wszystko było szare i smutne jak ja. Spokojna muzyka, chrapiąca teściowa i równinny, nudny krajobraz Mazowsza sprawiły, że i mnie zachciało się spać. Rozboliła mnie głowa, szyja i ramiona. Wiem, że należy robić przerwy w podróży, że trzeba się przejść, pogimnastykować i rozprostować kości. Ale każde zatrzymanie groziło obudzeniem mojej drzemiącej pasażerki i koniecznością rozmowy z nią. Pędziłam więc jak wariatka, lekceważąc nakazy bezpieczeństwa i ograniczenia prędkości. A gdy zajechaliśmy przed dom, teściowa otworzyła oczy, odpięła pas i odezwała się z sarkazmem:

— Widzę, że ślubowałaś na Wielki Piątek milczenie.

W sobotę, zaraz po poświęceniu w naszej parafii pokarmów, zaplanowałam objazd kościołów, czyli nawiedzanie grobów Chrystusa. Pomyślałam sobie, że w ten sposób spędzimy z teściową czas bogobośnie i nie będziemy musiały ze sobą za dużo gadać. Przy okazji pokażę jej spory kawał naszego województwa. Zaczęłam od przepięknego kamiennego kościółka w niedalekich Grzegorzowicach, potem dotarłyśmy do okazałej romańskiej kolegiaty w Opatowie. Następnie zawróciłam do Kałkowa, gdzie znajduje się bardzo specyficzne sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Pani Świętokrzyskiej. Teściowa była oczarowana patriotycznymi treściami podanymi w religijnym sosie, co we mnie budzi dość mieszane uczucia. Stamtąd przemieściłyśmy się do następnego maryjnego sanktuarium w Skarżysku Kamiennej.

Ja już wymiękłam. Zaproponowałam teściowej, że pójdziemy na obiad do restauracji. Odmówiła.

— Ty, jak chcesz, to idź — powiedziała wspaniałomyślnie. — Ja mam dla siebie przygotowany posiłek. — Wyciągnęła swój pojemniczek i zaczęła dziobać widelczykiem jakąś sałatkę. Podjechałam na stację benzynową, kupiłam sobie watową bułkę i dwie herbaty. Po chwili jechałyśmy już dalej do kieleckiej katedry. W drodze skrytykowała mój sposób odżywiania.

Po pięknej kieleckiej katedrze, której teściowa poświęciła dużo czasu, został nam jeszcze tylko klasztor w Świętej Katarzynie i Sanktuarium Świętego Krzyża. Gdy dotarliśmy na Łysą Górę, wiał tam lodowaty wiatr i zaczął prószyć śnieg. W kościele trwało właśnie nabożeństwo Wielkiej Soboty, na którym teściowa postanowiła zostać do końca. Do domu wróciliśmy późno. Padałam ze zmęczenia, szczękałam zębami z zimna. Na wardze wyszła mi opryszczka. Mdlilo mnie z głodu i miałam bolesne skurcze żołądka. Po teściowej nie było widać śladu zmęczenia. Chciałam naszykować jej kolację, ale powiedziała, że mogę się nie kłopotać, bo ona skorzysta z następnego pojemniczka. Nałożyła sobie na talerz trochę śledzia i sałatki oraz jajko na twardo. Nie miałam już wątpliwości, że pojemniki kryją zapas żywności tylko dla niej. Jak tu jutro zrobić uroczyste śniadanie? Co to będzie dalej? — zastanawiałam się, wsuwając w środku nocy do piekarnika sernik, mocząc śledzie i szykując solankę dla rozmrażanej w przyspieszonym tempie indyczki. Żurek postanowiłam zrobić jutro. Dobrze, że Danusia dała mi swojską, surową kielbasę i szynkę własnej roboty, bo naprawdę nie miałabym co jeść.

Obudziłam się z potwornym katarem i bólem głowy. No tak, wczoraj nie wzięłam czapki, a na Świętym Krzyżu okropnie wiało. Teraz za oknem leżał bielutki, świeżutki puch, choć w kalendarzu mieliśmy kwiecień i podobno wiosnę. Wstałam, żeby napić się wody i podłożyć do pieca. Było bardzo wcześnie, więc miałam nadzieję jeszcze trochę pospać, przecież położyłam się do łóżka prawie nad ranem. Przechodząc koło wieszaka w holu, spostrzegłam brak palta teściowej. Nie było też jej butów ani kapelusza. Znowu popełniłam faux pas

— przeraziłam się. Nie powiesiłam drogocennej garderoby z należnym szacunkiem w szafie i teściowa zrobiła to w nocy. Trzeba być naprawdę stukniętym, żeby wstawać z łóżka z takiego powodu. Ale mogła od razu coś powiedzieć, a nie czaić się po nocy — pomyślałam, nabierając coraz większej pewności, że już po tygodniu naszego wspólnego bytowania może dojść do strasznych scen, a co tu mówić o wytrwaniu do wakacji.

Półprzymkniętym jeszcze oknem zobaczyłam, że drzwi pokoju gościnnego, w którym zakwaterowałam mamę Krzysia, są uchylone, a łóżko zasłane. Natychmiast dwoje oczu otworzyło mi się tak szeroko, że omal gałki nie wypadły mi na podłogę. Teściowa ode mnie uciekła już po pierwszym dniu pobytu! — pomyślałam przerażona. Zamęczyłam staruszkę tym kościelnym maratonem. Ale wczoraj robiła wrażenie zadowolonej. Boże, jak ja się wytłumaczę Krzysiewi? Czy on mi uwierzy, że nie dopuściłam się żadnej zniewagi ani przemocy wobec jego matki? Czułam się, jakby ktoś dał mi w głowę i ogłuszył. Tylko co będzie, jeśli ona gdzieś zginie? Pośliźnie się, upadnie i zmarznie w tę okropną pogodę. Hitchcocki już zaczynały pracować w moim mózgu. Nie wiedziałam, czy najpierw dzwonić na policję, czy do Krzysia. Może jego mama miała już wcześniej jakieś objawy demencji starczej, ale nic mi o tym nie mówił?

Nie, Krzysia na razie zostawię w spokoju — postanowiłam. Poszukam jej na własną rękę. Może jest jeszcze całkiem blisko, bo nie tak łatwo wydostać się w pierwszy dzień Świąt Wielkiej Nocy z naszych Zalewic i dotrzeć choćby do Kielc, nie mówiąc już o Olsztynie i dalej. A może po prostu wybrała się do kościoła? — pocieszałam się, wciągając pośpiesznie na siebie jakieś ubranie, które akurat miałam pod ręką. Ale dlaczego wybrałaby się sama na mszę? Przecież ona nawet nie wie, gdzie jest przystanek autobusowy.

Wyszłam na ganek i na ścieżce pokrytej topniejącym śniegiem zobaczyłam ślady jej stóp, a obok mały, okrągły i głęboki ślad pozostawiony

najprawdopodobniej przez czubek parasolki, którą się podpierała. Koło domku pani Bzymkowej śladów ludzkich stóp było już więcej i pogubiłam się w tym tropieniu. Szkoda, że moje psy nie zostały przeszkolone do poszukiwania zaginionych — pomyślałam. Ścieżka koło Bzymkowej była skrótem prowadzącym do szosy. Korzystali z niej na ogół starsi ludzie nieposiadający samochodów, którzy mieszkali samotnie, a ich domy znajdowały się jeszcze za moim. Stałam teraz na wzgórzu, z którego widziałam całą tę dróżkę i kawałek szosy. Nikt tu nie leżał, nie jęczał i na pewno nie było nigdzie mojej teściowej, której czarny płaszcz i kapelusz byłyby doskonale widoczne na tle śniegu. O Boże, miejmy nadzieję, że nic się jej nic nie stało! — wzdychałam zrozpaczona. Zawróciłam, wyciągnęłam auto z garażu i powoli ruszyłam w kierunku Swarowic.

Gdy wjechałam na parking w rynku, ludzie właśnie wychodzili z kościoła po skończonej rezurekcji. Większość z nich poubierana była już wiosennie, więc kulili się z zimna. Tylko chłopcy biegali ożywieni i odpalali z hukiem petardy. Chciałam pobiec na przystanek, żeby sprawdzić, czy teściowa miała szansę już dziś odjechać stąd do Kielc. Aż tu nagle mignął mi w tłumie znajomy, czarny kapelusz, a po chwili ukazała się cała, okazała i elegancka sylwetka teściowej. Wskoczyłam z samochodu.

— Mamusiu! — krzyknęłam dramatycznie i ściągnęłam na siebie uwagę wielu osób.

Ubrana byłam bardzo niestosownie do okoliczności, w dresy i starą kurtkę Krzysia, w której chodzi on z psami na spacer do lasu. Nie było to w dodatku odzienie pierwszej czystości. Miałam zamiar wyprać tę umorusaną przez psy kurtkę dopiero po świętach, przed przyjazdem Krzysia. Kaptur naciągnięty na oczy, aż po czerwony od zimna i kataru nos, nie zdołał mnie zakryć na tyle, żebym stała się nierozpoznawalna. Co chwilę padało w moim kierunku jakieś grzeczne „dzień dobry”.

— Niepotrzebnie się fatygowałaś, dałabym sobie sama radę — usłyszałam z ust zasapanej teściowej, która, ujrawszy mnie w tak kompromitującym stanie, biegła w moim kierunku, nie bacząc na ruszające z parkingu samochody, żebym jak najszybciej schowała się w aucie. — Jak można tak się pokazać w pierwszy dzień świąt pod kościołem?! — histeryzowała. — Jakbyś postąpiła tam trochę dłużej, zaczęliby ci rzucać datki — rugała mnie z sarkazmem.

— Bez przesady, tu mnie prawie wszyscy znają — powiedziałam wesoło, chcąc ją uspokoić, lecz efekt był przeciwny.

— No właśnie, niestety. Tu was wszyscy znają. Mojego syna również. — Westchnęła tak mocno, że miałam wrażenie, iż zabrała całe powietrze z kabiny.

— Przestraszyłam się, że z mamusią coś się stało. Złapałam, co było pod ręką — próbowałam się tłumaczyć. — Jakim sposobem w ogóle mamusia się tu znalazła?

— A co miałyby się stać? Przecież wiadomo, że nie porwali mnie kosmici — fukała. — Nie jestem dzieckiem ani zniedołężniałą staruszką, żeby się o mnie bać. W moim domu zawsze chodzi się na rezurekcję. Myślałam, że w rodzinie mojego syna też kultywuje się tę tradycję, ale widzę, że jak go nie ma, to ty... — Machnęła ręką. — Ja nie miałam zamiaru ci przeszkadzać, skoro postanowiłaś wylegiwać się w łóżku, więc udałam się do autobusu. Ale jacyś uprzejmi ludzie zaprosili mnie do auta, jak tylko wyszłam na szosę. Czemu miałabym nie dać sobie rady? To fakt, że daleko tu do cywilizacji.

— W nocy piekłam ciasto i naszykowałam mięso na dzisiejszy obiad — usprawiedliwiałam się.

— Nigdy nie umiałaś się zorganizować, dlatego wciąż brakuje ci czasu. Nie wiem, doprawdy, jak Krzyś to wytrzymuje, on jest taki systematyczny.

Oj, muszę w domu pochować ostre noże i inne niebezpieczne przedmioty, bo nie ręczę za siebie — pomyślałam i zaraz się upomniałam. Byłam przecież świeżo po spowiedzi i chciałam przyjąć dzisiaj komunię. Boże, dopomóż mi jakoś

wytrwać — modliłam się w duchu, wjeżdżając na podjazd, na którym stał już zaparkowany samochód Pawła. Oprócz właściciela dojrzałam w nim jeszcze Macieja oraz jakąś śliczną młodą dziewczynę. Jeszcze mi tylko tego tutaj potrzeba — pomyślałam niegościnnie. Teraz to dopiero mogą się rozegrać dantejskie sceny. Po co oni przyjechali? Nie mogli siedzieć w taką pogodę w Warszawie? Przecież Marian rozebrał już dach na murowanym domu Pawła, a z drewniaka została właściwie sama wydmuszka, czyli zewnętrzne ściany. I jeszcze ta cizia, która mogłaby być córką każdego z nich. Jezu, jak mnie teściowa podsumuje, gdy już przepytam dokładnie moich znajomych o ich życiorys i poglądy.

Ja widać lepiej znałam stan prac w posiadłości Pawła niż sam właściciel. Wiecznie bowiem on albo Jacek wydzwaniali do mnie, prosząc o kontakt z Marianem. Marian był wprawdzie właścicielem wypasionego telefonu, lecz chyba go oszczędzał, bo nadal często go wyłączał. Paweł żył w ostatnim czasie nadzieją pozyskania funduszy na jakiś dokumentalny filmik, więc nie miał zapewne głowy do prac budowlanych. Wiedział, że dom jest w dobrych rękach. Pod wpływem radosnego impulsu obaj panowie postanowili udać się do Zalewic, w których miło spędzili poprzednie święta. Tym razem wzięli ze sobą także Julkę, córkę Maćka. Zaopatrzyli się w materace oraz jakieś elektryczne dmuchawy i sądzili, że to wystarczy. Stara instalacja nie wytrzymała tego obciążenia i co chwilę wysiadały im korki, a w dodatku tak nagle się ochłodziło. Mieli nadzieję, że znajdą miejsce u Piotrowskiej, lecz niestety w święta jest więcej amatorów agroturystyki i nie było wolnych pokoi. Pewnie zdezerterowaliby już w środku nocy, ale przed snem pili na rozgrzewkę samogon, którym poczęstował Pawła jako nowego sąsiada któryś z miejscowych, więc o prowadzeniu samochodu nie mogło być mowy.

— Pozwól się wykąpać w ciepłej wodzie i nakarm nas nieszczęsnych czymś wrzącym — błagał Paweł.

Oczywiście przygarnęłam biedaków. Teściowa, gdy tylko usłyszała, że jeden

z panów jest reżyserem, a drugi znanym krytykiem filmowym, zaraz przybrała twarz w uprzejmy uśmiech. A kiedy w dodatku okazało się, że długonoga blond piękność jest córką krytyka, a nie jakąś tam lafiryndą, jak obie początkowo sądziłyśmy, rozchmurzyła się na dobre i zaangażowała w szykowanie wielkanocnego śniadania, udostępniając także swoje zasoby. Muszę przyznać, że to bardzo wzbogaciło moje wyjątkowo skromne w tym roku świąteczne menu. Stół wyglądał świetnie, opadło ze mnie zdenerwowanie i miałam wreszcie klapnąć, aby oddać się obżarstwu, gdy teściowa syknęła mi prosto w ucho:

— U mnie w domu nawet kuchta lepiej wyglądała w święta niż ty.

Miała całkowitą rację. Dresy nie są odpowiednim strojem na świąteczne wielkanocne śniadanie. Odeszłam od stołu, lecz nie dotarłam do szafy i łazienki, bo przypomniało mi się, że należy jeszcze wstawić do piekarnika natartą ziołami indyczkę i dokończyć żurek, doprawiając go chrzanem. Goście zjedli już połowę zawartości półmisków, gdy ja w pierwszej z brzegu szarej sukience, z włosami zakręconymi w skromny koczek i ledwie trochę przypudrowanym czerwonym nosem opadłam ciężko na krzesło. Byłam już tak zmęczona, że straciłam ochotę na jedzenie i najchętniej położyłabym się w jakimkolwiek zacisznym kącie, aby przespać najbliższe tygodnie.

Chyba było miło. Panowie bawili teściową, a ja z wyrazem udręki zmieniałam naczynia i podawałam do stołu. Julka okazała się bardzo sympatyczną dziewczyną i próbowała mi pomagać, lecz jako niezorientowana w mojej kuchni i obyczajach nie bardzo była przydatna. Żałowała, że Dominika wyjechała, bo bardzo chciała ją poznać. Ja także chciałabym, żeby dziewczyny się zaprzyjaźniły, tym bardziej że mają szansę studiować na jednym roku medycynę.

Pogadałyśmy sobie trochę na boku i zaimponowała mi swoją powagą i dojrzałością. Wychowała się praktycznie bez matki. Od dziesiątego roku życia starała się prowadzić gospodarstwo domowe i pilnowała, aby kobiety nie miały

łatwego dostępu do ojca. Bała się, że któregoś dnia jej tato może się zakochać i wówczas mama straci motywację, żeby się obudzić. Maciek woził żonę po najlepszych ośrodkach i zapewniał jej taką opiekę, że nadal była w całkiem dobrym stanie. Julia odwiedzała ją w ośrodku i opowiadała o wszystkim, co dzieje się na świecie i w ich życiu rodzinnym. Świecie wierzyła, że któregoś dnia zdarzy się cud przebudzenia i te informacje bardzo przydadzą się jej mamie.

Wszystko to było bardzo ciekawe i wzruszające, lecz uznałam, że nie powinnam dłużej szeptać z dziewczyną, bo narażam jej zdrowie. Kichałam i smarkałam coraz gorzej. Bolała mnie głowa i pod żebrami, gdy nabierałam powietrza. Panowie radzili napić się nalewki, ale ja miałam jeszcze w planach pójście do kościoła. Teściowa popatrzyła na mnie badawczym wzrokiem i powiedziała:

— Ty masz chyba temperaturę. Nie powinnaś nigdzie wychodzić, a zwłaszcza do tego waszego nieogrzewanego kościoła.

Miałam lekką gorączkę, ale postanowiłam iść na mszę, choćby po to, żeby odpocząć. Zostawiłam teściową z panami filmowcami i pojechałyśmy z Julką na wieczorną mszę. Po powrocie do domu złapały mnie okropne dreszcze. Zarządziłam, kto gdzie śpi, nakarmiłam psy i położyłam się do łóżka. Nie było mowy o żadnych spacerach wokół domu Kitów. Słyszałam, jak teściowa się krząta, szykuje kolację i słodko szczebioce. Po prostu urocza kobieta. Może to naprawdę tylko ja nie umiem z nią postępować — pomyślałam, zasypiając.

XXV. SKANDAL

Obudziło mnie ujadanie i niesamowite wprost wycie psów. Miałam wrażenie, że wszystko wokół jest czerwone. Zacisnęłam powieki i znów otworzyłam oczy, ale czerwoność nie zniknęła. Nie mogłam dociec, czy huczy mi głowie, czy to gdzieś za oknem. Jestem chyba w malignie, mam okropnie wysoką temperaturę — pomyślałam. Nagle usłyszałam syk i huk, jakby wybuch potężnego pocisku. Skoczyłam do okna i otworzyłam okiennice. Na tle szarzejącego już z lekka nieba ujrzałam ogromne płomienie. Palilo się gospodarstwo Kity.

Z krzykiem wybiegłam do holu. W tym samym momencie zjawili się tam zaniepokojeni: Maciek, Paweł i Julka. Z ich okien nie było widać pożaru, tylko łunę.

— To u Kity! — krzyknęłam. — Na szczęście nie ma tam nikogo.

— Dzwon po straż! — krzyknął przytomnie Maciek i zarzuciwszy kurtkę na piżamę, wybiegł z domu.

Dyżurny błyskawicznie odebrał zgłoszenie i już po chwili usłyszeliśmy wycie syreny na remizie w Swarowicach. Ja, Paweł i Julka przyodzialiśmy się trochę i podążyliśmy za Maćkiem. Julka biegła, trzymając w ręku spodnie i skarpety swego ojca. Z pobliskich domów także nadbiegali ludzie, ale za późno było już na wynoszenie czegokolwiek i ratowanie dobytku. Pożar musiał wybuchnąć w wielu miejscach równocześnie, bo z jednakową mocą paliły się wszystkie budynki, choć nie stykały się ze sobą i nie było takiej możliwości, by ogień tak szybko mógł przenieść się z jednego na drugi. Z płonącego domu i stodoły buchało potworne gorąco. Nikt nawet nie próbował zbytnio zbliżyć się do ognia, bo co chwilę coś pękało, wybuchało i w powietrze wylatywały jakieś płonące przedmioty. Staliśmy zupełnie bezradni i gapiliśmy się na szalejący żywioł.

Po chwili przydreptała do nas zapłakana i trzęsąca się z emocji pani

Bzymkowa.

— Jezu, tyle nieszczęścia na jedną rodzinę! A za cóż to, Panie Boże? — szlochała. — Gorsze grzeszniki są i włos im z głowy nie spadnie. Czy nie dość już te dzieciaki wycierpiały? Jakże to, jeszcze dach nad głową im odebrać? Gdzie Twoje miłosierdzie? — pytała Najwyższego. Zaraz potem podeszła, jak tylko się dało najbliżej, do płonących budynków i zaczęła wołać: — Kyć, kyć, kyć, kiciunia! Kyć, kyć, kyć, kiciunia! — używała charakterystycznego dla tego regionu przywołania kota. Następnie zwróciła się do mnie z wyjaśnieniem: — Danusia przyniesła kocicę z kociętami do mnie na przechowanie, ale stara zara mi czmychnęła. Pewno wróciła na swoje śmieci i się tam upiekła. Co ja teraz zrobię z tymi małymi. One jeszcze ślepe, same się nie najedzą. Kyć, kyć, kyć!

Kłopoty staruszki z kotami były w tym momencie zupełnie bez znaczenia wobec tego, co się tutaj działo. Na naszych oczach obracał się w perzynę dorobek życia Andrzeja Kity i jego zmarłej tragicznie małżonki. Czwórka jego dzieci straciła już matkę, ojca miała w więzieniu, a teraz stawała się bezdomna. Kita, przed okresem pijaństwa spowodowanym rozpaczą po stracie żony, był zamożnym i zapobiegliwym gospodarzem, dobrym mężem i ojcem. Miał sporo maszyn rolniczych i różnego przydatnego na wsi sprzętu, jak kosy spalinowe, piły, sprężarki, spawarki i tym podobne. To pewnie ich napełnione paliwem zbiorniki wybuchały co chwilę w garażowej części ogromnej stodoły.

— Pani Bzymkowa, niech pani nie podchodzi tak blisko, bo jeszcze panią zrani jakiś przedmiot — zawołałam do staruszki. — Miejmy nadzieję, że kotka uciekła. Przestraszyła się, ale szybko wróci do kociąt. Jak to dobrze, że nikogo w domu nie było, bo jakby tak Danusia sama z dziećmi była i spała, to strach pomyśleć.

— A może to dlatego, że oni tak bez ślubu? — Bzymkowa obciążyla już tragicznymi wydarzeniami Pana Boga i teraz koniecznie chciała poznać powody Jego okrutnej decyzji.

— Może to jednak zły człowiek zawinił — powiedziałam, nie chcąc brnąć w teologię.

Nadjechało kilka wozów strażackich i policja. Musieliśmy się odsunąć nieco dalej. Lali wodę długi czas, a ogień wciąż nie dawał za wygraną.

— To musiało być podpalenie — usłyszałam głos Mietka. — Polane jest benzyną na sto procent — przekonywał policjanta.

Dalsze stanie tu i marznięcie nie miało większego sensu, ale tkwiliśmy na miejscu jak zahipnotyzowani. Wreszcie czerwone jęzory ognia osłabły i powoli zaczęły zanikać. Na ich miejsce pojawił się gryzący w oczy, drażniący nozdrza, śmierdzący czarny dym. Mietek z Januszem, także aktorem naszego kabaretu, poszli przeszukać pogorzelnisko.

— Dzwoniąta po pogotowie! — krzyknął Mietek, wychylając głowę przez wypalony otwór okienny. — Chociaż lekarz to już nie będzie miał tu nic do roboty. Spalił się prawie do szczytu, ale kanister, pierun, jeszcze trzyma w ręce.

Do tłącego się wciąż budynku pobiegli policjanci. Zaczęli zabezpieczać ślady. Zwłoki były podobno nie do rozpoznania, lecz wszyscy, którzy znali historię śmierci Damiana i romans jego matki z Kitą, nie mieli wątpliwości, że to Czesiek Nowak. Chciał się zemścić i nieopatrznie stał się ofiarą własnej wendety.

— Trzeba by zadzwonić do Danusi i powiedzieć jej o tym kocie. — Bzymkowa po kilkakrotnym okrążeniu obejścia Kitów wyglądała na bardzo zmęczoną. Nie byłam nawet pewna, czy dotarła do niej wiadomość, że znaleziono zwłoki Nowaka.

— Ja zaraz zadzwonię, niech się pani już nie kłopotce — uspokoiłam starszkę. — Proszę iść do domu i odpocząć.

My też skrzyknęliśmy się do powrotu. Po drodze wyjaśniłam moim gościom, jakie motywy miał i kim był podpalacz.

— Ale to historia! — ekscytowała się Julka. — Tato, zróbmy coś, żeby im pomóc.

— No wiesz, nasza sytuacja też nie jest lekka. Na ostatnią kurację, która miała być taką rewelacją, poszedł nawet nasz samochód — powiedział cicho Maciek.

— Ale możecie z wujkiem zorganizować jakąś imprezę dobroczynną. Macie tylu znajomych. — Julka była pełna współczucia i entuzjazmu.

— To jest nawet niezły pomysł — Paweł, który był tylko przyszywanym wujkiem Julki, poparł dziewczynę. — Już mi się to zaczyna precyzować w umyśle — powiedział, mrużąc oczy. — Przy okazji odnowi się parę pożytecznych znajomości — dodał. Snuł plany, które dotyczyły głównie jego powrotu do celebryckiej braci. Już miałam go zaatakować, ale wstrzymałam się. A niech się promuje, jeśli przy okazji wyniknie z tego coś dobrego — pomyślałam.

Byliśmy już pod moim domem i dopiero teraz ujrzelśmy, że przed garażem na placyku z czerwono-szarej kostki oprócz czarnej terenówki Pawła stoi mocno ubłocony i trochę pokiereszowany biały lexus. Mam pewnie przywidzenia, to niemożliwe. Ten widok już mnie chyba prześladowe — myślałam. Mówiłam przecież Rafałowi, że jadę po teściową. Każdy inteligentny człowiek wiedziałby, iż w tej sytuacji jego wizyta będzie bardzo niemile widziana. No, chyba że diaboliczny Rafał zamierza perfidnie rozwalić moją rodzinę. Co za bezczelny typ, a ja się jeszcze niedawno z nim całowałam — pomstowałam w duchu, żałując, że strażacy ugasili już pożogę, bo chętnie bym go wrzuciła do ognia i upiekła jak kurczaka na rożnie.

Wpadłam do domu nabuzowana jak bomba wodorowa i gotowa do popełnienia zbrodni w afekcie. Ale zanim odnalazłam Rafała, zobaczyłam w holu moją mamę spacerującą pod pokojem gościnnym i gadającą do zamkniętej w nim teściowej. Mama złapała mnie za rękaw i natychmiast swoją lawinę słów skierowała do mnie.

— No nareszcie jesteś! My podjeżdżamy, a tu drzwi otwarte na oścież, w domu tylko śpiąca, bezradna staruszka, która w ogóle nie wie, co się wokół

niej dzieje, a gospodyni nie ma, bo lata po wsi.

— O, wypraszam sobie, Celino! Tylko nie bezradna staruszka — padło znienacka zza drzwi.

— Czy ty, Łucjo, jesteś już głucha, że nie słyszałaś tego całego zamieszania, jakie tu musiało być? — Mama znów wróciła pod drzwi i mówiła do mojej teściowej.

— Nie jestem głucha, tylko mam zdrowy, mocny sen. Sypiam jak niemowlę — wyjaśniła zamknięta nadal w pokoju teściowa.

Do holu weszła Julka z ojcem i Pawłem. Zostali nieco dłużej przed domem, gdyż wyciągali jeszcze z samochodu jakieś swoje rzeczy. Wszyscy troje skłonili się grzecznie mamie i szybko zajęli moje obydwie łazienki, a ja kontynuowałam dziwną rozmowę z obiema mamami rozdzielonymi zamkniętymi drzwiami.

— Mamo, powiedz, skąd ten nagły pomysł, żeby do mnie przyjechać, przecież zamierzałaś w Warszawie spędzać całe święta. — Formułowałam myśli najogólniej, jak umiałam, powstrzymując się, żeby nie wrzasnąć: „Po co znów przywiozłaś mi tych cholernych Kryszeli?!”. Ale jestem dobrze wychowana, więc zapytałam tylko: — Czy zamierzacie zostać na noc?

— To się okaże — odparła enigmatycznie mama i znów zajęła się ukrytą za drzwiami teściową. — Nie wyobrażam sobie, jak można tak długo spać. Ja dzisiaj już zrobiłam sobie gimnastykę, a potem zmobilizowałam moich chłopców do wyjazdu. Rafał jutro rano musi być w Krakowie, więc doszłam do wniosku, że stąd będzie miał bliżej.

W tym momencie obaj „chłopcy” ukazali się w drzwiach. Uśmiechali się z zażenowaniem i kłaniali uprzejmie, stojąc jak wryci, jakby bali się przestąpić próg domu i znaleźć się w holu. Rafał, widząc moje zdumione spojrzenie, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Poszliśmy obejrzeć pogorzelnisko i musieliśmy się minąć w drodze. Czy możemy już wejść, bo nie chcielibyśmy znów wprawiać pani Zalewskiej

w zakłopotanie? A poza tym przepraszamy, że tak niespodziewanie zwałamy ci się na głowę. Wiesz przecież, że jak twoja mama coś postanowi, to trudno jej się przeciwstawić. Chcieliśmy cię zawiadomić, będąc już w drodze, lecz najpierw mama nie pozwalała zadzwonić, żeby cię nie budzić, a potem nie odbierałaś.

— Nie ma sprawy. Witajcie. Bardzo się cieszę — powiedziałam nieszczercze i wymieniłam z nimi niby to serdeczne uściski.

— Uroczo wyglądasz taka potargana i zarumieniona — szepnął mi do ucha Rafał, cmokając mnie w policzek. — Chodź bliżej do światła, to zetrę ci sadzę z nosa.

Otoczył mnie ramieniem i pociągnął do kuchni, gdzie byliśmy sami. Już przymierzał się do następnego, bardziej namiętnego niż powitalny pocałunku, ale odskoczyłam od niego jak oparzona.

— Oszalałeś?! — syknęłam. — Jeśli zrobisz cokolwiek, co zakłóci naszą rodzinną harmonię, znienawidzę cię i nie przebaczę ci tego do końca życia — zagroziłam zupełnie poważnie.

— Och, teraz to jako tako mogę pokazać się ludziom. — Usłyszałam głos teściowej, która nareszcie otworzyła drzwi swego pokoju i wyszła do nas. — Nie można tak zaskakiwać kobiety w moim wieku. Nie przestraszyliście się państwo? Miałam trochę takiej zielonej maseczki z wodorostów na twarzy i specjalne płatki pod oczami. Nie spodziewałam się, że ktoś znienacka, bez pukania wpadnie do mojego pokoju. A tu Celina, jak huragan, z samego rana i jeszcze prowadzi za sobą dwóch przystojnych mężczyzn — świergotała, prezentując odżywioną, wypoczętą twarz z delikatnym makijażem.

Włoski miała chyba dopiero co uwolnione z wałków. Cała była świeżutka, pachnąca dobrymi perfumami i nienagannie elegancka. Zauważyłam też, że jej biała koronkowa bluzka, którą podziwiałam już wczoraj, została dodatkowo przyozdobiona piękną broszką, a na palcu zaśnił całkiem okazały brylant.

Postarała się starsza pani Zalewska, nie ma co — pomyślałam z zazdrością.

Moja mama też wyglądała niczego sobie, choć preferuje zupełnie odmienny rodzaj elegancji, który nie za bardzo uwzględnia jej datę urodzenia wpisaną w metryce, za to eksponuje doskonałą figurę. Mama miała na sobie obcisłe skórzane spodnie i luźny sweter przepasany bardzo ciekawym pasem. Wczorajsi przybysze również zeszli na dół, wyszorowani i odświeżeni przebrani. Przywitali się z dzisiejszymi gośćmi jak starzy znajomi, wymieniając wzajemnie uprzejmości. Julka, choć się zupełnie nie starała, bez makijażu i zbytnio odświeżonego stroju, zrobiła na mamie i panach swoją młodością, naturalnością i pięknym, grubym warkoczem wielkie wrażenie. Tylko ja sterczałam wciąż pośrodku kuchni w stanie tak opłakanym, jakby to mój dobytek spłonął przed chwilą.

— Asiu, ruszaj się! Szybciej, podaj coś na stół, bo ja zabrałam chłopaków bez śniadania — poganiała mama. — Myślałam, że zastaniemy was przy świątecznym jadle, a ty poleciałas gasić pożar, cha, cha. Mojej córce, cha, cha, od czasu gdy zaczęła prowadzić strażacki kabaret, zdaje się, że naprawdę jest strażakiem. Słyszeliście państwo o tym jej teatrze? Cha, cha — mama śmiała się i zaczęła się rozwódzić o absorbujących mnie zajęciach.

Niby to mnie krytykowała, ale z dumą podkreślała, że napisałam scenariusz i zespół zakwalifikował się do ogólnopolskiego przeglądu. W tym towarzystwie tylko moja teściowa i Julka nie były dokładnie zorientowane w mojej działalności. Ale Julka jej nie słuchała, bo uwijała się wraz ze mną i nakrywała do stołu, a teściowa o wiele bardziej zainteresowana była doktorem Kryszelem niż jakimś tam wiejskim zespołem. Usiadła przy starym medyku z uroczym uśmiechem (nawet nie przypuszczałam, że ją na taki stać) i zaczęła konwersację.

— Mój mąż również jest lekarzem, więc właściwie całe życie obracam się w środowisku medyków. A przepraszam, jaką pan doktor ma specjalizację? — Próbowała zajrzeć mu zalotnie w oczy, lecz oczka starego lubieżnika były rozlatane, śledziły bowiem z zachwytem każdy ruch zwinnej, pięknej,

młodziutkiej Julki.

Zastawiłam stół, korzystając też z zapasów teściowej, o czym uczciwie informowałam, chwając każdą przygotowaną przez nią potrawę. Towarzystwo również doceniło jej kunszt gastronomiczny i teściowa była przeszczęśliwa. Doktor Kryszel, zignorowany całkiem przez Julkę, stał się w końcu bardziej zainteresowany rozmową z teściową. Moja mama zajęła się Pawłem, a Maciej profilaktycznie wcisnął się między Rafała a swoją córkę. Popłynęło czerwone wino i zrobiło się całkiem przyjemnie, tylko mnie kaszel nie dawał spokoju. Nie miałam nawet ochoty brać udziału w rozmowie.

— Zakrztusiłaś się czymś? — zapytała mama, której widać przeszkadzało już to moje pochrzękiwanie i pokaśływanie.

— Może się przeziębiłaś? — zaniepokoił się o mnie Rafał.

— Trochę mnie zawiąło w sobotę na Świętym Krzyżu, ale już mi przechodzi. Nawet katar dziś mi ustąpił — uspokoiłam go.

— Wypij sobie coś mocniejszego niż to wino, najlepiej jakąś nalewkę — doradził ojciec Rafała.

— Słuchaj lekarza — powiedziała teściowa.

— Najlepsze są naturalne środki — dodała mama. — Asia robi rewelacyjne nalewki. Do ciasta da nam wszystkim spróbować, prawda? A teraz nalej tylko sobie porządnego kielicha — namawiała.

— Na razie wolę nie — wykręcałam się, czując, że mam jakiś niedobry dzień do alkoholu. — Już od odrobiny wina kręci mi się w głowie. Zresztą chciałabym jeszcze jechać na wieczorną mszę. Mamusia też pewnie ze mną pojedzie? — zwróciłam się do teściowej. Mojej mamy na wszelki wypadek nie pytałam, bo z nią to różnie bywa.

— Ja panie chętnie zawiozę — odezwał się Rafał, który planując nocną jazdę do Krakowa, nalał sobie do kieliszka soku.

— My z tatą też chodzimy zawsze do kościoła, tylko czy się zmieścimy

wszyscy w pana samochodzie? — wtrąciła Julia.

— To ty, Asiu, nie pij lepiej, bo ja z Zygmuntem także chętnie się pomodłę — powiedziała mama, a doktor Kryszel przytaknął, choć wydał się nieco zaskoczony.

Wyszłam do łazienki, żeby swobodnie się wykaszleć. Spojrzałam w lustro i przeraziły mnie wypieki na twarzy. Postanowiłam je zamalować i w ogóle jakoś tak się ogarnąć. Umalowałam się dość starannie, ale nie chciało mi się upinać włosów w kok. Ręce miałam ciężkie, a skóra na głowie bolała mnie w zetknięciu z grzebieniem. Pozostawiłam je więc rozpuszczone. Takie, jakie Rafał lubi najbardziej — pomyślałam, ale zaraz skorygowałam swoje myślenie. Większość mężczyzn lubi takie puszczone luzem, długie włosy u kobiet. Parę razy przymierzałam się już do zrobienia sobie wygodnej, krótkiej fryzurki, ale Krzyś zawsze protestował, więc chcąc się podobać mężowi, hoduję je nadal.

Usiadłam sobie na brzegu wanny i nie chciało mi się wyjść z tego spokojnego azylu. Skąd mi się wziął ten szum w głowie? Oni tam tak głośno się śmieją i gadają, że aż mnie uszy bolą. Znów zrobiło się zimno. Pewnie ktoś, kto korzystał przede mną z toalety, otwierał okno, a na dworze jest wietrzna, wilgotna i bardzo nieprzyjemna pogoda — pomyślałam. Spojrzałam w okno i wstrząsnął mnie dreszcz. Napalę w piecu, bo zrobiło się naprawdę zimno. Czy w tym roku nie będzie już prawdziwej wiosny? Przez parę dni było ładnie, a teraz znów wróciła rozchłapana zima — myślałam zniechęcona i poczłapałam do kotłowni. O, jak to dobrze, że nie muszę już przesiewać trocin w stodole. Że Krzyś, mimo swej oszczędności, po jednym sezonie grzewczym wywalił siermiężne ekologiczne urządzenie i postawił na produkowany seryjnie piec na ekogroszek — wspomniałam z rozczuleniem męża i zatęskniłam za nim.

Krzyś dzisiaj miał już normalny dzień pracy, a Dominika jutro wracała do domu. Wczoraj nawet nie pogadaliśmy sobie na Skypie, bo oni wrócili ze zwiedzania Liverpoolu dopiero późnym wieczorem, a ja padłam już wcześniej ze

zmęczenia. Żeby tak ci wszyscy moi goście już się zabrali i wyjechali, żeby porwali ze sobą także moją teściową, a ja żebym nareszcie mogła wcześniej się położyć i wyspać przed jutrzejszymi lekcjami, do których jestem całkiem nieprzygotowana — marzyłam, wspinając się po stromych schodkach prowadzących z piwnicy. O Boże, jak ja się zestarzałam. Jeszcze niedawno wbiegałam na te schodki, a dziś, trochę zmęczenia i oddech mi już wysiada, i jakoś ciemno mi w oczach — użalałam się nad sobą.

Nikt nie zwrócił nawet na mnie uwagi, kiedy wróciłam do towarzystwa. Rafał z Maciejem i Pawłem wyszli na zewnątrz, bo Paweł chciał obejrzeć lexusa i być może przymierzyć się do kupna takiej limuzyny. Julka znudzona nami wapniakami zasiadła przed komputerem i czatowała sobie z rówieśnikami. Najlepiej bawiła się najstarsza część towarzystwa. Popijali winko, nie kłopotząc się o jazdę samochodem, bo przecież byli wożeni. Jako emeryci nie mieli też do załatwienia żadnych spraw nazajutrz. Mama ostatnio przestała chyba być zazdrosna, bo chętnie dzieliła się doktorem z moją teściową. Staruszkowie mieli nawet ochotę trochę sobie potańczyć, ale skończyło się na solówce mojej mamy. Teściowej nie starczyło odwagi albo doszła do wniosku, że w tej dziedzinie nie ma szans z Celinką, jak się teraz słodko zwracała do mojej rodzicielki, więc sobie odpuściła.

— Chrzań tego swojego męża, Łucjo! — wołała podochocona mama. — Niech nie myśli, że ty bez niego jesteś skazana na żywot pustelnicy. Ty też możesz się dobrze bawić. Kiedy na przykład ostatnio byłaś w Krakowie?

— Chyba czterdzieści lat temu — odparła teściowa.

— To jedź z nami, kochana! Zobacysz, jaki Kraków teraz jest piękny. Pochodzimy sobie po kawiarniach, pójdziemy do Piwnicy Pod Baranami i do teatru, i gdzie tylko będziesz chciała — kusiała mama.

— Och, bardzo bym chciała tak pooddychać kulturalną atmosferą tego miasta. Człowiek już całkiem zapyział na tej prowincji, a przecież ja jestem

z urodzenia warszawianką. W Warszawie mieszkałam aż do zamążpójścia. Ale moi rodzice pochodzili z małopolskiej szlachty. W czterdziestym piątym komunści zabrali nam cały majątek — chwaliła się teściowa.

— Co tam stare dzieje i majątki. Nie ma co wspominać. Mój mąż żył wciąż nadzieją, że komuna upadnie i on odzyska fabrykę rodziców. Życie nam tymi mrzonkami zmarnował. — Mama trochę się zdenerwowała, bo wolałaby uniknąć takich wspomnień. — Teraz trzeba korzystać z życia, póki jeszcze jesteśmy w stanie docenić jego smak. — Wymachiwała dużym pękatym kieliszkiem, aż krople wina poleciały na podłogę. Wzięłam serwetkę i zaraz je starłam, a ona przemawiała dalej: — Zygmus, zadeklaruj, że chciałbyś, aby Łucja z nami pojechała do Krakowa. Rafał, powiedz, że nie będziemy ci przeszkadzać. Możemy nawet wszyscy być w jednym pokoju.

Spojrzałam badawczo na teściową. Wcale nie była zniesmaczona ani przerażona propozycjami mojej mamy. Gorszą minę miał Rafał wyrwany nagle z męskiej dyskusji o motoryzacji.

— Tak, oczywiście, zapraszam państwa do siebie — powiedział, skłaniając się z galanterią. — Nie będzie potrzeby tłoczyć się w jednym pokoju, mieszkanie mam czteropokojowe. Ja zresztą nie będę państwu zbytnio przeszkadzał, bo mam tyle pracy, że w zasadzie nie ma mnie cały dzień w domu. Jeśli więc pani chciałaby zwiedzić Kraków, jest po temu świetna okazja.

Rafał spojrzał na mnie, jakby chciał mi powiedzieć: „Widzisz, co ja dla ciebie robię. Mam nadzieję, że przy okazji okażesz mi wdzięczność”. Och, tak, byłam mu wdzięczna niezmiernie, bo teściowa wpadła w zachwyty i wyraziła ogromną wręcz ochotę oraz wykazała natychmiastową gotowość do jazdy. Ucałowała Rafała, Zygmunta i moją mamę i chciała już pobiec się pakować, ale ja zepsułam nastrój, bo właśnie przypomniałam o mszy. Odłożyła więc pakowanie na potem i poszła się szykować do kościoła. Moja mama odstawiła kieliszek i także stanęła przed lustrem, żeby przymierzyć, która z moich czapek najlepiej jej pasuje,

a Zygmunt miał być arbitrem w tej sprawie.

Wyciągnęłam samochód z garażu. W swoje auto upchałam Maćka oraz Julkę. Rozhulanych staruszków zabrał Rafał do swojego lexusa. Bałam się, że w kościele będzie zalatywać od nich alkoholem. Gorzej będzie, gdy któreś z nich zaśnie po tym winie i jeszcze narobi mi wstydu — myślałam. Nie przypuszczałam jednak, że źródłem rodzinnej hańby stanę się ja.

W świątyni staruszkowie nieco spoważnieli i usiedli wszyscy troje w jednej ławce. Tuż za nimi była jeszcze wolna cała następna ławka, więc wpakowaliśmy się w nią my młodszy. Miałam śliskie buty, dlatego Maciek z Rafałem prowadzili mnie, trzymając z obu stron mocno pod rękę. Tak też usiadłam między nimi. Obok Julki usiadła jeszcze jakaś kobieta i w ławce zrobiło się dość ciasno. Byłam nawet z tego zadowolona, gdyż właśnie złapały mnie straszne dreszcze. Wtuliłam się z przyjemnością w obu wysokich mężczyzn, dogrzewając się w ten sposób. W trakcie kazania bez przerwy walczyłam z kaszlem i ze snem. Chyba niezbyt skutecznie walczyłam, bo w pewnym momencie film mi się urwał.

Podobno teściowa chciała, żebym jej rozmieniła pieniądze na ofiarę. Odwróciła się i zobaczyła mnie wtuloną w Rafała z głową na jego ramieniu. Ona twierdzi, że miałam otwarte oczy i nie spałam. Ale to przecież w zasadzie wszystko jedno. Nie chciałam spać w kościele ani tym bardziej tulić się do Rafała. Może niewiele osób zwróciłoby na ten incydent uwagę, gdyż wydaje mi się, że większość jednak modliła się gorliwie, a nie rozglądała w poszukiwaniu sensacji, gdyby teściowa nie krzyknęła głośno:

— To skandal! Co ty robisz?!

Najgorsze, że ja nie wiedziałam, co robię. Wydawało mi się pewnie, że przewracam się w łóżku na drugi bok. Odwróciłam się od Rafała, wyciągnęłam rękę spod jego ramienia i zawisłam całkowicie na ramieniu zdziwionego Macieja, przytulając się ponoć do niego z jeszcze większą czułością niż do poprzednika. Potrząsanie teściowej i mojej mamy niewiele dało, bo odpłynęłam gdzieś daleko.

Zrobiło się zamieszanie. Ludzie szeptali, że pijana. Maciej zauważył, że jestem bardzo rozpalona. Doktor Kryszel złapał mnie za puls i zarządził odwrót z kościoła. Obaj panowie wzięli mnie pod pachy i słaniającą się wynieśli do samochodu. Na szczęście nie słyszałam komentarzy zgromadzonych na mszy wiernych, których dużą część stanowili moi uczniowie i ich rodzice. W sumie miałam szczęście, że wśród moich gości znajdował się lekarz. Przyłożył tylko słuchawkę i już wiedział, że mam zapalenie płuc.

XXVI. PÓŁDZIEWICA

Nie każda choroba, nawet z gatunku tych bardziej poważnych, jest dla nas nieszczęściem. W moim przypadku zapalenie płuc okazało się wybawieniem od gości i od nadmiaru pracy. Ja mam w ogóle wszystko pokręcone. Jeśli tylko zaczynają spełniać się moje marzenia, powinnam się bać i wyciągać ręce do nieba po jakieś plagi, dzięki którym wszystko obróci się na dobre.

Prawie dwa tygodnie leniuchowałam w łóżku pod czułą opieką Julki i Dominiki. W szkole ominęło mnie kilka zebrań i nasiadówek oraz cała latanina związana z organizacją egzaminu gimnazjalnego. Uczniowie podczas mojej nieobecności nie mieli laby. Na lekcjach zastępczych ćwiczyli do upojenia rozwiązywanie testów. Julka na moją prośbę podrzuciła dyrektorowi skserowane arkusze egzaminacyjne z ostatnich lat, aby nie było płaczu, że przez chorobę nauczycielki młodzież ma słabsze wyniki.

Na kursie beze mnie, niestety, nasza grupa wystawiła mój spektakl poetycki. Został już właściwie kompletnie przygotowany i jako reżyser nie byłam zbytnio potrzebna. Chętnie bym jednak obejrzała premierę. Ze względu na natłok imprez w domu kultury nie udało się zmienić terminu przedstawienia. Małą scenę mieliśmy zarezerwowaną już od początku roku, na miesiąc wcześniej wydrukowane zostały zaproszenia i plakaty, a dwa tygodnie przed ogłosiliśmy się w Internecie. Trudno, widać nie było mi dane oglądać na żywo, ale Paweł sfilmował co ciekawsze momenty, więc w sumie mam pojęcie, jak to wyglądało.

Grupa, mimo wcześniejszych wątpliwości, bardzo się zmobilizowała przed samym występem. Paweł nawciskał im kitów na temat przyczyn mojej choroby. Powiedział, że dostałam zapalenia płuc, bo w mroźny wielkanocny poranek jako strażaczka ochotniczka z poświęceniem gasiłam w swojej wsi pożar. Z emocji miałam nie zauważyć nawet, że stoję pod strumieniem lodowatej wody lanej z wozu bojowego. Nie sądzę, by ktokolwiek w to uwierzył, ale i tak wszyscy mi

współczuli i przestali spiskować po kątach. Świętokrzyscy górale mają to do siebie, że nie lubią, jak się ktoś wychyli z kotła, choćby o czubeczek głowy. Kiedy jednak bliźniego spotyka nieszczęście, są chętni do pomocy, a nawet do poświęceń.

Moja mama wprawdzie nie jest ze Świętokrzyskiego, ale też się dobrze spisała. Zabrała ode mnie teściową na dłużej. Po tygodniowym wspólnym pobycie w Krakowie zawiozła ją jeszcze do siebie do Warszawy. Latają teraz po teatrach i wystawach. Ostatnio były na wieczorze autorskim jakiejś pisarki, która zyskała dużą popularność dzięki zabawnym, realistycznym powieściom o życiu normalnych ludzi z prowincji. Wpadły więc na pomysł, że ja także powinnam wykorzystać panującą właśnie modę na tego typu literaturę i zacząć opisywać to, co się wokół mnie dzieje.

— Tak świetnie opowiadałaś o Marianie i jego ludziach. Gdybyś to opisała, na pewno odniosłabyś sukces — namawiała mama.

— Ja też uważam, Joanno, że masz dryg do pisania — odezwała się teściowa. — Kiedyś z przyjemnością czytaliśmy twoje reportaże. Nawet ten o smrodzie w pegeerowskim kurniku był znakomity — pokrzykiwała do słuchawki zza pleców mamy. Zapomniała już, że wówczas twierdziła, iż tym właśnie artykułem ośmieszyłam siebie i rodzinę.

— Dzięki za miłe słowa — odparłam. — Tylko nie wiem, kiedy miałabym to robić. Większe formy epickie wymagają czasu i skupienia. A o skupienie przy tym natłoku zajęć to u mnie ciężko — tłumaczyłam polechtana jednak trochę uznaniem seniorek.

— To my przyjedziemy do ciebie i pomożemy ci wszystko tak zorganizować, żebyś się nie rozpraszała — zaproponowała teściowa. — Jestem skłonna nawet przez rok nie wracać do swojego domu — dodała wspaniałomyślnie.

— Bardzo miło ze strony mamusi. Na pewno by mi mamusia pomogła, ale

na razie wolę poświęcać czas mężowi i dzieciom niż literaturze — odparłam najuprzejmiej.

— Ale ty na co dzień nie masz męża ani dzieci. Czym więc jesteś właściwie taka zajęta? — spytała teściowa obcesowo.

— Och, mam mnóstwo różnych zajęć, z których nie zamierzam rezygnować dla wątpliwej kariery pisarskiej, więc odpuście sobie — odpowiedziałam już bardziej szorstko, bo zaczynała mnie wkurzać ta bezproduktywna rozmowa.

— No widzisz, Łucjo, mówiłam ci, ona jest leniwa i pozbawiona ambicji, zupełnie jak jej ojciec — znów usłyszałam starą śpiewkę mamy i rozłączyłam się bez słowa.

Dlaczego moja mama przez tyle lat wciąż nadaje te same teksty, nie weryfikując ich prawdziwości? — zastanawiałam się. Zupełnie jakby miała je wgrane na jakimś wewnętrznym dysku. Czasem mam wrażenie, że nawet nie panuje nad włączaniem ich odtwarzania. Jest miło i przyjemnie, mama stara się być sympatyczna, aż tu nagle jakiś „guziczek” się wciska i z jej ust płyną słowa, które ranią i obrażają. Wybaczam jej, bo ją kocham, ale słuchać tego mi się nie chce. A teraz jestem jej wdzięczna, że po wielu latach wzajemnego boczenia się potrafiła doprowadzić do porozumienia z moją teściową. Jak chcę, mogę nawet spróbować pisać współczesną epopeję narodową, byle one żyły w przyjaźni i trzymały się z dala ode mnie — pomyślałam.

Cieszę się także i z tego, że za sprawą mojej choroby doszło do zadzierzgnięcia przyjaźni między Julką a Dominiką. Kiedy doktor Kryszel rozpoznał u mnie zapalenie płuc, zastanawiano się, kto powinien zostać w Zalewicach, żeby mnie pielęgnować, i Julka zaofiarowała się natychmiast. Zeszła z tatą do piwnicy i z instrukcją w ręku rozgryźli tajemnicę funkcjonowania naszego pieca. Rafał pojechał do dyżurującej apteki po lekarstwa. Teściowa z doktorem postawili mi bańki. Mama zaś co chwilę stawiała przede mną szklankę gorącej herbaty z malinami lub kubek mleka z cebulą na kaszel,

dorzucając kategoryczny nakaz: „Pij, nie marudź!”. Gdyby to potrwało jeszcze kilka dni, wykończyłby mnie nadmiar płynów.

Tylko Paweł, jako artystyczna dusza, zajmował się wyłącznie sztuką i spokojnie puszczał płyty z kolekcji Krzysia. Te bardziej rockowe dawał na cały regulator, tłumacząc reszcie towarzystwa zgorzonego jego kompletnym brakiem empatii dla chorej, że tego typu muzyka wymaga odpowiedniego nagłośnienia.

Był już środek nocy, gdy poczułam się bardziej przytomna i mogłam samodzielnie zarządzić swoją najbliższą przyszłość. Rafał musiał być rano w Krakowie, więc zaczął szykować się do drogi. Błagałam go, aby nie pozwolił na zmianę planów obu mam i nie zostawiał żadnej z nich ze mną. Owszem, ofiarowały się gotować mi rosółki i poprawiać poduszki, ale nie pojedą do sklepu ani przychodni, nie napalą w piecu, nie nakarmią psów, a tylko dokładnie zatrują mnie swoim gadaniem. Zrozumiał, a nawet zmobilizował ojca i udało im się wyciągnąć z domu obie panie. Po pierwszej w nocy wyruszyli do Krakowa żegnani moim głośnym westchnieniem ulgi.

Maciek także miał zobowiązania w stosunku do swojej redakcji i bezwzględnie powinien stawić się w pracy nie później niż w południe. Nie miał samochodu, zatem był uzależniony od Pawła. Panowie wyjechali razem wczesnym rankiem, a Julka, jak postanowiła, została przy mnie w charakterze pielęgniarki. Miała poważne argumenty. Po pierwsze, nauczyła się obsługiwać piec. Po drugie, otrzymała niedawno prawo jazdy i choć nie czuje się jeszcze zbyt pewnie za kierownicą, mogła pojechać do Swarowic i załatwić wszelkie potrzebne mi rzeczy. A po trzecie, chciała poznać Dominikę.

Ten wywód przekonał jej ojca. Nie miał żadnych obiekcji co do kilkudniowych wagarów córki.

— Jeśli Julka uważa, że da sobie radę i nie zawali nauki, to na pewno tak będzie — uspokajał mnie Maciek. — Na niej mogę polegać bardziej niż na sobie. Ta dziewczyna to mój największy skarb. Sama zobaczysz, że ona naprawdę umie

opiekować się chorymi.

Julka zrobiła zakupy, załatwiła mi wizytę lekarską, zawiozła zwolnienie do szkoły, a na koniec odważyła się jechać do Kielc na dworzec po Dominikę.

Kiedy obie roześmiane dziewczyny weszły do domu, razem dźwigając bagaże Dominiki, wiedziałam już, że będą się rozumiały jak siostry. Ani zewnętrznie, ani wewnętrznie nie są do siebie podobne, ale moje bliźniaki też nie. Julka właściwie bardziej pasowałaby na siostrę Patryka. Ma jasne, gęste włosy jak on. Dominika po Krzysiu jest szatynką. Julia zaś po swoim tacie odziedziczyła słuszny wzrost i masywną sylwetkę. Posiada całkiem pokaźne atrybuty kobiecości, czyli, jak to się mówi, ma czym oddychać i na czym usiąść. Nie znaczy to, że jest gruba czy, broń Boże, niezgrabna. Jest wysportowana i nie ma na niej grama tłuszczu. To po prostu taka blond wersją Jagienki z „Krzyżaków”. Z łupaniem orzechów pewną częścią ciała też nie miałyby pewnie problemów.

Dziewczyny od pierwszego spotkania nie mogły się nagadać. Dominika odzyskała przy Julce swoją dawną żywiołowość i energię. Znowu się śmiała głośno i dziecinnie, więc błogosławiłam moją chorobę i złotowłosą pielęgniarkę. Dominika przy nowej przyjaciółce pewnie zapomniałaby szybko o ostatnich przejściach z profesorem, gdyby nie to, że właśnie teraz przyszło z prokuratury wezwanie na przesłuchanie. zaproponowałam, że z nią pojedę, lecz stanowczo odmówiła.

— Nie jesteś jeszcze całkiem zdrowa. A poza tym wolę już sam na sam z kimś obcym o tym rozmawiać, niż znowu przy tobie opowiadać takie rzeczy — powiedziała, odwracając oczy. — Julka obiecała, że mnie odprowadzi do prokuratury i na mnie poczeka pod salą — dodała córka.

Zdumiałam się, że wtajemniczyła w tak intymne przeżycia niedawno poznaną dziewczynę, a mnie się krępuje. Ale widać miała wielką potrzebę wyrzucenia tego wszystkiego z siebie, a zwierzenie się rówieśnicy przyszło jej łatwiej.

Dziewczyny pojechały do Warszawy, a ja czekałam pod telefonem na jakieś

wieści. Wreszcie odezwał się stacjonarny, a więc Dominika dzwoniła już od babci.

— Mamo! — mówiła z płaczem. — Oni mi wmawiają, że kłamię. Henryk załatwił sobie jakieś zaświadczenie od doktora, że jest No wiesz, że nie jest w stanie... Że jest impotentem — wyartykułowała wreszcie. — To jest kłamstwo! Mówiłam, żeby dać sobie spokój z tymi zeznaniami. Wiadomo, jaki jest nasz wymiar sprawiedliwości. Prawie zrobili ze mnie oskarżoną.

— Kochanie, nie denerwuj się — zaczęłam bezsensowną radą, która w ustach innych ludzi w podobnych wypadkach doprowadza mnie do szału. — Jeśli Gawel wybroni się od seksualnych zarzutów, to jeszcze zostają narkotyki. A ty mówiłaś, że on miał opinię podrywacza, prawda? Może trzeba poszukać innych dziewczyn, które miały podobne doświadczenia. Musimy wziąć adwokata, będziesz się czuć pewniej. A może i detektywa, żeby zrobił na uczelni wywiad — rozważałam. — A swoją drogą, idź w końcu do tego ginekologa.

— Mamo, ale co ja mam zrobić z babciami, żeby się w to nie wtrącały? — spytała Dominika. — Mnie się zdaje, że coś knują. Ja w ogóle miałam nadzieję, że babcia Zalewska nie dowie się o niczym. Ale to ponad siły naszej babci, musiała się z nią podzielić tą aferą. Wydaje mi się, że babcia Zalewska robi się coraz bardziej z charakteru podobna do naszej. Teraz niby nic głośno na ten temat nie mówią, ale ja widzę po ich spojrzeniach i po tym, jak szepczą na stronie, że coś im chodzi po głowie. One mnie dręczą, żebym poddała się badaniu ginekologicznemu.

Porozmawiałam z każdą z osobna, przekonywałam, straszyłam, żeby trzymały się w tej sprawie na uboczu, bo nieopatrzne kroki mogą mieć złe konsekwencje dla Dominiki. Zapewniały, że Dominika jest przewrażliwiona, a one zdają sobie sprawę z powagi sytuacji, ale jaki to odniesie skutek, nie wiem.

Następnego dnia nowa bomba. Dzwoni telefon i obie babcie oraz wnuczka krzyczą do słuchawki, że Dominika jest dziewicą.

— Joanno, nie cieszysz się? — pyta mama oburzona moim bardzo umiarkowanym entuzjazmem.

— Cieszę się — odpowiadam niepewnie. — Ale jakie to ma znaczenie w dzisiejszych czasach?

— No, zasadnicze — mówi dobitnie teściowa. — Nasza Dominika jest czysta i niewinna, bo ma wciąż nienaruszoną błonę dziewiczą.

— Mnie się wydaje, że brak perforacji błony bębenkowej byłby istotniejszy — odpowiadam trochę przewrotnie.

— No wiesz! — słyszę w słuchawce idealny dwugłos babć.

— Nie wydaje się wam, że w tej akurat kwestii bardziej liczą się przeżycia, a nie jakaś tam błona? Mogę co najwyżej uznać, że Dominika jest półdziewicą. Ale niech będzie, że jest powód do radości. Żeby tylko nie okazało się, że w oczach sądu, jako pokrzywdzona przez Gawła, straci teraz wiarygodność. Nie ma co, trzeba jednak wynająć jakąś dobrą „papugę”, gdyż może się zdarzyć, że zrobią dziewczynie wodę z mózgu i z ofiary stanie się oskarżoną. Zaraz dzwonię do Grażyny, kogo by poleciła, bo ona ma jeszcze trochę rozeznania w świecie prawniczym.

Przy okazji upewniłam się, że Grażka fizycznie i psychicznie czuje się całkiem nieźle. Mocno udziela się w firmie Jacka i szykuje do wesela. Ma już bazę danych różnych specjalistycznych placówek i stowarzyszeń zajmujących się sprawami dzieci upośledzonych. Będzie robić wszystko, żeby jej córeczka miała możliwie najlepsze i najszcześniejsze życie oraz wykorzystała wszystkie zdolności, jakie przyniesie na świat.

Krzyś mnie pochwalił za akcję z adwokatem, a jeśli chodzi o detektywa, obiecał się zastanowić. Nawet nie wspomniał, że to pochłonie sporo kasy. Może ja się go tylko czepiam, a on nie jest skąpy, tylko rozsądny? Strasznie się za nim stęskniłam. Dobrze, że w tym tygodniu już przyjedzie do domu.

Wiosna rozkwitła późno, ale bardzo gwałtownie. Być może w chorobie

przeoczyłam kilka jej ważnych symptomów, a niewykluczone, że one z powodu pośpiechu, jaki zapanował nagle w przyrodzie, wcale nie wystąpiły. Nie obserwowałam stopniowych zmian koloru świętokrzyskiego lasu spowodowanych pojawieniem się jaśniuteńkich, pierwszych listków, a potem nowiutkich odrostów na czubeczkach jodłowych gałązek. Zieleń zaszalała gwałtownie, rozlała się wszędzie wokół jedną wielką plamą. Ptaki są już po godach, koty i psy także. Ja mam nadzieję na takowe, jak przyjedzie mąż.

Rozmawiałam niedawno z mamą Dorotki o problemach, jakie pojawiają się w związku z dojrzwaniem jej niepełnosprawnej córki. Hormony nie mają litości, buzują nawet w tak pokrzywdzonym przez los ciele. Dorotka ogląda telewizję, czyta książki (preferuje romanse), ponadto obserwuje cały nasz rozerotyżowany świat, i nic dziwnego, że sama marzy o miłości. Mama zastanawia się, czy nie powinna porozmawiać szczerze z córką, żeby nie żyła złudną nadzieją, bo nie ma szans na takie przeżycia. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale odradziłam jej zdecydowanie. Tyle szczęścia tej dziewczynki, na ile zdoła poczuć się normalnym człowiekiem, na ile chwil zapomni o swoim kalectwie.

Nie umiem nauczyć jej zbyt wiele z gramatyki, ze słabym skutkiem próbuję usystematyzować jej wiedzę o literaturze, wtłaczając ją w ramy procesu historycznoliterackiego. Teraz Dorotka chce tylko czytać poezję miłosną, więc czytamy co lepsze kąski z różnych epok. W mig pojęła, co to wers, strofa, rym i rytm. Nie mówi o tym, nie definiuje, ale tworzy, udowadniając, że ma świetne wyczucie poetyckiego rzemiosła. W swoim ostatnim wierszu pod tytułem „Marzenie” zastosowała nawet rym przeplatany. Znów łzy leciały mi nosem, gdy czytałam jej dzieło. Nie z powodu tego rymu, oczywiście.

Marzenie

Ja także marzę, że mnie ktoś kocha

I bierze lekko na ręce.

Mama się śmieje, a potem szlocha.
Ja jestem w białej sukience.
On tańczy ze mną, aż moja głowa
Sama prostuje się dumnie.
Potem mnie niesie po stromych schodach
Do pokoiku na górze.
I moje zawsze bezradne ręce
Tulą go mocno do siebie.
On mówi do mnie: „Masz piękne serce”.
Kochamy się i czuję go w swoim ciele.
Urodzę dziecko, a może dwoje,
Będę z nimi śmiać się i biegać,
Bo jego miłość mnie odczaruje,
Wystarczy tylko wierzyć i czekać.

XXVII. LIPOSUKCJA

To jest w ogóle obłąd. Ja zwariuję z sobą i z tym wszystkim. Nie doczekałam się Krzysia. Nie przyjechał w ogóle do domu, bo musiał siedzieć przy łóżku poważnie chorej mamy. Teściowa omal nie przejechała się na tamten świat przez to, że chciała być piękniejsza. Pozazdrościła mojej mamie zgrabnej figury i poszła do jednej z warszawskich klinik odessać sobie tłuszcz z brzucha. Całe życie taka rozsądna i nagle taki numer. Jej szczęście, że lekarze zaraz postawili właściwą diagnozę, bo tylko niosącym trumnę byłoby lepiej bez tego jej odessanego tłuszczu. Krzyś odebrał ją ze szpitala, odwiózł do domu na Mazury i czekał, aż wróci ojciec, który przejął teraz kontrolę nad małżonką. I tydzień przeleciał.

Teść jest bardzo skruszony. Uświadomił sobie, że mógł stracić osobę, z którą godnie i zgodnie przeżył pół wieku. Nie oszedł się z nią ostatnio zbyt elegancko, trzeba przyznać. Próbuje się teraz usprawiedliwiać, że po przejściu na całkowitą emeryturę nie był sobą. Zbyt długo pracował i wbił sobie do głowy, że tylko praca czyni człowieka wartościowym? Kiedy nagle go zwolniono, zdawało mu się, że traci grunt pod nogami. Dziadek ma straszne wyrzuty sumienia, że żona zrobiła sobie tę liposukcję dla niego. Tego akurat nie jestem taka bardzo pewna, lecz nie mam zamiaru wypowiadać się w tej sprawie.

No i co, czy los mnie nie prowokuje? Naprawdę myślałam o mężu, a zadzwonił Rafał. Kusił, że będzie w piątek wieczorem jechał z Krakowa do Warszawy, a potem zaraz w sobotę wracał, więc może chciałabym się z nim zabrać, odwiedzić w stolicy mamę albo siostrę. Miałam nawet wielką ochotę zobaczyć się z Zytą, która znów jedzie do Nowego Jorku, ale bałam się sama siebie. Tyle czasu sam na sam z pięknym Rafałem w jego wyklepanym już na cacy równie pięknym aucie to zbyt niebezpieczna próba dla niewyżytej ryczącej czterdziestki.

Nie mogę sobie pozwolić na żaden poważny błąd życiowy, bo moje życie,

jako matki kandydata na ołtarze, może być kiedyś badane przez grono kościelnych ekspertów. Żartuję oczywiście i Krzyś pewnie zgromiłby mnie za takie niestosowne żarty z poważnych spraw. W sumie chodzi o to, że dowiedzieliśmy się od teścia o bardzo szlachetnym postępku naszego syna. Patryk nikomu z nas się nie pochwalił, że w Paryżu, gdzie w święta umówił się z dziadkiem, spotkał przypadkiem również swoją cioteczną siostrę Wiktorię. Ledwie ją poznał, taka była zabiedzona i sponiewierana przez życie.

Z tego, co mówił teść, wynikało, że chyba ktoś ją prześladował z powodu zobowiązań finansowych. Niezupełnie to było jasne dla naszego dziadka, ale podejrzewał, że Wiktoria, żeby spłacić dług, pracowała jako prostytutka. Od Patryka nadal nie sposób nic wyciągnąć na jej temat. Otóż nasz syn spłacił dług Wiktorii i jeszcze się zapożyczył na bilet dla niej do Stanów. Zrobił to wszystko, gdyż przysięgła mu, że pojedzie do Zatoniów i ureguluje sprawę Pawelka tak, żeby nie skrzywdzić dziecka. Patryk sugerował jej, żeby zrzekła się praw rodzicielskich. Wiktoria płakała i zapewniała, iż po wszystkim, co przeżyła, chce się zmienić. Zrozumiała podobno, jaką krzywdę wyrządziła rodzicom, i dlatego uważa, że powinna wrócić z dzieckiem do domu, bo oni by tego sobie życzyli.

Patryk nie bardzo wierzył w tę gwałtowną przemianę. Powiedział, żeby najpierw udowodniła sobie i innym, że potrafi pracować i wytrwać w jakimś postanowieniu. Głupotą i niegodziwością byłoby zabrać dzieciaka z nieukończoną kuracją i zwalić się rodzicom na głowę. Niech Wiktoria spróbuje zrobić coś dobrego całkiem bezinteresownie dla innych dzieci i sprawdzi, czy stać ją w ogóle na poświęcenie. Jej syn znalazł kogoś, kto go pokochał, ale jest dużo innych dzieci, które nie miały takiego szczęścia, więc ona może im pomóc. Działalność w ramach jakiejś organizacji będzie bezpieczniejsza, na wypadek gdyby Wiktorii nie starczyło samozaparcia, bo wówczas zastąpią ją po prostu inni ludzie. A pojawienie się w życiu dziecka nieznaney dotąd matki i jej zniknięcie po jakimś czasie mogłoby wywołać w sercu malucha nieodwracalne szkody.

Słuchałam tej opowieści i duma mnie rozpierała, że mam takiego mądrego i dobrego syna. Kiedy on tak dojrzał? Wyjechał z domu jako marnotrawny, a gdy powróci, trzeba będzie zabić utuczone ciele — myślałam wesoło. Może szkoda, że zrezygnował z tego seminarium? Byłby z niego świetny kaznodzieja. Z drugiej strony, poleciał w świat za spódniczką noszoną na krągłych i ponętnych biodrach Eweliny, więc może lepiej, że nie będzie musiał mierzyć się z celibatem — mocowałam się z problemami teologicznymi i życiowymi. W końcu, żeby nie popaść w zbyt ni zachwyty i optymizm, stwierdziłam, że Patrykowi łatwiej prawić morały innym, niż samemu się do nich stosować, bo to mój nieodrodny syneczek.

Tak czy owak postąpił szlachetnie i mądrze, ale forszę diabli wzięli. Ciekawe, jak długo będzie musiał pracować na nieswoje długi i kiedy do nas wreszcie zawita? Czas najwyższy, żeby pomyślał o własnej przyszłości, bo tylko patrzeć, jak rozpocznie się rekrutacja na studia. Dominika i Julka zameldowały, że są gotowe do egzaminu dojrzałości. Dziewczyny cieszą się, że będą prawdopodobnie razem studiować. Na wszelki wypadek składają papiery nie tylko w Warszawie, ale i w Łodzi. Jestem dobrej myśli, bo kto miałby się dostać, jak nie takie zdolne dwa kujony.

Szlachetny postępek Patryka zrobił także duże wrażenie na jego siostrze, ale jeszcze większe na Julce. Długo oglądała w naszym komputerze jego zdjęcia oraz ostatnie filmiki z występów cyrkowych i wzdychała.

— To niesamowite, jaki on jest elastyczny, a jaki zręczny — mówiła z zachwytem. — Ja od dziecka jeżdżę na koniu, ale nigdy bym nie stanęła na jego grzbiecie, a on jeszcze takie skoki. O matko! I salto w tył. Nie mogę na to patrzeć, bo mi się ręce ze zdenerwowania pocą, że mu się coś stanie.

— Nie ekscytuj się tak, on jest zakochany — śmiała się Dominika. — Wprawdzie nie ma szans przy jakimś zarobionym Niemcu, ale skoro nie wraca do domu, pewnie liczy na to, że Ewelina któregoś dnia go wezwie. Chociaż...

wiesz? Pokaż no się. Pasujecie do siebie. Tylko musisz wiedzieć, że mój brat fizycznie ma znakomite poczucie równowagi, ale psychicznie to niespecjalnie.

Wiosna, wiosna i wiosenne osłabienie daje mi się we znaki. Powinnam teraz dużo chodzić z psami na spacer, ruszać się, żeby poprawić kondycję, a tu czasu na wszystko mało. Pogorzelnisko zagrody Kitów porasta już trawą, a ja nie mam kiedy spotkać się z Danusią i pogadać o wszystkim. Rozmawiałyśmy zaraz po pogrzebie jej męża. Nawiasem mówiąc, została obciążona kosztami pochówku człowieka, który chciał ją spopielić, bo miała nadal z mężem wspólną majątkową. Trochę jej pomogłam w zorganizowaniu sobie życia w jej własnym domu z dziećmi Andrzeja. Kiedy tam weszłam, nie mogłam poznać tego wychuchanego przez nią niegdyś wnętrza. Jej mąż w bardzo krótkim czasie zamienił je w śmierdzącą pijacką melinę. Co cenniejsze sprzęty zniknęły. Nie było telewizora, komputera i wieży, a lodówka i pralka nosiły na sobie ślady jakiejś wściekłej agresji i w ogóle nie działały.

— Zobacz, on musiał chyba rąbać to siekierą — powiedziała Danusia oglądając znajome sprzęty. — Znęcał się nad rzeczami, których ja najczęściej używałam, czy co? Mnie pewnie też chętnie potraktowałyby siekierą.

— Nie myśl już o nim. Mówiłaś, że mu przebaczyłaś, więc tego się trzymaj — powiedziałam. — Zachowałaś się pięknie, wyprawiając mu przyzwoity pogrzeb, a teraz myślimy o dalszym życiu. Ja mam starą lodówkę w piwnicy, którą mogę ci dać. Jest trochę odrapana, ale chłodzi i mrozi bez zarzutu. Oklejmy ją z wierzchu i na razie może być.

— Dzięki. Trzeba by sprawdzić, czy pralka z domu Andrzeja przypadkiem nie ocalała. W łazience nie było dużo zniszczeń. Jest osmolona, ale może działa. Muszę ją przywieźć tutaj, bo tam na razie nie ma prądu.

Danusia już planowała bieżące sprawy, a to był najlepszy znak, że spadające na nią raz za razem nieszczęścia nie były w stanie jej złamać. Teraz zresztą nie mogła sobie pozwolić na żadne słabości, bo cztery pary zalęknionych oczu

wpatrywały się w nią i szukały w niej siły, która zapewni im bezpieczeństwo. Zwłaszcza maluchy nie odstępowały jej na krok. Tuliły się do jej rozłożystych bioder jak kurczęta do kwoki.

W przeszukaniu, uporządkowaniu pogorzelniska i zabezpieczeniu tego, co jeszcze mogło się przydać, oraz w przewiezieniu nadających się do użytku rzeczy dużo pomógł Mietek, który zmobilizował do pracy w wolnym czasie również innych strażaków. Zaorali oni i obsiali Andrzejowe pola, żeby nie stracił dopłat z Unii. Wszyscy mieliśmy też nadzieję, że w tej sytuacji adwokat zdoła uzyskać dla Kity zawieszenie albo nawet skrócenie odbywania kary.

Odpuściłam sobie znów zajęcia na kursie, licząc po cichu, że jakby co, to przy zaliczeniu wykorzystam znajomość z kierownikiem. W weekendy pracowałam do upadłego ze Swarowiakami, dopracowując każdy szczegół przedstawienia. Zbliżał się bowiem termin Ogólnopolskiego Przeglądu Zespołów Artystycznych Straży Pożarnej w Paczkowie i wszyscy czuliśmy wielką treść, a jednocześnie mieliśmy ogromny apetyt na jakieś trofeum.

Wieczorami często wpadał do mnie Pablo, który teraz praktycznie wszystkie soboty i niedziele spędzał w Zalewicach. Zabierałam go do remizy, żeby udzielił nam jeszcze swoich cennych reżyserskich rad. Szczególnie dużo uwagi poświęcał Harpeciowi, bo ten grał jak drewno. Mietek i Boczkowska podpuszczali Pawła, żeby jechał z nami i wystąpił w roli wójta. Wtedy Harpeć strasznie się denerwował i grał trochę lepiej. Poniewierali mną, jako panią Niusią, straszliwie. Paweł po sto razy pokazywał Harpeciowi, jak ma się do mnie dobierać.

— Słuchaj, daj mu już spokój, bo on tego lepiej nie wykona, a ja mam dość znoszenia waszych uścisków i miętolenia — powiedziałam wreszcie, gdy wracaliśmy po próbie do domu.

— Nie przesadzaj, nie takie rzeczy aktorki muszą robić dla dobra sztuki — zlekceważył moje pretensje. — Poza tym niejedna chciałaby być na twoim miejscu i móc się ze mną ścisnąć. — Rzucił to niby żartem, ale czułam, że ten

wstrętny zarozumialec myśli tak naprawdę.

— Trzymaj za nas kciuki, bo to już za tydzień — powiedziałam. — Większość z moich aktorów jest obyta ze sceną i publicznością. Najwięksi tremiarze w tym gronie to ja i Harpeć. Mamy w sumie ważne role, więc jak się rozsypujemy, możemy położyć całą sztukę.

— Przywieźć ci coś na rozluźnienie? — zapytał Paweł z dziwnym uśmiechem.

— Dzięki, oni tam szykują dla mnie miódówkę. Dostanę, jak poprzednio, jednego głębszego przed wyjściem na scenę. Ale dla Harpecia trzeba by z pół litra, żeby coś poczuł, tylko że wtedy efekt mógłby nie być taki, jakiego byśmy oczekiwali — zaśmiałam się.

— E, takie prymitywne metody. — Paweł machnął lekceważąco ręką. — Jakbyś się namyśliła, to zadzwoń.

Miałam tyle spraw do obmyślenia, że momentami bałam się, że mi głowa popęka w szwach. Może dlatego nie zareagowałam na jego propozycję tak, jak należało. Potraktowałam ją żartobliwie.

— Jesteśmy tylko amatorami, więc wystarczą tradycyjne rozluźniacze. Chociaż to mogłoby być ciekawe doświadczenie, zobaczyć mój zespół na haju, zwłaszcza nasze seniorki — zarechotałam, nie przypuszczając nawet, że to się wkrótce może ziścić.

W szkole musiałam wcześniej odpracować piątek i poniedziałek, żeby mieć wolne na wyjazd do Paczkowa. Przegląd odbywał się w sobotę i niedzielę, ale dwa dni trzeba było zarezerwować na drogę. Co za pech, że akurat jak Krzyś w końcu przyjedzie normalnie do domu, to ja z niego wyjeżdżam — myślałam. Postanowiłam naszykować mu dużo dobrych rzeczy do jedzenia, aby czuł, że jest mi przykro, iż tyle dni nam wypadnie z jego krótkiego pobytu. Zorganizowanie mu w sobotę przywózki z lotniska też nie było łatwe. W sumie wyszło na to, że doktor Kryszel, który już unika prowadzenia samochodu, z moją mamą odbiorą

Krzysia z Okęcia i przywiozą do domu.

Mnóstwo czasu zeszło naszemu zespołowi na pakowaniu dekoracji i kostiumów. Autokar był mały i zdezelowany. Bez finansowego wsparcia gminy nie stać nas było na lepszy. Jego właściciel, również strażak z sąsiedniej gminy, zgodził się policzyć nam tylko za paliwo. Na szczęście wójt nie widział naszej sztuki, bo pewnie nie tylko nie dałby nam ani grosza, ale jeszcze poprzebijał opony w autokarze, gdyby usłyszał, jakie to sprawy powyciągał Harpeć, a ja je wstawiłam do scenariusza.

XXVIII. NOC POŚLUBNA

Dwa weekendy pod rząd balowałam. Czuję się teraz lekka jak piórko, młoda, radosna i pełna energii. Sukces sceniczny, śmiech, taniec, a na koniec dobry seks to była prawdziwa bomba szczęścia, której od dawna potrzebowałam. Uczniowie pytają, co mi się stało, że nie sposób mnie wyprowadzić z równowagi. Uczennice szepczą po kątach, że się chyba zakochałam. A jedna z koleżanek, przyjrząwszy mi się dokładnie, zawołała:

— Aśka nas nabujała, że wyjeżdża gdzieś na występy ze strażakami, a tymczasem była pewnie w Warszawie na botoksie. Inaczej wyglądasz. Przyznaj się.

— Przyniosę ci jutro dyplom z Paczkowa, jak nie wierzysz — powiedziałam rozbawiona i mile połączana.

Z Paczkowa przywieźliśmy pierwszą nagrodę w kategorii kabaretów, a szczególnie wychwalany był scenariusz. Udzieliłam dwóch wywiadów, dla miejscowej prasy i opolskiej telewizji. Już nabrałam trochę obycia ze sceną i z mediami, nie stresuję się tak strasznie. Ale przed występem na wszelki wypadek znów wychyliłam kieliszek miódówki. W ogóle to dobrze, że takie wyjazdy nie zdarzają się częściej, bo niechybnie wylądowałabym na odwyku. Pierwszy raz w życiu piłam wódkę już do śniadania i piwo na kaca.

Autokar podjechał pod mój dom o szóstej rano. Chociaż wstałam godzinę wcześniej, to tak się grzebałam, że oczywiście nie zjadłam śniadania. Ledwie ruszyliśmy, wyciągnęłam suchą bułkę i jogurt, bo tylko tyle zdążyłam schwycić z lodówki, wybiegając w pośpiechu z domu. Nagle za mną rozległy się gromkie śmiechy. Z zapchanymi bułą ustami rozejrzałam się zdziwiona, co zabawnego może być w tak skromnej konsumpcji.

— O takim jedzeniu to daleko pani nie zajedzie — krzyknęła Boczkowska, tocząc się do mnie wzdłuż autokaru z ogromnym koszem, z którego rozniosła się

smakowita woń. — Specjalnie na tę okazję zabili my świnie. To nasze wyroby, musi pani skosztować. My tak zawsze jeździmy ze swoim prowiantem. Proszę. — Ułamałam sobie kawałeczek kielbasy, tyle co na spróbowanie, a Boczkowska znówu w śmiech. — Dajta pani ten plastikowy talerz i nałóżta wszystkiego po trochu — zarządziła. — Takiej pasztetówki i salcesonu, jak mój, nigdzie pani nie zje. Ja na handel nie robię, tylko dla siebie. Mietek, dej no jeszcze pani Niusi chleba! — zawołała. — Staszowska w nocy piekła, jeszcze ciepły, na zakwasie, taki jak nasze matki i babki robiły. On się nie zeschnie i przez tydzień albo dłużej.

Mietek odwinął z białego płótna ogromny bochen i odkroił solidnych rozmiarów pajdę. Chwyciłam ją łapczywie, bo zapach i wygląd popękanej i oprószonej mąką skórki przypomniiał mi czasy, gdy jeszcze w dzieciństwie jeździłam z babcią na wieś na letniska. Podano mi jednorazowy talerz z ogromną porcją masarskich wyrobów. Nigdy takie wędliny nie wydawały mi się zbyt atrakcyjne, ale cóż, nie wypadało powiedzieć, że na myśl o kaszance robi mi się niedobrze. Spróbowałam najpierw salcesonu, miał wyborny smak. Nieśmiało dzióbnęłam kaszanke, też była znakomita. Fura jedzenia na moim talerzu już nie wydawała mi się zbyt duża.

Za Mietkiem, który obdzielał wszystkich po kolei chlebem, szedł Harpeć i polewał z wielkiej butli wódkę z miodu i soku z cytryny na spirytusie. Nie było szansy odmówić. Przechyliłam sporych rozmiarów kieliszek, z którego piło już przede mną z pięć osób. Alkohol wszystko zdezynfekuje — pomyślałam sobie na pocieszenie i łyknęłam. Apetyt mi się jeszcze zaostrzył.

Harpeć z butlą obleciał dwa lub trzy razy cały autokar, a w tym czasie stopniał pierwszy bochen chleba w rękach Mietka. W autobusie zrobiło się gwarno i wesoło. Boczkowska zapakowała resztki wyrobów podrobowych do turystycznej lodówki, a kielbasę powiesiła z tyłu samochodu i okryła gazą.

— Dobrze uwędzona, nie zepsuje się. Żeby tylko muchy się tu nie dostały.

A jak obeschnie, będzie jeszcze lepsza — wyjaśniła. — Józiu, pośpiewamy troszkę, weź no akordeon! — zawołała do naszego smętnego grajka i, nie czekając na akompaniament, sama zaintonowała niskim, trochę zachrypniętym, ale mocnym głosem: — Ach Kieleckie, jakżeś cudne! Gdzie jest taki drugi kraj?
...

Reszta natychmiast podchwyciła i popłynęło z dwudziestu niemłodych już gardeł, w kilku przypadkach ździebko przepitych oraz przepalonych, ale jakże szczerych i serdecznych, to śpiewne wyznanie miłości do naszej małej ojczyzny. Wzruszyłam się, aż łzy zakręciły mi się w oczach. Po alkoholu łatwiej dopadają mnie patriotyczne wzruszenia, to chyba taka typowo polska skaza. Ale swoją drogą, jakie to dziwne, że w tylu miejscach na ziemi szukałam swojego domu, zanosło mnie nawet do Afryki, a właśnie w Górach Świętokrzyskich, w sumie całkiem niedaleko od Warszawy, znalazłam tę atmosferę, te krajobrazy i ludzi, dzięki którym poczułam się nareszcie u siebie.

Potem śpiewaliśmy stare piosenki ludowe, które w większości poznałam już w drodze do Opatowa. Harpeć wyciągał flaszkę jeszcze ze dwa razy, aż wreszcie przyszedł czas na pikantne przyśpiewki. Myślałam, że znam już cały ich repertuar, ale okazało się, iż Boczkowska, Mietek i Jasio skrzypek układają je na poczekaniu. Inni też mieli ambicję im dorównać, więc co chwilę ktoś dorywał się do mikrofonu i wyśpiewywał coś nowego, a cała reszta włączała się w powtórkach lub refrenach. Śmiechu przy tym było co niemiara. Bałam się, że wszyscy zachrypną do jutra i będą problemy z występem.

— Pani się nie martwi, przepijemy miódóweczką i będzie dobrze. Miód z cytryną przegryzie każdą zarazę — uspokajał Mietek.

W drodze było bardzo wesoło, a wieczorem na kempingu, gdzie nas zakwaterowano, jeszcze lepiej. Znów powróciły do konsumpcji wyroby wędliniarskie. Podrobowe się skończyły, więc Boczkowska wyciągnęła teraz takie bardziej wyrafinowane, jak: szynki, balerony, boczki i polędwice. Chociaż

gospodarze przeglądu podjęli nas wcześniej kolacją, to i tak każdy z apetytem pałaszował te smakowite wędzonki, zupełnie nie trapiąc się ilością pochłanianych na noc kalorii. Miodówka też miała powodzenie, wciąż, nie wiadomo skąd, pojawiały się nowe, pełne butelki.

Z pewnym lękiem przyglądałam się osobom powyżej siedemdziesiątki, czy aby nie skoczy im ciśnienie lub serduszek nie zacznie szwankować, ale gdzież tam. Przed północą, kiedy ja już padałam ze zmęczenia, towarzystwo nagle ruszyło w tany. Jakoś tak się złożyło, że przy różnych figurach i wygłupach przemieszaliśmy się i po pewnym czasie kobiety podobierały się w pary z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami i bawiliśmy się w najlepsze. Podworowaliśmy więc sobie także z tego, jacy to jesteśmy nowocześni i tolerancyjni.

O wpół do drugiej wstąpił we mnie duch rozsądku i zaczęłam rozganiać moich podopiecznych do łóżek. Staszковского trzeba było zanieść do domku, gdzie czekała nań żona. Zdyscyplinowany staruszek na hasło „spać” jak stał, tak zwałił się na łóżko Mietka. Balangę urządzaliśmy bowiem w największym domku, w którym zakwaterowanych było pięciu samotnych mężczyzn, do których Mietek właśnie się zaliczał. Ktoś tam zaproponował, żeby Staszковского nie ruszać, a Mietek niech idzie na zastępstwo do jego żony. Mietek, zgodny chłopina, poszedł do prawie osiemdziesięcioletniej pani Anieli, która wcale nie obraziła się za takie żarty. Wyszła z domku, zaśmiewając się do rozpuku, i krzyknęła:

— Oddajta mi mojego chłopca, bo Mietek po prawdzie młodszy i jeszcze pewno sprawny, ale mi się nie podoba.

— Pani Anielo, a to czemu? — obruszył się Mietek. — Ja wdowiec i jeszcze chłopak, że ho, ho. Niektóre tu mogą zaświadczyć — reklamował się. — Niech pani popatrzy, jaki jestem przystojny — błysnął w mroku swoimi bielutkimi kłami.

— Z tyłu, faktycznie, niczego sobie, aleś strasznie czorny i z gęby do diabła podobny. Jakbym się tak w nocy obudziła i spojrzała, mogłoby mi się wydawać, że już umarła i w piekle jestem — śmiała się Staszewska, a my wszyscy razem z nią. Cóż było robić, czterech trzeźwiejszych chłopaków zaniósł jej męża do właściwego łóżka.

Następnego ranka nie było wesoło. Mietek przed śniadaniem częstował wszystkich piwem. Odmówiłam i poszłam kupić wodę mineralną. Po zimnej nocy i zimnej wodzie dostałam dreszczy i bólu brzucha. Czułam się potwornie. Chciało mi się wyć z powodu własnej głupoty. Tyle pracy, a teraz przez kaca położymy występ. Jeśli ja ledwie żyję, to co tu mówić o osobach starszych ode mnie o dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat? Nasz występ miał być wprowadzić dopiero o dziewiętnastej, ale już o dwunastej należało stawić się na rynku, aby uczestniczyć w uroczystej inauguracji imprezy. Ja nie dam rady — pojękiwałam sobie w duchu. Przyjrzałam się krzątającym się rażno wokół mnie babkom. Wszystkie były w dobrym stanie, a przecież wczoraj wcale się nie oszczędzały. Inna generacja — pomyślałam z zazdrością.

— Pani Boczkowska, nie ma pani kaca? — spytałam najenergiczniejszą z nich, która piła prawie równo z facetami.

— Kaca? Po miodówce? Nikt nigdy nie ma kaca po miodówce — odparła, wzruszając ramionami. — To coś innego musiało pani zaszkodzić — stwierdziła z niezachwianą pewnością.

Niestety miałam gigantycznego kaca, który widocznie był karą za brak wiary w wyjątkowe właściwości miodówki, bo przecież nie mogła mi zaszkodzić zakąska wyprodukowana przez samą Boczkowską.

— Proszę słuchać starego praktyka i napić się piwa. — Mietek dziś był jeszcze czarniejszy niż wczoraj i jak szatan podchodził do mnie z butelką czeskiego piwa i kusił, kusił, aż skusił.

Poczułam dużą ulgę. Wirowanie w głowie i mdłości ustąpiły. Zrobiłam się

okropnie głodna. Znowu dostałam solidną, pachnącą porcję wędzonych wyrobów i pajdę chleba. Mam dietę jak pies, ciągle tylko mięso i mięso — pomyślałam i zaraz zweryfikowałam to zdanie. Psy są rozsądniejsze, bo nie piją alkoholu. Dobrze, że Krzyś mnie nie widzi. Myśl o mężu i ostatnie łyki piwa postawiły mnie zupełnie do pionu. Zarządziłam szybką próbę tekstową na świeżym powietrzu. Słońce zaczęło już przyjemnie przypiekać, a od gór powiewał delikatny ożywczy wietrzyk, który powinien nam wszystkim pomóc w odzyskaniu sił.

Na inaugurację postanowiliśmy wszyscy ubrać się w nasze regionalne stroje, które przywieźliśmy ze sobą właśnie na taką okazję. Mężczyźni założyli zielone, szerokie, samodziałowe spodnie wpuszczane w wysokie buty z cholewami. Na białych koszulach mieli również zielone, długie kamizele, pod szyją czerwone krajki, a na głowach kaszkiety z czarnym daszkiem i czerwonym pomponikiem. Świętokrzyski strój kobiety to czerwono-czarne, pasiaste spódnice i zapaski, białe bluzki, czerwone korale i różnobarwne chustki w kwiaty. Na nogach miałyśmy czarne, sznurowane trzewiki do połowy łydki, w których zgrabne nogi wydają się jeszcze zgrabniejsze, a te gorsze, wcale nie takie złe. Zaplotłam sobie warkocz i wypuściłam go z boku spod chabrowej chusteczki w czerwono-zielone kwiaty.

— Wygląda pani jak Jagna z „Chłopów” — powiedział, podchodząc do mnie, Harpeć. Chciał się zapewne pochwalić znajomością lektury.

— Jagna miała strój łowicki, bardziej kolorowy, wełniak, serdaczek z cekinami i nawet nie połowę moich lat — odparłam.

— Ale pewnie nie była piękniejsza od pani — podlizywał się. — Ja przez tę pani urodę taki jestem onieśmielony i nie umiem tak pani brać na scenie, jak mi ten pan reżyser kazał.

— Niech pan sobie tak bardzo nie bierze do serca jego rad. W filmie jest trochę inaczej niż na scenie, tam można sobie na więcej pozwolić — powiedziałam przerażona, że jak się za bardzo wczuje w rolę, to naprawdę zechce

mnie „wziąć jak swoją” na oczach widzów.

Mietkowi coś odbiło i zamiast zielonego ubrania założył sutannę, w której wieczorem miał występować grający księdza policjant Władzio.

— Pochodzę se tak trochę po rynku, co? Zobaczę, jak to jest — powiedział dziecinnie. — Kiedyś chciałem zostać księdzem, żeby śpiewać przed ołtarzem, ale potem mi się uczyć nie chciało.

— Ja bym była zakonnica, żeby nie ten figiel pod spódnicą — zaśpiewała Boczkowska, biorąc Mietka pod boki.

Znów się zaczęły śmiechy i wygłupy. Bałam się, że za chwilę ktoś sięgnie po alkohol i wszystko zacznie się od początku. Nie dość, że nie pójdziemy na inaugurację, to jeszcze nie będziemy w stanie wieczorem grać.

— Proszę o spokój i powagę! — zawołałam srogo. — Gorzej z wami jak z gimnazjalistami. Idziemy już do rynku, żeby zająć sobie dobre miejsca. A pan, panie Mietku, niech lepiej zdejmie tę sutannę, bo jeszcze ją pan gdzieś poplamie albo rozedrze i ksiądz proboszcz mi głowę urwie.

Ruszyliśmy wolno, a Mietek miał się przebrać i do nas dołączyć. Stary koń, a zachował się gorzej niż dzieciak. Nie przebrał się, tylko w sutannie i w czarnym kapeluszu jakąś inną drogą poleciał do rynku. Gdy my, siedząc na przygotowanych przed sceną krzesłach, słuchaliśmy powitalnych przemówień władz miasteczka i przedstawicieli Komendy Głównej Straży Pożarnej, on kupił sobie kolejne piwo i usiadł po przeciwnej stronie rynku na kamiennych schodkach pod kościołem. Potem tłumaczył, że nie spojrzał nawet, gdzie siada, bo przecież nie piłby piwa w takim miejscu. Trunek go trochę rozleniwił, więc naciągnął mocno na oczy księżowski kapelusz z dużym rondem i ukrył twarz w dłoniach, żeby nie widać było, że drzemie.

Tymczasem z bocznej uliczki wyszła starsza, pobożna kobieta, która śpieszyła do kościoła, gdyż z jakiegoś powodu poczuła gwałtowną potrzebę spowiedzi. Nie wiadomo, co sobie pomyślała, gdy zobaczyła siedzącego tak na schodach

świątyni księdza. Może wydawało jej się, że niczym do córki marnotrawnej wyszedł on jej naprzeciw i pogrążony w modlitwie czeka na jej wyznanie grzechów. A może, że zmarł po prostu w zimnym kościele i zwyczajnie cieszy się słońcem. Tego już się nie dowiemy. W każdym razie kobiecina podeszła do Mietka, dotknęła delikatnie jego ramienia i uprzejmym szeptem spytała:

— Niech będzie pochwalony, czy mógłby mnie ksiądz wyspowiadać, bo...?

Nie dokończyła, gdyż słowa uwięzły jej w gardle, a strach zjeżył włosy na głowie. Ksiądz odjął od twarzy dziwnie spracowane i jakby niedomyte dłonie, a jej oczom ukazała się jego nabrzmiała twarz, okolona czarnym, aż niebieskawym, dwudniowym zarostem, o cerze tak śniadej, że mógłby uchodzić za mulata. Spod runda kapelusza łypnęły na nią wielkie, czarne ślepie z przekrwionymi białkami. Zaniepokoił ją także widok haczykowatego nosa, dokładnie takiego samego, jaki posiadał Mefistofeles w balladzie Mickiewicza pod tytułem „Pani Twardowska”. Nie wiem oczywiście, czy kobiecina знаła w ogóle ową balladę. Mietek, który ma duży dystans do siebie, pewnie ubarwiał trochę swoją opowieść. Kobieta stała jak wryta przez chwilę i przeżegnała się kilkakrotnie, ale kiedy Mietek otworzył swe sinawe usta i w serdecznym uśmiechu ukazał dwa bielutkie kły, nie zdzierzyła.

— Diabeł! — krzyknęła. — Szatan! — Jej głos usłyszeliśmy wszyscy, cały tłum przybyłych na przegląd artystów amatorów z różnych zakątków Polski. — Ludzie, ratujcie się! Koniec świata blisko! Diabeł pod kościołem! — darła się wniebogłosy i ruszyła z powrotem w swoją zaciszną uliczkę ścigana jeszcze przez diabelski rechot ubawionego psikusiem Mietka i ponury brzęk tłukącej się butelki, która wymsknąwszy się spod sutanny fałszywego księdza, spadała po kamiennych stopniach.

Wieczorem wszyscy byliśmy już w znakomitej formie, przedstawienie poszło nam fenomenalnie. Harpeć grał jak sam Di Caprio, a Mietek był wywoływany na scenę chyba z dziesięć razy. Głównie za sprawą wcześniejszej draki stał się teraz

prawdziwą gwiazdą imprezy. Odebraliśmy dyplom, nagrodę i pochwały. Po występach jakiś przystojny, z medalami na piersi, oficer straży pożarnej, który prowadził całą imprezę, zapraszał mnie i innych opiekunów grup na bankiet z władzami miasteczka. Nie poszłam, bo nie byłam w stanie już imprezować. Zresztą nie chciałam, żeby potem po gminie krążyły jakieś plotki. Ledwie żywa, ale niezmiernie szczęśliwa, zostałam odprowadzona przez moich aktorów do domku i jak dziecko położona spać.

— Niech pani wypocznie na jutro, na defiladę, a my jeszcze trochę tak cichutko pośpiewamy i potańcujemy u Mietka, znaczy się, w piekle — powiedziała żartobliwie niezmordowana siedemdziesięcioletnia Aniela Staszewska. — A nie mówiłam, że Mietek do diabła podobny — dodała z satysfakcją.

Następnego dnia triumfy święciła nasza kapela. Zajęli drugie miejsce, ale konkurencja w kategorii zespołów muzycznych była dużo większa. Pierwszą nagrodę dostała żeńska orkiestra dęta z Podlasia. Baby jak kopy, wszystkie strażaczki, grały i śpiewały z niezwykłym temperamentem. Chcieliśmy nawet swatać ich liderkę z naszym Józiem, ale ten nie wykrzesał z siebie nawet odrobiny entuzjazmu i kobietka stwierdziła, że do niej taki mruk nie pasuje.

Z Paczkowa wróciłam do domu zmęczona fizycznie, ale cudownie zrelaksowana. Opowiadałam Krzysiówi, jak się bawiliśmy, cenzurując niektóre fragmenty, ale i tak był raczej zgorszony i nie mógł zrozumieć mojego zachwytu nad prostym, ludowym poczuciem humoru.

— Dla mnie to za prymitywne, żebym się dobrze bawił — powiedział z wyższością, a ja jakbym w tym momencie usłyszała jego mamę. Jednak czym skorupka za młodu nasiąknie i tak dalej... — pomyślałam sobie. Już zawczasu bałam się, że na weselu u Grażyny, które miało być mocno folkowe, też będzie siedział drętwy. Na szczęście moje przewidywania nie sprawdziły się.

Wesele Grażyny było, jakby to uczenie nazwać, dychotomiczne. Zamiast

jednego wielkiego namiotu, ustawiono naprzeciw siebie, ale w dość znacznej odległości, dwa mniejsze. W jednym panował folklor muzyczny i gastronomiczny, czyli kapela, swojskie wyroby, bigosy, rosoły, schabowe, a nawet bimber. W drugim zaś królowały bardziej eleganckie klimaty — dyskretna muzyka z płyt, catering z któregoś z renomowanych hoteli i wyszukane trunki. Można było swobodnie zmieniać miejsce, bo nikt nie był przypisany do żadnego namiotu ani stolika, więc już po godzinie widać było, że ludowy namiot cieszy się dużo większym powodzeniem. Kusząco pachnące potrawy przyrządzone przez miejscowe kucharki smakowały doskonale i miały jeszcze jedną podstawową zaletę: każdy wiedział, czego się po nich spodziewać i jak się do nich zabrać. Do połyskujących glazurą półmisek i wyszukanych dań ludzie podchodzi z pewną obawą. Bywało, że ktoś z ciekawości nałożył sobie ostryg, a potem chyłkiem zsuwał je z talerza do kosza.

Wytańczyłam się na tym weselu za wszystkie czasy i to w obu namiotach. Krzyś był zachwycony doborem nagrań serwowanym przez didżeja i miał ambicję pokazać, jaki jest dobry w tańcu towarzyskim. Najłatwiej było mu to zaprezentować z własną małżonką, bo po tylu latach jesteśmy doskonale zgrani. Eksploatował mnie więc bez litości, nie uwzględniając faktu, iż tupałam i podskakiwałam również na drugim parkiecie przy wtórze ludowych oberków i poleczek. Wąsaci wujkowie Jacka stali do mnie w kolejce. Niektórzy z powodu wieku nie za bardzo mogli płaszać, ale przytupywali i obracali mnie z zachwytem.

Było już po północy i po oczepinach, kiedy Grażka roześmiana i szczęśliwa weszła do elitarnego namiotu, aby trochę odpocząć. Przysiadła się do stolika, przy którym Krzyś, porzucony chwilowo przeze mnie, rozmawiał z ładną, długonogą dziewczyną. Była to koleżanka Grażyny z czasów korporacji. Podążyłam za panną młodą i zajęłam miejsce naprzeciw Krzysia. Koleżanka Grażki z bliska nie była aż tak ładna ani taka dziewczęcą, ale nadal długonoga, co mocno zaakcentowała, zakładając sukienkę ukazującą co jakiś czas koronkowy

sznurek jej stringów.

— Pani Marzena była zainteresowana moją pracą w Anglii i tak sobie właśnie rozmawiamy — powiedział Krzyś, jakby chciał się wytłumaczyć z doboru towarzyski.

— Tak, chciałam podpytać o warunki w angielskich szpitalach — podchwyciła Marzenka. — Mam taki drobny zabieg do wykonania i właściwie mogłabym to zrobić w Londynie, gdzie mieszka moja siostra. Ale chyba pojedę do Berlina, zawsze to dużo bliżej.

— Jesteś chora? Nie widać, świetnie wyglądasz, jak zwykle zresztą — Grażka uśmiechnęła się do niej uprzejmie.

— Chorobą bym tego nie nazwała, ale nie mówmy o mnie. Ja cię, Grażyna, podziwiam, że zdecydowałaś się w tym wieku na takie szaleństwo jak ciąża. Ciąża z jednej strony odmładza, ale tak w ogóle to ryzyko. Nie, nie, nie wyobrażam sobie siebie w zaawansowanej ciąży, chociaż jestem sporo młodsza. — Marzena, która na pewno nie była młodsza od Grażyny, przy tych słowach schwyciła się za szyję, jakby chciała sprawdzić, czy sparzona niedawno laserem skóra jeszcze się nie wyciągnęła i nie pomarszczyła.

— Ja się zdecydowałam na dziecko, a nie na ciążę — poprawiła ją poważnie Grażyna, a ja wymieniłam z Krzysiem porozumiewawcze spojrzenia.

— No pewnie, pewnie, że na dziecko. Gratuluję, że w ogóle ci się udało. Ale tak normalnie czy in vitro?

— Po badaniach lekarz powiedział, że wystarczy niewielka stymulacja, to znaczy mnie, bo Jacek nie miał żadnych problemów, więc nie było wskazań do in vitro — dumnie wyjaśniła Grażka.

— Naprawdę masz szczęście, że będziesz miała zdrowe dziecko w tak późnym wieku. Przecież po czterdziestce to często...

— Chciałaś powiedzieć, dzieci z downem. Moje dziecko właśnie będzie miało zespół Downa. — Grażyna spokojnie patrzyła w oczy swojej

rozmówczyni.

— Jak to?! — zachnęła się Marzena. — Nie zrobiłaś na czas badań prenatalnych?

— Zrobiłam i dlatego wiem — padła odpowiedź.

— No i co, nic z tym nie zrobiłaś? — Marzena była wzburzona.

— To ty nie wiesz, że nie da się tego wyleczyć? — Grażka wyraźnie pokpiwała z koleżanki, wiedząc doskonale, że zaimek „to” odnosi się do dziecka, a nie jego niesprawności.

— No nie wygłupiaj się, nie będziesz przecież chować downa? — Oczy Marzeny wyszły prawie z orbit, a wyciągnięta do przodu szyja jednak trochę się zmarszczyła.

— Będę wychowywać dziecko z zespołem Downa. To przecież też dziecko i trzeba je wychować i kochać, jakby było piękniejsze i zdolniejsze od innych, bo właśnie ono potrzebuje więcej miłości. — Grażyna, mówiąc to, głaskała swój wyeksponowany krojem sukienki zgrabny brzusek, jakby przeproszała małą istotkę za koleżankę.

— A pan jako lekarz nie uważa, że takie ciężce powinno się usuwać? — Marzena sądziła, że Krzyś, który już tyle świata widział i pracuje w Wielkiej Brytanii, powinien być zwolennikiem zabijania „nieudanych” płodów, ale się poważnie zawiodła.

Przy stoliku rozgorzała zażarta dyskusja. Żadne z nas nie popiera eugeniki i wymienialiśmy mnóstwo argumentów, ale Marzeny nie przekonaliśmy. Biegała potem zbulwersowana od stolika do stolika po elitarnym namiocie, przekazując dawnym znajomym Grażyny niesamowitą wieść o jej dziecku, jakby było ukrywającym się w jej brzuchu kosmitą, a nie obdarzonym dodatkowym chromosomem człowiekiem.

— Zwariowała pod wpływem tych wsioków. Po prostu żenada, ciemnogród — usłyszałam potem, jak Marzena mówi do swego partnera. — Hoduje

nieszczęśliwą istotę, zamiast w humanitarny sposób pozbyć się tego balastu. Obciąża społeczeństwo, które i tak będzie miało pełno niedołączonych staruszków na utrzymaniu.

— Dziwię się, że Grażyna w ogóle zapraszała tych ludzi. Przecież znała ich i wiedziała, jak myślą — powiedział do mnie Krzyś, kiedy już po zabawie jechaliśmy na nocleg do jej domu. Grażyna zdecydowała bowiem, że ona i Jacek ze względu na jutrzejsze poprawiny zostaną u teściów, a my będziemy mieli bliżej na lotnisko w Pyrzowicach, skąd tym razem Krzyś odlatywał.

— A ja ją trochę rozumiem — powiedziałam, gdy Krzyś zatrzymał samochód na małym placyku przed garażem. — Chciała się pochwalić swoim udanym życiem. Zobacz, czy chociaż jedna osoba z tych jej dawnych znajomych ma normalną rodzinę? A Grażyna ma fajnego, młodego męża, dom, firmę i... No, dziecka to jej na pewno nie zazdroszczą. Ale kto z nich tak w ogóle myśli o dzieciach? — Grzebałam gorączkowo w torebce, szukając dołączonej do pęku kluczy kartki z kodem, który należało wklepać zaraz po otwarciu drzwi. Krzyś się już niecierpliwił, bo było bardzo późno.

— Daj szybciej tę kartkę — poganiał. Wyciągałam z przepaścistej torby coraz to nową karteluszkę, ale to wciąż były spisy zakupów, których chyba od miesiąca nie wyrzucałam z bocznej kieszonki. — Ale masz bałagan w tej torbie — narzekał mój ślubny pedant. — Ja bym tak nie mógł. Tyle lat staram się wytłumaczyć ci, jak porządek ułatwia życie, a ty jesteś niepoprawna — zrzędził.

Dzięki ostatniemu słowu nagle doznałam olśnienia.

— Ty masz tę karteczkę w butonierce! — krzyknęłam. — Poprawiałam ci kołnierzyk i wsunęłam ci ją do butonierki.

Otwarcie drzwi i unieszkodliwienie alarmu poszło nam sprawnie. Okazało się, że Krzyś był taki nerwowy, bo miał straszne parcie na pęcherz. Od razu pobiegł do łazienki, a ja pomyślałam: Czyżby mojemu miłemu odzywała się już prostata? Nie miałam zamiaru myśleć dłużej o tak nieprzyjemnych oznakach

nadchodzącej jesieni życia, gdy tylko weszłam do sypialni i zapaliłam światło. Moim oczom ukazał się pokój cudownie przygotowany dla małżonków na noc poślubną. Łoże zasłane było płatkami róż, jedwabna pościel kusiała lekkością i świeżością, a w nozdrza uderzał miły orientalny zapach. Na stoliku połyskiwał srebrny kubełek z lodem i szampanem. Natychmiast zadzwoniłam do Grażki, mając nadzieję, że może jeszcze nie zdążyła się położyć.

— Grażyna, ty wiesz, jak wygląda wasza sypialnia?

— Włamanie było?! — zapytała przestraszona.

— Nie. Jest romantycznie i upajająco. Jeśli to nie twoja robota, to Jacek naszykował łóżnice na przeżywanie małżeńskich rozkoszy. My nie możemy włączyć do tak przygotowanego łóżka. Czy ta kanapa w salonie się rozkłada? A gdzie masz zapasową pościel?

— Nie przesadzaj. Jacek tak co drugi dzień dekoruje. Korzystajcie normalnie ze wszystkiego, a on niech mi da trochę wytchnienia chociaż po weselu — powiedziała Grażyna i wyłączyła się.

„On co drugi dzień tak...” — brzmiało mi w uszach, a w sercu odezwała się taka malutka, zupełnie minimalna nutka zazdrości. Kiedy więc mój mąż wyszedł wreszcie z łazienki, trochę się zmieszał, bo ujrzał mnie nagą wśród płatków róż, na jedwabnej pościeli w kolorze burgunda, w blasku świec i w dymie podniecającego kadzidelka.

— Asia, to nie dla nas. Daj spokój, nie jesteś zmęczona? — bąkał, ale jednocześnie rozpinał piżamę.

— Otwórz z łaski swojej szampana — powiedziałam, chwytając z tacy kryształowy kielich. — Czy wiesz, że to u nich ponoć standard? Grażka mówi, że Jacek tak przygotowuje sypialnię co drugi dzień.

— Skoro musi się wspomagać takimi fetyszami, to niech szykuje — odparł lekceważąco mój mąż i podał mi szampana. — A ty to nie za dużo przypadkiem pijesz ostatnio? — gderał jeszcze, lecz jego dłonie już sunęły po moich udach,

a oddech stawał się coraz szybszy i gorętszy.

Jemu nie są potrzebne fetysze i wspomagacze, a mnie by się może czasem przydały. Ale tylko wyjątkowi faceci myślą o takich rzeczach — pyskowałam wewnątrz. Zapanowałam na szczęście nad językiem, bo Krzyś by się zaraz obraził i znów nie wykorzystalibyśmy ostatniej wspólnej nocy. Ja ci pokażę, że warto czasem zainwestować w nastrój żony — odgrażałam się gniewnie. Po chwili gniew mój zaczął się jednak kanalizować i rozplýwać w dymie kadzidełka oraz Krzysiowych ramionach. Jeśli sąsiedzi ze stojących dość blisko siebie ekskluzywnych domków zostali gwałtownie zbudzeni przed świtem zbyt głośnymi, erotycznymi okrzykami, to i tak wszystko poszło na konto nocy poślubnej Grażyny i Jacka. O takie rzeczy nikt nie powinien robić im wyrzutów.

XXIX. POWROTY

Czekałam z utęsknieniem na wiosnę, a tu po nadprogramowo długiej zimie mamy od razu lato w pełni. Wszystko się przez to w przyrodzie pomieszało i popsuło. Niektóre rośliny zagapiły się i wcale chyba nie zakwitły, a inne skróciły swój coroczny popis do minimum. A ja tak lubię patrzeć, jak rankiem otwierają się na słońce wielokolorowe krokusy w trawie, i na żonkile żółciutkie jak wielkanocne kurczaczki, zaglądać do kielichów tulipanów i wąchać pachnące narcyzy. Nie zaobserwowałam w ogóle kwitnienia magnolii i forsycji. Pewnie zastrajkowały. Bez szalał, ale tylko kilka dni i przypieczony zbyt mocnym słońcem szerniał szybko. Teraz kwitną już róże, lecz nie wyglądają najlepiej po kwietniowych mrozach. Ptaków też pewnie będzie mniej, bo zakładały gniazda i składały jaja w polarnych prawie warunkach. Człowiek chce ingerować w największe tajniki kosmosu, a nie potrafi dać sobie rady z pogodą na Ziemi.

Matury przypadły na czas okropnych upałów, ale u nas w domu nie było tak gorąco, jak za pierwszym razem. Dominika zdała swoje rozszerzone przedmioty śpiewająco. Julka też była zadowolona, można zatem mieć nadzieję, że panienki będą razem studiować. Teraz obie najchętniej przesiadują u nas na wsi. Maj i czerwiec są miesiącami istnego wysypu festiwali filmowych, polskich i zagranicznych, w związku z tym Maciej będzie cały czas w rozjazdach. Prosił, żebym wzięła pod swoje skrzydła osamotnioną Julkę. A Julce w to graj, bo uwielbia wieś. Dominika także niechętnie jeździ do Warszawy, gdyż woli nie spotykać nikogo ze znajomych z akademii. Coś przebąkiwała, że wolałaby studiować w Łodzi. Namawia do tego także Julkę. Mają nadzieję w ten sposób oddalić się nieco od rodziny i usamodzielnąć. Planują wynająć wspólnie pokój.

Krzyś oczywiście uważa, że to fanaberie panienek i że nie ma powodu płacić za mieszkanie w Łodzi, jak jedna ma babcię w stolicy, a druga tam po prostu mieszka. Ale ja nie jestem przeciwna temu pomysłowi. Julka wzbudza moje

zaufanie. Dominka więcej zyska, mieszkając pod jednym dachem z poważnie myślącą, samodzielną i ukształtowaną już psychicznie młodą osobą, która może stanowić wzór do naśladowania, niż z rozchwianą emocjonalnie staruszką po przejściach.

Jula ma nadzieję, że jej wyprowadzka z domu ułatwi ojcu prowadzenie normalnego życia dorosłego mężczyzny, do którego ma on prawo. Dziewczyna zrozumiała, że ojciec poświęcił się, wychowując ją samotnie po wypadku matki. W wieku trzydziestu kilku lat zrezygnował ze spotkań z kobietami, o które córka była strasznie zazdrosna. Sam raczej od dawna nie wierzył w poprawę stanu pogrążonej w śpiączce żony, ale nie chciał gasić tej nadziei w córce. Pojawienie się u jego boku nowej kobiety dla Julki oznaczałoby, że przekreślił już szanse na wyzdrowienie żony. Julia wie, że ojciec będzie otaczał matkę opieką do końca, jednak rozumie też, że byłoby mu łatwiej żyć, gdyby wspierała go jakaś kochająca kobieta, zwłaszcza gdy córka założy już własną rodzinę.

Jula o miłości rozprawia chętnie i z powagą, ale twierdzi, że dotąd nie była jeszcze zakochana. Wciąż poszukuje odpowiedniego chłopaka i raczej niełatwo będzie jej znaleźć drugiego takiego jak jej własny ojciec, bo właśnie on jest jej ideałem.

— Nie chcę się śpieszyć i przeżywać rozczarowań. Powinnam dojrzeć, żeby wiedzieć, czego naprawdę chcę. To głupie po omacku, jak w zabawie w ciuciubabkę, czyli metodą prób i błędów, szukać szczęścia. Mogę spokojnie czekać, mam czas — stwierdziła któregoś dnia, gdy Dominika planowała poznać ją ze swoją byłą sympatią, Tomkiem.

Tomek boczył się jakiś czas na Dominikę za historię z Damianem, a teraz znów nawiązał z nią kontakt. Od roku studiuje ekonomię w Londynie, ale usycha z tęsknoty za krajem i chce wrócić na kolejny rok do Polski.

— Przekonamy go, że łódzka ekonomia jest najlepsza i może nawet z nami zamieszkać — snuła intrygę Dominika. — Tomek ma same zalety, ale ja nie

czuję do niego chemii. Ty mu się na pewno spodobasz.

— Podobam się wielu chłopakom, ale jak z nimi zaczynam serio rozmawiać o moich zajęciach w hospicjum, o podejściu do życia i obowiązkach, szybko się zniechęcają. Uważają, że ja jestem smutna i nudna, a tak przecież nie jest.

To prawda, Julka jest pełna radości, promienieje wręcz pogodą ducha. Patrząc na nią z podziwem, jak wesoło potrafi bawić się z maluchami Andrzeja. Danusia bowiem, gdy uda jej się złapać jakąś dorywczą pracę, podrzuca je czasem moim próżnującym teraz dziewczynom. Dominika owszem, zajmuje się nimi, ale raczej jest to rodzaj kontroli. Zorganizuje im bezpieczne zajęcia i od czasu do czasu sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Julka zaś oddaje zabawie z dziećmi całą swoją duszę i ciało. Nosi je na barana, z poświęceniem gra w piłkę, zaprzęga się do wyimaginowanego wozu, udając jasnogrzywego konia, i tarza się z nimi po trawie. Wraca potem z podwórka nie mniej brudna i głodna jak one.

Dominika rzadziej niż Julka rozmawia ze mną, bawi się z dziećmi i z psami, ma także mniej czasu na zajęcia domowe, gdyż robi teraz kurs prawa jazdy, a poza tym znów musiała jeździć do prokuratury i składać zeznania. Podobno poprzednie zagięły. To się po prostu w głowie nie mieści, żeby dziewczyna musiała kolejny raz przeżywać to wszystko i mówić o rzeczach, o których wolałaby zapomnieć. Ciekawa jestem, czy ktoś się bardzo postarał, żeby zagięły obciążające wpływowego profesora zeznania, czy też naprawdę mają taki bajzel w instytucji, która działa za nasze pieniądze z podatków. Dwie inne studentki, które początkowo udało się namówić do zeznań, teraz się wycofały. Powiedziały, że nie mają zamiaru narażać się na kpiny i dwuznaczne uwagi wątpliwych stróżów sprawiedliwości, w którą w tym wydaniu w ogóle nie wierzą.

Akta Gawła zgięły, żeby wyeliminować zarzut podawania dziewczynom narkotyków. Podobno wyniki analizy laboratoryjnej wskazały, że w domu profesora znaleziono tylko leki uspokajające, a domniemana marihuana okazała się drogim kubańskim tytoniem. Dziewczyny mijają się z prawdą w sprawie

stosunków seksualnych, więc równie dobrze mogły ulec sugestii, że palą narkotyk, gdy w rzeczywistości kurzyły kubańską machorkę. Można by się śmiać z tych ustaleń, gdyby to wszystko nie było takie smutne.

Nasz adwokat, młody ambitny człowiek, starał się dotrzeć do policjantów, którzy przeszukiwali pracownię Gawła. Oni doskonale wiedzieli, co tam znaleźli. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności jeden z nich wyjechał z kraju na misję zagraniczną, a drugi nie pracuje już w policji i nie chciał rozmawiać o sprawach, które prowadził. Denerwowaliśmy się wszyscy, a najbardziej moja mama. Przecież oprócz seksualno-narkotykowych zarzutów było jeszcze fałszerstwo. Nikt jej nie wzywał na zeznania, więc sama postanowiła się domagać wyjaśnień. Chodziła i pytała, na jakim etapie jest śledztwo. Zbywano ją, że sprawa jest skomplikowana i trzeba powołać biegłych, ale nie jest łatwo o specjalistów w tej dziedzinie, więc trzeba spokojnie czekać i takie tam.

W końcu któregoś pięknego dnia poinformowano nas, że profesor wyjechał gdzieś w nieznanym kierunku. Nie zabrano mu nawet paszportu. Dominika odetchnęła z ulgą. Mama natomiast obiecała, że kupi sobie pistolet i jeśli kiedykolwiek spotka na swojej drodze tę kreaturę Gawła, strzeli mu bezlitośnie w łeb. Ponieważ są bardzo małe szanse na zrealizowanie tego scenariusza, uważam, że sprawę Henia sierotki mamy definitywnie z głowy. Co ciekawsze, wraz z uciekinierem z depozytu policyjnego zniknęły też obrazy mojego ojca sygnowane podpisem Henryka Gawła.

Wymiar sprawiedliwości okazał się również dość opieszwały w sprawie Andrzeja Kity. Adwokat dwoił się i troił, żeby zaraz po pożarze zawieszono więźniowi odbywanie kary, ale upały chyba spowolniły obieg dokumentów i Kita wciąż siedział w celi, podczas gdy już nie tylko zielona trawa, ale krzaki zaczęły pokrywać zgliszcza jego domostwa. Wreszcie któregoś dnia, gdy późnym popołudniem przechodziłam z psami obok pogorzelniska, zauważyłam, że ktoś się tam kręci. Podeszłam bliżej i rozpoznałam Andrzeja. Łzy spływały mu

po umorusanej sadzą twarzy.

— Pan Bóg jednak ma dla mnie trochę litości. Jak to dobrze, że nie było tu wtedy moich dzieci ani Danusi — powiedział ze ściśniętym gardłem. — Mogli wszyscy zginąć, bo nad ranem najmocniej się śpi. Nie wiem, czym ja się niebu wypłacę za tę łaskę. — Znów łzy popłynęły mu po twarzy.

— Widział się pan już z dziećmi i Danusią? — zapytałam.

— Nie, nie mam odwagi tam pójść — odparł. — Dzieciaki to co innego, ale jakże ja bym mógł zamieszkać pod dachem Nowaka. Ja rozumiem przecież, co mu zrobiłem. Stracił przeze mnie syna. Danusia mnie wybrała, bo on jej nie szanował. Ale z Damianem to była moja wina. Rozumiem ból ojcowski, miał prawo się mścić. Bóg mi dał więcej szczęścia, żyję ja i moje dzieci. Nie, nie pójdę tam, bo ludzie będą gadać. Tutaj się jakoś urządzą. Teraz ciepło, a do jesieni już wyszykuję chociaż część domu.

— To nie jest dobry pomysł — powiedziałam. — Dzieci za panem tęsknią i potrzebują ojca na co dzień. Danusi też będzie różniej z panem. Wezmę samochód i podwiozę pana, jeśli pan chce.

— Nie, dziękuję. Zadzwońię do Danusi. Zobaczą, co ona powie. Jak zechce, to po mnie przyjedzie, a jak nie, to chociaż coś tu przywiezie, żebym miał na czym spać, czym się przykryć.

— Głowa do góry. Najgorsze już za panem. Odbuduje się pan szybko. Ludzie pomogą — starałam się wlać otuchę w serce człowieka, którego jeszcze niedawno sama uważałam za skończonego. — Będzie dobrze. Szymek tak świetnie się uczy. Może startować do najlepszych liceów. A Danusia dla maluchów przedszkole załatwia, bo od pierwszego pracę w sklepie dostała — starałam się go zasypać dobrymi informacjami o rodzinie, żeby wzbudzić w nim otuchę. — Niech pan dzwoni szybko. Zobaczy pan, ile dzisiaj w domu będzie radości.

Zostawiłam Kitę na pogorzeliisku i wróciłam do siebie. Zastanawiałam się,

czy sama nie powinnam zadzwonić do Danusi, bo Andrzejowi znów jakieś dziwne pomysły mogą przyjść do głowy. Po chwili jednak dostałam od Danki esemesa: „Hura! Andrzej wrócił”.

Jak się zaczęły powroty, to na dobre. Już następnego dnia, w przepiękny czerwcowy wieczór przeżyłyśmy z dziewczynami bardzo miłą niespodziankę. Żadne znaki na niebie i ziemi tego nie zapowiedziały, ani telefony, ani nawet Skype, więc się nie przygotowałyśmy. Pół dnia nie było nas w domu, a potem jadąc z Kielc, kupiłyśmy przy drodze kilka koszyczków słodkich, drobniotkich truskawek, żeby zrobić przetwory. Zagoniłam Julkę i Dominikę do obierania ich z szypulek, a ja myłam słoiki i wyparzałam je w piekarniku. W kuchni panowała duchota i bałagan nie do opisania.

— Takie drobne — marudziła Dominika.

— Te małe są smaczniejsze. Ciesz się, że nasze, a nie chińskie — strofowałam ją. — Myślałam, że po tych mrozach nie będzie w tym roku w ogóle truskawek.

Żał mi było siedzieć w piękny wieczór w dusznej kuchni, więc wymyśliłam smażenie konfitury na grillu. Wyciągnęłam z garażu okrągły grill i na ruszcie postawiłam starą ciężką mosiężną patelnię pani Józi. To był genialny pomysł, nic się nie chlapało i nie brudziło w kuchni. Przyjemnie sobie gwarzyłam z dziewczynami i podjadałam im spod ręki obrane truskawki, mieszając od czasu do czasu gęstniejącą, słodką, ciemnoczerwoną paćkę. Cudowny zapach rozchodził się po całym podwórku, gdy nagle usłyszałam warkot samochodu. Tak pracował diesel naszej corsy — pomyślałam. Czyżby...? Nie zdążyłam skończyć tej myśli, bo Dominika już podskakiwała jak piłka, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Patol! Patol! Braciszku, wróciłeś?! Hurra! Mamo, mamó, Patryk wrócił!

Patryk wysiadł z auta i pomachał do nas wesoło. Żeby dostać się na werandę na skrót z pominięciem furtki, przesadził metalowe kute ogrodzenie, wykonując karkołomne salto. Jęknęłyśmy wszystkie trzy z zachwytu i przerażenia, bo na

szczytce ogrodzenia sterczały przecież niebezpieczne, ostre szpikulce. A nasz cyrkowiec uśmiechnął się zadowolony i tylko lekko się zachwiał, przyjął dzielnie na klatę jednoczesny skok stęsknionych za nim berneńczyków. Wytarł ich lśniące, miłe futra i wkroczył na werandę, gdzie wpadł prosto w moje otwarte ramiona. Następnie wyściskał się z siostrą i stanął przed Julią. Domyślał się, z kim ma do czynienia, bo przecież ja i Dominika kontaktowałyśmy się z nim często i opowiadałyśmy, co się u nas dzieje. Widać jednak rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Minę miał taką, jakby zobaczył anioła ze wszystkimi atrybutami świętości zstępującego z nieba.

— Halo, bracie! Zawiesiłeś się? To jest prawdziwa osoba, a nie zjawa! — krzyknęła, śmiejąc się, Dominika.

— A te włosy też są prawdziwe? — zapytał. Przez dłuższą chwilę trzymał w swojej ręce dłoń Julki, a następnie uniósł ją do ust i nabożnie wręcz ucałował. Dziewczyna spiekła pięknego raka i nie odezwała się nic, tylko podała mu pszeniczny warkocz, aby mógł się przekonać, że to nie żadna przypinka.

— Aleś, bracie, się zrobił szarmancki, zupełnie jak narzeczony babci — Dominika pokpiwała z zachowania brata.

— Tata też zawsze całuje kobiety w rękę i mnie się to podoba — bronił się Patolek nadal zapatrzony w wysoką, dorodną Julię, która speszona pochyliła się nad patelnią i przemieszała zapomniane przeze mnie konfitury.

Trzeba było przerwać produkcję przetworów i zająć się chłopakiem, który przejechał dziś kawał Europy. W kilka minut na stole pojawiło się wszystko, co tylko dobrego miałam w domu, i zaczęły się rozmowy. Oglądaliśmy jeszcze raz filmy i zdjęcia, które nam przysyłał, tylko teraz już z jego ciekawymi komentarzami. Julkę interesowały konie, Dominikę wieści o Ewelinie, a mnie sprawa Wiktorii i dlatego Patryk tak zniechęca wrócił.

— Nie cieszysz się, że wróciłem? — zapytał przewrotnie. — Załapałem trochę szybkiej i łatwej kasy i doszedłem do wniosku, że starczy. Chciałem

jeszcze zdążyć przed zakończeniem rekrutacji na studia. Przecież nie zamierzam być całe życie cyrkowcem.

— Ostatnia informacja jest bardzo pozytywna, ale ta pierwsza niepokojąca — powiedziałam. — Wyjaśnij, co znaczy: „Załapałem trochę szybkiej i łatwej kasy”.

— Mama już zaczyna ze swoimi hitchcockami. Pewnie wyobrażasz sobie, że obrobił bank? — Dominika wyśmiewała mnie, przytulając się jednocześnie sympatycznie do mojego ramienia.

— Uspokój się, smarkulo, bo ja pytam zupełnie poważnie — skarciłam ją, ale odpowiedziałam równie ciepłym gestem, przygarniając ją do siebie.

— A teraz uwaga! — Patryk wstał i wyciągnął z plecaczka okazałych rozmiarów książkę zawiniętą w folię. — Sprzedałem zdjęcia do albumu o sztuce cyrkowej. A oto już gotowy produkt.

Rzuciłyśmy się oglądać, ale światło na werandzie nie było wystarczająco dobre, więc złapałam album i pobiegłam z nim do domu. Usiadłyśmy wszystkie trzy przy dużym stole w kuchni i z nabożeństwem przewracałyśmy grube, gładkie strony. Patryk stał nad nami i z zadowoleniem udzielał objaśnień. Zdjęcia były po prostu rewelacyjne. W moich oczach nobilitowały sztukę cyrkową, do której od dziecka byłam uprzedzona. Chłopak ma po prostu talent, którego nie powinien zmarnować — myślałam.

— Za późno wróciłeś. Przecież rekrutacja na uczelnie artystyczne zaczyna się wcześniej, nie pamiętasz? W tym roku jest już pozamiatane — powiedziała Dominika.

— A kto ci powiedział, że ja się tam wybieram? — prychnął z lekceważeniem Patryk. — Dostyc już artystycznych przygód w naszej rodzinie. Mówiłem, że chcę hodować konie i nic się w tej sprawie nie zmieniło. Zamierzam studiować rolnictwo. A zdjęcia będę robił nadal dla przyjemności.

— Rolnictwo? Oszalałeś? — dziwiła się Dominika. — My mamy tylko dwa hektary. Tyle to na ogrodnictwo nawet za mało.

— Ale zobacz, ile wokół nas jest nieuprawianych pól. Mam pomysł, jak połączyć hodowlę z agroturystyką i rehabilitacją — roztałcał swoje wizje Patryk.

— Nie chcę cię martwić, lecz Andrzej Kita już w Boże Narodzenie snuł takie plany — powiedziała.

— To może byś się zajął samą rehabilitacją. Moglibyśmy studiować na jednej uczelni — odezwała się nagle Julka i znów jej policzki oblał rumieniec.

— Superpomysł — podchwyciła Dominika. — A rolnictwo zostaw Kicie. Możesz mu co najwyżej pomóc teraz przy koniach.

— No właśnie, à propos Kity, jak tam z tym jego gospodarstwem? Wypuścili go wreszcie? Przydam mu się? Jutro muszę obejrzeć to jego pogorzelsko.

Następnego dnia Patryk wstał bardzo wczesnym rankiem i pobiegł do spalonej zagrody. Zastał na miejscu jej właściciela, który znów chodził tam i z powrotem, przenosząc różne rzeczy. Przysiadł co chwilę, wzdychał, a nawet popłakiwał. Widać było, że nie radzi sobie z emocjami i nie potrafi się otrząsnąć, a przecież tak niedawno jeszcze miał głowę pełną pomysłów. Kiedy zobaczył Patryka, niby się ucieszył, ale nie przywitał się z nim zbyt serdecznie i starał się nie zbliżyć do niego zanadto. Mówił podejrzanie dużo i szybko. W pewnym momencie schylił się, a z kieszeni kurtki wypadła mu na kamienie butelka piwa i rozbiła się z brzękiem.

— O kurwa! — zaklął. — No, nie patrz tak na mnie. Jedno piwo, chce mi się pić przy tym upale.

— Panie Andrzeju, ja wiem, że panu jest ciężko. Każdy by się na pana miejscu upił — zaczął Patryk. — Ale pan nie może. Jedno czy pół to nieważne. Jeśli czuje pan, że nie da rady, jedziemy od razu do Morawicy na oddział. Ja jestem za młody, żeby panu prawić morały, ale niech pan szuka pomocy. Teraz ma pan tylko spalone budynki, a za chwilę spieprzy pan wszystko.

Po tych słowach, jak opowiadał Patryk, Kita rozplakał się jak dziecko i przytulił mocno do Patolka.

— Dziękuję. Ty jesteś dobry chłopak. Przychodziłeś nam pomagać, gdy wszyscy mną gardzili. Teraz też mnie pilnuj i zabierz to piwo, co tam w środku schowałem. Ja już nie będę, przyrzekam.

Patryk zabrał go do nas do domu na kawę, potem pojechali razem do urzędu gminy i banku, żeby się zorientować, na jaką pomoc i pożyczkę może liczyć pogorzelec, a następnie usiedli na werandzie i robili wspólne plany.

— Konie, tak, konie. Ja nawet mam u kuzyna Bzymkowej parę huculów. Miałem podobne pomysły, co ty — mówił Kita. — Ale tych pieniędzy, co teraz dostanę, nie starczy na odbudowę domu. A gdzie garaże, stajnie? Sprzętu żadnego nie mam. Nie dam rady.

— Da pan, tylko nie sam — wtrąciła się Julka. — Ja wiem, że na Jana zawsze tu u was nad stawem są występy, zrobimy przy okazji zbiórkę pieniędzy. A wujek Paweł z moim tatą też coś załatwiają w Warszawie. Jakąś imprezę na większą skalę. Trochę się to przeciągnęło, bo zapomnieli, że trzeba mieć pozwolenie na publiczną zbiórkę pieniędzy, ale na pewno się świetnie uda.

Kita wzruszał się, nabierał nadziei i znów popadał w zwątpienie, a Julka z Patrykiem w tym czasie spoglądali sobie coraz śmiej i głębiej w oczy. Potem razem poszli na pogorzelisko i pracowali z Kitą, żeby wyszykować zagrodę dla koni i jak najszybciej sprowadzić je z powrotem od Bzymka. Załatwili z Piotrowską, że w istniejącej w Internecie ofercie jej gospodarstwa turystycznego dopiszą także jazdę konną i zwiedzanie okolicy bryczką. Patryk natychmiast zajmie się odpowiednim ułożeniem koni, o których nie wiadomo nawet było, czy kiedykolwiek były używane pod wierzch.

Wieczorem znów Andrzej Kita mazał się jak baba, ale już się wcale tych łez nie wstydził. Po pracy u Pawła zawitała bowiem na jego pogorzelisko ekipa Mariana i zwiozła ze sobą całą masę materiałów budowlanych.

— Chłopy, skąd to? Ale ja nie mam jeszcze żadnych pieniędzy! — wołał, patrząc, jak wynoszą wory cementu i układają suporeks.

— Jacek przysłał od firmy. Nie martw się, jak będziesz miał, to zapłacisz. — Marian klepał Kitę po plecach swoim wielkim, mocnym łapskiem, aż dźwięczało. — A może odpracujesz, bo u nas teraz ful roboty. Najlepiej umówita się z szefową osobiście. A teraz jeszcze jedna wiadomość: w każdą niedzielę pracujemy u ciebie za darmo wszyscy i możemy brać firmowy sprzęt. Pan Bóg nam odpuści, że dzień święty pogwałcimy.

Ciężko się zaczynała ta wiosna, ale kończyła wyjątkowo radośnie. Otaczali mnie ludzie pełni nadziei na lepsze, tryskający energią, radością i życzliwością. Moje oczy najbardziej cieszył teraz widok Patryka i Julki, którzy stali się nierozłączni. Dominika najpierw trochę była zazdrosna i się wyzłośliwiała, ale potem przyłączyła się do nich i wszyscy troje spędzali czas przy koniach, czyszcząc je, karmiąc i trenując pod siodło.

Krzysiowi także, kiedy przyjechał, udzieliła się ta dobra aura. Z lubością siedział na werandzie, puszczał muzykę oraz zachwycił się naszym ogrodem i krajobrazem. Córunia, korzystając z dobrego humoru tatusia, tak nim zakreśliła, że zgodził się na studiowanie w Łodzi i nawet obiecał, że poprosi swojego przyjaciela Lońka, by rozejrzał się za jakimś ładnym i niedrogim lokum dla dziewczyn. Miło było też patrzeć, jak zmienił się jego stosunek do Patryka. Był dumny z jego fotograficznych osiągnięć i zadowolony, że chłopak nie buduje na tym jednym sukcesie swoich planów na przyszłość. Syn zaimponował mu także tym, co zrobił dla Wiktorii. Tata z synem chodzili razem do koni i Krzyś podglądał, jak je Patryk „zaklina”. Właśnie po powrocie ze stajni Krzyś zapytał Patryka:

— Czy jesteś pewien tego swojego pomysłu ze studiowaniem rolnictwa? Przecież wy będziecie z Andrzejem Kitą, któremu teraz pomagasz, konkurować w przyszłości o tych samych klientów. Nie można się tu u nas spodziewać gwałtownego napływu turystów, więc zastanów się poważnie.

— Myślałem już o tym i przedyskutowałem wszystko z Julką —

odpowiedział Patryk. — Będę studiować fizjoterapię. Ona też, jak planowała, wybierze specjalizację z rehabilitacji. Razem będziemy stanowili niezły tandem. A konie Kity bardzo mogą nam się przydać. Posłałem moje dokumenty na Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Jeśli starczy mi punktów, to będę razem z dziewczynami, a jeśli nie, to mam jeszcze opcję awaryjną. Licencjat zrobię na płatnej uczelni, też w Łodzi, a na magisterskie przeniosę się już na uniwersytet. Tylko czy, w razie czego, dasz mi kasę na takie studia? To, co dostałem za zdjęcia, już się rozeszło. Część poszła na dług za bilet Wiki, a resztę dałem panu Andrzejowi. Mama powiedziała, że samochód mogę jej odpracować. Postaram się jakoś dorabiać, ale nie wiem, czy zdołam zapewnić sobie regularne dochody. Przrzekam, że pierwszy raz w życiu będę zakuwał jak szalony. — Patryk podniósł w górę dwa palce, jak do przysięgi.

— Już ja tego dopilnuję. — Julka uśmiechnęła się zalotnie do Krzysia i mój mąż stopniał natychmiast.

— Jasne, synu, masz moje zapewnienie. Pod taką kuratelą to ty jeszcze doktorat napiszesz — zaśmiał się Krzyś szczerze.

Wszystko się układa, dzieci dojrzewają. My niestety przejrzywamy, ale to pryszcz. Gdyby tylko mój mąż mógł zarabiać na miejscu tyle samo pieniędzy co w Anglii, bylibyśmy dużo bardziej szczęśliwi. A tu wydatki nam wciąż rosną i rosną. Psy, w które zainwestowałam spore pieniądze, powinny odwdzińczyć się słodkim potomstwem. Wpadłoby trochę dodatkowego grosza na zagospodarowanie dzieci w Łodzi. Kolejna ciecinka Psyche upłynęła jej i Erosowi na gorących amorach, a rezultatów brak. Chyba używają środków antykoncepcyjnych — żartowałam. Trzeba będzie w wolnej chwili zrobić im badania. Dominika śmieje się, że musimy je zapisać na in vitro.

XXX. WSTECZNICY Z CIEMNOGRODU

Gnida Harpeć zdradził. Czego zresztą można się było spodziewać po byłym kumplu wójta? Zaraz po naszym sukcesie w Paczkowie łąził i opowiadał gdzie się da, że odnieśliśmy wielki sukces dzięki niemu. Sama słyszałam w sklepie, jak się przechwalał do swego szwagra.

— Tak się nasze przedstawienie podobało, że do Warszawy nas jesienią zaprosili — tłumaczył, zadzierając głowę do góry. — W Łazienkach będziemy występować. A jakby tak ktoś ważny się zainteresował, co u nas w gminie piszczy, to ma wszystko podane jak na talerzu. Z moich materiałów cały scenariusz powstał. Ja mam wójta w garści. A przecież może tak być, że w stolicy ktoś z CBA będzie nas oglądał, no nie?

— Co tam kogo we Warszawie nasze sprawy obchodzą? U nas pokażcie, na Jana, jak festyn będzie, niech się ludzie prawdy dowiedzą. Ale tacy to odważni pewnie nie jesteście? — podpuszczał go szwagier. — A ty nie powinienes się na scenie za wójta przebierać, ale kandydować w wyborach. Co to, głupszy jesteś, czy co?

— Pewnie, pewnie, że głupszy nie jestem. Tylko że nikt z nim nie wygra, bo jego ludzie głosy liczą.

Harpeć gadał, gadał, aż do wójta dotarło, że zamach na niego szykujemy i w Noc Świętojańską z gminnej sceny chcemy go oskarżyć o różne przekręty. Wójt, że nie w ciemną bity, zaraz przedsięwziął stosowne środki. Jakby nigdy nic, zaprosił Harpęcia na polowanko, pogodził się z nim i zaproponował stanowisko sekretarza gminy. Harpeć nie ma studiów, czyli wymaganych kwalifikacji, więc z góry było wiadomo, że go wójt robi w konia, ale zarozumialec zapomniał o urazach i chwycił haczyk. Zaraz też zaczął zmieniać swoje zeznania. Teraz nadawał, że ja napisałam oszczerczy scenariusz, w którym robię z wójta satrapę i łapownika. On zagrał wprawdzie na przeglądzie w Paczkowie rolę wójta, bo

nikt inny się do niej nie nadawał, ale tam na obcym terenie sztuka nie miała wydźwięku politycznego, a w naszej gminie to już zupełnie inna sprawa. Choć nazwa miejscowości i nazwiska są zmienione, ludzie i tak przedstawienie potraktują jako satyrę na naszą, najlepszą w całej Polsce, władzę samorządową. On jednak, jako człowiek uczciwy, już nie będzie własnym nazwiskiem firmował takiej kreciej roboty.

Na dwa tygodnie przed Sobótką wójt nagle zarządził zmianę harmonogramu gminnej imprezy. Wszystkie szkoły dostały prikaz zaprezentowania półgodzinnych programów folklorystycznych. Czasu na przygotowanie uczniów praktycznie nie było, a i uczniów, którzy chcieliby wystąpić, brakowało. Urządzaliśmy dosłownie łapanki na względnie rozgarnięte i przynajmniej niefałszujące osoby, które były na tyle solidne, że mimo wystawionych już ocen przychodziły jeszcze do szkoły. Występy dzieci i młodzieży miały wypełnić czas od wczesnego popołudnia aż do wieczora. Jako clou programu wójt dobroczyńca za ciężkie pieniądze wysupłane z zadłużonej gminnej kasy zafundował swym wyborcom bardzo drogi, bo znany z Internetu i telewizji, ale kiczowaty zespół disco polo. Kabaret Swarowiacy został powiadomiony oficjalnym pismem, że z braku czasu nie może wystąpić na tej imprezie ze swoim programem. Zostaliśmy za to zaproszeni z ponadpółrocznym wyprzedzeniem do wzięcia udziału w konkursie jasełek.

Byłam wściekła, gdyż wójt nie zgodził się również na wykorzystanie imprezy do zbiórki pieniędzy na pogorzalców. Nie chciał też słyszeć o charytatywnym występie laureatów telewizyjnego konkursu Bitwa na Głasy, których załatwił Paweł. Włodarz gminy obiecał wspaniałomyślnie, że sam zajmie się sprawą pogorzalców, ale w innym terminie. Nie chce bowiem łączyć radosnego, młodzieżowego święta z poważnymi, smutnymi sprawami. Wkrótce ma zamiar ogłosić wśród mieszkańców zbiórkę odzieży, mebli i sprzętu gospodarstwa domowego, bo uważa, że dawanie ludziom łatwych pieniędzy tylko ich

demoralizuje.

— Już widzę te sterty kłopotów, których ludzie pozbędą się z domu — powiedziała mu podczas „audiencji” w urzędzie. — Wie pan, że Kicie potrzebne są przede wszystkim pieniądze na odbudowanie stodoły, obory, stajni i garaży oraz na maszyny, żeby on i jego dzieci nie stali się klientami opieki społecznej. Ten człowiek ma plan i chęć do pracy na roli, a takich w naszej gminie jest coraz mniej, więc trzeba ich szanować i wesprzeć.

— Kto mi zagwarantuje, że Kita ofiarowanych pieniędzy nie przepije?

— On już nie pije. To nieszczęśliwy człowiek. Miał tylko taki okres w swoim życiu — broniłam swego sąsiada.

— Dziś nie pije, bo nie ma za co, a jutro zacznie. W naszej gminie jest wielu potrzebujących, a Kita to kryminalista.

— Dziś się jest wójtem, a jutro można być kryminalistą. Fortuna kołem się toczy — zaszarżowałam.

Wójt podskoczył jak oparzony.

— Pani mi grozi?!

— Nie, tak ogólnie mówię — uśmiechnęłam się.

— Spotkamy się w sądzie, jeśli spróbuje pani wystawić tę swoją szkalującą mnie sztukę.

— Cenzurę już dawno zniesiono. A kto panu powiedział, że sztuka jest o panu? Rzecz dzieje się w Kłóćicach i w ogóle to fikcja literacka. Czyżby reagował pan na zasadzie: uderz w stół, a nożyce się odezwą? Co zrobił panu Kita i jego dzieci, że przeszkadza pan w zorganizowaniu kwesty? A może właśnie czegoś nie zrobił?

— Niech pani sobie nie pozwala! — ryknął wójt, podnosząc pięść. Zaraz się jednak opamiętał. Przejechał wzniesioną dłonią po włosach i spokojniej powiedział: — Ja zadziałam w dobry i wypróbowany w takich razach sposób. A pani nie pozwolę pod płaszczykiem dobroczynności wzniecać w gminie

jakichś niepokojów i załatwić ze mną porachunków w imieniu męża. Może pani sobie w intencji Kitów stać pod kościołem, to mnie nie obchodzi, ale jeśli pojawi się pani z tymi swoimi awanturnikami na gminnej scenie, wezwę policję. Ostrzegam! — chciał zakończyć w charakterystyczny dla siebie arogancki sposób.

— Dobrze ma pan mniemanie o naszej gminnej Ochotniczej Straży Pożarnej, nie ma co. Jak im o tym powiem, to się pewnie ucieszą. Dużo pan ryzykuje, bo o pożar przecież na wsi nietrudno — dodałam z jadowitym uśmiechem.

— Pani mi znów grozi?! — wykrzyknął i wybiegł do sekretariatu, żeby znaleźć przeciwko mnie świadka, lecz za biurkiem sekretarki nie było nikogo. — Pani Zofio! Pani Zofio! — wołał histerycznie. — Nigdy tej baby nie ma, jak jest potrzebna!

— Przykro mi, że pani Zosia nie podsłuchiwała pod drzwiami. Zapraszam pana na naszą sztukę, tam wójt ma lepszą sekretarkę.

— Naiwna pani jest, jeśli sądziła pani, że Harpeć wystąpi w tej waszej farsie. On woli stanowisko sekretarza gminy niż oklaski.

— Tym niech się pan nie kłopotuje. Znajdzie się dubler. Jest znacznie lepszy.

No tak, nawyżłośliwiałam się, ale co z tego? Teraz naprawdę zależało mi, żeby zaprezentować tę sztukę mieszkańcom. Tylko gdzie to zrobić i jak namówić Pawła, żeby zagrał wójta? — myślałam cała nabuzowana po tej rozmowie. Kilkakrotne próby skontaktowania się z Pawłem spełzły na niczym. Nie było go w warszawskim mieszkaniu, więc może jest u nas na wsi i wyłączył telefon, żeby naprawdę wypocząć? — olśniło mnie. Paweł bowiem mościł już się w wykończonej części swojego domu i coraz częściej wpadał tu także w dni powszednie.

— Patryk, przeleć się do pana Pawła i sprawdź, czy go nie ma przypadkiem w domu! — krzyknęłam w stronę pokoju syna.

— Oj, mam, muszę już teraz? — standardowy jęk niezadowolenia dobiegł

mnie z góry.

— Nie musisz, ale bardzo cię proszę, bo miałam ciężki dzień i jestem zmęczona — odpowiedziałam bardzo ugodowo.

Wtedy drzwi pokoju Patryka otwały się natychmiast, na schodach usłyszałam tupot więcej niż jednej pary nóg i odgłosy jakiejś przepychanki. Za moment stawili się przede mną Julka i Patol, z tym że Julka trzymała za kark wyrywającego się jej chłopaka.

— Patryk natychmiast udaje się do wujka Pawła, proszę pani. A ja odgrzeję pani obiad, który zrobiłyśmy z Dominiką. Niech się pani położy i odpocznie. Dam pani znać, gdy wszystko będzie gotowe — mówiła tonem kamerdynera królowej.

— A gdzie Dominika? — spytałam nieprzytomnie.

— Domi pojechała do Kielc, ma dziś kurs prawa jazdy — poinformowała Julia, wypychając Patryka za drzwi.

Julka tak energicznie nami zarządziła, że Patryk poleciał do Pawła, a ja nie zdążyłam mu powiedzieć, o co mi chodzi. Przydałaby mi się jeszcze taka jedna córeczka — myślałam, leżąc na kanapie po zażyciu tabletki od bólu głowy i czekając na obiad. Zostały już niecałe dwa tygodnie do rozdania świadectw i miałam w szkole istny kociokwik. Pojutrze rada — cały dzień do tyłu. Wypisywanie świadectw i użeranie się z rodzicami tych, którzy nie otrzymają promocji albo będą mieli poprawki. Przygotowuję też pożegnalną akademię klas trzecich i wypadałoby być na ich balu. A tu jeszcze te sprawy z występami mojego kabaretu. Może wysłać Pawła do naszego wójta, niech z nim negocjuje w sprawie koncertu dla Kitów, a z tą sztuką dać sobie spokój? Czy to warto narażać siebie i pozostałych członków zespołu na konflikt z władzą? O tym, że wójt robi przekręty, wiedzą wszyscy i nikt z tym nic nie próbuje zrobić. Ja też świata nie zbawię. Ludzie pogapią się, pośmieją, a potem i tak będą na niego głosować, jak im naobiecuje wodę w kranach, kanalizację, gaz i chodniki

w każdej miejscowości — myślałam, robiąc się coraz bardziej senna.

Nagle przypomniało mi się, że miałam po pracy jechać do Józia, naszego akordeonisty, żeby go prosić o przygotowanie z kilkoma uczennicami składanki piosenek ludowych na ten cholerny szkolny program. Zerwałam się z kanapy i pomknęłam przez salon, zderzając się w drzwiach z Julką niosącą tacę z obiadem. Zupa wylądowała mi na ramieniu, a ziemniaki miałam we włosach. Julka przeproszała mnie, a ja ją. Pobiełam się przebrać, a ona biedna sprzątnęła resztki jedzenia z dywanu. Piekła mnie poparzona zupą szyja. Nie miałam czasu myć mokrych, pozlepianych włosów, tylko wytrzepałam z nich ziemniaki. W biegu schwyciłam uratowany z masakry mielony i już siedziałam w samochodzie.

Od dwóch dni dzwoniłam do Józia, ale nie odbierał. Czas naglił, więc musiałam po prostu jechać do niego do domu. Józio mieszkał w wiosce położonej z dala od głównych dróg. Już tam kiedyś byłam, ale zawsze miałam problemy, za którym zakrętem zjechać w całkiem polną drogę. Dobrze, że w czerwcu długo widno, to mogę jeszcze chwilę pobłądzić — myślałam, jadąc kompletnym odludziem między łąkami dojrzewających zbóż. Wreszcie znalazłam się we właściwym miejscu. Minęłam kapliczkę, ogromną, rozłożystą lipę i zatrzymałam się przy małym drewnianym domku otoczonym odurzająco pachnącym teraz jaśminem.

Okna domku i drzwi mimo panującego na dworze upału były zamknięte. Nikt nie odpowiadał na moje stukanie i wołanie. W głębi podwórka stał duży, wymurowany z nieotynkowanych pustaków dom brata naszego muzykanta, ale tam również nie było nikogo. Pokręciłam się jeszcze chwilę po podwórku, wzbudzając ogromne niezadowolenie czarnego kundla uwiązanego na dość krótkim łańcuchu i postanowiłam wrócić do samochodu po kartkę i długopis, żeby zostawić Józiowi w drzwiach prośbę o kontakt. Gdy wychodziłam z bramy, stojąca na ganku przeciwległego domu kobieta zawołała do mnie:

— A kogo pani szuka?!

— Ja do pana Józefa Lipca. Nie wie pani, co się z nim dzieje?

— A wiem. Co mam nie wiedzieć. Przecie my najbliższe sąsiady byli.

— Jak to „byli”? — zapytałam, czując, że kolana mi się ugięły.

— Ano właśnie brat z bratową pojechali po ciało. Jutro pewno będą chować, bo strasznie gorąco, nie można długo trupa trzymać.

— Mówi pani o Józiu?

— O Józiu, o Józiu — przytaknęła kobieta. — Takiego ambarasu narobił. Nikt się po nim nie spodziewał.

— Jak to ambarasu? — powtórzyłam za nią zdziwiona. — Pewnie, że nikt się nie spodziewał, przecież to jeszcze młody człowiek i chyba nie leczył się na nic. Taka nagła śmierć. A jeszcze niedawno tak nam wesoło przygrywał i śpiewał te swoje pikantne pioseneczki.

— No widzisz pani, jaka to psychika u niego była. Wieczorem siedział pod domem na ławeczce i grał, aż się córka złościła, że dzieciaka uspić nie może, a rano go bratowa znalazła w stodole na sznurze.

— To on się powiesił?! — wykrzyknęłam. Poczułam się, jakby ktoś dał mi mocny cios w klatkę piersiową. Musiałam usiąść na stopniach ganeczku. — Ale dlaczego? Nie był przecież alkoholikiem, żyło mu się chyba nieźle, bo na weselach dorobił, wszyscy go lubili. Czuł się trochę samotny. Ale rodzina tak blisko. Namawialiśmy go, żeby poszukał jakiejś kobiety i się ożenił. To był przystojny, miły mężczyzna w sile wieku i taki... taki...

— On taki właśnie za delikatny był — dopowiedziała kobieta. — Teraz podobno miał jakieś bóle żołądka i zapisali go za pół roku do lekarza specjalisty. Mojemu staremu zwierzał się, że nie chce być dla nikogo ciężarem i jakby miał długo chorować, to lepiej ze sobą skończyć. Mój stary myślał, że to tylko takie gadanie, bo przecie jeszcze nie wiadomo, co mu było. Przeleczyliby go i po krzyku, a ten sobie widocznie coś gorszego ubzdurał. O raku gadał, ale mógł

mieć tylko wrzody.

— To straszne, taka bezsensowna śmierć.

— Oj, bezsensowna, pani, bezsensowna. A jak ta jego rodzina strasznie się czuje. A bratowa, co go znalazła, to też w taką histerię wpadła, że już parę razy do niej pogotowie jeździło. Ona to w młodych latach jego narzeczoną była i z młodszym bratem go zdradziła. Ale on ją całe życie kochał i dlatego się nie żenił.

— Historia jak z romansu — powiedziałam, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Do domu wróciłam wstrząśnięta. Wciąż miałam przed oczyma smutno uśmiechniętą twarz Józia i słyszałam jego miły, ciepły baryton w pieprznych przyśpiewkach zupełnie nielicujących z majestatem śmierci. Zadzwoiłam do Mietka, ale on już wiedział o tym samobójstwie i oczekiwał tylko ustalenia daty pogrzebu, żeby zorganizować odpowiednią oprawę, jaka należy się druhowi strażakowi. Dlaczego na wsi tak wielu mężczyzn, zwłaszcza samotnych, wybiera samobójstwo jako rozwiązanie swoich problemów? Z niechęci do działania? Z lęku? Z nieporadności? — zastanawiałam się. Czy gdyby wcześniej postawiono mu diagnozę i wdrożono leczenie, nie doszłoby do tego? Gdyby Józio wiedział, że jego choroba nie będzie miała nic wspólnego z długotrwałym leżeniem w łóżku i z uzależnieniem od innych osób, jego losy mogłyby się jeszcze dalej toczyć?

Ze smutnej zadumy wyrwało mnie ćwierkanie mojej młodzieży. Śmiali się i dowcipkowali na temat spotkania Patryka z ludźmi, którzy urzędowali w domu Pawła.

— Zawsze mu mówiłam, że jest w typie gejów — śmiała się z brata Dominika. — Te blond włoski, niewinne spojrzenie szarych oczu i smukłe, giętne ciało.

— Mamo, powiedz jej coś! — jęczał Patol. — Ja przecież nie jestem pedałowaty.

— Jasne, że nie jesteś — Julia natychmiast stanęła w obronie Patryka. — Ale nie przejmuj się nimi. Marek i Wawrzyniec są spoko, całkiem nieszkodliwi. Jak byłam młodsza, to tata mnie czasami nawet z nimi zostawiał, gdy musiał, na przykład, niespodziewanie jechać do redakcji.

— Dla ciebie może nieszkodliwi, bo jesteś dziewczyną, a ja się czułem okropnie.

— A co się stało? Jaki Marek i Wawrzyniec? O czym wy w ogóle mówicie? — pytałam zaniepokojona. — Zastałeś Pawła w domu?

— O to chodzi, że pana Pawła nie zastałem, ale byli jego koledzy — zaczął relację Patryk. — Zaproponowali, żebym zaczekał na Pawła, który poszedł do Mariana coś tam ustalać. Usiadłem więc i dla zagajenia rozmowy pytam, czy są z branży pana Pawła. Okazało się, że starszy Marek jest operatorem, a ten młody to charakteryzator. Marek wiedział już, że robię zdjęcia. A ty go nie znasz? — zapytał mnie nagle.

— Nie. Pierwsze słyszę o gejach w otoczeniu bardzo mocno hetero Pawła — powiedziałam. — Ale z Pawłem rozmawiałam o twoim albumie.

— Ja też dużo o twoich fotach mówiłam tacie i on mógł rozmawiać z Markiem — wtrąciła Julka.

— I co dalej? — ponaglałam Patryka.

— No nic takiego. Ten pan Marek zaproponował, żebym zaraz poleciał po zdjęcia, bo chciał obejrzeć. Mówił o studiach na operatorstwie, gdzie ma trochę wykładów, i tak się na mnie patrzył i uśmiechał, jakby mnie podrywał. Zorientowałem się, że on i ten młodszy to para, więc myślałem, że tamten będzie zazdrosny. Ale ten Wawrzyniec też mnie rwał i to jeszcze bardziej nachalnie. Poprawił mi koszulkę. Powiedział, że powinienem zmienić fryzurę i przypiął się do moich włosów. Na szczęście, jak wstałem, to nie mógł już sięgnąć. Dałem dyla do drzwi, a on jeszcze za mną wołał, że mógłbym pójść z nimi na naszą wiejską dyskotekę.

— A co ty na to? — spytałam trochę zaniepokojona, a trochę ubawiona. — Wyjaśniłeś im, że nasze wiejskie środowisko może nie być zachwycone ich ewentualnymi awansami?

— A coś ty, zwiąłem. Tyle to oni sami powinni wiedzieć, że od stuprocentowego scyzoryka mogą dostać w dziób za sam wygląd, a co dopiero za nagabywanie. Ja też dałbym mu po łapach, jakby jeszcze raz mnie dotknął.

— Straszny z ciebie homofob — powiedziała kpiąco Dominika. — Ludzie jak inni. Też mają prawo do miłości — wygłaszała powtarzane ostatnio do znudzenia w mediach komunały.

— A ja im tej miłości nie bronię, tylko się brzydę.

— Nie przesadzaj — teraz Julka wzięła w obronę znajomych gejów.

— Ja nie przesadzam, po prostu mówię, co czuję — obruszył się Patryk. — To już nawet w moim własnym domu muszę się liczyć z poprawnością polityczną? Wyślijcie mnie na terapię, bo mi się mdło robi, jak mnie dotyka inny facet.

— Więc jak to było, obaj cię rwali? A może ty masz jakąś obsesję? — spytała ironicznie Dominika. — Jeśli są parą, jak twierdzi Julka, to tobie chyba coś się zdawało.

— Są parą, ale, jak mi się zdaje, tworzą raczej taki związek otwarty — wyjaśniła Julia.

— A dajcie mi spokój z takimi ludźmi, to podwójne świństwo. Geje czy nie geje, wszystko jedno, coś takiego jak „otwarty związek” jest świństwem, a nie żadnym związkiem — denerwował się Patryk i imponował mi swoją etyczną pryncypialnością.

— Nie mów, że jesteś taki święty — prychnęła Dominika. — Myślałby kto. Dopiero co leciał na drugi koniec Europy za Ewelina, a już podrywa Julkę i taki moralizator.

— To są zupełnie różne rzeczy. Ja nie związałem się z Ewelina, nawet... —

Patryk zaczerwienił się i urwał zwierzenia.

— Oczywiście, synu, masz rację. A ty, Dominiko, odczep się od brata — wsparłam syna. — Patryk nie zdradza Eweliny.

— Ja nawet jestem w stanie zrozumieć ludzi, którzy są po ślubie całe lata i w chwili słabości dopuszczają się zdrady — kontynuował Patryk. — Człowiek jest słaby. Ale zakładanie z góry, że jesteśmy ze sobą, lecz łapiemy, co się da, żeby się wyżyć, jest obrzydliwe.

— Zgadzam się z tobą całkowicie — powiedziała Julia, patrząc mu w oczy.

— Masz absolutną rację, synu — potwierdziłam.

— W zasadzie to ja też nie wyobrażam sobie, żeby mój partner... — zaczęła Dominika i urwała, bo samo słowo „partner” zabrzmiało niezbyt stosownie w naszym gronie moralnych wsteczników z ciemnogrodu.

XXXI. TABLETKA GWAŁTU

Pogrzeb naszego grajka zaplanowany był z dużą pompą. Wszystko miało być poważnie, a nawet patetycznie, jak przystało na pochówek szanowanej, zasłużonej dla społeczności i lubianej osoby. Stał się jednak dziwną uroczystością, której nie zapomnę do końca życia. Było w nim tyleż tragizmu, co i komizmu. Miałam wrażenie, że oglądam filmową groteskę, a nie uczestniczę w prawdziwym, smutnym wydarzeniu. Pochowano bowiem nie tylko muzyka, ale i jego instrument.

Przed drewnianą chałupką Józia zebrała się orkiestra dęta i wszyscy strażacy w galowych mundurach. Chodzili, palili i czekali na sygnał rodziny, by wziąć trumnę na ramiona i ponieść na cmentarz. Nagle komuś z kapeli przypomniało się, że Józio w ostatnim czasie wspominał kilkakrotnie, iż chciałby być pochowany z akordeonem. Próbowali więc nakłonić brata, by pozwolił włożyć do trumny kumpla jego ulubiony instrument. Bratowa jednak się sprzeciwiła. Powiedziała ponoć na stronie, że szkoda instrumentu, bo syn się uczy grać. Koledzy z kapeli trochę obrażeni wzięli więc stary, lecz pięknie utrzymany, inkrustowany masą perłową akordeon i nieśli go za trumną aż do grobu.

Po stosownych obrzędach, gdy już grabarze szykowali łopaty, osierocona przez Józia kapela sięgnęła po swoje instrumenty i zagrała ulubioną melodię nieboszczka, „Od Swarowic jadę”. Mały bratanek zmarłego, którego stryj uczył grać, chciał włączyć się do muzykowania i podniósł z ziemi odstawiony chwilowo akordeon stryja. Przeliczył się jednak z siłami, próbując założyć go na swoje chłopięce ramiona. Ciężki instrument wymusknął mu się i wpadł do grobu na trumnę. Sam chłopak również o mało nie wylądował w dole. Bratowa Józia prawie zemdląła z wrażenia i uznała, że zmarły w ten sposób domaga się, żeby jednak spełniono jego wolę.

Zrobiło się straszne zamieszanie, gdyż trzeba było trumnę z powrotem

wyciągnąć z grobu. Była ciężka, porządna, dębowa, a i Józio także nie ułomek, więc namęczyli się strażacy, lecz czego się dla kumpla nie robi. Potem z trudem odwalali zabite już wieko trumny, robiąc przy tym dużo hałasu i niejedno niecenzuralne słówko im się wymysknęło. Gdy wreszcie pokonali wszystkie przeszkody, okazało się, że złożony i zamknięty skórzanym paskiem akordeon nie mieści się pod wiekiem. Ktoś zaproponował, żeby go rozciągnąć i na płask położyć Józiovi na brzuchu, bo w tym miejscu trumna jest najwyższa. Ksiądz się zezłościł, że trupa poniewierają, i chciał odejść od grobu, ale żeby ludzie nie gadali, brat go prawie na siłę trzymał. Gdy drugi raz trumnę z Józkiem spuszczała do dołu, akordeon zajęczał w jej wnętrzu rozpaczliwie, jakby nie chciał być żywcem pochowany. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie.

Zaraz po pogrzebie zrobiliśmy sobie taką naszą kabaretową stypę w remizie. Kobiety podały herbatę i ciasto, a chłopcy coś do tego ciasta. Wspominaliśmy zmarłego i tak się akurat złożyło, że wszystkie chwile, w których smutny Józio z nami uczestniczył, były raczej wesołe, więc przy stole łązy mieszały się z serdecznym śmiechem. Całe to życie Józiove było właśnie niby wesołe, ale jakoś tak smutne w środku i w dodatku z tak tragicznym zakończeniem.

— Może powinniśmy w ramach żałoby chociaż na parę miesięcy odpuścić sobie te nasze wygłupy na scenie? — powiedziałam w pewnym momencie.

— A ja myślę, że Józiovi się na nas nie pogniewa, że się przeciwstawimy wójtowi — powiedziała zdecydowanie Boczkowska. — On też wójt nie lubił i miał do niego żal jeszcze z czasów szkolnych. Oni obaj ze mną do jednej klasy w podstawówce chodzili i obaj byli prymusami. Tyle że wójt był nieużyty i nosa zadzierał, a Józio, brat łąta, dla wszystkich chciał dobrze. Dawał ściągę i odpisywać lekcje, zawsze wytłumaczył, jak ktoś go poprosił. Aż raz na prośbę kolegi dopuścił się grubszej rzeczy. Jemu zawsze wychowawczyni kazała przynosić dziennik z pokoju nauczycielskiego, bo miała zaufanie. Ale Józek zaufania nadużył i wstawił kumplowi dwie tróje z matmy, żeby ten zdał. Piotrek,

znaczy się terazniejszy wójt, to widział, a że był skarżypyta, to do dyrektora z jęzorem poleciał. To było już na koniec podstawówki, w ósmej klasie. Józek wybierał się do liceum, ale jak się ta sprawa wydała, dali mu taką opinię, że ledwie go do zawodówki przyjęli. Ja myślę, że się Józek w niebie ucieszy, jak my nosa wójtowi utrzymy — zakończyła Boczkowska i wszyscy jej przytaknęli.

Wciąż miałam wątpliwości, czy naprawdę jest sens szarpać się o pokazanie w gminie tej naszej sztuki, skoro wszystko idzie jak po grudzie. Nie wierzyłam też zanadto w to, że może ona cokolwiek zmienić w gminnych układach politycznych. W końcu jednak Swarowiacy mnie przekonali. Uległam ogólnemu bojowemu nastrojowi i już w drodze do domu postanowiłam wstąpić do Pawła, by zapytać, czy sławny reżyser Pablo Corsuniarrez zechce nas wesprzeć i zagra na wiejskiej scenie. Reszta zespołu tymczasem główkowała, gdzie i jak własnoręcznie zbudować scenę.

Miałam szczęście i zastałam Pawła w jego wiejskim zaciszu. Chyba niedawno przebudził się po sobotniej balandze, chociaż właśnie zapadał późny czerwcowy zmierzch i kończyła się niedziela. Ze względu na gigantycznego kaca, który odebrał mu siły i bystrość umysłu, nie wyjechał jeszcze do Warszawy. Nie miałam okazji poznać jego dwóch homoprzyjaciół, którzy wywołali wzburzenie Patryka. U wezłowania reżysera, jak przystało na zdecydowanego hetero, ujrzałam dwie skąpo odziane panienki. Z pewnym trudem w wymalowanych dziewczątkach rozpoznałam byłe uczennice naszego gimnazjum, Justynkę i Martynę. Nie mogłam tylko sobie przypomnieć, czy skończyły naszą szkołę rok czy dwa lata temu. Na mój widok nie wykazały nawet odrobiny zmieszania.

— A panienki co tu robią? — zapytałam tak, jakbym przyłapała je na wagarach.

— No, po prostu jesteśmy — odparła gburowata Martyna.

— Już skończyłyśmy gimnazjum i pani nam nic nie może zrobić — napszyła się druga.

— No, z mojej strony to wam akurat nic nie grozi — powiedziałam z przekąsem. — Ale nie wydaje mi się, żeby wasi rodzice byli zachwyceni.

— My przyszyliśmy na lekcję aktorstwa. Pan reżyser nam wczoraj obiecał, prawda? — pucółowata i cycata Martyna usiadła na łóżku obok zdziwionego i bardzo zmarnowanego Pawła.

— Ja nie bardzo pamiętam, co to było wczoraj. Sorry, dziewczyny — powiedział Paweł, pocierając bolące czoło, i włożył okulary. — Jak ja w ogóle dotarłem do domu?

— Opowiemy ci, jak to było, chcesz? — Szczuplejsza nieco i ładniejsza od koleżanki Justyna nachyliła się z dwuznacznym uśmiechem do jego ucha. Zauważyłam, że gówniary są na ty z niefortunnym balangowiczem. Paweł odsunął się od niej gwałtownie i wydawało mi się, że dostrzegłam w jego oczach strach.

— Nie, nie, dajmy teraz temu spokój! Ja mam gościa, nie widzicie? — Chciał im dać do zrozumienia, że mogłyby wyjść. Naiwnie liczył na domyślność dzierlatek.

— Może kawy? — Martyna zwróciła się do mnie, żeby pokazać, jak jest zadomowiona.

— Ja dziękuję, ale panu reżyserowi dobrze zrobi mocna kawa — odparłam.

— Nie, nie, dziewczyny! — wykrzyknął Paweł. — Dzięki za wszystko i idźcie teraz do domu. O tych lekcjach pogadamy przy innej okazji, a teraz cześć.

— Jasne, rozumiemy. Okoliczności się spieszyły. — Martyna odziana w króciutką miniówkę, pochyliwszy się nad Pawłem, wypięła na mnie swój tłusty tyłek. Wyglądało, jakby nie miała bielizny, bo sznurek stringów utonął między mięsistymi pośladkami. Ucałowała wyleniałe czółko Pabla. — Na nas zawsze możesz liczyć, pamiętaj. I jakbyś przywiózł kolegów, to też. Zadzwoń wcześniej, żebyśmy się przygotowały. Chodź, Justyna — zawołała koleżankę, a ta wstała i przeciągnawszy się, wolno podeszła do drzwi.

— Wpadniemy innym razem. Nara, Misiaczk — zawołały równocześnie.

— No, to ładnie się, Misiaczk, zabawieś — powiedziałam z naganą. — Ryzykant z ciebie. Jeszcze nie skończyłeś budowy, a już może ci wszystko spłonąć, jak się tatusiowie dowiedzą, że zabawieś się z ich córeczkami. Co ci odbiło, żeby z takimi siksami się zadawać?

— A w jakim one są wieku? Skąd się tu w ogóle wzięły? — pytał.

— To ostatnie pytanie to chyba nie do mnie? Nie udawaj, wyglądały na bardzo z tobą zaprzyjaźnione. Ciekawe, co ty im naobiecowałeś i jakiego to aktorstwa je uczyłeś? Będiesz z nimi kręcił filmy niskobudżetowe? Casting wypadł pomyślnie? Ta grubsza ma potencjał, może nawet stać się gwiazdą, co? — kpiłam.

— Znęcaj się nade mną, masz rację, kop leżącego. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja nic nie pamiętam — zarzekał się Paweł. — To znaczy, wiem, że dałem się namówić Wawrzyńcowi i Markowi na dyskotekę w Lipkach. Te dziewczyny przysiadły się do nas i właśnie coś mówiły o kręceniu filmów i lekcjach aktorstwa. Chłopcy się zmyli z jakimiś nowymi znajomymi, a ja zostałem z nimi sam. Trochę je tam bajerowałem, ale właściwie to one mnie rwały — wspominał. — Wiesz, ja podejrzewam, że dały mi pigułkę gwałtu.

— Jasne, a potem cztery kilometry niosły cię na plecach do domu i wykorzystały seksualnie — roześmiałam się głośno. — Biedna ofiara rozerotygowanych nastolatek. Ty wiesz, jak to brzmi?

— Zdaję sobie sprawę, ale tak to było. Ja mam przecież mocny łeb, a na tej dyskotecie piłem tylko piwo. Dlaczego nie pamiętam powrotu do domu? Tak, to musiała być tabletką gwałtu. A jeśli mnie wykorzystały, to na pewno bez zabezpieczenia. Ja mogłem złapać HIV! — wykrzyknął przerażony Pablo i wyskoczył spod kołdry jak z procy. Był goły jak święty turecki i nie prezentował się zbyt ciekawie. Odwróciłam się, parsknąwszy śmiechem.

— Weź się przyodziej, bo ja nie jestem ciekawa twoich wdzięków —

powiedziałam spokojnie.

Paweł poczuł się chyba trochę urażony moją reakcją. Znalazł obok łóżka spodnie i szybko je wciągnął.

— Ja nic takiego nie planowałem. Chłopaki mnie namówili, żeby zrobić drobny rekonesans. Nie miałem nawet przy sobie prezerwatywy. Myślisz, że one noszą takie rzeczy na wszelki wypadek?

— Mogę cię pocieszyć, że jest mało prawdopodobne, żeby one miały HIV. Chociaż całkowicie wykluczyć się nie da. Prędzej ty mogłeś coś posiać w ich płodnych, młodych łonach i dziewczynki mogą mieć kłopoty. Ale by było śmiesznie, jakby tak obie naraz, co?

— Nie śmieję się, bo sprawa może być poważna. Nie wiem w dodatku, gdzie są chłopaki, Marek i Wawrzyniec. A jeśli ich gdzieś tu... no wiesz? W końcu byliśmy w mateczniku świętokrzyskich scyzoryków.

— Można mieć przynajmniej pewność, że scyzoryki na takich jak oni nie reflektują, więc nie dostali pastylki gwałtu, jak ty.

— Ale masz dzisiaj ubaw. Dawno się tyle nie naśmiałaś, co?

— Tak, wyjątkowy dzień, właśnie wracam z pogrzebu i trafiam na kumpla pogrążonego w degrengoladzie i demoralizującego moje były uczennice. Na dodatek chce mi wmówić jakieś nieprawdopodobne historie.

— Ojej, a kto umarł? Ktoś bliski?

— I tak, i nie. Nasz akordeonista z kapeli. Kojarzysz go? Powiesił się.

— Ten smutny? Ja nie rozumiem takich ludzi. Facet żył sobie na wsi jak u Pana Boga za piecem. Na polu rosło samo. Mówiłaś, że nie miał żony, to nikt mu nad uchem nie brzęczał. Na weselach pograł, to dorobił. I takiemu nagle nerwy wysiadły? Nic z tego nie rozumiem.

— No widzisz, nie tylko w Warszawie ludzie mają problemy i nerwice. Nam prymitywom też się to zdarza.

— Jesteś dzisiaj strasznie napastliwa. Zrobiłem coś złego, że mnie tak kąszasz?

— Jeszcze się pytasz? Miałam nadzieję, że mi pomożesz. Z twoimi kontaktami możesz zrobić dla ludzi stąd wiele dobrego, ale ty wolisz szokować i demoralizować — łajałam.

— Źle wyszło, proszę pani nauczycielki, ale się poprawię. Koncert i zbiórkę przecież robimy. Tylko powiedz, co ustaliłaś, kiedy dokładnie, jaka duża scena, kto robi nagłośnienie i tak dalej.

— O to chodzi, że sceny nie ma. Wójt nie pozwoli nam wystąpić nad stawem. A w dodatku grozi mi sądem i jeszcze Harpeć przeszedł na jego stronę.

— Ale wy nie pękacie?

— Jak widzisz, pękł tylko jeden z nas, Józio, ale to z zupełnie innych powodów. Strażacy mówią, że scenę zbijają sami z desek. Najwyżej będzie bez zadaszienia. Tylko gdzie ją ustawić, żeby był dojazd, dostęp do prądu i miejsce dla widzów i żeby wójt nie mógł się doczepić.

— A jakby tak zrobić u Kity? Już to widzę! Ustawić scenę na tle pogorzelska, to będzie świetnie konweniować z celem koncertu. — Paweł wyraźnie się podpalał i zaczynał reżyserować. Zapomniał o bólu głowy i wszystko rozplanowywał. — Za stodołą Kity, o ile dobrze pamiętam, jest rozległa łąka?

— Tak, do samego lasu.

— Scenę ustawimy tyłem do zabudowań, a przodem do lasu. Teren w tym miejscu się wznosi, więc będzie znakomity amfiteatr. Super. Co dajemy pierwsze, twoją sztukę czy te zespoły z Bitwy na Głosy?

— Ale mojej sztuki nie będzie, jeśli ty nie weźmiesz roli za Harpecia. Tyle razy go poprawiałeś, że znasz wszystkie sytuacje, a tekstu zdążysz się jeszcze nauczyć.

— Jasne, że zdążę — odpowiedział Paweł.

Rzuciłam się na niego z radości, wyczuwałam na obie strony, podskakując i krzycząc:

— Więc się zgadzasz?! Hurrrra!

— Całuj mnie bardziej namiętnie, ale nie krzycz tak głośno, bo mi głowa pęknie — powiedział, wyciągając do mnie z uśmiechem ramiona i usta złożone w dzióbek.

Teraz jest taki sympatyczny i normalny — pomyślałam. Nie może być jakimś zdemoralizowanym idiotą, bo Maciek nie utrzymywałby z nim bliższych kontaktów i nie pozwoliłby Julce nazywać go wujkiem. To, że zakochiwał się kilkakrotnie w pięknych kobietach, źle o nim nie świadczy. Że ma znajomych gejów... taka branża. A może te dziewczyny naprawdę mu coś wsypały do piwa? Mogły to zrobić dla zabawy, bo nie przypuszczam, żeby były tak wyrachowane. Teraz młodzież ma te różne świństwa na wyciągnięcie ręki, więc i o głupie pomysły nietrudno. Może on jednak mówił prawdę? Ciekawa jestem, jak wyplącze się z tej idiotycznej znajomości — myślałam, wracając do domu. A w domu czekała mnie niespodzianka.

Na podwórku stał mały, niebieski volkswagen lupu. Nie znam żadnego posiadacza takiego auta, więc weszłam do domu mocno zaciekawiona. Przy kuchennym stole siedziała z kubkiem herbaty Ewelina, a Julka i Patryk z takimi samymi kubkami stali w dwóch różnych kątach kuchni. Ewelina gadała jak najęta. Widać było, że jest zdenerwowana. Kiedy mnie ujrzała, podskoczyła z radości, rzuciła mi się w objęcia i trwała tak przez dłuższą chwilę. Wydawało mi się, że jej oczy były wilgotne, ale nie pozwoliła sobie na łzy. Przełknęła głośno ślinę i zaczęła mnie przeproszać, że nie uprzedziła o swoim przyjeździe.

— Taka niespodzianka to głupi pomysł, bo pani może mieć swoich gości i jakieś plany, a ja się zwałam — zaczęła. — Wyjechałam też tak nagle, bo... bo... Wolałabym już o tym teraz nie mówić. Miałam taki zamęt w głowie. Namieszałam trochę Patrykowi, ale ja nie przypuszczałam, że on przyjedzie do mnie. Państwo się pewnie na mnie gniewają? Może powinnam to jakoś inaczej...?

— Nie ma sensu rozpatrywać tego, co było — powiedziałam, zdając sobie sprawę, że nie jest jej łatwo w obecności Julki mówić o swoich skomplikowanych sprawach. Ja też ze względu na Patryka wolałam tego nie wałkować. — Powiedz, czy przyjechałaś w odwiedziny, czy wróciłaś do nas na stałe? A gdzie Franek? Urósł chyba? Pewnie już chodzi? — pytałam.

— Franek został z moją mamą i Josephem, a ja wpadłam pozałatwiać trochę formalności w urzędach, bo wychodzę za męża. Chciałam też zaprosić państwa i dziadków Franka na wesele. Dominikę i Patryka też. Joseph nie mógł ze mną jechać, ale też serdecznie zaprasza.

Ewelina wyciągnęła z eleganckiej torby białe koperty z zaproszeniami. Jedną podała mnie, drugą Patrykowi, a trzecią schowała z powrotem do torebki.

— To dla państwa Nowaków. Może zechcą zobaczyć, w jakich warunkach żyje teraz ich wnuczek — powiedziała.

Patryk spojrział na mnie, a ja na niego. Dał mi znak, żebym to ja powiedziała o śmierci ojca Damiana, więc zaczęłam:

— U nas sporo się ostatnio wydarzyło. Pan Nowak zginął tragicznie, a pani Danusia zajmuje się dziećmi Andrzeja Kity.

Ewelina przerażona słuchała opowieści o dziadku swojego syna, który zawziętością doprowadził do kolejnej tragedii i sam zginął.

— A jeśli Franek będzie taki jak jego ojciec i dziadek? — Ewelina nie po raz pierwszy zadała to pytanie.

— Nie będzie na pewno ich odbiciem, bo przecież ty masz wpływ na jego wychowanie — powiedziałam. — A poza tym może on mieć więcej cech babci, której dobroć może służyć za wzór.

— Pójdę do niej i może tam przenocuję. Pokażę jej zdjęcia Franka, na pewno się ucieszy — planowała Ewelina.

— Z noclegiem u Danusi mogą być problemy, bo ona ma teraz w domu czworo dzieci. Ale u nas miejsca jest dość — zapewniłam. — Cieszę się bardzo,

że widzę cię szczęśliwą i taką śliczną. Bardzo zeszczuplałaś. Właściwie połowy cię nie ma. Ale czujesz się dobrze?

— Tak, tylko bardziej intensywnie żyję. Mam w domu basen i korty. Cieszę się ze ślubu i z tego, że Joseph tak pokochał Franka jak swoje dziecko. Mama jest bardzo szczęśliwa. Ja trochę tęsknię. Nawet bardzo tęsknię, ale się przyzwyczaję. Młoda jestem, to się przyzwyczaję, prawda? — Ewelina spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia swoich słów, a mnie znów się zdawało, że w jej oczach błysnęły łzy.

— Patryk, Julka, odstawcie te kubki i bierzemy się za kolację! — zawołałam. — Zaraz Dominika powinna wrócić z Kielc. Ładnie przyjęliście gościa, co przejechał pół Europy, samą herbatą, wstyd. Ciasto jest w spiżarni — łajałam, mobilizując dzieci do działania. Uznałam bowiem, że na poważne rozmowy będzie jeszcze czas później, kiedy znajdziemy się z Eweliną sam na sam. Nie podobał mi się jej wyraz oczu. Nie tak wygląda szczęśliwa narzeczona tuż przed ślubem.

XXXII. JADĄ GOŚCIE, JADĄ

Ewelina była w Polsce tylko tydzień. Dużo czasu spędziła w sklepach i urzędach. Dziwiło mnie trochę, że u nas kupuje suknię i welon. Odwiedziła Danusię, która była bardzo rozczarowana tym, że nie zobaczyła wnuczka. Od razu powiedziała, że na wesele do Niemiec nie pojedzie, bo nie ma pieniędzy ani czasu, a poza tym jest przecież w żałobie. Zapewniła jednak dziewczynę, że jeśli kiedyś przywiezie Franka do Polski, to ona zawsze znajdzie dla niego czas i miejsce dla nich obojga, bo przecież tu jest ich dom, a Franek jest jej jedynym spadkobiercą.

— Mam teraz bardzo zamożnego syna — zażartowała Ewelina, relacjonując mi spotkanie z Danusią. — Joseph też chce go usynowić. On nie ma swoich dzieci, chociaż był trzy razy żonaty. Obiecuje, że Frankowi zapisze cały swój majątek.

— Ewelinko, a czy nie boisz się, że w razie jakichś nieporozumień małżeńskich bardzo trudno będzie ci odzyskać syna? — powiedziałam. — Nie zrozum mnie źle, ja ci życzę najbardziej udanego związku, ale przecież wszystko może się zdarzyć. Pochodzicie z narodów o różnej mentalności i różnych zaszłościach historycznych, między wami jest duża różnica wieku i majątku. To wszystko może rodzić konflikty. A w dodatku, jeśli panu Josephowi rozpadły się już trzy małżeństwa, to może nie powinnaś się tak śpieszyć. Mało go znasz, poobserwuj go jakiś czas. Teraz, kiedy tak bardzo się kochacie, przyszłe życie wydaje się bajką, ale nie ma gwarancji, że zawsze tak będzie.

Może nie powinnam krakać, lecz czytałam w prasie i oglądałam w telewizji zrozpaczonych polskich rodziców, którzy po konflikcie z niemieckim współmałżonkiem utracili także możliwość widywania swoich dzieci. Matka Eweliny, jeśli nawet zdaje sobie sprawę, jak niekorzystne w tej kwestii jest dla cudzoziemców niemieckie prawo, nie wspomina o tym dziewczynie, bo dla niej

najważniejsze w życiu są pieniądze. Wyobrażam sobie, jak teraz pilnuje, żeby Ewelina nie zaprzepaściła szansy życiowej syna.

— Ewelinko, ale powiedz mi szczerze, czy ten Joseph rozkochał cię w sobie, bo jest takim fascynującym człowiekiem? Czy ty nie patrzysz na niego przez pryzmat jego majątku? Nie pytam dlatego, żeby cię oceniać. Chciałabym, żebyś sama się nad tym zastanowiła. Ja wiem, że czasami trudno to rozgraniczyć, bo życie w luksusie dodaje kolorów temu, kto nam ten luksus zapewnia. Ale gdyby on nic nie mógł ci zaoferować, jak na przykład nasz Patryk, to wyszłabyś za niego za mąż?

— Pani to myśli, że ja tylko lecę na jego majątek. Ja nic nie dostanę, Joseph zastrzeże w intercyzie, że po jego śmierci wszystko jest dla Franka. On się boi, że jestem młoda i mogę go rzucić. Teraz mam przy nim dobrze, za szkołę zapłaci, kupił mi auto i ciuchy też mam fajne. Ale, jak pani widzi, nie jest rozrzutny, auto malutkie, a i reszta nie z górnej półki. Na wesele też nie za bardzo chciał się zgodzić, lecz mama się uparła i ja chciałam, żebyście wszyscy do nas przyjechali.

— Mogą być z tym pewne kłopoty, ale myślę, że chociaż młodzi pojedą. Będziemy się starać, zobaczymy, jak wyjdzie — powiedziałam wymijająco. — Ale nie odpowiedziałas mi na zasadnicze pytanie.

— Jest fajny i nawet dosyć przystojny, da się lubić i myślę, że potrafię z nim żyć — powiedziała smutno.

— Wiesz, gdybyś była dwadzieścia lat starsza ode mnie, powiedziałabym, że to rozsądna, dojrzała decyzja. Ale ty jesteś za młoda na taką kapitulację.

— Może źle to powiedziałam. Jak jestem tam, to wydaje mi się, że Boga za nogi złapałam. Ale jak tu przyjechałam i popatrzyłam na Patryka i Julkę, to mi się coś tak w środku poruszyło. Oni są radośni. Tak szczerze się śmieją. Razem ćwiczą te konie i widać, że im nic do szczęścia nie potrzeba. A swoją drogą szybko się Patryk pocieszył — dodała sarkastycznie.

— Nie możesz mieć do niego pretensji, to ty wybrałaś. Mnie też jest miło

patrzeć na Julkę i Patolka. Na razie to tylko przyjaźń, ale mają wiele wspólnych zainteresowań. Pasują do siebie.

— No właśnie, a ja pani nie pasowałam, wiem o tym.

— Ewelinko, zazdrość sprawia, że jesteś niesprawiedliwa. Lubiłam cię i lubię. Przyjęliśmy cię jak członka rodziny, ale powiem ci szczerze, że faktycznie uważałam, iż nie pasujecie z Patrykiem do siebie. Nie zrobiłabym jednak nic, żeby was rozdzielać.

— Ale ja wiedziałam, co pani myśli.

— Bo jesteś inteligentna i masz spore, jak na swój wiek, doświadczenie życiowe. Ty nie tyle czytałaś moje myśli, co się ich spodziewałaś, bo sama to czułaś.

— Tak, ja wiem. Patryk jest jeszcze dziecinny, a ja mam starą duszę. A może wcale nie mam duszy? Nie powinnam się za dużo zastanawiać, bo to mi szkodzi.

— Przeciwnie, zastanów się, co dla ciebie i Franka będzie dobre. Świat się nie kończy na Josephie i Patryku. Masz prawo być kochana i szczęśliwa.

— To się tak tylko pięknie mówi, jak pani ma dobrego męża i wszystko wokół siebie poukładane.

— Nie stało się tak bez mojego udziału. To ja dokonałam wyboru i nie myśl, że nigdy nie miałam zawahań. Życie nieustannie wystawia nas na próbę. Miłość w małżeństwie nie ma cały czas tej samej temperatury, czasem przygasa, a potem znów się rozpala. Zdarzają się różne nieporozumienia. Łatwiej to wszystko przejść, jeśli na starcie płonąła silnym, gorącym płomieniem.

— Joseph jest skrytym człowiekiem, nie mówi o swoich uczuciach. Tego mi brakuje. Chciałabym się do niego przytulać, całować z nim i przeglądać w jego oczach, ale on mówi, że to dziecinada, że jest już za poważny na takie rzeczy. A przecież pani i mąż często się obejmujecie i przynajmniej cmokacie. Myślę jednak, że podobałam się Josephowi, bo po co brałby sobie na głowę mnie i moje dziecko?

— Ja ci na to pytanie nie odpowiem. Nie wychodź jednak za niego, póki nie będziesz znała na nie odpowiedzi. A zwłaszcza nie podpisuj żadnych dokumentów adopcyjnych, żebyś nie straciła Franka.

Ewelina wyjeżdżała smutna i zamyślona. Nawet niezbyt przychylnie nastawionej do niej Dominice zrobiło się jej żal.

— Rzuć to wszystko i wracaj do nas. Jakoś się tu urządzisz, przecież ci pomożemy. Stworzymy silną grupę medyczną w Łodzi — zachęcała Dominika, która najwidoczniej dzięki swoim ostatnim przeżyciom stała się teraz bardziej empatyczna wobec koleżanki. — Danusia ci odchowuje dziecko, a ty będziesz z nami studiować. Teraz obie będziemy łamać męskie serca, a nasze pozostaną jak głąz.

— Wiesz, ja chyba nie chcę już łamać serc i w ogóle to czuję, że przyszedł czas na ustakowanie — powiedziała Ewelina, spoglądając smutno na Julkę i moje dzieciaki. — Wy jesteście jeszcze młodzi i wszystko przed wami — dodała dwudziestoletnia staruszka. — Proszę, przyjedźcie wszyscy na wesele. I ty, Julka, też, koniecznie — powtarzała, całując każdego z nas na pożegnanie.

Na gadaniu z Eweliną zeszło mi dużo czasu, a tu trzeba było wypisywać świadectwa i arkusze ocen, a poza tym poprawić scenografię, zrobić plakaty i drukować zaproszenia. Pogoniłam młodych do roboty i dzięki temu obrobiłam się na czas. Patryk zrobił ciekawą fotę pogorzeliska. Tak się ustawił, że w tle uchwycił Święty Krzyż. Dominika wmontowała w to fotki młodych piosenkarzy z Bitwy na Głosy wraz z ich trenerami, a na samym dole zamieściła trzy zdjęcia z występu w Paczkowie moich Swarowiaków. Julka zaproponowała, żeby do tych naszych zdjęć dorobić komiksowe dymki z celniejszymi cytatami ze sztuki, i to był strzał w dziesiątkę. Pawłowi bardzo się projekt plakatu podobał. Wziął go do Warszawy i wydrukował na drukarce o odpowiednich gabarytach. Datę koncertu ustaliliśmy na dwa tygodnie po gminnej Sobótce, a tak się złożyło, że wypadło to dokładnie w moje urodziny. Spodziewałam się więc, że tego dnia

gwiazdy będą mi sprzyjać.

Od momentu wydrukowania zaproszeń i rozlepienia plakatów trzeba się było sprężyć, żeby bezwzględnie dotrzymać terminu i nie zbłąźnić się przed publicznością oraz ludźmi dobrej woli, którzy zgodzili się w tej imprezie wziąć udział. Byliśmy naprawdę pełni zapału i nie szczędziliśmy wysiłku, ale od początku jakiś diabeł mieszał nam szyki i robił wszystko, co w jego mocy, żeby nas tylko pogrążyć.

Scena usytuowana była świetnie. Udało się ją oświetlić dzięki reflektorom pożyczonym od księdza. Nagłośnienie Paweł załatwił z domu kultury. Technicznie więc w zasadzie wszystko grało. Niepokoiło mnie to, że brakło czasu na kilka prób na nowej scenie z Pawłem w roli wójta, ale wszyscy uspokajali mnie, że dadzą radę. Moja nerwówka wzmogła się, gdy Patryk, który marzył, by jeszcze przed wszelkimi występami zaprezentować na łące kilka numerów wołyżerki, przeliczył się ze swoimi umiejętnościami. Spadł przy jakimś salcie pod hucuła, który też miał za mało doświadczenia z takimi rzeczami i przeleciał mu kopytem po grzbiecie. Bałam się, że syn uszkodził sobie kręgosłup, ale na szczęście prześwietlenie nic złego nie wykazało. Chłopak był jednak obolały i wyłączony z wszelkich zajęć. Mógł co najwyżej siedzieć w bramce i zbierać do puszki pieniądze.

Na dwa dni przed koncertem Krzyś poinformował mnie, że udało mu się zamienić dyżurowy tydzień z kolegą i wraca do domu, żeby obejrzeć moje dzieło. Ja akurat wolałabym, żeby jego nie było wśród widzów. Następny komunikat dobił mnie kompletnie.

— Nie musicie po mnie wyjeżdżać, gdyż mama namówiła tatę, żeby w końcu nas odwiedzili. Zabiorą mnie z Warszawy i pociągniemy razem do Zalewic — powiedział Krzyś radośnie. — Mama tak ciepło wspomina pobyt u nas i u twojej mamy. Wiesz, oni do Warszawy planują przyjechać kilka dni wcześniej. Mama chce poznać tatę z doktorem Kryszelem.

Tylko westchnęłam do Najwyższego, żeby śnieg zawiął drogi, choć to lipiec, albo jakiś inny żywioł zatrzymał ich na miejscu, nie robiąc przy tym niewinnym ludziom żadnej szkody. Kiedy mniej więcej godzinę później usłyszałam, że i moja mama w dodatku z oboma Kryszelami wybiera się na spektakl, sądziłam, że to już dość plag, jak na jedną nie nadzwyczajnie grzeszną osobę. Ale wkrótce odbyłam jeszcze telefoniczną rozmowę z moją siostrą i ta oznajmiła, iż wybiera się na mój występ z grupą swoich nowych znajomych, z którymi łączą ją wspólnie przeżywane rekolekcje i liczne pielgrzymki.

— Ja muszę osobiście podziękować Patrykowi za to, co zrobił dla Wiktorii — mówiła Zyta w uniesieniu. — Ten chłopak ma dar uzdrawiania duszy. Nie powinien marnować takiego talentu. Musi koniecznie zostać kapłanem.

— Chyba nie musi — przerwałam jej rozdrażniona.

— On dokonał prawdziwego cudu. Przecież nasza córka była opętana. Nie pomagały nasze perswazje, spotkania z psychologami, o księdzu nawet nie chciała słyszeć. Nie wstrząsnął nią ten straszliwy poród i nieszczęsne dziecko. Ona była jak za pancerną szybą, nic do niej nie docierało. A teraz wiesz, co robi?

— Zaczęła żyć normalnie?

— Normalnie to mało powiedziane. Ona zatrudniła się w hospicjum dla dzieci, a poza tym przychodzi do Zatoniów i pielęgnuje Pawełka. Czegoś takiego w jej duszy mógł dokonać tylko ktoś wybrany przez Boga.

— A ja myślę, że to życie dało jej nauczkę, a Patryk znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie — powiedziałam sceptycznie. — To akurat mogło być zrzędzeniem Najwyższego. Dziękuj mu więc, a tę wizytę u nas przełóż na inny czas. Jesteśmy strasznie zajęci, a nasz „święty” Patryk ruszać się nie może, gdyż spadł z konia. Nie organizuj do niego pielgrzymki, bo się może wkurzyć.

— To będziemy się modlić o jego zdrowie. Nie mogę odwołać, już wszystkim powiedziałam, że wezmą udział w imprezie charytatywnej, i nie ma

mowy, żeby ich powstrzymać.

— Zyta, nie próbuj robić jakichś cyrków wokół Patryka. On tylko podzielił się z Wiktoria swoją forszą i nagadał jej do słuchu. Nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy. Nas nie raz naraził na duże straty. Wszystko mu lekko przychodziło. Nawet tam za granicą nie nosił worków z cementem, a załapał się na fikanie koziołków. Nie ekscytuj się nim za bardzo — próbowałam ją sprowadzić na ziemię. — A z kapłaństwa Patryka też nic nie będzie, bo w stan uniesienia wprawiają go teraz wdzięki jednej bardzo wysokiej i zgrabnej blondynki. To akurat mnie cieszy. A co do Wiktorii, to jak ona wytrwa w swoim postanowieniu ze dwa lata, wtedy możesz nawet wnioskować o kanonizację Patryka — zażartowałam nie najszcześliwiej, bo wyraziłam tym niewiarę w trwałą przemianę Wiktorii.

— My, to znaczy ja i Kazik, chcemy przy okazji poszukać tam w twojej okolicy jakiejś działki, a może gotowego domku. Postanowiliśmy sprzedać nasz dom i osiedlić się na wsi. Trzeba uregulować dług u Zatoniów. Nic nas już właściwie w tej Warszawie nie trzyma. Cieszysz się, że na starość będziemy blisko siebie?

Nie jest dobrze, jeśli moja siostra mówi o starości — pomyślałam, ale postanowiłam roztrząsanie jej spraw zepchnąć na inny termin.

— Zytka, zmiłuj się, nie mam teraz głowy do takich tematów, muszę się przygotować na przyjazd teściów. Nie tylko mój dom nie pomieści wszystkich gości, ale nawet najbliższe gospodarstwa agroturystyczne.

— Nic nie szykuj, nie piecz i nie gotuj, wszystko Kazio każe zrobić kucharzom, póki jeszcze ich zatrudnia. Taka jestem szczęśliwa, siostró, i chciałabym, żeby inni cieszyli się ze mną! — wykrzykiwała w słuchawkę.

Ja też chciałabym cieszyć się z nią, lecz obawiałam się, że wobec takiego najazdu rodzinnego nie poradzę sobie z tremą. Na informację, że strasznie zajęty Maciej znalazł chwilę czasu właśnie w tę lipcową sobotę i wybiera się do nas

z grupą krytyków filmowych wprost z niedalekiego Kazimierza, zwyczajnie już nie zareagowałam. Miodówka w tej sytuacji może nie wystarczyć — pomyślałam.

XXXIII. TANIEC Z CZAROWNICĄ

Nadszedł w końcu ów dzień gminnej premiery sztuki pod tytułem „Taniec z czarownicą”. Moja bojowość zmalała do minimum. Już w przeddzień nie chciałam walczyć z wójtem, a wręcz bałam się, że jak on ze mną zatańczy, to bez miotły wylecę nie tylko ze swarowickiego gimnazjum, ale otrzymam wilczy bilet w całym powiecie. Wycofać już się jednak nie mogłam.

Od rana miałam złe przeczucia i bolała mnie głowa. Połknęłam parę prochów i jeszcze potem wypiąłam wszystkie możliwe ziółka na uspokojenie zalecane przez znające się na rzeczy starsze członkinie zespołu. Nic dziwnego, że potem pielgrzymkę Zyty, a także własnego męża, teściów, mamę, a nawet Rafała witałam ze spokojem graniczącym z obojętnością. Ktoś tam mi doniósł, że wśród publiczności pojawił się wójt, a Harpecia widziano ponoć skrywającego się za krzakami na skraju lasu. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Przypomniałam tylko kilkakrotnie, żeby aktorzy pamiętali o zmianach poczynionych ostatnio w scenariuszu i nie użyli autentycznych nazwisk oraz nazw miejscowości, gdy będzie mowa o przekrętach wójta, bo po co mam się z nim szarpać po sądach. Uspokajali mnie, że wszystko będzie dobrze, tekst mają wykuty na blachę, rozumieją, o co chodzi, i nawet jak coś zapomną, będą szyc jak należy. Żadnej wpadki na pewno nie będzie, bo są przecież już starymi wyjadaczami.

Występ uczestników Bitwy na Głosy odbywał się jeszcze przy naturalnym świetle. Przyjechali z własną obstawą techniczną i zaprezentowali się znakomicie. Oczywiście śpiewali bez orkiestry, przywieźli z sobą nagrany w studio podkład muzyczny. Wypadli rewelacyjnie. Publiczność była zachwycona zwłaszcza tym, że mogła z bliska obejrzeć ich sławnych trenerów, wziąć od nich autografy, a nawet z nimi porozmawiać. Siedziałam na zapleczu sceny i wsłuchiwałam się we wspaniałe głosy oraz podziwiałam ciekawe aranże.

Wielokrotnie bisowali, lecz nie zostali na naszej sztuce, gdyż czekano na nich w Sandomierzu, gdzie mieli umówiony prawdziwy koncert z orkiestrą na scenie rozstawionej przed samym ratuszem. Dopiero po ich wyjeździe mogliśmy rozpocząć montaż naszej scenografii. Zaczęła się bieganina i zauważyłam, że nie tylko ja jestem zdenerwowana.

— Pani Niusiu, stawiam pani na tym stoliku butelkę z miodówką. — Boczkowska uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

— Dzięki, ale jeszcze nie teraz. Muszę przytomnie sprawdzić, czy wszystko jest gotowe i na swoim miejscu — odpowiedziałam i pobiegłam skontrolować rekwizyty i czy działają wszystkie mikrofony.

Poprawiałam jeszcze kwiatki w oknach naszego teatralnego urzędu gminy i zanurkowałam na czworakach pod biurko w poszukiwaniu śruby, która odpadła od szyldu. Chyba ze sto razy przebiegałam na ogromnych obcasach zbitą z sękatych desek scenę i odpowiadałam na dziesiątki pytań i różnych wątpliwości, zanim zabrzmiała stworzona przez Mietka „uwertura”, czyli piosenka powitalna. Odegrała ją umieszczona przed sceną kapela w uzupełnionym już o nowego akordeonistę składzie. Wreszcie Staszowska z Boczkowską wystartowały z dialogiem dwóch plotkujących na rynku bab i poszło.

Krzętałam się na tyłach sceny i do szału wręcz doprowadzał mnie fakt, że dosłownie co chwilę potykam się o Martynę i Justynę, moje dawne uczennice, które od pamiętnej dyskoteki wciąż kręciły się koło Pawła. Niedawno oskarżał je o podanie mu pigułki gwałtu i zarzekał się, że go takie siksy nie interesują, a teraz szczerzy się do nich jak głupi. Tacy są faceci, nie odpuszczą żadnej okazji — pomyślałam ze złością i postanowiłam przegonić je stąd, żeby go nie rozpraszały.

— Co wy tu właściwie robicie?! To jest miejsce dla artystów, idźcie na widownię i nie kręćcie mi się pod nogami! — wrzasnęłam zirytowana.

— Na nas niech pani nie zwraca uwagi. Przyszliśmy do Pawła, podglądać

prawdziwego mistrza przy pracy — Martyna wydeła pogardliwie grube wargi.

— Pawełku, przynieść ci soku czy coca-coli? — Justyna demonstracyjnie poprawiała Pawłowi krawat.

— O, a co to za buteleczka? — Martyna wzięła ze stolika miódówkę i popatrzyła na nią pod światło. Widzę, że artyści amatorzy też mają swoje dopalacze. — Odkręciła zakrętkę i powąchała. — Tak myślałam, po prostu ordynarna wódka. Ale nawet nieźle pachnie. Chcesz spróbować, Justyna? — zwróciła się do przyjaciółki, która wzięła od niej butelkę i również potrząsnęła nią kilkakrotnie.

— Coś ty? Zobacz, jakie męty tu pływają. Nie wiadomo, co tam ktoś namieszał — odparła pogardliwie i obie zaczęły się głośno śmiać.

— Spadać stąd, bo mnie zaraz diabli wezmą — powiedziałam z wielką determinacją.

— Dobra, dziewczynki, zmykajcie już. — Paweł klepnął Martynę w potężny, ubity zadek, aż go pewnie ręka zabolęła. — A jak przyniesiecie tę colę, możecie tu postawić na stoliku obok wódeczki.

Tego już dla mnie było za dużo. Odciągnęłam Pawła na stronę i nagadałam mu do słuchu, żeby skończył znajomość z gówniarami, bo z tego w końcu wyjdzie jakaś chryja.

— Niech pani już wypije tej miódówki, cała się pani trzęsie z nerwów — powiedziała Boczkowska, słysząc mój zbyt podniesiony głos. — Ja chyba też to zrobię. Czuję, że pierwszy raz trema mnie bierze.

Gruba Martyna najwidoczniej usłyszała, co mówi Boczkowska, bo z jadowitym uśmiechem odwróciła się i kuksańcem zwróciła też uwagę Justyny na Boczkowską nalewającą wódkę do kieliszka.

— Ja je osobiście zrzucę ze schodków! — zasyczałam i jak rozjuszony odyniec ruszyłam w ich kierunku, ale na szczęście Paweł pochwycił mnie za rękę i powstrzymał przed morderstwem w afekcie.

— Zostaw trochę tego ognia na naszą scenę erotyczną — szepnął mi do ucha.
— A swoją drogą pięknie wyglądasz. Będę się musiał mocno hamować, żeby naprawdę nie bzyknąć cię na tym biurku.

— Oszalałeś?! Naćpałeś się czy co?! — odskoczyłam od niego jak oparzona.
— Pamiętaj, że cała moja rodzina jest na widowni. Najważniejszy jest wątek aferalny. Wystarczy, jak wykonamy kilka uścisków, i tak wszyscy będą wiedzieli, o co chodzi.

— Dobrze, już dobrze, będzie wszystko, jak sobie życzysz — uspokajał mnie, ale jego oczy i dziwny uśmiech nadal mnie niepokoiły.

Nie miałam już czasu obserwować, co dzieje się na zapleczu, bo musiałam stać w kulisie i czekać na swoje wyjścia, ponieważ Pani Niusia jeszcze przed erotyczną odsłoną z wójtem wielokrotnie na krótko miała pojawiać się na scenie. Trzymałam też cały czas w ręku scenariusz, żeby w razie jakiejś wpadki pamięciowej podrzucić tekst zapominalskiej osobie. Ale właściwie wszystko szło znakomicie. Przestałam na moment śledzić tekst i zajęłam się reakcjami publiczności. Słuchali w skupieniu, wybuchali śmiechem we właściwych momentach, a więc chyba będzie sukces — ucieszyłam się przedwcześnie.

Weszłam z króciutką kwestią i znów wróciłam do kulisy. Boczkowska wyszła trochę spóźniona, ocierając usta. Pewnie się denerwuje i znów pociągnęła miódówki — pomyślałam. Dla Boczkowskiej dwa kieliszeczki to jak dla psa mucha. Ta kobieta ma mocną głowę — wspomniałam Paczków. Ale dlaczego teraz coś nagle zmienia w scenariuszu? — przeraziłam się, widząc, że Boczkowska zamiast z przodu sceny powtarzać Staszkowskiej wyniesione z urzędu plotki, siada sobie na ławeczce i podszczypuje facetów grających wielbicieli taniego wina. Pani Aniela, chcąc ratować sytuację, mówi publiczności, czego rzekomo dowiedziała się od kumoszki. Kobieta bardzo przytomnie wskazuje na rozdokazywaną Boczkowską, ale ze zdenerwowania zapomina o zmianie nazwisk i ze sceny lecą informacje o przetargach z podaniem

autentycznych nazwisk uczestniczących w nich przedsiębiorców.

Omiał nie zemdląłem i pocziwa Staszowska też, gdy się zorientowała, co zrobiła. Na widowni się po prostu zagotowało. Ktoś wymieniony z nazwiska zaczął coś wyjaśniać, a inny mu przeszkadzał. Pani Aniela siłą wyciągnęła Boczkowską ze sceny. Widok Mietka w przebraniu czarownicy stojącego na dachu urzędu zaszokował i wyciszył publikę. Teraz śmiano się z Mietka, więc znów nabrałam otuchy, że sztuka jest jeszcze do uratowania, ale od tego momentu spadł na nas istny deszcz nieszczęść.

Mietek, schodząc z dachu, czyli z drabiny, zwał się z nią z hukiem na ziemię i omiał nie wywrócił całej dekoracji. Widownia co prawda nie wiedziała, czy huk był efektem zamierzonym, czy nie, ale my byliśmy coraz bardziej zestresowani.

— Panie Mietku, za dużo pan wypił przed występem! — zasyczałam wściekła, pomagając mu się podnieść. — Po panu bym się tego nie spodziewała.

— Ja już od tygodnia ani kropli. — Mietek wytrzeszczył na mnie swoje czarne oczyska i zdziwiony zamrugał powiekami. — Lekarz mi zabronił, postraszył, że z moją wątrobą źle. Tej coli, co tam stoi, łyknąłem i coś mi we łbie szumi. Może wątroba coli nie przyjmuje?

— Pani Zalewska, co ja narobiłam! — łkała Staszowska. — Słyszała pani, jak palnęłam? I co to teraz będzie?

— Nie wiem. Niech pani o tym nie myśli. Może przejdzie jakoś bez konsekwencji. Gdzie Boczkowska? Pilnujcie jej, żeby już więcej nie piła.

— Ja się napiję, bo serce mi wali jak dzwon. — Pani Aniela trzęsącymi się rękami próbowała nalać sobie kieliszek miodówki, ale w końcu przechyliła butelkę i, jak to mówią, z gwinta pociągnęła solidny łyk.

— Zaraz moja scena z wójtem — powiedziałam z lękiem. — Nie widzę tego cholernego Pabla! Gdzie on się podział?! — Rozejrzałam się z rozpaczą w oku i tak, jak Staszowska, z gwinta zażyłam miodówki.

Na widowni z jakiegoś powodu znowu zawrzało. Usłyszeliśmy nagle

mówiącą do mikrofonu nieznaną nam kobietę. Pobiegłam do kulisy i wyjrzałam, co się dzieje. Szczupła, skromnie ubrana pani stanęła przed sceną i dorwawszy mikrofon przygotowany dla kapeli, szlochała, wycierając łzy i nos rękawem.

— Dobrze, że się śmiejecie z przekrętów wójta. O przetargach, o łapówkach ta sztuka — zaczęła. — Biedny łapówki nie da, bo nie ma z czego. Ja do przetargu nie wystartuję z moimi dwiema rękami. Chciałam ulice zamiatać, nawet rowy kopać bym poszła, bo we troje żyjemy z dzieckiem i chorą matką z jej renty. Napyskowałam wójtowi, jak mnie zaczął moralności uczyć, gdy przyszłam prosić o pracę. Powiedziałam mu, że mi się należy w pierwszej kolejności, bo jestem samotną matką. Wykrzyczałam mu, że dał pracę takim, co mu posmarowały albo może mu... No, lepiej nie gadać. A ten bandyta od razu na mnie, że pożałuję tych słów. I wiecie, co zrobił? Komornik nas lada dzień z chałupy wygoni, bo mam sześćdziesiąt tysięcy kary zapłacić za wycięcie pomnika przyrody. Za tę moją lipę, co to ją pomnikiem mianowali, a w nocy przydupasy wójta wycięły. Takich pieniędzy to ja, jak żyję, nie widziałam i nie zobaczę. Wtedy, co oni te lipę, ja we Włoszech byłam, żeby obcym babom tyłki wycierać, a moją własną chorą matkę z dzieciakiem zostawiłam. Pies temu, co piłował, kawał spodni urwał. Matka na drugi dzień policję zawiadomiła. Przyjechali i powiedzieli, że to pewnie ona sama lipę ścięła. Chyba nożem musiałaby ją zerznąć, bo my piły nawet nie mamy. Wzięli materiał z portek niby do zbadania i zgubili. Matka i dzieciak rysopis sprawców podali. Wszyscy wiedzieli, gdzie ich szukać, tylko policja nie. Ludzie, co tam wasze przetargi. Ja bezdomna będę. Gorzej mam, jak te pogorzelce, bo mi chałupę i ziemię zabiorą i jeszcze dalej dług na mnie będzie wisiał. Co ja tam za moją chałupinę dostanę? A gdzie my się teraz z matką i synem podziejemy? Pomóżcie, ludzie, i zróbcie coś, żeby ten zbój więcej ludzi nie krzywdził! — zakończyła swój dramatyczny apel.

Nie przerywaliśmy jej. Kita wziął mikrofon, gdy skończyła, i powiedział:

— Podzielimy to, co zbieramy, na pół.

— Wstrzymać egzekucję komorniczą i winnych ukarać, a nie płacić! — zawołał ktoś z tłumu. — Ja się tym zajmę — zadeklarował.

Zauważyłam, że to jakaś osoba z grupy przybyłej z Kazim i Zytą.

W sumie wyszło jak happening, ale smutkiem powiało i nie wiedziałam, czy tak po prostu kontynuować sztukę, czy też zdobyć się na jakiś komentarz. Uświadomiłam sobie jednak, że zabieranie głosu w tej poważnej sprawie w przebraniu Pani Niusi wypadnie raczej komicznie, więc dałam sobie spokój, tym bardziej że z widowni zaczęto krzyczeć, żeby grać nadal. Stojący podczas całej tyrady na scenie aktorzy dość sprawnie podchwycili przerwany wątek i sztuka szła dalej.

Teraz trzeba było odwrócić dekoracje, wysuwając jednocześnie biurko i fotel wójta, a zabierając ławeczkę. Na obu przeglądach robiliśmy to perfekcyjnie, a tym razem nam nie wyszło. Okazało się, że chłopcy z ławeczki mają jakieś niezborne ruchy i tylko głupoty im w głowie. Gówniarz Marcin poklepywał Boczkowską po wypiętym zadku, a ta śmiała się idiotycznie. Robert, Staszek i Wojtek z taką energią zakręcili ścianką z dykty, że omal się nie rozpadła. Obróciła się dwukrotnie i znów mieliśmy elewację budynku, a nie gabinet.

Publiczność jednak była cierpliwa i wyrozumiała, tak wciągnęła ją ta oparta na faktach farsa.

Niepewnie, nie sprawdzwszy nawet, czy Paweł jest już gotowy, pociągnęłam raz jeszcze z butelki i wyszłam na scenę. Dokładnie pośrodku utknęłam, bo obcas zaklinował mi się w sęku. Zaklęłam, a mikrofon wzmocnił to niestety. Powinnam uważać na te dziury, ale ze skupieniem uwagi na czymkolwiek miałam teraz problem. Mówiłam swoją kwestię chyba poprawnie, lecz cały czas wydawało mi się, że podłoga pode mną lekko faluje. To nerwy — pocieszałam się. Niemożliwe, żeby dwa łyki wódki tak zadziały. Muszę zdjąć buty, zanim wpadnie Paweł i zacznie mnie obejmować — pomyślałam całkiem przytomnie.

Nie mogę do końca przedstawienia tkwić w tym jednym punkcie. Ale jak to szybko zrobić, gdy moje piekielne szpile są zapinane na paski wysoko oplatające łydki?

— Tak się dzisiaj nachodziłam, że aż nóg nie czuję — poleciałam tak zwanym szytym tekstem. — Wójt uwielbia moje bose stopy, więc może już się wcześniej przygotuję. — Klapnęłam na deskach, bo z moją równowagą było coraz gorzej, i dziwnie nieposłusznymi palcami powoli rozpinałam sprzączki.

Paweł zobaczywszy mnie na ziemi majstrującą coś przy butach, był nieco zdezorientowany. Wygłosił pierwsze zdanie swojej kwestii i nie mogąc się doczekać mojego gorącego powitania, usiadł naprzeciw i zaczął głaskać mnie po udach. Tak go ta czynność pochłonęła, że zaprzestał mówić cokolwiek i coraz śmielej poczynął sobie z moimi kończynami. Miałam właściwie wielką ochotę pozwolić jego dłoniom na wędrówkę wzdłuż ud, ale jakieś resztki przyzwoitości lub hipnotyzujące spojrzenia siedzącej na widowni rodziny kazały mi jednak wstać. Niestety zdołałam rozpiąć tylko jeden, ten tkwiący w sęku, but. Kuśtykając, odskoczyłam od Pawła, a on natychmiast podążył za mną. Wykonywał przy tym niezgrabne, szerokie ruchy i chyba także walczył z falującą podłogą. Nie udało mi się odkicać od niego na bezpieczną odległość, a w dodatku oddaliłam się także od biurka, na którym, według scenariusza, miałam usiąść. Paweł wybełkotał fragment roli wójta i rzucił się na mnie z wielką namiętnością. Straciłam równowagę i, ku uciesze publiki, padłam jak długa wraz z nim na deski sceny. Paweł zamiast szybko zebrać się i pomóc mi wstać, zaczął się normalnie do mnie dobierać.

Nie wiem, jak mogłaby skończyć się ta scena, gdyby w porę do akcji nie wkroczył Rafał. Wskoczył na niezbyt wysoki, bo wykonany wszak chałupniczo podest, podniósł rozjuszonego Pawła i trzymając go prawą ręką za kark, lewą przyłożył mu pięknym sierpowym. Z nosa Pawła połała się krew. Potrzebna była mu pomoc medyczna, więc Krzyś razem z doktorem Kryszelem zaciągnęli

nieszczęśnika na zaplecze, żeby go opatrzyć. Rafał, który pomógł mi się podnieść, dostał gromkie brawa, więc skłonił się w podziękowaniu i zgrabnie zeskoczył znów na widownię. Ja zaś bezsilnie opadłam na fotel, wołając:

— Widzę zbliżającego się księdza, czy aż tak źle jest z wójtem? — Naszykowany od kilku chwil do wejścia na scenę grający proboszcza policjant, pan Władzio, nie wiedział, czy powinien się teraz zgodnie z zatrudnieniem poczuć stróżem porządku i interweniować, czy też spokojnie odgrywać swoją rolę. Mój okrzyk uświadomił mu, że przedstawienie wciąż trwa, więc zjawił się w sutannie i z kropidłem na czele orszaku dewotek, jak było w scenariuszu. Ale dwie z asystujących mu starszych pań, czyli Staszowska i Boczkowska, pozwalały sobie na zbytnią wobec niego poufałość. Dotykały go, zaglądały mu w oczy, czego scenariusz zupełnie nie przewidywał. Władzio odsuwał się od nich, a i pozostałe, bardziej opanowane kobiety starały się własnymi ciałami izolować podniecone koleżanki, na które dziwnie podziałał widok sutanny.

Dojechaliśmy jakoś do momentu, gdy ksiądz miał sprowadzić przebranego za czarownicę agenta Romka. Wleczony przez Władzia i kobiety Mietek wyglądał, jakby się naćpał. W słowach deklarował wprawdzie odmienną orientację seksualną, ale czynem tego nie potwierdzał i ewidentnie leciał na mnie. Miał się wzbraniać przed umizgami Niusi, lecz wcale się nie wzbraniał. Nie miał siły bronić się przed kimkolwiek. Nie był w stanie także salwować się ucieczką przez okno. Z rozanieloną miną usiadł sobie na podłodze przy moim fotelu i obejmował mnie za kolana. Ja zaś wykazywałam wielkie zadowolenie i obejmowałam go za szyję.

Nikommu z nas nie chciało się już grać. Byłam zbyt otepiała, żeby wymyśleć na poczekaniu jakieś nowe zakończenie sztuki. Aż tu nagle Boczkowska, która zapragnęła także kleić się do Mietka, a przeszkadzała jej moja osoba, podeszła do mnie i szarpnęła mnie brutalnie za rękę. Opadłam pod biurkiem na czworaki i szepnęłam jej:

— Pani Boczkowska, niech pani jakoś to skończy i nie pozwoli nam się dalej kompromitować.

Energiczna kobieta popatrzyła na mnie przytomniej, uśmiechnęła się i wyszła, chwając się na środek sceny. Mocnym głosem a capella zaintonowała końcową piosenkę:

— Tak to w naszej gminie wójt se lody kręci. Inni też, jak widać, nie są tacy święci — zaśpiewała. — Przecie my są wszystkie świętokrzyskie syny, przeciwko wójtowi powstanie zrobimy — ciągnęła, ale już coś innego niż nasza piosenka. — Zjeżdżaj ty do czarta, Niusiu ladacznico, a my se potańczym z piękną czarownicą — dokończyła w natchnieniu twórczym, słowami, których nie było w tekście napisanym przez Mietka, ale jak ulał pasowały do tego, co zrobiła przed chwilą.

Boczkowska zadowolona z nagłego przypływu poetyckiej weny dygnęła zalotnie przed Mietkiem. Ten z braku moich kolan ucapił Boczkowską za, nomen omen, potężne boczki i ruszył z nią w tany. Staszowska porwała księdza, który wywijął na wszystkie strony kropidłem, i kołowała z nim, aż mu powiewała sutanna. Kapela, domyśliwszy się, że innego zakończenia nie będzie, zagrała obertasa.

Publiczność nieco zaskoczona śmiała się i biła brawo. Byli też tacy, co pod sceną zaczęli rytmicznie podrygiwać i przytupywać. Obie starsze panie i Mietek tak się rozochocili, że długo jeszcze wirowali na scenie, choć scena wirowała im również. Nie był to przewidziany w scenariuszu powolny chocholi taniec, ale orgiastyczny, wściekły, podsycony chemicznymi dopalaczami przytupaniec z figurami rodem gdzieś chyba ze środkowej Afryki — jakiś świętokrzysko-buszmemński pogo-folk.

Wkrótce przyjechali funkcjonariusze z kieleckiej dochodzeniówki wezwani przez Krzysztofa, który domyślił się, iż na scenie dzieją się podejrzane rzeczy. Zabezpieczyli próbki naszych napojów i rozpoczęło się śledztwo. Wszystkie

ślady prowadziły wprost do dwóch nastolatek, Martyny i Justyny, które zagięły parol na Pawła. Podczas przesłuchania Martyna, siostrzenica wójta, wyznała, że wujek zasugerował jej, iż kręcąc się blisko Pawła, mogłaby nam w jakiś sposób zdeorganizować przedstawienie. A że dziewczynki miały spore doświadczenie w stosowaniu różnego rodzaju dopalaczy, więc przyrządziły nam niezły koktajl.

Trudno powiedzieć, że spektakl był sukcesem artystycznym, ale jego skutki polityczne i społeczne są nie do przecenienia. Wójt ma tyle zarzutów, że w tej i następnej kadencji pewnie się z nich nie wykaraska. Znaleźli się nawet świadkowie nocnego wycinania pomnika przyrody. Sprawcy natychmiast wysypali, na czyje zlecenie działali. Najważniejsze jednak jest to, że dzięki zebrany fundusze dom Kity rośnie jak na drożdżach, a moja sława w gminie znacznie przerosła popularność zagranicznego reżysera. Patryk doniósł mi, że wiele dziewcząt zakochało się na zabój w Rafale. Zamierzają zorganizować pod naszym domem dyżury, żeby go choć raz jeszcze zobaczyć.

Najbardziej jednak zaskoczyła mnie moja teściowa, która stwierdziła z czarującym uśmiechem:

— Wiesz, nie doceniałam cię. Jesteś znakomitą twórczynią, a jaką aktorką. Nigdy nie spodziewałam się zobaczyć takich śmiałych scen i nowatorskich rozwiązań w amatorskim teatrze. Podziwiam tolerancyjność Krzysia, ale też nie dziwię się, że jest tobą zauroczony. Zresztą widzę, że nie tylko on. Jesteś prawdziwą czarownicą.

Copyright © Beata Kępińska, 2014

All rights reserved

Projekt okładki

Agnieszka Herman

Fotografie na okładce

Fotolia.com

Redaktor

Paulina Jeske-Choińska

Redaktor techniczny

Teodor Jeske-Choiński

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-515-7

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. [61 853 27 51](tel:618532751), [61 853 27 67](tel:618532767), faks [61 852 63 26](tel:618526326)

Dział handlowy, tel./faks [61 855 06 90](tel:618550690)

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

